



*Paullina
Simons*

BELLAGRAN D

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog 1936

Część pierwsza.

CHLEB I RÓŻE 1911–1918

1. Wino w kamień
2. Annie Lopizo
3. Szafarka pomocy
4. Miłość amerykańskiej dziewczyny
5. Marmur i błoto
6. Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem
7. Bellagrand

Część druga.

BELLAGRAND 1919–1922

8. Flaglera wyprawa do raj
9. Błękitny pokój
10. Melasa
11. Całkowite zaćmienie
12. Rajskie ptaki
13. Mądrość Aleksandra Pope'a
14. Spanish City

Część trzecia.

CZŁOWIEK BEZ KRAJU 1922–1929

15. Isadora i Siergiej
16. Fort Wagner
17. Prinz Valdemar
18. Biali terroryści proszą o łaskę
19. Psalm 91
20. Ulubiona książka Harry'ego
21. Wąż i sokół

Epilog 1936

*Paulina
Simons*
BELLAGRAN D

Z angielskiego przełożyła
Katarzyna Malita


Świat Książki

Tytuł oryginału
BELLAGRAND

Wydawca
Grażyna Smosna

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Redakcja
Maria Wirchanowska

Korekta
Ewa Grabowska
Marzenna Kłos

Copyright © Paullina Simons 2014
Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Malita 2014

Świat Książki
Warszawa 2014

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-041-4

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Dla mojej matki,
Inżyniera
Nauczycielki
Imigrantki
Romantyczki
Marzycielki
Dawczyni życia
Która szukała rajów
Wszędzie gdzie mieszkała*

*Lecz rzeczą Głosy
Rzeczą Mędrce,
Światy i Wieki:
Wybieraj mądrze, twój wybór
Krótki, a jednak nieskończony.*

Johann von Goethe

Prolog

1936

Kobieta, niegdyś piękna, jedzie pociągiem otulona starym płaszczem, trzęsąc się z zimna. Obok niej siedzi chłopak, którego młodość dopiero rozkwita. Patrzy prosto przed siebie lodowatym wzrokiem, jego twarz ma nieprzenikniony wyraz. Podobny do wyrazu twarzy kobiety. Siedzą nieruchomo. Kobieta chciałaby coś powiedzieć, lecz właściwie nie zostało już nic do powiedzenia. Spogląda na chłopca.

Czeka ich długa podróż. Osiemset kilometrów. Pięćset mil przez ponury krajobraz. Topniejący lód powstrzymuje wody rzek, które płyną ociężale. Płaskie pola są czarne, brudny śnieg oblepia szare, nagie drzewa. Migająca za oknem okolica jest pępna, pusta, naga. „O świecie! O życiu! O czasie! Na twych ostatnich krokach się wspinam”.

Chłopak z uporem patrzy przez okno. Wygląda bardzo poważnie jak na swój wiek. Ma czarne włosy i oczy koloru kawy. Nie chce o niczym rozmawiać. Wagon jest prawie pusty. Celowo wybrali pociąg, którym mało kto jeździ, bo dociera na miejsce późno w nocy. Nie chcieli, by ich zauważono.

Kobieta próbuje ująć go za rękę. Dłoń jest zimna. Chłopak podaje ją niechętnie. Chce, by go zostawiono w spokoju. Chce wykrzyczeć rzeczy, których nie może wykrzyczeć, powiedzieć rzeczy, których powiedzieć nie może. Powstrzymuje się tylko z szacunku dla niej – pomimo wszystko. Ona nie jest dość silna, by to usłyszeć, i nie zasługuje na to. Jak mogłaś mnie tu przywieźć, chciałby ją zapytać przerażonym głosem. Wiedząc, że narażasz moje życie, jak mogłaś tu ze mną przyjechać? Teraz już za późno na gdybanie. Dlaczego nie wiedziałaś tego wtedy?

Posłuchaj, szepcze ona gwałtownie, gdy pociąg zatrzymuje się z piskiem kół i kilku pasażerów wysiada. Nic nie można zrobić. Nie można myśleć o tym, co minęło.

A o czym mam myśleć? O przyszłości?

Nie chcę, żebyś się oglądał za siebie. Zapomnij, skąd pochodzisz. Zapomnij o wszystkim, słyszysz?

To dokładne przeciwieństwo tego, co mówiłaś mi przez całe życie.

Pociąg przyspiesza.

Dwa duże miasta są od siebie bardzo oddalone. Mają sporo czasu, by milcząco wpatrywać się w krajobraz.

On chce wiedzieć tylko jedno. Chce zapytać o miejsce, którego nie pamięta. Ona odmawia odpowiedzi na jego pytania w myśl nowego przykazania: Nie oglądaj się za siebie. Przez całe życie słyszał tylko jedno: Nigdy nie zapominaj, skąd pochodzisz. I nagle ona chce, żeby zapomniął.

Pyta ją o miejsce, które uleciało mu z pamięci. Prosi, żeby przypomniła mu to, czego on nie pamięta.

Przestań mnie pytać o coś, co nie ma znaczenia, mówi ona.

Przeszłość nie ma znaczenia? Dlaczego nie możesz mi odpowiedzieć?

Czemu się tak dopytujesz? Po co? Boże, ostatnio stale o tym mówisz.

Dlaczego nie możesz mi odpowiedzieć?

Odwraca się do niego. Obiecujesz, że będziesz pamiętał o pieniądzach?

Właśnie kazałaś mi o wszystkim zapomnieć. I tak zrobię.

Pamiętaj tylko o pieniądzach. Upewnij się, że dobrze je schowałeś. W bezpiecznym miejscu. Tylko nie zapomnij, gdzie są. Nie trzymaj ich w domu na wypadek, gdyby przyszli, ukryj je gdzieś blisko, gdzie będziesz miał do nich łatwy dostęp. Masz takie miejsce? Jeśli nie, musisz je znaleźć.

Pieniądze! Przez te pieniądze chce się na nią wściekać bardziej, nie mniej. Pieniądze to jedyna rzecz, która ścina mu serce lodem i sprawia, że traktuje ją tak surowo. Pieniądze wykrzykują mu brutalną prawdę: Nie mieliście pojęcia, co robicie, kiedy przywieźliście mnie tutaj. Dlatego oszczędzałaś pieniądze, zabrałaś je ze sobą, ukrywałaś przez cały czas. Bo wiedziałaś. Nie możesz zasłaniać się nieświadomością, a w nią właśnie chciałem wierzyć najbardziej, twierdzić, że nie wiedziałaś, co z tego dla nas wyniknie. Dla mnie. Ale stale przypominasz mi o pieniądzach. To tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że przyjazd tutaj miał na celu mnie zniszczyć.

Chłopak milczy.

Słyszysz mnie?

Rozpaczliwie staram się nie słuchać.

Obiecuj, że będziesz pamiętał.

Myślałem, że właśnie kazałaś mi zapomnieć. Zdecyduj się.

Tu nie chodzi o pieniądze.

Chcesz, żebym pamiętał, że nie chodzi o pieniądze?

Przestań żartować.

A kto żartuje? Po tym, co się dzisiaj stało, jak twoje pieniądze będą mogły mi pomóc?

Masz rację, tutaj nie bardzo. Ale gdzie indziej będziesz mógł kupić za nie inne życie. Mogą ci zapewnić wolność. To nie jest żadna magia. Musisz uczestniczyć w swoim własnym ocaleniu. Siła. Stanowczość. Odwaga. Czy to będą cechy twojego charakteru? Nie wiem. Wzrusza przygarbionymi ramionami. Mam nadzieję.

A może uda mi się je źle wydać? Może je przepiję? Patrzy na nią ze złością. Kupię sobie eleganckie buty i czerwony wełniany płaszcz?

Gdzie to dostaniesz?

Jak się ma pieniądze, wszystko jest możliwe. Przed chwilą to powiedziałaś.

Nie żartuj, proszę. Nie pora na żarty.

Szepczą zagłuszani stukotem kół, sykiem parowego silnika.

Nic o tym nie wiem.

Ciepłe, białe miejsce z łódkami i żabami. Diabelski młyn nad tle błękitnej wody. Gdzie to było?

Nie wiem, mówi ona i puszcza jego rękę, opiera się o siedzenie. Może to jakiś koszmar.

On potrząsa głową.

Ona zamyka oczy.

Obiecuj mi, że znajdziesz sposób, by przechować pieniądze, powtarza ona. Wszystko inne, także marmurowy pałac z białymi firankami, wróci pewnego dnia.

Nie dzisiaj?

Dzisiaj nic nie jest wyraźne i przez długi czas nie będzie.

Siedzą blisko siebie. On skulony w zagłębieniu jej ramienia. Odwraca twarz od lodowatej szyby. Powiedz mi uczciwie, myślisz, że nic nam się nie stanie? Jego drżący głos wydaje się zbyt słaby dla jego ciała. Nie uważasz, że naraziliśmy się na niebezpieczeństwo?

Patrzy mu w oczy, mruga i uśmiecha się. Nie, mówi. Nic nam się nie stanie. Całuje go w czoło, włosy, twarz. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Siedzą, stykając się czołami.

Ti voglio bene, mówi ona. Kocham cię nad życie.

Może teraz. Kiedyś kochałaś także kogoś innego.

Tak, mój synu, i nadal kocham, mówi i urywa. Za oknem migają bagna, szare, ponure miasta. Klin, Kałasznikowo, Okułowka, Łuka. Kiedyś inne Calais leżało mi na sercu. Kiedyś kochałam jeszcze kogoś.

Sic transit gloria mundi, szepce. Tak przemija chwała świata.

Część pierwsza

CHLEB I RÓŻE

1911–1918

*Gdyby mnie ktoś przypierał, abym powiedział, czemum go pokochał, czuję, że nie można by tego wyrazić inaczej, jak jeno odpowiedzią:
„Bo to był on; bo to byłem ja”[1].*

Michel de Montaigne

Miłość nie jest ślepa; to ostatnie, co można by o niej powiedzieć. Miłość dokądś podąży, a im gorliwiej to czyni, tym mniej jest ślepa[2].

G.K. Chesterton

1 Michel de Montaigne, *Próby*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Edmund Cięglewicz, Wydawnictwo Zielona Sowa, Warszawa 2004 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 G.K. Chesterton, *Ortodoksja*, tłum. Magda Sokołowska, Fronda, Warszawa 1996.

Rozdział pierwszy

Wino w kamień

I

Wszystkie historie miłosne kiedyś się kończą. Kto to powiedział? Gina słyszała te słowa przed laty. Ale wierzyła, że jej historia nigdy się nie skończy.

Ustawiała swój wewnętrzny zegar według dwóch rzeczy. Jedną był rozkład jazdy pociągów do Bostonu, lśniącego miasta na wzgórzu. Drugą był jej miesięczny cykl. Zaznaczała to w kalendarzu przez ostatnie trzy lata. Przez dwanaście jeździła do Bostonu i wciąż na to czekała, przywiązując do tych wyjazdów wielką wagę. Przykładała dłonie o smukłych palcach w czarnych jedwabnych rękawiczkach do szyby w pociągu, by dotykać mijanych miejsc, i marzyła o innych miastach i kołyskach, parkach i wózkach dziecięcych, dorocznych kiermaszach i kołysankach.

Rozmyte odbicie w szybie ukazywało kręcone ciemnokasztanowe włosy upięte w pośpiechu, bo zawsze brakowało jej czasu, gładką cerę, pełne wargi i ciemne oczy bez dna. Spódnica z rdzawej wełny i szarobrazowa bluzka nie były nowe, lecz czyste i wyprasowane i leżały idealnie na jej wysokiej, smukłej sylwetce o kształcie klepsydry. Bez względu na to, jak krucho było z pieniędzmi, Gina zawsze dbała, by wychodząc z domu, być ubrana tak, jakby w każdej chwili mogła wpaść na teścia z wyższych sfer i nie wyglądać jak imigrantka; wpaść na wściekłą porzuconą byłą narzeczoną męża i nie wyglądać jak pasażerka trzeciej klasy; wpaść na samego króla Anglii i móc dygnąć jak dama.

Dokąd poza Bostonem mógł ją zabrać pociąg? Gdyby nie wysiadła na North Station, dokąd mogłaby pojechać? Dokąd chciałyby pojechać w aksamitnym kapeluszu i skórzanych butach? W poniedziałkowe ranki wyobrażała sobie miejsca, które mogłaby odwiedzić.

W każdy poniedziałek, lecz nie dzisiaj.

Dzisiaj wszystko było inaczej i tak już pozostanie. Wszystko się zmieniło.

Gina biegła Salem Street, mijając ludzi idących na lunch. Oddychała przez usta, by uniknąć unoszącego się w North End przenikliwego smrodu ryb i melasy, który dzisiaj przyprawiał ją o lekkie mdłości. Pociąg się spóźnił i wiedziała, że brat będzie zły, bo

dopóki nie przyszła, by zając się jego małą córeczką, nie mógł wyjść do pracy.

Kiedy dotarła do jego mieszkania z zimną wodą na najbardziej wysuniętym na północ rogu Charter i Snow Hill, był zły i chodził po małym saloniku jak lew w klatce, trzymając na rękach Mary, która gruchała wesoło. Najwyraźniej uważała, że to świetna zabawa – tatuś nosi ją tam i z powrotem, tam i z powrotem, kołysząc w ramionach jak na huśtawce.

– Przepraszam – powiedziała Gina, wyciągając ręce do małej.

Salvo ubrał córeczkę, ale zrobił to jak typowy ojciec. Nie tylko nic do siebie nie pasowało, ale też włożył jej krótkie spodenki – w grudniu.

Nie chciał słuchać tłumaczeń siostry.

– Zawsze tylko przepraszasz. – Zakołysał Mary, trzymając ją głową w dół. Piszczala: „Jeszcze, jeszcze!”, a gdy podał ją Ginie, wybuchnęła płaczem. Gina nie chciała być gorsza i chwyciła dziewczynkę za kostki. Mary zachichotała i Gina wreszcie mogła coś powiedzieć.

– Salvo, muszę z tobą porozmawiać.

– Sama to uniemożliwiłaś. Powinnaś o tym pomyśleć, zanim spóźniłaś się dwie godziny.

– To nie moja wina.

– Nigdy nie jest twoja wina.

– Pociąg się spóźnił.

– Powinnaś jechać wcześniej.

– Salvo, *basta*.

To zakończyło rozmowę. Salvo pocałował Mary w stópki i wyszedł.

– Przebierzemy cię, aniołku. Co ten twój tatuś wymyślił. – Gina ciepło ubrała malutką, a potem otuliła kocykiem i wsadziła do wózka, żeby nie musiały przez całe popołudnie bawić się w przyjęcie i wyglądać przez okno na stary cmentarz Copp.

– Na cmentarzu przynajmniej rosną drzewa, na które może popatrzeć – mówił Salvo. – Wszędzie indziej biedactwo będzie oglądać tylko kamienice.

Drzewa i groby.

Ruszyły powoli w stronę Prince Park, a Mary nagle postanowiła, że sama będzie pchać wózek, co znacznie wydłużyło już i tak długą wyprawę. Kupiły kanapkę, którą zjadły na pół, wysłuchały końca popołudniowej mszy w kościele Świętego Leonarda, a potem wybrały kilka prezentów na Boże Narodzenie. Pieniędzy brakowało bardziej niż zwykle. Gina nie wiedziała, jak sobie poradzą. Nawet świąteczna szynka była zbyt droga. Kupiła nowe druty do dziergania dla matki, a dla kuzynki Angeli szalik z pięknego czerwonego jedwabiu, który wypatrzyła w witrynie krawca. Był uszkodzony z jednego końca i miał skazy, ale poza tym był idealny. Prawdziwa okazja.

Wróciła z Mary po szóstej, zrobiła jej kanapkę z serem, ustawiła na podłodze wieżę z klocków i czekała. Salvo nie wracał. Czy to była jego zemsta za jej nieumyślne spóźnienie? Często tak robił. Nie wracał, wiedząc doskonale, że ona koniecznie musi złapać pociąg do domu. Kiedy wróci późno do Lawrence, Harry będzie się wściekał.

Czy brat robił to specjalnie, żeby mąż był na nią zły?

W końcu koło siódmej zjawiała się matka Mary. Niezły był z niej numer. Bóg jeden wie, co kombinuje, gdy nie ma jej w domu całymi dniami i nocami.

– Co, jeszcze nie wrócił? Jasne! – Phyllis wyrwała Mary z ramion Giny.

– Pracuje.

– Jasne.

– Mamo, kupiliśmy prezenty na święta! – wykrzyknęła dziewczynka, ściskając matkę za nogę.

– Niepotrzebnie – odezwała się niegrzecznie do Giny niechlujnie ubrana młoda kobieta.

– W tym roku jest ciężko. Gdzie jest jej płaszcz? Muszę lecieć.

– Może porozmawiasz z Salvem, kiedy wróci... – zaczęła Gina.

– Nie będę czekać. Równie dobrze można czekać na chłodny dzień w piekle. Nie, wychodzimy. No, Marybeth, gdzie twój płaszczyk?

– Do widzenia, ciociu Ginny – powiedziała Mary, obejmując Ginę za szyję. – Przyjdiesz jutro?

– Jutro nie, kochanie. W środę.

Phyllis odciągnęła córkę od Giny i wybiegła bez pożegnania. Gina z zazdrością patrzyła za matką i córką. Jak to jest, gdy ma się prawo wyrywać swoje dziecko z ramion innych osób? Posiedziała jeszcze kilka minut w nadziei, że Salvo wróci, po czym włożyła płaszcz i poszła go szukać.

Nie cierpiała chodzić wzdłuż muru z cegły oddzielającego cmentarz od ulicy. Mróz ścisnął jej serce na myśl, że nagrobki – choć dla niej niewidoczne – czają się tam za murem, jakby były tak straszne, że nie powinna ich oglądać.

Znalazła brata w tawernie przy Hanover. Drżąc z zimna, stał z grupką pijanych mężczyzn, którzy rozlewali piwo na chodnik i dmuchali w dłonie, by je rozgrzać.

– Salvo. – Stanęła za nim i szturchnęła go ręką. Odciągnęła od pozostałych, ale widziała, że nie jest w stanie rozmawiać ani nawet słuchać. Gina nie знаła odpowiedzi na odwieczne pytanie: czy pił, bo był nieszczęśliwy, czy stał się nieszczęśliwy, bo pił.

Gina nie znała odpowiedzi na wiele odwiecznych pytań.

– Gdzie jest dziecko?

Tę odpowiedź znała.

– Z matką.

Salvo splunął na ziemię.

– Miałeś wrócić przed piątą, żebyśmy mogli porozmawiać.

– Byłem zajęty.

Widziała. Było jej zimno.

– Muszę pędzić. Spóźnię się na pociąg. Wrócę w środę.

– Przyjedź wcześniej. Proszę. Stracę robotę, jeśli nie będę mógł pracować w czasie lunchu. Jak się miewa Mimoo?

Gina wzruszyła ramionami.

– Znów straciła pracę przy sprzątanii. Stale coś rozbija. Ale... – Gina walczyła ze sobą. To nie była odpowiednia pora. Ale przecież zbliżały się święta. – Przyjedziesz do nas z Mary na Boże Narodzenie? Proszę.

Salvo pokręcił głową.

– Wiesz, że nie mogę. Poza tym zabiera ją jej przeklęta matka.

– Nie mów tak o matce swojego dziecka.

– Poznałeś tę bestię?

– Mimo wszystko. Tylko... przełknij dumę, Salvo. Dla naszej matki. Przywieź Mary. Phyllis też. Na jeden dzień w roku, na święta, zakopmy topór wojenny.

– Wiesz, gdzie chciałbym zakopać topór – wyraził się jasno brat.

– Och, Salvo... Będziesz się złościł do końca życia?

– *Per sempre.*

– Proszę. Mimoo płacze co wieczór. Chce zobaczyć wnuczkę w święta.

– Mówiłem ci, że zabiera ją matka. Matka, która nawiasem mówiąc, znalazła sobie kolejnego jelenia, który opłaca jej czynsz. – Zaklął. – Zamiast gadać ze mną, dlaczego nie powiesz temu swojemu konkubentowi, żeby odwiedził w święta swoją rodzinę? Powiedz, żeby spędził z nimi trochę czasu. Albo żeby znalazł sobie cholerną pracę. Wtedy przyjadę.

– On nie jest moim konkubentem.

– Pobraliście się w kościele?

– Salvo.

– No właśnie.

– Wiesz, że nie może – powiedziała w końcu.

– Nie może znaleźć pracy? Co to za wspaniały kraj. – Salvo się zaśmiał. – Można w nim żyć, nie wykonując żadnej pieprzonej pracy. Czy imigranci tak robią? Przez ile pokoleń musimy harować, zanim będziemy mogli siedzieć przy stole i udawać, że jesteśmy mądrzy?

– Przestań, Salvo. Wiesz, że pracował. Bardzo się stara. To nie jest dla niego łatwe. Ale chodzi mi o to, że nie może odwiedzić rodziny.

– Nie może? Ja też nie mogę.

– Oni nie chcą go widzieć. Na tym polega różnica. Nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Jego ojciec wyraził się bardzo jasno. Wiesz o tym.

Salvo westchnął. Jego czarne oczy załśniły.

– Moja noga nigdy nie postanie w domu, w którym mieszka ten człowiek.

– Człowiek, który jest mężem twojej siostry?

– Nazywaj go sobie, jak chcesz. – Zamrugnął i wzruszył ramionami, stanowczy jak zawsze. – Powiedz Mimoo, że myślę o zmianie zawodu. Spójrz na to. – Pokazał jej bogato zdobioną fajkę. – Wyrzeźbiono na niej bitwę o Bunker Hill – powiedział, jakby z niedowierzaniem. – Fantastyczne, prawda? Chcę rzeźbić fajki. Znam jednego gościa. Próbuje się wkręcić jako praktykant. – Potrząsnął głową. – Jest takie idiotyczne prawo, które próbujemy obejść. Przez dwadzieścia pięć lat trzeba być praktykantem, zanim można zostać rzeźbiarzem. Wyobrażasz sobie?

Spojrzała na niego czule.

– Chcesz rzeźbić fajki, Salvo? Słyszysz, co mówisz?

Zaśmiali się i objęli. Odwrócił ją i lekko popchnął.

– Idź. Szybko. Albo pomyśli, że go zdradzasz. Choć może wtedy cię porzuci i będziesz wreszcie wolna, jak chciał Papa. – Wsunął jej do ręki kilka banknotów. – Ucałuj ode mnie Mimoo. Powiedz, że to na święta. W środę będę miał więcej. Próbuje się zaczepić w Purity Distilling Company. Robią tam melasę, tutaj w North End. Załatwię sobie tam robotę i będę ustawiony do końca życia. Związek i cała reszta. Powiedz Mimoo, to przestanie się martwić. A teraz idź już.

W pociągu Gina zastanawiała się nad słowami Salva. Nie sądziła, by Harry zinterpretował jej spóźnienie jako zdradę. To nie w jego stylu.

Oparła dłonie na zimnej szybie. Pociąg zatrzymał się w tunelu, czekając na sygnał.

Robili wszystko, by sprostac sytuacji. Czy kiedykolwiek się skarżyła? Jak mogła narzekać, kiedy dostała to, czego jej serce pragnęło najbardziej. Trzeba być idiotą, żeby po czymś takim narzekać.

Wciąż zwalniano pracowników przedzalni, choć zbliżały się święta. Gina miała szczęście, że znalazła pracę. Talent i styl, powiedziała jej Angela z aprobatą. Ale czy styl był potrzebny, by pracować w cerowni? Ubierała się do pracy na biało, nie farbowała już wełny. Siedziała przy stole w sali z dużymi oknami, ubrana w spódnicę jak dama.

To dlaczego czasami marzyła, by budynki spłonęły do cna?

W 1886 roku wybuchł pożar. Dlaczego wspomina to z rozrzewnieniem?

Tyle błogosławieństw. Szyła kostiumy, chodziła ulicami miasta w paradach, ubierała pielęgniarki, przybierała ich platformy.

Pracowała na Mill Island, ale nie była stolarzem ani nie stała przy maszynie. Jej długie kręcone włosy nie wplątywały się w ciężkie tryby. Nie leżała miesiącami w szpitalu po tragicznym wypadku, jak jej przyjaciółka Pamela, która o mało co nie straciła życia.

Nie była już dzieckiem. Nie dotyczyły jej prawa regulujące pracę dzieci.

Wiele rzeczy już jej nie dotyczyło.

Przez pewien czas pracowała w Duck Mill, wytwarzającej materiał ze specjalnej bawełny, który wykorzystywano do szycia żagli. Dziś wieczór w pociągu powróciły wspomnienia. Uszyć żagiel. Na łódkę na oceanie. Pozwolić, by pognał ją wiatr. Obojętne w jakim kierunku. Pracowała bardzo szybko, jak zawsze, lecz snuła marzenia o ciepłych wodach, łodziach i wietrze wydymającym żagiel. A dlaczego nie? Harry stale marzył. To była jedna z rzeczy, które kochała w nim najbardziej. Dlaczego nie miałyby sobie pozwolić na marzenia? Czy tylko młodzi i (niegdyś) bogaci mogli marzyć?

Życie nie ułożyło się tak, jak myślała, jak planowała. W pociągu było zimno. Jak u nich w domu. Otuliła się ciaśniej płaszczem, chuchała w wełniany szalik, zwinęła się w kłębek.

Początkowo swoim włoskim, skupionym na rodzinie sercem głęboko wierzyła, że po kilku miesiącach Harry pogodzi się z bliskimi.

Lato po ślubie spędzili w domu jej matki w Lawrence, próbując ułożyć sobie życie. Nadal pracowała z Salvem w jego restauracjach. Przez kilka wieczorów w tygodniu pomagała w misji świętego Wincentego naprawiać podarowane ubrania. Planowała wrócić jesienią do Simmons College, by skończyć studia. Liczyła, że przeniosą się do Cambridge, gdy Harry znów zacznie wykładać na Harvardzie, i będzie dojeżdżać stamtąd na zajęcia.

Dopiero tego ranka, gdy wybiegała, by zapisać się na semestr jesienny, pokazał jej list od dziekana wydziału ekonomii, który kończył związek Harry'ego z Uniwersytetem Harvarda.

Powiedział, że nie zna wszystkich odpowiedzi. Miała nadzieję, że zna przynajmniej kilka. Tyle czytał, siedząc na bujanym fotelu na werandzie, z nosem schowanym w jakimś

tomiszczu. Na pewno mógł tam przeczytać coś, co rozwiązałoby choć jeden z ich problemów. Ale nie wiedział, jak sprawić, by skończyła ostatni rok studiów w Simmons.

– Co proponujesz? – zapytał. – Będziemy mieszkać osobno? Ja tutaj z twoją matką, bratem i kuzynką, a ty w kampusie blisko Archera? – Gina bardzo się podobała Archerowi.

Zasugerowała, żeby oboje przenieśli się do Bostonu.

– I z czego będziemy żyć? Z twojej pensji w księgarni?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Przekrzywiła głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, wyjrzała na Summer Street, przygryzła wargę.

– Mógłbyś znaleźć pracę.

Chciała wspomnieć o maszynie do szycia, krosnach, misji świętego Wincentego, kościele Najświętszej Marii Panny, restauracjach Salva, domach, które sprzątała Mimoo, kamieniołomach, tartakach, drukarniach, fabrykach włókienniczych. Chciała łagodnie przypomnieć Harry'emu o jego pogardzie dla leniwego Dysona, dumnego ze swojego pragnienia, by pracować tylko pięć godzin dziennie. Chciała mu powiedzieć, że w fabryce Canneya, gdzie wypłatają koszyki, szukają ludzi do pracy. Ale nie powiedziała nic. Bo nie można było tego powiedzieć potomkowi jednego z Ojców Założycieli, arystokracie.

– Jak będziemy żyć?

Wzruszył ramionami i z jego twarzy wyczytała, że nie ma żadnego planu.

– Coś wymyślę. To dla mnie zupełnie nowa sytuacja. Daj mi trochę czasu.

Stała przed nim w eleganckim płaszczu i kapeluszu, wygodnych butach. W ręce trzymała zieloną torebkę – tak bliska była wyjścia na stację kolejową, by wsiąść do odjeżdżającego o dziewiątej czterdzieści pięć pociągu do Bostonu i zapisać się na semestr jesienny. Powoli odłożyła torebkę i rozwiązała wstążki kapelusza.

To było sześć lat temu.

– Miałam zamiar jeszcze bardziej zaangażować się politycznie w kampusie – powiedziała, gdy jeszcze mówiła mu różne rzeczy. – Chciałam założyć klub wspierający emancypację kobiet. Może inne prawa też. Agitować, by pewnego dnia pozwolono kobietom studiować na Harvardzie. Może nawet wykładać.

– Kobiety miałyby wykładać na Harvardzie? – Harry się zaśmiał. – Co ci chodzi po głowie? To nie jest prawo, tylko głupota.

– Chciałam dostać dyplom.

– Ja też chciałem wielu rzeczy.

– Tak – odparła. – Siedzą przed tobą w spódnicy i bluzce.

– Rzeczywiście.

Na tym zakończyła się rozmowa słowna, a zaczęła inna, pozbawiona słów, lecz nie mniej intensywna.

– Pracowałam w restauracjach Salva, Harry – mówiła, powracając do tematu pracy kilka dni, tygodni, lat później. – Prowadziłam księgowość, zatrudniałam i zwalniałam pracowników, rozsadałam gości. Zmywałam naczynia. Robiłam pizzę. Wszystko.

– Mam podjąć pracę, której nawet ty nie chcesz?

– Chcesz nadal mieszkać u mojej matki?

– Wiesz, że nie – powiedział cicho w małej sypialni ze stolikiem nocnym, toaletką Shaker i wąskim drewnianym łóżkiem. – W domu twojej matki jesteś za cicha. Jakbyś się

bała, że nas usłyszysz.

– Bo się boję, że nas usłyszysz.

Kiedy już bardzo się postarali, by Mimoo ich nie usłyszała, Gina spróbowała jeszcze raz.

– Oboje tego chcemy, musimy znaleźć własny dom, kochanie.

– Nie możemy znaleźć własnego domu bez pieniędzy.

Zwiesiła głowę.

– Nie bez pieniędzy – powiedziała. – Bez pracy. Nie możemy go znaleźć bez pracy.

Patrzył na nią obojętnie.

– To właśnie powiedziałem.

– Nie. Powiedziałeś...

– Co za różnica?

– Bez pracy nie ma pieniędzy.

– Och, to nieszczęście stałej walki o byt! – wykrzyknął. – Jak można odnaleźć własną drogę, gdy wciąż trzeba skrobać grosz do grosza na następny posiłek?

– Imigranci nie mogą sobie pozwolić na luksus szukania własnej drogi – odparła. – Zbyt ciężko pracują.

– Ale ja nie jestem imigrantem.

Nie chciała mu przypominać, że nie ma też luksusów.

Podróż pociągiem była zbyt długa.

Wolałyby tak nie marznąć.

Wolałyby nie pracować tak ciężko, do tak późna, bo kiedy padała na łóżko, była zbyt zmęczona na marzenia, koszmary, miłość.

Choć pod wieloma względami wyczerpanie było lepsze niż czas na myślenie, gdy pociąg czekał na przejazd, a lista problemów rosła.

Na szczęście pociąg ruszył. Spróbuje dziś wieczorem jeszcze raz. Wszystko się zmieniło. On musi się o tym dowiedzieć.

3

Gina wróciła do Lawrence dopiero po dziewiątej. Odwracając wzrok, minęła restaurację, która kiedyś była marzeniem jej brata i gdzie w porze lunchu gromadziły się tłumy, bo Salvo robił najlepszą pizzę w mieście. Szybkim krokiem przebyła prawie dwukilometrową odległość do małego domu w stylu wiktoriańskim przy Summer Street, który wynajmowali od 1899 roku.

Przygotowując się psychicznie na pytania dotyczące jej późnego powrotu, weszła na stopnie werandy i otworzyła drzwi. Harry siedział przy stole w kuchni tyłem do niej. Nad rozłożonymi na stole papierami i planami razem z nim pochylali się Angela, Joe i Arturo. Harry odwrócił do niej głowę, uśmiechnął się z roztargnieniem, w oczach błysnęła czułość. I zaraz skupił się znów na stole, przy którym padały głośne słowa, lecz to nie Gina była ich adresatką. Jak zawsze z ożywieniem omawiali jakiś problem.

– Co jest ważniejsze? – pytał Arturo. – Wolność czy równość?

– Dlaczego nie możemy mieć obu tych rzeczy? – odparł Harry. – Dlaczego musimy wybierać? Chcę, by ludzie w Lawrence byli wolni, żyli w harmonii, byli pozbawieni egoizmu i szczęśliwi, chcę, by cieszyli się materialną równością. Nie jedno albo drugie. Najpierw w Lawrence, potem wszędzie. Zgadza się, Gia? – Harry miał na sobie flanelową koszulę wysuniętą ze spodni, a na twarzy czterodniowy zarost. Jego piaskowe włosy były prawie tak długie, że dałoby się je związać. Nikt nie nosi takich włosów, powtarzała. Dlatego je lubię, odpowiadał. Nikt nie jest taki jak ja. Jego jasne szare oczy były jak zwykle urzekające, głos silny i spokojny.

Pochyliła się, by pocałować go w policzek.

– Zgadza się, *tesoro*.

Lekko dotknął jej głowy swoją.

– Późno wracasz. Jadłaś coś?

– Nie jestem głodna. Salvo pracował, a Phyllis odebrała dziecko dopiero po siódmej.

– Rozmawiałaś z Salvem? – zapytała Angela. – O świętach?

Gina powiesiła płaszcz i kapelusz, odłożyła małą torebkę. Zdjęła buty i włożyła pantofle. Podeszła do żelaznego pieca i postawiła czajnik. Dopiero wtedy się odezwała.

– Rozmawiałam. Ktoś ma ochotę na herbatę?

Byli zbyt pochłonięci prawem pracy w stanie Massachusetts. Nikt nie odpowiedział. Zaparzyła herbatę dla Mimoo, posłodziła i przeszła koło stołu, przy którym siedzieli radykalni rycerze, spiskując i planując, i ruszyła po schodach do sypialni matki.

– Arturo mówi, że przyjdzie na święta – oznajmiła Angela, nakrywając jego dłoń swoją.

– Ja też przyjdę – odparł Joe. – Jeśli zostanę zaproszony.

– Oczywiście, Joe – powiedział Harry. – Im będzie nas więcej, tym weselej. Gina, nie masz nic przeciwko temu, żeby Joe przyszedł na świąteczny obiad?

– Jeśli przyniesie indyka, czemu nie?

– Czy twoja żona żartuje? – Usłyszała pytanie Joego. – Skąd wezmę indyka?

– Żartuje – uspokoił go Harry. – Czasem odgrywa komediantkę.

Mimoo, nadal w ubraniu, leżała na łóżku. Włosy miała przyprószone siwizną i była tęższa niż po przyjeździe do Ameryki, lecz równie apodyktyczna jak przed nim.

– Najwyższa pora, żebyś przyszła do matki, gdy nie było cię cały dzień w domu. Jak on się ma?

– Dlaczego się nie przykryjesz, Mimoo? – powiedziała Gina, stawiając filiżankę przy łóżku.

– Przykryję się, kiedy będę szła spać. Co powiedział?

– Kto? Joe?

– Nie udawaj głupiej. Co mnie obchodzi, co ma do powiedzenia ten dureń? Co powiedział mój syn?

Gina westchnęła.

Mimoo odwróciła się do ściany. Trwały przez kilka chwil w milczeniu, a na dole podniesionymi głosami omawiano plany zamieszek i akcji ulicznych.

– Pomóż mi się przygotować do spania – powiedziała Mimoo. – Jestem zmęczona.

Gina pomogła jej wstać.

– Nie martw się – powiedziała. – Rok tysiąc dziewięćset dwunasty będzie lepszy.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Mimoo się roześmiała.

– Nie słyszysz, co się dzieje w twojej własnej kuchni? Co tam knują? Zważ moje słowa. To będzie najgorszy rok z dotychczasowych.

– Co knują? Strajki. Demonstracje. Petycje w sprawie poprawy płac. To tylko gadanie, nie przejmuj się. – Ścisnęła matkę za rękę. – Wiem swoje. To będzie dobry rok. Zobaczysz.

– Wiesz, co by sprawiło, że rok byłby lepszy? Gdyby mój syn i ten twój niewydarzony mąż wreszcie się pogodzili, zapomnieli o przeszłości i usiedli przy jednym stole.

– Pracuję nad tym.

Gina zdjęła Mimoo suknię i halkę, zsunęła pończochy. Włożyła jej koszulę nocną przez głowę i podała miednicę z wodą. Kiedy matka leżała już w łóżku, Gina położyła pieniądze od Salva na szafce nocnej obok filizanki.

– Myśli, że tak mi to wynagrodzi? Powiedz mu, że nie chcę jego pieniędzy.

– Już próbowałyśmy – odparła Gina. – Nie odzywał się do nas przez rok. Urodziło mu się dziecko i nic nam nie powiedział.

– Nieźle się prowadzi. Skąd możemy wiedzieć, że ma tylko jedno?

– Mimoo! – Gina przykryła matkę i pocałowała.

Mimoo wzięła ją za rękę, przyjrzała się jej uważnie, pogładziła po bladej twarzy i założyła pasma ciemnych włosów za uszy.

– Nic mi nie jest – szepnęła Gina. – Nie martw się. Jestem tylko zmęczona.

– Słyszałaś nowiny? Twoja przyjaciółka Verity znów spodziewa się dziecka.

– *Dio mio*, nie. Skąd wiesz?

– Co sobota gram z jej matką w bingo. Powiedziała mi. To już szóste?

– Piąte, Mimoo. Przestań. – Gina potarła oczy. – Jak ona to robi?

– Najwyraźniej nie nauczyłaś Verity swojej sprawdzonej metody planowania rodziny – odparła Mimoo. – Ktoś powinien jej powiedzieć, że pod wieloma względami ludzie przypominają warzywa: liczy się jakość, a nie ilość.

Gina uśmiechnęła się i pochyliła, by pocałować matkę.

– Ja pojęłam to jak należy. Nikt nie może mnie oskarżyć, że rozmnażam się na potęgę.

– *Mia figlia*, nikt nie może cię oskarżyć, że w ogóle się rozmnażasz.

Uśmiech zniknął z twarzy Giny, która wycofała się do drzwi.

– Powiedz im, żeby się ucisz yli – powiedziała Mimoo, ściskając w dłoni różaniec. – Niektórzy muszą wcześniej wstać.

4

Harry próbował zasnąć, ale Gina nie chciała o tym słyszeć.

– Tylko mi nie mów, że jesteś zmęczony – szepnęła. – Nie byłeś zbyt zmęczony na te rewolucyjne gadki.

Zakrył jej usta dłonią.

– To były tylko gadki. Jestem wykończony. – Pocałował ją. – Jutro porozmawiamy. Ale nie będę słuchał twojego tradycyjnego świątecznego kazania.

– Czyli...

Zaczął ją parodiować:

– Harry, kiedy, och, kiedy pogodzisz się z rodziną?

– Dobre pytanie.

– Śpię. Nie słyszę, co mówisz. Śnię, że się nie odzywasz.

Potrząsnęła nim.

Jęknął.

– Ćśśś – szepnęła. – Albo Mimoo pomyśli, że coś knujemy.

– Oby – odparł Harry, wbijając palce w jej ciało.

– Najpierw porozmawiamy, a potem zajmiemy się innymi rzeczami. – Leżeli przytuleni na wąskim łóżku. Było zimno. Przytulili się jeszcze mocniej, by się rozgrzać.

– Nie dotrwam do tych innych rzeczy.

Coś jednak mówiło Ginie, że dotrwa.

– Dlaczego nie jesteś miłsza dla Artura? – szepnął w jej szyję. – Angeli jest bardzo przykro, że razem z Mimoo tak źle go traktujecie.

– Jestem miła. – Matka rzeczywiście była nieugięta, gdy szło o Artura. Jakby widziała czarne kruki krążące nad jego głową.

– Jesteś miła jak Amerykanka. A nie przyjazna jak Włoszka.

– Staram się być bardziej amerykańska, a mniej włoska.

Wsunął dłonie pod jej koszulę i ustami szukał jej ust.

– Proszę, wszystko tylko nie to. Błagam cię, bądź włoska.

– Zgoda, ale we wszystkich sprawach – odszepnęła. – Nie tylko w tej, którą kochasz.

– Przyjmę dziecko razem z kąpielą. – Kołdra zsunęła się lekko, gdy przytulił się i całował jej nagie ramiona. Wzdrygnęła się pod dotykiem jego ust, była bardzo tkliwa, co można było na to powiedzieć? Nic, tylko...

– Skoro mowa o dzieciach... posłuchaj... nie miałabym nic przeciwko dziecku, Harry.

– Co?

– Wspominałeś o dziecku.

– To była metafora.

– Ja myślałam o prawdziwym dziecku.

– Od kiedy?

Nie chciała wyznać, że od dawna liczyła dni, skreślając je na nieubłaganym kalendarzu swojego łona.

– Od jakiegoś czasu.

– Chyba zgodziliśmy się, że nie będziemy mieć dzieci.

– Rzeczywiście, zgodziliśmy się – powiedziała w poduszkę.

Harry leżał na jej plecach. Teraz się zsunął.

– No to o co chodzi?

– O nic. Zmieniłam zdanie. To przywilej bycia kobietą.

Harry usiadł. Całym sobą wyrażał zakłopotanie. Gina musiała stłumić czuły śmiech.

– Jak to możliwe? – zapytał. – Co drugi tydzień rozprowadzasz nielegalne broszury

o kontroli urodzin. Dziś rano widziałem, jak chowasz do torebki artykuł z czasopisma „Lucifer the Lightbearer”.

– Taak... – zaczęła. – Ale kontrola urodzin oznacza także posiadanie dziecka, prawda?

– Według twoich broszur nie. Czytałaś je?

Nie chciała przyznać, że przestała je czytać.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Chcę mieć dziecko.

– Tak nagle?

– Jesteśmy małżeństwem od sześciu lat. To ci się wydaje nagle?

– Nie wydaje się nienagle – odparł. – Poza tym powiedziałaś mi wyraźnie, że nie ma mowy o żadnych dzieciach. Pamiętasz Chicago?

– Tak. Kilka deszczowych dni miodowego miesiąca. – Jedyne miodowego miesiąca, jaki mieli, chciała dodać, lecz zmieniła zdanie. – Miałam dwadzieścia lat! Chyba nie wyobrażasz sobie, że w wieku dwudziestu lat i nadal studiując, chciałabym mieć dziecko?

– Myślałem, że to było zgodne z większą częścią twojego niezależnego charakteru.

– Było zgodne z moimi dwudziestoma latami i studiami.

– A bieganie co tydzień na wykłady Emmy Goldman? Nie słyszałaś, jak mówi, że dzieci to niewola?

– Słuchałam jednym uchem. Jej zdaniem niewolą jest też Bóg. I małżeństwo. Praca. Musimy starannie wybierać, z czym się zgadzamy.

– Wielkie nieba, wszystko zepsułaś! – Harry na wpół udawał, że jest wstrząśnięty. – To przerażające. Mnie też to czeka?

– Nie, ciebie nadal lubię. Chcesz, żebym ci pokazała jak bardzo?

– Zabij mnie, jeśli kiedykolwiek odmówię.

Wziął od niej słodką, niezbyt cichą miłość, a potem w ciemności mocno ją tulił, pieścił jej twarz, ciało i cicho szeptał, równie skonfundowany jak przedtem.

– Po prostu nie rozumiem tak gwałtownej zmiany przekonań.

– Tak, to jak spadanie w przepaść – odszepnęła zmęczona, odprężona, zaspokojona, szczęśliwa. Nadal jednak musiała powiedzieć to, co trzeba było powiedzieć.

– Znów starasz się być dowcipna? Z tobą nigdy nie wiadomo.

– Ja? Nigdy. – Słuchała jednym uchem, gładząc delikatnie obejmujące ją ramię. – Ale Harry, w naszej obecnej sytuacji Matka Jones może mieć rację. Ty nie możesz mieć dziecka. Tylko ja. To odwieczne prawo. Nie mogę robić tego, co teraz robię, i zajmować się dzieckiem.

Mary Harris Jones znana jako Matka Jones była jednym ze współzałożycieli związku Robotnicy Przemysłowi Świata i niestrudzoną działaczką. Większość liczących się kobiet nienawidziła jej, bo gwałtownie sprzeciwiała się aborcji i prawom kobiet. Mówiła wszystkim, którzy chcieli słuchać, że głównym powodem młodocianej przestępczości są matki pracujące poza domem. Nie przysparzało jej to sympatii.

– Podejrzewam, że to ja mógłbym się nim zająć – powiedział Harry tonem, którym równie dobrze mógłby oświadczyć, że zamierza się zająć wyrobem lodów.

– Nie chcę, żebyś się nim zajmował. Chcę mieć dziecko, bo chcę być matką. Nie chcę, żeby nazywano mnie matką. Chcę nią być. Chcę wychowywać dziecko. Chcę, by to było dziełem mojego życia.

Z przeciągłym westchnieniem pocałował ją w usta, potem między nabrzmiałymi piersiami i w głowę; zamknął oczy i oddychał głęboko.

– Powiem ci coś – zaczął. – Może nie będziemy się martwić na zapas?

Szykował się do spania. Milcząca Gina leżała w jego ramionach, prawie nie oddychając, wsłuchana w rytmiczne bicie jego serca.

– Harry – szepnęła w końcu. – *Amore mio*, nie zostało nam zbyt dużo tego zapasu.

Roześmiał się lekko i uścisnął ją.

– Dajmy sobie kilka tygodni, by nasza miłość wydała owoce, skarbie.

Uniosła głowę z jego piersi i spojrzała na niego w ciemności.

– Zapas się skończył definitywnie, *mio marito*.

Wreszcie zrozumiał.

Przez długi czas milczał. Pogładziła go. Nie odsunął się.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Właśnie to robię.

Włożył koszulę i skulił się po swojej stronie łóżka.

– Gino, co teraz zrobimy?

– Damy radę. Czyż nie to zawsze powtarzasz? Damy sobie radę.

– Nie martwisz się?

– A ty? – Przesunęła paznokciami po jego plecach, żeby go zdenerwować. – *Caro*, nie jesteś gotowy, żeby wyprowadzić się od mojej matki, nie jesteś gotowy szukać pracy, nie jesteś gotowy na dziecko. Przede mną nie byłeś gotowy, żeby się ożenić. Masz trzydzieści cztery lata. Najwyższa pora chwycić życie za nieuformowane rogi. Nie dostaniesz kolejnej szansy, by wejść do tej rzeki.

– Myślałem, że jesteś szczęśliwa tak jak jest.

Nie miała zamiaru zawieszać głosu, ale wbrew sobie zawahała się na moment.

– Nie jestem nieszczęśliwa. Ale nie miałabym nic przeciwko temu, żeby nie mieszkać z matką. Nie miałabym nic przeciwko odrobinie prywatności, tylko ty, ja i nasze dziecko. Nie miałabym nic przeciwko, żeby nie pracować na dwóch etatach i być poza domem przez cały dzień.

– Jedno z nas i tak musiałyby być poza domem – odparł. – Gdybym pracował.

Skinęła głową na znak obiektywnej zgody.

– *Ti amo*. Ale chciałabym, żeby teraz przyszła twoja kolej.

– Gino... uzgodniliśmy.

– Tak. Uzgodniliśmy.

– A potem słuchałaś jak jedna feministka po drugiej opowiada o wolnej miłości, kontroli urodzin, o kobietach zachowujących się jak mężczyźni i tak dalej.

– Słuchałam.

– I?

– I co? Znudziło mnie.

– Nie powiedziałaś mi.

– Ciebie to zmęczyło już dawno, od lat ze mną nie chodzisz. Musiałam na te wszystkie zebrania ciągnąć ze sobą Angelę i dlatego poznała Artura. A teraz matka obwinia mnie za jej obecne kłopoty.

– Jakie kłopoty? Miłość?
– Coś w tym stylu.
– Chodzi mi o to – zaczął – że nigdy nie rozmawialiśmy o posiadaniu dzieci. Mówiliśmy tylko, że nie będziemy ich mieć.

Gina westchnęła.

– Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy o tym, że nie będziemy mieć dzieci?
Jego milczenie powiedziało jej, że nie pamięta. A zwykle pamiętał wszystko.
– W każdym razie – ciągnęła – co chciałbyś, żebym z tym zrobiła?
– Nic, oczywiście.
– No to w porządku.
– Gdzie będziemy mieszkać? Nadal jesteśmy w domu twojej matki.
– Za mało zarabiam, to prawda. Nie jestem mężczyzną. Ale ty jesteś. I możesz.
– Czy zrobiłaś to, żeby mnie zmusić do podjęcia jakiejś niewdzięcznej pracy?
– Nie, Harry. Chcę tylko mieć dziecko. Żałuję, że nie możesz nadal liczyć na pieniądze ojca. Wiem, że wszystko było dla ciebie łatwiejsze, gdy kupowałeś, co chciałeś, i wysyłałeś rachunek księgowemu. Nie będę się sprzeciwiać, gdy postanowisz się z nim skontaktować.
– Wiesz, że nigdy do tego nie dojdzie. Nie po tym, co zrobił i co powiedział.
– Możesz im powiedzieć o wnuku. Esther...
– Nigdy.
– Twoja siostra mogłaby się ucieszyć, gdybyś się do niej odezwał.
– Nie wiem. Nie dbam o to.
– Dzieci łagodzą wiele problemów.
– Nie ten.
– Mimoo mówi...
– Nie obchodzi mnie to. Dziecko czy nie, mój ojciec i siostra zniknęli z mojego życia. Tak jak chcieli.

Opadła na łóżko.

– Dlaczego ich odpychasz, *caro*? Twoją rodzinę, mojego brata. Swojego przyjaciela Bena. Byliście tak blisko. Dlaczego do niego nie piszesz? Nawet nie wiesz, czy nadal jest w Panamie.

– Jeśli nie wiem, gdzie jest, jak mogę do niego pisać?
– Założę się, że twoja siostra wie. Mógłbyś ją zapytać.
– Przestań.
– Jego matka na pewno wie. Mógłbyś się z nią skontaktować. Tak dobrze się z nią dogadywałeś.
– Ale ona za dobrze dogaduje się z moim ojcem. Nie wyciągnę do niej ręki, Gia. Poza tym nie wydaje mi się, żeby Ben chciał utrzymywać ze mną kontakt.
– Nie możesz być skłócony ze wszystkimi, Harry.
– Salvo tak bardzo mnie nienawidzi, że nie chce przyjść do własnej matki. To moja wina?

Gina przygryzła wargę, zmuszając się do milczenia. Dlaczego musi być Sycylijką? Mieszkańcy wyspy zawsze mówią wszystko, co im ślina na język przyniesie.

– Wiesz, co mówi Mimoo?

Harry też opadł na łóżko. Położył rękę na jej brzuchu. Odwrócił się, pochylił nad nią i pocałował.

– Nie. Powiedz mi.

– Mimoo mówi, że dziecko przynosi jedzenie ze sobą.

– Mmm. – Pocałował jej nagi brzuch, pieścił biodra, piersi. – Wiesz, kto przynosi jedzenie ze sobą? Ty.

5

Gina sama robi przecier pomidorowy. Ubrana w zwiewną letnią sukienkę, z upiętymi wysoko włosami. Sukienka musi być luźna i cienka, bo to ciężka fizyczna praca. Można się spocić. Harry siedzi i obserwuje ją, a całej jego duszy brakuje tchu. Tyle razy na to patrzył. Nigdy nie ma dość.

Przez cały ranek dusiła pomidory. Przepędziła pulpę, usunęła nasiona i skórki. Rozebrała pomidory.

Teraz potrzebuje jego pomocy i dlatego Harry siedzi przy stole, nie spuszczać z niej oka.

Ściągają z werandy dwie deski z surowego drewna i taszczą je na podwórko. Zajmują niemal całe. Ale tam jest słońce. Przecier na całą zimę można zrobić tylko w ciepły dzień późnego lata. Pomidory, które uprawia Gina, są zawsze wspaniałe. U ojca w domu nigdy nie jadł pomidorów tak jak teraz: surowych, gotowanych, duszonych, smażonych. Uwielbia je pod każdą postacią. To owoce z sycylijskiego drzewa życia.

Zanoszą dwa garnki duszonych pomidorów na deski. Gina rozsmarowuje na nich pulpę, przechylając lekko deski, by odlać nadmiar soku. A jest go sporo. Ustawiają deski z pomidorami na słońcu, by wyschły.

Mimoo sprząta domy, Salvo zamiata ulice. Harry i Gina kochają się przez całe popołudnie, a słońce przesuwają się o czterdzieści pięć stopni na sierpniowym niebie. Z trudem schodzą po schodach, żeby wnieść deski do domu. Harry ma ochotę tylko na długą drzemkę, ale jest prawie pora kolacji i Gina zmusza go, by jej pomógł.

Zwijają wysuszoną pastę w wielkie kule. Harry stara się nie rzucać żadnych pikantnych uwag, ale nie do końca mu się to udaje. Nie ma ochoty na żarty, lecz na drzemkę, a potem znów chce się z nią kochać. Dłonie mają lepkie od słodkiej mazi, czerwonej i bardzo dojrzałej.

Myją je najlepiej, jak potrafią. Czasami znów się kochają, w ubraniach, bo nie ma czasu; jest bardzo późno i w każdej chwili cała reszta wróci do domu – Angela, Mimoo, Salvo, Rita na późną sobotnią kolację. Zdyszani i rozchełstani, dłońmi, które dopiero co się kochały, smarują kule pasty oliwą, okrywają je ciasno gazą i wkładają do dużych szklanych słoików. To praca na całe sobotnie popołudnie. Gina sadi dość pomidorów, by wystarczyć na całą zimę. Nigdy nie muszą się martwić o sos. Zawsze mają go pod dostatkiem.

Harry łączy pomidory z miłością. Zawsze czuje pulsowanie, potężny płomień w miejscu, które czyni go mężczyzną, kiedy tylko Gina otwiera jeden ze słoików, kiedy go z nich karmi,

pyta, co chce zjeść na kolację. Od razu przychodzi mu wtedy na myśl mocna, lekko kwaskowa słodycz upojnych letnich popołudni.

6

Podczas gdy Harry przejawiał – zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz – dość ambiwalentne podejście do przedłużenia swojej linii, nikt nie mógł mieć wątpliwości, co w tej sytuacji czuje Mimoo. Wszystkie dolegliwości zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kiedy Gina wyjawiała matce dobrą nowinę, Mimoo zerwała się z łóżka, elegancko ubrała i pobiegła ulicami Lawrence, niosąc świece do kościoła i czekoladki dla przyjaciółek. „Wreszcie będzie miała dziecko! Będzie miała dziecko!”. Kupiła kwiaty, poszła na targ, przygotowała wielką ucztę, na którą zaprosiła chyba pół miasta.

– Nie daliście mi okazji, by świętować wasz udawany ślub. Teraz przynajmniej mogę się radować jego owocami.

Harry pochylił się do Giny.

– Dlaczego twoja kochana matka upiera się, by nazywać nasz ślub udawanym? Chce zobaczyć dokument wystawiony przez sędziego?

Gina pocałowała go w nos.

– Chyba wolałaby zobaczyć dokument wystawiony przez księdza.

Objął ją za szczupłą talię i wyciągnął na werandę.

– Uważa, że nie pobraliśmy się jak należy. – Roześmiał się. – Czy to oznacza, że jesteś utrzymanką? – Pocałował ją. – Dlaczego tak mnie to podnieca?

Jak na dobrą żonę i prawdziwą kobietę przystało Gina oddała mu pocałunek, stłumiła sycylijską część swojej natury i nie powiedziała tego, o czym myślała ze wstydem: wiele rzeczy można o mnie powiedzieć, ale na pewno nie to, że jestem utrzymanką.

– Jedźcie do Bostonu – powiedziała im Mimoo na drugi dzień. – Ty, Harry, powiedz swojej rodzinie, a ty, Gia, bratu.

Gina się zgodziła. Harry przyjaźnie pokręcił głową.

– Salvo się opamięta, Harry.

– Nie opamięta się, Mimoo.

– Opamięta.

– Nie.

– Boże, dlaczego jesteś uparty jak osioł?

– On się nie opamięta, a ja jestem uparty jak osioł?

Mimoo naciskała zięcia.

– Salvo czeka, żebyś go błagał o wybaczenie. Chce zobaczyć twoją skruchę.

Harry potrząsnął głową.

– Już próbowałem. To nie ma sensu.

– Ile lat temu próbowałeś?

– Twój syn jest zbyt dumny.

– A ty?

– Nie jestem twoim synem.

– Urocze, Harry – szepnęła Gina, która siedziała niedaleko, nasłuchując.

Mimoo się zjeżyła.

– Jesteś tak zwanym mężem mojej córki.

– Jestem jej prawdziwym mężem.

– W naszym kraju mężowie, nawet tacy jak ty, są uważani za członków rodziny.

W twoim nie?

Harry nie odpowiedział.

– Nie będę się powtarzać – rzuciła Mimoo. – Poza tym nadal jesteś czyimś synem, prawda?

– Już nie.

7

Harry bez przekonania przeglądał w gazecie ogłoszenia w sprawie pracy.

– To jest straszne! – wykrzyknął pewnego wieczoru. – Stale potrzebować płatnej pracy.

– Witaj w prawdziwym świecie – odparła Gina. – Nie w tym udawanym, w którym żyjesz.

Miała oczywiście rację i nie chciał się z nią spierać. Kiedyś rzeczywiście wiódł życie, które wydawało mu się fałszem. Zakochać się to jedno. Ale wybrać ją, to zupełnie inna sprawa. Ożenił się z nią, bo była najprawdziwszą rzeczą, jaką znalazł w życiu. Z Giną nie było półśrodków. Nie było udawania ani umiaru. Wszystko działało się natychmiast. Zawsze było za gorąco albo za zimno; było za dużo wina albo nie dość. Jego łóżko nigdy nie było puste i to wynagradzało wiele innych rzeczy, których mu brakowało – dwie skrajności, jeśli chodzi o miejsce w życiu, lecz jedność pod najważniejszym względem. Jedno ciało, jedna dusza.

A jednak... paskudne zapachy i praca, nieustanna praca. Nie było czasu, by myśleć, snuć długoterminowe plany, zastanawiać się, nawet czytać!

– Może chciałabyś się przenieść do Kalamazoo w stanie Michigan? – zapytał. – Mógłbym pracować przy linii produkcyjnej Henry’ego Forda.

– Zapłaci ci pięć dolarów na dzień, Harry – odparła. – To ochłap dla księcia.

– Pięć dolarów?

– Na dzień!

– Florenz Ziegfield wydaje trzysta dolarów na poduszki na scenę! – powiedział. – Trzysta dolarów za jedną.

– To może powinienś mu sprzedawać te magiczne poduszki.

– No proszę, każdą rozmowę sprowadzasz do pieniędzy.

– Nie zrobiłam tego.

– Zrobiłaś.

– Chodzi ci o brak pieniędzy?

– Nazywaj to, jak chcesz.

Od słowa do słowa kolejna małżeńska wymiana zdań zamieniła się w kłótnię. Żadnych półśrodków.

Harry pracował przez tydzień przy dostarczaniu artykułów papierniczych do lokalnych restauracji. Jeździł małą ciężarówką, odbierał towar z Weston i woził do Lawrence i Andover. Praca skończyła się tydzień przed Bożym Narodzeniem. Gina nic nie powiedziała. On też nie, lecz zaczął dalej szukać. Kilka dni później wrócił do domu podekscytowany i powiedział, że znalazł pracę. Gina była w pierwszym trymestrze ciąży i stale wymiotowała.

– Na cały etat? – Starła się, by w jej głosie też zabrzmiał entuzjazm.

– Oczywiście – odparł, wyjmując korkociąg, by otworzyć czerwone wino i uczcić okazję.

– To cudownie! U kogo?

– U Billa Haywooda.

Cofnęła się od stołu, przy którym miała usiąść.

– U Dużego Billa Haywooda? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– A jest jakiś inny?

Zamilkła. Żółć podeszła jej do gardła.

– Pomagam już Joemu i Arturowi przy planowaniu różnych akcji. Pomagam im pisać przemówienia i tak dalej. Teraz będą mi za to płacić. Lepiej niż robić to *pro bono*, prawda?

– Nie wiem, co na to odpowiedzieć – odparła. – Czego jednooki Bill może od ciebie chcieć, Harry?

– Dlaczego miałby czegoś ode mnie chcieć?

– Co to za praca?

– Nie wiem. On czegoś potrzebuje, ja to robię.

– To właśnie mnie martwi.

– A nie powinno. – Otworzył wino i wyjął dwa kieliszki. – Powinno cię cieszyć.

– Duży Bill! – wykrzyknęła. – Wiesz, że niedawno stanął przed sądem za wysadzenie człowieka w powietrze?

– Daj spokój, wiesz, że go nie skazali.

Pokręciła głową, ale lekko, bo mdłości nie pozwalały jej zareagować jak należy.

– To źle wróży. Dlaczego on jest w mieście? Co tutaj planuje? To nie jest miasto górnicze. – Bill Haywood był przewodniczącym Federacji Górników, zanim ta połączyła się z socjalistami, by stworzyć związek Robotników Przemysłowych Świata. – On ma wieczne kłopoty z prawem i wszędzie, gdzie się pojawiał, tylko wprowadzał zamęt. W każdym mieście, do którego przyjeżdża, ktoś umiera, zostaje postrzelony, stratowany, pobity, wysadzony w powietrze. W każdym! Nie zdarzyło się, by przejechał przez miasto, nie biorąc pół tuzina skalpów. Chcesz się pakować w coś takiego?

– To nie jego wina, że policja go nienawidzi. Wszystko dlatego, że jest taki skuteczny. I kazałaś mi znaleźć pracę.

– Harry – zaczęła. – Jest wiele posad, które mogłabym dostać, a które z twojej perspektywy nie wydają się odpowiednie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Gdybyś kazał mi znaleźć pracę, a ja wróciłabym z czymś, co nie jest akceptowalne w małżeństwie,

przyjąłbyś to obojętnie?

– Porównujesz Billa Haywooda z wesołymi dziewczętami panny Kamilli przy torach?

– Człowiek, którego z przyczyn proceduralnych uniewinniono od zarzutu zabójstwa mężczyzny przed jego własnym domem, będzie ci płacił za wypełnianie jego poleceń? – Zacisnęła palce na krześle. – Tak, powiedziałabym, że to znacznie gorsze.

Harry odstawił puste kieliszki.

– Od kiedy stałaś się taka wybredna? – zapytał zimno. – Nie przypominam sobie, żebyś odwracała się od tej swojej radykalnej anarchistki Emmy Goldman, której przemówienia zainspirowały człowieka do zamordowania prezydenta.

– Emma Goldman tylko gada – odparła. – Bill Haywood to przemoc. Nazywa to działaniem bezpośrednim. Ale wiemy, o co mu chodzi, prawda? – Złożyła błagalnie dłonie. – Będziemy mieli dziecko. Musimy pomyśleć o subtelnych różnicach.

– Myślałaś o nich, gdy nielegalnie rozprowadzałaś pamflety Emmy dotyczące kontroli urodzin, które jawnie sprzeciwiały się ustawie Comstocka?

– To był poważny błąd – przyznała, kładąc dłonie na bolącym brzuchu. Nie miała siły się kłócić.

– Twój czy jej?

– Mój.

Przez kilka chwil przyglądał się Ginie z rezerwą.

– Nie złość się – poprosił w końcu. – Ta praca jest nam potrzebna. Nie chcę cię rozczarować. Wszystko będzie dobrze. Zostanę z Billem, dopóki nie pojawi się coś lepszego. Dał mi małą zaliczkę na święta. Przynajmniej jakoś sobie poradzimy do nowego roku.

Gina chwyciła butelkę i sama nalała wino.

– Lepiej policz swoje adwentowe błogosławieństwa teraz. Bill Haywood to sługus. – Uniosła kieliszek w toaście. – Jeśli to, co o nim czytałam, jest prawdą, niebawem nie będziesz mógł liczyć na wiele.

Stuknęli się kieliszkami, wypili. Ich sprzeczki zawsze szybko się kończyły. Łącząca ich intymność łagodziła konflikty.

– Duży Bill uważa, że jestem z tobą zbyt mocno związany – powiedział Harry późnym wieczorem w łóżku. – Mówi, że nie będę mógł mu pomagać, gdy muszę dzielić lojalność.

Gina otuliła męża ramionami i nogami.

– Powiedziałaś mu, że wcale jej nie dzielisz? Należy wyłącznie do mnie.

– Tylko potwierdzasz jego słowa. Bill powiedział, że wielcy ludzie nie mogą stać się prawdziwie wielkimi, kiedy otaczają ich... – jęknął – ...ich kobiety.

Nie poruszyła się.

– Wierzysz mu?

– Teraz nie mogę jasno myśleć.

Przykryli się, zakrywając głowy. Kołdra szybko zsunęła się z ich rozpalonych ciał.

Potem:

– Teraz możesz jasno myśleć?

– Obawiam się, że ma rację.

Gina potrząsnęła głową z irytacją i niemą czułością.

– To prawda – powiedziała. – W tym przypadku można to potraktować dosłownie:
w królestwie ślepców jednooki jest królem.

Rozdział drugi

Annie Lopizo

I

Od wczesnego dzieciństwa Gina nienawidziła, gdy matka miała rację. Teraz, kiedy była dorosła, nie znosiła tego jeszcze bardziej. Najbardziej irytujące było jednak to, że Mimoo doskonale wiedziała, w jak wielu przypadkach ma rację. Jej zdolność obserwacji nie malała; mimo pogarszającego się wzroku, mijających lat i ogólnej obojętności, zawsze mówiła to, co myśli.

Kiedy więc dowiedziała się o pracy, którą wreszcie znalazł Harry, powiedziała jedynie:

– Modlę się, by Bill nie zrobił z ciebie swojego księgowego.

Gina spojrzała na matkę z wściekłością, ale nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia.

Kiedy Angela pierwszy raz przyprowadziła do domu Artura, z dumą prezentując go jako przykład zniewalającej męskiej wielkości, Mimoo tylko na niego spojrzała i nie czekając, aż wyjdzie, powiedziała do siostrzenicy: „Angie, zgłupiałaś doszczętnie? Nie widzisz, że ten okropny mężczyzna nie jest dla ciebie?”. Jako że najbliższa rodzina Angeli wróciła na Sycylię, Mimoo przyjęła rolę zastępczej matki.

Angela pocałowała ją i odparła:

– Twoim zdaniem nikt nie jest dla mnie dość dobry, Mimoo. Kocham cię.

– Nie – odparła spokojnie Mimoo. – Tylko on.

– Ale on jest cudowny! Pisze wiersze. Chciał zostać księdzem...

– Jest w seminarium?

– Nie...

– No właśnie.

W 1908 roku Emma Goldman miała wygłosić wykład na temat rewolucyjnego ducha we współczesnym dramacie. Gdy Gina zapytała Harry'ego, czy chce iść, odparł:

– Nie chcę teraz jechać do Bostonu. A właściwie już nigdy. Anarchizm i socjalizm są jak dwa bieguny. Ale ty jedź. Weź ze sobą Angelę.

– Nigdzie nie chcesz ze mną chodzić – poskarżyła się Gina. – Przed ślubem chodziłeś na wszystkie zebrania.

– To były zaloty – odparł Harry. – Wysłuchiwanie anarchistycznych bzdur zrównujących małżeństwo z niewolnictwem. Kiwanie głową podczas kazań piętnujących podporządkowanie kobiet. Dzięki temu zmusiłem cię, żebyś za mnie wyszła.

– Droczyś się ze mną, *mio sposo*.

– Czyżby? Jesteś moją żoną czy nie?

Gina zaczęła chodzić na zebrania z Angellą, jak niegdyś robiła to Verity. Razem słuchały wykładów „Kryzys ekonomiczny: przyczyny i rozwiązania”, „Syndykalizm: nowa faza walki o pracę”, „Kobiety i anarchizm” i „Anarchizm a ruch związkowy”.

Ostatni wykład zmienił życie Angeli, choć według Mimoo wcale nie na lepsze, bo właśnie wtedy poznała Artura Giovannittiego.

Arturo wyemigrował z Neapolu w 1901 roku, prawie nie mówiąc po angielsku. Był wysoki, przystojny, arogancki i głośny. Rzeczywiście przez krótki czas studiował w seminarium. Przysadzista Angella o gęstych brwiach, życzliwa, radosna, latami czekająca na odpowiedniego mężczyznę, była urzeczona. W starciu z nim musiała się poddać.

– Jak ja, Harry – powiedziała Gina i zdziwiła się, że od razu nie odpowiedział.

– Chciałaś powiedzieć jak ja – odparł, gdy nie dawała mu spokoju.

Arturo opisywał siebie jako działacza związkowego, socjalistę, poetę i przyprowadził ze sobą na zebranie przyjaciela, Joego Ettora, „Uśmiechniętego Joego”, ze związku Robotnicy Przemysłowi Świata. Joe nie spuszczał wzroku z ciemnowłosej, wysokiej, pięknej Giny, która pomachała mu przed nosem obrączką i zaprosiła do Lawrence, by poznał jej męża. Joe zrozumiał aluzję, ale na kolację i tak przyszedł. Od razu znalazł wspólny język z Harrym – tamtego wieczoru i przez wiele następnych dyskutowali o materializmie dialektycznym Marksa i o rozwoju gospodarczym będącym podstawą wszelkiego życia. Podczas niezliczonych wesołych wieczorów grali w karty, opowiadali dowcipy i marzyli o prawdziwym socjalistycznym państwie, które jeszcze nie istniało, gdzie pieniądze, ceny i rynki zostaną zniesione, a cała kapitalistyczna własność skonfiskowana i rozdzielona pomiędzy ludzi.

Joe i Arturo pozostawali pod ogromnym wrażeniem Lawrence, centrum produkcji wełny, kwitnącego, lecz pełnego niepokoju włókienniczego miasta. Joe roznosił wodę na kolei, pracował przy pile w tartaku, robił beczki, pracował w stoczni, a ostatnio zatrudnił się w fabryce cygar. Działalność w związku RPS zaczął od pomocy w organizacji, a potem został wyróżniającym się mówcą. Przez lata zabierał ze sobą Artura, podróżując po kraju i organizując górników, pracowników sezonowych i robotników imigrantów. Dwa razy przekonał Harry’ego, który akurat nie miał pracy, by pojechał z nimi i pomógł im pisać przemówienia. Obaj podziwiali Harry’ego, darząc ogromnym szacunkiem jego zamiłowanie do książek. Podczas gdy oni byli rozkrzyczani, on był cichy, gdy oni byli pełni retorycznych frazesów, on angażował się w chłodną, pełną rzeczowych argumentów dyskusję.

Wspomagani przez pisane przez Harry’ego przemówienia, na początku 1911 roku zorganizowali strajk w fabryce butów na Brooklynie. Upojeni sukcesem Joe i Arturo wrócili do Lawrence, wynajęli dwa pokoje przy Lowell Street, blisko miejsca, gdzie ze swoją przyjaciółką Pamelą mieszkała Angella, i rozpoczęli czuwanie. Byli przekonani, że w Lawrence wydarzy się coś wielkiego, i chcieli być na miejscu, gdy do tego dojdzie.

Podczas świąt Bożego Narodzenia 1911 roku Arturo, Angela, Harry i Joe siedzieli przy małym okrągłym stole w domu wynajmowanym przez Mimoo przy Summer Street niczym w centrum dowodzenia i próbowali pojąć, o co chodzi w ostatnich działaniach American Woolen Company. Gina stała przy zlewie i obserwowała ich z rezerwą, walcząc z mdłościami. Dlaczego zgadzała się z Mimoo? Dlaczego to poruszenie w czasie świąt pachniało poważnymi kłopotami?

Przędzalnie w Lawrence były największym producentem materiałów tekstylnych na świecie i potrzebowały ogromnej rzeszy pracowników – głównie niewykwalifikowanych, niepełnoletnich kobiet. Po wynalezieniu systemu z dwoma krosnami tempo stało się zabójcze, powtarzalność i nuda niebezpieczne, a częste wypadki odbierały pracę i niszczyły rodziny. Kiedy więc związek pracowników tekstylnych gorąco lobbował za skróceniem tygodnia pracy o dwie godziny, zgromadzenie ustawodawcze stanu Massachusetts zmniejszyło maksymalną liczbę godzin z pięćdziesięciu sześciu do pięćdziesięciu czterech. Fred Ayer i jego zięć William Wood z American Wollen Company, do której należały wszystkie przędzalnie w Lawrence, oświadczyli bez mrugnięcia okiem: „Chciałyście tego, panie? No to macie. Wesołych Świąt”.

Natychmiastowa zgoda American Woolen Company wywołała poruszenie wśród działaczy Robotników Przemysłowych Świata, którzy w grudniu 1911 roku zjechali do Lawrence, jakby to był Paryż 1789 roku. Podstawowe pytanie, które nie dawało spokoju wszystkim socjalistom, brzmiało: dlaczego American Woolen Company tak szybko przystała na wszystkie żądania? To zagadnienie zaprzętało także cztery umysły przy Summer Street i niepokoiło Ginę.

Salvo nie przyjechał na święta i jego nieobecność ziała pustką przy stole. Mimoo i Gina nie rozmawiały o tym. Mimoo modliła się więcej niż zwykle, czyli niemal przez cały dzień. „Przecież są święta – mówiła. – Modlitwy są jak najbardziej na miejscu”. Jednak w wigilię nie mogła się powstrzymać i oskarżyła Harry’ego, że jest bez serca, ponieważ opuścił rodzinę.

– Widzisz? – powiedziała, wypiwszy za dużo czerwonego porto. – Nie ma przy mnie syna w święta. Szlocham z rozpacz. Nie sądzisz, że twój ojciec i siostra czują to samo?

– Raczej nie.

– W duszy jesteś ślepy!

– Mimoo, oni mnie wyrzucili – bronił się Harry. – Nie odszedłem jak Salvo z własnej woli. Wyrzucili mnie i powiedzieli, że już nigdy nie będę w domu mile widziany. Ojciec mnie wydziedziczył. Zablokował mi dostęp do rodzinnych kont. Zrobił to, bo miałem czelność ożenić się z twoją córką.

Mimoo prychnęła na znak zgody.

– Poczuję, że go zdradziłeś. Stracił panowanie nad sobą.

– Mój ojciec nigdy nie traci panowania. Powiedział dokładnie to, co chciał. I zrobił dokładnie to, co zamierzał. Powiedział mi, że nie ma już syna.

– Głupi jesteś, Harry. Gino, wyszłaś za głupca. Nie słyszysz, co wygadujesz? Ojciec nie może porzucić swoich dzieci.

Gina próbowała pocieszyć matkę.

– Mimoo, oni nie są tacy jak my. Ich uczucia do dzieci są inne.

Mimoo z trudem wstała od stołu.

– Myślisz, że mężczyzna nie darzy najgłębszym uczuciem jedyne go syna? Czy ty w ogóle jesteś moją córką? Zastanów się, co mówisz. Jedyne go syna!

– Naprawdę, Mimoo, uwierz mi.

– Mężczyzna, który nie darzy głębokim uczuciem swojego syna, nie darzy uczuciem niczego.

– Wygląda na to, Mimoo – powiedział Harry – że być może sama odpowiedziałas sobie na pytanie.

Przytrzymując się poręczy, starsza kobieta weszła powoli na schody, odrzucając pomoc Giny.

– Oboje jesteście ślepi. Bo nie macie dzieci. Ale poczekajcie. Poczekajcie do sierpnia. Wtedy zrozumiecie.

Nowy rok 1912 przywitali szampanem i pieczonym prosiakiem. Arturo powiedział Angeli, że być może latem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, będą mogli się pobrać.

Mimoo przez całą drogę na górę prychała głośno, by wszyscy mogli ją usłyszeć.

– Mimoo, zawstydzasz go – narzekła Angela, gdy mężczyźni wyszli. – Wiesz, że cię słyszy, prawda?

– Mam nadzieję, że słyszą mnie umarli. *Madre di Dio*. Czy ty mnie słyszysz? Dał ci pierścionek?

– Nie ma teraz pieniędzy.

– Ma pieniądze na papierosy i podróże pociągami po całym kraju, prawda? I za każdym razem, gdy go widzę, ma nowy garnitur.

– Pierścionki są drogie – odparła Angela i zawołała na dół do kuzynki: – Gino, ile kosztował twój pierścionek?

Gina w kuchni wycierała kieliszki po winie i lekko postukała w ramię Harry’ego czytającego gazetę.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł, wzruszając ramionami. – Wszedłem do jubilera i wybrałem ten z największym kamieniem. Ojciec dostał rachunek.

Gina spojrzała na czwarty palec lewej ręki. Zalśnił na nim dwukaratowy brylant. Czyściła go co rano, jeszcze zanim umyła zęby. Wyglądał, jakby należał do życia innej osoby.

– Mówi, że wcale nie był taki drogi, Mimoo – zawołała.

– Zwabi cię w udawane małżeństwo? – zapytała Mimoo. – Jak Harry moją córkę?

– Mimoo, nie jesteśmy udawanym małżeństwem! – odkrzyknęła Gina z dołu. – Poza tym Harry też cię słyszy.

– Nie, Mimoo – powiedziała Angela, przysiadając z uśmiechem na brzegu łóżka. – W przeciwieństwie do Harry’ego i Giny Arturo poślubi mnie jak należy, w kościele. Bo jak wiesz, włoska ateistyczna retoryka jest tylko na pokaz. Nie ma czegoś takiego jak Włoch ateista.

Na dole Harry podniósł wzrok znad gazety, by w spojrzeniu Giny poszukać potwierdzenia. Przeżegnała się i skinęła głową, po czym pocałowała go ustami o smaku szampana.

– Nie ma też pierścionka – zauważyła nieugięta Mimoo na górze.

Gina pomachała Harry'emu przed nosem dłonią z pierścionkiem, zastanawiając się, ile wart jest jej kamień i czy gdyby go zastawiła, zdołałaby kiedykolwiek zarobić tyle, by go wykupić.

2

Tuż po świętach, w pierwszym tygodniu stycznia kobiety z Lawrence wróciły do pracy. Pięć dni później, gdy otrzymały wypłatę, zauważyły mały błąd. Dostały o pół dolara mniej niż w poprzednim tygodniu.

Arturo poprosił Angelę, by przeprowadziła proste obliczenie. I proszę! Okazało się, że rzeczywiście pracowały o dwie godziny mniej, tak jak chciały. Ale dostawały też mniej pieniędzy.

Piątkowego wieczoru Arturo chodził po saloniku przy Summer Street dumny jak paw.

– Mówiłem wam. Mówiłem. Wiedziałem, że coś knują, i miałem rację.

Dwieście kobiet na czele z Angelą, która ciągnęła ze sobą opierającą się Ginę, zjawіło się w następny poniedziałek przed czerwonymi drzwiami Przędzalni Wooda na skrzyżowaniu Union i Essex, głośno domagając się, by natychmiast poprawiono błąd w obliczeniach, bo inaczej nie wrócą do pracy.

Kierownik American Woolen, Lester Evans, drobny, uprzejmy mężczyzna ubrany w elegancki garnitur wyszedł na zewnątrz, by porozmawiać z Angelą i Giną.

– Dlaczego panie są zdenerwowane? – zapytał spokojnie. – Przestańcie krzyczeć. W czym problem? Uważacie, że powinnyście dostawać taką samą zapłatę za krótszą pracę?

– TAK! – rozległy się gniewne okrzyki.

Gina milczała.

– Ale dostałyście sporą podwyżkę, kiedy niecałe cztery miesiące temu negocjowałyście ostatnią umowę. Twierdzicie, że to nie dość?

– ZA MAŁO!

– Dlaczego mielibyśmy wam płacić więcej za mniej prac? To przecież niesprawiedliwe.

– ŻADNYCH CIĘĆ! ŻADNYCH CIĘĆ!

– Niesprawiedliwa jest obniżka płacy! – krzyknęła prosto w twarz Lestera Angela, popychana przez krzyczące za nią kobiety jak żagiel przez silny wiatr.

– Ale to nie była obniżka – odparł przyjaźnie Lester.

– Była!

– Bawisz się teraz z dużymi chłopcami, Annie LoPizo – powiedział Lester. – W prawdziwym świecie dostaje się płacę za przepracowane godziny. Nie pracujecie, nie ma pieniędzy.

Kobiety nie miały żadnej strategii, mogły tylko krzyczeć. Lester, zanim odszedł, wymierzył palec w Ginę.

– Masz dobrą pracę – powiedział. – I dobrze ci płacimy. Nie niszcz sobie życia, angażując się w te brednie. Trzymaj się od tego z daleka. Już coś takiego widziałem. Wynikną z tego same kłopoty.

Z jego słowami zgodziły się wszystkie zakończenia nerwów w ciele Giny.

Kiedy wieczorem Arturo usłyszał, co się stało, kazał Angeli i Ginie pójść następnego ranka pod bramę fabryki i wyraźnie powiedzieć panu Evansowi, że ani jedna pracownica nie wróci do krosien, dopóki „błąd w obliczeniach” nie zostanie skorygowany.

– Ani jedna!

Potrząsając głową, Harry wstał od stołu.

– Angie, rób, co chcesz – powiedział. – Posłuchaj Artura, nie słuchaj, jest mi to obojętne. Jesteś dorosłą kobietą. Ale nie wciągaj w to mojej żony.

– Ona też jest dorosłą kobietą! I też zapłacili jej za dwie godziny mniej.

– Harry, o czym ty mówisz? – zapytał Arturo, marszcząc brwi. – Też jesteś w to zaangażowany.

– Nie powiedziałem, że chodzi o mnie. Chodzi o nią.

– Co ty sobie myślisz?

– Wiesz, co sobie myślę – odparł Harry, chwytając Ginę za rękę i odciągając od stołu. Popchnął ją w stronę schodów. – Bo właśnie wam powiedziałem. Zrobię, co będę musiał, ale ją trzymajcie od tego z daleka.

Angela poszła za Giną na górę. Zamknęły się w sypialni.

– Naprawdę nie pójdziesz ze mną? – zapytała z niedowierzaniem.

– Nie mogę. Będziemy mieli dziecko. Potrzebujemy pieniędzy.

– Nie ma żadnych pieniędzy, Gino. Jeśli wybuchnie strajk, nikomu nie zapłacą.

Pod Giną ugięły się nogi. Usiadła na łóżku.

– Może do jutra wszystko się skończy.

– Jak u licha...

– Może zwycięży rozsądek.

– Chcesz powiedzieć, że odebrało mi rozum?

– Mówię, że potrzebujemy pieniędzy. Ty nie?

– Bardziej potrzebuję sprawiedliwości.

– Harry nie chce, żebym się angażowała. Co mam zrobić? Sprzeciwić się jego życzeniu?

– Jestem twoją rodziną! – wrzasnęła Angela. – Nie chcesz wspierać własnej rodziny?

– Angie, nie chodź tam! On też jest moją rodziną. I będziemy mieli dziecko. Dlaczego tego nie rozumiesz?

– Och, rozumiem. Rozumiem, gdy się mnie odpycha.

– Poproś Pam, żeby poszła.

– Lester nie znosi Pam po tym, jak prawie straciła rękę przy podwójnym krośnie i zrobiła z tego wielką aferę. Ale ciebie lubi. Tobie ulegnie.

– Uległ dziś rano? – Gina potrząsnęła głową. – Harry mi zabronił.

– Spójrz na siebie. Wyrzucasz do śmieci wszystkie swoje feministyczne poglądy, kiedy tylko pojawia się cień kłopotów.

– Z powodu tych kłopotów Harry każe mi się trzymać od tego z daleka.

– A ty go słuchasz. Co się stało z prawem do własnej duszy?

– Będziemy mieli dziecko!

– To zmiana społeczna. Rozwój! Rewolucja. Wszystkie te rzeczy, o których

rozmawialiśmy, wreszcie zamieniają się w czyn. Naprawdę będziesz stała z boku, gdy mężczyźni i kobiety będą przelewać krew na twoim chodniku?

– Angela, może nie słyszysz, co mówisz, ale sama potwierdzasz moje argumenty. Jestem w ciąży, a to nie jest odpowiednia pora na radykalne działanie.

– Historia nie zatrzyma się w miejscu dla twojego dziecka, Gino.

– No to wskoczę do następnego pociągu, jeśli nie robi ci to różnicy. Wygląda na to, że do rewolucji dochodzi co roku.

Zamilkły. Angela wypadła z domu, a Gina nie towarzyszyła jej następnego ranka. W tłumie kobiet Angela poszła sama, by stawić czoło Lesterowi Evansowi.

Nie mogło pójść gorzej. Kierownik natychmiast ją zwolnił. Oświadczył, że jeśli jeszcze raz zaatakuje go przed przędzalnią, każe ją aresztować i wtrącić do więzienia. Przez megafon poinformował pięćdziesiąt kobiet krzyczących za nią, że jeśli nie stawią się do pracy następnego ranka, też zostaną zwolnione.

– I jeszcze jedno, panno LoPizo. Proszę powiedzieć panie Attaviano, że jeśli nie przyjdzie do pracy, również zostanie zwolniona.

– Jest teraz mężatką, panie Evans! – krzyknęła Angela. – Nie odpowiada przede mną ani przed panem. Odpowiada przed mężem. A on pracuje dla Billa Haywooda.

– To źle, że związała się z tymi paskudnymi robotnikami – odparł Evans. – Bardzo źle dla was wszystkich. A teraz proszę opuścić moją fabrykę.

Gina wpadła w szal.

– Nie poszłam z tobą i tak chcesz mnie ukarać? – zarzuciła Angeli. – Mam stracić pracę? Pójdę do fabryki. Nie wiem, jak ty chcesz płacić czynsz, ale w tym domu zarabiamy na życie.

– Gino, to nie jest kara. To wojna. Musimy walczyć.

– Nie mogę i nie będę.

– Możesz albo stać u boku rodziny, kobiet i kolegów z pracy walczących o twoją płacę, albo możesz się wyłamać, ale wtedy nikt w tym mieście już się do ciebie nie odezwie. Bo nie rozmawiamy z łamistralkami. Nawet z rodziny. Powiedz jej, Arturo.

– Nie rozmawiamy z łamistralkami.

– Wynoście się z mojego domu – powiedziała Gina. – Gdzie jest Harry?

– Strajkuje!

– Jak może strajkować? Przecież nie pracuje w przędzalni!

– No to organizuje strajkujących – wyjaśnił Arturo. – Chodzi z Joem od drzwi do drzwi. Pisze telegramy do Dużego Billa z wiadomością, że jest pilnie potrzebny w Lawrence. Wzywa Matkę Jones. Wzywa Emmę Goldman. Twój mąż – ciągnął pompatycznie – walczy po naszej stronie. Jak ty powinnaś.

– Zdaje się, że kazałam ci się wynosić.

– Gino, ten strajk jest również dla ciebie. Płaca pracowników przędzalni nie wystarczy na utrzymanie rodziny.

Gina znacząco milczała. Angela odchrząknęła.

– Tak naprawdę, Arturo, Gina zarabia w cerowni bardzo przyzwoicie. – Odwróciła wzrok. – To hojna zapłata za wykwalifikowaną pracę. Ale nawet ty, Gia, zarabiasz teraz

mniej, bo obciążli ci pensję.

– Nie obciążli mi pensji, tylko godziny.

– Za dużo pracowałam.

– Kto o tym decyduje? Ty? Potrzebowałam pieniędzy – odparła Gina. – Nie chciałam pracować mniej i nie chcę pieniędzy, które mi się nie należą. Jestem dorosła. – Zrobiło jej się słabo, musiała się położyć. – Ponoszę odpowiedzialność za swoje wybory. Chcę pracować.

– Związek Robotników Przemysłowych Świata będzie w pełni popierał twoją walkę o większą płacę i mniejszą liczbę godzin.

– Arturo, chyba kazałam ci się wynosić.

– Jeśli on wyjdzie, ja też – powiedziała Angela.

Gina splótła ramiona na piersi i nie spuszczała z nich zimnego spojrzenia.

– Poczekaj, aż Mimoo się o tym dowie!

– Nie chcesz wiedzieć, co Mimoo o tym myśli, Angie.

– Nie mogę się doczekać, żeby ją zapytać. Zawsze mnie wspiera.

– Nie w głupotach.

– To nie jest głupota!

– No cóż, szkoda, że nie może się o tym dowiedzieć, bo, ach tak, zgadza się, nadal jest w pracy.

– Poczekaj, aż dowie się Salvo.

– On też pracuje. I jest bardzo daleko.

– Czasami – zaczął Arturo – trzeba nie pracować, żeby walczyć o słuszną sprawę.

– Wynoś się!

– Chodźmy, Arturo – powiedziała Angela. – Wiem, kiedy nas nie chcą.

Wieczorem Harry opowiedział Ginie, co się wydarzyło, gdy rozmawiał z Matką Jones. Razem z Joem zwrócili się z osobistą prośbą, by przyłączyła się do planowanego strajku, lecz ona, mimo że z Dużym Billem była współprzewodniczącą i współzałożycielką Robotników Przemysłowych Świata, odmówiła udziału w walce u boku swoich koleżanek, ogłaszając, że Lawrence zmierza do katastrofy. Nie będzie popierać prawa kobiet, by nie wracać do głodowych płac. Powiedziała, że przez całe życie wspierała mężczyzn, a nie kobiety. „Mężczyźni mają pracę – oświadczyła Harry’emu – a kobiety pracują dla rodziny”. Zanim zakończyła rozmowę, dodała, że Big Bill, którego zna od lat, jest podłym skąpcem, lecz Harry powinien poprosić go o podwyżkę, żeby jego żona też mogła zostać w domu.

Gina udawała, że czyta i słucha tylko jednym uchem.

– Tak? A co Bill na to?

– Publicznie nie powiedział ani słowa – odparł Harry. – Ale nam oświadczył, że nie spocznie, dopóki ta zdrajczyni nie zostanie wyrzucona z Robotników Przemysłowych Świata na dobre.

– Chodziło mi o podwyżkę.

– Nie prosiłem.

Gina obojętnie wzruszyła ramionami.

– No to chcę tylko wiedzieć, czy jutro rano o wpół do ósmej mam iść do cerowni.

Harry milczał.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie pójdiesz.

– Postanowiliśmy więc, że stracę pracę? Moją łatwą, dobrze płatną pracę, na którą kobiety czekają latami?

– Nie chcę, żebyś ją straciła. Ale i tak miałaś zrezygnować, gdy urodzi się dziecko...

– Za siedem miesięcy.

– Więc zrobisz to trochę wcześniej, niż planowaliśmy. Dziecko też przyszło trochę wcześniej, niż planowaliśmy. Wszystko się ułoży. Zobaczysz.

– Jeśli nie będę pracować, to wyjdę na ulicę, Harry. Z Angelą, Pam, Doną, Eldą. Muszę albo nigdy mi tego nie wybaczą.

– Nie możesz – odparł. – Cięża musi cię powstrzymać przed udziałem w rzeczach kończących się na -cja. Jak demonstracja. Tam jest pandemonium.

– Tutaj też panuje chaos. Jak zapłacimy czynsz? Za co kupimy jedzenie? Jak zapłacimy za elektryczność w lampie, przy której piszesz swoje slogany i pamflety?

– Mimoo pracuje.

– Nawet nie myśl o moich pieniądzach! – krzyknęła Mimoo z góry. – Udawaj, że nie istnieją. – Jakim cudem matka słyszała teraz tak dobrze, skoro była głucha, gdy zadawało się jej ważne pytania?

Zniżyli głosy.

– Będziemy używać nafty, jeśli nie będzie nas stać na elektryczność – powiedział Harry. – I Duży Bill mi płaci.

– Jesteś tego pewien? Ostatnie pieniądze widziałam przed świętami.

– Będzie dobrze. Strajk potrwa kilka dni. Najwyżej tydzień. Wiem, jak to jest. Fabryka się ugnie. William Wood musi zarabiać pieniądze. Produkcja nie może stanąć. Zawsze się uginają, kiedy ktoś musi zarabiać.

– Jasne – odparła Gina. – Ktoś taki jak ja. Czy mogę się ugiąć?

3

Kiedy Gina straciła pracę, zaczęła sprzątać z matką domy na Prospect Hill, a Arturo i Joe organizowali pikety przed fabrykami, by jak najskuteczniej dezorganizować działanie. Wiedzieli, że przy krosnach potrzebni są pracownicy (a raczej pracownice) i bez odpowiedniej siły roboczej prawie trzysta tysięcy kilogramów runa będzie leżało odłogiem.

Uśmiechnięty Joe, któremu nieobce były oratorskie popisy, zgromadził tysiąc kobiet na Common, wskoczył na mokrą ławkę i zaczął wykrzykiwać napisane przez Harry'ego banały. „Jeśli jeden człowiek ma dolara, na którego nie zapracował, inny ma dolara, którego nie dostał!”. W jednej chwili chodziło o dwie niezapłacone godziny, w następnej o równość, wolność gospodarczą i braterstwo między ludźmi.

Słuchając go przez godzinę, panie mocno się rozochociły. Następnego ranka dwa tysiące kobiet wyszło na Essex i Union. Trzeciego ranka na ulicach było trzy tysiące kobiet. Wzięły się pod rękę i przeszły przez Merrimack i Water, przez mosty i wzdłuż Broadwayu. Rzuciły

kamieniami w okna fabryki, śpiewały, krzyczały i domagały się, by wszyscy robotnicy porzucili pracę.

Duży Bill zjawił się z krótką wizytą. Pochwalił starania Joego i Artura, wyraził uznanie dla przemówień pisanych przez Harry'ego i aprobatę dla protestujących kobiet, poradził Joemu i Arturowi, by zachęcali je do większej aktywności, i wyruszył na objazd po kraju, wychwalać wysiłki Robotników Przemysłowych Świata podczas strajku w Lawrence.

Strajk rozszerzył się na wszystkie osiem przędzalni w Lawrence. Pod koniec drugiego tygodnia dziesięć tysięcy ludzi, głównie kobiet i dzieci, wyszło na ulice. Krosna stanęły.

Kiedy Joe zobaczył, jak wielkie ma poparcie, zażądał piętnastoprocentowej podwyżki płac, podwójnej stawki za nadgodziny i pięćdziesięciotrygodzinnego tygodnia pracy. Nie chodziło już tylko o American Woolen Company.

Harry zbudował dla Joego specjalny, wysoki na półtora metra podest, który razem z Arturem ustawili na Common. Arturo z przesadą wychwalał pracę Harry'ego.

– Piszesz przemówienia i budujesz podesty? Gdzie się tego nauczyłeś, harwardczyku? Przypominasz bohatera przyszłości, o którym mówił Engels. Przez godzinę możesz być architektem, lecz jeśli zajdzie taka potrzeba, możesz także pchać taczki. Patrzę na ciebie, Haroldzie Barringtonie, i widzę przyszłość.

Joe wskakiwał codziennie na podest Harry'ego i wygrażał właścicielom fabryk, wykrzykując napisane przez Harry'ego słowa, aż prawie tracił głos. „Praca wytwarza całe dobro! I dlatego całe dobro należy do tego, kto je wytwarza!”.

Przędzalnie zamknięto. Nikt nie stawiał się do pracy. Inne przedsiębiorstwa też musiano zamknąć. Rozszalałe tłumy przerażały właścicieli sklepów. Gdy kobiety nie pracowały i nie otrzymywały zapłaty, nikt niczego nie kupował. „Całkowite zniszczenie warunków społecznych i ekonomicznych jest jedynym zbawieniem klasy pracującej!”.

American Wollen Company i Stowarzyszenie Biznesu w Lawrence zaapelowały do burmistrza Scalona, by rozwiązał sytuację. Burmistrz zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy – ściągnął dodatkowe siły policji. Sam komendant pokazał się na Union Street i ostrzegł kobiety, że jeśli nie przestaną wystawać na ulicach, zostaną aresztowane „co do jednej” i osadzone w więzieniach o złagodzonej rygorze w całym stanie Massachusetts. Kobiety o mało co nie stratały go na śmierć. Angela pobiegła do biblioteki w ratuszu, by sprawdzić znaczenie słowa „wystawać” w kodeksie karnym. Zdefiniowano je tam jako „stanie w miejscu na publicznym skwerze”. Zaczęły więc wyzywająco maszerować tam i z powrotem po Union Street w poruszającej się pikiecie. Policja musiała znaleźć inny sposób, by usunąć je z ulicy.

Do Lawrence zjechały następne posiłki z pobliskiego Andover. Za zakłócanie porządku zaarrestowano tysiące strajkujących, z których większość kopała i krzyczała. W mieście nie było gdzie zamknąć trzystu osób, nie mówiąc już o dziesięciu tysiącach rozsierdzonych kobiet. Paraliż sądów pociągał za sobą koszty i był szkodliwy społecznie. Kiedy tylko kobiety znalazły się na wolności, znów zaczęły pikietować, dzień po dniu paradując i śpiewając na ulicach: *Chcemy chleba, ale chcemy też róż!* Wszystkie kobiety z wyjątkiem zaniepokojonej Giny, która pragnąc jedynie chleba, spuszczała głowę i szła w drugą stronę do misji świętego Wincentego, by tam praść wełnę, lub z Mimoo na Prospect Hill, by sprzątać u bogaczy.

Emma Goldman, nie chcąc pozostawać w cieniu Matki Jones, postanowiła przyjechać do Lawrence i z podwyższenia Harry'ego dorzucić swoje własne wrogie i dobrze nagłośnione komentarze. „Oczywiście – powiedziała – najznakomitsza socjalistka w kraju pragnie jeszcze bardziej zniewolić kobiety”. W mroźny styczniowy dzień wykrzykiwała, że wolna miłość jest jedynym wyjściem dla kobiet, ponieważ wolność, równość i sprawiedliwość żadną miarą nie dają się pogodzić z małżeństwem. Zadeklarowała, że w przeciwieństwie do innych osób, których nie wymieni z nazwiska, ona z radością będzie stała na zimnie ze strajkującymi w Lawrence.

Kiedy Duży Bill dowiedział się w Montanie, co opowiada Emma Goldman, poinformował telegraficznie Harry'ego, że jeśli kiedykolwiek zobaczy ją na ulicy w Lawrence, udusi ją gołymi rękami. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął związek Robotników Przemysłowych Świata, była Goldman agitująca w środku strajkującego miasta za wolnością od praw ustanawianych przez państwo! Robotnicy Przemysłowi Świata wspierali całkowitą kontrolę państwa, a nie wolność od niej. Emma Goldman, podobnie jak Matka Jones, szkodziła sprawie strajkujących, choć z innych powodów.

– Gino, moja wierna żono, powiedz mi coś – zaczął Harry, kiedy zrelacjonował już wydarzenia dnia. – Twoja ukochana Emma Goldman wrzeszczała tam w marznącym deszczu, a ciebie nigdzie nie było widać.

– Kazałeś mi zostać w domu – odparła, ustawiając białą tablicę na stole w jadalni. – Jestem posłuszną żoną. – Uśmiechnęła się lekko. – Nie mam czasu na wolną miłość w marznącym deszczu.

– Bardzo rozsądnie. Co tam robisz?

Przygotowywała plakaty. **CHCEMY WOLNOŚCI! CHCEMY SPRAWIEDLIWOŚCI! CHCEMY GODNEJ PŁACY!**

– Pomagam Angie.

– Wiem, dlaczego to robisz. – Wyjął jej z ręki czarny od farby pędzel. – Nie chcę, żebyś ją udobruchała.

– Powiedziałam jej, że to zrobię. – Sięgnęła po pędzel. – Wynagrodzę jej tamte sprzeczki.

– Powiedz, że wynagrodzisz jej wszystko, dając jej jeść. Bo wszystko zaczyna się od transparentów. Zaraz potem maszerujesz do dźwięków *Marsylianki* i pokonujesz Brytyjczyków. Tam jest niebezpiecznie.

Zabrała mu pędzel.

– Nie wychodzę, *tesoro*. Robię tylko plakaty.

– Chodzisz do misji, prawda?

– To na Haverhill. W drugą stronę. – Nie chciała mu przypominać, że ich dom przy Summer Street znajduje się dwie ulice od Common, gdzie Joe Ettor przemawia codziennie dwa razy, i cztery przecznice od Essex i Union, jeden długi rzut kamieniem od wszystkich problemów. Nie powinna w ogóle wychodzić, ale czy miała wybór? Mimoo sprzątała siedem domów, ale to nie wystarczało, by zapłacić rachunki, a nowej pracy przy sprzątaniu było tak mało, że walczyło o nią wiele kobiet. Przynajmniej w misji płacili jej co nieco za szycie, prasowanie, sortowanie darów i przedzenie i karmili ją, jakby teraz była jedną z osób, które rozpaczliwie potrzebują pomocy.

Harry stał blisko i nawijał na palce pasma jej kręconych włosów.

– Cieszę się, że już się tu nie spotykamy – powiedział. – Teraz wygadujemy brednie u Artura. Tak jest lepiej. W naszym domu jest ciszej. Milej.

– Tak, jest ciszej. Bo nigdy cię tu nie ma. Stale przesiadujesz tam, na Lowell, w tym centrum spiskowym. Czy tak jest lepiej?

– Musimy dalej planować. Ale kiedy wracam do domu, jest cicho. – Pochylił się nad jej policzkiem.

Uniosła twarz.

– Jeśli ty tylko planujesz, to ja tworzę dzieła sztuki.

Patrzył, jak maluje czarne litery.

– Muszę tam chodzić. Jestem w komitecie strajkowym. I Bill mi płaci. Muszę chodzić, żebyś ty nie musiała. Tak jak powiedziała Matka Jones.

– Ach, więc teraz jej słuchamy. Niezła ze mnie feministka.

– Rzeczywiście niezła. – Pochylił się i poklepał ją po brzuchu.

Pocałowała go.

– Nie będę wychodzić, *mio amore*. Tylko sprzątać i prząść.

– Obiecujesz? – Zamrugał z niepokojem.

– Oczywiście.

Modliła się za swoje dziecko, za męża, matkę i żeby skończył się strajk. Czasami niekoniecznie w tej kolejności. Angela prawie z nią nie rozmawiała. Plakaty nie stanowiły wystarczającej pokuty.

Gina nienawidziła być bez grosza. Kupka rachunków rosła. W lutym musieli zapłacić czynsz, rachunek za prąd. Trzeba było kupić jedzenie. Mogli jeść duszone pomidory tylko przez jakiś czas. W końcu będą potrzebowali chleba, makaronu. Harry może nie dbać o takie przyziemne rzeczy jak jedzenie na talerzu, ale Gina była zbyt biedna na idealizm.

4

Zarząd Przemysłu Tekstylnego w Lawrence sprowadził Floyda Russela, błyskotliwego prawnika z Bostonu, by obronić się przed powiązaniem z brutalnością policji. Źle widziane było polewanie kobiet wodą z sikawek, by zmusić je do rozejścia się. Floyd oświadczył rzeczowo: „Brutalność? Ale one nadal są na ulicy! Ten nedorzeczny bałagan powinno się było posprzątać wiele tygodni temu. Policja powinna dostać rozkaz strzelania. Tak skuteczni przywódcy rozwiązują sprawy”.

Ale policja nie strzelała. Tylko groziła użyciem broni. Na koniec przybyła z odsieczą milicja stanowa, bo tłumy strajkujących rosły do piętnastu, dwudziestu tysięcy.

– Dwadzieścia tysięcy wściekłych, rozkrzyczanych kobiet – powiedział Harry do Giny przy kolacji złożonej z gotowanej fasoli i karczochów. – Ja z trudem radzę sobie z jedną.

– A kiedyż ja na ciebie krzyczałam, *marito*?

– Raz chciałaś.

Przypomniała sobie.

– Ale to nie to samo.

Przyznał jej rację.

Gina próbowała ukrywać przed nim włoską stronę swojej osobowości za zaciśniętymi zębami, opanowanym uśmiechem, na wpół przymkniętymi oczami, zaciśniętymi pięściami, gdy leżał przytulony do jej pleców. Nie chciała krzyczeć, by nie wyszło na to, że Mimoo ma rację.

– Przed kim tak udajesz? – pytała matka. – Nie sądzisz, że prędzej czy później on odkryje sycylijską krew, która płynie najgłębiej ukrytymi naczyniami prosto do twojego serca?

– Damy, z którymi się stykał przede mną, nie napadały na swoich mężczyzn z powodu nieodpowiedniej pracy.

– Ożenił się z nimi? O ile pamiętam, to dla ciebie porzucił jedną z tych napuszonych debutantek. A może się mylę?

– Nie chcę o tym z tobą rozmawiać. Cieszę się, że przynajmniej przyjęłaś do wiadomości nasz ślub.

– Tylko żeby podkreślić moje słowa.

– Czyli?

– Jesteś jak Wezuwiusz. Syczysz i wypuszczasz parę. Kiedy będzie się tego najmniej spodziewał, wybuchniesz. Dla niego będzie to dzień sądu i nawet nie będzie wiedział, dlaczego płonie. Powinnaś go ostrzec, moja córko.

– Mamo, udowodnię ci, że nie masz racji. Jestem teraz amerykańską damą. A my chowamy emocje i parę głęboko, tam gdzie ich miejsce.

– Dlaczego on wychodzi co wieczór?

– Siedzi w mieszkaniu Joego. Nie chcę ich już więcej widzieć, wiesz dobrze.

– Więc męża akceptujesz na każdych warunkach, ale z naszą biedną Angelą nie rozmawiasz?

– To ona nie chce rozmawiać ze mną!

– I ma rację.

– Tak? Chcesz, żebym poszła z nią pikietować? Bo ona tego właśnie chce.

Mimoo pogładziła ją po policzku.

– Nie, *mia figlia*. Najbardziej chcę, żebyś była ostrożna.

Do Lawrence wezwano Sama Gompersa i jego Amerykańską Federację Pracy, by wynegocjował ugodę i przemówił głosem rozsądku w rozmowach z Robotnikami Przemysłowymi Świata. „Potrzeba Billa Haywooda, by Gompers jawił się jako anioł”, zauważył prokurator okręgowy. Jednak kiedy tylko Gompers usiadł przy stole i wyglądało na to, że dojdzie do porozumienia, do Lawrence szybko wrócił Duży Bill, tym razem na dobre.

Aby przypochlebić się strajkującym i przepędzić Amerykańską Federację Pracy z Lawrence, Haywood ostrzegł American Woolen Company, że nie mogą tkać materiałów bagnetami. Negocjator AFP oskarżył Haywooda, że nie interesuje go wcale pokój w przemyśle. Powiedział, że przez ostatnie dziesięć lat działania Dużego Billa wyraźnie wskazywały, że pragnie on stworzyć proletariacki impuls, który zrewolucjonizuje

społeczeństwo. W odpowiedzi na to Duży Bill ochoczo wskoczył na podest Harry'ego – choć mając ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, wcale tego nie potrzebował – i oświadczył, że wół roboczy z Amerykańskiej Federacji Pracy ma rację. „Całkowite ZNISZCZENIE warunków społecznych i ekonomicznych jest jedynym zbawieniem dla klasy pracującej!”, krzyczał. Odwrócił się lewą stroną do wiwatujących kobiet, by ukryć pusty prawy oczodół. Harry stał blisko niego. „Właściciele kopalń nie znaleźli złota, nie wydobywali złota, nie przetwarzali złota. A jednak całe złoto należy do nich! Jak to możliwe? Tak nie może być! Tak nie może, moje panie, być!”.

Pod przywództwem Haywooda kobiety spod znaku Chleba i Róż szybko zyskały sławę najbardziej radykalnych. Duży Bill chciał je widzieć codziennie jak na scenie, gdy wystawały przed fabrykami w kapeluszach i podciągając długie spódnice, by się nie ubłocily, krzyczały na mężczyzn, wymachiwały im przed nosem amerykańskimi flagami i transparentami. Nakłaniał je, by mówiły wszystko, co im leży na sercu, by dzielnie znosiły zimno, by zmuszały mężczyzn do uległości. Kiedy efektem tej wojowniczej taktyki stały się przepychanki, upadki, złamane nosy i krew, Bill podniecił się jeszcze bardziej. Kobiety krwawiące na ulicach Lawrence, broniące swoich zasad przed brutalnością kapitalistów, którzy je zatrudniali, i policji, która próbowała stłumić zamieszki, były o wiele lepsze niż spokojne maszerowanie po ulicach, śpiewanie piosenek i noszenie transparentów.

Kobiety oskarżono, że są „zbyt przebiegłe” i „mają zły charakter”.

„Jeden oficer policji zapanuje nad dziesięcioma mężczyznami – zacytowano wypowiedź prokuratora okręgowego w »The Evening Tribune« – ale potrzeba dziesięciu oficerów, by zapanować nad jedną kobietą”.

– Święta prawda – powiedział Harry, składając gazetę. Jego jedna kobieta siedziała na ławeczce w rogu saloniku, poszerzając spódnicę, by pomieścić jej rosnący brzuch.

– Co takiego jest we mnie – spytała, nie odwracając się do niego – że potrzeba aż dziesięciu mężczyzn? I mój mąż się z tym zgadza?

Podszedł do niej, odsunął luźny kok i przycisnął wargi do gołego karku.

– Mąż próbuje być zabawny.

– *Divertente*? Jakoś nie bardzo mu wychodzi.

5

Haywood wykonał bezprecedensowy ruch – załatwił, że sześćset dzieci strajkujących kobiet publicznie odebrano ich matkom (nazwał to „przeciwdziałaniem krzywdzie”) i wysłał autobusami na południe, do Nowego Jorku, gdzie na czas strajku miały przebywać u dobrze sytuowanych rodzin. Kobiety, które na to przystały, stały się potem jeszcze bardziej agresywne.

Płaczące dzieci wydzierane wyjąłym matkom stały się propagandową katastrofą dla American Woolen Company i Lawrence. Burmistrza Scalona nakłaniano do przerwania strajku i choć oświadczył on, że pragnie „rozwalić strajkującym głowy”, była to tylko gra

pod publiczkę, bo nie zrobił nic. Floyd Russell wściekał się z powodu jego bezradności.

– Jak długo będzie pan na to pozwalał? Pańskie miasto splajtuje! Nikt nie pracuje! Nikt nie zarabia. Ma pan międzynarodowe kontrakty warte miliony dolarów niezrealizowane z powodu tego, co się dzieje pod pana cholernymi oknami. Swoją beczynnością niszczy pan Lawrence!

– Tu nie chodzi o moją beczynność, lecz o ich działanie! – odparował Scanlon. – Nie chcą kompromisu! Słyszał pan Haywooda. Co mam zrobić? Powystrzelać kobiety?

– Tak – odparł natychmiast. – To zrobił Napoleon.

– Kazał strzelać do kobiet?

– Rozkazał strzelać do strajkujących.

– Ale nie do kobiet!

– Proszę posłuchać – zaczął wojowniczo prawnik. – Chcą pracować jak mężczyźni, żyć jak mężczyźni, zarabiać jak mężczyźni? Pieprzyć się jak mężczyźni? To powinny przyjąć do wiadomości, że będzie się do nich strzelać jak do mężczyzn.

Właściciele American Woolen raz jeszcze spróbowali negocjować. Kiedy Gompers i członkowie Amerykańskiej Federacji Pracy wyjechali, William Wood usiadł przy stole z Haywoodem i zaproponował pięćdziesiąt cztery godziny i osiem dolarów siedemdziesiąt sześć centów tygodniowo. Duży Bill wyszedł. Uwielbiał być w centrum uwagi. Powiedział, że nie pozwoli kobietom się wycofać. Choć twierdził, że walka idzie o zarobki i godziny pracy, wiadomo było, a on wcale nie próbował tego ukryć, że jego RPS pogardzali umowami pisanymi przez związkowców, ponieważ zachęcały robotników do ustępstw i porzucenia walki klasowej. Razem z Uśmiechniętym Joem nadal nawoływali do przemocy, która miała być środkiem prowadzącym do celu, wspierając nie tylko strajk generalny, lecz także obalenie amerykańskiego kapitalizmu. „Niech robotnicy staną się właścicielami przedziałów i sami ustalają zarobki i liczbę godzin”, krzyczał późnymi popołudniami Joe z podestu, kiedy Bill był już zmęczony, a Harry stał nieopodal i wszystko obserwował. „Dopóki to się nie stanie, nic nie załatwi sprawy”.

Z pomocą Harry’ego Haywood zbierał fundusze, by karmić strajkujących. Gina zgłosiła się do pracy w kuchni. Dopóki nie opuszczała kościoła pod wezwaniem Bożego Ciała, gdzie gotowała, Harry zgodził się na jej niewielki udział w wysiłku wojennym. Ale nie Angela.

– A czego się spodziewałeś? – zapytała zięcia Mimoo. – Dwie Sycylijki trykają się głowami jak barany. Rozsądek nie może zwyciężyć, bo nikt w tym mieście go nie ma.

Gina piekła chleb i gotowała fasolę w melasie, podczas gdy prawnicze i biznesowe grube ryby łączyły się codziennie w potępieniu dla Dużego Billa.

Żądania Haywooda były celowo niedorzecznie wygórowane, a William Wood odpowiadał mu w podobnym stylu: prędzej zbankrutuje, niż ugnie się przed szantażem.

– Za podwyżką płac, powrotem do pracy, wyjazdem milicji i warkotem krosien kryje się najbardziej rewolucyjna organizacja w historii amerykańskiego przemysłu – grzmiał na łamach „Tribune” prokurator okręgowy. Floyd Russell poddał się i wyjechał z miasta jak Gompers.

Burmistrz milczał. W listopadzie ponownie kandydował w wyborach. Nie chciał jeszcze bardziej podburzać mieszkańców.

„Pełne przemocy, tonące w kurzu, bezprawne, brzydkie, cuchnące, zuchwałe widowisko dla narodu”, tak o Lawrence pisał reporter Lincoln Steffens w „The Same Of Cities”.

Lawrence upadało – nie było pracy, American Woolen nie realizowała zamówień, nie istniał handel. Miasto zmierzało w stronę anarchii i bankructwa, nie było widać końca impasu.

Ktoś musiał ustąpić. Kiedy Gina gotowała fasolę i błagała Angelę, by przestała maszerować po ulicach i jeździła z Mimoo sprzątać te kilka domów, które im zostały, czuła, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

6

Pewnego późnego ranka pod koniec stycznia Gina pomagała siostrą w misji sortować dary, kiedy od strony probostwa kościoła Najświętszej Marii Panny wszedł Duży Bill. Przeraził zakonnice, które nie chciały nawet na niego spojrzeć. A niewiele rzeczy je przerażało. W wolnym czasie opiekowały się trędowatymi. Gina też się przestraszyła, ale ponieważ zwrócił się właśnie do niej, musiała odpowiedzieć. Oświadczył, że na zewnątrz jest przeraźliwie zimno i maszerujące kobiety są tak zmarznięte, że zastanawiają się, czy nie wrócić do domów. Nie mógł na to pozwolić. Zapytał, czy mają jakieś płaszcze i nieprzemakalne buty, by mógł je rozdać demonstrującym.

Gina i zakonnice zebrały kilka ciepłych okryć. Nie było tego dużo, ale zawsze coś.

– Mogłabyś mi pomóc? – zapytał Bill. – Jesteś żoną Harry’ego, prawda? – Bezczelnie otaksował ją zdrowym okiem.

Skinęła głową i pomogła mu załadować okrycia i buty na taczki.

– Dlaczego on cię ukrywa? Czemu nigdy nie ma cię przy nim? On codziennie wychodzi z ukrycia i pomaga walczyć w słusznej sprawie. Dlaczego nie wspierasz kobiet?

Gina nie chciała powiedzieć mu prawdy. Nie chciała mu powiedzieć niczego.

– Pracuję tutaj – rzuciła zwięźle. Jeśli Harry nie powiedział Billowi o dziecku, ona z pewnością tego nie zrobi. Jeśli Harry nie powiedział Billowi, że pracuje w garkuchni i gotuje obiady dla strajkujących, ona też mu nie powie.

– Nie jesteś po naszej stronie? – Zmierzył ją groźnym spojrzeniem jednego oka.

– Jestem – odparła cicho.

Zapomniał odwrócić się do niej dobrym profilem i miała go przed sobą w całej wątpliwej krasie. Mruknęła coś o krosnach, misji i swojej pracy dla kościoła. Opuściła ją cała odwaga. Zaczęła rozumieć, dlaczego mąż nie potrafi odmówić temu człowiekowi. Była w ciąży. Nie miała zamiaru go prowokować i wciągać w kłótnię. Budził strach.

– Chodź mi pomóc – powiedział. – Pora na obiad.

– Wiem. Przygotowuję jedzenie. Gorącą fasolę. Chleb.

– Bardzo dobrze. Ale dzisiaj pomożesz mi wydawać obiad.

– Nie mogę.

– Musisz. Dziewczyna, która mi pomaga, zachorowała. Zakonnice poradzą sobie bez ciebie przez godzinę czy dwie.

– Nie.

Siostry zapewniły Ginę, że dadzą sobie radę.

– Najpierw muszę porozmawiać z Harrym – szepnęła.

– Poszukamy go razem. Włóż płaszcz.

Wyszła z Billem, starając się nie patrzeć na przerażający pusty oczodół. Plotka głosiła, że wybił je sobie nożem, strugając proce, gdy miał osiem lat. Chciała iść po jego prawej stronie, żeby szedł bliżej krawężnika, lecz Bill nagle przestał zwracać uwagę na swoją ułomność. Był wietrzny, zimny dzień, padał marznący deszcz, a Bill miał na sobie elegancki płaszcz z szarej wełny i nie chciał, by ochlapało go błoto i śniegowa maź, gdy przejeżdżały samochody i wozy. Cały czas mówił do Giny, ona jednak naciągnęła kapelusz na uszy i oczy, by go nie słyszeć i nie patrzeć na bliznę. Nie posiadała się z niepokoju, zmierzając prosto na Union Street, choć obiecała Harry'emu, że będzie się trzymać z dala od zamieszek. Z pewnością będzie zły, gdy się dowie, że zmusił ją do tego jego szef. Madame Kamilla, też coś! Jedyne prawdziwe pieniądze, jakie mieli, pochodziły od tego człowieka. Już z odległości kilku przecznic słyszała szum i krzyki, mimo kapelusza i grzmiącego głosu Billa.

Zdołali się przedrzeć przez tłum tylko dzięki Billowi. Bez trudu sforsowałyby nawet barykadę z kamieni. Rozdali skromne płaszcze kobietom pikietującym przed przędzalnią Wooda i przeszli przez żelazną bramę kościoła Bożego Ciała do namiotu, gdzie rozdawano jedzenie.

– Bill, naprawdę muszę porozmawiać z mężem – odezwała się Gina. – Powiedziałeś, że pójdziesz go poszukać.

– Powiedziałem, że pójde go poszukać – powtórzył szyderczo. – Uważasz, że zostałem twoim chłopcem na posyłki?

– Sama chętnie pójde. Zaraz wrócę.

Wyciągnął rękę.

– Zostań tutaj. Obsłuż kobiety. Znajde go.

Dłonie trzęsły jej się tak bardzo, że z trudem nalewała chochlą fasolę do misek. Masa rozlewała się po bokach, denerwując kobiety.

Kiedy tylko Bill zniknął, z ludzkiego morza wyłoniło się sześciu policjantów stanowych i stanęło przed żelaznym kotłem. Powiedzieli jej, że jeśli nie chce zostać aresztowana za pomoc elementom kryminalnym, niech lepiej przerwie pracę i pójdzie do domu. Gina uznała, że to bardzo rozsądna rada, i odsunęła się, planując pobiec bocznymi uliczkami na Summer Street. Jednak setka rozkrzyczanych kobiet stojących przed kotłem z gorącą fasolą kazała jej zostać i rozdzielać jedzenie tym, które walczyły o jej prawa. Policjanci ponownie kazali jej odejść.

Atmosfera gęstniała, ciała zaczęły napierać.

Po chwili było już tak głośno, że Gina z trudem zbierała myśli. Wiedziała tylko, że chce stąd wyjść – nie teraz, nie później, lecz pół godziny temu. Przeklęła dzień, w którym Harry uścisnął dłoń Dużego Billa. Przeklęła dzień, w którym zabrała Angelę na wykład Emmy Goldman, pamiętny dzień, w którym Angela poznała Artura.

Od świata oddzielała ją ściana ludzi. Nigdzie nie było widać Dużego Billa. Niedaleko, po drugiej stronie Union Street, przy czerwonej bramie fabryki Gina dostrzegła Angelę.

Wydało jej się, że słyszy jej donośny głos, unoszący się nad hałasem. Bezradnie rozejrzała się w poszukiwaniu Harry'ego. Nie byłaby w stanie mu wytłumaczyć, jak znalazła się tutaj, w najgorszym z miejsc, w najgorszym czasie, w otoczeniu zmarzniętych twarzy i głodnej, rozszalałej wściekłości. Próbowwała ukryć się blisko policjantów, lecz to oni byli celem ataków. Wyznaczali linię frontu.

Żelazny kocioł wywrócił się – zrobili to policjanci? protestujący? – i gorąca fasola rozlała się na zabłocony chodnik, na jej buty, na buty policjantów i zniszczone obuwie strajkujących. Gina nie miała dokąd uciec, gdzie się ruszyć. Nikt nie mógł rozdzielić rozwścieczonego tłumu, by mogła bezpiecznie pobiec w jakiś zaułek.

Ktoś chwycił ją za ramię od tyłu i odciągnął na bok. Odwróciła się gwałtownie. To był Harry.

Rozpłakała się.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął, bo inaczej nie byłaby w stanie go usłyszeć, mimo że stał tuż obok. – Co ty tu, u diabła, robisz? Kazałem ci...

– Chcę wracać do domu!

– Gino! Boże święty, dlaczego tu przyszłaś?

Byli otoczeni ze wszystkich stron. Słupki podtrzymujące namiot drżały, w każdej chwili mógł się zawalić. Harry przyciągnął ją do siebie na ułamek sekundy, a potem krzyknął, by schowała się pod stołem. Dostrzegła Angelę oddaloną o jakieś trzydzieści głów. Tratowana krzyczała, odpychała ludzi, uderzała kogoś w twarz; znajdowała się naprawdę w rozpaczliwym położeniu.

– Harry, spójrz, Angela...

– Nie mogę jej teraz pomóc – powiedział, ściągając ją pod stół.

– Angela! – krzyknęła ochryple, bez tchu.

Angela nie słyszała.

Duży Bill przedarł się przez kordon policji i stanął przed Harrym.

– Chodź ze mną! – wrzasnął, chwytając go za ramię. – Jesteś nam potrzebny.

– Nie mogę, Bill – odkrzyknął, wyrywając się. – Moja żona.

Bill nawet na nią nie spojrział.

– Nic jej nie będzie. Jest bardziej bezpieczna niż reszta nas. Chodź szybko. Wandalizm w sklepie spożywczym. Gliny zaraz aresztują Artura. Potrzebny mi jest twój dar wymowy. Chodź!

Harry spojrział z rozpaczą na Ginę.

– Idź, Harry – powiedziała. – Idź z Billem. Pomóż Angie.

– Zaraz wrócę – odparł i natychmiast połknął go tłum.

Zwinęła się w kłębek pod stołem, zakryła głowę rękami i zamknęła oczy. Leżała na zmarzniętej trawie w pozycji płodowej, zwrócona w stronę kościoła, modląc się, by to pomogło. By cokolwiek pomogło. Grupa walczących osób wpadła pod stół za nią. Wąski stół przewrócił się, odpadły nogi, blat spadł im na głowy. Ludzie zaczęli krzyczeć.

Za Giną rozlegały się odgłosy walki, pięści uderzających w twarze, kijów opadających na ciała, paniki, chaosu. Wyobraziła sobie Mediolan przed laty, swojego starszego brata Alessandra z gorącą głową, impulsywnego, upartego, pięknego, martwego, zamieszki, konie, policjantów, tratowanie, wyciągnięty nóż, przerwane życie, potem kolejna śmierć.

Bo kto mógł żyć, dźwigając ciężar ostatnich chwil swojego dziecka? Jej ojciec nie mógł.

Nagle rozległy się trzaski. Strzały? Teraz wszyscy zaczęli naprawdę krzyczeć. Nadal zakrywała głowę. Jeszcze więcej wybuchów, może odpowiedzieli ogniem? Gina zacisnęła powieki. Harry, Harry, wróć do mnie, proszę. Nogi, buty, stopy, przelatujące obok brzegi płaszczy, padający ludzie. Ktoś, kto próbował wstać, uderzył ją mocno w plecy, ktoś inny w próbie ucieczki stanął jej na kostce. Wciąż zwinięta w kłębek, położyła jedną dłoń na głowie, a drugą na brzuchu, próbując osłonić maleńkie życie. Kolejny ciężki but wylądował na jej głowie, na knykciach. Mężczyzna, kobieta? Przerazona nie mogła nawet wstać.

– Zbieraj głupią głowę z ziemi, paniusiu! Albo rozwałą ci czaszkę. Wstawaj!

– Harry, Harry?!

To nie był Harry. Jakiś mężczyzna gwałtownie poderwał ją z ziemi. Ludzie biegli we wszystkich kierunkach. Podpory namiotu wyrwano z ziemi. Ludzie potykali się o nie, ciężkie szare płótno opadało im na głowy. Mężczyzna, który pomógł Ginie wstać, spojrział na ziemię u jej stóp i powiedział:

– Postrzelili panią? Pani krwawi!

Zanim zemdląca, zdążyła jeszcze pomyśleć, że Harry będzie zły, bo nie została pod stołem.

7

Kiedy się ocknęła, leżała w swoim łóżku. Nie było Harry’ego, Artura, Joego ani Angeli. Siedziała przy niej tylko matka, cicho płacząc. Jej matka i Salvo!

– Salvo? – Przez chwilę była bardzo szczęśliwa. Wyciągnęła do niego rękę.

– Dlaczego nikt mnie nigdy nie słucha? – powiedziała Mimoo, szlochając nad różańcem. Artretyzm i łzy sprawiały, że nie mogła dokładnie liczyć paciorków. Przesuwała je tylko niezgrabnie.

– Jak się czujesz, *sorella*? – zapytał Salvo, obracając w drżących palcach kapelusz.

– Gdzie jest Harry? – Gina dotknęła ręką brzucha. – Nic mu nie jest? Co się stało?

Salvo wstał i wyszedł z sypialni, zanim Mimoo zdołała wydusić słowo.

Pokręciła głową.

– Bardzo źle się stało, dziecko – powiedziała. – Harry, Arturo i Joe zostali aresztowani. Razem z tuzinem innych. – Szlochała przez chwilę, modląc się. – Oskarżą ich o morderstwo.

– Morderstwo? Jakie morderstwo? Harry’ego też?

Mimoo płakała jeszcze głośniej.

– Naszego aniołka, Angeli. Twojej kuzynki. Prawie siostry. Nie żyje. Zabłąkana kula. Prosto w serce. Och!

Santa Maria, prega per noi peccatori.

Gina próbowała wstać.

– Połóż się – powstrzymała ją Mimoo. – Nadal krwawisz. To niebezpieczne. Połóż się. Jesteś chora.

Nie chciała się kłaść.

– Dlaczego krwawię?

Matka nie wyjaśniła.

– Mimoo? Salvo!

– Nie wołaj go. Nie jest w stanie z tobą rozmawiać.

– Salvo!

– Straciłaś dziecko, Gia. *Nessuna sofferenza, ma la vita eterna.*

Gina nie chciała już z nikim rozmawiać. Ściskając się za brzuch, odwróciła się do ściany.

– Gdzie jest Harry – szepnęła, lecz nikt nie słyszał. – Potrzebuję mojego męża.

Salvo był tak zdenerwowany, że nie mógł wrócić do pokoju, by ją pocieszyć. Mruczając coś niezrozumiałego, wybiegł z domu.

Nikt nie wiedział, co się stało. W zamieszaniu, pośród strzałów Angelę wciągnięto do sklepu, jak wszyscy myśleli, dla bezpieczeństwa. Policjanci otworzyli ogień, obawiając się, że sami zostaną ostrzelani. Być może Angela została trafiona, jeszcze zanim wciągnięto ją do sklepu spożywczego. Nikt nie miał pewności, ale kiedy tłum się rozproszył, krew Angeli płynęła ulicą, a Arturo i Joe zostali aresztowani. Nie zbliżyli się nawet do Essex Street ani do Angeli. Ale ponieważ należeli do Robotników Przemysłowych Świata, oskarżono ich o podburzanie do zamieszek – innymi słowy o przestępstwo, którego wynikiem była śmierć kobiety. To było morderstwo. Jeśli sąd uzna ich winę, czeka ich egzekucja.

Nikt nie widział chwili, kiedy Angela została postrzelona i upadła. Nikt nie słyszał strzału, który przeszył jej serce. Na ziemi leżały dziesiątki rannych, lecz zmarła tylko jedna osoba. Angela miała dwadzieścia osiem lat, choć potem wszystkie gazety napisały, że Annie LoPizo miała trzydzieści lat, nie wiedząc, że po przyjeździe z Sycylii Angela Tartaro dodała sobie dwa lata, by dostać pracę, która w końcu odebrała jej życie.

Odebrała życie nie tylko Angeli. Przez wiele dni krew płynęła na białe prześcieradła okrywające łóżko Giny.

Bill przedłużał strajk, ale kilka tygodni po śmierci Angeli dobiegł on końca. Trwał sześćdziesiąt trzy dni, wzięło w nim udział pięćdziesiąt tysięcy kobiet, z których jedna zginęła, umarło też nienarodzone dziecko. American Woolen Company przystała na wszystkie warunki i w połowie marca kobiety wróciły do pracy bez umów.

Wszystkie z wyjątkiem Angeli.

8

Joe i Arturo zostali zatrzymani bez prawa wyjścia za kaucją. Ponieważ Harry nie był członkiem Robotników Przemysłowych Świata, oskarżono go o mniej poważne przestępstwo – napaść i niszczenie prywatnej własności. Sąd wyznaczył kaucję, ale nikt nie mógł jej zapłacić.

Musiało minąć trochę czasu, zanim Gina zebrała się w sobie i poszła odwiedzić Harry'ego w więzieniu miejskim w Lawrence. Nie mogła mu spojrzeć w oczy. W końcu

poszła, bo bała się pytań, które mógłby zacząć zadawać. Dlaczego tak długo nie przychodziłaś? Jesteś moją żoną, dlaczego się nie pokazywałaś?

Nie odezwał się. Nie mógł na nią spojrzeć. Nie wyciągnął do niej ręki nad stołem, nie padły żadne słowa pociechy ani wyrzuty. Siedzieli w milczeniu. Gina za bardzo się bała, że się rozplacze, więc zacisnęła usta. Jego nieprzeniknione szare oczy patrzyły na wszystko, tylko nie na nią.

– Dobrze się czujesz? – zapytał w końcu ochrypłym głosem.

Wzruszyła ramionami i skinęła głową, bo nie ufała swojemu głosowi.

– Mogę stąd wyjść?

– Nie wiem jak – odparła. – Nie mamy pieniędzy na kaucję.

– Nie możemy trochę zebrać? To tylko pożyczka.

– To pięćset dolarów, Harry.

– Tylko na jakiś czas. Wydostań mnie stąd.

– Jak niby mam to zrobić? – Zacisnęła dłonie.

– Nie wiem. Ale nie chcę siedzieć w więzieniu. Nie mogę tu zostać.

– Harry, proszę, możesz skontaktować się z ojcem?

Jego szare oczy znieruchomiały. Po chwili zamrugał.

– Nie.

Wstał.

– Harry, proszę. On może ci pomóc. Na pewno pomoże.

– Raz do niego poszedłem, kiedy domagał się pieniędzy, które pożyczył twojemu bratu. Pamiętasz, jak mnie potraktował?

– A jeśli cię skaza? Jeśli pójdziesz do więzienia na długo?

– Prędzej tam zgniję niż poproszę go o cokolwiek.

Gina nie rozumiała.

– Mimoo ma rację. Który ojciec odwróciłby się od syna w tak trudnym położeniu?

– Herman Barrington. Rozumiem. Nie chcesz mnie stąd wydostać? Kiedy mam proces?

– Jesienią. I nie chodzi o to, że nie chcę.

– Jaki mamy teraz miesiąc?

– Marzec.

– Marzec! Gino!

– Co chcesz, żebym zrobiła? – Zawiesiła głos. – Może Duży Bill pożyczyci pieniądze? Na pewno będzie mógł pomóc. Znalazłeś się tutaj przez niego.

– On chyba widzi to inaczej.

– Czyżby? Teraz polegasz na jego oglądzie sytuacji?

– Świetnie, może spróbujesz go podejść taktyką *ad hominem*? Na pewno nie zawiedzie.

Nie mogli rozmawiać i nie rozmawiali o niewypowiedzianym. Kłócili się tylko o to, o co można było się kłócić.

Zanim upłynął czas widzenia, wpatrywali się w siebie w milczeniu, chowając się za pustym wzrokiem i zimnymi słowami.

– Dlaczego nie zostałam pod stołem, jak ci kazałem? – zapytał w końcu Harry.

– Zostałam. Ale stół się zawalił. Namiot też. Upadłam.

– Po co w ogóle tam poszłaś? Mówiłem ci, żebyś nie chodziła na Essex Street.

– Kazał mi tam iść twój szef. Miałam jakiś wybór? Próbowałam cię znaleźć. Może gdybyś mnie posłuchał i trzymał się z dala od tego człowieka...

Harry zerwał się z krzesła.

– Skończyliśmy? Chyba tak.

– Nie siedziałbyś w więzieniu, to chciałam powiedzieć.

– Tak, oczywiście, to chciałaś powiedzieć.

– Chcesz, żebym do niego poszła? Poprosiła go o pięćset dolarów?

– Nie.

Wstała.

– Tak myślałam. Do zobaczenia w przyszłą niedzielę.

Postawiony w stan oskarżenia Harry powiedział, że nie jest członkiem Robotników Przemysłowych Świata i nie płaci składek, ale wstąpi do związku, gdy tylko odzyska wolność.

– A zatem, panie Barrington, musimy zadbać, żeby pan jej nie odzyskał.

Elton Purdy, hałaśliwy obrońca z urzędu, którego przydzielono Harry'emu, choć przepracowany i obojętny, był na tyle bystry, by zapytać, dlaczego ustanowiono tak wysoką kaucję. Powiedział do sędziego, że wydaje się bardzo krzywdząca. Na odpowiedź trzeba było czekać długą chwilę. Sędzia przyznał w końcu, że na wysokość kaucji wpłynął fakt, że Harry jest synem Harolda Barringtona. Zwyczajowa niska kaucja nie przysługiwała osobom takim jak Barringtonowie, lecz zwykłym mieszkańcom Lawrence, którzy nie mogli zebrać pięćdziesięciu dolarów, a co dopiero dziesięć razy więcej. Obrońca z urzędu z powodzeniem argumentował, że syna nie powinno się karać za bogactwo ojca, z którym nie utrzymuje żadnych kontaktów. To podpadało pod okrutne traktowanie.

– To tak jakby ustalić wysoką kaucję, ponieważ John Paul Getty jest bogaty, wysoki sędzie. Mój klient nie rozmawiał ze swoim ojcem od siedmiu lat. Ma równie wielkie prawo do kont Hermana Barringtona jak do kont pana Getty'ego. To właśnie próbuję powiedzieć.

Sędzia zastanawiał się nad wnioskiem dwa dni.

Harry'ego zwolniono bez kaucji za jego ustnym poręczeniem.

Pod koniec września pomimo wulkanicznych przekleństw miotanych przez Ginę Harry wziął udział w marszu poparcia dla Joego i Artura.

– Wrobili ich, Gia, dobrze wiesz. Zarzuty przeciwko nim są fałszywe. Oskarżają ich teraz o podłożenie tych niezdetonowanych bomb w Wood Mill. Wiesz, że nie mieli z tym nic wspólnego. Wystawili ich. Nie będę tego tolerował. Ty też nie powinnaś. To nasi przyjaciele.

– Angela nie żyje – odparła. – Nie są moimi przyjaciółmi.

Na marszu nie było amerykańskich flag, za to wiele czerwonych i transparentów głoszących anarchistyczny slogan: „Bez boga, bez pana”. Obecność Harry'ego zauważyli ludzie z biura prokuratora okręgowego.

Kilka tygodni później w październiku sto tysięcy uczestników i obserwatorów parady z okazji Dnia Kolumba zademonstrowało wiarę Lawrence w demokrację i amerykański sposób życia. Harry nie wziął udziału w tych uroczystościach, co władze również skrzętnie

odnotowały.

Joe i Arturo pozostali w areszcie do listopada 1912 roku, kiedy wreszcie rozpoczął się proces. Parę dni wcześniej ich stary przyjaciel Eugene Debs wyrzucił Dużego Billa Haywooda z Partii Socjalistycznej i otrzymał milion głosów w wyborach prezydenckich. „Wybieralny urząd stanowi tylko jeden krok w stronę rewolucji”, powiedział w wygłoszonej po porażce mowie, uznając wyższość Woodrowa Wilsona.

Joe i Arturo uczestniczyli w procesie zamknięci w metalowych klatkach. Mimo że groził im wyrok śmierci, obaj mieli dość śmiałości, by sami bronić się przed zarzutem morderstwa.

Arturo tłumaczył, że jest niewinny, elokwentnie, jak na poetę przystało.

– Kochałem ją – powiedział. – Nigdy bym jej nie zabił. Nigdy nie naraziłbym jej na niebezpieczeństwo. Była moim dobrym, prawdziwym przyjacielem. Kocham życie, więc nigdy nie naraziłbym na niebezpieczeństwo ani życia, ani duszy, a tym przecież byłoby morderstwo. Zapytajcie tych, których kocham, zapytajcie moją rodzinę. Na wolności czeka kobieta, którą kocham i która kocha mnie. Mam rodziców, którzy modlą się o moje zwolnienie. Mój drogi przyjaciel Joe Ettor i ja jesteśmy tylko szeregowcami w potężnej armii, którą nazywamy klasą robotniczą świata.

Prokurator powiedział mu, że celowo źle interpretuje stawiane mu zarzuty. Jest sądzony za morderstwo, a nie za poglądy polityczne.

– Nie! Tutaj sądzi się komunizm! – wykrzyknął Arturo, broniąc swojego życia. – To nie ma nic wspólnego ze śmiercią tej biednej dziewczyny. Czy prokurator okręgowy naprawdę wierzy, że szubienica może zniszczyć ideę? Idea żyje, bo osądza ją historia. Joe, ja i nasz przyjaciel Harry również prosimy tylko o sprawiedliwość. Mam takie, a nie inne poglądy społeczne. Jestem imigrantem. Przybyłem do tego kraju szukać wolności. Podobnie jak moja religia, moje poglądy polityczne nie mogą być sądzone w tej sali.

Uśmiechnięty Joe w swojej płomiennej mowie do ławy przysięgłych utrzymywał, że udział w strajku generalnym dyktują nakazy moralne, i nawoływał do obalenia kapitalizmu, który jest z natury niemoralny.

– Nie można się spierać z brakiem moralności, jakby miała głos i rozum, jak z równym partnerem w dyskusji! To niemożliwe. Nie jesteśmy winni. Jesteśmy komunistami! A bycie komunistą nie jest jeszcze zbrodnią w tym kraju, prawda?

Zelektryzowany Harry siedział w sali sądowej i wszystko chłonał. Na Ginie jego zachowanie nie robiło najmniejszego wrażenia. A na Mimoo mowa Artura.

– Mówiłam ci, Gino, ten człowiek to nic dobrego. Słyszałaś, jak powiedział, że czeka na niego inna kobieta, którą kocha? Biedna Angela! Biedna dziewczyna.

– Mimoo, czy to wszystko, co zapamiętałaś z ich przemów? – Gina starała się stłumić gniew, jaki wzbudziły w niej rewelacje Artura.

– Zapamiętałam najważniejsze – odparła Mimoo. – Nigdy nie kochał naszego świętego, pięknego, umęczonego dziecka, a ona latała za nim jak uczennica. I po co? Cała ława przysięgłych zalała się łzami po tej pięknej fałszywej mowie! A gdzie jest nasza Angela? Na cmentarzu Najświętszej Marii Panny, ot co. Ile razy powtarzałam jej, żeby mnie posłuchała? Wiem wszystko. – Modliła się z płaczem.

– Mowa nie była fałszywa – zaprotestował Harry, który zwykle nie spierał się z Mimoo.

– To była szczerą próbą zaprotestowania przeciwko obarczaniu ich winą.

– Jak dla mnie za dużo protestują – odparła Mimoo. – To protestowanie wpakowało ich w te kłopoty i zabiło naszą Angelę.

– Mimoo, ty i twoja córka jesteście imigrantkami – zaczął Harry. – Walczyli o wasze prawa. Stali po waszej stronie, sprzeciwiając się chciwości kapitalistów, którym wcale nie chodzi o wasze dobro, tylko o zarabianie pieniędzy. Jak możesz nie szanować tego, co zrobili?

Mimoo parsknęła śmiechem. Rzuciła kilka słów po włosku, których nie przetłumaczyła, nawet gdy ją o to poprosił.

– Harry, jesteś wykształconym człowiekiem – powiedziała. – I czytany. Stale siedzisz z nosem w książce. Nasz rachunek za prąd jest najlepszym dowodem na to, ile czytasz. Masz wiele wspaniałych cech. Ale są rzeczy, o których nie masz pojęcia, a ja akurat mogę o nich co nieco powiedzieć.

– Powiedz mi, Mimoo, o czym nie mam pojęcia.

– Po pierwsze o uczuciach ojców do synów.

Kiedy tylko to powiedziała, cała trójka siedząca na ławce przed salą sądową podczas przerwy spuściła głowy. Minał sierpień, a wraz z nim szansa Harry’ego i Giny, by przekonać się, co czują rodzice do swoich dzieci.

– A po drugie? – zapytał szybko Harry.

– Wiesz, kim jest Guilherme Medeiros Silva?

– Raczej nie.

– No i dlatego jesteś ignorantem.

Harry czekał. Odwrócił się do Giny.

– Wiesz, kto to jest?

Gina westchnęła.

– Mimoo, zostaw go w spokoju. Co chcesz osiągnąć?

– Czy chcę wiedzieć, kto to jest? – zapytał Harry.

– Nie – odparła Gina.

– Guilherme Junior urodził się w tym kraju – powiedziała Mimoo – w chacie niedaleko Martha’s Vineyard, ale był synem portugalskich imigrantów z Azorów. Jego ojciec pływał na statku wielorybniczym. Zginął, gdy chłopak miał dwanaście lat.

Harry rozłożył ręce.

– W porządku.

– Guilherme rzucił szkołę, by utrzymać matkę i młodsze siostry. Dostał pracę w przędzalni bawełny w New Bedford. Pracował bardzo ciężko i pracodawca go zauważył. Awansowali go. Nauczył się wszystkiego o wytwarzaniu materiałów, produkcji i kosztach. Kiedy skończył osiemnaście lat, pojechał do Filadelfii, by studiować finanse. Po powrocie przyjął pracę w fabryce, ocalił ją przed bankructwem i zaczęła przynosić zyski. Wtedy poproszono go, by uratował inną przędzalnię. Uratował także osiem fabryk, które stały na krawędzi bankructwa. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy z twoją żoną i jej bratem przyjechaliśmy do Ameryki, zaczął budować największą przędzalnię na świecie. Tę, która produkuje dwadzieścia procent wełny w Stanach Zjednoczonych.

– Przędzalnię Wooda? – zapytał Harry.

– Tak. Nazwał ją na swoją cześć. William Madison Wood to amerykańskie nazwisko małego Guilherme'a Silvy, urodzonego w chacie wielorybnika. Imigranta jak twoja żona. To twój chciwy kapitalista, dzięki któremu odbudowano to miasto i którego biznes rzuciłeś na kolana. Teraz idź pikietować.

Ława przysięgłych ustaliła werdykt: dwóch Włochów zostało uwolnionych od wszelkich zarzutów. Jednak dwa tygodnie później Harry, oskarżony o znacznie mniej poważne wykroczenie zakłócania porządku publicznego, został skazany na półtora roku więzienia zamienione na dwa miesiące więzienia i dwa lata nadzoru sądowego.

Kiedy Harry odsiadywał wyrok w styczniu i lutym 1913 roku, Duży Bill przestał mu wypłacać pensję.

– Ale powiedz mu, że organizuję nowy projekt – powiedział do Giny, gdy przyszła po pieniądze. – Jeszcze większy niż w Lawrence. Kiedy tylko wyjdzie, znów będę mu płacił, bo potrzebuję jego pomocy. Tym razem będą to fabryki jedwabiu w Paterson w stanie New Jersey. Zbieramy siły.

Kiedy Gina poskarżyła się na brak pensji, Bill cierpliwie wytłumaczył jej, że nie można płacić człowiekowi, jeśli nie pracuje.

– To prosta droga do anarchii – dodał. – A przecież nie jesteśmy anarchistami. No, może ty jesteś. Jak większość kobiet. Ale my jesteśmy komunistami.

Rok po strajku w Lawrence umowy, które Duży Bill pospiesznie wynegocjował z Przędzalnią Wooda, zostały zerwane i większość korzyści opłaconych krwią Angeli i dziecka Giny przepadła. Musiało minąć wiele miesięcy, zanim miasto pozbierało się po niszczących efektach strajku. Niektórzy twierdzą, że nigdy się nie podniosło. Kiedy przędzalnie w obu Karolinach zaczęły produkować wełnę i wełnę czesankową za ułamek ceny wełny z Północy, American Woolen Company wycofała się z interesu, a Lawrence razem z nią.

Gina czuła, że ona i Harry nigdy się nie pozbiali.

Rozdział trzeci

Szafarka pomocy

I

Najważniejsze to się ukryć. W 1905 roku, zaraz po ucieczce i ślubie z Harrym, Gina z trudem ukrywała się przed samą sobą, ale pewną pociechą było to, że jest anonimowa dla innych. Nie chciała stawać w obliczu pytań, na które nie mogła odpowiedzieć ani w Lawrence, ani w Bostonie.

Dlaczego nie wróciłaś na studia? Dlaczego on nie pracuje? Dlaczego nie wzięliście ślubu jak należy? Gdzie jest jego rodzina? Co się stało z jego pieniędzmi? Czy nie miał się żenić z inną?

Kiedy pojechała odwiedzić swoją dawną przyjaciółkę Verity, prawie nie rozmawiały o przeszłości, gdyż Verity miała pełne ręce chaotycznej terażniejszości.

W większości wypadków Gina potrafiła się ukryć przed strasznymi rzeczami.

Ale nie wszystkimi.

Pragnąc wyciągnąć Verity z małego mieszkania na czwartym piętrze kamienicy w Back Bay, Gina przekonała ją, by zostawiła czwórkę dzieci z mężem i pomogła jej w pracy dla sodalicii, do której zgłosiła się podczas weekendów. Zabrała Verity do szpitala Massachusetts General na oddział dla śmiertelnie chorych kobiet, a potem do biblioteki w Bostonie, gdzie sortowały pudła darów. Wpadły do lodziarni, a na koniec udały się do kościoła Świętego Łazarza przy Clarendon. W piwnicy niedawno stworzono kuchnię dla ubogich i późnymi sobotnimi popołudniami przed wieczorną mszą Gina karmiła tam biednych. Lubiała to robić, zanim przyjęła komunię.

Prawie skończyły wydawać kaszę, fasolę i chleb, gdy tylnymi schodami do piwnicy weszły wysoka dostojna kobieta i drobna blondynka w towarzystwie proboszcza.

– O mój Boże – szepnęła Gina do Verity i zamarła. – To Esther. I Alice! – Gorączkowo rozejrzała się w poszukiwaniu drzwi, przez które mogłaby uciec, spiżarni, w której mogłaby się schować.

– Kim są Esther i Alice? – zapytała normalnym głosem Verity.

– Siostra Harry’ego i jego była narzeczoną!

– Och, oczywiście. Dlatego rozpoznałam...

– Ćśś! Spuść wzrok!

Gina nie potrafiła sama pójść za swoją radą. Ojciec Gabriel z szacunkiem podtrzymywał blondynkę za łokieć, pokazując obu kobietom skromnie urządzoną salę i kilka łóżek w rogu. Potem podprowadził je do miejsca, gdzie wydawano posiłki. Gina pomyślała, że zaraz stanie jej serce. Dlaczego musiała włożyć wesołą sukienkę w kwiatki, dlaczego spięła włosy tak luźno, że wymykające się kręcone pasma okalały jej twarz, dlaczego musiała tu przyjść akurat dzisiaj? Wieczorem nad rzeką Charles odbywał się piknik, planowały z Verity zabrać tam dzieci, ale dlaczego nie mogła prezentować się bardziej elegancko i godnie? Spuściła głowę i nadal wydawała posiłki, myląc talerze, rozlewając, brudząc. Podeszli tuż, tuż.

I zatrzymali się.

Ach ten ojciec Gabriel. Uroczy, nieświadomy niczego, pełen najlepszych intencji.

– Szanowne panie, to Verity i Gina. Pracują u nas jako wolontariuszki, pomagają nam przygotowywać jedzenie, wydawać je, a potem sprzątać. Zwłaszcza Gina jest bardzo oddana tej pracy. Jest imigrantką z Sycylii i mieszka pięćdziesiąt kilometrów stąd w mieście niedaleko Andover. Gino, przypomnij mi, gdzie mieszkasz? W każdym razie przyjeżdża tu co sobotę. Prawda, Gino?

– Tak, ojcze.

– Podnieś głowę, dziecko, zachowuj się uprzejmie.

Nie mogła. Cała krew z twarzy spłynęła do serca, które zaraz miało wybuchnąć w piersi.

– Gina bardzo dobrze mówi po angielsku. Przypomnij mi, jak masz na nazwisko? Niedawno wyszła za mąż i zmieniła nazwisko na jakieś amerykańskie. Nie mogę zapamiętać.

Gina milczała. Nie była w stanie wydusić słowa! Nawet stojąca obok niej Verity rozlała zupę.

Jedyny dźwięk wydała Alice – gwałtownie wciągnęła bardzo potrzebne powietrze.

Po kilku sekundach przerażającej ciszy odezwała się Esther, która nigdy nie zapominała o dobrych manierach, a tym bardziej w obecności sympatycznego księdza, który mógłby się poczuć urażony ich milczeniem. A przecież wystarczyło jedno słowo.

– Barrigton – powiedziała lodowato uprzejmym kontraltem, być może zapominając o innych elementach dobrego wychowania. – Wydaje mi się, że Barrington. Prawda?

Czy to ostatnie pytanie było adresowane do niej? Gina nie wiedziała, ponieważ nie zamierzała podnosić głowy do końca życia.

Ojciec Gabriel roześmiał się przyjaźnie.

– Nie, droga Esther, nie chodziło mi o pani nazwisko, tylko o jej. Dziewczęta, te dwie damy należą do grona naszych najbardziej hojnych darczyńców. To dzięki nim ubodzy mają jedzenie i miejsce do spania.

– Skoro mowa o miejscach, ojcze – zaczęła Alice. – Musimy się niedługo znaleźć w innym. Pójdziemy więc. Prawda, Esther?

– Rzeczywiście, pora na nas najwyższa. Ojcze, proszę nam wybaczyć.

– Jezu Chryste, zmiłuj się! – wykrzyknęła Verity, gdy ksiądz i kobiety się oddalili.

– Ćśśś!

– Zaraz zemdleję!

– Ty? Verity, ćśś! Nie podnoś głowy, tylko...

Kiedy Gina zerknęła, ojciec Gabriel błogosławił obie panie przy tylnych drzwiach.

Gina obserwowała, jak Alice zawiązuje wstążki kapelusza pod brodą i zapina lekki jedwabny płaszcz. Piękny i elegancki. Nie z surowej sycylijskiej bawełny, lecz z kremowego jedwabiu. Patrzyła na jej szczupłe wyprostowane plecy, dumne ramiona, nieskazitelną fryzurę. Wyprostowała się pewna, że przed wyjściem Alice odwróci się i osadzi ją na miejscu lodowatym spojrzeniem. Jak robiła to Esther. Gina wyprostowała się, gotowa przyjąć to, na co zasłużyła.

Alice jednak się nie odwróciła. Wzięła parasolkę, uśmiechnęła się do księdza, ujęła Esther pod ramię i nie oglądając się, wyszła.

Gina oniemiała. Niewidzialna pomimo wysokiego wzrostu, nieważna pomimo dumnej postawy, upokorzona pogardliwym milczeniem Alice, uzmysłowiła sobie, że celowe zignorowanie jej przez byłą narzeczoną Harry'ego było o wiele gorsze od konfrontacji z Esther.

Zdjęła fartuch i wytarła ręce w ścierkę.

– Przepraszam, Verity, zaraz wrócę.

– Dokąd idziesz?

– Zaraz wrócę.

Pobiegła za Alice.

Czy chciała doprowadzić do sycylijskiej sceny? Czy chciała, żeby Alice wydrapała jej oczy, podarła ubranie, krzyczała i płakała, odstawiła *sturm und drang*? Sama nie wiedziała.

Dogoniła je, biegnąc – a przecież damy nie biegają – przecnicę w dół Commonwealth, potargana, w zabłoconych butach, ze splątanymi włosami. Alice i Esther zatrzymały się i stały ramię w ramię, Alice w eleganckim kapeluszu, pięknych rękawiczkach i szarobrazowym szalu, który podkreślał jej jasną urodę. Wyglądała jak źródło krystalicznie czystej wody.

– Alice – powiedziała zadyszana Gina. – Możemy zamienić słowo?

– Proszę, odsuń się – odparła Esther, niemal dotykając jej wierzchem dłoni, jakby chciała ją odpędzić. – Nie chcemy z tobą rozmawiać.

Alice jej przerwała:

– W porządku. Wybacz nam na moment, Esther. To zajmie tylko minutę.

Gina żałowała ogromnie, że nie jest lepiej ubrana. W tej chwili dałaby wszystko, żeby nie osądzano jej na podstawie starych butów, zniszczonej sukienki, która dwa lata temu wyszła z mody. Ileż by dała, żeby te kobiety nie myślały, że Harry zasługuje na coś znacznie lepszego.

– Powiedz mi, dlaczego to robisz – rzuciła Alice.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Głos Giny zadrżał. Nie bała się Alice, było jej tylko przykro i smutek powstrzymywał ją przed wypowiedzeniem najprostszycy przeprosin.

– Twoje nazwisko pojawia się na listach sodalicyj w całym Bostonie. Dlaczego? Po co chodzisz do szpitali, które wspieram, do bibliotek, którym przekazuję książki, kościołów, w których rozdają jałmużnę? Jakie korzyści z tego czerpiesz? Czy sądzisz, że przez to będę cię mniej nienawidzić?

Gina pokręciła głową, potem skinęła, oniemiała, zawstydzona.

– Czy robisz to w ramach jakiejś wypaczonej pokuty? Myślisz, że jeśli będziesz karmić biednych jedzeniem, za które ja płacę, Bóg spojrzy na ciebie łaskawiej?

– Może tak – szepnęła Gina.

Alice przemawiała silnym głosem. Prawie nie mrugała powiekami, a jej błękitne spojrzenie kryło pogardę.

– Marnujesz czas. Nic nie sprawi, że będę nienawidziła ciebie i jego mniej. Nic. Możesz mu to powiedzieć. Nic, co zrobisz, nie zmieni nigdy tego, co już zrobiliście.

Na te słowa Gina mogła zareagować.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nawet nie przyszedł, żeby mi powiedzieć, że się ze mną nie ożeni. Do kościoła wnoszono kwiaty, gdy się o was dowiedziałam.

– Proszę, wybacz nam.

Zanim Alice odwróciła się, by dogonić Esther, pochyliła się w stronę Giny.

– Myślisz, że Bóg mógłby pobłogosławić związek, który zaczął się od takiej hańby? – Roześmiała się. – Esther ma rację. Proszę – dodała, odwracając się tyłem do Giny – zadbaj, żebyśmy się już nigdy nie spotkały.

Gina przestała odwiedzać Verity, chodzić na demonstracje, pracować w kuchniach dla ubogich i szpitalach. Nie było już parad, parków i marzeń o wiosennych przejażdżkach łodzią po rzece Charles.

Jej ukochany Boston stał się miejscem koszmarów, nie wyjeżdżała z Lawrence i zmuszała się, by nie myśleć o przeszłości, przyszłości i teraźniejszości. Starła się nie myśleć o niczym, gdy rozpamiętywała grozę ukrytą w słowach Alice. Modliła się, by Alice nie miała racji, miała nadzieję, wierzyła, że nie ma.

Aż do czasu strajku Chleba i Róż.

2

Wiosną 1913 roku Gina pojechała pociągiem i autobusem do Wayside w Concord, by spotkać się ze swoją dawną przyjaciółką i mentorką Rose Hawthorne. Najmłodsza córka Nathaniela Hawthorne'a poświęcała drugą połowę życia na opiekę nad ludźmi potrzebującymi i znajdującymi się w rozpaczliwym położeniu, a Gina rozpaczliwie potrzebowała opieki. Znała Rose z czasów szkoły średniej, kiedy razem z innymi uczennicami Notre Dame jeździła do Salem i Concorde, by w ramach sodalicyj pracować w domu opieki Rose.

– Dziecko, tak się cieszę, że cię widzę – powiedziała Rose z uśmiechem, drobna, lecz silna, jak zawsze ubrana w zakonny habit. – Nie widziałam cię od tamtego wieczoru przed laty, gdy przyjechałaś przedstawić mi swojego narzeczonego. Jak się miewa Harry?

Gina długo siedziała w fotelu w saloniku i wyplakiwała się w rękaw Rose. Rose, pełna współczucia, milczała. Nie musiała nic mówić. Przemawiała tylko jej dłoń, która gładziła Ginę po plecach. No już, już.

– Chodź ze mną do kuchni. Zaparzę ci herbaty. Będziesz musiała przejść obok łóżek śmiertelnie chorych. Nie masz nic przeciwko temu?

– Straciłam dziecko – powiedziała Gina, gdy usiadły przy stole w kuchni.

– Niech Bóg ma cię w opiece. Tak mi przykro. Wiem, jak to boli.

Gina skinęła głową, myśląc, że to tylko słowa. Co Rose mogła wiedzieć o tym bólu?

Rose ze swoją miłą okrągłą twarzą pochyliła się i szepnęła:

– Wiem, jak to jest stracić kogoś, kogo kochasz. Tak jak twój mąż stracił matkę, ja w wieku trzynastu lat straciłam ukochanego ojca. Był zbyt młody, by umrzeć.

– Mój też. Umarł, gdy miałam czternaście lat – powiedziała Gina. – Tęsknię za nim codziennie.

– Tak jak twój mąż za matką?

– Nie wiem. Nigdy o niej nie mówi.

– Takie rany są bardzo głębokie, moje dziecko.

Gina otarła twarz i wyprostowała się na krześle.

– Najpierw odszedł mój ojciec – mówiła Rose – potem siostra i matka. A potem mąż. Tak, Gino, miałam męża. Straciłam go, bo nie mógł znieść rozpacz. – Zawiesiła głos. – Rozpacz po utracie naszego czteroletniego synka, którego dyfteryt zabrał tak szybko, jak szybko Frankie pojawił się w naszym życiu.

Teraz to Gina pogładziła czarny habit Rose. Czy to było nie na miejscu? No już, już. A więc wiedziała.

– Cierpiałam tak jak ty – powiedziała Rose. – Z ostatnim oddechem Frankie’ego skończyło się wszystko.

– Czuję dokładnie tak samo – szepnęła Gina.

– Ale ty jesteś młoda, jeśli Pan pobłogosławi, możesz jeszcze mieć dzieci. Ja miałam prawie czterdzieści lat. I już nie mogłam. Mój biedny George zupełnie się załamał. Zaczął pić, by utopić smutek, i alkohol w końcu go pokonał. – Do oczu Rose napłynęły łzy, przeżegnała się drżącą ręką. – Cokolwiek zrobisz, moje dziecko, trzymaj się z dala od alkoholu. On zatapia wszystko jak największe fale.

– O to proszę się nie martwić – powiedziała Gina. – Alkohol mi nie smakuje. – Siedziały przez chwilę w milczeniu. – Rose, przepraszam – szepnęła w końcu Gina. – Przyjechałam tutaj, bo nie wiem już, jak mam sobie pomóc. Ani mojemu mężowi.

– Też tak czułam – odparła Rose. – Ale potem otworzyłam dom dla umierających kobiet, które nie miały nikogo. Zająłam się cierpieniem innych. Czasami, w ciągu dnia, to pozwala mi zapomnieć.

– Myśli pani, że to powinnam zrobić? Otworzyć dom dla umierających?

Rose zaśmiała się cicho.

– Nie. Ale powiedz mi, jak się miewa Harry? On też z pewnością cierpi straszliwie z powodu utraty dziecka.

Gina zacisnęła pięści, a potem złożyła dłonie jak do modlitwy.

– Nigdy o tym nie rozmawiamy. – Uniosła dłoń, by powstrzymać Rose przed powtórzeniem wcześniejszych słów. – To było... Nie wiem, jak to ująć... jak wspólna wina.

– Obwinia cię?

– Chyba mógłby.

– A ty jego?

Nie chciała okłamywać zakonnicy.

– Nie uważam, by był bez winy. – Przyjazd do Rose i rozmowa z nią przypominały sakrament pojednania.

– To jak wolno działająca trucizna.

Gina zwiesiła głowę.

– Wiem. Próbowałam zostawić to za sobą. – Wykrzywiła usta. – Ale on mi tego nie ułatwia. Siedział w więzieniu z powodu problemów podczas strajku Chleba i Róż. Słyszała pani o tym?

– Niestety nie. Tutaj jest tyle smutku, że nie mam czasu czytać gazet.

– Rozumiem. Pomyślałam, że kiedy go zwolnią, zaczniemy życie na nowo, może znów spróbujemy... ale kiedy tylko go zwolnili, spakował się i wyjechał.

– Porzucił cię?

– Nie, ale... – Nie wiedziała, jak to ująć. – Poprosił, żebym z nim pojechała. W tej chwili bierze udział w innym strajku, w Paterson w stanie New Jersey.

– New Jersey?

– Zorganizował go człowiek, który zatrudnia Harry'ego. – Gina westchnęła. – Harry mówi, że potrzebujemy pieniędzy. I rzeczywiście potrzebujemy. Ale nie mogę zostawić matki, pracy. To szczęście, że mam pracę. Więc teraz przysyła mi pieniądze, ale nie było go w domu od wielu tygodni. – Zadrżały jej usta. Nie chciała wyznać Rose, co dawno temu powiedziała Alice i co wryło jej się strachem w serce, bo brzmiało zbyt prawdziwie. Czy źle jest budować małżeństwo, nawet tak niekonwencjonalne jak ich, na zgliszczach czyjegoś serca?

Pieniądze kapały razem z pocztą. Harry, zamiast leżeć obok niej w łóżku, znów pakował się w kłopoty. A jedwabny strajk w Paterson był brutalny, nie miał końca i czekała go porażka. Nie. To Duży Bill i jego radykalizm ponosiły odpowiedzialność za stopniowy rozkład jej małżeństwa.

Rose przyglądała się zmartwionej twarzy Giny.

– Jeśli masz czas w soboty i niedziele, może przyjedziesz i pomożesz mi tutaj? Wiesz, że nie mogę ci zapłacić. Z zasady nikomu nie płacimy, ale na pewno przyda nam się para sprawnych rąk. Mogę ci zapewnić wyżywienie. I możesz spać w Wayside, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– A co z moją matką?

– Nie masz brata?

– Tak, ale...

– Chłopak również może zaopiekować się matką jak należy. Poproś brata, żeby był dobrym synem, gdy ty będziesz mi pomagać.

Gina zdjęła płaszcz.

– Nie ma co marudzić – powiedziała. – Mogę zacząć od razu.

– Warunki nadal są spartańskie – powiedziała Rose do Giny, gdy oprowadzała ją po oddziale mieszczącym się w długiej przybudówce i pokazywała, gdzie trzymają balsamy, bandaże, gąbki i baseny. – Nie przyjeżdżaj, gdy znów będziesz oczekiwać dziecka. Na wszelki wypadek. Czasami mamy też trędowatych. A to bardzo zaraźliwe. W powietrzu unoszą się zarazki najróżniejszych chorób. Jeśli Bóg znów pobłogosławi cię dzieckiem, nie wdychaj powietrza śmierci. Obiecujesz?

– Jeśli strajk będzie się przeciągał, szanse na to są niewielkie – odparła Gina. – Ale jak pani udaje się uniknąć zarażenia?

Rose uśmiechnęła się i uniosła dłonie i oczy do sufitu.

– Bóg wszelkiej pociechy, ten, który nas pociesza w każdym naszym utrapieniu, byśmy sami mogli pocieszać tych, co są w jakiegokolwiek udreće[3]. – Rose objęła Ginę ramieniem. – Jesteś dobrą dziewczyną i wszystko się ułoży. – Pochyliła się poufale. – Gdy zaczęłam się opiekować nieuleczalnie chorymi, nie miałam żadnego doświadczenia. Tak. Nie bądź taka zdziwiona. Ale jak mój drogi ojciec, zawsze fascynowałam się medycyną. Wiedziałaś, że zanim został pisarzem, chciał być lekarzem? Niewiele osób wie. Jak myślisz? Dokonał właściwego wyboru?

– Trudno się nie zgodzić. Jego książki są błogosławieństwem dla tak wielu.

– Chyba tak. Ale proszę, nie mów nikomu, że nie mam żadnego przygotowania, bo na pewno zamkną ten dom. Chodź ze mną. Słyszę Alice.

Gina zbladła.

– Nie tę Alice – uspokoiła ją Rose. – Moją Alice. Wróciła z obchodu. Dwa razy w tygodniu popołudniami odwiedza chorych w Concord. – Zawiesiła głos. – To dziwne, że tamta Alice nadal nie daje ci spokoju.

– Co mogę powiedzieć? – Gina pokiwała głową. – Na pożegnanie rzuciła mi kilka słów, których nie mogę się pozbyć z serca. Jak salwę na pożegnanie. Kiedy wszystko się komplikuje, myślę tylko o tych słowach.

– Najwyraźniej tkwi w nich maleńkie ziarnko prawdy.

– Nawet nie maleńkie. – Gina wskazała drzwi. – Chodźmy się przywitać.

W holu frontowym powitała je pulchna, poważna kobieta.

– Gino – powiedziała Rose – pamiętasz moją przyjaciółkę i współpracownicę Alice Huber?

Gina skinęła głową i uścisnęła dłoń Alice.

– Malowała kiedyś portrety – powiedziała Rose z pełnym dumy uśmiechem.

– Sama opowiem o sobie, kochana. – Alice ujęła Ginę pod drugie ramię. Otoczona dwoma drobnymi siostrami wysoka Gina szła przez oddział pośród łóżek umierających ludzi. – Rzeczywiście malowałam portrety. Ale nie miałam do tego serca. Szukałam czegoś innego. Powiedziałam, że kiedy znajdę idealną działalność dobroczynną, chętnie się przyłączę. No i jestem.

– To nie jest praca dla wszystkich, Alice – odparła Rose. – Nie osądzaj ludzi. – Podniosła wzrok na Ginę. – Moja przyjaciółka bywa czasami zbyt krytyczna. Stale jej powtarzam, że to ludzie są panami swoich dusz, nie ona.

– Słucham cię, Rose?

– Bardzo rzadko.

– No właśnie. Wiesz, Gino – ciągnęła Alice – że zanim wybudowaliśmy tę małą przybudówkę, chorzy leżeli w Wayside należącym do Rose?

– Nawet nie było moje – roześmiała się Rose. – Wyobraź sobie, co czuła moja droga Harriet. – Wayside był jedynym domem należącym do Nathaniela Hawthorne’a. W 1879 roku, wiele lat po jego śmierci, Rose i George odkupili ukochany dom, by pozostał w rodzinie. Jednak cztery lata później trudności finansowe zmusiły ich do sprzedania domu wydawcy George’a i jego żonie, Harriet Stone, znanej jako Margaret Sidney, autorce książek dla dzieci.

– Kapałyśmy ich i zmieniałyśmy opatrunki w salonie.

Rose skinęła głową.

– Latem stawiałyśmy łóżka na werandzie. Mój ojciec siadywał tam z poranną herbatą.

– A w Nowym Jorku pielęgnowałyśmy chorych w trzech mieszkaniach z zimną wodą na Lower East Side. I dałyśmy radę. Oni też.

– Bo naszym celem nie była wygoda – powiedziała Rose. – Musiałyśmy zrobić coś, by pocieszyć inne serca, a nie nasze. Chciałyśmy zabrać tych najbardziej doświadczonych biedą i cierpieniem i umieścić ich w takich warunkach, że gdyby Pan zapukał do naszych drzwi, mogłybyśmy go wpuścić bez wstydu.

– Chodźmy więc pocieszyć inne serca, a nie nasze – odezwała się Gina, podwijając rękawy. – Może uda nam się sprawić, że nasz Pan będzie dumny.

Minęło osiemnaście miesięcy.

4

W październiku 1914 roku w kuchni w Wayside Gina gotowała rosół z kurczaka dla pacjentów przybudówki i zmywała podłogę, gdy pukanie do szklanych drzwi na tyłach wyrwało ją z zamyślenia. Zrobiło się późno, a czekała ją długa droga powrotna do Lawrence. Otworzyła drzwi i ujrzała przed sobą Bena Shawa. Zdjął kapelusz, skłonił się lekko i uśmiechnął.

– Ben? – Ledwo go poznała, gdyż nie widziała go od blisko piętnastu lat.

Objęli się jak starzy przyjaciele i pocałowali w oba policzki jak Europejczycy. Gina instynktownie podniosła ręce, by poprawić stale rozsypujące się włosy. Uśmiechnęła się z radością na widok znajomej twarzy, żałując, że wygląda tak nieporządnie.

– Benjaminie, oniemiałam na twój widok!

– Dlaczego? – zapytał wesoło. – Myślałaś, że nie żyję?

Ben był w Panamie, gdzie jako inżynier nadzorował budowę kanału. Nadal mówił sympatycznym tenorem, a jego twarz była urodziwa jak zawsze. Gdy patrzył na Ginę, jego ciemne oczy lśniły, lecz był teraz dorosłym mężczyzną, a nie zapalczywym, zauroczonym swoją wizją chłopcem. Krótko obcięte ciemne włosy posiwiały na skroniach. Nosił idealnie przystrzyżoną szpakowatą bródkę, był chudy i bardzo opalony. Tak opalony, że gdyby Gina nie wiedziała, skąd przyjechał, mogłaby pomyśleć, że znad Morza Śródziemnego. Pod przyjaznymi oczami i wokół spalonych przez słońce ust rysowały się zmarszczki. Nosił

okulary w drucianych oprawkach, które nadawały mu wygląd poważnego naukowca. A jednak kiedy się uśmiechnął, był tym samym kochanym Benem.

Wszedł do środka, położył na stoliku kapelusz i powiesił na wieszaku wełniany płaszcz. Miał na sobie elegancki szary garnitur z serży, białą koszulę i jedwabny krawat. Wyglądał bardzo nowocześnie, jak człowiek sukcesu. Czarne buty były świeżo wypolerowane. Sam Ben też sprawiał wrażenie, jakby go świeżo wypolerowano. Gina, jako krawcowa i znawczyni materiałów stale marząca o wielkiej modzie, potrafiła to docenić. Prezentował się znakomicie. Jak niegdyś Harry, zanim się z nią ożenił.

Zawstydziła ją radość z ponownego spotkania i widoku twarzy mężczyzny, który kiedyś patrzył na nią z nieodwzajemnionym uczuciem. Nastawiła wodę na herbatę, a potem kręciła się zakłopotana, nie wiedząc, o co go najpierw zapytać lub co wziąć do ręki. Było jej przykro, że ma na sobie zwykłą poplamioną brązową suknię, a ręce z krótkimi zaniedbanymi paznokciami noszą ślady ciężkiej pracy.

Widziała siebie jak w lustrze – pospolitą Ginę, a nie piękność, którą kiedyś była; zapracowaną kobietę o bladej twarzy bez makijażu, w prostym stroju, bez ozdób w kasztanowych włosach. Ogromnie skrępowana zajęła się parzeniem herbaty. Usiedli przy małym stole w rogu przy oknie, gdzie siadywała podczas krótkich przerw w pracy.

– Jesteś za dobrze ubrany jak na osobę, która od dziesięciu lat kopie w błocie – powiedziała.

– Kopanie to za słabe określenie na to, co robiliśmy. Za tym akurat nie tęsknię.

– Opowiedz mi więc wszystko... ale od czego zacząć... co ty tu w ogóle robisz?

– Tutaj w Bostonie czy tutaj u Rose?

– To drugie!

– Mógłbym zapytać o to samo ciebie.

– Pomagam podczas weekendów. Stale brakuje rąk do pracy.

– Myślałem, że tu pracują tylko zakonnice – zażartował.

Zaśmiała się na wspomnienie siebie jako piętnastolatki dręczonej raz tym pytaniem, lecz już nie dawała się zbić z tropu ani się nie rumieniła.

– Czas na zakon dawno minął – powiedziała. – Ale nie zmieniaj tematu. Co tu robisz?

– Przyszedłem złożyć wizytę Rose. Powiedziała mi, że tutaj jesteś. Niegrzecznie byłoby nie przyjść i się nie przywitać.

– Złożyć wizytę Rose? – zdziwiła się. – A skąd ją znasz?

Ben się uśmiechnął.

– Zapomniałaś? Moja rodzina poznała ją dzięki tobie. – Przypomniał jej, że to na skutek jej interwencji Rose przyjechała do Bostonu i opiekowała się jego ciotką Josephine Shaw Lowell, która chorowała na raka. – Parę miesięcy po tym, jak ją przywiozłaś, ciocia Effie zmarła. Rose była przy niej.

Gina rzeczywiście zapomniała, ile się wydarzyło. Prawie się rozplakała na bolesne wspomnienie tamtego okropnego wieczoru, kiedy odkryła, jaką torturą było dla Harry'ego stawić czoło prawdzie.

– Ciocia Effie zostawiła sporą część majątku dla domów Rose, tutaj i w Nowym Jorku – powiedział Ben. – Nadal dwa razy do roku rodziny Shawów i Lowellów organizują wielką imprezę charytatywną dla Rose i Alice. – Kiedy Gina skrzywiła się na dźwięk imienia

Alice, Ben zmarszczył brwi. – Miałem na myśli Alice Huber.

– Wiem. Dla jakiej innej mielibyście zbierać fundusze?

– Racja. – Ben współczująco przechylił głowę. – Na pewno okropnie się czujesz z powodu tego, jak to się wszystko ułożyło. Ale nie zadręczaj się. Tak widocznie miało być.

– Kto mówi, że się zadręczam?

Ben znów się uśmiechnął.

– W przeciwieństwie do twojego męża nie jestem czarną owcą. Nadal utrzymuję kontakty ze wszystkimi. I słyszę co nieco.

– Na przykład? Co ci mówiła Esther?

– Nic. Próbuję powiedzieć, żebyś nie przejmowała się Alice. Nic jej nie jest.

– Skoro tak twierdzisz. – Gina prychnęła sceptycznie.

– Twierdzę, bo to prawda. Kilka lat temu wyszła za mąż za ranczera z Teksasu.

– Nie!

– Tak. Po śmierci ojca sprzedała firmę i zabrała ze sobą pieniądze i matkę. Teraz prowadzi stuśsześćdziesięciohektarowe ranczo niedaleko Austin. Ma dwoje dzieci. Z tego, co mówi Esther, jest bardzo szczęśliwa.

– W Teksasie! – Gina w zamyśleniu spojrzała przez okno na klony i wiązy okalające polanę za domem.

– Tylko to usłyszałaś? Teksas?

– Teksas to tylko skrót tego, co czuję. – Siedziała przez chwilę z ręką przyciśniętą do falującej piersi, próbując znaleźć ulgę w pełnym skruchy sercu. Odetchnęła głęboko. – Mam nadzieję, że rodzina Harry’ego dobrze się miewa? Herman, Esther?

– Tak, teraz wszyscy mają się dobrze.

– Teraz? – Gina się wzdrygnęła.

– Kilka lat temu ojciec Harry’ego miał atak serca. W tysiąc dziewięćset dwunastym. – Ben zawiesił głos, być może pragnąc nadać znaczenie swoim słowom, a może czekając na reakcję Giny.

Gina straciła dziecko w 1912 roku. Zadrzała.

– Ale już czuje się dobrze?

– Tak. Oczywiście Esther jest nie w sosie.

– Dlaczego? Na pewno się cieszy, że wróciłaś.

– O tym nic mi nie wiadomo. Jej mąż, Elmore, właśnie wyjechał do Anglii.

– A po cóż?

– W Bośni zastrzelili jakiegoś arcyksięcia.

– A, tak. Tego nieznośnego arcyksięcia. – Nawet ona słyszała wyczerpanie w swoim głosie.

– Doktor Lassiter pojechał tam z misją Czerwonego Krzyża. Łagodnie rzecz ujmując, Esther nie jest zachwycona.

– Wiem, co czuje.

– Wiesz? Czyżby Harry został lekarzem wojskowym i pojechał do Anglii?

– Jasne. – Wyjrzała przez okno. – Mniej więcej. A twoja matka?

Ellen Shaw była dość znana w Bostonie, ponieważ demonstrowała dzień i noc przeciwko każdemu naruszeniu niezależności kobiet i każdemu naruszeniu izolacjonizmu Stanów

Zjednoczonych.

Ben skinął głową.

– Ma się dobrze. I jest wojownicza jak zawsze.

– Powiedz jej, żeby była ostrożna. Albo wyląduje w jednej celi z Harrym.

– Stale jej to powtarzam. Co on takiego zrobił?

– Kiedy? Nie wiem. Stale się sprzeciwiał?

Ben zagwizdał zdumiony.

– Czy oni nie wiedzą, że on jest urodzonym sprzeciwiaczem? Nie mogą go karać za coś, co leży w jego naturze. Ale poważnie, co takiego zrobił?

– Złamał warunki zwolnienia, nawołując do zamieszek podczas strajku jedwabnego w Paterson. Słyszałeś o tym?

– Tak. Coś słyszałem. Gdzie jest teraz?

– Niedaleko. W więzieniu w Massachusetts niedaleko Warner's Pond. Dlatego spędzam tutaj weekendy. W soboty pracuję, a w niedziele go odwiedzam.

– Więzienie! – wykrzyknął z niedowierzaniem Harry. – To mi nie pasuje do Harry'ego, którego znałem.

– To rzeczywiście był niekończący się ciąg upokorzeń. – Gina prawie płakała. – Nie, nie – rzuciła szybko, odsuwając wyciągniętą rękę Bena. – Moje życie to ostatnia rzecz, o jakiej chcę rozmawiać. Jestem za to całkowicie urzeczona twoim cudownym pojawieniem się. Powiedz mi, dlaczego wróciłeś? – Uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Kto tym razem się żeni? – Przed dziesięcioma laty Ben wrócił z Panamy, by być świadkiem na ślubie Harry'ego i Alice.

– Tak jak ostatnio, nikt.

Ogrzewali dłonie o filiżanki z herbatą. Jesień w Nowej Anglii była w pełnym rozkwicie; płonęła za oknem barwami ognia.

– W gazetach pisali niemal wyłącznie o twoim kanale. – Gina uśmiechnęła się z dumą. – Zawsze mówiłeś, że niemożliwe jest możliwe. I miałeś rację.

– Chcesz powiedzieć, że byłem szaleńcem. Spojrzałem na góry i błoto i oświadczyłem, że zbudujemy długi na siedemdziesiąt pięć kilometrów przesmyk nad poziomem morza z betonowymi śluzami, by mogły tamtędy przepływać gigantyczne statki.

Gdyby potrafiła gwizdać i nie była damą, zagwizdałaby.

– To niezwykle.

– To szaleństwo.

– Fenomenalne! Nazywają go inżynieryjnym cudem współczesnego świata. Tak jak mówiłeś.

– Nic nie było tak, jak mówiłem. – Wzruszył ramionami. – Wygadywałem mnóstwo bzdur, gdy byłem młody i głupi. W Panamie przyjąłem zdrową dawkę rzeczywistości.

– Chorowałeś na żółtą febrę? – zapytała, przyglądając mu się uważnie. Wyglądał na zahartowanego, lecz mimo to wyczerpanego. Przydałby mu się soczysty stek i mocny drink.

– Tak. Umyłem twarz w rzece. To była nauczka.

– Nie trzeba jechać aż do Panamy, by zachorować na żółtą febrę – powiedziała. – Mąż Matki Jones i czwórka jej dzieci zmarli na żółtą febrę gdzieś w Tennessee.

– Ja też przez jakiś czas byłem na granicy śmierci. Ale teraz jestem uodporniony do

końca życia.

– Naprawdę? Na malarię też?

– Nie, ale zawsze mam przy sobie buteleczkę chininy.

– W Concord raczej trudno zachorować na malarię.

– Ostrożności nigdy dość.

– To prawda. – Oparła łokcie na stole i ujęła twarz w dłonie. – Nie potrzebowali cię już w Panamie?

– Nie wiem. Wiem tylko, że w sierpniu przez kanał przepłynął pierwszy statek. Zostałem do połowy września, żeby się upewnić, że nie dojdzie do żadnej nieodwracalnej katastrofy, a przy pierwszej oznace kłopotów, gdy nie otworzyła się jedna z grobli, popłynąłem do domu. – Roześmiał się. – Powiedziałem im, że przetestuję czas podróży przez kanał zamiast wokół przylądka Horn.

– Jak się tu dostałeś?

– Przypłynąłem liniowcem na Key West, a potem wsiadłem do pociągu.

– Pociąg na Key West? Czy to nie wyspa?

– Można by tak pomyśleć. Nie wiedziałem, że przez ostatnie dziesięć lat Henry Flagler budował kolej przez ponad dwieście kilometrów morza na Key West, właśnie dzięki naszemu kanałowi. Pomyślał, że Stanom Zjednoczonym przyda się najbardziej wysunięty na południe port połączony koleją z głównym lądem.

– Niesamowite! Tyle niezwykłych spraw dzieje się dookoła. Ludzie pracują, tworzą nowe rzeczy. – Zakaszłała. Dlaczego tak trudno rozmawiać o najprostszycich sprawach? – Wróciłeś na stałe?

– Zobaczymy. – Uśmiechnął się smutno. – Obawiam się, że wbrew wszystkiemu nadal okropnie za tym tęsknię. Tylko dlaczego miałbym tęsknić za ukąszeniami komarów? A jeśli odkryję, że nie potrafię żyć nigdzie indziej, tylko w tropikach przesiąkniętych malarią?

– Hmm. Wygląda na to, że świetnie się przystosowałeś. – Obrzuciła spojrzeniem jego elegancki garnitur, wykrochmaloną białą koszulę. – Pracujesz tutaj?

– Jak mógłbym nie pracować? Oczywiście. Nadal dla korpusu inżynieryjnego. Główna siedziba mieści się w Bostonie, ale stale wyjeżdżam doglądać cywilnych projektów.

– Och, Ben. – Westchnęła, wspominając przeszłość i patrząc na niego czule. – Jak tam było? Gdzie mieszkałeś? Co jadłeś? Pracowałeś do późna? Byłeś ranny? Miałeś jakieś rozrywki?

Uśmiechnął się rozbawiony.

– Sporo tych pytań.

– Wiem. Przepraszam!

W jego oczach pojawił się taki wyraz, jakby Ben wracał wspomnieniami do utraconej miłości.

– To przeszło wszelkie wyobrażenia.

– A nie jest tak w większości wypadków?

– Nie wiem. To zależy. – Ciągnął bez mrugnięcia okiem. – Panama jest bardziej górzysta niż się spodziewałem. Skalista. Niemal cały jej obszar pokrywają nieprzebyte lasy. Przecinają ją rzeki, strumienie, głębokie wąwozy. Jest gorąco jak w tropikach, pada deszcz,

jakiego w życiu nie widziałaś, a potem jest sucho jak na pustyni. Ryby są dobre. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – A kobiety bardzo serdeczne.

– Któż nie byłby serdeczny dla takiego przystojnego Amerykanina jak ty – odparła Gina w chwili, gdy do kuchni wsunęła głowę Rose, by przypomnieć jej, że pacjenci nadal nie dostali posiłku, a jest już dobrze po szóstej. A tyle jeszcze mieli do omówienia! Gina zerwała się z żalem i podbiegła do pieca, po czym zaczęła ustawiać na tacy miski na zupę i układać chleb.

– Pomogę ci – powiedział Ben. Zdjął marynarkę, rozpiął kamizelkę, podwinął białe rękawy i zaniósł garnek z zupą do przybudówki.

Było już po siódmej i zapadł zmierzch, gdy skończyli wydawać jedzenie i posprzątali.

– Przepraszam, że zabrało nam to tyle czasu – powiedziała Gina. – Myślałam, że uda nam się pójść na spacer. Concord jesienią jest piękne.

Zaśmiał się cicho.

– Co?

– Nic. Próbuję sobie przypomnieć, co Louisa May Alcott napisała o Concord. O ile pamiętam, nie wyrażała się zbyt pochlebnie.

– Nie mogło być aż tak źle. Mieszkała do śmierci w Orchard House, tam w dole drogi. Ale...

– Może innym razem.

– Tak. – Zastanawiała się przez chwilę, przygryzając dolną wargę. – Mógłbyś mnie odwiedzić do Lawrence? Nie lubię podróżować sama. Dotrzymasz mi towarzystwa, dokończymy rozmowę, a w nagrodę zrobię ci kolację. – Uśmiechnęła się. – Co ty na to? Mam przepis na kurczaka w musztardzie.

Skinął głową.

– Z radością. Nie powinnaś jeździć sama tak późno. Ale nie czekajmy do Lawrence. Może najpierw pójdziemy na kolację? Po całym dniu pracy na pewno jesteś głodna. Chodźmy do tawerny Wrighta.

– Dokąd? – Spojrzała na suknię. – Nie... nie jestem odpowiednio ubrana. Nie mogę się tak pokazać w ładnej restauracji.

– A kto mówi o ładnej? Zapraszam cię do tawerny. Będiesz tam najlepiej ubraną kobietą. Możliwe, że jedyną.

Roześmiała się.

– Ben, co ty możesz wiedzieć o tawernach w Concord?

– To jedyna rzecz, którą wiem o Concord. Poza tym co napisała Louisa May Alcott.

Przygryzła wargę, zaciekawiona, niezdecydowana, głodna.

Ben chyba czytał w jej myślach. Pochylił się w jej stronę.

– Martwisz się, czy to wypada?

Skinęła głową.

– Zgodnie z zasadami kobieta nie może pokazywać się w towarzystwie mężczyzny, jeśli nie jest mężatką.

– Tego właśnie się bałam, to znaczy, tak myślałam.

– Gino, czy muszę ci przypominać, że jesteś mężatką? – Ben się wyprostował. – Więc nawet pod tym względem nie będziemy odbiegać od dobrze wychowanych bostończyków.

Nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła radosnym śmiechem.

– Może jednak innym razem?

Naprawdę nie była odpowiednio ubrana. Damy nie pokazywały się publicznie w poplamionych sukniach. Wyjęła z torebki rozkład jazdy pociągów.

– Wiesz co? – powiedział Ben, wyjmując jej broszurkę z ręki. – Pojedziemy moim samochodem. – Wyprowadził ją na zewnątrz.

– Masz samochód?

– Dlaczego tak cię to dziwi? Wszyscy mają.

– My nie – odparła. – Nie stać nas. Harry mówi, że tylko bogaci mają samochody.

– To mogło być prawdą w tysiąc dziewięćset piątym roku, kiedy Bill Haywood wykrzykiwał, że tylko dręczyciele tacy jak Harry mają samochody. Ale teraz dzięki panu Fordowi i jego fabryce po drogach jeżdżą dwa miliony samochodów. Przeobraził Stany Zjednoczone. Naród ciężko pracujących ludzi szybko staje się narodem konsumentów.

– Ja nie. Nadal haruję. Musisz nieźle zarabiać, skoro stać cię na samochód. – Powiedziała to z uczuciem bliskim zazdrości.

– Po prostu zarabiam. Ale muszę przyznać, że w Panamie... – uśmiechnął się – ...płacili inżynierom po królewsku. Więcej niż lekarzom! Wyobrażasz sobie? A głównemu inżynierowi najwięcej. Odkładałem wszystkie pieniądze. Nie miałem ich na co wydawać. Tylko pracowałem. Miałem opłacone mieszkanie, a Komisja Kanału karmiła tysiące pracowników za darmo.

Gina widziała, że chce, by poczuła się lepiej. Ktoś miałby płacić za jej mieszkanie i jedzenie? Jak by to było?

Rose wyszła z domu, by się pożegnać.

– Ben, odwiedź nas znowu. Zawsze jesteś tu mile widziany.

– Może następnym razem udałoby mi się więcej pomóc?

– W czym? – zapytała Gina.

– Nie wiem. To miejsce prowadzą kobiety. Musi być coś, co może zrobić mężczyzna. Naprawić okno? Zreperować klamkę?

Rose z wdzięcznością położyła mu dłoń na ramieniu.

– Gorąco żałuję, że choć bardzo się staram, nie udaje mi się namówić mężczyzn, by dzielili z nami ciężar tej pracy i opiekowali się chorymi mężczyznami, tak jak my opiekujemy się kobietami.

Ben schylił głowę.

– Nie potrafię się opiekować chorymi, siostrzo Alphonso. – Ben zwrócił się do niej imieniem, które przyjęła po wstąpieniu do zakonu. – Ale będę naprawiał wam okna i drzwi.

– Och! – wykrzyknęła Gina. – Jest tyle do zrobienia!

– Rzeczywiście – powiedziała Rose. – Ben też może stać się szafarzem pomocy.

Kiedy minęli Andover i zbliżali się do Lawrence, Ben zwolnił. Gina nie skończyła jeszcze opowiadać o ostatnich dziesięciu latach swojego życia.

– Odkąd związała się z tym okropnym cyklopem – mówiła – mieliśmy same kłopoty. Wiesz dlaczego?

– Bo kłopoty ciągną się za tym człowiekiem wszędzie...

– No właśnie. Strajk w Lawrence, zabici. Strajk w Paterson, zabici. – Gina potrząsnęła głową. – Wiesz, kogo jeszcze Harry spotkał w Paterson? Johna Reeda. Słyszałeś o nim?

– Raczej nie. A powinienem? Nie śledziłem uważnie strajków i działalności radykałów.

– I Elizabeth Gurley Flynn. To wojująca feministka. – Gina zasznurowała usta z dezaprobatą. – Całymi miesiącami włóczył się z nimi, balował...

– Harry na pewno nie balował.

– A potem wszystkich aresztowali.

– Za włóczenie się? Czy balowanie?

– Za spisek mający na celu podburzanie do zamieszek. I tym razem Harry był już członkiem związku Robotnicy Przemysłowi Świata. Rażąco złamał zasady zwolnienia warunkowego. John Reed i Max Eastman zapłacili kaucję. Ktoś musiał. Ustalili ją w wysokości tysiąca dolarów!

Ben zacisnął palce na kierownicy.

– Teraz związał się z radykałami z Greenwich Village. Nazywa się rewolucjonistą. Harry, twój stary przyjaciel, mój cichy, kochający książki mąż, rewolucjonistą! Możesz w to uwierzyć?

– Nie. Może jest rewolucjonistą kanapowym?

Gina pokręciła głową.

– Stale mówi o przeprowadzce do Nowego Jorku, kiedy wyjdzie z więzienia.

– A kiedy wychodzi?

– Nie wiadomo. Odsiedział skrócony wyrok za strajk w Paterson, jakieś sześć miesięcy, a niedługo po jego wyjściu, w maju, zastrzelili arcyksięcia! I Harry zaczął protestować przeciwko wojnie, która jeszcze się nie zaczęła. Tym razem nawet nie było procesu. – Gina westchnęła znużona. – Skazali go na pięć lat i z powodów, o których nie mam pojęcia, skrócili wyrok do dwóch. Nie stało się tak na pewno za sprawą Eltona Purdy’ego, obrońcy Harry’ego z urzędu, bo jest beznadziejny. Ale Purdy zapewnia mnie, że na Boże Narodzenie Harry będzie w domu. Najwyraźniej jest idealnym więźniem. – Przełknęła ślinę. – Pomiędzy tymi aresztowaniami i strajkami nie mogę się uwolnić od myśli, że on chce być daleko od domu.

Ben prychnął z niedowierzaniem.

– To niemożliwe.

– Nie? To dlaczego, wiedząc, że jest na zwolnieniu warunkowym, zaatakował biuro poborowe, blokując wejście i krzycząc: „Rywalizujący przemysłowcy będą prowadzić wojnę, a ginąć będą nasi chłopcy?”.

Ben pokręcił głową.

– Kiedy ty budowałeś i otwierałeś inżynierski cud nowoczesnego świata, jakiś człowiek o imieniu Franciszek Ferdynand został zamordowany w Bośni i z powodu tej śmierci na drugim końcu świata mój mąż znów trafił do więzienia.

Nie odezwała się więcej, dopóki nie dojechali do Lawrence.

*

Dotarli na miejsce około dziewiątej. W domu nie było nikogo. W sobotnie wieczory Mimoo

chodziła na nieszpory i grała w bingo. Gdzie był jej brat, wiedział tylko Bóg. Salvo powiedział siostrze, że w piątkowe i sobotnie wieczory podaje piwo w saloonie. Gina i Mimoo nigdy nie widziały ani centa z zarobionych tam pieniędzy.

Ben usiadł przy niegdyś rewolucyjnym stole Giny, a ona przygotowała ziemniaki i kurczaka w musztardzie i otworzyła butelkę czerwonego wina.

– To jest pyszne – powiedział Ben, jedząc łąpczywie. – Ale nie gotujesz już włoskiego jedzenia? Twój brat był takim dobrym kucharzem.

– Po tym, co się stało z jego restauracjami, nie gotujemy już włoskich potraw. Nikt nie chce ich gotować, nikt nie chce ich jeść.

– Wiesz – zaczął Ben – wiele lat temu, gdy dowiedziałem się, że Harry pomógł Salvowi, wszyscy myśleli, że jestem zły, bo chodziło mi o ciebie. A tak naprawdę zazdrościłem mu, bo myślałem, że co wieczór będzie jadł włoską kolację.

Rumieniąc się na wzmiankę, że był taki czas, gdy Ben mógł być zły z jej powodu, Gina próbowała odpowiedzieć równie lekko, spuszczając oczy:

– Jadł ją codziennie. A teraz tylko od czasu do czasu.

– Wielka szkoda. A gdzie jest twój brat?

– W tygodniu pracuje w Purity w North End. W weekendy wraca do domu. Kiedy nie ma Harry’ego, widzujemy go częściej. Mimoo jest szczęśliwa. To bardzo kłopotliwa sytuacja. Mąż siedzi w więzieniu, ale dzięki temu brat jest w domu.

Ben skończył jeść.

– Co się stało? – zapytał cicho, wycierając usta serwetką. – Myślałem, że restauracje świetnie prosperowały.

– Esther ci nie mówiła?

– Esther nie wie, co się stało. Wie tylko, że je sprzedano. Powiedz mi. Mamy dość czasu. Kiedy wraca Mimoo?

– O jedenastej. I będzie zachwycona, gdy cię tu zobaczy.

Ben się uśmiechnął.

– Jak za dawnych czasów.

Siedząc przy stole, Gina wyrzucała z siebie historię swojego życia, pełną nieszczęść związanych z Salvem, Harrym i Angelą.

5

Po potajemnym ślubie Giny Salvo proponuje Harry’emu, który akurat jest „między pracami”, by pomagał w dwóch należących do rodziny restauracjach.

– Nie umiem robić pizzy – mówi Harry. Śmieją się.

– Jasne, że nie umiesz. Bo nie jesteś Włochem.

Harry zamartwia się całymi dniami i dopiero pod naciskiem Giny wyjawia jej treść listu, w którym Herman Barrington cofa kredyt dla restauracji. Salvo zalegał z płatnościami i po wydarzeniach ostatnich dni Herman nie jest już zainteresowany dalszą współpracą.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, jak ci powiedzieć, jakim mściwym i okrutnym

skurwysynem jest mój ojciec. Wiem, że powinienem był ci powiedzieć wcześniej. Proszę, nie złość się na mnie. Próbowałem wszystko naprawić. Poszedłem nawet się z nim zobaczyć. – Harry nie może spojrzeć w zmartwiałą twarz Giny. – Wiesz, jakie to było trudne? Poszedłem go poprosić, żeby jeszcze raz to rozważył, żeby dał Salvowi więcej czasu na spłacenie zobowiązań, a on mnie nie wpuścił, nie wyszedł nawet, żeby ze mną porozmawiać! Wysłał lokaja.

List Hermana, w którym pisał o obowiązkach, zdradzie, gniewie i ostatecznych decyzjach drży w dłoniach Giny.

Salvo niechętnie przystaje na zaproponowane przez Harry'ego rozwiązanie i spotyka się z Ervinem Cassidym, kierownikiem oddziału First National Bank w Lawrence. Po długich negocjacjach kierownik banku oferuje Salvowi bolesny kompromis: przelew do banku Hermana, by spłacić kredyt, a potem nową hipotekę. Ceną tej transakcji będzie jednak jedna z restauracji.

Salvo nie ma wyboru i musi się zgodzić.

Bank sprzedaje przynoszącą mniejsze zyski, elegancką restaurację U Alessandra i zostawia Salva z ogromną hipoteką na restauracji U Antonia przy stacji kolejowej. Salvo robi znakomitą pizzę i ma nadzieję, że za kilka lat restauracja zacznie przynosić zyski.

Harry nie ma wyboru. Jeśli to ma się udać, Attavianowie potrzebują jego pomocy. Podejmuje więc pracę u Salva w restauracji, która mu została.

To dobra wiadomość.

Zła: Harry podejmuje pracę u Salva w restauracji, która mu została.

Harry powoli się uczy, lecz przede wszystkim nie może znaleźć dla siebie miejsca w skomplikowanym mechanizmie, którym jest sprawne działanie rodzinnego biznesu. Próbuje zamawiać produkty, ale go to nudzi. Próbuje dbać o sprzęt. Nuda. Pisanie ulotek reklamowych nie jest dla niego – za łatwe. Nie odpowiada mu też zamieszczanie reklam w lokalnej gazecie (zbyt nachalne) lub wymyślanie sposobów na przyciągnięcie większej liczby klientów (zdecydowanie zbyt nachalne). Nie potrafi prowadzić cotygodniowych zebrań kierownictwa i nie ma pojęcia, jak rozwiązywać wiele drobnych, lecz stałych problemów, które pojawiają się w miejscu pracy dwudziestu dwóch zatrudnionych osób i siedemdziesięciu siedmiu dostawców. I na pewno nie chce się uczyć gotować. Liczenie pieniędzy pod koniec dnia sprawia, że staje się kłótlivy. Wyprawy do banku, wpłacanie depozytów, opłacanie rachunków, wzywianie do zapłaty – wszystko to działa mu na nerwy.

Mija pełen napięcia rok. I następny.

Pewnego pamiętnego dnia w 1908 roku do Salva przychodzi zakłopotana Angela. Mówi, że spotkała kierownika banku, który spacerował z psem po Common i powiedział jej, że pomimo kilkunastu wezwań od ponad trzech miesięcy nie wpłynęła rata hipoteki i restauracja znajduje się na progu bankructwa.

Salvo i Gina idą do banku, by wyjaśnić nieporozumienie, bo wiedzą, wiedzą, że Harry dokonywał wpłat i zapewniał Salva, że wszystko idzie jak po maśle. To jakiś błąd. Na pewno.

Jednak jak pokazują drobiazgowo wyciągi z banku spłata hipoteki nie następowała.

Prawda okazała się straszniejsza niż największe obawy Salva i Giny. Czy to w ogóle

możliwe? Siedzą w biurze na tyłach restauracji, przeglądając książki bez Harry'ego, który znów wygodnie się ulotnił, kiedy wchodzi Margaret odpowiedzialna za rozsadzanie gości i informuje ich, że za miniony tydzień dostała mniejszą pensję. Cierpliwie tłumaczy im, że przez ostatnie sześć miesięcy Harry wypłacał jej podwojoną pensję, aż w zeszłym tygodniu, bez żadnego wyjaśnienia, wrócił do wypłacania bardzo skromnej pierwszej stawki.

– Problem polega na tym, że przyzwyczailiśmy się do nowej pensji i myśleliśmy, że tak już zostanie – mówi Margaret. – Przenieśliśmy się z mężem do większego domu, pojechaliśmy do Ohio odwiedzić jego matkę, spędziliśmy parę tygodni razem, a teraz zbliża się Boże Narodzenie... Przykro mi, ale nie stać nas na obniżkę pensji.

Gina i Salvo siedzą jak kamienne posągi. Tak jak teraz Gina w słabo oświetlonym saloniku naprzeciwko Bena, gdy wszystko mu opowiada. A nie chce opowiadać. Żałuje, że zamiast tego nie słuchają muzyki. Tak bardzo chciałaby zapomnieć, porozmawiać o czymś innym, nigdy więcej do tego nie wracać, nigdy o tym nie myśleć, jak o strajku Chleba i Róż, jak o Angeli. Dlaczego to wszystko wraca jak przykry posmak nieświeżego jedzenia?

– Margaret – odpowiada Gina spokojnie, zaciskając dłoń na ręce Salva, który jest mistrzem podniesionego głosu – nie obniżono ci pensji. Dostałaś tylko premię, której nie zatwierdziliśmy. Musimy ją teraz wstrzymać, bo nie mamy dodatkowych pieniędzy.

Załamana Margaret, która nie może rzucić pracy, by nie stracić nawet tych skromnych środków do życia, rzuca przed wyjściem z biura:

– Czeka was bunt. Bo wszyscy, którzy nie są członkami rodziny, dostawali dodatkowe pieniądze. A święta przyjdą dla wszystkich, nie tylko dla mnie. Nie wypłacicie ludziom premii na Boże Narodzenie?

Gina i Salvo siedzą oniemiały.

– Ani słowa, Salvo – mówi Gina po wyjściu Margaret.

– Zabiję go.

– Powiedziałam: ani słowa.

– Niech on lepiej to naprawi, bo przysięgam na naszą matkę...

– Salvo!

Gina, bojąc się o obu kochanych mężczyzn, wybiega szukać Harry'ego. Znajduje go na ławce na tyłach ratusza, gdzie siedzi przystojny, roztargniony, obojętny, a jednak serdeczny. Otulony wielkim płaszczem z powagą je na zimnie lunch z nosem schowanym w książce.

Nie zamykając książki, jakby nie chciał, by zawracała mu głowę podczas przerwy, mówi, że tak, żal mu było ludzi, którzy dla nich pracują, ponieważ z wielkim trudem wiążą koniec z końcem i nigdy nie mają żadnych premii na urodziny, ślub, wakacje, nowy dom. Matka jednej z kobiet jest chora i płaci ogromne rachunki za lekarza, łódź jednego z mężczyzn przecieka, a wuj piekarza zmarł i opłaty za pogrzeb pochłonęły jedną czwartą jego rocznej pensji. Pomywaczka niespodziewanie oczekuje trzeciego dziecka...

Harry mówi Ginie to wszystko, a potem opiera się wygodnie o ławkę, wbijając wzrok w książkę, jakby dyskusja była skończona. Potrzebowali dodatkowych pieniędzy, więc im je dał, to wszystko.

– Harry – zaczyna cicho Gina – z jakich pieniędzy im zapłaciłeś?

– Z tych, które zarabiamy co wieczór.

- Ale to pieniądze na funkcjonowanie restauracji.
- Zgadza się. Robocizna to część naszego funkcjonowania.
- Ale przecież wypłaciłeś im już pensje. Zapłaciłeś im sprawiedliwie za pracę.
- Gdzie tu sprawiedliwość, gdy trzeba było pochować wujka Eddiego?

Gina przyciska dłonie do piersi, jakby dostała ataku serca.

– Ponieważ przekroczyłeś wydatki, nie mamy dość pieniędzy na hipotekę. Rata, którą spłacamy do banku, to stały wydatek, który musimy bezwzględnie ponieść.

– Zapłata za robociznę to jedyny stały wydatek, który musimy ponieść.

– Nie, Harry. Możemy wszystkich zwolnić i sami prowadzić restaurację za darmo, ale jeśli nie zapłacimy hipoteki, nie będzie czego prowadzić.

– Umieszczasz ludzi poniżej instytucji, Gia – mówi Harry. – To wielki błąd i bardzo to do ciebie niepodobne. Myślałem, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Bank może poczekać na pieniądze. Ludzie nie mogą.

– Harry, bank czekał na pieniądze. Ponad trzy miesiące. Teraz jesteśmy im winni nie tylko za następny miesiąc, ale za cały poprzedni kwartał. I musimy to zapłacić w ciągu dwudziestu dni.

– No to zapłaćmy.

– Nie mamy pieniędzy. Gdybyś pożyczył naszym pracownikom pieniądze, zamiast je rozdawać, bank mógłby wykorzystać pożyczki jako zabezpieczenie, ale w tej sytuacji...

– Musimy je zdobyć. – Harry jest zupełnie niefrasobliwy. – Będzie dobrze. Bank poczeka.

– Nie poczeka. Zabiorą Salvowi restaurację!

– Poczeka. Mówią tak tylko, żeby was nastraszyć. Wiem, jak to działa. Pójdę z nimi porozmawiać. Pozwól mi tylko skończyć lunch i rozdział. – Pokazuje jej książkę, którą czyta: Lincoln Steffens, *The Shame of Cities*. – Posłuchaj tylko, co pisze, to rewelacja! – I czyta: – Polityka to biznes. Na tym polega z nią problem. Na tym polega problem ze wszystkim – sztuką, literaturą, religią, dziennikarstwem, prawem, medycyną – to wszystko biznes. Uczynimy z polityki sport jak w Anglii lub zawód jak w Niemczech. – Harry cmoka z głęboką aprobatą. – Świetny, prawda?

Gina nie ma nic do powiedzenia.

– Pozwól mi dokończyć rozdział, a potem tam pójdziemy.

Harry idzie do banku z gotowym zaraz wybuchnąć Salvem i spiętą Giną, która siada na krześle w rogu gabinetu Cassidy'ego i słuchając, ma ochotę połamać sobie palce.

Ervin Cassidy jest uprzejmy, lecz surowy. Jego opanowanie i korpulentna sylwetka nie pasują do stalowego wnętrza.

– Panie Barrington – mówi – pisaliśmy do pana od trzech miesięcy, a pan ignorował nasze listy i wezwania do zapłaty. Przepisy są przepisami. Nie wypłacam panu kredytu z własnej kieszeni. Bank ma inwestorów, przed którymi ponosi odpowiedzialność. Według zapisów umowy kredytowej nie może się pan spóźniać z płatnościami więcej niż dziewięćdziesiąt dni. A pan spóźnia się już sto siedemnaście. Co więcej – ciągnie spokojnie – stale, i mam tu na myśli prawie każdy miesiąc od czasu, gdy zaczęliśmy obsługiwać pański kredyt, spóźnia się pan z płatnościami. W ciągu ostatnich czterdziestu jeden miesięcy ani razu nie zapłacił pan raty w terminie. Czasami spóźnia się pan jedenaście dni,

czasem czterdzieści dwa, czasami dwadzieścia dziewięć. Ale zawsze się pan spóźnia.

– Ale w końcu płacimy, prawda? – odpowiada cierpko Harry.

– Przez ostatnie sto siedemnaście dni nie płacił pan wcale – mówi Cassidy. – Kilka miesięcy temu prosił pan o zwiększenie debetu, wykorzystując restaurację jako zabezpieczenie. Spełniłem pańską prośbę. Na tamtym rachunku również brakuje tysiąca dolarów.

– Może znów pan zwiększy debet – sugeruje Harry.

– Dlaczego mielibyśmy to robić?

– Żebyśmy mogli wam zapłacić to, co jesteśmy winni.

Kierownik banku śmieje się cicho, niemal łagodnie, jakby miał do czynienia z dzieckiem.

– Chce pan, żebyśmy zwiększyli debet, by pan z kolei mógł spłacić dług? Nie pożyczaj pan nawet od Petera, żeby zapłacić Paulowi. Pożyczaj pan od Petera, żeby zapłacić Peterowi.

– To tylko księgowość – mówi Harry. – Przesuwanie długu z jednego miejsca w drugie.

– Tak – zgadza się Cassidy. – Ale pański dług musi mieć oparcie w przyszłych zarobkach. Bank ma prawo oczekiwać, że dług zostanie spłacony, prawda? – Cassidy odwraca się do brata Giny. – Salvatore, kiedy był pan właścicielem dwóch restauracji, istniała możliwość zwiększenia dochodu ponad koszty działalności. Ale w obecnej sytuacji jedna restauracja z trudem wyjdzie na zero w ciągu następnych trzech do pięciu lat. Nie ma pan żadnych dodatkowych dochodów, by spłacać kredyt.

– Zwiększymy sprzedaż – mówi niefrasobliwie Harry.

– Panie Barrington, wytłumaczę panu, jak to działa.

– Wiem, jak to działa.

– Wygląda to następująco – ciągnie Cassidy, jakby mu nie przerwano. – Najpierw zwiększa pan sprzedaż, potem przynosi nam dokumenty i prosi o pożyczkę. Nie odwrotnie. A jeśli mogę zapytać: jak pan zwiększy sprzedaż? Macie dwa piece i dwadzieścia stolików. Niewiele tu miejsca na rozwój. Możecie podnieść ceny, ale wtedy straciecie klientów. Prowadzenie biznesu opiera się na zrównoważeniu salda. Wysokie zadłużenie zakłóca tę równowagę i całe równanie się sypie. Bardzo mi przykro.

– Panie Cassidy – zaczyna Harry – teraz nie mamy pieniędzy. Ale w banku jest ich mnóstwo. Przecież nie zbankrutujecie ani nie wypadniecie z interesu, jeśli jeszcze trochę poczekacie.

– Tutaj się pan myli. I to bardzo. Jeśli zrobimy to, co pan proponuje, wypadniemy z interesu. I na co mamy czekać?

Harry wzdycha i sfrustrowany potrząsa głową.

– W porządku. To proszę nam policzyć większy procent od debetu.

– Już liczymy. I nie może pan go zapłacić. A wie pan, skąd to wiem? Bo pan nie płaci. Poza tym wyliczenie większego procentu od usługi, na którą już pana nie stać, jest podwójnie złe. Dla pana i dla mnie. Pracuję w tym biznesie od dawna, panie Barrington. Od trzydziestu siedmiu lat. Jako First National Bank w Lawrence jesteśmy dumni z relacji z naszymi klientami. Wielu z nich to imigranci, jak pański szwagier i żona, którzy często mają problemy. Pomagamy im najlepiej, jak możemy. Ale mądrze. Żeby oni nie czuli się przytłoczeni długiem, a my żebyśmy mogli nadal zarabiać.

– Wygląda na to, że ważne jest zarabianie – mówi Harry. – To zawsze stawiacie na pierwszym miejscu, prawda? Pogarda w tonie Harry’ego zmroziła Ervina Cassidy’ego.

– Każdy interes w tym mieście, w mieście pańskiego ojca i w każdym mieście w Stanach Zjednoczonych zbudowany jest z wykorzystaniem kredytów bankowych udzielanych rodzinom takim jak pańska – mówi, wstając z krzesła. – To przede wszystkim dzięki nam ma pan swoją restaurację. To dzięki nam interes pańskiego ojca kwitnie, dzięki nam są drogi, fabryki, powozy i konie. To dzięki nam powstaje kanał w Panamie. A skąd według pana biorą się pieniądze? Z magicznego sejfu w piwnicy? Bank ma pieniądze, bo inni ludzie – nie pan, lecz inni – powierzają je nam. Wpłacają je do banku, a potem my pożyczamy ich krwawicę panu, żeby mógł pan skorzystać z ich ciężko zarobionych oszczędności, by wzbogacić swoje życie. Tak to działa. Może powinien się pan zapisać na kurs ekonomii, by zaznajomić się z podstawami działania biznesu. Teraz proszę mi wybaczyć, pani Wagner czeka na korytarzu. Zwróciła się do nas o kredyt na nowe stoisko z lodami.

– To skończyliśmy? – pyta Salvo, wstając.

– Tak, Salvatore. Bardzo mi przykro, ale skończyliśmy. Jeśli w ciągu dziesięciu dni nie zobaczą na biurku spłaty kredytu za cztery miesiące, rozpoczniemy proces przejmowania pańskiej własności. Wstrzymam jednak spłatę debetu, by dać panu więcej czasu, jeśli to w czymkolwiek pomoże.

Trzeba wezwać policję, by powstrzymała Salva. Rzuca się na Harry’ego na Essex Street, zostaje aresztowany za napaść i pobicie i wylądowałby w więzieniu, lecz Harry nie wnosi oskarżenia. Salvo każe mu pojechać do Hermana Barringtona i wszystko załatwić. Harry mówi, że prędzej umrze, niż znów się upokorzy.

– Już nie żyjesz i upokorzyłeś całą naszą rodzinę, a najbardziej moją siostrę, bo jesteś największym durniem w Lawrence.

Salvo mówi matce, że nie może ani sekundy dłużej mieszkać pod jednym dachem z człowiekiem, który zniszczył jego interes. A przyjechał z Sycylii, by go zbudować. Albo odejdzie Harry, albo on. Ale Harry sam nie odejdzie. Gina musi odejść razem z nim. Trzeba więc wybierać pomiędzy jedyną córką a jedynym pozostałym przy życiu synem. Schwytana w pułapkę Mimoo odmawia podjęcia decyzji. Salvo decyduje więc za nią. Pakuje rzeczy i wyjeżdża z Lawrence do North End.

To było w 1908 roku.

Restaurację U Antonia kupił na aukcji Ned Rector, który sprzedał ją po kawałku, pozostawiając sobie piec do pizzy, stoliki i sztucce. Sześć miesięcy później otworzył tam sklep z materacami i łózkami, a po pół roku knajpkę z burgerami U Neda.

– Salvo nie wybaczył Harry’emu? – zapytał Ben. – Do dzisiaj?
Gina pokręciła głową.

– A ty byś wybaczył?

– Dlaczego Salvo nie wszedł w spółkę z jednym ze swoich przyjaciół z North End? – dopytywał się Ben. – Minęło już parę lat. Banki wybaczą chętniej niż twój brat. Na pewno dostałby kredyt.

Gina znów pokręciła głową.

– Prowadzenie interesu to praca bez końca – powiedziała. – Salvo boleśnie się o tym przekonał. Aby robić to dobrze, musi to robić sam. Ale on nie chce. Dlatego przekazał tyle spraw Harry’emu, który jak się niestety okazało, nie nadawał się do tej pracy. Poza tym podczas całego tego zamieszania Salvo dowiedział się sporo o sobie. Nie lubi tkwić w jednym miejscu. Chce zmieniać prace jak kobiety i rzucać się na kolejny kaprys. Stale obwinia Harry’ego, który oczywiście sporo tej winy ponosi, ale tak naprawdę Salvo nie nadaje się do ciężkiej pracy, jaką jest prowadzenie interesu. Ani do małżeństwa. Za dużo w nim z wędrowca.

– Och, Gino.

– Wiem. – Pochyliła się w jego stronę. – Powiedz mi... czy oni... jego ojciec i siostra nadal są na niego źli z powodu tego, co się wydarzyło? Minęło tyle lat.

Ben również się pochylił, jakby rozmowa o trudnych sprawach wymagała przyciszonych głosów.

– Wiem tylko, że nikt o nim nie mówi. Jego imię nigdy nie pada w rozmowach.

Gina oparła się o krzesło i wypuściła powietrze z rezygnacją i smutkiem.

Drzwi frontowe otworzyły się i w świetle werandy ujrzeni Mimoo, której na schody pomagała wejść Rita, wynajmująca mieszkanie na drugim piętrze.

– Kto to jest? – zapytała Mimoo bez żadnych wstępów.

– To Ben Shaw.

– Kto?

Ben wstał, by się przywitać.

– Dobry wieczór pani.

– To przyjaciel Harry’ego sprzed lat, Mimoo. Pamiętasz Kanał Panamski?

– Pamiętam wszystko – odparła Mimoo, mierząc Ginę groźnym spojrzeniem i zdejmując płaszcz. – Szukasz Harry’ego w niewłaściwym miejscu, młody człowieku. Siedzi w więzieniu.

– Wiem. Odwiozłem pani córkę do domu, żeby nie musiała jechać pociągiem.

Mimoo przeszła obok nich w drodze na górę.

– Chodź mi pomóc – poleciła Ginie. – Jestem taka zmęczona, że padam z nóg. Bingo o tak późnej porze ma swoją cenę.

Gina odwróciła się do Bena.

– Muszę iść. Bardzo ci dziękuję za odwiezienie. Przepraszam, że cię zatrzymałam.

– Cała przyjemność po... – Przerwało mu głośnie prychnięcie Mimoo z dołu schodów. – Miło znów było panią zobaczyć. Proszę pozdrowić ode mnie Salva.

Na górze Mimoo rzuciła od razu:

– A ty co wyprawiasz?

– To stary przyjaciel Harry’ego, mamó – odparła zniecierpliwiona Gina. – *Basta.*

– Twój brat gdzieś się włóczy, pewnie łajdaczy się w jakiejś knajpie. Dobrze, że nie

przyszedł wcześniej i nie widzi, jak ty się łajdaczysz we własnym domu.

W niedzielę, kiedy Salvo już wrócił, ledwo zdążywszy na początek mszy o dziesiątej, Gina pochyliła się do matki i szepnęła:

– O tak, Salvo rzeczywiście powinien mnie oceniać.

– Sam nie jest bez grzechu, ale to nie znaczy, że nie może rzucić kamieniem.

Tuż po mszy, gdy tylko wyszli z kościoła Najświętszej Marii Panny, Mimoo odwróciła się do skacowanego i zmalretowanego syna.

– Nigdy nie zgadniesz, kto wczoraj odwiózł twoją siostrę z Concord.

– A mam zgadywać? – zapytał Salvo, mrużąc oczy w porannym słońcu i poprawiając szarą czapkę, by chronić się przed jego blaskiem.

– Ben Shaw. Pamiętasz go? Ta głupota z Panamą sprzed lat. Chyba zalecał się do twojej siostry.

Salvo nawet nie odwrócił się w stronę Giny, która stała przy wejściu, witając się z innymi parafianami, uśmiechnięta, serdeczna, wystrojona do kościoła w niebieską sukienkę z kraciastej bawełny i wełniany płaszcz, stare, lecz czyste i dobrze utrzymane. Kurtka Salva była podarta na rękawie i poplamiona po wielu wypadach w sobotnie wieczory.

– Jeśli to nie był jej mąż, który nagle cudem wyszedł z więzienia, to mi nie przeszkadza.

– Salvo, nie wiem, czy mam ci dziękować, czy przyłożyć – odparła Gina. – Ale na pewno muszę was oboje pożegnać.

– Dokąd się wybierasz?

– A dokąd jeżdżę co niedziela? Odwiedzić męża.

Siedzą naprzeciwko siebie. Roy, strażnik Harry’ego, przysadzisty, wielki czarny mężczyzna, urodzony i wychowany jako wolny człowiek na Północy, teraz strażnik białego człowieka, jest zauroczony Giną i czasami, kiedy pełni służbę sam, pozwala Harry’emu dotknąć jej nad ścianką. Kiedy Gina podaje Harry’emu gazetę, bierze ją od niej, a potem trzyma ją za rękę, dopóki Roy nie zacznie chrząkać. Siedzą. Niewiele mówią.

Czasem dzieje się tak dlatego, że nie mają nic do powiedzenia.

A czasami, bo mają za dużo.

Dzisiaj rozmawiają, jakby nie było żadnych półcieni.

– Masz dla mnie książki? – pyta Harry. – Pięć dni temu skończyłem czytać te dwie okropne, które przyniosłaś w zeszłym tygodniu.

– Czy okropne odnosi się do ilości czy jakości?

– Jedno i drugie.

Gina się śmieje.

– Były okropne i było ich za mało. Czemu nie przynosisz więcej? Nauczyłem się gazety na pamięć. W desperacji otworzyłem Biblię, którą Roy zostawił mi na stole i udawał, że jej zapomniał.

– Och, nie może być aż tak źle, *mio marito* – mówi Gina – że zniżyłeś się do czytania Biblii.

– To właśnie mówię.

– A co, nie podobali ci się *Synowie i kochankowie*?

- Nie bardzo. Edypowskie bzdury. Nie dla mnie.
- Co? Edyp?
- Nieważne.
- Ja jej nie czytałam.
- I dobrze. Jeśli inne książki Lawrence’a utrzymane są w tym samym stylu, nie przynoszą ich więcej.
- A może *Człowiek bez kraju?* – pyta ona żartobliwie. – Mogę ci ją przynieść?
- Znam te idiotyzmy na pamięć – odpowiada, marszcząc brwi. – Dlaczego miałabyś to przynosić?
- Żartuję.
- Och.
- Czy więzienie pozbawiło cię poczucia humoru?
- Moje wycucie ironii zdecydowanie osłabło. Nie żartuj. Albo przynajmniej się uśmiechaj, kiedy mówisz takie rzeczy, żebym wiedział, kiedy się roześmiać.
- Dobrze, *tesoro*.
- A ta druga książka, którą przyniosłaś, *Opowiadanie o siedmiu powieszonych*, nic w tym stylu. Kiedy ją skończyłem, o mało co nie zostałem ósmym wisielcem.
- Ale sam o nią prosiłeś!
- Nie słuchaj mnie. Problem widać już w tytule. Kiedy zobaczysz taki tytuł, uciekaj, gdzie pieprz rośnie. Rosyjski smutek jest zbyt przygnębiający, gdy siedzi się w celi. Wszystko jest straszne i wszyscy mają umrzeć. I rzeczywiście umierają. Co się dzieje z tymi Rosjanami i ich literaturą?
- To może Czechow?
- Harry ma chłodny stosunek do Czechowa.
- Jest taki rozmemłany. Nigdy nie wiem, kiedy skończył. Wszystkie jego dzieła, które czytałem, mogły się skończyć sto stron wcześniej albo sto później, nie mam pojęcia. To jak oddychanie.
- Może w przyszłym tygodniu przywiozę ci Sherlocka Holmesa?
- Tak – odpowiada Harry z uśmiechem. – Świetnie. Trzeba się trzymać z dala od melancholii. Hardy, Gide. Wszyscy Rosjanie.
- Gina spogląda na torbę.
- Co mi dziś przywiozłaś?
- Miłość wśród kurcząt.
- Harry parska śmiechem.
- Już mi się podoba – mówi, biorąc książkę Woodehouse’a. Przez chwilę nie wypuszcza jej palców.
- A może Oscar Wilde? *Dusza ludzka w socjalizmie?* – Uśmiecha się.
- Żartujesz, prawda? Bardzo dobrze. Ale nie, dziękuję. Mam już dość jego anarchistycznych bzdur, jego i jego mentora Kropotkina. Nic ich nie zadowala...
- Kropotkin jest Rosjaninem.
- To najmniejszy z jego problemów. Stale sobie zaprzeczają. Czytając ich, nie mogę się doczekać, aż zgaszą światło. Co jeszcze? – Czeka niecierpliwie.
- Uszyłam nową wyprawkę dla jednej ze znajomych Mimoo, która oczekuje dziecka,

i kupiłam ci trzy książki. Możesz je zatrzymać.

Podeksytowany Harry wstaje i patrzy na nią nad ścianką.

– *Ojcowie i synowie* Turgieniewa – mówi Gina, podając książki. – *Don Kichot*. Będiesz to czytał przez cały wyrok. I *Jądro ciemności* Josepha Conrada.

Harry opada na krzesło.

– Czytałem je wszystkie – mówi. – Parę razy.

– Były na wyprzedazy i mogłam sobie na nie pozwolić.

Harry wzdycha. Mijają minuty. Przechyla głowę, by spojrzeć na nią jak kochanek przed pocałunkiem.

– Co będziesz robić w tym tygodniu?

Gina już otwiera usta, by opowiedzieć mu o Benie, lecz zmienia zdanie. Harry jest rozmowny, niemal serdeczny, odprężony. Jego szare oczy wyglądają dziś na niebieskie, a Gina wie, że zmieniają kolor w zależności od nastroju. Dziś jest w dobrym. Można powiedzieć wiele rzeczy, żeby go zepsuć. Wiadomość o Benie jest jedną z nich.

– Czy Salvo naprawdę wrócił do domu?

– Tymczasowo. – Gina cieszy się ze zmiany tematu. – Dopóki ty nie wrócisz.

– Uśmiechasz się, jakby to był żart, ale oboje wiemy, że nie żartujesz.

– Nie – zgadza się Gina, próbując powstrzymać uśmiech.

Kiedy Harry śmieje się cicho, jest bardzo szczęśliwa i zadowolona, że nie wspomniała o Benie.

– Jak jest na świecie?

– Liście zmieniają kolor. Bardzo to lubisz.

– Tak. Uwielbiam jesień w Nowej Anglii.

Oboje odchrząkują.

– Purdy mówi, że powinieneś wyjść za miesiąc lub dwa. A na pewno na święta.

Harry nie może na nią patrzeć, gdy mówi:

– To jeszcze tak długo. – W jego oczach pojawia się skrucha. – Przepraszam, że znów tu jestem. Tym razem naprawdę to spaprałem.

Gina milczy.

– Nie myślałem, że robię coś złego. Sądziłem, że wykorzystuję tylko prawo przysługujące mi na mocy pierwszej poprawki. Daję wyraz dezaprobacie. Czy jest coś bardziej amerykańskiego od sprzeciwu?

Gina się waha.

– Skąd miałem wiedzieć – ciągnie Harry – że wykorzystywanie wolności słowa przy blokowaniu wejścia do punktu poborowego jest niezgodne z prawem? Kto stworzył to kretyńskie prawo?

Gina milczy.

– Nawet to uszłoby mi na sucho, gdyby nie zwolnienie warunkowe.

Teraz Gina ma coś do powiedzenia.

– Byłeś już na zwolnieniu warunkowym, gdy pojechałeś do Paterson. Nie powinieneś był tam w ogóle jechać.

– Bill mi płacił – mówi Harry, już zdecydowanie mniej miły. – Rozmawialiśmy o tym. Co chciałaś, żebym zrobił?

– Żebyś nie jechał. – Ona też nie jest już miła. – Znalazł inną pracę. Powiedział mu, żeby się wypchał. Mogłabym mu wygrażać przez pięć minut, gdyby to mnie poprosił. – Urywa na chwilę. – Nie dość nas skrzywdził?

Nie patrzą na siebie, gdy padają te słowa.

– Już dobrze, dobrze – mówi łagodniejszym tonem Harry. – Wygląda na to, że kiedy stąd wyjdę, będę musiał znaleźć inną pracę.

To akurat jest prawda. Jeden z warunków zwolnienia, do którego stale odnoszą się prokurator okręgowy i Purdy, głosi, że Harry’emu nie wolno się zbliżać na pół kilometra do Dużego Billa Haywooda i związku Robotnicy Przemysłowi Świata. Harry ostro się temu sprzeciwiał, nie dlatego że chce pracować dla Dużego Billa, lecz dlatego że nie chce, by rząd dyktował mu, gdzie może, a gdzie nie może pracować. Choć Gina przypomina mu stale, że to tylko rozwiązanie tymczasowe, Harry nie chce o tym słyszeć.

Zmieniają temat. Zawsze tak robią. Muszą. Mogą spędzić razem tylko dwie godziny tygodniowo i Gina za nic nie chce ich zepsuć kazaniami i naleganiem. W jej życiu dzieje się bardzo dużo, ale Harry ma tylko te dwie godziny. Nie powinna jeszcze bardziej go przygnębiać, kiedy do następnej niedzieli on może liczyć tylko na własne myśli i wspominać jej słowa.

– Chcesz, żebym przywiozła ci w przyszłym tygodniu coś specjalnego? – pyta.

Harry się zastanawia.

– Może placek z dynią.

– Co takiego?

– Placek z dynią. Mamy przecież sezon na dynie.

We Włoszech nie ma dyń. Gina nigdy nie jadła dyni ani nie piekła z nią placka. Uśmiecha się.

– Oczywiście, *mio amore* – mówi. – Co tylko chcesz. Następnym razem przywiozę ci placek z dynią.

– Przywieź też jeden dla Roya. Kiedy przywiozłaś *biscotti*, wychwalał je pod niebiosa. I pozwolił mi godzinę dłużej palić światło, bo wie, że lubię czytać w łóżku.

– Dobrze, *tesoro*. Przywiozę też placek dla Roya. On jest bardzo miły. Lubi mnie.

– Trochę za bardzo, jak na mój gust.

Gina chce go dotknąć, by go uspokoić, wziąć go za rękę, przytulić głowę do jego głowy. I zrobić inne rzeczy.

– Wiesz – zaczyna Harry – kiedy miałem jedenaście, może dwanaście lat, ojciec zabrał nas z siostrą na farmę dyniową. Przywieźliśmy do domu ogromne dynie i wycinaliśmy w nich otwory.

– Po co?

– Wycinaliśmy? Nie wiem. Placek robi się z tego, co jest w środku. To taka pulpa. Spodoba ci się. – Wciąga powietrze. – Jak twoje pomidory.

Nie mogą spojrzeć na siebie, powiedzieć ani słowa. Harry’emu brakuje tchu, nie może dalej opowiadać. Po chwili jednak podejmuje swoją historię.

– Kiedy wyjęliśmy miąższ i wycięliśmy dziury w dyni, Esther chciała mi splatać figła. Przecięła dynię na pół i przykryła nią naszego wielkiego kocura, który spał na trawie. Przykryła go jak skorupą, zostawiając dziury na oczy. Siedzieliśmy wieczorem w ogrodzie

i przez dziury kocur zobaczył wiewiórkę. Skoczył jak koń z dynią na grzbiecie. – Harry śmieje się na to wspomnienie. – Było ciemno, cicho i nagle wielka dynia zaczęła galopować przez trawnik w pościgu za wiewiórką. Wrzeszczałem chyba przez pięć minut, tak okropnie się wystraszyłem.

Gina wybucha śmiechem.

Harry odchyła się na oparcie krzesła.

– Chyba nigdy nie słyszałem, żeby siostra i ojciec tak bardzo się śmiali. Ojciec aż się popłakał. Nigdy tego nie widziałem. Ani przedtem, ani potem. Pocałował siostrę i powiedział: „Przeszłaś samą siebie, Esther. Dobra robota”. – Harry wzruszył ramionami. – Ponieważ nigdy jej za nic nie chwalił, sama prawie się rozplakała. Próbowaliśmy jeszcze wiele razy wymyślić jakiś figiel, żeby go rozbawić. Ale... – urywa. – Sama wiesz.

Gina z czułością pochyła się w stronę ścianki.

– Powiedziałaś, że miałaś jedenaście czy dwanaście lat...

– Tak.

– Twoja matka jeszcze żyła? Gdzie była?

Harry spuszcza wzrok na blat stołu, potem patrzy na wskazówki zegara nad głową Giny.

– Nie wiem – mówi z zamglonym wzrokiem. – Nie było jej z nami.

Kiedy czas się kończy, Gina wstaje z książkami, które trzeba zwrócić.

– Pochyl się – mówi Harry.

Gdy Gina spełnia jego życzenie, Harry spogląda na Roya, po czym wyciąga rękę i gładzi ją po policzku, włosach, ujmuje ją pod brodę. Ona przyciska jego palce do ust, gdy Harry przesuwa nimi po jej wargach.

– Do zobaczenia w przyszłą niedzielę, *il mio delitto*.

– Do zobaczenia w przyszłą niedzielę, żono.

3 Drugi List do Koryntian 1,3–5. Wszystkie cytaty z Biblii za *Biblią Tysiąclecia*, wydanie trzecie poprawione, Poznań–Warszawa 1980.

Rozdział czwarty

Miłość amerykańskiej dziewczyny

I

– Uwielbiam ten dom – powiedziała Rose do Giny o Wayside. – Czasami marzę, że nadal należy do rodziny. Powiedziałam wszystkim, że sprzedaliśmy go, bo nie mogliśmy w nim mieszkać po śmierci synka, ale tak naprawdę George nie nadał ze spłatą hipoteki, mimo że bardzo ciężko pracował. Po prostu musieliśmy go sprzedać.

Gina słuchała jednym uchem, mechanicznie zmywając podłogę i ubolewając nad stanem swojej sukni.

To ostatnie było najgorsze.

– Czy naprawdę... – urwała na chwilę, by przypomnieć sobie słowa Rose – ciężko pracował? – Jej pytanie miało mniej wspólnego z Rose, a więcej z jej własnym życiem.

– Tak. Był profesorem, dorabiał, poprawiając prace innych, redagował książki, pisał felietony. Był geniuszem i nigdy nie przestawał pracować. Ale to nie wystarczało na ten letni dom i mieszkanie w Bostonie. – Rose westchnęła i przeżegnała się. – Ale tak jest lepiej. Wybrałam to życie, nie tylko żeby służyć biednym, ale żeby stać się jedną z nich. I nadal jestem w moim ukochanym Wayside, gdzie mogę mieszkać i pracować dla Pana. – Przyjrzała się uważnie Ginie. – W dawnym życiu, kiedy myślałam, że jak ojciec zostanie pisarką, napisałam opowiadanie *Miłość amerykańskiej dziewczyny*. Słyszałaś o nim?

Gina gołymi rękami wykręcała mop z brudnej wody.

– Nie.

Rose wyszła za nią na zewnątrz, gdzie Gina zmieniała wodę w wiadrze.

– Niewiele osób o nim słyszało. Szybko uświadomiłam sobie, że nie jestem moim ojcem. Nie mam jego talentu. W każdym razie bohaterka mojego opowiadania jest piękna i pełna cnót. Ale w każdej historii najważniejsze jest to, by wiedzieć, kiedy jest się kochanym. – Rose urwała. Czekwała. Kiedy Gina nie odpowiadała, próbowała zmusić ją do odpowiedzi. – Zgadzasz się?

– Nie wiem – odparła z wahaniem. – A jeśli myśli się, że jest się kochanym, a tak nie jest?

– Moim zdaniem często dzieje się tak – zaczęła Rose – że jest się kochanym inaczej, niż

się oczekuje, i ten zły osąd i wynikające z niego rozczarowanie prowadzą do wielu problemów. Nie sądzisz?

Gina nie odpowiedziała. Słowa Rose nie miały żadnego odniesienia ani do jej pracy, ani do duchowych rozterek. Spieszyła się, by skończyć myć podłogę, bo bardzo chciała się przebrać, zanim będzie musiała zacząć gotować i podawać lunch. I zanim zjawi się Ben.

Codziennie o jedenastej rano w prowizorycznej kaplicy dzwonek dzwonił pięć razy, by upamiętnić pięć ran Chrystusa. Potem następowała godzina ciszy, w czasie której Gina myła, sprzątała i przygotowywała jedzenie dla chorych. Przed posiłkami i po nich recytowano psalmy, zaczynając od pierwszego, a kończąc na sto pięćdziesiątym. Powtarzano je co trzy dni.

„Zmiłuj się nade mną, Boże (...), odwróć oblicze swe od moich grzechów”[4].

– Gino, wiesz, co o tobie myślę – powiedziała Rose. – Jesteś dla mnie jak boskie dziecko. Ale wiesz także, jak traktuję pracę, którą tu wykonujemy. Nie ma miejsca na żadne kompromisy. I jestem nieustępliwa, gdy w grę wchodzi utrzymywanie wysokiego poziomu naszej służby. Im bardziej chorzy są nasi pacjenci, im biedniejsi i bardziej odrzuceni, tym więcej oczekuję od kobiet, które się nimi opiekują.

– Wiem.

– Nie mogę nikogo zmusić, żeby był dobry, nie jest to ani moim zamiarem, ani pragnieniem. Ale każdy cień lenistwa, frywolności lub braku umiaru sprawia, że muszę je prosić, by szukały pracy gdzie indziej.

Gina bardzo się starała, by nie spuścić głowy.

– Rozumiem.

Rose ją pocałowała.

– Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś mi, że za bardzo lubisz tańczyć i jeść lody, by zostać zakonnicej?

– Nie pamiętam. – Ale to było bardzo do niej podobne.

Rose się uśmiechnęła.

– Nadal tak czujesz?

Gina zmarszczyła brwi, lekko zakłopotana.

– Jestem mężatką, Rose. Teraz raczej nie mogę zostać zakonnicej.

– A czy za bardzo lubisz tańczyć i jeść lody, by być żoną?

Gina puściła dłonie Rose i cofnęła się. Starła się nie zachwiać.

– Nie. Ale muszę już pędzić. Mam mnóstwo pracy.

– Może cię to zaskoczy, Gino, ale nie jestem miłosierna. – Rose się przeżegnała. – Choć ze wszystkich sił głoszę miłosierdzie. – Zawiesiła głos. – Miłosierdzie nie oznacza jednak wybaczenia. Oznacza troskę o najbiedniejszych z biednych i najbardziej odrzuconych.

„On wyciąga rękę z wysoka i chwyta mnie, wydobywa mnie z toni ogromnej (...) Pan nagradza moją sprawiedliwość, odpłaca mi według czystości rąk moich”[5].

Pacjenci Rose byli najbiedniejszymi z biednych, najbardziej odrzuconymi. U progu

śmierci potrzebowali tylko współczucia i dobroci. Zakonnice dbały o ich czystość, najlepiej jak umiały. Rose wymagała, by bez względu na to, co czuły, patrząc na ich stan, pokazywały im wyłącznie twarz pełną miłosierdzia i dobroci, bo tego wymagają umierający. Ale czasami nawet księża, którzy przychodzili, by udzielić ostatniego namaszczenia albo komunii, odwracali głowę lub wymiotowali, zanim znów mogli ruszyć między łóżka, tak porażający był stan chorych.

Przez wiele miesięcy Gina poświęcała się zbożnej pracy, traktując ją jako ofiarę i pokutę, modląc się o wcześniejsze zwolnienie Harry'ego i o dziecko, które byłoby błogosławieństwem w ich życiu, o więcej pieniędzy. Modliła się, by nie musiała tyle walczyć, by chcieć mniej, być szczęśliwsza. Jednak gdy Ben ponownie wkroczył w jej życie, coś się zmieniło. Skoncentrowana wcześniej wyłącznie na życiu wewnętrznym, zauważyła teraz, że zwraca większą uwagę na Ginę zewnętrzną. Kobieta, która szyła sobie ubrania, która kiedyś oszczędzała pieniądze na jedwab i szyfon, na koronkowe rękawiczki, lakierki, kolczyki i korale, przyjrzała się sobie uważnie i doszła do wniosku, że kobieta pracująca na oddziale dla chorych, na których widok wymiotują księża i mdleją mężczyźni, nie może być dla nikogo atrakcyjna. Świętość i próżność nie miały ze sobą nic wspólnego. Świętość była piękna, lecz nie zewnątrz.

A jednak Ben przychodził. Przychodził jak zakonnicy po ślubach, nowicjusze i postulanci. W najgorszych ubraniach, nazywając się sanitariuszem Giny. Czasami przyjeżdżał do Concord w sobotni ranek tak wcześnie, że zjawiał się w Wayside przed Giną. Zawsze przynosił ze sobą radość i mnóstwo opowieści o wydarzeniach w Panamie. Pracował z nią ramię w ramię wśród uciśnionych, dźwigając wiadra z brudną wodą, kopiąc ziemniaki, zawożąc ją na targ w Lexington, by mogła kupić jarzyny i chleb na kolację. Nigdy nie mdlał i nie wymiotował. Kiedy pewnego dnia zapytała, jak powstrzymuje się od reakcji na to, co było wstrząsem nawet dla duchownych, powiedział, że w Panamie widział i przeżył rzeczy, które na stałe zmieniły jego podejście do życia.

– Nie jestem debiutantką, Gino – powiedział.

– Ja też nie.

– Wiem. Nawet Alice, która była debiutantką, tak naprawdę nią nie była. Wiesz, o co mi chodzi?

Ben często wspominał o Alice. Jakby chciał sprawić, żeby Gina poczuła się lepiej z powodu kierunku, jaki obrało jej życie.

– Małżeństwo musi być społecznie i ekonomicznie endogamiczne – powiedział. Płukali brudne wiadra w zimnym strumieniu na tyłach domu.

– Słucham? Wolno wypowiadać takie słowa w obecności kobiet?

Roześmiał się. W jej towarzystwie śmiał się często i serdecznie.

– Chodzi o zawieranie małżeństw tylko w obrębie swojej warstwy społecznej. Alice, uwolniona przez odmowę Harry'ego od duszącego obowiązku, znalazła mężczyznę i życie, które o wiele bardziej do niej pasowały.

– Teksańczyka?

– Tak, ranczera. Przyjechał na Północ do jej tartaku, by kupić drewno na swoje ranczo w Abilene. Poradziła mu, jakie i ile ma kupić. Miesiąc później wrócił. Powiedział, że potrzebuje więcej drewna na stajnie i padoki. Znów mu poradziła. Miesiąc później wrócił

po drewno na rodeo. Najwyraźniej to wszystko było zbyt subtelne dla Alice. W końcu poprosił ją, by pojechała z nim na Południe, oczywiście z matką w roli przyzwoitki, by mogła mu doradzić jeszcze lepiej. – Roześmiał się. – Na weselu powiedział wszystkim, że o mało co nie doprowadził interesu ojca do bankructwa, kupując coraz więcej i więcej drewna, dopóki dziewczyna z jego marzeń wreszcie za niego nie wyszła.

Gina nadal nie mogła w to uwierzyć.

– Jakim cudem Alice, dziewczyna z salonów, grająca na pianinie debutantka sezonu wyszła za ranczera z Teksasu?

– Rzeczywiście, niektóre pary wydają się zupełnie źle dobrane.

Gina oblała się rumieńcem i odwróciła. Harry był marzycielem, kochał czytać. Dla niego liczyła się tylko głowa. Nie był silny, włoski, lecz za to bardzo amerykański. Poza sypialnią to właśnie najbardziej w nim kochała.

– Alice zawsze uwielbiała przebywać na świeżym powietrzu – ciągnął Ben. – Wybrała więc życie, które ma w sobie tego najwięcej. Rozległe przestrzenie, konie i mężczyznę, który cały dzień pracuje fizycznie.

Gina zamyśliła się, śniąc na jawie, nawet gdy Ben mówił dalej.

– Przepraszam, co mówiłeś?

– A ty? – zapytał Ben. – Czy w twoim życiu jest najwięcej tego, co kochasz?

– Nie wiem. – Zamyśliła się. – Nie jestem właścicielką tartaku jak Alice, więc nie robię bilansu. W moim życiu jest wiele rzeczy, które kocham. – Zmarszczyła jednak brwi, a w oczach pojawił się cień. Chciała odgarnąć loki ze spoczonej twarzy, ale miała brudne ręce. Nie przyzna się przed Benem, że w jej życiu są rzeczy, które jej się nie podobają. Lawrence. Brak pieniędzy. Brak męża. Zaś najbardziej brakowało jej rzeczy, której pragnęła najbardziej na świecie: dziecka, by mogła być matką.

– A ty?

– Co ja?

– Czy najbardziej kochasz Panamę?

Ben wzruszył ramionami, jakby nie chciał powiedzieć jej prawdy.

– Najbardziej kocham pracę. Może lubiłbym Panamę bardziej, gdyby była przedmieściem Bostonu i nie drżałyby mi mięśnie, nie miałbym paskudnej wysypki i gorączki, która może mnie zabić.

– Tak, to mało pociągające.

– Przedmieście Bostonu – dodał powoli Ben. – Może jak Concord.

„Aż ukazało się łóżysko morza i obnażyły się posady lądu od groźnej nagany Twej, Panie, i tchnienia wichru Twoich nozdrzy”[6].

W więzieniu w Massachusetts Gina chce opowiedzieć Harry’emu o Alice, o koniach i prerii, ale nie wie, jak poruszyć ten temat ani jak wytłumaczyć, skąd o tym wszystkim wie. Milczy więc.

Chce zapytać Harry’ego, czy w jego życiu przeważają rzeczy, które kocha, ale nie wie, jak to zrobić. Wydaje jej się, że okrucieństwem byłoby pytać go o to, gdy siedzi w więzieniu, chudy, blady, z dalekim wyrazem w szarych oczach, obecny fizycznie, lecz duchowo oddalony o miliony kilometrów. Boi się. A jeśli odpowie: nie w życiu z tobą? Bo

ona siedzi tutaj, a jego oczy są zamglone, jakby wspominały inne miejsce, inny czas.

Myśli o tym, gdy siedzą naprzeciwko siebie. Jego słowa wprawiają ją w zakłopotanie, powodują, że zaczyna wątpić w swoje pojmowanie wszystkiego.

– Co się z tobą dzieje? Dlaczego wydaje mi się, jakbyś była milion kilometrów stąd? – pyta Harry.

– Jestem tutaj, *tesoro* – zapewnia go szybko z uśmiechem. – Tylko tutaj.

Podaje mu gazetę i patrzy, jak on ją przerzuca.

– W tysiąc dziewięćset jedenastym roku – mówi Harry – poproszono Maxa Eastmana, by przywrócił świetność podupadającemu magazynowi politycznemu. Zrobił to i teraz co miesiąc wydaje nowy numer. Powinnaś mu się przyjrzeć. To „The Masses”.

– Dlaczego miałabym mu się przyglądać?

– Bo jest dobry. Polityczny. Zabawny. Piszą dla niego John Reed, Sherwood Anderson, Lincoln Steffens.

Gina czeka. Dobrze go zna, wie, że to nie koniec.

– W Paterson – ciągnie Harry – napisałem kilka przemówień i artykułów do strajkowych broszur. Spodobały się Maxowi. Powiedział, że mam talent. W tym tygodniu dostałem od niego list. Chce, żebym do niego dołączył, kiedy wyjdę. Jako wydawca lub autor. To lepsze niż praca dla Billa, prawda? Z twojej perspektywy, oczywiście.

Gina siedzi po jednej stronie stołu, od którego, gdy wybije druga, będzie mogła wstać i wyjść na oślepiający blask słońca. Taka jest jej perspektywa. Może wsiąść do autobusu i pojechać nad morze, może kupić rękawiczki, posłuchać radia, wypić zimne piwo, wypożyczyć książkę w bibliotece i kupić kiełbasę u rzeźnika. Może pojechać pociągiem w każde miejsce w kraju.

– Tak – mówi. – Z mojej perspektywy wszystko jest lepsze niż praca dla Billa.

– Wszystko? – Harry się uśmiecha, a Gina zastanawia się, co jeszcze dla niej ma. Jednak on zamiast powiedzieć, pochyla głowę nad gazetą i czyta jej wydrukowane tam historie.

– Dlaczego tyle czytasz? – pyta Gina znużona. – Czego szukasz?

– Sensu życia – odpowiada Harry. – Czyż nie tego wszyscy szukają? Czy my go nie szukamy?

Gina nie odpowiada. Chce mu powiedzieć, że sądziła, iż znalazła swój, ale milczy. Nie może odpowiedzieć, dopóki nie zostanie matką. Imigranci zwykle nie zadają sobie takich pytań. Nie mają czasu. Jednak jej ojciec, który sprowadził ją do Ameryki siłą swojej tęsknoty i pasji, domaga się od niej odpowiedzi. I dla swego zmarłego ojca będzie sobie zadawała to pytanie raz po raz, dopóki z łaski Boga nie spłynie na nią odpowiedź.

– Jak wielu ludzi – ciągnie Harry – między innymi Henry David Thoreau, chcę odkryć najważniejsze rzeczy w życiu.

– Ja też.

– Nie chcę ich przeoczyć, harując jak pszczoły robotnice w fabryce.

Co złego jest w takiej pracy, chce zapytać Gina.

– Szukasz ich, pikietując w New Jersey? – pyta zamiast tego.

– Najwyraźniej. Gdy przyjdzie pora umierać, nie chcę dojść do wniosku, że wcale nie żyłem.

Ja też nie, myśli Gina, lecz nie ma odwagi tego powiedzieć.

– Ale ty żyjesz w więzieniu – mówi cicho. – Daleko ode mnie – dodaje jeszcze ciszej.
– Tutaj jestem wcieleniem prostoty – mówi Harry. – Mam niewiele potrzeb, niewiele pragnień. – Mówiąc to, wciąga powietrze, jakby chciał się powstrzymać przed dodaniem czegoś. Gina czeka. Harry milczy. – Mam kilka pragnień – mówi w końcu prawie szeptem.
– Ja też – mówi prawie szeptem ona.
– Ale zredukowano mnie do podstaw. Muszę się wznieść ponad elementarne pragnienia, nie sądzisz?

Gina nie wie. Boi się, że nie. Stara się nie patrzeć na zegar nad jego głową, którego wskazówki znieruchomiały, jakby były martwe.

„Niechaj (Pan) pamięta o wszystkich twych ofiarach i niech Mu będzie miłe twe całopalenie. Niech ci udzieli, czego w sercu pragniesz”[7].

2

Gina nigdy nie widziała, by ktoś tak się ożywił i dawał się ponieść rozmowie jak Ben, gdy opowiadał o swoim pobycie w Panamie.

Nie, to nie do końca była prawda. Harry okazywał podobne emocje, tak samo się zapalał, gdy rozmawiali o przywracaniu harmonii na świecie i zmienianiu go na taki, jaki według niego powinien być. I choć Gina nadal, jak zawsze, podziwiała naukowe pasje Harry’ego, na razie wysłuchiwała już dość o Reedach, Debsach i Haywoodach. Teraz chciała słuchać tylko o Panamie.

– Tylko lasy i góry. Nieprzebyte lasy połączone z tropikalnymi temperaturami. I góry jak kręgosłup. Powinienem dać sobie spokój. Nie mogliśmy przekopać kanału z północy na południe. Kopaliśmy, zbudowaliśmy tamę na rzece Chagres, zbudowaliśmy zalew. Prowadziliśmy prace z dwóch mórz w głąb lądu, z Cristobal do Miraflores do środka kraju, pracowicie jak bobry. I kiedy zaprojektowaliśmy i zbudowaliśmy betonowe zapory, które podnosiły i obniżały poziom wody, pomyślałem, że nie ma już nic trudniejszego ani nic lepszego. Aż dotarliśmy do działu kontynentalnego. Nie było tam rzeki, wody, pól ani strumienia. Tylko góra. – Ben pokręcił głową.

Gina potrząsnęła swoją.

– Nie wiem, jak tego dokonaliście. Nadal tego nie rozumiem.

– Ja też nie.

– Ale poważnie.

– Zrobiliśmy wielkie bum. – Roześmiała się.

– To nie jest metafora. Ani figura retoryczna. Wyszliśmy to w powietrze.

– Wyszliśmy w powietrze górę?

– Wydrążyliśmy otwory, wsunęliśmy do nich ładunki wybuchowe i zdetonowaliśmy górę. Kiedy wszystko opadło, wielkimi napędzanymi parą łopatami załadowaliśmy rozbite skały na pociągi towarowe, które wywoziły je na składowiska odpadów.

Gina była trochę przerażona, lecz jednocześnie pod ogromnym wrażeniem.

– Musieliście wydrążyć sporo dziur, żeby rozbić tę górę, prawda?

– Sześćset dziennie – powiedział Ben. – Drażyliśmy dziury i detonowaliśmy ładunki dwa razy dziennie. Potem przyjechały pociągi. Musieliśmy więc zbudować linię kolejową i stale kłaść nowe tory, bo dolina się wydłużała i poszerzała.

– Ojej. Jak długa była w końcu ta dolina? – Nazwano ją Culebra Cut.

– Trzynaście kilometrów.

– Ben!

– Co? Za długa czy za krótka?

– To niemożliwe!

– Mówili tak wszyscy do mojego szefa, pułkownika Gaillarda, niezwykle odważnego i cierpliwego. „Co wy wyprawiacie, to się nigdy nie uda!”. Praca u boku tego pełnego poświęcenia, spokojnego człowieka była dla mnie zaszczytem, ale nie masz nawet pojęcia, ile razy zwierzał mi się ze swoich wątpliwości, jak często mawiał: „To, na co się tu porywamy, panie Shaw, to czysta głupota. Przesunąć górę, by statki mogły tędy przepływać?”. A ja, mimo własnych głębokich wątpliwości, odpowiadałem: „Nie, panie pułkowniku. To się musi udać i uda się”.

– Gazety były bezlitosne. Pisały, że nic z tego nie będzie, że polegniecie jak Francuzi. Ich zdaniem było to marnotrawstwo ludzi i materiałów.

Ben westchnął, jakby nawet odniesiony sukces nie był w stanie zrekompensować tych minionych gigantycznych kryzysów.

– To Culebra Cut pogrążył Francuzów. – Wzruszył ramionami. – Próbowali kopać za wysoko. Sześćdziesiąt metrów nad poziomem morza to za wysoko na dolinę. My przekopaliśmy się tylko cztery. To było znacznie lepsze.

– Nie dobre, ale lepsze?

– Tak. To jeden z powodów, dla których jestem ostrożny i nie do końca optymistycznie nastawiony. Wiem, ile to kosztowało. A działo się to, jeszcze zanim zaczęła się osuwać ziemia.

– Co?

– My z korpusu inżynierskiego mówiliśmy wszystkim, żeby uważać na osuwanie się ziemi. Gaillard bardzo się tego obawiał. Ale międzynarodowy zarząd nadzorujący projekt oświadczył, że nie ma się czego bać. Uznali, że dział jest wystarczająco stabilny. Nie wzięli jednak pod uwagę deszczów filtrujących nieprzeniknioną wcześniej górę. To oczywiście ją osłabiło, a potem wywołało osunięcie się trzystu tysięcy metrów sześciennych gliny.

– Ben!

– Tak. I glina była za miękka, by usuwać ją koparkami.

– Jak glina z wulkanu. – Gina przypomniała sobie potężną i straszliwą Etnę i dzieciństwo spędzone w strachu przed wulkanem. A jednak wtedy nie bała się tak bardzo jak teraz, w wiktoriańskim domu przy Summer Street.

Ben spojrzał na nią z aprobatą.

– Tylko że my nie możemy mieć błotnego lodowca na drodze naszych liniowców, prawda?

– Błoto na drodze cywilizacji? Jasne, że nie. Co zrobiliście?

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Co mogliśmy zrobić? Wspięliśmy się na górę, spłukaliśmy glinę wodą z dużej wysokości i wysadzaliśmy dalej.

Zamyśliła się.

– Ale czy woda nie wpływała dalej między skały? Jak zamierzaliście powstrzymać ulewne deszcze? Będziecie kontrolować również niebo?

– Nie możemy. To nadal będzie problem.

– Czytałam, że w zeszłym miesiącu kanał zamknięto na tydzień z powodu kolejnego osuwiska.

– Tak, kanał będzie zamykany na jakiś czas, żeby go oczyścić. Nie ma na to innego sposobu.

Poklepała go czule po ramieniu i szybko cofnęła rękę, gdy uświadomiła sobie, że naruszyła etykietę.

– Słyszałam, że dolina zostanie nazwana na cześć twojego generała?

– Pułkownika.

– Co za różnica?

– Racja. – Ben się roześmiał. – Ale rzeczywiście w przyszłym roku otrzyma nazwę Gaillard Cut.

– Wielka szkoda, że nie dożył ukończenia kanału – powiedziała.

David Gaillard zmarł w 1913 roku na raka mózgu.

Ben przestał się uśmiechać.

– Zapuściłem nawet wąsy na jego cześć. Zgoliłem je przed powrotem do domu – dodał, gdy spojrzała na gładką skórę pod jego nosem. – Był wychowankiem West Point. Co tłumaczy, dlaczego odniósł sukces tam, gdzie inni polegli.

Zwalczyła impuls, by znów go dotknąć, choć wyglądał na wyczerpanego wspomnieniami.

– Rzeczywiście sprawiłeś, że kamienie zaczęły latać.

Szli dalej pogrążeni w myślach. Wracali do Wayside po pięciokilometrowym spacerze po jabłka.

– Warto było? – zapytała.

– Co?

– Czy warto było poświęcać krew i ludzi, czas z dala od domu, cierpieć choroby. Okryłeś się chwałą? Z mojej perspektywy to ogromne osiągnięcie, prawie jak cud. Ale co ty myślisz?

– Z inżynierskiego i technicznego punktu widzenia to bez wątpienia wielkie osiągnięcie – odparł. – I nawiasem mówiąc, tylko my mogliśmy tego dokonać. Pomogły nam ciężkie amerykańskie maszyny, mieliśmy łopaty, pociągi i koparki, tylko dlatego że przez ostatnie sześćdziesiąt lat budowaliśmy kolej przez cały kraj. Pod tym względem zbudowanie kanału przez mgłę i górę, zbudowanie tam na rzekach, podniesienie poziomu morza, podzielenie działu, jest wielkim sukcesem cywilizacji. Ale to nie była sztuka dla sztuki. Zbudowaliśmy kanał, by zmienić drogę ludzkości. I być może jest za wcześnie, by odpowiedzieć na twoje pytanie, czy było warto. Najpierw musimy ocenić wpływ, jaki kanał będzie miał na świat, na wojnę, gospodarkę i poziom życia w odległych krajach, na warunki i długość życia marynarzy. Oczywiście mam nadzieję, że odpowiedź będzie pozytywna. Ale zapytaj mnie znowu za piętnaście lat. Jeśli wcześniej nie pokonają mnie komary i żółta febra.

– Umowa stoi – odparła. Nie wyciągnęła jednak ręki na jej potwierdzenie, nawet

w żartach. A on wiedział, że tego nie zrobi, więc nie wykonał żadnego ruchu. Tylko jego oczy zalśniły na myśl o tym, że za piętnaście lat będą w kontakcie. Czemu nie, myślała Gina. Poznali się ponad piętnaście lat temu i znów się spotkali, choć w zdecydowanie innych okolicznościach.

– Może w przyszłą niedzielę pojedziemy na farmę dyni?

– Dlaczego miałabym tam jechać?

– Bo możemy tam spędzić parę miłych godzin. Na przykład przy zbieraniu dyni. A może trafi nam się grzany cydr? Czasami organizują wyścigi w workach. Moglibyśmy się pościgać i wygrać z maluchami. Można tam upleść koszyk. I nauczyć się robić dyniowe masło.

– Fuj.

– Jabłkowe?

– Lepiej.

– Jest też labirynt w kukurydzy.

– Nie lubię labiryntów. Zawsze się gubię.

– Ja nigdy. Możesz iść ze mną.

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Mam tyle pracy u Rose. Za dużo czasu dziś zmarnowaliśmy. Doszliśmy prawie do stawu Walden! W niedzielę nie robimy zbyt wiele.

– Masz rację. Ale nawet Pan Bóg w niedzielę odpoczął.

Zaprotestowała słabo.

– Chorymi trzeba się opiekować nawet w szabat. Pan Bóg nie odpoczywał, gdy miał pracę do zrobienia, prawda? Poza tym... Rose beszta mnie za roztargnienie i zaniedbywanie obowiązków. Nie chcę jej rozgniewać. To tak jakby się rozgniewało samego Boga.

– Daj spokój. Świat nie jest smutnym i poważnym miejscem. – Ujął jej zniszczoną dłoń.

– Nie martw się. Bądź radosna jak piękność z Belpasso. Ciesz się drzewami i ciszą. Pojedź ze mną do labiryntu.

– Wiesz, że możemy o tym tylko pomarzyć. – Co wieczór moczyła dłonie w mleku, by pozbyć się śladów ciężkiej pracy. Może Ben nie zauważy, że mimo to przypominają papier ścierny?

– Możemy zrobić wszystko – powiedział. – Przez kilka godzin w niedzielę nawet strudzeni mogą śpiewać na drzewach. Nawet małpy jedzą banany i cieszą się.

– Ben...

– Nie protestuj. Powiedz tylko, że ze mną pojedziesz.

3

Niedziela od dwunastej do drugiej.

Harry pyta, czy przywiozła gazetę.

Podaje mu.

Przerzuca ją z determinacją. Jest gładko ogolony. Kiedy Gina pyta, dlaczego zawsze się

goli, odpowiada, że każą mu to robić w niedzielę. To Boży dzień, mówią. I dzień odwiedzin. Chcą, żebym wyglądał dla ciebie jak najlepiej, w więziennym pasiaku i z gładko ogoloną twarzą.

Gina chce zapytać, czy ona wygląda dla niego jak najlepiej. Ma na sobie białą bluzkę z krepdeszynu i dopasowaną spódnicę. On bardzo lubi, gdy Gina nosi dopasowane ubrania podkreślające to, co kiedyś uwielbiał. Jej wąską talię. Długie nogi i ręce. Szczupłe biodra. Pełne piersi. Gładką szyję jak u królowej, szyję, po której uwielbiał przesuwać wargi.

W jego szarych oczach nie ma radości. Są smutne i poważne i prawie na nią nie patrzą, gdy czyta, wyciągając po papierosa dłoń, z której palca dawno zniknęła obrączka. Na knykciach widać zadrapania, których wcześniej nie widziała. Chce sięgnąć przez ściankę i ująć go za rękę, lecz on trzyma gazetę.

Mija godzina. Kolejna małżeńska niedziela z Harrym. Jak wcześniej msza: liturgia, modlitwa wiernych, kazanie, wręczenie darów, pieśń. Sucha komunia. Strażnik oznajmia, że czas się skończył. Gina staje przed Harrym, jak wcześniej stała przed Jezusem, i bierze torbę.

On jeszcze przez chwilę wpatruje się w gazetę. Po czym wstaje.

Do zobaczenia w przyszłą niedzielę, *mio marito*, mówi ona. Dbaj o siebie. Pochyliła głowę.

Nie zapomnij przywieźć gazety.

Oczywiście. Nie zapomnę.

W zeszłym tygodniu zapomniałaś.

Tak. Przepraszam. Nie zapomnę.

Zimno jest na zewnątrz? Patrzy na cienki płaszcz z beżowej wełny.

Rześko. Jeszcze nie zimno.

A liście?

Spadają z drzew.

Mimoo?

Dobrze.

Dalej pracujesz u Rose?

Podczas weekendów.

Milczy przez zbyt długą chwilę. Ale chyba nie tak ubrana? – pyta. Nie spuszcza wzroku z białej bluzki.

Nie, przebieram się przed przyjazdem do ciebie.

Harry kiwa głową. Zawsze wyglądasz tak świeżo, jakbyś wbiegła do środka.

Bo wbiegłam.

Stoją naprzeciwko siebie rozdzieleni stołem i ścianką. Patrzą na siebie z czułością, smutkiem, znużeniem.

Miałaś jakieś wiadomości od Purdy'ego?

Jeszcze nie. Ale kiedy widziałam się z nim ostatni raz, powiedział, że są szanse na święta.

Teraz ona już naprawdę musi iść. Harry zaciska dłoń w pięść.

Jakie mądre słowa ma na dziś dla mnie święta Rose?

Gina wkłada kapelusz, zawiązuje wstążki pod brodą. On nie spuszcza z niej wzroku.

„Może istnieć sztuka i miłość, ale sztuka i ekonomia wzajemnie się wykluczają”.

Harry kiwa głową, jakby z aprobatą. Ale nie ekonomia i wojna, mówi. Bo miliony młodych chłopców pójdą na rzeź z powodu ekonomii. Może ktoś to namaluje. A potem nazwą to sztuką.

Ona odwraca się, by odejść. On też. Przy drzwiach Gina zatrzymuje się jeszcze, by spojrzeć na niego ostatni raz. On też na nią patrzy. Gina widzi utkwione w sobie jego oczy, głębokie, poważne, które nie chcą pozwolić jej odejść. Unosi palce w rękawiczce do ust i posyła mu długiego całusa. On znika za stalowymi drzwiami. Ona też wychodzi, chłuszcząc się innymi słowami Rose: „Ci, którzy mają czyste ręce, nie muszą nosić rękawiczek”.

Bo dyniowa farma i kukurydziany labirynt czekają.

4

Gdy w słońcu klony w Concord płonęły barwami jak ogniem, Gina skończyła sobotnie obowiązki w Wayside i przebrała się w dopasowaną, sięgającą przed kostkę rudą sukienkę z koronkowym kołnierzykiem, czarnym aksamitnym paskiem i jedwabnymi aplikacjami. Paznokcie pomalowała na kolor pasujący do sukienki. Falujące włosy upięła misternie na czubku głowy. Wsunęła w uszy złote obręcze i założyła bransoletki. Narzuciła wełnianą pelerynę i wyszła na ulicę, gdzie czekał na nią Ben.

Wybrali się na wieczorny spacer do miasta, gdzie znaleźli małą restaurację z belami słomy przy wejściu. Weszli do środka jak dżentelmen i dama. Ben przytrzymał dla niej drzwi, wziął pelerynę, kapelusz i rękawiczki. Gina nie pamiętała, kiedy ostatni raz mieli z Harrym dość pieniędzy, by wyjść gdzieś razem wieczorem. Nie chciała pamiętać.

To nie może być prawda, pomyślała, gdy kelner odsunął dla niej krzesło, że od czasu szalonych zalotów w 1905 roku, które zmieniły ich życie, nie była w restauracji. Zaciśnęła usta, by odgrodzić się od tego wspomnienia, bo bała się, że zaraz popłyną łzy żalu nad sobą.

W restauracji paliły się świece, a dania podawano na eleganckiej porcelanie. Rozmawiano przyciszonymi głosami i cicho się śmiano. Chciała powiedzieć Benowi, że żaden znany jej Włoch nigdy nie rozmawiał tak cicho ani nie śmiał się tak subtelnie. Kiedy złożyli zamówienie, sama mówiła cicho, a gdy Ben zażartował, zaśmiała się subtelnie. Przy aperitifach Ben zapytał, dlaczego tak się kontroluje.

– Nie taką cię pamiętam.

– Dorosłam.

– Ale kiedy cię znałem, cała płonęłaś. Gdzie się podziała Sycylijka?

Nie odpowiedziała. Nie chciała mu mówić, jak ciężko pracowała nad ukryciem sycylijskiej strony swojego charakteru – donośnego głosu, żywej gestykulacji, emocji, śpiewnego akcentu – by nie obwieszczała całemu światu, że jest imigrantką. Nie chciała mu mówić, jak rozpaczliwie pragnęła stać się podobna do dziewcząt, którym zazdrościła, dziewcząt ze świata Harry’ego i Bena.

Jak Alice.

Ben mrugnął do niej znacząco, jakby znał odpowiedź.

– Stałaś się taka uważająca. Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

– Chcesz być jak tamta dziewczyna, którą porzucił – dla ciebie?

Zarumieniła się.

– Nie o to chodzi.

– To o co?

– Nie o to.

– Wytłumacz mi więc, jak ja wytłumaczyłem ci powstanie Celebra Cut.

– Dorosłam i już. Sycylia to dzieciństwo.

Pokręcił głową.

– Brałaś lekcje manier i wymowy. Nauczyłaś się ubierać, śmiać i mówić. Zrobiłaś to wszystko, by ukryć, kim jesteś.

– Harry’emu nie bardzo się podoba włoska hałaśliwość – powiedziała. – I przebłąski mojego dawnego ja ze Starego Świata. – Z wyjątkiem tych chwil, gdy pragnął tylko jej sycylijskiego ognia. O Boże! Czy przez cały ten wieczór mogliby raz, tylko raz, porozmawiać, nie wspominając o jej mężu w każdym zdaniu?

– Chyba powinienem go odwiedzić – odparł Ben. – To nie jest w porządku. Byliśmy przecież dobrymi przyjaciółmi. Chcę, żeby wiedział, że nie chowam urazy. Myślisz, że powinienem?

– Poczuj się jeszcze gorzej – powiedziała. – Kontrast między twoją wolnością a jego uwięzieniem będzie bardzo wyraźny.

– To prawda. Ale nie odwiedzić go ani razu...

Przytaknęła.

– Nie jest w zbyt dobrym nastroju. Nie będzie tak jak w dawniej.

– Niewiele rzeczy jest takich jak dawniej. I niby czemu miałyby być w rewelacyjnym nastroju? W końcu siedzi w więzieniu. – Westchnął, gdy popijali wino i smarowali chleb masłem. – Co teraz czyta? Może dam ci jakąś książkę, żebyś mu zawiozła?

– Jeśli po rosyjsku to dobrze.

– Czyta po rosyjsku? Boże przenajświętszy, czemu?

– Najpierw nie chciał nawet patrzeć na rosyjskich pisarzy, ale ostatnio skontaktowali się z nim Max Eastman i John Reed, i teraz mówi tylko o tym, że chce się nauczyć mówić po rosyjsku jak oni.

– Twój mąż stara się być taki jak John Reed? – Ben się roześmiał. – Tak jak ty chce się stać kimś innym? – Spojrzał na nią z czułością. – Podobałyby ci się bardziej, gdyby był bostończykiem mówiącym po rosyjsku? Nigdy nie słyszałem o takim połączeniu.

Gina też się roześmiała i wyznała, że Harry bardzo jej się podoba, mimo że nie mówi ani słowa po rosyjsku.

– Ale też nigdy nie słyszałam o bostończyku, który detonuje ładunki wybuchowe.

– Dobrze, to zapytam: czy podobam ci się bardziej teraz, gdy zostałem bostończykiem detonującym ładunki?

Wiedziała, że to pytanie retoryczne, na które nie musi odpowiadać, ale gdyby koniecznie musiała to zrobić, odpowiedziałaby twierdząco.

Przy brzoskwiowym kruszonie Ben poruszył temat Lawrence.

– Gino, dlaczego zawsze uciekasz z Lawrence, gdy nie pracujesz? Od początku wymykałaś się z domu i przyjeżdżałaś do Bostonu, najpierw dla mojej matki i jej radykałów, potem dla Eugene’a Debsa i Emmy Goldman. Teraz przyjeżdżasz do Concord. Nie twierdzą, że nie pracujesz u Rose dla szlachetnej sprawy. Chcę tylko zapytać, czy w Lawrence nie ma równie szlachetnego zajęcia? Dlaczego zawsze gdzieś uciekasz? A może zupełnie się mylę?

Zamyśliła się na chwilę. Zanim się odezwała, dopiła kruszon.

– Nie mylisz się – powiedziała w końcu. – Kiedyś wmawiałam sobie, że to z tego bądź tamtego powodu. Nawet kiedy tutaj przyjeżdżam... chodzi mi o to, że Harry tu jest...

– Gino, to nie jest powód.

– Nie – zgodziła się. – Prawda wygląda tak, że nie chcę mieć nic wspólnego z imigrantami. To straszne, że tak mówię.

– Nie.

– Tak. Jakbym nie była wdzięczna. Ale jestem nimi tak okropnie zmęczona! Wolałabym mieszkać gdziekolwiek, byle nie w Lawrence. Na przykład w North End albo jeszcze gorzej. Chcę mieszkać w miejscu, gdzie ludzie nie suszą prania w oknach i nie robią mozzarelli na ulicy. Kiedy przyjeżdżam do Concord, jest tak spokojnie. Nawet rudziki głośno nie śpiewają. Wszyscy są uprzejmi, nikt nie podnosi głosu, na ławkach w mieście mężczyźni spokojnie czytają, a niańki spacerują z dziećmi w wózkach. Kobiety mówią *sotto voce*, a mężczyźni zdejmują kapelusze, gdy zbliża się kobieta. To ma klasę. I jest tak bardzo amerykańskie. – Zawiesiła głos.

– I co jeszcze?

– I... Trudno sobie wyobrazić dwadzieścia tysięcy kobiet pędzących ulicami Concord, które tratują się nawzajem i nie zważają na niczyje bezpieczeństwo, prawda? Plują, wrzeszczą, rozbijają okna, kopią mężczyzn, padają na ziemię w ataku wściekłości, który trwa sześćdziesiąt trzy dni.

– Rzeczywiście trudno.

– Chyba o to chodzi. – Gina wypiła duży łyk deserowego wina. – Chcę mieszkać w miejscu, gdzie strajk Chleba i Róż wydaje się tak odległy jak gwiazdy.

Ben przestał ją odwozić do Lawrence w sobotnie wieczory. Wspólne kolacje przeciągały się, a ona w niedzielę musiała wcześniej rano wracać do Concord na pięć dzwonek i dla Harry’ego. Nie było sensu spędzać tyle czasu w podróży. Zaczęła więc regularnie zostawać w Wayside na noc, a Ben wynajął pokój w pensjonacie przy Lexington Road, która wiała się po stromym wzgórzu, wokół pola, strumienia i łąki, z dala od miasta, Rose i Harry’ego.

Pewnej niedzieli w listopadzie Gina nie odwiedziła męża. Tydzień później powiedziała mu, że była chora, miała nadzieję, że to szybko minie.

Październik był miesiącem kolorowych liści, a wraz z listopadem nadeszła pora ciepłych ubrań.

W grudniu Gina poszła na spotkanie z Eltonem Purdym i dowiedziała się z przerażeniem, że sędzia rozpatrujący sprawę Harry’ego był nieustępliwy: wyrok i tak już został skrócony z pięciu lat do dwóch i Harry nie wyjdzie wcześniej z więzienia.

– Ale wspominał pan...

– Tak mi powiedzieli. Myślę, że zmienili zdanie z powodu wojny. Nie chcą wicherzycieli na ulicach. To tylko kłopot dla policji.

– Nawet na święta? – Starła się ukryć rozpacz. – Co ja mu powiem? O Boże. Nawet Niemcy i Francuzi ogłosili zawieszenie broni na Boże Narodzenie.

– Może pani mąż powinien być żabojadem albo szkopem. Ma pecha, że jest Amerykaninem, który chce siać zamęt tutaj, bo żabojady i szkopy biją się tam.

– Masz problem z lojalnością? – pyta Harry w zimną grudniową niedzielę, gdy zrelacjonowała mu okropne wieści dotyczące zwolnienia. Początkowo jest tak zdenerwowany, że nawet nie może o tym rozmawiać.

– Co? – Gina jąka się, drży.

Patrzy na nią rozdrażniony.

– Co się z tobą dzieje? Żałujesz, że twoja ojczyzna, Włochy, nie są po stronie Niemiec?

– Dlaczego miałabym tego żałować? Jestem teraz Amerykanką. A my nie prowadzimy wojny.

– Jeszcze nie. Wzięłaś udział w marszu przeciwko wojnie w zeszłą sobotę, jak cię prosiłem?

– Tak. Ale protestowałam spokojnie, jak na dobrą Amerykankę przystało; ja, Emma Goldman i tysiąc pięćset innych osób. Wiesz, że ty i Emma wypowiedacie się podobnie o tej wojnie?

– Kiedy mowa o imperialistycznych wojnach, nie ma podziału na anarchistów i socjalistów. Wszyscy powinni być po tej samej stronie.

– Masz szczęście, że mnie nie aresztowali – mówi Gina. – Co by się z nami stało? Kto by nas odwiedzał?

– Nie wiem. Ty też rzadko mnie odwiedzasz.

Przesuwa się po jego słowach, jakby ich nie słyszała.

– Jest coraz więcej aresztowań i wyroki są coraz surowsze. Policja jest na nas bardzo zła.

– Jak bardzo? Jak w Lawrence?

Milkną, nawet na siebie nie patrzą. Co jeszcze można po tym powiedzieć? Kiedy czas mija, Gina wychodzi, prawie biegnąc. W tym tygodniu nie ma dla niego żadnych sentencji od Rose. On zresztą o nich nie wspomina.

5

– Ben, dlaczego nie znalazłeś sobie w Panamie miłej dziewczyny i nie ustatkowałeś się?

– Kto mówi, że nie znalazłem?

Szli po Broadway w Lawrence pomiędzy szpalerem choinek. Gina bardzo chciała, by te święta były dla matki udane. Salvo wyjątkowo nie miał stałej dziewczyny, a wybuchowa matka jego dziecka znalazła sobie rybaka w Maine i przeniosła się z Mary do Acedii. Salvo topił smutki w miejscowej tawernie i pocieszał się z miejscowymi dziewczynami. Gina

zaprosiła Bena na święta, lecz musiał zostać z matką. „Choćby tylko po to, by ocalić ją przed aresztowaniem za antywojenny zapal. Stale ją ostrzegam, że niebawem wejdzie w życie ustawa antyszpiegowska. Koniec z niskimi wyrokami za drobne wykroczenia. Każde ostre słowo przeciwko wojnie będzie traktowane jak zdrada. Ale czy matka mnie słucha? Nie zwraca uwagi na moje słowa, jak zawsze. Muszę robić co w mojej mocy, by ją ratować przed nią samą”.

Gina poprosiła go jednak, by pomógł jej przynieść choinkę.

– To gdzie jest ta dziewczyna? – zapytała.

– O jaką dziewczynę ci chodzi?

– Ha!

– Wyobraź sobie, że w Panamie też trzeba się mieć na baczności. Ojcowie i bracia dziewcząt noszą broń. Prawie jak na Sycylii.

– Kto by pomyślał? – odparła z radosnym chichotem. – Gdzie tylko się ruszysz, głupi mężczyźni próbują chronić swoje córki i siostry.

– Wiesz dlaczego?

– Bo tylko mężczyźni dobrze wiedzą, do czego są zdolni?

– No właśnie!

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Znaleźli choinkę, nie za dużą, nie za małą, w sam raz. Ben zapłacił, każde chwyciło za jeden koniec i w ten urokliwy wieczór przeszli z Essex na Summer Street. Grudzień był dobrym miesiącem na spacer w Lawrence. W oknach nie suszyło się pranie. Panował tłok, migotały bożonarodzeniowe światełka, z otwartych sklepów dobiegała muzyka, ludzie z radością kupowali prezenty.

– W Panamie rzeczywiście czeka na mnie dziewczyna – powiedział Ben. – Ale ona nie chce mieszkać tutaj, a ja nie jestem pewny, czy chcę mieszkać tam. – Urwał, by złapać oddech. Gina też się zasapała, bo choinka była ciężka. – Nadal do mnie pisze.

– Dlaczego miałyby nie pisać?

Z trudem wnieśli choinkę do domu, łamiąc przy tym kilka gałązek, a potem ustawili ją w małym saloniku koło okna wychodzącego na werandę.

– Jest miła? Jak ma na imię?

– Ingresol. I jest miła.

– Ładna?

– Nie, wolę, żeby moje kobiety były bardzo brzydkie – odparł. – Jasne, że jest ładna. – Uśmiechnął się na wspomnienie. – W Panamie kobiety mają naturalny wdzięk. Ale noszą mnóstwo złotej biżuterii.

– Z prawdziwego złota? – Zadzwoiła bransoletkami, które dawno temu dostała od Harry’ego.

– Nie wiem. Ale ich strój, *pollera*, jest cały biały i ma złote aplikacje na dole i przy bufiastych rękawach. Jest bardzo kobiecy, inny od tutejszych. Biel symbolizuje czystość i niewinność, ale wszędzie są marszczenia, złote guziki, a z tyłu tren, prawie jak ogon pawia. – Pokręcił głową rozbawiony. – Strój jest biały, ale krzyczy: „Chodź, ożeń się ze mną”.

– Czyli spełnia swoje zadanie?

– Nie, jeśli nie chcesz się żenić.

Gina szturchnęła go lekko.

– Zabawny jesteś. Co się jada na Boże Narodzenie w Panamie? Może ugotuję to dla ciebie, kiedy przyjedziesz następnym razem?

– Potrafisz zrobić *tamales* z kurczaka?

Nie wiedziała, co to takiego.

– *Arroz con pollo?* – zapytał. – Ryż z kurczakiem? *Pavo?* To indyk. *Relleno?* Nadzienie. Coś o nazwie *puerca asada pernil*, danie z mięsa? Ajerkoniak. Mnóstwo owoców. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Banany, czerwone i żółte.

– Śmieszny jesteś z tymi bananami. Powiedziałaś: ajerkoniak?

– Jakiego nie piłaś nigdy w życiu.

– Żadnego nie piłam.

Uporali się z choinką i kolacją. Mimoo słuchała radia z Ritą w jej mieszkaniu na poddaszu, a Gina i Ben mieli kilka chwil dla siebie przy herbacie i placku z miodem.

– Nigdy nie piłaś takiego ajerkoniaku. Nazywa się *ron ponche*. Rumowy poncz.

Wstała i podeszła do szafki po dzbanek i dwie szklanki.

– Mam jakieś składniki? Może zrobię ci dziś wieczór.

– Zobaczmy. – Stał obok niej przy blacie. – Masz słodkie mleko skondensowane?

– Tak.

– I zwykłe?

Wyjęła trzy puszki.

– Jajka? Będziemy potrzebowali sześciu.

Wyjęła pół tuzina jajek.

– Gałka muszkatołowa? Nie jest absolutnie konieczna. Przywiozę następnym razem. A rum?

Znalazła w głębi szafki trochę rumu z dawnych czasów, gdy bywali u nich Joe i Arturo. I Angela. Czasów dawno minionych. Arturo pisał teraz wiersze miłosne dla innej szczęśliwej dziewczyny w stanie Waszyngton, a Uśmiechnięty Joe był właścicielem sadu owocowego w San Clemente w Kalifornii. Angela leżała na cmentarzu przy kościele Najświętszej Marii Panny.

Ben połączył składniki, wymieszał je energicznie i nalał płyn do szklanek.

– Wesołych świąt.

– Wesołych świąt.

Wypiła.

– Ben – powiedziała z szeroko otwartymi oczami. – Chyba nie powinieneś wracać dziś do domu. Nie będziesz wyraźnie widział. Ja z trudem dojdę do sypialni na górze.

– Wiem. Mówiłem ci. Dobre, prawda?

– Bardzo dobre.

– Nie martw się. Jeśli upadniesz, zaniosę cię na górę.

– Na górę do sypialni?

Nie powiedzieli już nic więcej. Stali w milczeniu obok siebie i opierając się o blat, popijali ajerkoniak.

– Mogę cię o coś zapytać? – zaczął po chwili Ben.

– Powinniśmy się wcześniej więcej napić?
– Co Mimoo i Salvo myślą o tym, że cię odwożę do domu, jem tutaj kolacje, kręcę się po domu?

Gina zachwiała się lekko.

– Pytam, bo Salvowi jakoś to nie przeszkadza. Mimoo zrzędzi, ale jest taka nawet dla ciebie, a wiemy, że cię kocha...

– Masz rację co do Mimoo. A Salvo wolałby, żeby Harry nie wyszedł z więzienia do końca życia, więc jest zachwycony. Ale głośno mnie krytykują, gdy cię tu nie ma.

– Powiedz im, że jestem twoim przyjacielem.

– Wiedzą. Powiedziałam im. Lubię moich przyjaciół, Ben.

– Ja też lubię swoich.

Potrzebuję przyjaciół, chciała powiedzieć, wypiwszy za dużo ajerkoniaku, ale zmieniła zdanie.

– Na pewno nie możesz spędzić z nami świąt? – Uśmiechnęła się. – Zrobię ci *tamale fritos chickita con flan*, czy jak tam się to nazywa.

– Czy prawdziwy mężczyzna mógłby odmówić? Ale moja rodzicielka mnie wydziedziczy. Nie chcę, żebyśmy mieli z Harrym także i to wspólne.

Spojrzeli na siebie i odwrócili wzrok. Gina zachwiała się i przytrzymała blatu. Ben nie dokończył drinka. Postąpił rozsądnie i zaraz wyszedł, lecz wcześniej pochylił się i ucałował jej dłonie, jedną po drugiej, długo przyciskając do nich pachnące ajerkoniakiem usta.

6

– Staw Fairyland jest zamarznięty od miesiąca! – wykrzyknął Ben. – Chcesz pojeździć na łyżwach?

– Co?

Gina nie pamiętała tak zimnego stycznia jak ten 1915 roku. Z wielu powodów lubiła przebywać w Concord podczas weekendów, bo Rose ogrzewała dom dla chorych pacjentów, podczas gdy w Lawrence nie stać ich było na rachunki za ogrzewanie. Jeśli się nie gotowało, było zimno.

W głębi serca ukrywała też inny powód – jazdę na łyżwach!

Ben uśmiechnął się z radością i pokazał jej torbę z dwoma parami sznurowanych butów z przymocowanymi do nich łyżwami. Było sobotnie popołudnie i wcześniej uporali się z pracą dla Rose.

– Co to jest?

– Łyżwy.

Wyjęła jeden but z torby, przyjrzała mu się, zmarszczyła brwi.

– Chcesz, żebym to włożyła i stała na stawie?

– Nie stała, jeździła.

– Ben, jest pewna rzecz, której prawdopodobnie o mnie nie wiesz – zaczęła Gina, ostrożnie wkładając but do torby. – Urodziłam się i wychowałam na Sycylii. Najwyraźniej

nigdy o niej nie słyszałeś, ale to bardzo piękna wyspa na Morzu Śródziemnym. Jej południowa część graniczy z Afryką. Nie wiem, jaką masz wiedzę o geografii świata, ale przez Afrykę przebiega równik. Włosi nie mają lodu. Nie jeżdżą na łyżwach. Pływają.

Ben nie dał się zbić z tropu.

– Za zimno na pływanie.

– Tak – zgodziła się ochoczo. – Za zimno, żeby w ogóle wychodzić z domu. Może poczekasz piętnaście minut, szybko tu skończę, a potem zrobię grzany cydr, usiądziemy przy ogniu, rozgrzejemy się i porozmawiamy o książkach?

– Możemy to zrobić po łyżwach. – Ujął ją za nadgarstek i lekko ścisnął. – Chodź ze mną. Będzie wesoło.

– Nic, co wiąże się z przebywaniem w temperaturze poniżej zera z nożami przy stopach, nie może być wesołe.

Zaparkował samochód przy Walden Street i powolutku zeszli stromymi ścieżkami prowadzącymi przez las Hapgood-Wright nad staw Fairyland. Spomiędzy pokrytych śniegiem drzew przez chwilę spoglądali na polanę, gdzie dziesiątki dzieci i par ślizgały się na lśniącej tafli.

– Mówiłem ci. Jest wesoło.

– Spójrz, to biedne dziecko się przewróciło.

– Ale wstało i ślizga się dalej.

Gina udawała, że się boi, ale w rzeczywistości była podekscytowana.

– Czy staw naprawdę nazywa się Fairyland?[8] – zapytała, gdy zaczęli schodzić ze wzgórza.

– Wieść niesie – powiedział Ben – że nazwały go tak dzieci Alcott i Merona. Zapytaj później Rose. Na pewno będzie wiedzieć, bo chyba wie wszystko. A teraz chodź. Nie ociągaj się. Celowo idziesz bardzo wolno.

– Tu jest stromo. Jestem po prostu ostrożna. Chyba nie chcesz, żebym upadła?

– Chyba nie.

Zamyśliła się nad jego słowami.

– Jak gruby jest ten lód?

– Wcale nie jest gruby – odparł. – Ale tu nie jest głęboko.

– Ben!

Włożenie butów z łyżwami było wyzwaniem, lecz prawdziwa walka zaczęła się, gdy Gina wreszcie wyszła na lód. Nogi wysunęły się spod niej i natychmiast się przewróciła.

Roześmiany Ben pomógł jej wstać, lecz kiedy tylko ją puścił, znów upadła. Potem siedziała na ławce obok bezzębnej staruszki z laską i patrzyła, jak Ben ślizga się sam, machając do niej za każdym razem, gdy ją mijał.

– Chodź, spróbuj jeszcze raz – zawołał.

Pokręciła głową.

– Kiedy nauczyłeś się tak jeździć?

– Dorastałem w Nowej Anglii. Tu wszyscy jeżdżą na łyżwach.

– Nie wszyscy. Harry nie.

– No wiesz? – Ben się uśmiechnął. – Harry jest świetnym łyżwiarzem. Lepszym ode

mnie. Kiedy byliśmy dziećmi, graliśmy w Barrington w hokeja.

– Harry grał w hokeja? – Zdumiała się. – Mówisz o Harrym, moim mężu?

– Myślisz, że tylko czyta?

Pomógł jej wstać z ławki i wyprowadził na lód.

– Ben, on naprawdę tylko czyta. – Starła się, by nie zabrzmiało to zbyt ponuro.

– Zanim został moim księżkowym, był całkiem niezłym łyżwiarzem – odparł Ben, trzymając ją mocno za rękę. – Czekaj, czekaj, nie rób tego, co robisz.

– A co robię? – zapytała i upadła.

– Upadasz. – Znów ją podniósł. – Poczekaj! Nie, nie rób tego. Gino, spójrz na mnie – powiedział, odwracając ją do siebie. – Trzymaj kolana lekko ugięte, nie chodź, tylko się ślizgaj; pochyl się trochę do przodu, ręce przy bokach, a teraz... ugnij nogę i odepchnij się, na zmianę. Ugnij nogę i odepchnij się prawą, a teraz ugnij prawą i odepchnij się lewą. Patrz na moje stopy.

– Kazałeś mi patrzeć na siebie.

– Dobrze, ale teraz patrz na moje stopy. Obserwuj. Nie martw się, jeśli będziesz miała upaść, złapię cię. Natychmiast, obiecuję. Chodź!

Trzymał ją za rękę, a ona próbowała. Po serii upadków prawie udało jej się ustać na lodzie przez pięć czy sześć sekund. Ben utrzymywał równowagę idealnie, poruszał się na łyżwach z gracją i śmiał się z niej, jakby nie mógł pojąć, że ktoś nie może od razu nauczyć się ślizgać na metalowym ostrzu.

Chwyciła go za rękę i udawała, że robi to tylko dla utrzymania równowagi.

A on nie puszczał i udawał, że robi to tylko dla jej bezpieczeństwa.

Udało się! Przesunęła jedną stopę i pojechała kawałeczek do przodu, potem przesunęła drugą i przejechała jeszcze kawałek. Była tak szczęśliwa, że klasnęła w dłonie – i znów się przewróciła.

– Mówiłem ci, żebyś mnie nie puszczała – strofował Ben, ujmując ją pod ramiona i pomagając wstać.

Spędzili na lodzie ponad dwie godziny. Musiał ją stamtąd ściągnąć, gdy zrobiło się ciemno. Władze miasta rozwiesiły białe światełka na nagich drzewach wokół stawu i Gina pomyślała, że to wygląda magicznie, jakby się ślizgało wśród białych diamentów. Żałowała, że nie mogą zostać.

W drodze na kolację i podczas kolacji Gina mówiła tylko o łyżwach.

– Miałeś rację, to świetna zabawa. Ale nadal nie rozumiem, jak to robisz. Jak możesz jeździć do tyłu i nie przewracać się?

Nos, policzki i ręce miała nadal zimne, ale nie dbała o to.

– To niesamowite. I ty jesteś niesamowity na lodzie. Lubię cię obserwować. – Opanowała się nieco. – Świetnie się bawiłam. Skąd wzięłeś łyżwy? Może... – Urwała.

Ben patrzył na nią z radością nad zalany blaskiem świec stołem i pochylił głowę do przodu.

– Co może? Pojeździmy jeszcze? Może załatwimy ci twoje własne łyżwy?

– To może jutro?

Marzyła o lodzie, gdy jedli ciepłą szarlotkę.

– Jak myślisz, co robi lód, gdy nikt się na nim nie ślizga? Jak teraz?
– Co robi lód? Chyba siedzi pod drzewami i jeszcze bardziej zamarza.
– Myślisz, że światełka jeszcze się palą? A może ktoś przychodzi je gasić?
– Nie wiem. – Ben zamyślił się na chwilę i przygryzł wargę. – O co mnie prosisz? Po kolacji? Chcesz pójść zobaczyć, czy światełka jeszcze się palą?

O mało nie klasnęła w dłonie.

– Nie, nie. Nie mogę. Nie zejdem po tej ścieżce po ciemku. Poczekamy. – Była jednak rozczarowana. – Ale za dnia światełek nie będzie. Nie zobaczymy ich.

– To chodźmy teraz.

– A skąd płynie elektryczność?

– To są chyba lampki naftowe.

– Och – szepnęła przygnębiona. – Więc się wypalą. Kiedy kończy się nafta, światło gaśnie. – Poznawszy sekret magicznych światełek, skuliła się na krześle.

Po kolacji poszli na spacer przez park. Ścieżki nadal oświetlały naftowe lampy na zaśnieżonych drzewach.

– Szkoda, że nie ma tu małego stawu – powiedziała Gina. – Nie musielibyśmy się przedzierać przez ten okropny las.

Ben zacisnął dłoń na jej ramieniu.

– Ale tutaj jest staw.

– Niemożliwe!

Ben wiedział sporo o tawernach, lodowiskach i stawach w całym Concord i oczywiście miał rację. Staw był malutki, przypominał raczej kałużę i światełka widać było tylko z daleka, gdy Ben zawiązywał Ginie i sobie buty z łyżwami, a potem wyprowadził ją na zamrożone mleko. Śmiała się i ślizgała. Nie mogła uwierzyć, że znów spotkała ją tak wielka radość, i to po ciemku. Byli sami. Potknęła się i upadła, a on znów ją złapał. Ich płaszcze pokrywał śnieg, na rękach mieli rękawiczki, a na głowach kapelusze. Stał blisko niej, gdy nadal się śmiała, a potem zdjął kapelusz i trzymał go w dłoniach.

– Dlaczego zdjąłeś kapelusz? – zapytała.

– Ponieważ – odparł cicho, prawie szeptem – dżentelmen nie może pocałować damy, nie zdejmując najpierw kapelusza.

– Och – szepnęła prawie niesłyszalnie.

Ben pochylił się i pocałował ją. Ich usta i oddechy nie były lodowate. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, straciła równowagę i upadła. On też upadł, kapelusz wysunął mu się z rąk i potoczył po lodzie jak koło.

Tego wieczoru Gina nie została w Wayside. Następnego też nie. Została w pensjonacie z Benem.

Och, być dotykaną, kochaną.

Ból zniknie.

Nie, nie zniknie. Ale ukryje się na jakiś czas.

Co my wyprawiamy, co się z nami stanie, co zrobiliśmy.

Sadzimy kwiaty, wrywamy chwasty.

To nie to.

Nie, jest lepiej. Cudniej.

Wiesz, jak długo cię kochałem, szepcze Ben. Jak długo tego pragnąłem.

Nie mów mi. Nigdy mi nie mów. Zasadź fiołki, patrz, jak rosną, zerwij je. Nie mów o latach, które minęły. Proszę.

To jest takie cudowne.

Jak syrop klonowy.

I wzgórza, i strumienie, dzikość, jaskółka, wróbel, aster, brzoza i sosna. To wszystko.

Nie odpowiedziała. To nie było wszystko.

Uwierzysz, szepnął, że Louisa May Alcott uważała Concord za najbardziej szare z miast?

Nie wierzę. Żyła tu i umarła.

Tak. Ale powiedziała, że miasto ostatni raz widziało ostre barwy, gdy byli tu żołnierze w czerwonych mundurach.

Gina roześmiała się, miała tak gorący oddech, że mógł sparzyć gardło Bena.

Czerwony klon w najjaśniejszym szkarłacie, szepnął w jej smukłą szyję, w spierzchnięte usta. To najbardziej wyrazista ze wszystkich rzeczy na ziemi.

W to uwierzyła.

Och, być dotykaną, być kochaną.

Mieli pokój w kolorze lnu wychodzący na poranne słońce. I w niedzielę, po nocy pełnej miłości, po poranku czułości, ciepła, nie chcieli wychodzić na świat chorych i poniewieranych, a nawet uwięzionych. Opuszczenie tego pokoju było jak tortura.

Proszę, nie bądź nigdy nieszczęśliwy, mówiła. Co za szczęście budzić się tutaj i widzieć twoją kochającą twarz. Co tydzień kiedy ją całuję, dziękuję naszemu Panu, że tak hojnie mi pobłogosławił.

Nie jesteś Salome, prawda Gino?

Nie wiem. Zamyśliła się. Imię brzmiało mgliście znajomo. Dlatego że było tak niezwykle, coś poruszyło się w jej pamięci. Surowe katolickie wychowanie przydawało się, gdy przekomarzała się w sypialni z wysadzającym ładunki kochankiem z Panamy.

Czy Salome ma coś wspólnego z Janem Chrzcicielem?

Co za dziewczyna! Ben uśmiechnął się zachwycony. Nie tylko piękna, ale i mądra.

Uszczypnęła go lekko. Jeśli ja jestem Salome, to ty równasz się z Janem Chrzcicielem, prorokiem zwiastującym nadejście Jezusa?

Może jestem królem Herodem, odparł.

Jeśli jesteś Herodem, o ścięcie czyjej głowy mam cię poprosić, pławiąc się w niegodziwości?

Zrezygnowali z analogii. Powiedziałem ci, że nie jesteś Salome.

Nie jestem też skruszoną kobietą z ewangelii Łukasza. Ona chciała tylko, by wybaczone jej grzechy.

Pewnego dnia ty też zechcesz.

Pewnego dnia. Ale jeszcze nie teraz.

Uniosła ku niemu usta, twarz, długie gołe ręce, biodra. Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Jesteś czerwonym winem dla moich ust, szepnął, zakrywając ich białą kołdrą, wspinając

się, wspinając.

Ochrzcili staw Macone pocałunkami.

Pili piwo przy małym stole w tawernie Wrighta i udawali, że są małżeństwem. Szli objęci jak kochankowie.

Jeździli na łyżwach na wszystkich stawach w Concord: na Dużej i Małej Gęsi, Crosby, Białym (który lśnił jak czarne diamenty). Warner's. Walden. I na Fairyland ukrytym w sekretnym lesie, w którym spały niedźwiedzie. Uczył ją jeździć do tyłu, na jednej nodze, przeplatanką i kręcić radosne piruety.

W niedzielne poranki Gina przestała chodzić na dzwonek dzwoniący dla pięciu ran Jezusa. Przestała, bo nie mogła.

Przestała regularnie odwiedzać Harry'ego w niedzielne popołudnia.

Przestała, bo nie mogła.

Im rzadziej przychodziła, tym bardziej obojętnie traktował ją Harry, gdy się w końcu zjawiała. Uśmiechając się miło, próbując okazywać mu ciepło, zabiegając o słowa, których pragnęła, lecz nigdy nie usłyszała, pozwalała mu zasypywać się rosyjskimi zwrotami, których się nauczył, czytać marksistowskie wiersze po rosyjsku, fragmenty pism Lenina i Trockiego, jakby to były wiersze lorda Byrona. Nie chciał, żeby mówiła. Nie chciał słyszeć ani słowa o jej rodzinie, o Lawrence. Nie obchodził go dom Rose. Nie pytał już o Eltona Purdy'ego ani o szanse na zwolnienie warunkowe. Mówił przede wszystkim o Leninie, Kiereńskim i Romanowach, a ona udawała, że słucha. Opowiadał o politycznych niepokojach w Rosji, jak inni opowiadają o swoich dzieciach lub ukochanych.

Nauczyła się gotować dla Bena panamski ryż z kurczakiem i *tamales*, piec chleb tak słodki, że smakował jak święty. Ponieważ nie mogła przystępować do komunii w niedzielę, był to jedyny chleb, jaki brała do ust.

Kiedy stopniał śnieg i nad ścieżkami w Concord pojawiły się dekoracje z bzu, Ben zabrał ją na zbieranie truskawek na farmie Maplewood. Zrobiła mu potem dżem truskawkowy. Zabrał ją na przejażdżkę łódką po rzece Sudbury. Nauczył ją prowadzić samochód.

4 Psalm 51,3; 51,11.

5 Psalm 18, 17 i 21.

6 Psalm 18,16.

7 Psalm 20,4.

8 *Fairyland* (ang.) – kraina wrózek.

Rozdział piąty

Marmur i błoto

I

Padał deszcz i śnieg, było czarno i paskudnie. Kiedy tylko Gina zbiegła ze schodów swojego domu i wsiadła do samochodu, Ben od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Była późna jesień 1915 roku. Liście dawno opadły z drzew. Odbierał ją teraz w sobotnie poranki i zawoził do Concord, żeby nie musiała jeździć pociągiem i autobusem.

– Co się dzieje? – zapytał, a serdeczny uśmiech, którym obdarzył ją na powitanie, zniknął z jego twarzy. – Wyglądasz, jakbyś dostała najgorszą z wiadomości. Co się stało? – Zbladł, nie mógł jechać dalej. Zatrzymał samochód. – O Boże, nie jesteś chyba...

– Harry wraca do domu – powiedziała. – Na Boże Narodzenie.

Ben wyjechał na drogę.

– Kiedy? – zapytał po chwili.

– Od poniedziałku za tydzień.

– Tylko na święta? To coś jak przepustka?

Milczała.

– Nie.

Przejechali trzydzieści kilometrów.

Potem czterdzieści pięć.

A potem byli już w Concord.

Przez dziesięć godzin pracowali ramię w ramię, wymieniając tylko uwagi dotyczące pielęgnacji chorych. Ona szorowała, on dźwigał. Ona zmieniała opatrunki i gotowała. On mył wiadra i naprawiał zamki. Podczas krótkich przerw w milczeniu pili herbatę w kuchni.

Nocą w małym pokoju w pensjonacie Ridge u stóp stromego wzgórza otoczonym przez pola, łąki i strumień leżeli w ciemnościach zwróceniem do siebie twarzami. W kamiennym kominku prawie wypalił się ogień, świece dawno zgasły, szron pokrył okna.

– Co zrobimy?

– Nie wiem – odparła. – A co możemy zrobić?

– Wyjedź ze mną – powiedział Ben, wbijając w nią wzrok.

– Dokąd?

– Do Panamy. Możemy wziąć ślub. Pogoda jest cudowna. Nie ma śniegu. – Koniuszkami palców dotknął jej rozpalonych warg.

– Nie będziemy jeździć na łyżwach?

– Nie, ale będziemy pływać. Łowić ryby. Tam są rzeki, jeziora, potężne morze. I jeszcze bardziej potężny ocean.

Gina objęła go i zamknęła oczy, by uciszyć walące jak młotem serce. Nie chcieli mówić za głośno, chcieli milczeć, och, gdyby mogli czytać sobie w myślach.

– Nie mogę wyjechać z Ameryki, Ben – powiedziała w końcu. – Przyjechałam tutaj. Nie jestem taka jak ty. Kiedy rodzisz się tutaj, możesz potem jechać, gdzie zechcesz. Ale kiedy dostajesz Amerykę jak prezent, nie można się od niej odwrócić.

– To nie jest odwrócenie się – odparł. – W końcu gdyby nie Ameryka, nie zbudowano by Kanału Panamskiego. Można to potraktować jako przedłużenie twojej wdzięczności.

Pieściła jego twarz.

– *Vorrei poterlo fare* – szepnęła cichutko. – *Ma non posso*.

Ben mówił po hiszpańsku, nie znał włoskiego. Przetłumaczyła mu.

– *Ojalá pudiera. Pero no purdo*.

– Nie chcesz o tym myśleć? No to nie musimy wyjeżdżać. Możemy zostać w Bostonie. Mam pracę. Zaopiekuję się tobą. Zajmę się wszystkim. Nie chciałabyś?

– Bardziej niż chcę przyznać.

– Nie musiałabyś już nigdy pracować, mogłabyś robić to, na co miałabyś ochotę, zdobyć dyplom, zostać profesorem, nauczyć się grać jazz na pianinie. Słyszałem, że to teraz bardzo modne. Mieć dzieci... – Wziął oddech. – Ileż bym dał, żeby mieć z tobą dziecko.

Gina zadrżała. Ileż ona by oddała, żeby mieć dziecko, kropka. Ale za nic nie mogła sprowadzić dziecka do takiego bagna.

– Z dziećmi nie wychodzi mi najlepiej – powiedziała.

– Jesteś niezwykła we wszystkim, Gia. W życiu nie spotkałem piękniejszej osoby od ciebie.

– Ben... – Urwała, walcząc ze łzami. – Dzięki tobie jestem taka szczęśliwa. Nie miałam pojęcia, jaka byłam smutna i samotna, dopóki znów nie pojawiłeś się w moim życiu. Świetnie się razem bawiliśmy, prawda?

– Tak.

– Zbieraliśmy jagody i robiliśmy ajerkoniak.

– A ty zrobiłaś mi *arroz con leche*.

– Tak.

– Jeździliśmy na łyżwach i pędziliśmy moim samochodem.

– Opiekowaliśmy się chorymi.

– I to.

– I to.

Potem mocno się do siebie przytulili.

– Benie Shaw! – wykrzyknęła w ciemności. – Nie rozumiesz? Nie pojmujesz? On zrezygnował ze wszystkiego, żeby się ze mną ożenić. – Prawie nie mogła mówić dalej. – Z każdej najdrobniejszej rzeczy, którą miał i cenił. Zrezygnował z nich, żeby być ze mną. Gdybym się od niego odwróciła, to tak jakbym odwróciła się od Ameryki.

– Może nie cenił tego, co miał – odparł chłodno Ben. – Pomyślałaś o tym? A czy cenił cię?

– Tak i tak, i nie zgadzam się. Byliście nierozłączni. Jego przyjaciele z Harvardu. Rodzina, siostra, dom, pozycja, pieniądze! Wszystko. Miał kompletne życie, które odrzucił. Wiem, co to znaczy zostawić za sobą jedyne życie, jakie się znało.

– No właśnie. Wyjeżdżasz, bo sądzisz, że zmierzasz ku czemuś lepszemu.

– Zgadza się – szepnęła Gina. – I tym czymś lepszym jestem ja. To chcę powiedzieć.

Ben pokręcił głową.

– Wcale nie był tak blisko z nimi związany. Stale był w konflikcie z ojcem.

– To normalne sprawy pomiędzy ojcem i synem. Mój ociec i najstarszy brat stale się kłócili. – Cmoknęła smutno. – Dopóki Antonio nie zginął od ciosu nożem. Stało się tak, bo nie słuchał Papy.

– Harry i Herman nie tylko się kłócili.

– Herman stracił żonę, Ben. To nie jest łatwe dla nikogo. Ojciec został sam z dwójką małych dzieci. Herman to nie Mimoo. Dla mężczyzn to o wiele trudniejsze, zwłaszcza dla odnoszących sukcesy mężczyzn takich jak Herman. A Harry'ego i Esther na zawsze połączył ogromny smutek.

– Jak mógł ich połączyć na zawsze, skoro on się od niej odwrócił? Jesteś pewna, że ogromny? – Nawet nagi, Ben pozostawał sceptyczny.

– Tak – odparła. – A wiesz, skąd wiem? Bo on nigdy o tym nie mówi. Stracić matkę... nawet nie potrafię zacząć... – Nie chciała ciągnąć tej rozmowy. – Wiem, jak się układa między mną a bratem – mówiła dalej. – Ale nie potrafię sobie wyobrazić mojego życia bez niego. A jednak Harry...

– Barringtonowie nie byli taką rodziną.

– Jednak byli rodziną, Ben. Podzieloną, to prawda, lecz byli ojcem, synem i córką. Mimo to Harry zrezygnował z pozycji i dziedzictwa. Myślisz, że jest mu łatwo żyć bez grosza, spać w małym pokoju obok mojej matki? Zrobił to dla mnie.

– Chodzi mi o to... – Szukał słów. – Może źle się wyraziłem, że nie cenił tego wszystkiego, o czym mówisz, ale teraz z perspektywy czasu sądzę, że Harry zawsze szukał ucieczki.

– Od czego?

– Od tego życia. Było jak niedopasowany garnitur. Nie nosił go dobrze.

Odepchnęła go.

– Dlaczego jest tak – zaczęła chłodniejszym, mniej łzawym tonem – że kiedy mężczyźni wypowiadają się o motywach innych mężczyzn, zapominają, że wypowiadają się również o związanych z nimi kobietach?

– Pamiętam o kobiecie związanej z Harrym.

Bo ta kobieta jest teraz związana z nim.

– Zgoda, ale jeśli według ciebie jego dawne życie tak niewiele dla niego znaczyło, to jego ofiara nie była tak wielka. A z tego wynika, że cena za życie ze mną nie była tak ogromna, jak wierzyłam. Umniejszasz moją wartość w mojej obecności! Kiedy leżymy razem w łóżku.

– Przepraszam, Gino. Nie to chciałem powiedzieć. – Odsunął się od niej skruszony. –

Tonę i chwytam się wszystkiego, by utrzymać się na powierzchni. Co mogę powiedzieć, żeby cię przekonać?

– Nie możesz uzasadnić ofiary Harry’ego. Nie byłam dla niego okazją, by uciec. Nie natknął się na mnie jak na przedmiot leżący na piasku i nie wykrzyknął: Eureka! Pomyśl, jak długo ukrywał przed tobą uczucie do mnie. Ukrywał je też przede mną, przed rodziną, przed sobą. Całe lata! Od pierwszego dnia, gdy spotkaliśmy się we Freedom Docks. Zapominasz też, że w tym pamiętnym tysiąc dziewięćset piątym roku nie szukał mnie. Wręcz przeciwnie. Był gotów ożenić się z Alice. To ja go szukałam. I to ja go znalazłam. Nie odwrotnie.

– Wybacz mi. – Przyciągnął ją do siebie, objął nagie gładkie plecy. – Nie wiem, co wygaduję. Oszalałem, masz rację. Kiedy wróciłem z Panamy, zacząłem cię szukać. Co ja mogę poświęcić? Zrezygnuję ze wszystkiego, w jednej chwili.

– Ben... proszę. Nie potrzebuję tego. Nie chciałam tego od Harry’ego. I nie chcę od ciebie. Pomyśl, o co mnie prosisz. Będę musiała się rozwieść...

– Nie ma sprawy. Nawet nie pobraliście się w kościele.

– I dobrze – odparła. – Bo u katolików to w ogóle nie wchodzi w grę.

Zamilkł.

– I pomyśl o mojej matce. Rząd właśnie ustanowił Dzień Matki jako narodowe święto, a ja ją zostawię? Co zrobię z matką? Pomyślałeś o tym?

– Zabierzemy ją ze sobą.

– Nie przeżyje podróży. I nie zostawi Salva. Nie chce nigdzie jechać. Z tego samego powodu co ja. Przyjechała do Ameryki, to jej ziemia obiecana. Nie Panama.

– Wyjechałaś z Ameryki dla Harry’ego? Gdyby cię poprosił?

Gina oddychała głęboko, z żalem.

– Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli odpowiedzieć na to okropne pytanie – odparła.

– Zostańmy więc tutaj – powiedział. – Z Mimoo. Kochasz Boston. Przeprowadzimy się na Beacon Hill, jak marzyłaś, gdy byłaś dziewczynką. Zamieszkamy w wielkim domu i będziemy jeździć na łyżwach na stawie Frog na Common.

– Ben, *amico mio* – szepnęła. – Bardzo bym chciała. Ale jestem mężatką. Nie mogę.

W niemej ciemności mijały minuty. A może godziny?

– Chcę ci zadać pytanie Rose Hawthorne – powiedział w końcu Ben. – Niech się strzeże mężczyzna, który zdobędzie rękę kobiety, jeśli wraz z nią nie zdobędzie najgorętszej miłości jej serca[9]. – Przełknął ślinę, jakby nie chciał tego mówić. – Czy Harry ma najgorętszą miłość twojego serca?

Nie odpowiedziała.

– Czy nadal ją ma?

Nie odpowiedziała.

W ciszy rozlegały się tylko dramatyczne próby Bena, by oddychać spokojnie.

– Myślałem... – Prawie płakał. – Myślałem, że mnie kochasz.

– Kocham – odparła z wahaniem. – Ale nadal nie mogę go opuścić.

– Czym więc będę dla ciebie? Rozdziałem, który skończyłaś? Książką, którą wyrzuciłaś?

Nie odpowiedziała. Chciała powiedzieć, że nie wyrzuca się ulubionych książek.

Nikt nigdy nie traktował jej tak ciepło, z taką dobrocią jak Ben. Dlaczego to nie wystarczało?

– Jestem Sycylijką.

– Myślałem, że Amerykanką.

– W ważnych sprawach Sycylijką. On jest moim mężem. Na szali mojego życia to przeważa wszystko. – Może z wyjątkiem macierzyństwa. Ale nie była pewna. – Małżeństwa Sycylijek trwają do końca życia.

Kiedy byli sami, w dobrych i złych chwilach, pomiędzy strajkami i aresztowaniami, nadal była Harry'emu bardzo bliska, wciąż ją uwielbiał. Wiązała ją miłość.

– Nie ma dla nas wyjścia, Ben – szepnęła.

– Z wyjątkiem rozstania.

– Z wyjątkiem rozstania.

Fioletowe płatki opadły na nasz zamrożony staw, powiedział Ben urywanym szeptem. Napiszę na nim twoje imię fiołkami.

Przytuliła go mocno, już bardziej nie było można. Połączyło ich radosne interludium, sen rodem z krainy wróżek zawieszony pomiędzy jednym życiem a drugim. Jakie życie czekało na nią po drugiej stronie? I co się stanie, jeśli nie będzie przebudzenia z grobowego snu niegdyś mistycznej miłości, którą darzył ją Harry?

2

Ben i Gina pojechali razem, by odebrać Harry'ego z więzienia w Concord. Czekali na niego przed bramą przy Elm Street, wpatrując się w budynek z czerwonej cegły, z którego niebawem wyszedł, ubrany w ten sam garnitur i krawat, w których został skazany. W ręce niósł czarną torbę. Był chudy, wymizerowany, ale gładko ogolony i starannie ostrzyżony. Jeśli się zdziwił na widok Bena, nie okazał tego, może tylko lekko zeszywniał. Uścisnęli sobie dłonie, nawet się objęli. Potem Harry pochylił się chłodno w stronę Giny. Nie spojrzał jej w oczy.

– Dobrze się czujesz? – zapytała, oddając prawie oficjalny uścisk.

– Dobrze, czemu miałyby być inaczej? – Odwrócił się do Bena. – Dlaczego wróciłeś? Skończyłeś pracę?

– Praca nigdy się nie kończy – odparł Ben. – Szczerze mówiąc, myślałem, że niedługo tam wrócę.

Gina wciągnęła powietrze, lecz udało jej się nic nie powiedzieć.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Ponad rok.

– Ponad rok, coś takiego. – Harry nawet nie spojrzał na Ginę. – A więc cały czas, kiedy siedziałem?

– Masz rację, strasznie czas leci. Chodźmy, mam tam samochód.

Harry przyspieszył kroku, by dogonić Bena. Gina szła za nimi.

– Ładny samochód – powiedział Harry. – Twój?

– Chcesz poprowadzić?

Harry wpatrywał się w kluczyki w dłoni Bena.

– Raczej nie powinienem. Nie prowadziłem od ponad dziesięciu lat.

– Twoja żona potrafi prowadzić. – Ben wyciągnął rękę z kluczykami w stronę Giny. – Chcesz mu pokazać? – Nie zwrócił się do niej po imieniu. Wiedziała, że nie może go wypowiedzieć, bo zabrzmiałoby zbyt czule.

– Moja żona prowadzi? – Harry usiadł na siedzeniu pasażera. – Same niespodzianki. – Jego szare oczy były twarde jak stal.

Gina usiadła za kierownicą. Drżały jej ręce. Ben w milczeniu usiadł z tyłu. Harry odezwał się dopiero po dłuższym czasie.

– Dokąd jedziemy?

– Myślałam, że do domu – odparła Gina. – Chyba że masz inne plany. – Miała ochotę zapytać, czy chce, by go podrzucić na jakiś strajk lub demonstrację, ale wiedziała, że Harry nie znosi, gdy z niego drwi.

– Ben też jedzie?

– To jego samochód. Oddamy mu go, gdy dojedziemy na miejsce.

– Harry – wtrącił się Ben – na pewno się cieszysz, że wyszedłeś.

Harry wzruszył ramionami.

– A ty cieszysz się, że wyjechałeś z Panamy?

Ben się zawahał.

– Stawiasz Panamę na równi z więzieniem?

– Nie w negatywnym sensie. Uważam za zaszczyt, że siedziałem w więzieniu za to, w co wierzę.

– Skoro tak, to ja też.

Przez kilka minut pełnej napięcia ciszy Gina zmagiała się z niewesołą myślą. Pracowała w misji, u Rose, przy krosnach i w cerowni, brała do domu szycie, pomagała Mimoo sprzątać domy, a teraz on, mąż, który dopiero co wyszedł z więzienia, przyznaje beztrąsko, że dumą napawa go fakt, iż przez ponad rok przebywał daleko od młodej żony, która rozpaczliwie chce mieć dziecko. Chciała go zapytać, czy może nie wierzy w nią. Ale nie było sensu poruszać tematów, które tylko doprowadzą do scysji. Milczała więc, choć gotowała się w środku, a oczy piekły ją od powstrzymywanych łez.

Kiedy dojechali do Lawrence, Mimoo nie była szczególnie zachwycona z powrotu zięcia. Gina zrozumiała to, gdy matka zaprosiła Bena na kolację.

– Powinienem wracać – odparł. – Ale dziękuję, Mimoo.

– Nie ma mowy. Zostajesz.

– Tak, Ben, zostań – powiedział Harry. – Prawda, Gino?

– Powiedział, że musi wracać – odparła, zajmując się nakrywaniem do stołu. – Traktuj go poważnie. Chciałbyś zanieść rzeczy na górę, Harry? Odświeżyć się?

– Jestem świeży jak kwiat – odparł, siadając przy stole na swoim stałym miejscu. – Ben, siadaj proszę. Zjemy jak niegdyś w Barrington w niedzielę, gdy usługiwał nam Louis. A nawet lepiej. Bo nie wiem, czy wiesz, ale Gina wspaniale gotuje. I pogadamy jak za dawnych czasów. Zgoda?

Podczas kolacji złożonej z kurczaka w musztardzie i ziemniaków z koperkiem Harry nie zapytał Bena o Louisa, ojca, siostrę ani o byłą narzeczoną, Alice. Interesował się wyłącznie Benem.

– Gdzie teraz pracujesz?

– Nadal w korpusie inżynieryjnym.

– A co jeszcze możecie zrobić? – Harry dolał sobie wina. – Zbudować jakiś inny kanał, który zmieni świat?

– Nie, ale w całej Nowej Anglii trzeba wytyczyć, zaplanować i wybrukować drogi. W tysiąc dziewięćsetnym roku nie było żadnych samochodów. A teraz są setki tysięcy.

– Samochód to głupota – odparł Harry. – Zabawka dla bogatych.

– Możliwe, ale nawet zabawki dla bogatych potrzebują nowych dróg. Co więcej – ciągnął Ben – samochody są teraz tanie. Nie tak jak kiedyś. Kosztują dolara za pół kilograma auta. Tak tanio nie kupisz nawet dobrego steku.

– Wolałbym kupić stek.

– Gina oszczędza na samochód – wtrąciła Mimoo. – Prawda, dziecko?

– Tak. Powoli.

– Może pójdziemy do banku i pożyczymy, ile ci potrzeba – powiedział Harry i wstał, by otworzyć następną butelkę czerwonego wina.

– Nie będziemy pożyczać – odparła szybko Gina. – Uzbieramy dość do następnej wiosny. A jeśli znajdziesz pracę, jeszcze szybciej.

– Mam pracę – powiedział Harry i wypił wino przy blacie. – Pracuję dla Dużego Billa.

– Duży Bill wyjechał stąd dawno temu. Po klęsce strajku w Paterson pojechał na zachód.

– To nie była klęska – zaprotestował Harry. Wrócił do stołu i ciężko opadł na krzesło. – Nie mogliśmy zebrać dość pieniędzy, by nakarmić strajkujących.

– Zgadza się – odparła Gina. – Mieli dość i wrócili na stanowiska. To się nazywa klęska. Machnął ręką lekceważąco.

– Znam ludzi Billa. Skontaktuję się z nimi.

– Jest zajęty. Niedługo będzie świadkiem egzekucji Joego Hilla, który pisał dla niego przemówienia. Hill zamordował policjanta i jego syna w Salt Lake City.

– To parodia – powiedział Harry. – Czytałem o tym. Joe Hill został niesłusznie oskarżony.

– Podobnie jak wszyscy inni bardzo szlachetni ludzie – powiedziała Gina. – Ale ty nadal musisz znaleźć pracę.

– Tak, tak. Słyszałem. Chcesz kupić samochód.

– Harry – wtrącił się Ben. – Może załatwię ci pracę przy budowie dróg. Stale szukają ludzi.

– Dziękuję, nie. Powiedz mi – ciągnął bez przerwy – przez wszystkie te lata budowałeś kanał dla kapitalistów, wykorzystując niewolniczą pracę miejscowych. Kapitałiści teraz się bogacą. Ale Panamczycy nadal są biedni jak myszy kościelne, prawda?

– Kim są ci kapitałiści, o których mówisz? – Ben nadal jadł ze spokojem. – Nie masz racji. Gospodarka wokół kanału mocno pociągnęła Panamę. Nowe domy, sklepy, ogromny napływ zagranicznej gotówki, turystów, towarów. Są szkoły i szpitale, których wcześniej brakowało. I mnóstwo pracy. Wszędzie. I dzięki pracy standard życia mocno się

podwyższył.

– Ale najbardziej dla inwestorów kanału?

– No tak – odparł Ben. – Ludzie, którzy zaryzykowali swoje pieniądze, także na tym skorzystali. Twierdzisz, że nie powinni? – Kiedy Harry milczał, mówił dalej: – Gdyby budowa kanału padła i nic z tego nie wyszło jak Francuzom, inwestorzy straciliby trzysta sześćdziesiąt sześć milionów dolarów. Twój ojciec straciłby cały swój okazały wkład. A tak zbudował fabrykę, wybrukował drogę, wybudował kolejną rezydencję. Wszyscy korzystają.

– Nie po równo.

– Proporcjonalnie tak. Biedak nie zostanie królem – powiedział Ben. – Ale nie pozostanie też biedakiem.

– Kapitalizm oznacza kilku królów i miliony biedaków.

– Czy socjalizm oznacza zero królów i miliony biedaków?

– Nie! Socjalizm to miliony królów.

Ben wziął oddech.

– Milion królów. Bogactwo twojego ojca tworzy bogactwo dla innych. Herman zatrudnia setki ludzi. Dzięki niemu utrzymują swoje rodziny, kupują jedzenie, budują domy, żyją.

– Bogactwo dla innych? Płaci im grosze.

– Wypłaca im pensje. Ale zapomnij o ojcu. Co powiesz o Salvie?

– Co? – Harry świdrował wzrokiem żonę.

Odwróciła twarz.

– Kiedy był właścicielem Antonia, zatrudniał dwadzieścia dwie osoby.

– Tak. I nie stać ich było na rachunki za lekarza za te grosze, które im płacił.

– Teraz nie stać ich nawet na czynsz – odparł Ben.

– Najwyraźniej rozwiązaniem nie jest ani sposób Salva, ani mojego ojca – powiedział Harry. – Ale inny. Od początku dostawaliby przyzwoite pensje. Widziałem wpływ tak zwanego wolnego rynku na ludzi. Nie jest miły.

– Ale standard życia wszystkich znacznie się podniósł. Zwyżka dochodów to fakt.

– Zaprzeczam.

– Spójrz na Lawrence. Ludzie żyją teraz lepiej niż sto lat temu. Żyją lepiej niż szesnaście lat temu, kiedy Mimoo i... – nie mógł wypowiedzieć imienia Giny – ...twoja żona przyjechały do tego kraju. Lepiej jedzą, ich dzieci są zdrowsze, umiera mniej niemowląt, lepiej się ubierają, mają samochody, jeżdżą na wakacje. Ze wszech miar jakość ich życia wzrosła.

– Jakości życia nie mierzy się wyłącznie jego standardem. Życie to nie tylko ekonomia. Jedynie naiwni mogą dojść do takiego wniosku.

Ben skinął głową.

– W tej sprawie w pełni się z tobą zgadzam, przyjacielu. Bo właśnie w to wierzę. Życie nie sprowadza się do tego, ile zarabia twój sąsiad ani co posiada. Życie to nie tylko wypłata. W życiu chodzi także o inne rzeczy.

Gina podniosła rękę.

– Harry, Ben...

Zignorowali ją obaj.

– Ben, nie jesteś ślepy – powiedział Harry. – Widzisz na pewno, że stoimy na skraju wielkiej społecznej transformacji. Niewolnictwo i feudalizm należą do przeszłości. Niebawem zniknie także kapitalizm wyparty przez postępowych, wykształconych ludzi. Socjalizm to fala przyszłości, która zmyje wszystko inne.

– Jak odpływ – powiedziała znużona Gina.

– Chyba w to nie wierzysz? – zapytał Ben.

– Całym sercem – odparł Harry. – Mówiąc otwarcie, zamiast walczyć w bezsensownej wojnie za granicą, by obalić niemiecki rząd, wolałbym nawoływać do obalenia mojego. Za pomocą głosowania lub bagnetów, nie jestem wybredny.

Ben pokręcił głową.

– Ile byłoby warte prawo do obalenia własnego rządu, jeśli nie zwróciłbyś się do Niemców, by cię poparli?

– Zwróciłbym się, nie chcę tylko robić tego za pomocą bagnetów.

– Możesz spróbować głosowania, ale raczej nie posłuchają.

– Tak jak ten rząd.

Przez otwarte frontowe drzwi wpadł powiew wiatru, przynosząc chłód. Gina wstała, by je zamknąć. Przechodząc za Harrym, spojrzała błagalnie na Bena i potrząsnęła głową.

Wróciła do stołu.

– Ben, chciałbyś jeszcze coś zjeść?

– Nie, dziękuję. Obalić rząd i co dalej?

– Zbudować na świecie nowy ład – powiedział Harry. – Współczesną socjalistyczną utopię.

– Utopię?

– Tak, bo moja idea nie zawiodła – odparł Harry. – W przeciwieństwie do kapitalizmu. I wolno mi ją nazywać utopią, dopóki tak się nie stanie.

– Harry? – Gina podsunęła mu miskę z ziemniakami.

– Co?

– Zjesz jeszcze?

– Nie!

Mimoo i Gina spojrzały na siebie bezradnie.

– Ludzie nie wierzą w wolny rynek. – Ben przewrócił oczami. – Oni nim żyją. A kapitalizm nie zawiódł.

– Nie? To dlaczego na świecie jest tyle konfliktów?

– Nie wiem – odparł Ben. – Może ma to coś wspólnego z osobnikami w stylu Dużego Billa, którzy zamieniają okrzyki braterskiej miłości w wojenny okrzyk walki klas. Siedzenie przy ogniu, trzymanie się za ręce, śpiewanie pieśni i wspólne uprawianie pszenicy zamieniło się w bandyckie napady, wydzieranie sobie ziemi i wprowadzanie na siłę tego przyjemnego marzenia o utopii, o którym mówisz. Nie mam pojęcia, dlaczego pojawiają się konflikty.

– Gdyby interesy prowadzono na zasadzie kolektywnej, życie stałoby się przyjazne i spokojne – powiedział Harry. – Nie powinniśmy walczyć o to, by być ignorantami i egoistami. Powinniśmy walczyć o oświecenie, by łączyć wszystkie interesy i w końcu usunąć tę przyczynę konfliktów między ludźmi.

– Doprowadzimy do tej współpracy bez względu na to, czy ludzie jej chcą, czy nie?
– Tylko ta beznadziejna burżuazja jej nie chce. – Harry potrząsnął głową. – Myślę, że za długo pracowałeś przy kopaniu rowów, Ben. Zaćmiło to twój umysł.

– A ty uważasz, że Duży Bill nie zaćmił twojego?

Harry zwrócił kamienne spojrzenie na Ginę.

Gina spuściła głowę, bardzo nisko.

– Masz rację – przyznał Harry. – Idealny świat, o którym mówimy z Billem, a także z Maxem Eastmanem i Johnem Reedem, nie stanie się sam. Równość i jedność wszystkich wymaga sporego wysiłku, ciężkiej pracy i przeobrażenia naszych wrodzonych egoistycznych zasad. Człowiek nie może istnieć tylko dla siebie. Brać, czego chce. Kiedy chce.

Ben spojrzał na Ginę i otworzył usta. Niezauważalnie pokręciła głową. Wstał i z uśmiechem wziął kapelusz.

– W centrum każdej teorii ekonomicznej, w centrum każdego pytania, każdego problemu, z jakim się zmagamy, znajduje się człowiek. Kapitalizm nie jest ideą. Jest wolnością. A bez człowieka wolność nie ma znaczenia. Jak powietrze, kiedy nikt nim nie oddycha.

– Kapitalizm nie jest wolnością – odparował Harry. – To bezprawne wykorzystywanie naturalnych zasobów ziemi.

– A czym są te naturalne zasoby? – zapytał Ben. – Mówisz o drzewie? Zetnij je. Samo nie zbuduje ci domu, fabryki, nie kupi ci jedzenia, nie położy chleba na stole ani nie zbuduje statku, by przywieźć ci żonę z dalekiego kraju. – Przełknął ślinę, lecz mówił dalej. – Te rzeczy nie wyskoczyły jak bogowie ze skały, Harry. Wszystkie zbudowano. Zbudowali je wolni ludzie.

– Żaden człowiek, który pracuje dla innego człowieka, nie jest prawdziwie wolny – powiedział Harry.

Gina, Ben i Mimoo świdrowali go spojrzeniami. W saloniku małego domu zapadła złowieszcza cisza.

– No cóż, mój drogi przyjacielu – powiedział Ben. – W myśl tych słów jesteś chyba najbardziej wolnym z ludzi. – Włożył kapelusz i skłonił się lekko. – Muszę już wracać. Dziękuję, Mimoo, za pyszną kolację i tobie, Harry, za jak zawsze ożywioną rozmowę. Brakowało mi naszych rozmów. Kiedyś często dyskutowaliśmy w niedzielę. Chciałbyś, żebym przekazał pozdrowienia Esther i Hermanowi, gdy się z nimi zobaczę?

– Zdecydowanie nie – powiedział Harry, dźgając widelcem zimne jedzenie.

Ben skinął krótko głową.

– Rozumiem. – Spojrzał na Ginę i rzucił jej smutny uśmiech. Ucisnął wyciągniętą niechętnie dłoń Harry'ego. Człowiek, który niedawno wyszedł z więzienia, nie wstał od stołu.

Gina na chwiejnych nogach odprowadziła Bena do drzwi.

– Żegnaj, Gino.

– Żegnaj, Ben – powiedziała i głos odmówił jej posłuszeństwa.

U stóp schodów werandy odwrócił się w ciemności, podniósł wzrok, zdjął kapelusz i po raz ostatni nisko się skłonił.

Leżąc samotnie w łóżku, Gina czekała na Harry'ego, lecz on siedział na mokrej werandzie, czytał, pił herbatę i wino, palił, wpatrywał się w ciemność. Kiedy wsunął się do łóżka, spała już od wielu godzin.

Objął ją zimną ręką. Leżała na boku odwrócona do niego tyłem. Przytulił się do niej, odsunął koszulę nocną i przycisnął drżące lodowate wargi do jej ciepłej szyi. Rozpłakała się, gdy usłyszała jego szept: „Och, Gino”.

Skończyło się rozpaczliwie szybko, w milczeniu. Jeszcze długo po tym, jak Harry zasnął, Gina zaciskała dłonie na prześcieradle.

3

Gina dziękowała Bogu za pracę. Wczesnie rano zrywała się z łóżka, ubierała, robiła Mimoo grzankę z dżemem, sobie filiżankę herbaty i biegła do fabryki Wooda. O szóstej, gdy kończyła pracę, szła do misji świętego Wincentego, opatulona, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Kiedy wracała do domu, była prawie dziewiąta.

– Czy tak będzie codziennie? – zapytał Harry. Stał przy zlewie, a ona siedziała sama przy stole i jadła zimną kolację. – Będiesz wracać do domu późnym wieczorem?

Czyżby zapomniał, że tak wyglądał jej każdy dzień? Nie było sensu mu przypominać. Ich dom był za mały na wielkie słowa.

– W niektóre dni wracam jeszcze później – powiedziała, kryjąc się za małymi słowami. – Sprzątam domy, jeśli Mimoo nie daje rady beze mnie. A w niektóre jeżdżę do Bostonu.

– Po co?

– Odwiedzić brata w North End. W weekendy nadal czasem chcę jeździć do Concord i pomagać Rose. – Na wspomnienie Rose łzy napłynęły jej do oczu. Nie skomentował tego. A ona nie mogła. – Potrzebuje mojej pomocy – szepnęła.

Jedyną odpowiedzią Harry'ego było milczenie.

– Nie muszę tam jeździć – powiedziała, ocierając twarz. – Jeśli nie chcesz.

– Dlaczego miałbym nie chcieć, żebyś pracowała z Rose? – zapytał, odwracając się do zlewu. – To przecież zbożne dzieło.

Powoli mijały tygodnie. Rozmowy toczyły się wokół granic ich życia. Rozmawiali o rzeczach, o których mogli rozmawiać. Na przykład o bieżących wydarzeniach. Joe Hill został stracony w Utah. Bill Haywood został jedynym przewodniczącym związku Robotnicy Przemysłowi Świata. Od Rose Gina dowiedziała się, że tuż przed Bożym Narodzeniem Ben popłynął do Panamy. Nie chcąc, by Harry zobaczył, jak bardzo ją to poruszyło, wróciła w sobotę bardzo późno z zaczerwienionymi i opuchniętymi oczami, lecz kiedy weszła do domu, była idealnie opanowana.

– Musiałaś pracować do późna – zauważył Harry. – Dziwię się, że pociągi jeszcze jeżdżą.

Kiedy powiedziała mu o Benie, wzruszył obojętnie ramionami.

– Myślałam, że chcesz wiedzieć.

– Nie obchodzi mnie to.

Nadszedł rok 1916. Teraz, kiedy Harry był w domu, Salvo nie przyjechał na Nowy Rok. Gina tęskniła za bratem, a Mimoo za synem. Jednak pewnego wieczoru Gina nie mogła już znieść narzekania matki.

– Posłuchaj, Mimoo. Salvo może wybierać, ale my z Harrym nie. Nie chcesz tu widzieć Harry’ego? To zamieszkaj z Salvem w Bostonie.

– Mam opuścić mój własny dom, bo nie chce tego zrobić twój mąż?

– Chcesz, żebyśmy się wyprowadzili? Znajdziemy gdzieś pokój, jak Angela. Bo chyba rozumiesz, że jeśli on odejdzie, to ja też? Tylko powiedz. Tego chcesz? Zrobię, jak zechcesz. Zawsze byłam posłuszną córką.

Mimoo prychnęła.

– Przynajmniej się starałam.

– Jesteś uparta jak osioł – powiedziała Mimoo, ustępując. – Więc teraz nie wolno mi narzekać we własnym domu na twoje żalosne decyzje?

– Nie wolno.

– Twój mąż jest w domu. Powiedział mi, że znalazł pracę. Chyba leży już w łóżku. Zmęczyła go nawet rozmowa o pracę.

– Co powiedziałam, Mimoo? *Basta!*

Poszła na górę.

Max Eastman zatrudnił Harry’ego jako redaktora w magazynie „The Masses”. Miał pomagać Lloydowi Dellowi redagować rubrykę „Interesujące książki”. Kiedy Gina pozwoliła sobie na entuzjazm i zapytała Harry’ego, ile będzie zarabiał, spojrział na nią prawie z pogardą.

– No co? Nie wolno zapytać?

– Max Eastman jest redaktorem naczelnym tego historycznego periodyku – wyjaśnił Harry – i nie dostaje ani grosza.

Ze złością rzuciła sweter na łóżko.

– To jak można to nazywać pracą? Powiedziałeś, że dostałeś pracę.

– Ty spędzasz całe weekendy w Wayside i nic ci nie płacą. Nazywasz to pracą?

Usiadła na łóżku, by zdjąć buty.

– Johnowi Reedowi nie płacą – ciągnął Harry. – Sherwoodowi Andersonowi i Uptonowi Sinclairowi też nie. Ale chcesz, żeby płacili mnie?

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby za coś ci płacili – odparła Gina. – Jak mnie. Znajdź coś, co przyniesie ci dochód, a nie będzie pochłaniało pieniędzy rodziny. Wiem, straszna ze mnie harpia.

– Czy coś mówiłem?

Próbowała zachować spokój – bezskutecznie. Rok wcześniej cały kraj ogarnął kryzys. Lawrence dotknął szczególnie mocno. W misji świętego Wincentego obcięli jej godziny. W fabryce Wooda zlikwidowali nadgodziny w cerowni. Mniej kobiet prosiło ją o szycie sukni, wyprawek dla dzieci, cerowanie starych spódnic. Maszyna do szycia stała zapomniana w kącie. Mimoo straciła dwa z pięciu domów do sprzątania. Z trudem wystarczało im pieniędzy na dwa posiłki dziennie. Gdyby Salvo nie dawał Mimoo

pieniędzy na połowę czynszu, mieliby problem

Gina odnalazła w sobie solidną dawkę surowych manier metodystów – nie katolików, nie Włochów, a już na pewno nie wybuchową mieszankę sycylijskiego gniewu, który jej ukochany tłumiał w niej tak skutecznie, że w każdej chwili groziła eksplozją.

– No cóż, Harry – rzuciła przez zaciśnięte usta. – Sherwood Anderson na pewno zarabia na życie gdzie indziej. Podobnie jak Max Eastman.

– Naprawdę nie wiem, Jane. – Zwrócił się do niej jej angielskim imieniem, jakby chciał się odgrodzić od jej prawdziwego ja. Jeszcze trochę i znajdą się na innych kontynentach. – Wiem za to, że jest to dla mnie ogromna szansa, by pracować z ludźmi, którzy walczą o zmianę świata na lepsze, podczas gdy ty nie robisz nic, masz tylko obsesję na punkcie pieniędzy.

– Tak myślisz? Że nic nie robię, tylko mam obsesję na punkcie pieniędzy?

– Stale biegasz z miejsca na miejsce, by zarobić parę dolarów. Stale płaczesz, że maszyna do szycia stoi w kącie, bo nie możesz zarobić.

– Harry – przerwała mu – jeśli ty i Max Eastman niestrudzenie zmieniacie świat za darmo, ktoś musi płacić rachunki za światło, prawda?

Machnął lekceważąco ręką, jakby ona i jej uwagi były nieistotne.

– Przeniesiesz się do Greenwich Village czy nie?

– A będą ci płacić?

– Widzisz, o co mi chodzi? Przeniesiesz się chociaż do Bostonu?

– A będą ci płacić?

– Gino!

Skromne zarobki Giny pokrywały nie tylko koszty utrzymania, lecz także koszty podróży Harry'ego i jego wydatki w Bostonie, gdzie często zostawał tak długo, że zdarzało mu się nocować na kanapie w czyimś mieszkaniu – Gina nie wiedziała w czyim, a Harry nie mówił. Kiedy narzekała na jego późne powroty, powiedział:

– Myślałem, że będziesz zadowolona. Próbuję robić, co chcesz. Pracuję.

– Ale nic nie zarabiasz!

– Nie ma mnie w domu tak jak ciebie, gdy pracujesz u zakonnic albo szyjesz.

– Tylko że ja zarabiam. I przestałam jeździć do Rose, prawda?

– A prosiłem cię o to?

– Nie, ale... – Ugryzła się w język.

Rose powiedziała Ginie, by w jej stanie więcej nie przyjeżdżała.

– Pracuję tak jak ty i równie ciężko – oznajmił Harry. – Tylko mnie nie płacą. Zostając na noc w Bostonie, oszczędzam na bilecie kolejowym. Myślałem, że będziesz zadowolona. Ale nigdy nie jesteś.

– To cała ja, za dużo oczekuję.

– Rzeczywiście, szyderco. – Zawiesił głos. – Czyż nie oczekujesz ode mnie tego, czego nie mogę ci dać?

Wybiegła na zewnątrz i zwymiotowała.

Kiedy kłótnia ucichła, Mimoo pocieszała Ginę.

– Co się z wami dzieje? Salvo powiedział, że będzie nam dawał więcej pieniędzy, dopóki

nie odzyskamy pracy. Ale musisz przestać tak harować. Tym razem musisz o siebie zadbać.

- Robię, co mogę. Nie czuję się dobrze, ale nie mogę odpocząć, nie mogę się położyć.
- Nie wiem, dlaczego mu nie powiesz.
- Chcę, żeby minęło trochę czasu.
- Dlaczego?
- Gdyby znów się nie udało.
- Za pierwszym razem to była wina tego okropnego człowieka. Ale teraz musisz być mądrzejsza. Nie wrzeszcz i nie zachowuj się jak przed chwilą. Odpręż się. Powiedz mu. Będzie szczęśliwy. Pozwól, żeby ci pomógł.
- Myślisz, że to go uszczęśliwi? – Uścisnęła matkę. – Chcę tylko, żeby minęło trochę czasu. Chcę być pewna.
- Czego?

4

W sobotni wieczór rzadko się zdarzało, by wszyscy byli w domu. Harry i Gina usiedli do kolacji, a Mimoo nie wyszła jeszcze z pralni. Usłyszeli, że płacze.

- Co się dzieje z twoją matką? – zapytał Harry, krojąc chleb.
- Nie wiem.
- Dlaczego szlocha, jakby ktoś umarł?

Blade wargi Giny zadrżały.

- Wydmuchuje tylko nos. Mimoo! Chodź!
- Była dzisiaj tak załamana, że musiałaś posprzątać jej dwa domy.
- Nie mam nic przeciwko temu. Nie najlepiej się czuje.
- Nie pojechałem w ten weekend do Bostonu, żebyśmy mogli spędzić dzień razem. Myślałem, że wybierzemy się we troje na targ.
- Może w przyszłym tygodniu. Mimoo! Chodź, proszę. Kolacja stygnie.

Matka w końcu pojawiła się przy stole. Nie patrzyła ani na Harry'ego, ani na Ginę.

- Wcale nie czuję się źle – powiedziała, siadając. – To ty się źle czujesz.

Harry spojrzał najpierw na Ginę, potem na Mimoo.

- Złapałyście grypę czy co? Gino, parę dni temu słyszałem, jak wymiotujesz. I obie jesteście strasznie blade.

Mimoo znów się rozpłakała. Gina rzuciła jej mordercze spojrzenie.

- Basta! – szepnęła bezgłośnie, podając rigatoni z mozzarellą i czosnkiem zaniepokojonemu mężowi i niepokieszonej matce.
- Bardzo sympatyczna kolacja, nie ma co – mruknął Harry. – Mimoo, dlaczego płaczesz?
- Nie płaczę.
- Przecież widzę.
- Nie płacze – rzuciła Gina. – Zjedz trochę chleba, Mimoo. Masło, Harry? Kieliszek wina?

Harry wpatrywał się w jej bladą twarz.

Przez długą chwilę milczał, gdy one jadły. Nie wziął do ręki widelca.

– Nie będziesz jadł, *marito*?

– Ile tygodni tym razem? – zapytał.

Nikt się nie odezwał.

Podniósł głos.

– Ile?

– Kilka – powiedziała Gina.

– Dwanaście! – wykrzyknęła Mimoo.

– Mimoo!

– Dwanaście... – powtórzył Harry i zbladł.

– To dla ciebie kilka? Jedna trzecia dziecka! Nie ma go! *O forza mia, affretti ad aiutarmi!*

Harry zerwał się z krzesła. Wytarł usta serwetką, choć nie zjadł ani kęsa.

– Wybaczysz mi, Mimoo? – Nie zapomniał o dobrych manierach. – Nie jestem głodny. – Wypadł z domu, starając się nie trzasnąć drzwiami.

Gina cisnęła serwetkę na stół.

– Dlaczego nie możesz mi pomóc jeden jedyny raz, nie pogarszając jeszcze wszystkiego?! – krzyknęła do matki.

– Przepraszam! Nie mogłam się powstrzymać.

– Wielka szkoda. Mówiłam ci, że nie chcę, żeby wiedział. Wszystko byłoby w porządku, gdybyś się nie odzywała.

Stara kobieta szlochała.

Gina chwyciła płaszcz, trzasnęła drzwiami i pobiegła za Harrym.

Był już w połowie ulicy.

– Harry!

Nie zatrzymał się ani nie odpowiedział.

– Dokąd idziesz? – wysapała, doganiając go.

– Oczyszczyć umysł.

– Proszę. Zwolnij. Nie mogę iść tak szybko.

– To nie idź.

– Proszę. – Chwyciła go za ramię, przytrzymała. Zwolnił niechętnie. Przeszli przez ulicę i weszli na Common, uśmiechając się do innej pary, która mijala ich, trzymając się pod rękę. Gina lubiła ten park. Późną wiosną kaczki miały młode i całe tuziny kacząt chodziły, kołyszając się, po ścieżkach, trawnikach i wśród kwiatów. Czasami przychodziła tutaj zjeść lunch, by na nie popatrzeć.

Znaleźli ławkę na uboczu, usiedli i milczeli jak rosnące obok wierzby.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał.

– O czym?

– Masz mi tyle do powiedzenia, że naprawdę nie wiesz, o co chodzi, czy tylko udajesz głupią?

Stłumiła westchnienie.

– Miałam zamiar ci powiedzieć. Najpierw chciałam się upewnić, że wszystko jest

w porządku. A kiedy nie było... No cóż, byłeś zajęty. Pomyślałam, że im mniej będę mówić, tym lepiej.

– Naprawdę tak pomyślałaś? Ile jeszcze ciąż przede mną ukryłaś?

– Harry, proszę.

– Co proszę? – Patrzył prosto przed siebie. – Powiedz mi. Ile?

– O co mnie pytasz? Jasne, że żadnej.

– Czyżby? Ile poronionych ciąż ukrywałaś przede mną, gdy siedziałem w więzieniu przez piętnaście miesięcy?

Zerwała się z ławki, lecz nie mogła na niego spojrzeć.

– Żadnej – szepnęła. – Przestań.

– Zachowuję się irracjonalnie?

– Tak. Przepraszam. Myślałam, że tak będzie lepiej. Chciałam dalej robić swoje i dlatego ci nie powiedziałam.

– Tak? To powiedz mi teraz.

– A co chcesz wiedzieć? W tym momencie nie zostało wiele do powiedzenia.

– Naprawdę?

– Tak. – Im mniej, tym lepiej. Usiadła na skraju mokrej ławki, daleko od niego.

– Mimoo powiedziała dwanaście tygodni.

Gina nie mogła się powstrzymać i zaczęła drżeć.

Harry udawał, że liczy trzy miesiące wstecz od marca.

– Mniej więcej w grudniu?

– Byłeś w domu w grudniu, prawda? – powiedziała cichutko. – W naszym łóżku?

Milczał. Niewypowiedziane słowa krzyczały tak głośno, że Gina zakryła uszy dłońmi w rękawiczkach, jakby ją ogłuszały.

Był koniec marca, mokry, zimny. Bardzo zimny.

– A co powiesz o łyżwach w szafie?

Gina przełknęła ślinę.

– Co mam powiedzieć?

– Nie wiedziałem, że potrafisz jeździć na łyżwach.

– Nie wiedziałam, że ty potrafisz jeździć na łyżwach.

– Skąd wiesz teraz? – zapytał. – Znalazłaś moje łyżwy w szafie?

– Nie. – Patrzyła przed siebie. – Co to ma wspólnego z dzieckiem?

– Ty mi powiedz. I dlaczego podejrzewam wszystko?

Brakło jej słów na obronę.

– Nie dbam o to – powiedział Harry. – Ale jeśli tak kiepsko to wszystko ukrywasz, mogę tylko myśleć, że nic cię to nie obchodzi. Jeśli nie chciałaś, żebym się dowiedział, mogłaś wyrzucić łyżwy. Zrobić z nimi to, co z zakrwawioną gazą. Wrzucić je do śmieci, żebym ich nie znalazł.

– Niczego nie ukrywam. Bo nie mam nic do ukrycia. Jesteś zajęty. *Ekonomiczna interpretacja konstytucji, Winesburg, Ohio*. Masz mnóstwo pracy. Zakopałeś się w książkach i broszurach. Nie chciałam ci przeszkadzać.

– Zakopuję się, w czym mogę, żebym nie musiał wracać do Lawrence i oglądać strzępów życia, które rozrzucasz po całym domu.

– Nie mów tak. Nie to robisz.

– To właśnie robię.

– Harry, przepraszam, że ci nie powiedziałam.

Nie patrzył na nią. Jego oczy przypominały okna zalane cementem, by nie mogła w nie zajrzeć.

– Czego chcesz? – zapytał. – Żebym płakał?

– Nie – szepnęła.

– Będę płakał całą wieczność w piekle, gdy pozbawisz mnie również dumy.

Siedzieli milczący, pokonani.

Przemarzała do kości. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć na jego pytania. Czy zatrzymała łyżwy, żeby mógł je znaleźć? I czy mogła przyznać z całą pewnością, że łyżwy i *la piccola vita* nie miały ze sobą nic wspólnego? Zesztywniały jej palce, a serce ledwo biło.

Harry wpatrywał się w staw.

– Potrzebujesz specjalnych mocy, by dowiedzieć się, jak mogłem się czuć, gdy nie powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży?

– To był błąd – odparła. – Wiem. Myślałam, że będzie ci z tym źle.

– Pomyślałaś, że z tym będzie mi źle?

Na zamrożonej trawie przed nimi kaczuszki próbowały dotrzymać kroku matce, ale ostaniamia miała problemy. Matka nie zwalniała. Gina chciała wstać, by pomóc pisklęciu, popchnąć je.

– Czasami trudno odgadnąć, co czujesz, Harry – powiedziała w końcu. – Nic mi nie mówisz, jesteś taki skryty. I bardzo, bardzo zajęty. Strajkami, więzieniem, „The Masses”. Innymi słowy zajęty wszystkim, tylko nie mną.

– Trudno, żebyś był zajęty tobą, gdy jestem w więzieniu.

– Więzienie to wybór, prawda?

– Wszystko jest wyborem, Gino. Nawet jazda na łyżwach.

Ważyla ostrożnie słowa.

– Odwiedzałam cię w każdą niedzielę.

– Nie w każdą. Może na początku. Ale nie na końcu.

– Przyjeżdżałam, kiedy mogłam. Przywoziłam ci rzeczy, o które prosiłeś. Gazety, książki. Przywozłabym ci wszystko. Pracowałeś w pralni. Praca fizyczna musiała być miłą odmianą. Miałeś czas, by wszystko przemyśleć, uczyć się rosyjskiego. Miałeś czas. Nie pisałeś listów, ale kto teraz pisze... Och, poczekaj – urwała, jakby coś sobie przypomniała.

– To nie jest do końca prawda. Nie pisałeś do mnie, ale parę listów napisałeś. Do Johna Reeda, Maxa Eastmana, do Dużego Billa. Pisałeś do Elizabeth Gurley Flynn i do kobiety o nazwisku Mary Heaton Vorse, poetki i sufrażystki.

Harry potarł oczy.

– Widziałaś Mary Vorse, prawda? W zeszłym miesiącu pojechaliśmy razem do Nowego Jorku i poznałaś wszystkich. Uznałaś, że Max Eastman jest bardzo przystojny, pamiętasz? Mary Vorse stała obok niego.

– Pisze piękne listy, prawda?

– Nie wiem. Pisze?

– Tak. I poznałam piękną Elizabeth Gurley Flynn. W Nowym Jorku byliście bardzo

spoufaleri. Nalewałaś jej drinki i przytrzymywałaś drzwi.

– Najpierw tobie.

– Czyli dopóki szłyśmy w odpowiednim porządku.

Nie odpowiedział.

– Nie chcę cię osądzać, Harry. Nie możesz prosić kochanki, żeby cię osądzała.

– Nie jesteś moją kochanką – powiedział i stanął naprzeciwko niej. – Jesteś moją żoną. Ukrywasz przede mną łyżwy w szafie i utracone dzieci. I jako wielbicielka ironii nie znajdujesz nawet jej cienia w tym, że jeździsz do domu córki Nathaniela Hawthorne’a, by spotykać się z kimś w sekrecie?

– Harry, u Rose nie spotykałam się z nikim w sekrecie. Pracowałam z wieloma osobami, także z Benem, na oczach wszystkich.

– Zdecydował się przyjeżdżać do Concord co weekend, żeby pracować za darmo u twojego boku?

– Czemu nie? Ty jeździsz do Bostonu codziennie, także w weekendy, by pracować za darmo u boku Mary Vorse. – Nie miała pojęcia, jak udało jej się powstrzymać łyzy.

Harry zadrżał i odszedł.

Ruszyła za nim. Zapomniała o kaczkach, o lodowatym marcowym wieczorze. Paliło ją gardło i oczy.

– Kiedy twój mąż siedzi w więzieniu lub strajkuje trzy i pół roku z ostatnich czterech lat, ktoś musi płacić rachunki, zgodzisz się?

– Nie tylko płaciłaś rachunki, prawda? A my nie dyskutujemy na kanapach i przy niedzielnych kolacjach jak ty i twój kopacz rowów. My zmieniamy świat. To chyba musi trochę potrwać?

– Nie wiem, jak możesz wspierać cokolwiek, siedząc na zadku w więzieniu i wrzucając brudne pranie do szybów.

– Nie boję się więzienia. Już nie.

– Ale kiedy tam siedziałaś, ktoś musiał nadal kupować jedzenie dla mnie i dla Mimoo. Kto to był twoim zdaniem?

– Nie wiem – odparł. – Może kopacz rowów?

– A kto według ciebie żywi cię teraz?

Przyspieszył kroku, niemal biegł. Ona też przyspieszyła, by zostać przy nim.

– Może powinnam napisać do twojego ojca i poprosić o małe miesięczne stypendium dla ciebie?

– Odejdź ode mnie – wysapał.

– Czemu nie? Musimy gdzieś zdobyć pieniądze na jedzenie dla ciebie.

Odwrócił się gwałtownie.

– Zmieniaj temat, ile razy chcesz – powiedział, chwytając ją w pasie i przyciskając pięść do jej piersi. – Ale słyszę bicie twojego kłamliwego serca!

Żachnęła się i próbowała wyswobodzić.

Nie puszczał jej, wściekły i bez tchu.

– Tak jak podejrzywałam. Słysząc je w całym Lawrence. Jak pieprzone dzwony Notre Dame.

– Dlaczego mnie dręczysz? – szepnęła, nawet nie próbując go odepchnąć. Chwyciła go

za płaszczy.

Puścił się biegiem, zostawiając ją z kaczkami i ich młodymi.

5

Czekała na niego, opierając się o barierkę przy stawie z kaczkami w bostońskim ogrodzie publicznym. Umówili się o wpół do drugiej. Nocny pociąg do Chicago odjeżdżał o piątej i chcieli mieć dużo czasu, by zrobić wszystko jak należy. Pod koniec czerwca było bardzo ciepło. Nie była ubrana zbyt elegancko, ale wyglądała pięknie. Spakowała torbę na kilkudniowy wyjazd. Musiała mieć na sobie coś prostego na cywilną ceremonię w ratuszu, a jednak wykwiłtne, by podkreślić ten wyjątkowy dzień. Za pieniądze Harry'ego w sklepie przy Newbury Street kupiła cudowną suknię z jedwabiu i koronki w najjaśniejszym kolorze kremowym, z krótkimi rękawkami i empirową talią, lecz bez gorsetu i halki, bo takie lubił najbardziej. Powiedział, że tylko prawdziwie wyzwolone kobiety mają tyle odwagi, by nie nosić gorsetu. Sukienka leżała na niej jak druga skóra. Na staniku miała duże perłowe guziki, niczym porcelanowe sutki na jedwabnych piersiach, a opadający kaskadowo tren podkreślał długie nogi. Do sukienki dobrała krótki żakiet z kremowego jedwabiu, białe lakierki, białe rękawiczki za łokcie i piękny kapelusz z dużym rondem z organzy z tiulowymi kwiatami i białymi strusimi piórami. Gina kupiła też stokrotki i wplotła je w upięte starannie włosy, by podkreślały owal twarzy. Czekając na niego, bała się usiąść na ławce, żeby się nie pobrudzić. Wiedziała, że wygląda zjawiskowo. Wiedziała. Jeśli Harry zamierzał porzucić dla niej dawne życie, zmienić dla niej porządek swojego świata, chciała dla niego wyglądać jak obraz, by na zawsze ją zapamiętał: stojącą wśród kwiatów pod wierzbami w ogrodzie, w padającym deszczu, piękniejszą niż kiedykolwiek. W każdej chwili będzie mógł sobie ją przypomnieć i wiedzieć, jak bardzo go kocha.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – zapytała go trzy dni wcześniej, gdy leżeli w łóżku przykryci z głową, szepcząc, jakby ukrywali się przed Bogiem.

– Nigdy nie byłem bardziej pewny.

– Nigdy?

– Czym się przejmujesz?

– Że działasz impulsywnie. Postępujesz lekkomyślnie.

– Jestem lekkomyślnie impulsywny. To nie sprawia, że moja odpowiedź mija się z prawdą.

– A twoja rodzina?

– Co z nią? – Zawiesił głos. – A twoja?

Gina wzruszyła ramionami.

– Czy nie postępujemy zbyt pochopnie? – zapytała. – Może głupio robimy?

– Zgłupieliśmy z miłości.

– Czy to mądre?

– Nie, strasznie głupie.

Zapytała, czy nie myślał czasami, że rozsądniej byłoby się rozstać.

– Oszalałaś.

– Naprawdę?

– Jesteś najwspanialszą ze wszystkich stworzonych rzeczy. Najśodsza ze wszystkich kobiet. Niezwykła. Jeśli nagość byłaby w modzie, byłabyś najlepiej ubraną kobietą w Stanach Zjednoczonych. Jesteś moim marzeniem, moją duszą, życiem. Naucz mnie to mówić po włosku.

– *Mio diletto.*

– Tamto.

– *Tu sei il mio sogno, la mia anima, la mia vita.*

– *La mia vita* – powtórzył Harry. – Dlaczego nawet czułości brzmią lepiej po włosku?

– Bo to język miłości. – Uśmiechnęła się, przytulając do niego chętnie, niecierpliwe ciało. *Italiano è la lingua dell'amore.*

Dotknął jej ciepłego nagiego brzucha koniuszkami palców.

– Wiesz, co jest językiem miłości? – Pocałował ją w brzuch wilgotnymi, głodnymi ustami. – Miłość. Zniewoliłaś moje serce.

– *Tu hai rapito il cuore.*

A teraz czekała i denerwowała się; nagle zaczęło padać. Chwilę wcześniej świeciło słońce.

Kiedy była już przemoczona, bo nie wzięła parasola – rano niebo było bezchmurne – pojawił się wreszcie. Wyglądał na zdenerwowanego, udręczonego. Jednak na jej widok cały się rozpromienił. On zabrał ze sobą parasol.

– To Boston – powiedział i pocałował ją, trzymając czarny parasol nad jej jasną sukienką.

– Spójrz – odparła, gdy oderwał od niej usta – sukienka jest cała mokra.

Dotknął jej z zachwytem.

– Mam stokrotki we włosach.

– Trochę zwiędły po tej ulewie. Ale wyglądasz cudownie.

– Przyniosłeś obrączki?

– Zapomniałem.

Wiedziała, że żartuje.

– Nie mamy świadków – powiedziała.

Tak się dzieje, gdy bierze się ślub w sekrecie. Nikt nie może być świadkiem ukrytej prawdy.

Cała się trzęsła, ale uśmiech nie znikął z jej twarzy.

Ramię w ramię szli ukwieconymi ścieżkami w stronę Bacon Street. Próbowwała się nie spieszyć. Nie chciała, żeby spóźnili się na pociąg, ale nie chciała też, by ten wyjątkowy dzień mijał w pośpiechu. I tak szybko się skończy. Pospieszny ślub i żal po sam grób. Co za idiotyczne przysłowie. Dlaczego musiało akurat przyjść jej do głowy? Ich miłość nie była wcale szybka. Miłość, która poraziła ją, gdy tylko postawiła stopę w Nowym Świecie. *Amore il mio unico.*

– Co powie twój ojciec? – zapytała. – Cała się trzęsę, gdy o nim myślę.

Harry się zatrzymał. Przyciągnął ją do siebie, objął w talii, mocno przytulił. Do diabła

z przyzwoitością. Zaraz się pobiorą. Ale nawet małżonkowie nie obejmowali się tak czule w miejscu publicznym. To wyglądało jak zdjęcie splecionych kończyn w pogniecionej pościeli.

– Mój ojciec będzie zły, to pewne – powiedział. Uścisnął ją jeszcze raz. Mocno pocałował. – Ale jestem jego jedynym synem. Będzie musiał się z tym pogodzić.

Ruszyli dalej, trzymała go pod rękę. Przestało padać, chmury zniknęły.

– Na pewno?

– Oczywiście. Opowiem ci o nim. Nie radzi sobie z kłopotami osobistymi, drobnymi sprzeczkami, małymi konfliktami. Wiesz, jak niektórzy boją się widoku krwi? Mój ojciec boi się melodramatu. – Pocałował ją w okrytą jedwabiem rękę. – Widzę, że nadal się martwisz, ukochana. Chcesz, żebym ci coś opowiedział, byś poczuła się lepiej?

– Jeśli potrafisz wspinać się na wzgórze i jednocześnie opowiadać historie na pocieszenie, to tak.

– Pamiętasz Billingswortha?

– Pamiętam? Harry, on nadal przyjeżdża do Lawrence raz w miesiącu, by przeglądać księgi w restauracjach Salva.

– Rzeczywiście. Rozmawiał kiedyś z ojcem o wydatkach na dom na następny rok.

– Kiedy to było?

– Robią to co roku, ale w mojej historii jest to początek lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Przeglądali listę wydatków i Billingsworth, jak zawsze w przeszłości, odłożył pewną sumę na wydatki mamy na dom. Kiedy ojciec wpatrywał się w tę sumę, Billingsworth zapytał: „O co chodzi, sir? Za mało? Mogę ją zwiększyć, jeśli pan sobie życzy, to żaden problem”. Ojciec na to: „Billingsworth, przepraszam, to okropne przeoczenie z mojej strony”. Spojrzał mu prosto w oczy i powiedział: „Frances zmarła. Nie mogę uwierzyć, że panu nie powiedziałem. Proszę mi wybaczyć”.

Harry zaśmiał się krótko, rozbawiony opowiadaną historią.

– Skąd o tym wiesz?

– Billingsworth mi powiedział. Tylko raz widziałem, jak naśladuje ojca. Z klepieniem się w czoło, cmokaniem, intonacją.

– Och, Harry.

– Billingsworth powiedział do ojca: „Tak strasznie mi przykro, sir. Proszę przyjąć moje najszersze wyrazy współczucia. Kiedy odbędzie się pogrzeb? Chciałbym przesłać kwiaty. Kiedy to się wydarzyło?”. A mój ojciec bez mrugnienia okiem odparł: „Pół roku temu”.

Oślupiała Gina wpatrywała się w Harry’ego. Skinął głową.

– Mówiłem ci. Nasz bankier, księgowy, główny specjalista od finansów naszej rodziny, jedyny człowiek, którego ojciec widuje codziennie, przez sześć miesięcy nie wiedział o śmierci mojej matki. – Podniósł dłoń zdumionej Giny do ust. – Nie przejmuj się więc – dodał. – Jeśli nad czymś takim można było przejść do porządku dziennego, to nad naszą sprawą z pewnością również.

Odwrócił się do niej, gdy stanęli bez tchu na Bacon Street obok bocznego wejścia do ratusza.

– Chciałem odnieść jeden sukces w życiu – powiedział Harry – a było nim zdobycie ciebie. Brodziłbym z tobą po szyję w błocie i nie posiadał się z radości, wspinałbym się na

szczyt góry, jeśli tylko mógłbym iść z tobą.

Stała przytulona do niego przed sędzią pokoju z małym bukietem czerwonych róż w ręce i z obrączką na palcu. Stenografka i sekretarka prokuratora zgodziły się być świadkami ich przysięgi. Sędzia wygłosił krótką mowę o połączeniu ich węzłem małżeńskim, o wzajemnym zobowiązaniu, jakie podejmują, o małżeństwie, które jest podróżą, a nie celem. Zabrzmiało to ironicznie, bo Gina czuła, że dla niej jak najbardziej jest celem. Podróżą było dotarcie do tego miejsca.

– Po raz pierwszy przedstawiam was teraz światu – powiedział sędzia – jako państwa Harolda i Jane Barringtonów.

Potem całowali się bez końca. Przytulił ją do siebie, a ona nie chciała odsunąć się jako pierwsza. Jej sukienka, nadal wilgotna od deszczu, poskręcane włosy, ręce w jedwabnych rękawiczkach – czuła się, jakby wirowała, jak na karuzeli, jak w walcu.

Zamknęła oczy, by odgrodzić się od słów, które sędzia pokoju wypowiedział do Harry'ego:

– Czy był pan po słowie z jakąś inną kobietą?

– Nie, panie sędzio.

Czy był pan po słowie z jakąś inną kobietą?

Nie, panie sędzio.

Dlaczego skupiła się akurat na tych jedenastu słowach, które stanęły jej ością w gardle i krążyły dookoła niej jak huragan? Czy okłamanie przedstawiciela prawa było dla nowożeńców złą wróżbą?

Pociąg wlokł się do Chicago bez końca. Zarezerwowali osobny przedział sypialny. I tylko ten przedział ocalił jej honor rodem z sycylijskiego miasteczka. Próbowwała zachowywać się ciszej od dudniących po torach kół, ciszej niż urywany syk silnika parowego. Ich noc poślubna rozciągnęła się na półtora tysiąca kilometrów i sześć stanów.

– Miłość nie odczuwa ciężaru, nie liczy trudu, nie mierzy zamiarów na siły, nie tłumaczy się niemożliwością, sądzi, że wszystko może, wszystko potrafi – powiedział sędzia pokoju, cytując Tomasza a Kempis[10].

Dlaczego cytat, który miał ich wzmocnić, tylko ją osłabił?

6

Gina objęła się rękami i szła wzdłuż kanałów w Lawrence i rzeki Merrimack, aż zrobiło się ciemno, po czym wróciła do domu. Miała cień nadziei, że nie zastanie Harry'ego; często go nie było. Nie miała jednak szczęścia.

Siedział na werandzie i palił. Przeszła obok niego, chciała coś powiedzieć, lecz rozmyśliła się i cicho weszła do środka. Ponieważ był sobotni wieczór, Mimoo wzięła się w garść i poszła grać w bingo. Naczynia po kolacji nadal piętrzyły się w zlewie. Gina nalała wody, dodała kropelkę mydła, podwinęła długie rękawy z czarnej krepy, jakby była wdową.

Usłyszała, jak Harry wchodzi, zamyka drzwi, chodzi za jej plecami tam i z powrotem. W końcu się odezwał.

– Wiesz, myślałem kiedyś, że Rose Hawthorne przykłada zbyt wielką wagę do ulubionego tematu jej ojca: grzechu. Ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie miała racji. W każdym razie jej przesłanie zupełnie do ciebie nie dotarło.

Nie zadał jej pytania, więc nie odpowiedziała. O mało co nie rozbiła porcelanowej filiżanki, którą myła. Bała się, że Harry ma rację. Rzeczywiście nie myślała o grzechu, nie odczuwała wyrzutów sumienia.

– Powiedz mi – zaczął z udawanym spokojem – jak taki człowiek jak on ma się do twoich poglądów politycznych? Powiedziałaś mu, że jesteś feministką i anarchistką?

– Kanapową anarchistką – odparła. – Według twojej pogardliwej opinii. Nie pójdę za to do więzienia. – Nie przerywała zmywania.

– Nigdy nie spotkałaś większego zwolennika wolnego rynku, większego przeciwnika wolnej miłości i tradycjonalisty od niego. Udajesz, że potępiasz wszystkie jego przekonania. Zawsze sądziłem, że zgadzamy się całkowicie w tych sprawach, ale może to przede mną udawałaś.

– Może.

Zamilkł.

Nie spuszczała wzroku z naczyń. Walczyła ze sobą, by nie westchnąć. Nie rozplakać się. Stanął za nią, lecz nie dość blisko.

– Zrobiłaś to, żeby mnie ukarać?

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Zacisnęła powieki.

– Niczego nie wyjaśnij – powiedział, parząc jej tył głowy oddechem. – Tylko rób zakupy, gotuj i śpij ze mną.

– I pracuj. Jak dobra żona.

– Nikt nie może cię o nic oskarżyć. Niczego nie zaniedbywałaś. Ale musisz mi wytłumaczyć jedno.

Otworzyła oczy i opłukała talerze z piany. Harry z trudem znajdował słowa.

– Dlaczego z nim nie wyjechałaś?

– Dlaczego miałabym wyjechać?

– Przestań!

Bała się, że zacznie ją potrząsać, aż wydobędzie z niej wszystkie wyznania.

– Powiedz mi. Dlaczego?

Westchnęła ze smutkiem.

– Nie chciałam.

Wypuścił ze świstem powietrze.

– Kiedy? Wtedy? Czy teraz?

– Harry, proszę.

– Zadałem ci cholerne pytanie. Wtedy czy teraz?

– Wtedy.

Wypuścił z oddechem swoją rozpacz prosto w jej włosy. Gina znów zamknęła oczy, ręce zwiślały bezwładnie w zlewie, pochyliła ramiona.

– A teraz?

Ben się ożenił. Ożenił się z Ingersol w Panamie. Chciała krzyczeć, szlochać, płakać. Rose powiedziała jej o tym, a potem Gina straciła dziecko.

- Wtedy i teraz – odparła ledwo słyszalnie.
- Dlaczego nie powiesz, że zostawiłem cię samą na zbyt długo?
- Zostawiłeś mnie samą na zbyt długo.
- Dlaczego nie powiesz, że nie jestem mężczyzną, za jakiego mnie uważałaś?

Nie odezwała się.

- Nie powiesz nic więcej?

– Nie ma nic więcej do powiedzenia. – Spuściła głowę, jakby się modliła, spowiadała, żałowała za grzechy.

- Powiedz mi, że mnie nie kochasz – szepnął Harry.

- Nie mogę. *Ti amo*.

Odsunął się chwiejnie.

– Żałuję, że wróciłem – jęknął. – Żałuję, że zwolnili mnie wcześniej za dobre sprawowanie.

- Nie dość wcześnie.

- Dlaczego tak bardzo się o to starałem?

- Nie wiem – odparła. – Po co starać się o dobre sprawowanie w więzieniu...

- Żebym mógł wrócić do ciebie!

Podniosła rękę. Wierzchem dłoni do niego. Nawet się nie odwróciła.

– Nie pozwoliłeś mi dokończyć. Po co starać się o dobre sprawowanie w więzieniu, jeśli nie zamierzasz dobrze się sprawować na wolności?

- Ty chcesz mnie uczyć dobrego sprawowania?

- Nigdy nie powiedziałam ci ani słowa.

- Szlachetną żonę któż znajdzie? – zapytał ze smutkiem.

– Szlachetny mąż – odparła, nie odwracając się od zlewu. Miała plik listów pisanych do Harry’ego przez Reeda i Haywooda, przez Elizabeth Flynn i Mary Vorse, przekazanych z więzienia po jego zwolnieniu. Otwartych i przeczytanych, schowanych teraz głęboko w szafie pod łożwami. Nie rozumiała, jak mógł nie zauważyć ich braku. Dzięki nim wiedziała, że Mary Vorse korespondowała z jej mężem w sposób, który wydawał się zbyt intymny, jakby odpowiadała na jego najgłębsze przemyślenia. Nie miała listów Harry’ego. Ani do Mary Vorse, ani do siebie. Nie pisał do żony, tylko do kobiety, która w odpowiedzi cytowała Shelleya. „Sercem w głębię tajemnic twych się wpatrywałem”^[11], pisała Mary do męża Giny.

Zamilkli. Słowa wyczerpały się jak paliwo w baku. Gina dokończyła zmywanie. Harry wyrzucił gazety. Mimoo jeszcze nie wróciła. Gina nie mogła pójść spać, dopóki nie pomogła matce się położyć, i marzyła, by Mimoo choć raz wróciła z bingo wcześniej.

Na górze przez kilka minut leżała obok Harry’ego, słuchając jego ciężkiego oddechu.

- Myślałem, że jesteśmy tacy silni, że nic nas nie dotknie – powiedział.

– Och, Boże. Jesteśmy. *Mi dispiace*. Wybacz mi, *marito*... – Wyczerpana wyciągnęła rękę.

Zerwał się z łóżka. Podniósł obie ręce, jakby chciał się poddać lub ją odepchnąć.

– Nie chcę już słyszeć o tym ani słowa. Zwłaszcza w łóżku. Oskarżyłem cię, że niczego mi nie wyjaśniłaś. Uwierz mi, to tylko niewielki przejaw łaski. Mamy dwa wyjścia. Możemy o tym porozmawiać, a potem rozstać się na zawsze. Może tak byłoby najlepiej

i być może tego chcesz. Powiedz mi. Albo możemy żyć dalej i udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Udawać, że nie ma o czym rozmawiać, jakby to w ogóle nie istniało. To nasze dwa wyjścia. A raczej twoje. Które wybierasz?

– Chcesz się ze mną rozstać?

Zamrugął. Nie opuszczał rąk.

– Wiesz, że nie mogę – szepnął, szarpiąc piersi, jakby chciał ją rozerwać jak koszulę. – Jesteś moją jedyną nadzieją.

Gina rozłożyła ramiona.

– Jak ty moją.

Wrócił do łóżka.

Żyli dalej.

Z jednym wyjątkiem.

Gina musiała przestać jeździć do Rose. Zrezygnowała z pracy niechętnie i z żalem. Ale Harry nie mógł tego znieść. Nic nie mówił, ale widziała, że to niemożliwe. Nie mogła tego wytłumaczyć Rose, ale ona i tak zrozumiała wszystko.

– Wiesz, co mój ojciec powiedział o żalu? – zagadnęła, gdy Gina zjawiła się ostatni raz, by się pożegnać. – O wybieraniu ścieżki, która później sprowadza cię na manowce? Powiedział, że kryje się w tym fatalizm, poczucie mocy zagłady, które zmusza ludzi (ciebie, twojego męża), by krążyli jak duchy wokół miejsca, w którym jakieś wielkie wydarzenie nadało barwę całemu ich życiu. Im bardziej coś ich ciągnie do tego miejsca, tym większy mrok je zasnuwa. – Ucałowała zalaną łzami twarz Giny. – Wszystkie bez wyjątku rzeczy na tym świecie – powiedziała – to marmur i błoto, moje kochane dziecko. Jedynę, co ci zostało, to zrobić z tego najlepszy użytek.

9 Nathaniel Hawthorne, *Szkarłatna litera*, tłum. Bronisława Bałutowa, Czytelnik, Warszawa 1987.

10 Tomasz a Kempis, *O naśladowaniu Chrystusa*, tłum. Anna Kamieńska, PAX, Warszawa 1981.

11 Percy Shelley, *Alastor, czyli duch samotności*, tłum. Zygmunt Kubiak w: *Twarde do snu*, Noir sur Blanc, Warszawa 2002.

Rozdział szósty

Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem

I

- Dokąd chcesz jechać?
- Mówiłem ci, do Rosji.
- Ale po co?

Wszystko zaczęło się jak w zwyczajne niedzielne popołudnie. Gina miała się zabrać do przyrządzania wczesnej kolacji. Był ciepły kwietniowy dzień. Pomyślała, że mogą zjeść na zewnątrz. Potem może pójść na Common i zobaczyć, czy kaczki mają więcej małych.

– Gino, czytałaś gazety? A może magazyn, dla którego pracuję? W Rosji niebawem wybuchnie rewolucja!

– A nie mieli rewolucji w zeszłym miesiącu? – Był rok 1917. – Car abdykował, Kiereński podpisuje złotym piórem dekrety w Pałacu Zimowym. Ile rewolucji może wybuchnąć w jednym roku? A tak bardziej do rzeczy, co ich rewolucje mają wspólnego z nami?

- Wszystko.
- Nic. Po co mielibyśmy jechać do Rosji? Doroczny wiosenny festyn odbędzie się w Bostonie w przyszłym tygodniu. Chętnie bym poszła.
- Bądź poważna.
- Jestem.
- Max powiedział, że zbierze pieniądze na wyjazd mój i Johna Reeda.
- Wspaniale – odparła. – Nie potrafi zebrać dziesięciu dolarów, żeby ci płacić co tydzień, ale znajdzie dość na wyjazd do Rosji?
- Strasznie chcę być częścią czegoś większego, być częścią historii. Ty nie?
- Hmm... nie.
- Stałaś się taka prowincjonalna. – Wrócił do przerzucania gazety. – Wiem, kiedy to się stało. Od kiedy myślisz tylko o posiadaniu dziecka, wszystkie sprawy zaczynają się dla ciebie i kończą w sypialni. Wielka szkoda. Kiedyś miałaś tyle innych pasji.
- Zabawne. Kiedyś ty miałaś tylko jedną. – Wiedziała, że on zignoruje jej słowa, i nie rozczarował jej. Zignorował. Jak wiele innych rzeczy, które mówiła.

– Louise Bryant się wybiera.

To miało ją skusić. Bo Harry wiedział, że ona niczego nie ignorowała. Louise była żoną Johna Reeda. Przywoływana teraz jako przykład żony idealnej, zaraz po ślubie z Johnem Reedem zamieszkała z jego najlepszym przyjacielem, dramaturgiem. Gina nie dała się skusić. Jeszcze nie. Harry postukał palcem w gazetę.

– Lenin właśnie wrócił do Piotrogradu z Genewy. To triumfalny powrót do kraju, z którego go wygnano. Jest gotów obalić Kiereńskiego i mienszewików, którzy zdradzili komunistów, układając się ze wszystkimi.

– A Lenin obiecuje, że z nikim nie będzie się układał?

– Oczywiście. – Wstał i podszedł do niej.

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to Piotrogród jest ostatnim miejscem, w którym chcemy się znaleźć.

– Proszę, bądź poważna. – Ujął ją za ramiona i odwrócił do siebie.

– Myślisz, że żartuję? – Utkwiła spojrzenie poważnych brązowych oczu w jego szarych rozpalonych.

– Musimy jechać. – Urwał. Wyraz jej twarzy powiedział mu wszystko. – Ja muszę jechać.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: Rób, co musisz.

Harry nie ustępował.

– Twoja Emma Goldman też jedzie.

– Dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

– No, księżniczko. Pojedziemy na znak solidarności. – Potrząsnął nią lekko. – Gino! Marzyłem o tej chwili.

– To prawda, zawsze byłeś marzycielem. Ale marzyć o wyjeździe do Rosji?

– Tak!

– Musiałeś to robić po cichu, bo pierwszy raz o tym słyszę.

– Od dwudziestu lat nie mówię o niczym innym.

– O wyjeździe do Rosji? – Starła się ukryć niedowierzanie.

– Muszę jechać... zobaczyć, jak rodzi się nowy porządek. Stanąć ramię w ramię z gigantami. Być świadkiem najbardziej radykalnej zmiany, do jakiej kiedykolwiek dojdzie.

– Radykalnej zmiany? – Wyjęła zwiędłe kwiaty z wazonu. Zawsze starała się mieć w domu świeże kwiaty. Minęło już parę tygodni od czasu, gdy stojące na środku stołu tulipany zwiędły.

– Harry, zapominasz, że jestem imigrantką? Pochodzę z miasta pod wulkanem. Mój ojciec strzygł za darmo wszystkich biedaków w Belpasso, a bogatym liczył potrójnie, żeby zaoszczędzić pieniądze na mój przyjazd tutaj. – Roześmiała się. – Moją radykalną zmianą jest Ameryka. Przyłynęłam tutaj statkiem, pamiętasz? Powiedziałam... – Urwała. Nigdy nie mówiła tego Harry'emu. Zamrugła, by odpędzić przeszłość, wspomnienia, wszystko. – I powiem ci jeszcze raz. – Och, cóż za oszustwo. – Nie interesuje mnie wyjazd z tego kraju. Nic a nic.

– Nie na zawsze – zapewnił Harry. – Na miesiąc. Może trzy.

– Kiedy ostatnio to słyszałam, siedziałeś piętnaście miesięcy w więzieniu. I co zrobię z moją matką?

– Choć raz przestań się za nią chować. Nie możesz się przeprowadzić do Bostonu, do Nowego Jorku, nie możesz pojechać do Rosji. Mogłaś równie dobrze zostać w Belpasso!

– A co, przyjechałam do Ameryki, żeby porzucić matkę? Ojciec byłby zachwycony.

– Salvo nie może się nią zająć?

– Co jest z wami, mężczyznami? – Pokręciła głową.

– Jakimi mężczyznami?

– Harry, Salvo płaci połowę czynszu od trzech lat, gdy ty pracujesz dla „The Masses”.

– Max Eastman uważa, że jestem niezbędny!

– Salvo płaci rachunki za lekarza Mimoo. Odwiedza ją w niedziele. – Dziś nie, ponieważ Harry jest w domu. – Kiedy przyjeżdża, gotuje dla niej. Ale nie jest jej córką. Nie może się nią zająć. Jest mężczyzną. – Chciała zapytać, czy Harry zająłby się własną matką, ale wiedziała, że rozmowa natychmiast utknie w martwym punkcie. I może tak byłoby lepiej.

– Mimoo przez miesiąc da sobie radę. Ma mnóstwo przyjaciół w mieście. Zna każdego, kogo mijamy na ulicy. Kiedy ostatni raz poszedłem z nią na zakupy, przejście dwóch kwartałów zajęło nam czterdzieści pięć minut! Ma więcej przyjaciół, niż ja zjadłem kolacji. No, Gia. Historia! – Niczego nie narzucał, lecz błagał. – Nie jesteś ani trochę podekscytowana?

Za kilka miesięcy skończy czterdzieści lat. Włosy pojaśniały mu lekko w zapowiedzi zbliżającej się siwizny, lecz na razie przypominały piasek po deszczu. Nadal był szczupły i poważny, jednocześnie elegancki i nieco potargany, jakby ubranie nie do końca na niego pasowało, ale w ogóle mu to nie przeszkadzało. Szare oczy błyszcząły. Nie był tak ożywiony od miesięcy, może lat. Cieszyło ją to, ale tylko trochę i nie przyznała się do tego.

– W najmniejszym stopniu. – Odwróciła się do zlewu. Szorowała brudny wazon po tulipanach. – Harry, stale masz kłopoty z prawem. A jeśli nie pozwolą ci wrócić?

– Nie stale. Ostatnio byłem ostrożny.

– Grożą, że zamkną „The Masses” z powodu twoich artykułów.

– Wiem – odparł z dumą. – Powiedziałem ci, że zdaniem Maxa jestem niezbędny.

– Tak. Mnie, nie jemu.

Zgodnie ze swym zwyczajem zignorował ją.

– Dlaczego mieliby mi nie pozwolić? I kim są oni?

– Amerykanami.

Milczał, jakby słowa nie nadążały za biegiem jego myśli.

Zachęcona tym, mówiła dalej:

– Ameryka właśnie przystąpiła do wojny...

Niestety wywołało to wybuch złości Harry’ego wymierzony w Wilsona.

– Tego człowieka wybrano ponownie dzięki jednemu sloganowi! – zawołał. – Jednemu! Pamiętasz jakiemu?

– Tak – odparła – ale nie dbam o to.

– Trzymał nas z dala od wojny. I tyle. Został wybrany ponownie dzięki sześciu słowom. Kiedy to było? Cztery miesiące temu?

– Bo trzymał nas z dala od wojny przez prawie trzy lata. Może o to mu chodziło. Użył czasu przeszłego.

– Żartujesz, prawda? Rozdzielasz włos na czworo, by ukryć oszustwo wymierzone

przeciwko narodowi amerykańskiemu?

– Poza tym – ciągnęła Gina, spokojniejsza niż mąż – Wilson powiedział, że wojna szybko się skończy. Potrwa najwyżej sześć tygodni.

– Sześć tygodni? – szydził Harry. – Chce ci też sprzedać most. Zważ na moje słowa, warkot wielkich maszyn zagłuszy niebawem warkot karabinów maszynowych.

– Nie bądź takim pesymistą, Harry. Musisz marzyć na większą skalę. Wilson uważa, że można mieć jedno i drugie.

Roześmiał się.

– Nie jestem pesymistą. Jestem wiecznym optymistą.

– Żartowałam. Roześmiałeś się, prawda?

– Zawsze ci powtarzam, żebyś się o nic nie martwiła. Wszystko się ułoży. To też. – Odwrócił ją od wazonu i uschniętych kwiatów, wziął w ramiona i przyciągnął do siebie i swojego podniecenia. – Pojedziemy do Rosji, żeby uciec przed kłamstwami i oszustwami Wilsona.

– Prawa stały się surowsze – powiedziała Gina, obejmując go długimi rękami za szyję. – Nie możesz się zachowywać jak kiedyś. Wyrzucą nas oboje z kraju. – Pocałowała go. – Powiedzą, że popieramy bolszewików.

– Bo popieramy. – Oddał jej pocałunek. – Jestem obywatelem amerykańskim. Nie mogą mi odmówić wjazdu do własnego kraju.

– Jesteś pewny?

Zawahał się.

– Prawie.

– Tam jest niebezpiecznie. – Spróbowała przyjąć inną taktykę. Kiedy Harry chciał czegoś tak bardzo, trudno było skierować jego uwagę w inną stronę. Dotyczyło to wszystkiego, obojętne czy miało sens, czy nie, czy było dobre dla jego życia, interesów, małżeństwa. Czasami taki upór był podniecający. Czasem doprowadzał do rozpacz. A czasem przerażał. W tej chwili łączył wszystkie trzy elementy. Stali blisko siebie. Gina nie chciała się odsunąć. – Storpedowano Luzytanię pełną cywilów – powiedziała. – A jeśli nie będziemy mogli wrócić przez ogarnięte wojną morze?

– To zostaniemy jeszcze parę miesięcy. Tylko ty i ja. – Przechylił głowę.

Gina pokręciła swoją i milczała. Złe przeczucia krążyły w niej jak kruki. Odsunęła się i skupiła na wazonie. Plamy nie chciały zejść. Szkło nie stanie się kryształowo czyste, choćby nie wiadomo jak długo je szorowała.

Stanął za nią, bardzo blisko. Objął ją w talii, przytulił twarz do jej włosów.

– Gia, co naprawdę się za tym kryje?

Nie chciała powiedzieć. Nie chciała jechać, to było jasne. Ale nie chciała dodać, co się naprawdę za tym kryje. Jeszcze nie.

Zmieniła temat w jedyny znany sobie sposób.

– Stoisz teraz za mną. – Wytarła ręce i odwróciła się. Odciągnęła go od Rosji chętnym, bezbronnym ciałem w nadziei, że to wystarczy i Harry o wszystkim zapomni.

Jak zawsze zapominał o niewłaściwych rzeczach. Kilka dni później powiedział jej, że Max Eastman nie da rady zebrać dość pieniędzy na wyjazd do Rosji i jego, i Johna Reeda.

Zapytał, czy to, co mają w banku, wystarczy na dwa bilety trzeciej klasy do Francji. Pokazała mu książeczkę. Nie stać ich było na dwa bilety na statek, dwa bilety na pociąg i życie w Piotrogradzie. Gina zamknęła książeczkę z ledwo skrywaną satysfakcją, mając nadzieję, że to zakończy sprawę i względy praktyczne wezmą górę nad entuzjazmem Harry'ego.

Ale on miał inny pomysł.

– Widać, że nie możemy jechać oboje – powiedział, chodząc tam i z powrotem po saloniku. – Twoja matka i tak nie najlepiej się czuje. Sama mówiłaś. I ty nie chcesz jechać. Też tak mówiłaś. Pojadę sam. Wrócę na Boże Narodzenie.

– Tak jakby święta miały dla ciebie jakieś znaczenie! – rzuciła jak Sycylijka, nie mieszkanka Bostonu. Czuła się okropnie z powodu takiego obrotu tej nedorzecznej rozmowy.

– Nie chcę jechać bez ciebie – zapewnił. – Wiesz dobrze. Nie chcę być z dala od ciebie. Ale tak bardzo chcę, żebyśmy pojechali. Proszę? Możemy zastawić twój ślubny pierścionek? Będziemy mieli dość na podróż dookoła świata i z powrotem.

Zrobiło jej się słabo i musiała usiąść.

– Chcesz, żebym sprzedała ślubny pierścionek? – zapytała przerażona.

– Nie sprzedała, zastawiła.

– A jak go potem odzyskamy? Jaki masz plan, by wykupić go z lombardu? Oszalałeś! Postradałeś zmysły.

– Co cię opętało? Dlaczego się na mnie rzucasz?

– Harry, nie oddamy mojego pierścionka. Nigdy.

– No to pojadę sam. Mamy dość pieniędzy na jeden bilet.

Gina przygryzła wargę, jakby próbowała ją odgryźć.

– Nie mamy dość pieniędzy na rewolucję i dziecko – powiedziała z wahaniem. Odwrócił się do niej gwałtownie.

– Kto mówił coś o dziecku?

– Ja. Teraz.

Milczał.

– Ach, więc o tym dziecku mi powiesz – powiedział w końcu tępo, pokonany.

– Kazałeś mi mówić sobie wszystko.

– Mogłaś z tym poczekać do mojego wyjazdu.

– Co?

– Napisać mi w liście. Wysłać telegram. Nieważne.

– Mówię ci teraz, bo nie chcę, żebyś jechał. Są ku temu powody. Ja na pewno nie mogę jechać. – Poglądziła się po płaskim brzuchu.

– Ile?

– Parę miesięcy. Prawie trzy.

Spojrzał na stół, na leżącą na nim książeczkę bankową, mapy Rosji, gazety z wieściami o wojnie i katastrofie, plakaty proletariuszy.

– Wrócę, zanim się urodzi – powiedział słabo.

– Ma się urodzić w październiku tysiąc dziewięćset siedemnastego roku – powiedziała. – A jeśli nie wrócisz? Jeśli bolszewicy i mienszewicy zaczną walczyć i rewolucja potrwa

dłużej? A jeśli wtrąca cię tam do więzienia, zachorujesz albo... jeszcze gorzej? Chcesz, żeby dziecko wychowywało się bez ojca?

– Ale rewolucja...

– *Mio amore*, dziecko także jest rewolucją.

Nie pojechał.

2

Sześć tygodni później, w czerwcu 1917 roku, gdy „The Masses” zamknięto na mocy ustawy antydziewiętnoletniej, Gina zaczęła krwawić. Przestała pracować, leżała w łóżku i modliła się, próbując ocalić siebie i dziecko. Bezskutecznie. Pozostał tylko smutek.

Tym razem nie mogła tego przed nim ukryć nawet na pięć minut. Leżała w łóżku, podczas gdy zapłakana Mimoo zmieniała podkłady, a Harry spał, siedząc na kanapie. Zrozpaczeni wylewali żale na siebie. On winił ją, że „bez powodu” zmusiła go, by zrezygnował z najważniejszego doświadczenia w życiu, a ona, nie obwiniając nikogo ani niczego, czuła się odpowiedzialna za wszystko i zupełnie zamknęła się w sobie. Prawie przestała mówić. Modliła się tylko, by stać się jak Helen Keller, zanim woda spłynęła jej na dłoń, by zamieszkać w takim miejscu w duszy, gdzie słowa, symbole i dźwięki nie mają żadnego znaczenia.

Pragnąc wyrwać się z Lawrence, Harry walczył o wizę do Rosji, lecz Departament Stanu poinformował go, że już za późno. Podczas wojny, do której przystąpiły Stany Zjednoczone, wydawano tylko kilka wiz wyjazdowych na rok i wszystkie przyznano do stycznia 1918 roku.

Harry był zmuszony śledzić szturm na Pałac Zimowy w relacjach Johna Reeda pisanych dla Maxa Eastmana, i opowiadał o tym Ginie, z trudem skrywając wrogość. A ona, z trudem skrywając wrogość, udawała, że słuca.

– Lenin zniósł całą własność prywatną – powiedział Harry. – To jeden z jego trzynastu dekretów po przejściu władzy.

– Zniósł – powtórzyła Gina. – Posiadanie ziemi jest teraz w Rosji nielegalne?

– Tak. Cała własność wreszcie należy do klasy pracującej.

– Ach tak. A co z ludźmi, którzy są właścicielami ziemi i nieruchomości w Rosji?

– Znaleźli się poza prawem.

– To co się stanie z ich własnością?

– Chyba zostanie skonfiskowana.

– Miłe – powiedziała, wracając do szycia. Nacisnęła pedał i maszyna zaczęła stukać. – Zabierają wiaderka innym dzieciom w piaskownicy. Jestem pewna, że obejdzie się bez walki.

– Co powiedziałaś? – Stukot maszyny po części zagłuszył jej słowa.

– Nic, nic. To tylko ironia. Prawie się uśmiechnęłam.

Na jej twarzy nie pojawił się cień uśmiechu.

Po rewolucji bolszewickiej w październiku i utracie dziecka Harry jeszcze goręcej orędowno przeciwko wojnie. Im bardziej Gina błagała go, by był cicho, tym głośniej protestował. Całym sercem popierał wysiłki Lenina, by Rosja odstąpiła od wojny. Rosja była teraz nie tylko komunistyczna, lecz również pacyfistyczna, a te dwa ideały były Harry'emu szczególnie bliskie. Tydzień po przejściu władzy przez Lenina Rosja przestała walczyć po stronie aliantów i ściągnęła żołnierzy do domu. Trocki zaczął negocjować z Niemcami oddzielny układ pokojowy. W Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji potępiono Rosję jako zdrajcę. Z powodu jej działań alianci mogli przegrać wojnę – tak pisano we wszystkich gazetach i wstępniakach. Jednak w kręgach Harry'ego Rosja była bohaterką. Nie mogli się nachwalić jej odwagi w „The Masses”. Magazyn zamykano dwukrotnie za podburzające treści, a główni redaktorzy stanęli przed sądem.

Kiedy Harry uwolnił się od ciężaru redagowania literackich i politycznych artykułów i miał trochę więcej czasu, zaczął chodzić na wszystkie manifestacje antywojenne, duże i małe, w pobliżu Bostonu; w wielu uczestniczyła Emma Goldman.

– Nikt nie wypowiada się przeciwko wojnie tak ostro i zdecydowanie jak ona – powiedział Harry Ginie. – Dlaczego nie chcesz iść ze mną teraz, gdy zaczynam naprawdę ją szanować?

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co budzi twój szacunek – odparła, żałując, że jej mąż i Goldman nie są mniej błyskotliwi i w publicznych protestach lecą jak ćmy prosto w płomień ustawy antyspieszowskiej.

– Tym się nie przejmuj – powiedział Harry do coraz bardziej niespokojnej Giny. – Martw się tylko o to, co słuszne.

W marcu 1918 roku Lew Trocki podpisał osobny układ pokojowy z Niemcami, przekazując państwu centralnym dwie trzecie terytorium Rosji i jedną czwartą ludności.

– Teraz rozumiem, co miałeś na myśli – rzuciła Gina – gdy mówiłeś, że Lenin nie będzie się z nikim układał jak ta żmija Kiereński. Masz rację, jest bardzo szlachetnym człowiekiem.

Po tych słowach nie rozmawiali ze sobą przez tydzień.

Miesiąc później, w kwietniu 1918 roku Harry'ego i sto innych osób aresztowano przy biurze poborowym nieopodal Faneuil Hall podczas głośnej demonstracji, która przerodziła się w zamieszki. Przez rok protestował daremnie, bo wszyscy doskonale wiedzieli, że Stany Zjednoczone, nowa światowa potęga, muszą pewnego dnia przystąpić do wojny. Padały ostre słowa i zaatakowano trzech policjantów. Najgorsze było jednak to, że celowo sparaliżowano działanie biura poborowego, a czyn ten, o czym Harry dowiedział się dopiero po postawieniu mu zarzutów, w myśl znowelizowanej ustawy antyspieszowskiej był karany dwudziestoma latami więzienia.

Eugene Debs, Emma Goldman i Bill Haywood też zostali aresztowani w innych częściach kraju za protesty przeciwko wojnie. Harry uznał, że znalazł się w dobrym towarzystwie. Powiedział Ginie, że Stany Zjednoczone nie mogą skazać tylu postaci publicznych naraz. Gina nie omieszkała zauważyć, że jest straszliwie naiwny.

– Udajesz, że pragniesz pokoju – powiedziała – ale tylko doprowadzasz do zamieszek. Ty, Duży Bill, Emma, Eugene Debs. Tylko siejcie zamęt. A potem płaczesz, że nie masz dwóch rzeczy, na których najbardziej ci zależy.

– Czyli?

– Pokoju i wolności.

– Przyszłaś do więzienia, żeby mnie odwiedzić czy dręczyć?

– Dlaczego muszę wybierać?

Wszystkie oszczędności przeznaczone na samochód, którego nigdy nie kupili, nie wystarczyły na ogromną kaucję. Gina pożyczyła pieniądze od odpornej Mimoo, od misji świętego Wincentego, od ojca O'Reilly'ego i z First Savings Bank of Lawrence i nadal brakowało połowy sumy.

– W życiu jak w morzu pojawia się przyływ – powiedział do niej Harry w miejskim więzieniu, kiedy walczyła, by zebrać pieniądze na jego uwolnienie. – Gdy mu się poddasz, zawiedzie cię do szczęścia, gdy ominiesz, cała podróż twojego życia skończy się na mieliźnie i w nieszczęściu.

Gina pochyliła głowę, udając, że się z nim zgadza, lecz z jej oczu płynęły gorzkie łzy.

– Nie masz o co płakać. Nie ty siedzisz w więzieniu.

– Kiedyś otuliłam cię sobą – powiedziała – a ty zaprowadziłeś mnie na mieliżnę. Na koniec okazała się jednak bardzo głęboka. Jeśli cię skaza, możesz pójść do więzienia na dwadzieścia lat! To twój wybór, ale ja będę miała trzydzieści trzy lata i zostanę bez męża. To nie był mój wybór.

– Wybrałaś mnie. A ja jestem właśnie taki.

Podniosła się z trudem. Czas odwiedzin dobiegł końca.

– To nie jest sprawiedliwe – powiedziała ponuro – że jedna zła decyzja może zniszczyć mi życie.

O którą złą decyzję jej chodziło? Jego, by protestować przed Faneuil Hall? Czy swoją, by za niego wyjść?

– Twoje życie? A co z moim? Mogłem pojechać do Rosji i teraz pisać relacje jak John Reed. Tylko tego chciałem. Ale ty zmusiłaś mnie, żebym został, i spójrz, gdzie teraz jestem.

– Nie wiedziałam, że jesteś takim zagorzałym pisarzem, Harry. – Gina zacisnęła dłonie na starej torebce. – Nie piszesz nawet listów. Podobno sztuka pisanie listów umiera.

Prawie jej nie słuchał.

– Słyszałaś, co John Reed napisał do Maxa Eastmana? – Aż poczerwieniał z rozczarowania. – Na jego wykłady przychodzą setki ludzi, tysiące!

– Dlatego że John Reed był mądry i nie siedzi w więzieniu.

– Protestują przeciwko istniejącemu porządkowi! To teraźniejszość, a protest jest przyszłością. Czytałaś, co napisał? Że ludzie płaczą z radości, kiedy go słuchają, wiedząc, że w Rosji już niedługo mogą spełnić się marzenia.

Ona też płakała z żalu za miejscem, w którym spełniają się marzenia.

Zamiast jechać do Rosji, Gina zastawiła pierścionek z dwukaratowym brylantem i zapłaciła kaucję.

4

Po zwolnieniu z więzienia Harry wrócił do Lawrence i lato 1918 roku spędził na przedprocesowych przesłuchaniach, przygotowując linię obrony i wciąż jeżdżąc z powrotem do Bostonu. Byli całkowicie splukani – materialnie i emocjonalnie, i nie mieli sobie nic do powiedzenia. Choć Harry sprawiał wrażenie apatycznego, oboje bali się groźnego przypływu, który nadciągał jak tsunami po trzęsieniu ziemi. Oboje pojęli zmianę w amerykańskim klimacie politycznym. Kraj był w stanie wojny, a Harry złamał prawo, wykrzykując pełne nienawiści hasła i rzucając kamieniami. Gina przeżywała każdy dzień jedynie siłą woli: wstać, pracować, sprzątać, pomagać Mimoo, modlić się, spać.

Pod koniec sierpnia nie mogła już tego wytrzymać. Tym razem miała coś do powiedzenia, gdy u kresu sił wróciła do domu na lunch i zastała tam bałagan i nieogolonego, wrogo nastawionego Harry’ego.

Mierzyła go pełnym złości spojrzeniem, próbując się najpierw uspokoić. Policzyła do dziesięciu i wzięła głęboki oddech. Nie pomogło.

– Co? – warknął. – Próbuję opracować linię obrony. Nie mam czasu na babskie prace.

– Wiesz, co mówi Nathaniel Hawthorne?

– Guzik mnie to obchodzi. To nie jest pora na jego trafne powiedzonka.

– Wręcz przeciwnie, pora jest jak najlepsza. Mówi – ciągnęła w kontrolowanym wybuchu – że nawet mętna rzeka ma swoją religię. Ufajmy więc, że ma ją również najbardziej tępa ludzka dusza, choć być może nie zdaje sobie z tego sprawy.

– A co to ma wspólnego ze mną? Nazywasz mnie tępym?

– Nie, nie. – Potrząsnęła głową. – Ty jesteś zdecydowanie ponad to. I tym razem nie zgadzam się z Nathanielem. Ty nie masz religii ukrytej pod mułem. W twoim przypadku jest tylko muł.

Dawno przeminęły dni pięknie urządzonej salonów i Harry’ego w szarej kamizelce i białych spodniach, z koktajlem w dłoni zabawiającego gości przy kominku. Ten Harry miał na sobie te same poplamione bawełniane spodnie, które wyprasowała w zeszłą niedzielę, i brązową koszulę, krzywo zapiętą i podartą przy kołnierzyku. Kiedyś naprawiała jego stare ubrania, ale maszyna do szycia się zepsuła, a nie mieli pieniędzy na naprawę. I pomyśleć, że Harry chodził w lakierkach, gdy zalecał się do niej w New Hampshire, oszalał ją jedwabnymi porannymi koszulami w Revere, towarzyszył jej na promenadach nad oceanem w czarnych krótkich płaszczach ostro kontrastujących z jej różowymi letnimi sukienkami.

– Och, jesteś dziś zachwycająca. Po co w ogóle wracałaś na lunch, jeśli masz być taka?

– Po co, u licha, błagałam, pożyczałam i zastawiłam mój diament, żeby wydostać cię z więzienia, jeśli nic nie robisz i siedzisz brudny? Spójrz na nasz dom! Spójrz na siebie!

– Jestem brudny? Słyszysz, co mówisz? Szkoda, że nie zostałem w więzieniu.

– Świetnie!

– Nikt mnie tam nie dręczy.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– O wielu rzeczach nie masz pojęcia, kochanie.

– Masz pojęcie, jak być dobrym mężem?

– A ty masz, jak być dobrą żoną?

Żachnęła się i wypuściła ze świstem powietrze.

– Boże! Dlaczego mnie nie zostawiłeś trzy lata temu?! – wrzasnęła, ciskając w niego gazetami i niedopałkami papierosów.

– Dlaczego ty mnie nie zostawiłaś?! – Zerwał się z krzesła, a popielniczki, filiżanki i papiery spadły na podłogę.

– Powinnaś być! Wolałabym nie mieć męża niż tak żyć, bez przebaczenia. Dlaczego zostałeś, skoro wiedziałeś, że nie możesz mi przebaczyć?

– Czemu jesteś taka prowincjonalna? Co to ma wspólnego z tobą? Oślepaś po jakiejś chorobie? Dlatego nic nie widzisz?

– Widzę wszystko!

– Mogę stracić życie! – wrzasnął. – Nie wiem, o czym ty mówisz. Co ci miałem wybaczyć? Że łajdaczyłaś się z innym mężczyzną, gdy byłaś moją żoną i udawałaś, że mnie kochasz? Chcesz być burżujką, Gino. Myślisz, że to twoje tanie zaloty nie pozwalają mi w nocy spać? – Roześmiał się. – Dawno dałem sobie z tym spokój. To, co się dzieje teraz, nie ma nic wspólnego z tobą, księżniczko. Włóż więc jedwabne rękawiczki i udawaj, że jesteś wielką damą, zajmuj się swoimi sprawami. Przestałem myśleć o tobie dawno temu. Na świecie paskudnie wrze, a ty biegasz z głową w chmurach, udając, że nasza sytuacja wiąże się z jakimiś upokarzającymi osobistymi bzdurami! Gównu mnie obchodzą osobiste sprawy. Nie rozumiesz? Świat stanął na głowie. Już go nie poznaję.

– Zabawne, to właśnie powiedziałeś do mnie, gdy zakochiwałeś się we mnie na plaży w Hampton.

Zdumiony westchnął z żalem.

– Tak – rzucił przez zaciśnięte zęby. – I miałem rację. Postawiłaś mnie na głowie i od tamtej pory moje życie już nigdy nie było takie samo.

– Zamknij się! Jeśli jeszcze raz usłyszę choć słowo o wszystkim, co dla mnie poświęciłaś, powieszę się! Trzymasz mi swoją ofiarę nad głową jak maczugę od trzynastu lat, żebyś nie musiał robić najdrobniejszej rzeczy, na którą nie masz ochoty. I za każdym razem, gdy proszę cię o jakąś drobnostkę, walisz mnie w głowę swoim pieprzonym poświęceniem! Mam już tego dość. Mam dość ciebie. Co takiego dla mnie zrobiłaś? – Trzęsa się cała, z trudem stała na nogach i musiała przytrzymać się oparcia krzesła. – Z tobą czy bez ciebie moje życie jest dokładnie takie samo. A z tobą nawet gorsze. Nadal mieszkam z matką, w Lawrence, jestem bez grosza i bez dziecka...

– I to moja wina?

Wybuchnęła płaczem.

Zrobił krok w jej stronę.

– Prze...

Podniosła ręce, by go powstrzymać.

– Odejdź ode mnie. Nawet kiedy tu jesteś, nie ma cię i tylko wszystko psujesz.

Cofnął się.

– Nie przejmuj się, niedługo mnie nie będzie. Więc bałagan też się skończy.

W porządku?

– Wszystko jest lepsze od tego.

– Dobrze. Nie będę się o ciebie martwił. Wiem, że kiedy będę siedział w więzieniu, znajdziesz sposób, by się pocieszyć.

Wymierzyła mu ostry policzek. Pozwolił na to. Patrzyli na siebie, ciężko dysząc.

– Ty oddawałaś swoje zamężne ciało, a ja dostaję policzek?

– Myślałam, że guzik cię to obchodzi!

– I uwierzyłaś?

Kochali się dziko, ostro, dojmująco przy zamkniętych drzwiach i oknach, starając się nie krzyżeć, połączeni wzajemną wrogością w to duszne swobodne popołudnie.

– Dlaczego mnie nie zostawisz? – wysapała zmęczona. – Przecież chcesz. Od dawna. Masz swoich przyjaciół, do których się nie zaliczam, życie, w którym nie ma dla mnie miejsca. Wywołujesz zamieszki, podczas gdy ja haruję. Dlaczego nie odejdiesz?

– Zadam ci to samo pytanie. Dlaczego nie odejdiesz?

– A dokąd mam iść? Moje życie jest tutaj.

– Moje też.

Zamilkli, spoceni od wysiłku.

– Tym razem ci się udało – powiedziała. – Naprawdę. Ustawa o działalności wywrotowej jest surowa, a ty ją rażąco naruszyłeś.

– Nienawidzę ich praw, są godne pogardy. Walczę po stronie dobra.

– Prowadzimy wojnę, a ty stoisz na skrzynce po jabłkach, popierasz Lenina i krzyczysz, by obalono amerykański rząd.

– Podobnie jak Lenin uważam, że to niemoralne wysyłać młodych mężczyzn na wojnę, by walczyli o sprawę, której ani prezydent, ani Kongres, ani handlowcy, ani ekonomiści, ani żaden polityk nie potrafi nawet określić. Imperialistyczny międzynarodowy kapitał jest równie dobrym powodem jak każdy inny. Nikt nie potrafi nikomu wytłumaczyć, dlaczego wysyłamy naszych chłopców na rzeź w Europie. Ty potrafisz?

– Nie obchodzi mnie to.

– Obchodziłoby, gdybyś miała syna.

Odsunęła się od niego gwałtownie, lecz chwycił ją i przyciągnął do siebie.

– Nie masz dokąd pójść – szepnął, wspinając się na nią. – Jesteśmy skuci ze sobą do końca życia, a łańcuchy wrzynają się w twoje piękne kostki.

Kiedy wreszcie skończyli, puścił ją, a ona przesunęła się na brzeg wąskiego łóżka i zwinęła w kłębek plecami do niego.

– Skończyliśmy – powiedział.

– Skończyliśmy dawno temu – jęknęła głucho. – I nawet o tym nie wiedzieliśmy.

Miesiąc później, we wrześniu 1918 roku, Harry, Eugene Debs i Emma Goldman zostali skazani na mocy ustawy o działalności wywrotowej za utrudnianie pracy punktu poborowego, zaatakowanie policjanta i propagowanie niktzemnych kłamstw przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych. Groziło im dziesięć lat więzienia bez prawa do wcześniejszego zwolnienia. Ale i tak było to lepsze niż dwadzieścia lat, na które skazano Dużego Billa Haywooda. Uznano go winnym dziesięciu tysięcy przypadków podburzania i dwadzieścia lat wydawało się lekką karą.

Wyrok w sprawie Harry'ego miał zapaść w grudniu, lecz przedtem podniesiono kaucję do horrendalnej wysokości dziesięciu tysięcy dolarów, gdyż prokurator okręgowy obawiał się, że Harry ucieknie. Tym razem sędzia przychylił się do jego wniosku. Gina zwrócono kaucję; oddała dług wszystkim z wyjątkiem lombardu. Miała dziewięćdziesiąt dni na wykupienie pierścionka, a minęło sto trzydzieści siedem. Nie mogła zapłacić odsetek i opłaty za przechowywanie, by pierścionek pozostał w lombardzie. Z trudem supłała co tydzień pieniądze na autobus do Concord.

Kiedy ostatnim razem Harry siedział w więzieniu, zapytała go, dlaczego nigdy do niej nie pisze. Odparł, że wizyty w więzieniu byłyby o wiele mniej interesujące, gdyby w międzyczasie bombardował ją słowami, ale przypominała sobie niedzielne widzenia, gdy siedział naprzeciwko niej i spoglądając od czasu do czasu przez ściankę, czytał gazetę, komentował wydarzenia tygodnia, opowiadał o pralni i okropnym jedzeniu. Zastanawiała się, czy to prawda.

Po kilku tygodniach więzienia, w październiku wreszcie do niej napisał.

Nie odwiedzaj mnie. Tak będzie najlepiej. Nie bierz mnie zbyt poważnie, ale sztuka pisania listów zanika. Tylko coś tam notujemy, dyktujemy rozkazy. Przepraszam, że nie jestem bardziej wylewny. Ale trudno silić się na serdeczności, gdy wokół mnie ludzie padają na hiszpankę jak muchy. Jeśli przyjedziesz, na pewno się zarazisz. A nie chcę, żebyś zachorowała. Nie jestem pewny Twoich uczuć po słowach, które wykrzyczałaś do mnie w sierpniu. Brzmiały jak gorzka prawda. Może zachoruję, a Ty przejrzysz na oczy. Może umrę. Byłabyś zadowolona? Może nie potrafię ubrać tego w ładne słowa, ale próbuję Ci powiedzieć, żebyś nie czuła się winna, że mnie nie odwiedzasz. Jeśli kopacz rowów jakimś cudem wróci do domu, gdy akurat – jakże wygodnie dla was – będę siedział w więzieniu, przekaz mu moje pozdrowienia.

Gina nie zwróciła zbyt wielkiej uwagi na list i jego ton. Martwiła się o matkę.

Mimoo nie mogła wstać z łóżka. Stale wymiotowała, nie mogła nic zatrzymać w żołądku,

nawet wody. Jej drobne ciało odmawiało posłuszeństwa. Gina nie pracowała przy krosnach w misji ani w cerowalni, bo musiała zostać w domu i opiekować się matką. Salvo co jakiś czas brał wolne z Purity, ale to nie wystarczało. Nie mógł zrezygnować z pracy i być jednocześnie jedynym żywicielem siostry i matki. Siostry z sodalicji przeprowadziły zbiórkę pieniędzy, by pomóc Ginie zapłacić czynsz i kupić jedzenie. Zaangażowała się też misja i ojciec O'Reilly.

Kiedy wyglądało na to, że Mimoo złapała zapalenie płuc, Gina pożyczyła od Rity pieniądze na taksówkę i zawiozła matkę do szpitala w Lawrence. Nie odstępowała jej ani na chwilę.

– Mimoo – szepnęła pewnego cichego wieczoru. – Twierdzisz, że wiesz wszystko. To dlaczego nie mogę urodzić dziecka? Co jest ze mną nie tak?

– Dziecko, nie znam wszystkich odpowiedzi. Módl się do Boga o wskazówki. Przez długi czas myślałam, że dzieje się tak dlatego, bo nie chciałaś dziecka. Wiesz, że Bóg w swojej nieskończonej mądrości nie chciałby ci dać czegoś, czego nie chcesz.

– Wiesz, że chciałam, Mimoo – szepnęła Gina. – To nie jest prawda. Pragnęłam go rozpaczliwie. Nadal pragnę.

Mimoo spojrzała na córkę.

– To życzę ci powodzenia teraz, gdy twój mąż będzie siedział w więzieniu do końca twoich płodnych lat.

Och, Mimoo.

Och, Harry.

– Ty i twoja Emma Goldman, ty i twoja Margaret Sanger. One też siedzą w więzieniu jak twój mąż. Żadne z was nie wierzyło w dzieci.

– Może oni nie. Ale ja wierzę.

– No cóż – powiedziała Mimoo, oddychając z trudem, chrapliwie. – Nie ma sensu teraz o tym mówić. Twój statek odpłynął i osiadł na mieliźnie do tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku. Nie zadrećzaj się. Masz inne radości.

Jakie na przykład, chciała zapytać Gina, lecz milczała.

– Nie zostawiaj mnie, mamó.

Mimoo położyła zimną, spracowaną dłoń na mokrej od łez twarzy córki. Z jej piersi wydobywały się chrapliwe, dziwne dźwięki. Niegdyś oliwkowa skóra na twarzy posiniała.

– Największą radością w moim życiu jest być twoją matką. Pomimo wszystko.

Kilka godzin później Mimoo dostała krwotoku, chwyciła rozpaczliwie powietrze, dusiła się, przestała oddychać. Od początku choroby do jej końca minął ledwie tydzień. Zgasła jak delikatny płomień świecy.

Gina wymiotowała straszliwie w szpitalnej łazience. Ciało jej matki leżało pięć drzwi dalej. Słyszała, jak brat rozpaczliwie szłocha na korytarzu. Przechodząca pielęgniarka powiedziała jej, że powinna zobaczyć się z lekarzem. Miała maseczkę na twarzy. Gina

włożyła swoją. Co się dzieje? – zapytała lekarza, który przyszedł zapisać godzinę i przyczynę śmierci Marii Attaviano.

Gina tak płakała i tak wymiotowała, że oczy podbiegły jej krwią. Lekarz tylko na nią spojrział i szybko założył maseczkę. – Nikt nie przeżyje – odparł – absolutnie nikt, jeśli natychmiast się pani nie odizoluje. Nie może pani przebywać w szpitalu z takim kaszlem. Co pani wyprawia? Wszędzie pani wymiotuje. Proszę się opanować! Pani matka miała grypę. Chorują na nią miliony ludzi na całym Wschodnim Wybrzeżu. Dziesiątki tysięcy już zmarło. Proszę się trzymać z daleka od szpitali. To wylęgarnie zarazków. A ten zarazek przemieszcza się szybko i jest zabójczy. Nie czytała pani gazet?

Gazety przynosiły tylko złe wieści. Celowo przestała je czytać po wyjeździe Harry’ego.

Na pogrzebie Mimoo zjawiała się połowa mieszkańców Lawrence. Zebrali pieniądze na księdza i miejsce na cmentarzu. Luigi, który robił trumny, zrobił dla Mimoo trumnę za darmo, za sos pomidorowy, który Gina dawała mu przez te wszystkie lata. Nabożeństwo odprawił ojciec O’Reilly.

W pierwszych ławkach siedziały zapłakane miłośniczki bingo z parafii. Wiele osób było chorych. Widać było przerażone twarze, przezroczystą skórę, rolegał się kaszel. Działo się coś strasznego, czego nikt wcześniej nie widział. Liczni przyjaciele Mimoo wspominali ją, szli w kondukcje na cmentarz Najświętszej Marii Panny, żegnali się i śpiewali *Ave Maria*, ale Gina czuła, że oplakując jej matkę, zastanawiają się, kto będzie następny. Czy mam to co ona? W zeszłym tygodniu jeszcze pracowała, a pięć dni później nie żyje. Co się dzieje? Czy to przytrafi się także i mnie?

Ojciec O’Reilly, wyczuwając nastrój przygnębienia, uczynił tematem swojego kazania przypowieść o dziesięciu pannach z Ewangelii według świętego Mateusza.

– Pięć z nich było roztropnych, lecz pięć nierozsądnych – mówił. – Roztropne wzięły oliwę do lamp, gdy czekały na pana młodego, a pięć nierozsądnych zostawiło ją. Pan młody się spóźnił. Zasnęły. A potem przyszedł. Nierozsądne zerwały się. „Użyczcie nam oliwy, powiedziały do roztropnych, bo nasze lampy gasną”. Ich błagania nie odniosły skutku. Ani ludzkie odruchy panien roztropnych, ani prostota ich prośby nie przyniosły im tego, o co zabiegały. Bo nikt nas nie ochroni, jeśli nie będziemy gotowi – powiedział. – Nie dlatego że nie chce, lecz dlatego że nie może.

Pobiegly kupić oliwę i spóźniły się na ucztę weselną. „Nie znam was”, powiedział On, gdy wreszcie zapukały do jego drzwi.

Tak więc bracia i siostry, słudzy Pana, błagam was, błaga was nasz dobry Pan, zadbajcie o oliwę do lamp, bo nie znacie dnia ani godziny. Jak często nasz Pan dodaje tę przestrożę, by zwrócić nam uwagę, że nie wiemy, kiedy przyjdzie nam odejść z tego świata. Nie znacie dnia ani godziny. Bądźcie gotowi.

O dziwo kazanie wywarło efekt przeciwny od zamierzonego. Szlochanie i kaszel, niepewność i strach tylko się wzmogły, gdy ksiądz umilkł.

Salvo nie mógł powstrzymać łez. Nie był oziębiały jak Gina ani nie czuł się źle. Pracował i nie zdążył przyjść do szpitala przed śmiercią Mimoo. Był niepokieszony, że się z nią nie pożegnał.

– Widziałem ją zaledwie w zeszłym tygodniu – powtarzał.

– W zeszłym tygodniu też się źle czuła, Salvo. Pocałowałeś ją na pożegnanie, prawda?

Wytarł nos na wietrze. Po pogrzebie szli do kościelnej świetlicy.

– Ale przynajmniej żyła.

Zostali razem dwa dni w pustym, samotnym domu. Gina próbowała rozmawiać z bratem o Harrym, ale Salvo był wyjątkowo wrogo nastawiony. Dała spokój.

– Wróc, Salvo – powiedziała. – Nie chcę mieszkać sama. Zostań ze mną.

– Jeśli zostanę, oboje wylądujemy na ulicy, bo stracę robotę. Jak będę mógł płacić czynsz?

– Załatw sobie pracę tutaj. Luigi szuka ludzi.

– Mam robić trumny?

– A to, co robisz teraz, jest lepsze? – Kichnęła.

– Pracuję w trzech miejscach. W weekendy gotuję w tawernie. Wieczorami pracuję w porcie, rozładowuję oliwę, tytoń. Chcesz, żebym to rzucił?

Nie odezwała się.

– Niedługo wojna się skończy i ty możesz zamieszkać ze mną, *sorella*. W North End, choć bardzo tego nie chcesz.

– Ale czy wojna się skończy?

– Nie słyszałaś? Niemcy przegrają wojnę przez wyniszczenie, bo grypa zabija ich więcej niż Brytyjczyków i Francuzów.

– Grypa jest po naszej stronie? – zapytała. – Nie wierzę.

– Niemcy są silniejsi i lepiej wyszkoleni. Silni umierają najpierw.

– To absurdalne!

Salvo wyjechał trzy dni później. Jeszcze przed jego wyjazdem pięćdziesiąt przyjaciółek Mimoo przyniosło Ginie półmiski z jedzeniem. Nie miała gdzie go schować. Miało to jednak dobrą stronę – nie musiała się już martwić zakupami, pieniędzmi i gotowaniem.

I złą – nie miała apetytu.

Pogoda się nie poprawiała.

Gina też nie czuła się lepiej. Często nie mogła rano podnieść się z łóżka.

– To normalne – powiedziała Rita, która do niej zaglądała. – Dopiero co straciłaś matkę. Komu chciałoby się wstawać?

Gina przyznała jej rację. Ale te fizyczne dolegliwości nie były normalne: stany podgorączkowe, brak apetytu, wyczerpanie całego ciała.

Salvo zapłacił czynsz za listopad.

A potem Rita dostała stanów podgorączkowych i przestała pracować. Pewnego wieczoru zeszła z trudem po schodach i powiedziała, że jedzie do szpitala, bo pierś boli ją tak, jakby chciało się z niej wydostać dziecko. Gina już więcej jej nie zobaczyła. Dwa dni później ojciec O'Reilly pochował Ritę.

Gina bardzo się bała. Nie mogła znieść kolejnego dnia gorączki i wymiotów. Postanowiła, że nie pójdzie do szpitala. Wyglądało na to, że każdy, kto szedł do szpitala, umierał. Kiedy wlokła się Randall Street do lekarza rodzinnego, podsłuchiwała, jak dwóch mężczyzn palących na rogu cygara rozmawiało o swoich ojcach w podeszłym wieku, którzy wymiotowali. Kiedy ich mijala zbyt słaba, by zapiąć płaszcz, pomyślała: Czy ja też jestem stara? Wymiotuję, bo tak bardzo się postarzałam?

Jej lekarz o uroczym nazwisku Clifford Clyde, zbadał ją, lecz na szczęście nie wpadł w panikę jak ona. Była zakłopotana, bo jak zawsze nie pamiętała, co jest imieniem lekarza. Clifford czy Clyde. Stale je myliła, nawet gdy usłyszała je od recepcjonistki.

– Moja matka parę dni temu zmarła na grypę – powiedziała i rozplakała się.

– Tak, wiem. Bardzo mi przykro z powodu Mimoo – odparł Clyde Clifford Clyde. – Ale nie jestem pewny, czy pani też to dolega. Pani mąż jest chory?

– Nie wiem. Siedzi w więzieniu.

– Znowu? – Słuchał jej oddechu przez stetoskop. – Chyba mu się tam podoba?

– Tam nie musi się martwić czynszem.

Czy to działa się z ludźmi, którzy rodzili się w czepku? Gdy im się go odbiera, nie potrafią sobie radzić w życiu?

– Kiedy widziała go pani ostatni raz?

– Dwa tygodnie temu w więzieniu.

– Nie. Chodzi mi...

– Och. W sierpniu. Został skazany we wrześniu.

Gina nie chciała mu wyznać, że po ostrej kłótni w sierpniu Harry wyjechał z Lawrence i przez trzy tygodnie dzielące go od procesu mieszkał w Bostonie. A kiedy odmówiono kaucji, przeniesiono go do zakładu o złagodzonej rygorze w Concord, by tam czekał na wyrok. Milczała.

– Prosił, żebym go nie odwiedzała z powodu grypy.

– Pani mąż jest bardzo rozsądny – powiedział Clifford Clyde Clifford, podciągając jej rękaw, by pobrać krew. – Zabiorę ją do laboratorium. Ma pani za wysokie ciśnienie, wypieki. To nie jest normalne.

– Wiem. Mówiłam panu. Kiedy będą wyniki?

– Za parę dni. Najwyżej za tydzień.

Gina zjawiała się w gabinecie dwa dni później na wypadek, gdyby wyniki pojawiły się wcześniej. W środku dnia gabinet był jednak zamknięty. Może z powodu śniegu. Jednak na wywieszonej na drzwiach tabliczce przeczytała, że lekarz zmarł.

Lekarz zmarł! Clifford Clyde. Zmarł?! Lekarz?!

Następnego dnia recepcjonistka wróciła do pracy, lecz nikt nie mógł znaleźć ani wyników Giny, ani jej karty. W gabinecie pracował nowy lekarz, młodszy. Nawet nie zapytała go o nazwisko. On też pobrał jej krew i powiedział, by przysłała za tydzień po wyniki.

– Ostatni lekarz, który mi to powiedział, siedział na pana miejscu – odparła Gina. – A kiedy przyszłam po dwóch dniach, nie żył.

– Sądzi pani, że to przez pani krew? – Lekarz był śmiertelnie poważny. – A może dlatego, że nie odczekała pani całego tygodnia?

Patrzyła na niego tępo.

– Jeśli pani chce, mogę od razu powiedzieć, co pani jest.

Przytrzymała się oparcia fotela dla pacjentów.

– Najprawdopodobniej ma pani grypę.

Zaczęła płakać.

– I spodziewa się pani dziecka.

– Co takiego? – Ocierając twarz, osunęła się na wózek i tępo wpatrywała w jego obojętną twarz. – To niemożliwe.

– Co? Grypa czy... Jest pani zamężna?

– Tak.

– Więc możliwe.

– Nie, nie. Pan nie rozumie.

– Ile ma pani lat?

– Trzydzieści cztery.

– To zdecydowanie za dużo na rodzenie dziecka. Dlaczego czekała pani tak długo?

– Nie czekałam – odparła słabo. – Mieliśmy kłopoty.

– Z poczęciem czy utrzymaniem ciąży?

– Utrzymaniem.

Skinął głową.

– Z tą prośbę się więc postarać. Gdzie jest pani mąż?

– W więzieniu.

Lekarz milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

Po wyjściu z gabinetu Gina wróciła spokojnie do domu przez zamarzające błoto. Ile to potrwa tym razem? Za swoje niepowodzenia obwiniali strajk Chleba i Róż, Dużego Billa, chorych w domu Rose, rosyjską rewolucję.

Kogo obwinia tym razem? Hiszpanów?

8

Następnego dnia Gina nie wyszła z domu. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek da radę wstać z łóżka, nie miała zresztą po co wstawać. W szafkach było jedzenie, którego nie jadła, a Salvo zapłacił czynsz. Zacznie się martwić grudniowym za trzy tygodnie. Wieczorem do jej drzwi zapukał młody lekarz. Była zbyt słaba, by wstać i go przywitać. Z kanapy dała mu znak ręką, by wszedł.

– Nie wygląda pani dobrze – powiedział, siadając przy kuchennym stole. Zakrył dłonią usta.

– Nie? A czuję się tak dziarsko.

– Chcę pani pomóc.

Samotna lampa na stole rzucała blade światło. Nie chciała, by nafta szybko się skończyła, bo nie miała pieniędzy, by kupić więcej.

– Co mam zrobić? – zapytała. – Moja matka nie żyje. Jestem sama. Nie mogę pracować, nie mam pieniędzy. Mój mąż siedzi w więzieniu. A pan właśnie mi powiedział, że będę miała dziecko.

– Powiedziałem, bo tak jest. Jestem tylko posłańcem.

– I co mam zrobić? Jak mam pracować i utrzymać ciążę? Skąd wziąć pieniądze na czynsz? Jak mam się zajmować tym dzieckiem? – Płakała.

– Proszę się nie martwić – powiedział, prawie wyciągając rękę, by ją kojąco pogładzić. –

Dziecko przynosi jedzenie ze sobą. Tak mawiają Persowie. Spędziłem trochę czasu w Teheranie.

– Dziecko przynosi jedzenie ze sobą – powtórzyła jak echo. – Tak kiedyś powiedziała moja matka. A nigdy nie była w Teheranie.

– Musiała być mądrą kobietą. Ale choroba, która teraz szaleje, jest bardzo niebezpieczna dla takich młodych osób jak pani.

– Powiedział pan przecież, że nie jestem młoda. – Zbyła jego protest machnięciem ręki. – Moja matka była stara i nie żyje. – Otarła twarz. – I co?

– Nie powiedziałem, że to nie jest niebezpieczne dla starszych osób. Powiedziałem, że jest najbardziej niebezpieczne dla młodych ludzi z mocnym systemem obronnym organizmu. Wiem, to sprzeczne z intuicją. Ale przyszedłem, żeby pani powiedzieć, że to jest najbardziej niebezpieczne dla kobiet w ciąży.

– Dlaczego? Czy kobiety w ciąży mają silny system obronny?

– Tak. Coś dzieje się z organizmem, gdy walczy za dwoje. Staje się jak wojownik. A reakcja wirusa rośnie proporcjonalnie. To się nazywa burza cytokinowa. Słyszała pani o tym? Nie? No cóż, jest pani podwójnie bezbronna.

– W porządku – powiedziała. Burze cytokinowe, katastrofy w nadfiolecie. Jak wymyślają te zwięzłe określenia na jej położenie? Nie chciała mówić głośno o słabej nadziei na donoszenie tej ciąży. – Co pan zaleca?

– Wyjazd. Proszę gdzieś pojechać. Tutaj jest strasznie, ten marznący deszcz, przeciągi, wiatr.

– Dokąd mam pojechać? Poddać się kwarantannie?

– Tak. Ale kwarantanna ma chronić panią.

Gina prawie się roześmiała. Gdyby miała dość sił, na pewno by wyjechała.

– Szkoda, że nie znam miejsca, gdzie mogłabym się zaszyć.

– Musi pani coś zrobić. Znalazła się pani w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie chce pani ratować siebie, dziecka?

Gina zamrugwała.

– Nie mam dokąd pójść – szepnęła bezgłośnie. – Prawie nie mam męża.

Kiedy lekarz wyszedł, opadła na kanapę. Czuła się, jakby Bóg zastukał do drzwi jej serca i powiedział: Chciałaś tego? No to masz. Kiedy byłaś młoda, modliłaś się do mnie stale „Dobry Boże, pragnę tylko jego”. Prosiłaś i zostało ci dane.

Masz tylko jego.

9

Przez trzy niedziele nie odwiedzała Harry’ego w Concord. Ostatni raz była tam tuż po śmierci matki. Pierwszą rzeczą, o którą zapytał ją tym razem, było:

– Jesteś chora?

– Nie, nic mi nie jest – skłamała. Nie chciała, by znów zabronił jej odwiedzin. I tak nie zamierzała go posłuchać, ale nie chciała tego usłyszeć.

– Bo tutaj mieliśmy setkę niewyjaśnionych zgonów. Wielcy, silni faceci dostawali gorączki i w trzy dni potem byli martwi.

– Nie mam gorączki. Widać było jednak wyraźnie, że jest chora. Harry wydawał się wstrząśnięty jej mizernym wyglądem.

– Wyglądasz okropnie – powiedział. – Bardzo schudłaś i jesteś śmiertelnie blada. Na pewno jesteś chora.

Siedzieli przy stole oddzieleni tylko siatką. Harry cofnął się lekko. Sprawiał wrażenie, jakby chciał zasłonić usta.

– Nic mi nie będzie – powiedziała, przygryzając wargę. Aby odwrócić od niego wzrok, spojrzała na inne rodziny, inne pary. Mężczyźni, którzy nie byli Harrym, z ożywieniem rozmawiali ze swoimi kobietami, trzymali je za ręce przez otwory w siatce.

– Gino, słyszałaś? Zabrali papiery Jacka Reeda! Pojechał do Rosji, notował w dzienniku każdą spędzaną tam minutę, a teraz je zabrali.

– Kim są ci oni?

– Departament Sprawiedliwości.

– Doprawdy? – Wpatrywała się w swoje krótkie, zaniedbane paznokcie, dłonie bez pierścionków. – A nie oddali ich? Czytałam coś...

– Nie o to chodzi. Trzymali je przez pół roku. Po co mieliby zabierać jego osobiste notatki? Nie cofną się przed niczym! Departament Sprawiedliwości, też coś. Wszystko w imię wojny. Słyszałaś, co mówi o tym twoja Emma?

– Nie.

– Powiedziała, że duch militarny jest najbardziej bezlitosny, nieczuły i brutalny. Nawet się nie wysilają, żeby to uzasadnić.

– Niezły pistolet z tej kobiety. – Kiedy ostatnio pomalowała paznokcie na czerwono? Czy to możliwe, że dwa lata temu? Trzy? Boże! No tak, kogo teraz stać na lakier do paznokci? Nie dbała o to. Chciała tylko zająć czymś głowę, żeby nie myśleć o tym, co jest nie do pomyślenia. By słyszeć go trochę gorzej.

– Żołnierz, cytując Tołstoja, jest zawodowym zabójcą – mówił Harry. – Jest tylko mechanicznym narzędziem dla swoich dowódców. Jest gotowy z zimną krwią podrzynać gardła na pierwszy rozkaz.

– Nie wszyscy żołnierze.

Harry prawie jej nie słuchał.

– Wierzę, że militarizm – ciągnął – armia i marynarka wojenna w jakimkolwiek kraju to oznaka upadku wolności i niszczenie wszystkiego, co najlepsze w każdym narodzie.

To usłyszała. Wreszcie oderwała wzrok od białych dłoni i podniosła głowę.

– Czy Rosja ma armię i marynarkę?

– Co? – Był równie zdziwiony jak ona, że zadała mu to pytanie.

– Czy Rosja ma armię? – powtórzyła. – Czy ma żołnierzy?

– Z konieczności. O co ci chodzi?

– Że niektóre wojny są uzasadnione.

– Nie ta.

– Ale inne? Te, które nie zostały jeszcze stoczone? Albo wojny toczone przez inne kraje niż ten?

Skrzywił się.

– O czym ty mówisz? Dla Rosji to kwestia obrony. Nigdy nie wykorzystaliśmy swojej armii, by napaść na sąsiadów, by zaatakować kraj oddalony o tysiące kilometrów lub wykorzystać inny kraj z powodu jego surowców naturalnych. Przecież właśnie dla pokoju oddała większość swojego imperium.

– Wypowiedź Goldman jest ironiczna. – Gina już dawno przestała być z Emmą po imieniu.

– Tak. Oboje ostro sprzeciwiamy się temu, że naród amerykański niebawem zacznie zrzucać z latających maszyn bomby na bezbronnych wrogów.

Gina znów spuściła wzrok na linie dłoni. Niektórzy ludzie potrafią z nich czytać. Może Cyganki? Stareńkie Sycylijki. Czy znajdzie kogoś takiego na sennych ulicach Concord? Tutaj jest tak cicho, tak miło. Zapomniała już, jak spokojnie. Może się tu przeprowadzi. Gdyby nie była *incinta*, mogłaby zamieszkać w domu Rose dla osób w rozpaczliwym położeniu. Jak powie Harry'emu, co się z nią dzieje?

– Ten kraj tonie, Gino. Kołysze się na boki. Musimy go wyprostować.

– My?

– Dlaczego mnie krytykujesz?

– Czy rzuciłam choć jedno oskarżenie?

– Odwracasz wzrok, a to mówi wszystko.

– Harry, napaść na policjanta nie jest ustawianiem statku. To także przemoc. Której jesteś przeciwny.

– Był narzędziem państwa. Naruszał moje prawa obywatelskie. Protestowałem przeciwko nielegalnej wojnie, próbując odwieść niewinnych, nieświadomych chłopców od wstąpienia do wojska. A on próbował ich zmusić, żeby do niego wstąpili. Wykorzystywał ich nieświadomość.

– Rozumiem. Jesteś przeciwnikiem selektywnej przemocy.

– Nie mogę pojąć, co sprawia, że młody człowiek chce wstąpić do wojska, zwłaszcza by walczyć w wojnie, która jest tak bezsensowna, bezprawna! – Harry mocno się nakręcił.

Wstała z trudem. Jak miała mu powiedzieć? I po co? Tkwił tutaj, wojowniczy jak zawsze, a ona tkwiła tam i tonąc, otoczona przez *La Pesadilla*, chwytając się cieniutkiej żywej gałązki, którą do niej wyciągnięto.

On nie mógł wyjść.

I tak nie donosi tej ciąży. Wyszła, o niczym mu nie mówiąc. Jednak w drzwiach obejrzała się i rzuciła po chwili namysłu:

– Nie słyszałeś? Myślałam, że ci powiedzą. Wojna się skończyła. Jedenastego listopada podpisano traktat pokojowy. Grypa pokonała Niemców. Poddali się warunkowo. Chyba do czasu, aż wyzdrowieją. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu, mam nadzieję.

Żyło też dziecko.

Podczas wielu bezsennych nocy, leżąc wpatrzona w sufit, płakała za matką i odliczała na palcach dziewięć miesięcy od końca sierpnia 1918 roku, kiedy ostatni raz kochała się z Harrym.

Koniec maja 1919 roku.

Nie chciała o tym myśleć. Równie dobrze mógł minąć wiek. O tylu rzeczach nie mogła myśleć, a ta znajdowała się na czele listy. Już to kiedyś przeżywała, była nawet w bardziej zaawansowanej ciąży. Trzydzieści tygodni. Szesnaście. Siedemnaście. Każdy dzień był zbyt bolesny, by go przeżyć, liczyć, przetrwać. Za każdym razem gdy wstawała, bała się, że znów popłynie krew. Mogło się to zdarzyć w każdej minucie dnia. Jak poprzednio. A jednak musiała pracować, co oznaczało, że musiała wstawać rano, ubierać i iść do przędzalni Wooda, by pracować od ósmej do szóstej. Zmarło tyle ludzi, że znów proponowano nadgodziny. Wzięłaby je, ale bała się nawet wstać z krzesła. Wiedziała, że grawitacja, jej śmiertelny wróg, wyciągnie z niej dziecko. Chciała leżeć w łóżku do maja. W jakim świecie byłoby to możliwe? Na pewno nie w tym.

Stopniowo gorączka ustąpiła, wymioty też. Gina odzyskała nieco apetyt. Leżała w łóżku, trzymając się za brzuch i wpatrując się w sufit, i modliła się o pomoc, o ratunek. Modliła się, by znaleźć jakieś wyjście. „Do Ciebie, panie, wołam, Skąło moja, nie bądź wobec mnie głuchy”.[12]

Miała dość energii na tylko jedną wyprawę. Mogła pojechać do Rose i błagać o radę. Albo mogła posłuchać jej głosu, który dźwięczał jej w głowie jak pięć dzwonek upamiętniających rany Chrystusa, i pojechać tam, gdzie tlił się ostatni płomyk nadziei dla niej, dla jej dziecka i błędzącego, głupiego ukochanego męża.

Gina przełknęła dumę i strach i pojechała do Barrington.

12 Psalm 28,1.

Rozdział siódmy

Bellagrand

I

Był zimny nowoangielski dzień, a drogę i chodniki pokrywało czarne zamrożone błoto.

Gina pojechała do Barrington pociągiem w późne wtorkowe popołudnie. Zgłosiła w przedzalni Wooda, że jest chora, lecz mimo to powłokła się do misji świętego Wincentego, by przez kilka godzin pomagać naprawiać i sortować dary przed gorącym sezonem bożonarodzeniowym.

Początkowo ruszyła ze stacji kolejowej w złym kierunku. Miała plan, lecz sporo czasu zajęło jej znalezienie Cherry Street. Przez wszystkie te lata wyobrażała sobie, że Barrington jest mniejszą, elegantszą wersją Lawrence, ale ono w niczym go nie przypominało. Było położonym na wzgórzach białym miasteczkiem z wybrukowaną główną ulicą, dwoma kościołami stojącymi po obu końcach krętej alei, małymi sklepami z markizami w dobranych do nich kolorach i migoczącymi świątecznymi światełkami rozwieszonymi nad ulicami. Leżało na zboczach i u stóp wzgórz i lasów nieopodal Arlington Heights i Winchester, a jeśli jechało się zbyt szybko fordem T z czterocylindrowym silnikiem, łatwo je było przeoczyć.

Barrington było mniejsze od Concord, mniejsze od Hampton, mniejsze nawet od Revere. Przypominało obrazek w cennej książce. Było w nim coś intymnego, jakby obrazek nie był przeznaczony na sprzedaż ani do oglądania przez szeroką publiczność. Gdyby Gina była artystką, mieszkała w Nowej Gwinei lub na Filipinach i wyobrażała sobie, jak może wyglądać idylliczne miasteczko w Ameryce, tak właśnie by je namalowała. Ale nawet to nie oddałoby jego uroku, nie pokazałoby tego, co teraz oglądała szeroko otwartymi oczami. Nad piekarnią czerwony neon migał słowami „Świeże gorące pączki”. Gina nie wiedziała, co to takiego pączek, ale była pewna, że to coś pysznego, bo pachniało smakowicie, gdy przechodziła tamtędy powoli mimo deszczu i wiatru.

Błądząc ze ściśniętym sercem, wreszcie znalazła Cherry Street i duży biały dom w stylu kolonialnym z poważnymi czarnymi okiennicami. Przez kilka minut stała w błocie, nie mogąc uwierzyć, że ma przed sobą dom, w którym urodził się i wychował jej mąż. Nigdy nie знаła nikogo, kto mieszkałby w tak okazałym domu. W Belpasso matka sprzątała domy

bogatych donów, a ojciec odwiedzał je, by strzyc właścicieli, lecz Attavianowie uparcie trzymali się z dala od takiego życia. Mogli mieć łódkę na oceanie, lecz nie mieli z tym oceanem nic wspólnego. Widząc ten dom, Gina nareszcie w pełni zrozumiała, że Harold Barrington, urodzony w 1877 roku, absolwent Harvardu rocznik 1900, magister ekonomii, prawie doktor teorii ekonomii, syn Hermana Barringtona, handlowca, przedsiębiorcy, inwestora, budowniczego, i Frances Barrington, damy z towarzystwa i Córki Rewolucji, krewnej w pierwszej linii Roberta Treata Paine'a, Ojca Założyciela, jej mąż Harry, pielgrzym z Mayflower, kiedyś był częścią oceanu.

Trochę czasu zajęło jej, by zebrać się na odwagę, otworzyć żelazną bramę i przejść ścieżką do drzwi wejściowych. Dlaczego, zapukawszy zbyt cicho, modliła się, by nikogo nie było w domu?

Czerwone drzwi otworzyły się i stanęła w nich ładna pulchna brunetka po trzydziestce.

– W czym mogę pomóc? – Zmierzyła ją baczным spojrzeniem. – Zbiera pani datki na sódalicję? Czekałam na panią. Pójdę po torebkę.

– Nie, proszę poczekać... – Gina się zająknęła. – Jestem... Ba... Jestem... Ja... Czy mogłabym rozmawiać z Esther Barrington? Jest w domu?

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Nie wiem. Kogo mam zaanonsować?

– Gina Barrington.

Zachowanie kobiety uległo całkowitej zmianie. Odsunęła się.

– Proszę tu poczekać.

Drzwi zamknęły się, by otworzyć się po pięciu długich jak wieczność minutach.

– Przykro mi – powiedziała pulchna kobieta. – Pani Barrington nie ma w domu.

– Proszę... – szepnęła Gina i głos jej się załamał. Wyciągnęła rękę. – Rozpaczliwie potrzebuję jej pomocy. Chodzi o jej brata...

Kobieta zamrugnęła.

– Proszę poczekać. – Drzwi się zatrzasnęły.

Minęło kolejne pięć minut. Policzki Giny poczerwieniały z zimna.

W końcu w progu stanęła Esther. Gina nie widziała jej od czasu spotkania w piwnicy kościoła w 1906 roku i starała się nie okazać zdziwienia na widok spustoszeń, jakie na twarzy siostry Harry'ego poczynił nieubłagany czas. W wieku czterdziestu pięciu lat Esther wyglądała znacznie starzej od Harry'ego pomimo jego licznych pobytów w więzieniu, które wyniszczało ludzi. Jej szczupłość, niegdyś elegancka i pełna wdzięku, teraz nadawała jej surowy belferski wygląd. Włosy zupełnie jej posiwiały, a na pokrytej zmarszczkami bladej twarzy nie było cienia makijażu. Z ostrym prostym nosem, mocno zarysowanymi policzkami i brodą wyglądała jak stary pomarszczony ptak. Podobieństwo do Harry'ego zdradzały tylko oczy i usta. Głęboko osadzone oczy były szare jak jego, a usta tak samo sardonicznie wykrzywione, jakby brat i siostra stale powstrzymywali się, by nie spłynęła z nich jakaś kąśliwa uwaga. Esther była jak zawsze nieskazitelnie ubrana. Czarny kostium z eleganckiej wełny, szare pończochy i czarne czółenka na obcasach. Dwie wysokie kobiety stały w milczeniu, patrząc na siebie nieufnie. Gina pokonana, Esther zimna.

– Czego chcesz? – odezwała się ostrym głosem.

– Esther... czy mogę wejść na parę minut?

– Co takiego masz do powiedzenia, że nie można tego powiedzieć w otwartych drzwiach?

– Nie – odparła Gina. – Nie można.

Esther niechętnie otworzyła drzwi szerzej. Gina weszła do wielkiego holu wysokiego na sześć metrów, z kryształowym żyrandolem u sufitu. Wszystko było wypolerowane, odkurzone. Na ścianach wisiały olejne obrazy w ciężkich ramach. Przez drzwi po prawej stronie Esther Gina widziała odbicie migotliwych płomieni, być może na kominku płonął ogień.

Esther westchnęła.

– Mogę wziąć twój płaszcz?

– Tak, dziękuję. – Podała jej aksamitny kapelusz i szary wełniany płaszcz, który sama uszyła. Pod nim miała swoją najlepszą suknię z oliwkowej serży. Nie była tak dobrej jakości jak ubranie Esther, ale była elegancka i świetnie na niej leżała. Gina zawsze zbierała komplementy, gdy miała ją na sobie, więc zdecydowała się włożyć ją także dzisiaj.

Esther stała z płaszczem w rękach, dopóki do holu nie wróciła kobieta, która otworzyła drzwi.

– Roso – powiedziała Esther – to jest Gina Barrington, żona Harry’ego. To Rosa, moja pokojówka.

– Och – odparła Rosa, sznurując usta. – Miło mi panią poznać – dodała tonem, który sugerował, że poznanie Giny jest najgorszą rzeczą, jaka ją w życiu spotkała.

– Mnie również – odparła Gina.

Stali dalej. Esther westchnęła.

– Masz ochotę na herbatę?

– Tak, proszę.

Esther gestem dała znak Rosie, by się tym zajęła, ale szybko. Wprowadziła Ginę do salonu, gdzie rzeczywiście płonął ogień i stały wysmukłe lampy, wszystkie zapalone. Ściany zakrywały półki z książkami. Na podłodze z szerokich desek leżał kremowy perski dywan, naprzeciwko siebie stały dwie wygodne kanapy w stylu edwardiańskim. Gina przysiadła na brzegu jednej z nich. Esther sztywno zajęła miejsce naprzeciwko niej.

– Rosa wróci za moment z herbatą – powiedziała. – Może w tym czasie powiesz mi, czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę?

Zaciskając dłonie tak mocno, że aż ją bolały, Gina opowiedziała Esther wszystko. W środku mrocznej opowieści rozplakała się, choć bardzo się starała powstrzymać łzy.

Gdy mówiła, do salonu weszła Rosa z herbatą i biszkoptami na tacy. Gina otarła twarz dłonią.

– Roso, przynieś proszę chusteczkę dla... – Esther urwała. Najwyraźniej nie wiedziała, jak określić Ginę, wołała się więc powstrzymać. – Wydaje się, że nie może znaleźć swojej.

Chusteczka z herbem rodziny Barringtonów okazała się bardzo pomocna i gdy Gina wycierała twarz i wydmuchiwała nos, Rosa z krytycznym wyrazem twarzy nalewała herbatę i ustawiała biszkopty na stole. Gina milczała, dopóki służąca nie skończyła i nie wyszła.

– Dziękuję, że do nas przyszłaś. Wysłuchałam cię – powiedziała spokojnie Esther, jakby nie rozmawiały o jej jedynym bracie. – Ale nie bardzo wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Moje dziecko potrzebuje ojca.

– Jego ojciec został skazany wyrokiem sądu. Co mogę zrobić w tej sprawie?

Palce Giny trzeszczały, tak mocno je splatała. Chciała się napić gorącego napoju, ale nie mogła podnieść filiżanki.

– Wyrok zapadnie za niecałe dwa tygodnie – wyjaśniła słabym głosem. – Wiem, że jego ojciec, twój ojciec, jest szanowanym obywatelem. Zna ważnych ludzi, prawda? Sędziów, prokuratora okręgowego. Może mógłby coś zrobić? Porozmawiać z prokuratorem? Może uda się uzyskać akt łaski?

– Za ciężkie przestępstwo? – Esther pokręciła głową. – Tylko ustępujący prezydent Stanów Zjednoczonych może wydać akt łaski, a pan Wilson będzie sprawował urząd jeszcze dwa lata. Poza tym nie jestem pewna, czy mój brat chciałby, żeby on go ułaskawił.

– Może twój ojciec pomógłby przygotować ugodę?

– To się robi przed skazaniem, nie po.

– Może pan Barrington mógłby wstawić się za synem, poświadczyć za niego?

– Poświadczyć? – zapytała Esther. – Jak nasz ojciec może za niego poświadczyć? Harry jest recydywistą.

– Może dałoby się uzyskać zwolnienie warunkowe? Okres próbny?

– Ma zostać skazany na dziesięć lat bez prawa zwolnienia! – wykrzyknęła Esther. – Nie to mi powiedziałaś?

– Nie wiem, co ci mówiłam, Esther – szepnęła Gina. – Już nic nie wiem. – Siedziały w salonie. Polana na kominku trzaskała. Gina wreszcie podniosła filiżankę i napiła się herbaty.

– Dlaczego teraz zdecydowałaś się na dziecko? – zapytała Esther. – Jesteście małżeństwem tak długo. Chyba już za późno na macierzyństwo. Ile masz lat, prawie czterdzieści?

– Trzydzieści cztery.

– Ach tak. – Esther skinęła głową. – Tak, jak mogłam zapomnieć. Jesteś siedem lat młodsza od mojego brata.

– Tak.

– Kiedy Harry i Ben Shaw pierwszy raz się z tobą spotkali, gdy przyjechałaś do tego kraju, miałaś tylko czternaście lat, prawda?

– Za miesiąc skończyłam piętnaście.

– Więc miałam rację. Miałaś czternaście lat.

– Tak.

– W istocie – powiedziała Esther, szacując ją wzrokiem. – W istocie.

Gina nie odpowiedziała na przeszywające spojrzenie Esther. Trzymała w dłoniach ciepłą filiżankę.

– Dlaczego teraz?

Gina drżącą dłonią zamieszała cukier na dnie naczynia. Łyżeczka zadzwoniła o porcelanę.

– Kiedy się pobraliśmy, nie chcieliśmy mieć dzieci. Potem myśleliśmy, że mamy mnóstwo czasu. A kiedy chcieliśmy, nie mogliśmy. Ja nie mogłam. – Gina nie patrzyła na Esther. – Staraliśmy się.

Esther milczała. Gina nie umiała rozszyfrować wyrazu jej twarzy. Było to współczucie

czy pogarda?

– Ale wiedzieliście, że toczy się proces, w którego wyniku Harry może trafić do więzienia na wiele lat. Dlaczego nie zaczekaliście przynajmniej do czasu, gdy ława przysięgłych skończy obrady?

– To byłoby rozsądne – odparła Gina. – Ale nie planowaliśmy tego.

– Czy ty lub mój brat zaplanowaliście choć jedną rzecz w swoim życiu?

– Nie wiem – odparła Gina. – Chyba nie. – Herbata była letnia. Gina miała ochotę na biszkopta, ale uważała, że damie nie przystoi jeść i płakać jednocześnie. Esther nie piła ani nie jadła.

Łzy toczyły się z oczu Giny i kapały do filiżanki.

– Chcę tylko dać życie temu jednemu dziecku – szepnęła. – Nie mogę dłużej pracować, bo kiedy biegam i podnoszę różne rzeczy, zaczynam krwawić. To moja ostatnia szansa. Proszę, Esther. Nie wiem, czy masz dzieci...

Esther jęknęła cicho i w tym krótkim odgłosie bólu Gina nagle usłyszała echo podobnych lat, z pieniędzmi i mężem, z opłaconym domem, a jednak pełnych rozpacz i cierpienia. Nie zapytała nawet, jak razem z mężem, lekarzem Czerwonego Krzyża przetrwali wojnę. Esther była ubrana na czarno. Nie nosiła obrączki, ale to niewiele znaczyło. Na palcu Giny też nie było obrączki. Wytarła twarz zawstydzona swoim egocentryzmem.

– Przykro mi, że nie mogę ci pomóc – powiedziała Esther zduszonym głosem ptaka schwytanego w niewolę. – Ale dziękuję, że nas odwiedziłaś. Wyobrażam sobie, że nie było to łatwe.

– Nie.

– Życzę ci wszystkiego najlepszego z tą ciążą, z całego serca. Żałuję, że nic nie mogę zrobić. Ale nie mogę. Mój ojciec ostatnio nie czuł się najlepiej, na polecenie lekarza musiał ograniczyć obowiązki. Nie ma wpływów, które mu przypisujesz, ani władzy, by skłonić sędziego do złagodzenia wyroku.

Gina milczała.

– Jesteś całkowicie pewna? – zapytała po chwili.

– Całkowicie. – Esther zawiesiła głos. – Mogę ci zaproponować pieniądze...

Gina zerwała się z kanapy i zachwiała na nogach jak z waty. Zakręciło jej się w głowie, jakby napłynęła tam krew z całego ciała.

– Nie, nie. – Podniosła ręce dla podkreślenia odmowy. – Muszę już iść. Okropnie ci się narzucam. Przepraszam. Nie będę cię już zatrzymywać ani chwili dłużej.

– Poczekaj. – Esther wstała dużo wolniej.

– Czy przysłał cię mój brat?

– Nie. Nawet nie wie, że jestem w ciąży.

– Bo to byłoby do niego podobne. Przysłać cię. Przez całe życie nie potrafił niczemu stawić czoła...

– Och, bardzo się mylisz – zaprotestowała Gina. – Może był taki wcześniej, ale teraz... jest niezłomny. Stawia czoło wszystkiemu. Przyjął do wiadomości, że postąpił źle, żałuje, ale jest gotowy na wyrok. Jest silny.

Stały naprzeciwko siebie w holu.

Gina zacisnęła pięści, by dodać sobie sił.

– Esther, wybacz mi, że wpadłam tak niespodziewanie. I poproś ojca, żeby mi wybaczył. Wybaczcie nam. Wiem, że to co zrobił Harry... dawno temu... zostało surowo osądzone przez jego rodzinę, bo to było niewybaczalne. Bardzo się kochaliśmy, choć to oczywiście nie tłumaczy naszego zachowania. – Prawie dodała, że cieszy się ze szczęścia Alice w Teksasie, ale przypomniała sobie w samą porę, że dowiedziała się o tym od Bena, i uznała, że nie powinna wspominać o tym akurat Esther. Była pewna, że Esther nie przyjmie spokojnie do wiadomości, że Gina spotykała się z Benem, gdy Harry siedział w więzieniu. – To bardzo uprzejme z twojej strony, że mnie wysłuchałaś. Proszę, nie martw się o nas. Damy sobie radę. Naprawdę. Coś wymyślimy. Mogę prosić o płaszczy?

Esther stała, przygryzając wargę i chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła.

– To piękny dom – mówiła dalej Gina. – Harry miał wielkie szczęście, że tu mieszkał.

– Jest za późno – rzuciła Esther.

Gina spuściła głowę.

– Wiem.

– Nie, chodzi mi o to, że nie możesz teraz wracać do Lawrence.

– Słucham?

– Przyjechałaś pociągiem? Nie możesz wyjść z domu. – Esther zdecydowanie pokręciła głową. – Cały dzień padało, a teraz wszystko zamarzło. Jest ślisko i niebezpiecznie.

– Nic mi nie będzie. Która godzina? Jest jeszcze pociąg za piętnaście dziewiąta. Zdążę, jeśli się pospieszę. I tak się zasiedziałam.

– Nonsens. Nie ma powodu, by biegać jak gazela. Musisz być ostrożna. Możesz wrócić jutro.

– Jutro o ósmej rano muszę być w pracy.

– Dopiero co powiedziałaś, że nie możesz pracować.

– Nie mogę, ale pracuję.

– Zadzwoń do nich i powiedz, że się spóźnisz godzinę czy dwie. A najlepiej powiedz, że jesteś chora. To przecież prawda.

Gina zaprotestowała.

– Nie chcę o tym słyszeć – ucięła Esther. – Ani słowa więcej. Roso, chodź tutaj! Szybko!

– Kazała pełnej niedowierzania Rosie przygotować pokój gościnny na górze, a potem wezwała Darryla, kamerdynera, by zorganizował dla Giny kolację.

– Mój ojciec lubi jadać kolację późno w jadalni – powiedziała przeproszającym tonem – i nie chcę go denerwować twoją wizytą, bo i bez tego trudno go zmusić do jedzenia. Mogłabyś zjeść kolację w pokoju?

– Oczywiście.

Co to był za pokój.

Gina opadła na wielkie łóżko z białą pościelą i miękkimi kołdrami, na kominku płonął ogień, aksamitne kotary na czterech wysokich oknach były zaciągnięte, a sufit wysoki jak w katedrze. W kolorowych wazonach stały wdzięczne różowe kwiaty. Rosa przyniosła jej posiłek, lecz Gina chciała tylko położyć się pod ciepłą kołdrą i śnić, że śpi w tym pokoju, a kiedy się obudzi, chciała się obudzić w tym łóżku, w domu Harry'ego.

Kiedy Gina rozgościła się już w pokoju, Esther zeszła na dół i znalazła ojca w jadalni, gdzie siedział sam przy długim stole przed pełnym talerzem i kieliszkiem.

– No i? – zapytał. – Co powiedziała?

Esther usiadła obok niego, a Darryl nalał jej wina.

– Czy chciałaby pani coś zjeść? – zapytał Darryl. W przeciwieństwie do Louisa był biały, lecz jak on stary.

– Nie, dziękuję.

– Esther, ja też zadałem ci pytanie – powiedział Herman, a jego głęboki głos brzmiał mocno jak zawsze. – I to pierwszy.

– Spodziewa się dziecka.

Herman skinął głową, a jego szczęka zatrzęsa się mimowolnie.

Włosy miał posiwiałe i przerzedzone. On też wychudł i nie miał już takiej imponującej postury jak dwadzieścia lat wcześniej. Ręce trzęsły mu się lekko, gdy ostrożnie brał nóż i widelec. Na napiętej skórze twarzy widać było brązowe plamy. Szare oczy, takie same jak oczy jego dzieci, były niemal pozbawione wyrazu i koloru.

– Kto jest ojcem?

– Tato!

– Mój syn nie wychodził z więzienia na dość długi czas, by spłodzić dziecko. Na pewno nie jest jego.

– Czy możesz być poważny?

– A nie wydaję ci się poważny? Czy ona chce pieniędzy?

– Nie chciała o tym słyszeć. – Esther wypła łyk wina. – Prawie uciekła, gdy zaproponowałam jej pieniądze.

– Czy jej brat nadal pracuje w Purity?

– Chyba tak. Możliwe, że z nim zamieszka, jeśli sytuacja się nie poprawi. Nie może stałe płacić za nią czynszu. Ich matka zmarła niedawno na gripę.

Herman zacisnął zęby, metodycznie smarując chleb masłem.

– Kiedy zapadnie wyrok?

– Za niecałe dwa tygodnie.

Zamilkli, a Herman zjadł kilka kęsów steku, na który nie miał ochoty.

– Dziecko potrzebuje ojca, tato – powiedziała Esther.

– Zgadzam się z tobą całym sercem – odparł Herman. – Może przedstawimy komuś jego matkę. Kogo znamy?

– Przestań!

– Co? Potrzebuje lepszego ojca niż ten, który siedzi w więzieniu.

– Musisz mu pomóc.

– Muszę?

– Tak. Po prostu musisz.

– Nie mogę. Nie mam możliwości. Wiesz, że nie mogę.

– Ona przeczytała gdzieś, że mógłby zostać ułaskawiony. Ma rację?

– Jakim cudem mógłby zostać ułaskawiony?! – wykrzyknął Herman.
– To właśnie jej powiedziałam. Ale ona wyglądała na pewną. Może jest jakieś inne wyjście?

Herman pokręcił głową.

– Zaproponuj jej pomoc materialną. Nie może pracować tak jak dotąd w przędzalni, przy sprzątanii, w kościele i nosić dziecko. Zamęczy się.

– Mówiłam ci już, że nie chce o tym słyszeć.

– Zaproponuj jeszcze raz. Zaproponuj tyle, żeby nie musiała się martwić.

– Mam jej wcisnąć dobroczynność do gardła?

– Zaproponuj jej mieszkanie na najwyższym piętrze budynku w Back Bay niedaleko Dartmouth.

– Nie przyjmie. Na pewno nie.

– Boże, ta duma! Powiedz mi, dlaczego biedacy mają jej aż tyle? To nieprzyzwoite.

– Bo to wszystko, co mają – odparła Esther. – Proszę cię. Ona nie chce twoich pieniędzy. Chce męża.

– Nie wierzę, że to prawda. Był okropnym mężem. – Zawiesił głos. – Gdzie ona jest teraz?

Esther oniemiała.

– W pokoju gościnnym na górze – powiedziała po chwili. – Dlaczego pytasz?

– Posłałaś ją na górę bez kolacji?

– Ależ skąd. Rosa zniosła jej tacę.

Herman odłożył widelec i spojrzał na córkę.

– Dlaczego ją zapraszasz, jeśli masz zamiar ją obrazić?

– Zrobiłam to dla ciebie. Nie chciałam cię zdenerwować.

– Więc pokaż jej drzwi. Wyrzuć ją. Ale jeśli prosisz, żeby została, to jej nie zamykaj. Co ja jestem, Sinobrody? Gdzie twoje maniery?

Herman spuścił wzrok na talerz. Zawstydzona Esther nie wiedziała, co powiedzieć.

– No i? – podjął, nie podnosząc wzroku. – Będiesz tak siedzieć, czy poprosisz, żeby zeszła na dół, żebyśmy wreszcie mógł ją poznać?

3

Gina stała wyprostowana w oszklonych drzwiach prowadzących do jadalni i patrzyła, jak Herman je, siedząc u szczytu stołu, z oknem wychodzącym na Cherry Street za plecami. Na zewnątrz było ciemno i padał śnieg, lecz pokój oświetlały stojące na stolikach lampy i świece. Na kominku płonął ogień. Wyglądało na to, że kominek jest w każdym pokoju. Zastanawiała się, czy w łazienkach też, i prawie zachichotała. To było niesłychanie kojące. Stała i czekała, zadowolona, że nie musi nic mówić. Wreszcie ojciec Harry'ego podniósł wzrok. Przez kilka chwil patrzyli na siebie w milczeniu.

– A więc ty jesteś Gina Barrington.

– Bardzo mi miło pana poznać, panie Barrington – powiedziała. – Żałuję, że nie

spotykamy się w innych okolicznościach. Proszę mówić do mnie Gina.

– A ty mów do mnie Herman. Zechcesz usiąść?

– Tak, dziękuję. – Ostrożnie przysiadła na krześle obok niego. Odmówiła, gdy Darryl zaproponował jej wino i potrawy, i siedziała z dłońmi splecionymi na kolanach sztywno wyprostowana jak Herman.

– Dlaczego teraz do mnie przyszedłeś? – zapytał. – Czemu on nie przyszedł, gdy jeszcze mogło z tego wyniknąć coś dobrego? Nie przyszedł do mnie, gdy aresztowano go podczas strajku Chleba i Róż, po strajku w Paterson ani po licznych innych konfliktach z prawem. Nie przyszedł nawet na początku tego bałaganu, gdy wiedział, wiedział, że naruszył niepodważalną nową ustawę i stoi w obliczu surowej kary.

Zdumiona Gina wpatrywała się w stół z otwartymi ustami.

Nagle świat znów nabrał sensu. Mimoo byłaby zadowolona. Ojciec nie porzucił – nie mógł porzucić – swojego dziecka. Jej matka zawsze miała rację. Stale to powtarzała. Ale nikt jej nie wierzył. Ginie zbierało się na płacz.

– Jego nadal tu nie ma – powiedziała, gdy odzyskała głos. – Jestem ja. A on o tym nie wie. Ale... skąd pan tyle o nim wie?

– Sam się o to zatroszczył – odparł Herman. – Szargał moje nazwisko w gazetach i raportach sądowych. Harold Barrington to, Harold Barrington tamto. Trudno byłoby nie wiedzieć. Wszyscy, których spotykałem, użalali się nade mną z powodu syna i jego nieustannego pakowania się w kłopoty. Nigdy mi tego nie ułatwiał, nigdy.

– Chciałam przyjść do pana wcześniej. Zabronił mi. Wyrzucił go pan i on odebrał nauczkę. Jest zbyt dumny.

– Nie tylko on. – Herman przyjrzał się jej uważnie.

Na ścianie po drugiej stronie jadalni niedaleko kominka wisiało kwadratowe lustro w złoczonej ramie. Gina spojrzała na swoje odbicie i wyprostowała się jeszcze bardziej pod baczynym spojrzeniem Hermana, pragnąc wyrzeć dobre wrażenie. Była wysoka, szczupła, długonoga, pełna pasji i nawet jako dorosła kobieta często miewała włosy w nieładzie. Kłopoty i niepokój pozbawiły jej uroczą twarz łagodności, nabrała też zwyczaju zaciskać zęby i marszczyć brwi, by ukryć wiele trudnych do ukrycia rzeczy. Wiedziała o tym. Nazywała to swoim protestanckim wyglądem. Mówiła matce, że prawdziwi Włosi tak nie wyglądają, bo nigdy niczego nie ukrywają, a Mimoo odpowiadała: „Ty jesteś Włoszką, a mimo to ukrywasz. Stałaś się w pełni Amerykanką. Gratuluję”.

– Jak się pan czuje? – zapytała Hermana.

– Mamy się dobrze, dziękuję.

Nie powiedział już nic więcej i Gina po kilku minutach wstała, sądząc, że została odprawiona.

– Zostaniesz z nami? – zapytał.

Zacisnęła zęby.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie – odparła. – A co z pańskim synem?

Teraz on zacisnął zęby.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Kiedy odwróciła się od stołu, szarpnęła się przestraszona widokiem stareńkiego czarnego mężczyzny. Siedział bez ruchu w fotelu, zasłonięty otwartymi drzwiami. Nie

zauważyłaby go nawet teraz, gdyby nie podniósł ręki, by podrapać się po policzku.

Gina odwróciła głowę do Hermana.

– Kto to jest? – szepnęła.

– Nie trzeba szeptać – odparł głośno Herman. – To Louis. Jest głuchy. I prawie niewidomy. Ale jeśli się nie boisz, podejdź do niego i powiedz, że jesteś żoną Harry’ego. Może usłyszy. Kiedyś bardzo lubił mojego syna. Zna go od dnia narodzin.

– To Louis? Pański stary kamerdyner?

– Harry opowiadał ci o nim? Tak. Jest w naszej rodzinie od wojny.

– Której?

Herman się uśmiechnął.

– Dobre pytanie. Secesyjnej.

Gina ostrożnie podeszła do staruszka. Przysunęła krzesło, usiadła przed nim, pochyliła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Louis? Słyszysz mnie?

Siedział.

– Więc ty jesteś tym sławnym Louistem. – Ujęła jego suche stare dłonie w swoje. – Wiesz, kim jestem? – Uścisnęła jego dłonie.

Siedział.

– Jestem Gina Barrington. Żona Harry’ego.

Louis zamrugał. Z jego zamglonego oka spłynęła łza.

– Ach, więc jednak mnie słyszysz. – Gina wstała i pocałowała go w łysą głowę. – Gdy się z nim zobaczę, powiem mu, że go pozdrawiasz.

Kiedy Gina poszła na górę, Herman zniknął w gabinecie. Niebawem rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejdz, Esther. Czego chcesz? Mam trochę pracy. Billingsworth przyjdzie jutro wcześniej rano i muszę uporządkować papiery.

– I co myślisz?

– O czym? O twoim zbłąkanym bracie? Nie ułatwia niczego nikomu, kto jest na tyle głupi, by się nim przejmować, prawda?

– Ona wie, co robi, ojczy – powiedziała Esther. – Nie lituj się nad nią. Zawsze wiedziała. Chodź tutaj, powiedział kiedyś gibki włoski pająk do muchy.

– Twój brat ponosi wyłączną odpowiedzialność za swoje czyny. Nie jest muchą. Jest rozumnym człowiekiem. Ale co ona takiego zrobiła, by sobie zasłużyć na niego i na takie traktowanie?

– Już jej bronisz? – Esther rozłożyła ramiona. – Tylko potwierdzasz moje słowa, tato. Nawet ty, w wieku siedemdziesięciu lat, nie potrafisz się jej oprzeć.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Chyba nie muszę cię pytać, co o niej myślisz.

– Możesz. Powiem ci. Jest niezwykła – odparł Herman.

– Oczywiście. – Esther zamachała rękami, jakby chciała zerwać pajęczynę.

– Przypomnij mi, żebym ją kiedyś przeprosił – powiedział Herman. – Zupełnie źle to wszystko rozegrałem. Ona jest zdecydowanie za dobra dla niego.

– To Harry potrzebuje twojej pomocy.

Herman pobladł i zacisnął zęby. Gestem pokazał Esther, by zamknęła drzwi.

– Co mam zrobić? Został skazany przez ławę przysięgłych. Minimalny wyrok to dziesięć lat. Debs, który nie tak dawno kandydował na urząd prezydenta, też został skazany na dziesięć lat. Nie uniknie kary. Haywood, przywódca Robotników Przemysłowych Świata, dostał dwadzieścia!

– Harry nie może iść do więzienia na dziesięć lat! – wykrzyknęła Esther.

Herman wziął głęboki oddech. Przez kilka chwil milczeli.

– Nie może iść do więzienia... – powtórzyła.

– Nie wiem, co chcesz, żebym zrobił. Wykorzystałem ostatnie wpływy, by skrócić jego poprzedni wyrok z pięciu lat do roku. Pamiętasz, prawda? Kiedy wlepili mu przepisowe pięć lat za złamanie zasad zwolnienia warunkowego. A sędzia, który mi pomógł, mój dobry przyjaciel, niedawno zmarł! Kto został? – Oddychał ciężko. – Myślisz, że będzie chciała się rozwieść?

Esther splotła dłonie.

– Na miłość boską, rozwód? Będą mieli dziecko. Dziecko Barringtonów.

– Nie musisz mi o tym przypominać.

– Miała problemy z donoszeniem...

– Może gdyby twój brat nie ciągał jej na pikiety, miałyby mniej problemów.

– Wiesz, że to nie ma z tym nic wspólnego, tato – powiedziała Esther słabym głosem, nie patrząc na ojca.

Herman zamrugał oczami. Na Esther spłynęła fala trwającego od lat współczucia.

– Już dobrze. Nie denerwuj się tak. Powiedz jej, żeby została. Żeby z nami zamieszkała.

– Uwierz mi, gdy mówię, że tu nie chodzi o nią. Dobrze wiesz, że jej nie lubię. Tu chodzi o dziecko. Potrzebuje ojca.

Herman podszedł do barku, by nalać sobie drinka.

– Harry nie jest dzieckiem – powiedział. – Choć zachowuje się jak dziecko.

– Mówię o dziecku, tato! Nie o Harrym.

Zamilkli. Dłonie Hermana wyraźnie drżały, gdy nalewał sobie whisky, podnosił szklanke do ust i opróżniał ją jednym haustem.

– Esther, skazano go za podburzanie do przemocy i przemoc wymierzoną przeciwko naszym siłom zbrojnym i przedstawicielom prawa. Skazano go za obraźliwy język w stosunku do rządu toczącego wojnę, za pomoc wrogowi przez celowe utrudnianie pracy siłom zbrojnym Stanów Zjednoczonych i utrudnianie poboru do wojska. To prawie zdrada, prawda? Dziesięć lat za coś takiego to boleśnie mało. Który z moich znajomych w sądach federalnych mógłby nam pomóc twoim zdaniem?

Esther splotła ramiona na piersi.

– Nie wiem. Nie obchodzi mnie to.

Herman westchnął.

– Życzymy sobie dobrej nocy. On straszliwie mnie męczy, a nie widziałem go od lat. Zanim go oskarżono, całymi tygodniami szeptałem prokuratorowi okręgowemu do ucha, by poprosił o niższy wyrok. Początkowo domagał się dwudziestu lat! Teraz muszę się przespać. Jutro też jest dzień. Ale jadę do Roxbury z Billingsworthem. Chce, żebym

obejrzał miejsca pod nowe inwestycje.

– Nie. Idź z nim do sądu. Billingsworth zawsze się chwali, ilu ludzi zna w biurze prokuratora okręgowego. I czy nie opłacałeś studiów syna prokuratora w Yale? To chyba coś znaczy?

– Nie wiem, czy był dobrym studentem.

– W porządku. Żartuj sobie. Rób, co musisz, tylko pomóż mojemu bratu.

– Esther – zaczął Herman – to właśnie ten prokurator okręgowy, który poprosił o dziesięć lat dla Harry’ego zamiast dwudziestu. To właśnie była przysługa, którą dostaliśmy za Yale. Studnia wyschła.

– Wyciągnij z niej jeszcze jedno wiadro. – Wstała, by wyjść. – Przypomnij wszystkim zainteresowanym, że po pierwsze są święta, a po drugie, żona Harry’ego oczekuje dziecka.

– Jeśli chodzi o pierwszą sprawę, prokurator okręgowy, o ile wiem, jest żydem. A ta druga sprawa może też nie przynieść korzyści. Herman odstawił pustą szklanekę i chwycił nierzucającą się w oczy laskę stojącą przy biblioteczce w rogu. – A jeśli prokurator okręgowy postawi warunek, że Harold po zwolnieniu nie będzie miał dzieci?

4

Gina została w Barrington. Przez kilka pierwszych sennych dni prawie nie wstawała z łóżka, marząc, by to, co miało się wydarzyć po spotkaniu Hermana i Esther, odwlekło się jeszcze trochę, bo pobyt w tym ciepłym i wygodnym domu w grudniu przypominał letni spacer po łące. Nie brakowało gorącej wody i nie było przeciągów, białe ręczniki prał ktoś inny, nie ona. Nie przywiozła ze sobą żadnych ubrań, lecz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, następnego popołudnia na komodzie pojawiły się nowe: biała bielizna, granatowa wełniana suknia, spódnica w szkocką kratę, kaszmirowa chusta, czerwony szal, nowe czarne buty z lakierowanymi obcasami w odpowiednim rozmiarze. Co kilka godzin zjawiała się pokojówka, lecz nie Rosa, i pytała, czy Gina czegoś potrzebuje. Może ma ochotę na herbatę, kanapkę, ciastko, czy nie potrzebuje jeszcze jednej poduszki, książki? Zaoferowała pomoc przy ubieraniu i kąpieli. Miała na imię Donna. Sprzątała filiżanki i talerzyki i zbierała z podłogi okruchy, które wypadły Ginie z ust. Rozsuwała i zasuwała kotary. Za każdym razem gdy wchodziła do pokoju, Gina płakała.

Spała jak lew, dwadzieścia godzin na dobę, i modliła się, by Herman znalazł sposób, żeby im pomóc, a wtedy ona mogłaby znaleźć sposób, by stać się lepszą żoną dla swojego męża. Nie mogła uwierzyć, że Harry zrezygnował z takiego życia, nawet dla kobiety takiej jak ona. Być może właśnie dlatego traktował ją z ledwie skrywaną niechęcią, bo szybko sobie uzmysłowił, że nie była tego warta.

Czy potrafiłaby zrezygnować z tego wszystkiego dla mężczyzny takiego jak Harry? Chciała odpowiedzieć twierdząco. Wspominała czule ich niegdyś żarliwą namiętność, lecz gdy leżała przykryta po szyję miękką kołdrą w miękkim białym łóżku i skruszona płakała z powodu swojej słabości, samotności, z powodu przelotnego szczęścia z innym mężczyzną, nie była do końca pewna.

– Nie studiuj mnie, Esther, nie jestem podręcznikiem – powiedział Herman po tygodniu.
 – Nikt nie chce się wychylać. Sprawa jest zbyt głośna. Został publicznie osądzony i publicznie skazany! Wszyscy oskarżeni razem z nim idą do więzienia na dziesięć lat. Och, i przy okazji, Emma Goldman może zostać deportowana do Rosji.

Rozmawiali cicho w bibliotece przy popołudniowej herbacie. Nie chcieli, by Gina ich usłyszała.

– Co? Nie!

– Taką złożono im propozycję. Dwustu skazanych za działalność wywrotową ma zostać eskortowanych na statek i wysłanych do Rosji jako prezent dla Lenina i Trockiego. Wspominam o tym, bo zaoferował mi to prokurator okręgowy. Zamiast odsiadywać wyrok, Harry wsiądzie na rosyjską arkę i popłynie do Rosji.

– Tato, to twój nowy żart? Bo wcale nie jest zabawny.

Herman pokazał palcem na swoją twarz.

– Wyglądam, jakbym żartował? No właśnie. Więc mnie nie krytykuj. Z trudem udało mi się przesunąć ogłoszenie wyroku na początek nowego roku, by dać sobie i Billingsworthowi trochę więcej czasu. Chcę porozmawiać z sędzią i sprawdzić, czy ma jakieś pole manewru.

– Herman dopił herbatę, lecz potrzebował czegoś mocniejszego. Wstał, nalał sobie whisky i usiadł na kanapie obok córki. – Problem polega na tym, że czerwona panika ogarnęła wszystkich. Nikt nie chce okazać publicznie, że popiera komunistę i okazuje czerwonym pobłażliwość.

– Ale wojna się skończyła! Jak nadal mogą oskarżać o działalność wywrotową?

– Tyle wiesz o prawie, a zapominasz, że twój brat popełnił przestępstwo przed końcem wojny.

– Musisz zrobić coś szybko, tato. On się załamie. Gina nie odwiedza go od paru tygodni.

– To powiedz jej, żeby tam pojechała.

– Ale są święta!

– Tym lepszy powód, żeby pojechać.

– Ona nie wie, co mu powiedzieć.

– A co to ma wspólnego ze mną – zagrział Herman – że ona nie wie, co ma powiedzieć własnemu mężowi?

Odwrócili się do drzwi, w których stała Gina i obserwowała ich.

– Straszny ze mną kłopot – powiedziała.

– Wejdz – poprosił Herman. – Usiądź z nami, napij się. Esther, zadzwoń na Rosę, każ jej przynieść więcej bułeczek i dżemu. – Odwrócił się do synowej. – To nie z tobą jest kłopot, Gino. W niedzielę poproś Clarence'a, żeby cię zawiózł do Concord. Odwiedź Harry'ego przed świętami. Zawieź mu mały prezent. Powiedz, że spodziewasz się dziecka. Nie mów nic więcej, bo jest bardzo prawdopodobne, że nie uda mi się nic załatwić.

Lecz przed niedzielą doszło do małego przełomu. Jak zawsze gdy coś dawano, coś też tracono. Kiedy Gina usłyszała propozycję, powiedziała, że nie może stanąć przed Harrym sama. Herman i Esther niechętnie zgodzili się towarzyszyć jej do Concord.

W niedzielę Roy wszedł do celi numer 26694 i kazał Harry'emu wstawać.

– Przyjechała? – zapytał Harry, gdy tylko go zobaczył. Te słowa jako pierwsze padały z jego ust od czterech niedziel z rzędu od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Zerwał się z pryczy.

Roy pokręcił głową. Zanim zdążył otworzyć usta, Harry leżał znów na pryczy odwrócony do ściany. Strażnik zaczął nim potrząsać.

– Wstawaj, powiedziałem!

– Zostaw mnie w spokoju. – Harry zamknął oczy.

– Tylko ty i Bóg wiecie, czym tak zdenerwowałaś tę uroczą kobietę, że przestała cię odwiedzać w więzieniu w świąteczny czas, ale teraz wstawaj, bo masz innych gości. Muszę cię ubrać i ogolić.

Harry odwrócił się do niego.

– Jakich gości? – Nie wstał. – W liczbie mnogiej? Kogo?

– A skąd mam wiedzieć? Potrafię zliczyć do dwóch. Jedna z tych osób nie jest twoją żoną, bo twoją żonę znam, ale sugeruję, żebyś się pospieszył, bo skończy się czas widzenia. Nie każ mi żałować, że pozwałam ci świecić światło do późna. Co takiego możesz czytać? Założę się, że nie moją Biblię.

– I masz rację – odparł Harry. Zamknął książkę, nad którą zasnął, i sięgnął po szczoteczkę do zębów. Czytał *Metamorfozy* Owidiusza. Idealna lektura w jego obecnej sytuacji. Ogłoszenie wyroku odłożono z jakichś powodów do czasu po świętach, które miał spędzić sam w celi, odizolowany od wszystkich i wszystkiego. I Gina zniknęła we mgle. Jeśli Harry był przerażony, nie chciał tego okazać strażnikowi.

Był gotowy w dziesięć minut.

W sali widzeń za niską szklaną ścianką siedzieli na krzesłach jego ojciec i siostra. Na ich widok pod Harrym ugięły się kolana. I to nie tylko dlatego, że nie widział ich od blisko trzynastu lat. Kolana odmówiły mu posłuszeństwa, bo wiedział, że przyszli tylko z jednego powodu – przekazać mu straszną wiadomość. Kiedy Gina odwiedziła go po raz ostatni, wyglądała jak śmierć. Wiadomo było, że grypa zabija tysiące ludzi w miastach i wioskach, że stała się głównym powodem nagłego końca światowej wojny. Kiedy Roy, podtrzymując go za łokieć, pomógł mu usiąść na metalowym krześle, Harry nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, bo obawiał się najgorszego.

– Witaj, Harry – powiedziała Esther.

– Czy z nią wszystko w porządku? – Tylko tyle mógł wydusić.

Esther zamrużyła oczami, jakby właśnie do niej dotarło, co musiał sobie pomyśleć na ich niespodziewany widok.

– Tak, tak – powiedziała szybko. – Z Giną wszystko dobrze.

Odprężył się nieco, lecz nadal ścisnął metalowe poręcze krzesła.

– Nie jest chora?

– Była. Ale już czuje się lepiej.

Harry z ulgą wypuścił powietrze i skupił wzrok na siostrze. Nie mógł patrzeć na ojca.

Bał się, że się rozplącze. Zacisnął usta i oparł się mocno o metalowe krzesło.

– Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku? Nikt nie zachorował?

– Nie, mieliśmy szczęście. Ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. A tutaj?

Harry wzruszył ramionami.

– Na piętrze pode mną zmarło dwudziestu z trzydziestu mężczyzn. Ale na naszym piętrze straciliśmy tylko jednego. A... jak on ma na imię... Elmore?

– Co? – Esther zbladła i spojrzała w bok na obojętnego ojca. Zacisnęła ręce na brzegu stołu, a potem położyła je na kolanach. – Elmore umarł we Francji, Harry. – Zmarszczyła brwi. – Pojechał tam z Czerwonym Krzyżem. Zmarł w tysiąc dziewięćset piętnastym roku na tyfus.

– Bardzo mi przykro. – Wykrzywił usta. – Nie wiedziałem.

– Jak mogłeś nie wiedzieć? Prosiłam Bena, żeby ci powiedział.

Teraz Harry zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz, że widziałem się z Benem?

– Powiedział nam, że odebrał cię z więzienia, gdy wyszedłeś w tysiąc dziewięćset piętnastym roku.

– Ach. – Harry skinął głową. – To ci powiedział. Dobrze.

– A co jeszcze miał mi powiedzieć?

– Nic. Gdzie on jest teraz? Nadal w Panamie? – Prawie dodał: Mam nadzieję.

Esther skinęła głową.

– Ożenił się w tysiąc dziewięćset szesnastym roku ze swoją długoletnią ukochaną. Zaprosił mnie na ślub. W Panamie – powiedziała, kręcąc głową. – Jak sobie wyobrażasz, grzecznie odmówiłam. Ma teraz dzieci. Trzy córeczki. Pisuje do mnie. Przysyła mi zdjęcia rodziny. Chciałbyś, żebym ci parę przyniosła następnym razem?

– Nie, dziękuję. – Harry wziął bardzo głęboki oddech. Wreszcie odwrócił się do ojca. – Witaj, ojczu.

– Witaj, synu.

Obaj mrugali oczami, obaj milczeli. Harry się nie mylił. Herman miał łzy w oczach!

– Jak się miewasz?

– Nie mogę narzekać.

– Jak interesy?

– Dobrze. Musiałem zrezygnować z budownictwa. Upływ czasu nie pozwolił mi na utrzymywanie napiętego planu zajęć. – Herman trzymał złożone dłonie na stole. – Sprzedałem połowę interesu bratu. Zmarł pięć lat temu. Teraz prowadzą go jego trzej synowie, dodam, że z wielkimi sukcesami.

Harry skinął głową bez słowa. Co mógł na to powiedzieć?

– Gdzie jest moja żona? – zapytał, gdy odzyskał głos. – Rozumiem, że jej zniknięcie ma coś wspólnego z waszym pojawieniem się.

– Mieszka z nami – powiedziała Esther.

– Dlaczego?

– Potrzebowała naszej pomocy.

– Jakiej pomocy?

– Spodziewa się...

– Czego? – Po chwili Harry wypuścił powietrze i oparł się o krzesło. Przez kilka trudnych chwil musiał cofnąć się myślami do czasu, kiedy to było możliwe. Mieli tak niewiele okazji, by począć dziecko. Wydawało się, że ostatnie miesiące to tylko walki i aresztowania. – Na waszym miejscu nie robiłbym sobie zbyt wielkich nadziei.

Herman i Esther przyglądali mu się z potępieniem w oczach.

– Ona nie... Mieliśmy problemy. – Harry odwrócił się do Esther. – Masz dzieci?

– Nie było mi to dane – odparła cicho. – Ale twoja żona jest prawie w czwartym miesiącu.

Harry starał się ukryć sceptycyzm. Pokazał im pokerową twarz. Nie chciał im mówić, że wiele razy dochodzili do tego punktu tylko po to, by przeżyć gorzkie rozczarowanie. Zmienił temat.

– Dlaczego odłożono ogłoszenie wyroku? Macie z tym coś wspólnego?

– Tak – odparł Herman.

– Ojciec przełożył datę – powiedziała Esther – by mieć więcej czasu na rozmowę z sędzią.

– Dlaczego ojciec musi rozmawiać z sędzią?

Herman i Esther milczeli.

– Ojczy?

– Przekonał sędziego, by skrócił wyrok! – wykrzyknęła Esther. – To prawdziwie świąteczny cud.

– Naprawdę? Jak udało ci się tego dokonać? We wrześnie sędzia powiedział, że nawet gdyby prokurator okręgowy proponował krótszy wyrok, nie zgodziłby się.

– Tak, sędzia Rosen nie jest z ciebie zadowolony – powiedział Herman. – Musiałem wykorzystać wszystkie wpływy, jakie mi pozostały. Nieważne. Ważny jest efekt.

– Czy to znaczy, że jestem wolny?

– Nie całkiem.

– Ach.

– Będiesz przebywał w areszcie domowym do tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, a potem pod nadzorem sądowym do tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego.

– Areszcie domowym? Co to oznacza? W twoim domu?

– Do tego nigdy nie dojdzie – odparł Herman.

– No właśnie. No to gdzie? W moim domu w Lawrence?

Herman pokręcił głową.

– Lawrence jest uznawane za siedlisko największych problemów – społecznych, politycznych i finansowych. Leży u źródła wszystkich konfliktów. Nie wolno ci będzie tam wrócić w dającej się przewidzieć przyszłości.

– No to gdzie? – zapytał Harry poirytowany.

– Warunki twojego aresztu domowego i dozoru nie są łatwe. Naruszysz je choć raz w ciągu trzech lat, powtarzam: choć raz, i wracasz do więzienia na resztę z dziesięciu lat. To oznacza koniec z demonstracjami, strajkami, protestami, atakami na policję, koniec z pisaniami do radykalnych magazynów, zakaz wstępowania do partii komunistycznych, zakaz podżegania, zakaz sloganów, książek politycznych, spotkań, publicznych czy

prywatnych, zakaz wysyłania telegramów czy depesz do Rosji. Najlepiej będzie nie chodzić nawet w czerwonym kolorze, tak na wszelki wypadek.

Harry siedział bez ruchu.

– Czy mogę wybrać damę zamiast tygrysa?

– Oczywiście – odparł Herman. – Prokurator okręgowy Bostonu w porozumieniu z Mitchellem Palmerem, Prokuratorem Generalnym Stanów Zjednoczonych, zaproponowali mi, że wyślą cię na stałe do Rosji, bo tam wyraźnie chcesz się znaleźć. Próbowaleś załatwić sobie wizę, żeby pojechać tam w czas rewolucji? Oferują ci bezpieczny przejazd. Pracują obecnie nad wynajęciem statku, być może będzie to Buford, by deportować ciebie i cały legion twoich pobratymców. Palmer kazał ci powiedzieć, że możesz dzielić kajutę z Emmą Goldman. Kiedy w przyszłym roku wyjdzie z więzienia, popłynie właśnie do Rosji. Zarezerwowali dla niej specjalne miejsce na tym liniowcu.

– Ojczy, żartujesz ze mnie?

– Znasz mnie, Harry. Czy lubię żartować?

– Nie, ale to wydaje się niedorzeczne. Czy to prawda?

– Palmer bardzo chce do tego doprowadzić. Jak już wspominałem, bada sprawę wynajęcia Buforda. Stoi na kotwicy w porcie w Nowym Jorku, gotowy wypłynąć. Za parę miesięcy. Może sześć.

Siedzieli.

– Czy Gina pojedzie ze mną? – zapytał Harry.

– Nie – odparła Esther. – Ma rodzić w maju. Nie wsiądzie na statek w tym stanie ani z maleńkim dzieckiem, by ją gdzieś deportowano. To szaleństwo.

Harry spojrział z rezygnacją na zegar. Czas uciekał.

– A gdzie mam siedzieć w tym areszcie? – zapytał i przygarbił się.

– Musiałem zaproponować sędziemu miejsce twojego wygnania, które uzna za odpowiednie, z dala od Bostonu, Nowego Jorku, z dala od wszystkich miast i ośrodków przemysłowych, gdzie mógłbyś się wpakować w kłopoty. Daleko od kopalń, fabryk i przędzalni.

Harry czekał w milczeniu.

– Zaproponowałem mu Bellagrand.

Harry siedział bez ruchu.

I Esther.

I Herman.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– W swoim testamencie – powiedział Herman – matka zostawiła ci jedyną własność, która należała wyłącznie do niej. Nakazała, by umieszczono ją w funduszu powierniczym kierowanym przeze mnie, który po mojej śmierci miał stać się twoją własnością. Ponieważ niestety nadal żyję, nie można przenieść na ciebie prawa własności. – Herman urwał, gdyż trudno mu było mówić dalej. – Bellagrand nie było zamieszkane od śmierci twojej matki, ale zostanie dla ciebie przygotowane, jeśli zaakceptujesz warunki zwolnienia.

– Matka zostawiła mi dom? – Zdumiony Harry spojrział na Esther. Całą siłę woli koncentrował na tym, by nie spaść z krzesła.

– Nie patrz na mnie, Harry – odparła siostra. – Mnie zostawiła biżuterię. O domu

dowiedziałam się parę dni temu od ojca.

– Nie wiem, co mną bardziej wstrząsnęło: fakt, że zostawiła mi dom, czy to, że mi o tym nie powiedziałaś – zwrócił się Harry do ojca. – Jaki dom? Dlaczego nie wspomniałaś o nim ani słowem? Zmarła dwadzieścia osiem lat temu. Dlaczego przez cały czas ukrywałaś to przede mną?

– Zadajesz niewłaściwe pytania, Harry – odparł Herman. – I znasz odpowiedź na kilka z nich. Przez ostatnie trzynaście lat nie mieliśmy kontaktu. Nie mogłem więc ci powiedzieć. A wcześniej czułem, że nie jesteś na to gotowy. Powinieneś zapytać lub zastanowić się – ciągnął – dlaczego twoja matka, po tym wszystkim, co zaszło między nami, nie zostawiła ci ukochanego Bellagrand od razu.

– W porządku, tato. – Esther uspokajającym gestem położyła dłoń na rękę ojca.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedział Harry. – Dlaczego ukochane Bellagrand? Nigdy nie słyszałem o tym miejscu.

Herman cofnął rękę. Esther nie potrafiłaby uspokoić nawet kota.

– Z moich słów powinieneś wyczytać sporo o zaufaniu, jakie twoja matka pokładała w twojej zdolności do podejmowania decyzji.

– Rozumiem. Po tych wszystkich latach odwiedzasz mnie w więzieniu, żeby wywołać jeszcze większy konflikt?

– Tato, proszę! – zawołała piskliwym głosem Esther.

– W porządku, Esther – powiedział Herman. – Harry, wypełniam wolę twojej matki, nie moją.

– Wyraziłeś się niezwykle jasno.

– Chciała, byś wykorzystał ten dom w słusznym celu. A ten wydaje się bardzo słuszny.

Oslabiony Harry walczył z impulsem, by zamknąć oczy i nie oglądać rodziny.

– Mam siedzieć trzy lata w miejscu, o którym nigdy nie słyszałem? Skąd matka wzięła ten dom?

Herman milczał, jakby odpowiedź przekraczała jego siły.

– Henry Flagler – powiedziała za niego Esther.

– O mój Boże! – wykrzyknął Harry. – Bellagrand leży na Florydzie?

– Dokładniej biorąc, na Jupiter Island.

Siedzieli we trójkę pogrążeni we mgle zrozumienia.

– Zostawiła go mnie? – Harry zakrył twarz, a udawany spokój prysł. Jęknął. – Dlaczego chciała mnie ukarać? Dręczyć? – Walczył, by odzyskać panowanie nad sobą. – Nie. Równie dobrze mogę zostać tutaj. Po co zamieniać jedną celę na drugą? Zamieniać to na tamto? Mało jestem nieszczęśliwy?

– Twoja żona spodziewa się dziecka! – syknęła Esther.

– Naprawdę musisz mu o tym stale przypominać, Esther? – Herman uderzył pięścią w stół. – Dlaczego on zachowuje się tak, jakby o tym nie wiedział?

– Albo o to nie dbał.

Harry wzruszył ramionami i nerwowo zaczął bębnić palcami w blat stołu. Spojrzał znów na bezlitosne wskazówki zegara, pragnąc rozpaczliwie, by wizyta wreszcie dobiegła końca i mógł wrócić do celi. Lepiej nie mieć żadnych odwiedzin niż takie. Rejs Bufordem był o wiele lepszy. Krótkie cięższe Giny powstrzymały go przed przeprowadzką do Nowego

Jorku, przed opuszczeniem Lawrence, przed wyjazdem do Rosji z Johnem Reedem, rozwijaniem politycznej przyszłości. A teraz wydarzyło się najgorsze. Czuł się tak, jakby go dusili.

Esther patrzyła na niego zimno, potem spojrzała na Hermana i spuściła wzrok na swe białe dłonie.

– Cóрко – zaczął Herman – zastanawiasz się, dlaczego zawracamy sobie głowę?

– Już nie. Nie wiem, co powiedzieć.

Harry machnął do nich.

– Człowiek, o którym mówicie, jakby nie istniał, siedzi tu przed wami.

– Wiemy, gdzie jesteś – odparł Herman. – W więziennej celi, gdzie rozwijasz swoją polityczną przyszłość.

– I dobrze – odparł Harry. – Bo w przeciwieństwie do tego zaszczytem jest zostać zamkniętym w jaskini wstydu zmarłej matki dzięki ulotnej ciąży własnej żony. – Nie patrzył na nikogo, przede wszystkim na ojca.

Hawthorne miał rację, pomyślał. Jakież inny loch jest mroczniejszy od własnego serca! Jakież strażnik jest bardziej surowy od ciebie samego.

Duży Bill też miał rację. Człowiek nigdy nie może zostać wielkim, kiedy zastanawiając się nad drogą swojego życia, bierze pod uwagę kobietę, nawet tak niezwykłą jak Gina.

– Harry – szepnęła Esther. – Kiedy stałeś się taki bezwzględny?

– A kiedy ty stałaś się taką burżujką?

– Urodziliśmy się z tych samych rodziców.

– To jedyna dobra rzecz w Ameryce – rzucił Harry. – Urodzenie nie ogranicza nikogo.

Herman wstał, wyprostował się i powoli wziął do ręki parasol, który w miejscach publicznych służył mu jako laska.

– A ty z pewnością jesteś wspaniałym przykładem amerykańskiego snu, synu – powiedział. – Jak on to robi? Jestem całkowicie wykończony. Chodź, Esther. Na dole czeka na niego żona.

– Niewiele czasu jej zostało – powiedział Harry, spoglądając na zegar.

– Nie miała za dużo czasu przez wszystkie te lata, kiedy ty pakowałaś się stale do więzienia. Chodź, Esther!

Mieli pięć minut. W pierwszej nie wiedzieli, co powiedzieć.

– Jesteś zły? – zapytała.

– Nie. – Westchnął. – Jak się czujesz?

– Nieźle. A ty?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Chciał dodać: znowu. – Kiedy byłaś tu ostatni raz, wyglądałaś okropnie. Myślałem, że masz gripę.

Spuściła głowę.

– Chciałam ci powiedzieć, ale byłeś taki zły z powodu wojny... – Wzruszyła ramionami.

– Nie chciałam ci przerywać.

– Tego chcesz? Wyjechać z Bostonu, zostawić to życie, wszystkich przyjaciół i spędzić trzy lata zamknięta w domu?

– Wielu moich przyjaciół zmarło. I kto mówi, że to ja będę zamknięta? – Próbowwała się

uśmiechnąć. – To nie mnie czeka areszt domowy. – Zawiesiła głos. – Jaki mamy wybór? To dobre wyjście z tej sytuacji. Ja tego chcę.

– A co z twoim bratem?

– Może nas odwiedzać.

– Szczerze mówiąc, dla mnie to piekło. Najgorsza tortura.

Wargi Giny zadrżały.

– Będę miała dziecko – szepnęła.

– Uwierzę, gdy zobaczę – odparł.

Wstała z trzęsącymi się rękami, przytrzymując się stołu.

– Co w tobie jest takiego – powiedziała – że dręczysz wszystkich, którzy cię kochają?

Wstał, lecz nie mógł jasno myśleć.

– Czas, Barrington! – krzyknął Roy. – Kończ!

Gina wzięła torebkę.

– Harry, powiedz mi, co chcesz zrobić. Zostać tutaj? Mam zamieszkać z Esther? Zrobię, czego sobie zażyczysz. Nie chcę wyrwać cię z więzienia, jeśli wolisz tu spędzić następne dziesięć lat swojego życia. A może Rosja? Deportacja? Daj znać, póki jest jeszcze czas. Buford czeka. Bellagrand ma być wyzwoleniem, a nie niewolą. Mam powiedzieć twojemu ojcu, żeby o wszystkim zapomniał?

– Przestań być taka włoska i melodramatyczna. Powiedziałem, że przepraszam.

– Tak. I mówiłeś poważnie.

– Posłuchaj, marzę o chwili, kiedy razem znów będziemy oglądać na własne oczy ważne rzeczy. Jak niegdyś. Pamiętasz?

– No właśnie. Zawsze byłeś wielkim marzycielem, Harry.

– Kiedyś mówiłaś, że to kochasz we mnie najbardziej.

– To musiało być dawno temu – odparła, odwracając się. – Być może wtedy, gdy oglądaliśmy na własne oczy najważniejsze rzeczy.

– Barrington, czas!

– Posłuchaj, chcę stąd wyjść, naprawdę.

– Oczywiście.

– Po raz trzeci przepraszam...

Wyszła, nawet się nie odwracając. Z trudem trzymała proste ramiona, by nie widział, że płacze. Była zbyt dumna, by mu pokazać, jak bardzo jest załamana.

7

Kiedy Gina pakowała dom w Lawrence, wyrzucając dwadzieścia lat życia w nadziei, że wyjedzie i nigdy nie wróci, znalazła list, który Harry napisał do niej w czerwcu 1905 roku, zaledwie trzy tygodnie przed ślubem.

Najdroższa Gio,

Piszę do Ciebie, gdy leżysz przede mną zwinięta na boku. Jeszcze się nie rozstaliśmy,

a ja siedzę tu i patrzę na Ciebie, już strasznie tęskniąc, bo wiem, co się za chwilę wydarzy. Ty pójdziesz swoją drogą, ja swoją, choć tylko do środy. Bardzo chciałbym, żebyś wiedziała, jak rozpaczliwie nie chcę spędzać ani chwili z dala od Ciebie. Pisząc to, czuję fizyczny ból, bo wiem, że niedługo będziemy musieli się rozstać.

Te kradzione środowe popołudnia mi nie wystarczają. Przychodzenie do Ciebie we czwartki, by przez dwie godziny patrzeć, jak sprzedajesz książki obcym ludziom, też mi nie wystarcza.

Niczego w życiu nie pragnę tak mocno jak Ciebie. Jesteś powodem, dla którego oddycham, otwieram oczy co rano. Mogę wypuszczać powietrze, bo wiem, że być może zobaczę Cię tego dnia, nawet jeśli tylko na kilka chwil. Na pewno uczysz się do późna w nocy, skoro tak łatwo zasypiasz w środku dnia, w środku naszego cennego kradzonego popołudnia. Wszystko jest na odwrót, Najdroższa. Powinnaś uczyć się w środku dnia i czuwać do późnych godzin razem ze mną. Popatrz tylko – jestem zazdrosny nawet o Twoją naukę.

Wyznam, że jestem zazdrosny o każdą najmniejszą rzecz, którą robisz beze mnie. Jestem zazdrosny o każdą rzecz, na którą patrzysz swoimi cudownymi oczami, a która nie jest mną.

Czy ktoś Ci kiedyś powiedział, że jesteś piękną dziewczyną?

Jesteś zjawiskiem, dziełem Rafaela, rzadkim obrazem Caravaggia. Gdybyś wiedziała to, co ja widzę teraz, wiedziałabyś, że chcę powiedzieć, że jesteś aktem Modiglianiego, ale nie chcę Cię zawstydząć, nawet w słodkim śnie.

Mam nadzieję, że nie pokażesz nikomu tego listu; jak mógłbym spojrzeć ludziom w oczy po tych romantycznych uniesieniach, tym bardziej zawstydzających, że płyną prosto z serca.

Ale jesteś muzą każdej mojej bezbarwnej wypowiedzi.

Niebawem otworzysz oczy, usta. O Boże, zbaw mnie od tego szaleństwa!

Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł czuć coś takiego do jakiejś osoby.

Czy mogę napisać coś, a Ty obiecasz, że nie będziesz się śmiała, gdy to przeczytasz? Chcę powiedzieć, że jeszcze nigdy nikt nie kochał tak, jak ja Cię uwielbiam, jak wielką cziq Cię darzę. Zmiotłaś mnie jak burza. Nie zostawiłaś mi nic z mojego poprzedniego ja, mojego poprzedniego życia. Nie potrafię sobie wyobrazić dnia, w którym by Cię nie było. Nie, to coś więcej. Odrzucam życie, w którym codziennie nie będę mógł na Ciebie patrzeć. Obejmuję Cię, pieścę, całuję.

Tak, tak, moja Giocondo, aresztują mnie za słowa, które piszę na tym niegodnym papierze, trafię za kratki z powodu mojej miłości do Ciebie.

Kocham Cię bardziej niż kocham siebie. Czuję, że nie jestem sobą, gdy jestem z dala od Ciebie.

Jednocześnie Twoje odwzajemnione uczucie sprawia, że Twój najgorliwszy niewolnik staje się królem.

Stale powtarzasz: Jesteś takim marzycielem, Harry. Kiedy szepczesz te słowa, brzmią w Twoich ustach jak pieśniczota. To Twój list miłosny do mnie. Marzyciel. Przyznaję się. Bo kiedy marzę, moja ukochana sycylijska księżniczko, marzę o Tobie.

Żarliwie, ślepo

Część druga

BELLAGRAND

1919–1922

*Nad morzem dnia pewnego
Łopatką z drewna jasnego
Kopałem w piaszczystym brzegu.*

*Jak filiżanka puste były me dołki
Aż morze do nich wpłynęło
I zalało po brzegi.*

Robert Louis Stevenson

*Ujrzałem wielki, maleńki dom
Dziesięć tysięcy mil w oddali;
I widząc go, nic nie widziałem
Wczoraj wieczorem, przed paroma dniami.*

*Ściany do środka miał zwrócone,
A drzwi frontowe z tyłu;
Sam jeden stał między dwoma,
Ze ścianami bielonymi na czarno.*

Anonim

Rozdział ósmy

Flaglera wyprawa do raju

I

– I to tyle? Jakby przenosili mnie do innego więzienia? – powiedział Harry do Esther i Giny w samochodzie, gdy pod eskortą policji jechali na South Station w Bostonie.

– Tak – odparła spokojnie Esther. – Przewożą cię na nowe miejsce, gdzie nadal będziesz pozostawał w zamknięciu. Czego się spodziewałeś?

Herman nie przyszedł, by odprowadzić syna. Złożył okazałą kaucję w sądzie okręgowym stanu Massachusetts, zapewnił dom mający stanowić areszt Harry’ego i wynegocjował warunki jego przekazania, kazał zbadać Harry’ego pod okiem lekarza sądowego i podpisał dokumenty jego zwolnienia w obecności świadka, wynajął ochroniarza z agencji Pinkertona, by zapewnić Harry’emu bezpieczną podróż na Południe, i strażnika na Florydzie, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę miał pilnować jego czterdziestoletniego dziecka. Zrobił to wszystko, jednak nie pojechał do więzienia, by oglądać, jak Harry przechodzi przez bramę.

Harry poczuł ulgę. Wiedział, że ojciec zrobił dla niego coś, za co nigdy nie będzie mu się w stanie zrewanżować. Jednocześnie tak ogromny dług zaciągnięty u ojca, który go odtrącił i odwrócił się do niego plecami, był dla Harry’ego nie do zniesienia. Czuł do ojca jeszcze większą niechęć, która rosła proporcjonalnie do okazanej mu łaski. Był zły, a nie wdzięczny, i pełen goryczy w stosunku do surowej, lecz pełnej najlepszych intencji siostry. Najbardziej wrogo był jednak nastawiony do kobiety, która nosiła jego dziecko. Jej stoicką postawę przyjmował lodowato, a wiadomość o śmierci najbardziej niezastąpionego członka rodziny żony – jej świętej matki, wyjątkowo go zirytowała. Nie mógł znieść myśli o śmierci Mimoo, bo oznaczała, że teraz sam będzie musiał dźwigać ciężar odpowiedzialności za jej córkę. A ten ciężar był niemal ponad jego siły.

Kiedy więc na początku stycznia 1919 roku rankiem w dzień wyjazdu zbierał swoje rzeczy, Roy, jego lojalny strażnik, widząc, jak się guzdrze, zapytał, co się z nim dzieje.

– Widziałem więźniów z celi śmierci, którzy szli szybciej niż ty.

Harry się nie odezwał.

– W porządku, stary – ciągnął Roy. – Czym się gryziesz? Urodzi ci się dziecko, jest

zima, ale ty jak wolny ptak jedziesz na Południe...

– Przesadzają mnie jak palmę z Indii Zachodnich.

– Z dala od wszystkich rzeczy. Między pałace i place zabaw.

– Chciałeś powiedzieć z dala od dobrych rzeczy – odparł Harry, tęskniąc za mównicami i zasadami.

– Do twojej żony, dupku.

Harry wzruszył ramionami. Nie wyjaśnił. Nie mógł.

– Kobiety to same kłopoty – mruknął tylko.

– Komu to mówisz, kolego – odparł Roy z wyrazem twarzy człowieka dobrze zaznajomionego z tematem. – Ale dlaczego muszą tak ładnie pachnieć?

Harry się nie odezwał.

– To tylko trzy lata – ciągnął Roy. – Na Florydzie możesz je przespać na plaży.

– Trzy lata? To wieczność. W Rosji rewolucja trwała dziesięć dni! Trzy lata to prawie cała kadencja prezydenta. Edukacja uniwersytecka.

– To siedem lat mniej niż ci dali – zaznaczył Roy. – W betonowej celi trzy na trzy metry. Więc przestań jęczeć i zbieraj się. Żona czeka.

Po drugiej stronie ulicy Gina stała na zimnie oparta o samochód. Towarzyszyły jej Esther i Rosa. Roy obrzucił długim miękkim spojrzeniem smutną posagową Włoszkę i spojrzał na Harry'ego.

– Jesteś zupełnie popieprzony, stary – powiedział, potrząsając głową i podając Harry'emu worek z jego rzeczami. – Jest chociaż twoje?

– Pieprz się.

– Do zobaczenia wkrótce, Barrington. Uwielbiasz tu być. Wiem, że wrócisz.

*

Na dworzec odwiózł ich Clarence. W samochodzie milczeli. Harry ledwie skinął głową miłemu czarnemu mężczyźnie, teraz powolniejszymu i starszemu, który wiele lat temu codziennie woził go na Harvard.

– A co z moimi rzeczami w Lawrence? – zapytał Harry Ginę. – Książkami, moimi... – zacisnęła dłonie na niewidzialnych wspomnieniach.

– Wszystko jest załatwione – odparła. – Wysłano je już na miejsce.

Harry odwrócił głowę w stronę okna.

– A więc wszystkie trudy życia zostały usunięte. Nie muszę już nawet składać koszul. Zupełnie jak w poprawczaku.

– A często to robiłeś, Harry? – zapytała Esther. – Składałeś koszule?

– Esther, jesteś cudowną kobietą i moją siostrą – powiedział Harry. – Ale wybac, że to powiem: pod wieloma względami przypominasz Elizabeth Lumley, żonę Laurence'a Sterne'a, o której napisał, że była kobietą wielkiej uczciwości i wielu cnót, lecz wszystkie sterczały jak kolce na jeżozwierzu.

– Nie wyprowadzisz mnie z równowagi, drogi bracie.

– Kim u licha jest Laurence Sterne? – zapytała Gina. – I dlaczego ma nas obchodzić, co myślał o swojej żonie?

Jazda do Bostonu z Concord ciągnęła się przez długie siedemdziesiąt pięć minut.

Ale była to błahostka w porównaniu z pięcioma dniami, które Harry i trzy kobiety spędzili stłoczeni w przedziale sypialnym z ochroniarzem za drzwiami. Tylko Esther i Rosa, towarzysząca swojej pani, rozmawiały ze sobą. Gina spała, starała się, by było jej wygodnie, jadła, piła, rzucała czasem jakąś uwagę na temat warunków podróży, lecz poza tym głównie wyglądała przez okno. Harry pił niewiele, jadł jeszcze mniej. Wiedział, że jego milczenie przypomina krwawiący kamień. Lada dzień John Reed miał opublikować *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem*, naoczną relację z rosyjskiej rewolucji, a on z trzema kobietami jechał pociągiem do nowego więzienia!

– Co wiesz o domu, do którego jedziemy? – zapytała Gina, gdy minęli Cocoa Beach i tylko parę godzin dzieliło ich od celu na południowej Florydzie.

– Chciałbym móc powiedzieć, że nic. – Wzruszył ramionami. – Niestety, wiem coś o człowieku, który go zbudował.

– Widziałeś ten dom?

– Ani na obrazie, ani na zdjęciu.

Za oknami świeciło słońce, rozciągało się błękitne niebo, rosły niezliczone palmy.

– Ładnie tu – powiedziała Gina. – Tropikalnie. Obco. Nigdy tu nie byłeś?

– Jeździliśmy na północ, do Newburyport.

– Więc skąd twoja matka miała ten dom?

– A kto to wie? – Harry spojrzał na Esther i odwrócił wzrok. Nie chciał rozmawiać. Ale Gina, zbliżając się do nowego życia, poczuła ożywienie.

Jak dziecko przycisnęła twarz do szyby.

– Opowiedz mi o domu.

– Gino – zaczęła Esther, przysuwając się do szwagierki – mój brat nie lubi o tym rozmawiać, ale nasza matka zostawiła w swoich rzeczach niezaadresowaną i niepodpisaną kopertę.

– Esther, naprawdę nie chcę tego słuchać – powiedział Harry.

– A ja tak – odparła Gina. – Co napisała?

– Parafrazuję jej słowa, ale treść była mniej więcej taka: ze wszystkich skromnych darów, jakie mogę ofiarować synowi, chciałabym mu dać jego własny dom, zbudowany jako schronienie dla rodziny, z oknami wychodzącymi na radość i stworzone przez Boga piękno. Być może pewnego dnia da schronienie jego rodzinie i będzie domem, w którym nigdy nie zapomni romantyzmu życia. – Esther zamrugła powoli, patrząc na Harry'ego. – Może mama miała na myśli ten dom?

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to.

– A co to jest ten romantyzm? – zapytała Gina. – Już zapomniałam.

– Bardzo zabawne – odparł Harry. – Żartuj dalej. Wiesz, Gino, Oscar Wilde mówi, że nic nie psuje romansu szybciej niż poczucie humoru kobiety.

– A jeśli chodzi o kobiety, on jest prawdziwym ekspertem.

Harry odwrócił się do Esther.

– Jak na kogoś, kto nie pamiętał ani słowa – rzucił – udało ci się całkiem sporo przypomnieć.

– On go ma, Esther – powiedziała Gina.

– Co?

– Ten list. – Nie odwróciła się od okna. – Widziałam go ostatnio między kartkami książki przy jego łóżku.

– Biblii? – zapytała Esther.

– Chyba *Co robić?* Lenina.

Esther wpatrywała się w Harry'ego z otwartymi ustami.

– Zatrzymałeś list mamy?

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie – mruknął Harry, przyciskając twarz do szyby, gdy pociąg przyspieszał. Nie chodziło jej o życie, wy głupie, chciał krzyknąć. „Żeby nigdy nie zapomniał romantyzmu młodości”, napisała jego matka, Frances Barrington w wieczór przed swoją śmiercią.

– Gino, chciałabyś posłuchać opowieści o człowieku, który zbudował Bellagrand? – zapytał. – To prawie bajka. Z jednym tylko wyjątkiem.

– Jakim?

– Nie ma szczęśliwego zakończenia.

2

Dawno temu na bagna Florydy przyplłynęli Hiszpanie. Ich statki rozbiły się o przybrzeżne wyspy. Złoto i srebro rozsypało się ze statków po wybrzeżu, a potem zabrało je morze. Obszar ten znany jest jako Wybrzeże Skarbów. Do dziś pod piaskiem oceanu można odnaleźć pozostałości bogactwa Hiszpanów.

Złoto leżało latami w piasku, lecz zmyły je napędzane huraganami fale. Potem zjawił się człowiek i posadził palmy i ostrokrzew. Zachował wydmy i zachwyił się Blowing Rocks, które wyglądały jak Badlands nad Atlantykiem.

Mijały lata i na południe przyjechał mężczyzna porzucony przez ojca zbyt biednego, by wyżywić syna. Od najmłodszych lat chłopiec nauczył się sam dbać o siebie. Skończył tylko osiem klas. Założył warzelnię soli w Michigan, lecz po zakończeniu wojny secesyjnej zapotrzebowanie na sól spadło i stracił wszystko. Później pożyczył pieniądze, by z kolei pożyczyć je przyjacielowi Johnowi D. Rockefellerowi na założenie rafinerii do przetwarzania czarnej mazi, która tryskała z ziemi i napędzała silniki. Kiedy zapytano Rockefellera, czy to on wymyślił plan jej oczyszczania, odparł, że niestety nie jest tak mądry. Wymyślił to jego wspólnik i bliski przyjaciel, Henry Flagler. Ich spółka, Standard Oil, szybko podbiła świat.

Kiedy żona Flaglera zachorowała, zabrał ją do St. Augustine na Florydzie, by wróciła do zdrowia. Tam po raz pierwszy dostrzegł tropikalny klimat i rozgwieżdżone niebo i pomyślał, że miasto nad morzem będzie wspaniałym miejscem na spokojny letni wypoczynek.

Jakiś czas później Flagler zapalił się do rozwoju południowej Florydy. Jego wizja łatwego dostępu do tropikalnych terenów sprawiła, że zainteresował się żywo tą młodą częścią kraju. Rozczarowany brakiem linii kolejowych i hoteli w miejscu, które nie tylko

wydawało mu się rajem, lecz rajem było, wykorzystał zbitą na ropie fortunę, by zbudować, a potem powiększyć East Coast Railway i osuszyć położony na bagnach port, który stał się potem Miami i Coconut Grove. Kiedy w 1896 roku Miami otrzymało prawa miejskie, jego ludność liczyła zaledwie trzysta dusz. Dwadzieścia lat później było ich już trzydzieści tysięcy.

Szukając stale nowych wspólników, Flagler nawiązał współpracę z przedsiębiorcą z Nowej Anglii, Hermanem Barringtonem. Ich żony się przyjaźniły, zaprzyjaźnili się więc i oni. Flagler dał Hermanowi okazję, by zamienić dziewicze tropiki w Amerykańską Riwierę.

Szukając stale nowych okazji do inwestowania, Herman chętnie się zgodził. Połączyli swoje spółki zajmujące się nieruchomościami i stworzyli Palm Beach. W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku Herman hojnie inwestował i został równie hojnie wynagrodzony, wykorzystując zyski ze sprzedaży nieruchomości na Florydzie na remonty wielu osiedli wokół Bostonu, w tym North End. Przez lata Flagler i Herman wspólnie budowali kluby jachtowe, rezydencje i centra handlowe, które wyrastały wśród palm wzdłuż atlantyckich wydm. Wybrzeże Skarbów usiane jest miastami Flaglera, od Butler Bay po Jupiter Island.

Nagle coś się zmieniło. Herman i Henry podzielili spółkę i ruszyli każdy w swoją stronę. Flagler zmarł w 1913 roku jako najbogatszy człowiek w Stanach Zjednoczonych i jeden z najbogatszych na świecie. Herman nie pojawił się na jego pogrzebie, w którym wzięły udział tłumy ludzi.

Flagler budował domy na równinach na wybrzeżu pomiędzy kanałami i oceanem. Kilka z nich było skromnych, kilka przypominało Luwr. Zbudował jeden hotel, potem drugi. Zbudował jeden pałac, potem drugi. Stracił żonę, dzięki której przyjechał na Florydę, ożenił się z inną kobietą, potem z jeszcze jedną. Kochał kobiety, a dla ostatniej, z którą się ożenił, zbudował dom najokazalszy ze wszystkich, Whitehall, wspaniałą prywatną rezydencję, wzniesioną na otwartej przestrzeni pomiędzy dwoma zbiornikami wodnymi, gdzie wszyscy mogli ją podziwiać.

Lecz dziesięć lat przed Whitehall Henry Flagler zbudował znacznie mniejszy, skromniejszy dom.

Harry przestał mówić. Pociąg przyspieszył. Gina czekała. Odwróciła się od okna.

– Tutaj kończy się bajka? W Bellagrand?

– Tutaj kończy się bajka – powiedział. – W Bellagrand.

Rozdział dziewiąty

Błękitny pokój

I

Kiedy wysiedli z pociągu w Spanish City, mężczyzna o imieniu Fernando, który czekał za kierownicą oldsmobile'a turystera, zabrał ich przez rozchwiany most nad Intercoastal Waterway na wąski pas piasku zwany Jupiter Island. Gina uważnie obserwowowała Fernanda. Był niskim radosnym Kubańczykiem w nieokreślonym wieku, który prawdopodobnie farbował włosy na czarno. Nosił wąsy jak kanciarz, pasujący do nich stary kapelusz, był ubrany schludnie, lecz jak służący, w przyzwoity używany garnitur i wyglansowane buty. Mówił z akcentem, uśmiechał się do Giny od ucha do ucha, ukazując krzywe zęby, i rozumiał każde jej słowo. Z wyjątkiem włoskich. Tych nie rozumiał wcale.

Harry nie traktował go przyjaźnie, ale ostatnio nie traktował przyjaźnie nikogo, zwłaszcza Giny. To nie miało znaczenia. Nie przyjechali na Florydę, by rozniecić wygasły ogień. On przyjechał, żeby się ukryć, ona – by urodzić dziecko. Po prawej stronie Giny za krzewami i wydymami rozciągał się Atlantyk, po lewej tylko roślinność.

Okazało się, że nie tylko.

Gina prawie przeoczyła dróżkę po lewej stronie, lecz Fernando skręcił i zatrzymał samochód. Wjazd pomiędzy drzewami zasłaniały chwasty, wyrosnięte trzciny, trawy i palmy, omszałe dęby ze zwisającymi złowieszczo pajęczynami i zgrzytająca brama z kutego żelaza.

– Fernando – powiedziała Gina – pomyliłeś się. Tu nic nie ma.

– Ja się nie mylę, *señora*. Zobaczysz pani.

Za bramą wśród palm kokosowych wiała się pokryta pyłem droga. Teren przypominał dżunglę.

Na końcu drogi stał Bellagrand.

Zdumiona Gina wpatrywała się w dom przez otwarte okno turystera.

– Harry – szepnęła. – Zdawało mi się, że powiedziałaś „skromny”.

– Skromny, bo nie widać go z drogi – odparł. – Skromny w porównaniu z Whitehall.

Dom był biały, białe były też okiennice i marmurowe kolumny w stylu doryckim podtrzymujące marmurowy portyk. Front domu wychodził na wschód.

Mrużąc oczy w słońcu, Gina wysiadła z samochodu. Białe ławki, białe urny, wyszukane wazon i donice okalały wysypany białymi kamykami okrągły podjazd, gdzie kiedyś zatrzymywały się konie, bo z boku znajdowały się wybiegi i stajnie, wszystko pomalowane na biało. Na środku podjazdu stała fontanna z rzeźbą nagiej kobiety, zakrywającej skromnie dół postaci szalem, lecz tylko udającej, że zakrywa duże kamienne piersi. Kto to był? Jej mąż na pewno wie. Uważał się za człowieka, który wie wszystko.

– Harry, kogo przedstawia ta rzeźba na fontannie?

Ledwo na nią spojrział.

– Skoro nie działa, czy można nazywać to fontanną?

– Działa, *señor*. Włączę ją dla państwa, gdy rozpakuję walizki.

– Kto to jest, Harry?

– Afrodyta – odparł. – Bogini miłości, piękna, seksualności. Ciekawe, że matka zostawiła mi taką rzeźbę, nie sądzisz?

– Uspokój się, Harry – włączyła się Esther. – Nie zostawiła ci rzeźby, lecz dom. Wsiądziesz z samochodu i rozejrzysz się?

– Jak najpóźniej – odparł, nie wyglądając na zewnątrz.

Gina odwróciła się od niego i ruszyła w stronę budynku.

Majestatyczny i rozłożysty, z dostojeństwem lekko naruszonym przez czas, gdy stał dumny, lecz opuszczony, Bellagrand miał pretensje do stylu kolonialnego, lecz tak naprawdę był południowym domem z hiszpańskimi elementami. Gina nie wierzyła własnym oczom. Słońce świeciło morderczo i bała się, że jeśli zamruga, dom stanie się tym, czego najbardziej się obawiała: mirażem.

Rosa musiała pomóc jej wejść na schody. Harry, który wreszcie wysiadł z samochodu, odszedł na bok. Zauroczona Rosa zacmokała głośno, wyrażając zachwyt, którego Gina nie potrafiła ubrać w słowa.

Podśluchiwała, jak Esther mówi do Harry'ego:

– I przez wszystkie te lata myślałam, że zostałeś pokrzywdzony, bo ja dostałam biżuterię matki, a ty nic.

– Czy poczujesz się lepiej, droga siostrze – odparł Harry – jeśli cię upewnię, że zostałem pokrzywdzony najbardziej na świecie?

Za podwójnymi drzwiami z czarnego afrykańskiego drewna, które sprawiały wrażenie niesłychanie ciężkich, rozciągał się obszerny hol i ogromne pokoje, prawie pozbawione mebli. Harry wszedł pierwszy i zniknął po lewej stronie.

– Harry! – zawołała za nim Gina, a jej głos odbijał się od ścian: Harry, arry, arry, aaa...

Pojawił się w wielkim holu.

– Kiedy wyjeżdżacie z Rosą? – zapytał Esther.

– *Marito!* – wykrzyknęła Gina. – Nie bądź niegrzeczny.

Esther wyglądała na rozbawioną.

– Nie myślałyśmy o wyjeździe – odparła. – Prawda, Roso?

– Myślałyśmy, żeby nie wyjeżdżać – powiedziała pokojówka.

– Może kiedy dziecko skończy dwa lata? – myślała głośno Esther.

Harry był przerażony.

– Niemożliwe – powiedział, kręcąc głową. – Możecie wrócić, kiedy się urodzi, ale nie

możecie tu siedzieć przez ileś miesięcy. Wszyscy oszalejemy. Przecież areszt domowy was nie obejmuje. A może nie doczytałem czegoś w warunkach?

– W tym domu nigdy się nie znajdziemy – powiedziała Gina. – Pozwól im zostać.

Esther nawet nie mrugnęła okiem.

– Harry, żartujemy. Myślisz, że zostawiłabym mojego niedomagającego ojca na całe miesiące, żeby mieszkać akurat z tobą?

Harry trochę się zawstydził.

– Naszego ojca – poprawił ją, lecz Esther zmierzyła go spojrzeniem mówiącym: Jasne. Przez czternaście lat nawet nie zaszczyciłeś nas swoim oddechem, a teraz nagle to jest nasz ojciec.

Gina się przeżegnała. Harry, Esther i Rosa patrzyli na nią zaskoczeni.

– Powiedziałaś „Nasz Ojciec” – wyjaśniła. – *Padre Nostro*. Przeżegnałam się na wszelki wypadek.

Na ten przejaw dziwnego katolicyzmu trójka protestantów z Bostonu wymieniła krytyczne spojrzenia.

Biblioteka miała męski charakter, lecz z wyjątkiem podłóg z orzechowego drewna i mahoniowych półek wszystko było w niej białe: kanapy, krzesła, lampy i zasłony. W rogu przy oknie stał ciemnozielony marmurowy stolik. Harry usiadł przy nim i oświadczył, że tutaj będzie czytał i pracował. Położył dłonie na blacie.

– To nie jest marmur – powiedziała Esther. – Jeśli na czymś się znam, to na kamieniach półszlachetnych. To malachit.

– Ładny.

– Malachit pochodzi z gór Uralu w Rosji.

– To wszystko, co musiałem wiedzieć. Jest mój.

Zostawiły go z jego malachitem i przeszły do sali balowej, gdzie u sufitu wisało sześć żyrandoli tak dużych jak cała poprzednia kuchnia Giny. Sala miała dziesięć wysokich okien, czworo drzwi i podłogi z ciemnego orzecha. Esther powiedziała, że jeszcze w żadnym domu nie widziała podłóg z orzecha, bo ten gatunek drewna jest niezwykle drogi.

– Ojciec nie buduje domów dla imigrantów w North End z orzecha? – zapytał Harry, który pojawił się obok nich.

– Może nauczysz Harry’ego tańczyć na tej podłodze – ciągnęła Esther, jakby brat się nie odezwał.

– Umie tańczyć – odparła Gina. – Tylko nie chce.

Znaleźli pokój do bilardu i salon.

W salonie stał stary fortepian Steinway Artcase model B. Gina nie potrafiła grać, a Esther zapomniała, jak to się robi. Kiedy zdjęli biały pokrowiec, Esther nacisnęła klawisze E i D. E obok środkowego C nie działał.

– Może uda nam się unikać utworów w tonacji E-dur – powiedziała. – Czyli całego Chopina. Uwielbiał ją.

Wyłożona wapieniem kuchnia była połączona z częścią jadalną i wypoczynkową, dzięki czemu całość wyglądała jak ogromny pokój zajmujący cały tył domu widoczny ze wszystkich pokoi od frontu. Na jednym końcu kuchni znajdowała się duża przestrzeń, która zdawała się niczemu nie służyć. Miała tylko wysokie do sufitu okna i przeszkłone drzwi

wychodzące na rozległy trawnik i lśniący błękit wody. Podskakiwała na niej biała łódka przycumowana do drewnianego pomostu. Gina przytrzymała się blatu.

– Sama kuchnia jest większa niż nasz cały dom – powiedziała.

– Tak – odparł Harry. – Ale jak przewidywałem, to tylko skromny domek myśliwski. Ciekawe, gdzie jest nasza skromna Sala Lustrzana? Ominęliśmy ją? Och, Fernando – zawołał – może udasz się do królewskich apartamentów na górze?

– A gdzie to jest, *señor*?

– Po lewej od Sali Operowej.

– Harry, przestań – zaprotestowała Gina. – On nie wie, że żartujesz.

– Nie żartuję. Szydę. A to wielka różnica.

– Nie będę spał na górze, *señor*. Będę spał w gościnnym pokoju przy stajni, jak poinstruował mnie pański ojciec.

– Poinstruował mojego strażnika – szepnął Harry do Giny.

– Przestań.

– To po co Fernando miałby spać przy jedynym wyjściu?

– Dlatego nie jesteś dla niego miły?

– Jestem miły. Jestem dokładnie sobą. – Ale nie był.

W domu unosił się zapach stęchlizny, ale Gina spodziewała się czegoś znacznie gorszego po domu niezamieszkanym przez blisko trzydzieści lat. Pootwierali drzwi i okna, żeby przewietrzyć. Gina podeszła do Harry'ego stojącego w przeszklonych drzwiach prowadzących na trawnik.

– Harry, spójrz tylko na to.

Daleko mu było do jej zachwytu.

– Dla ciebie to nic – powiedziała. – Ale ja nie jestem damą z takiego domu jak ten. Jestem pokojówką.

– Nie sprzedawaj się tak tanio, Gino – odparł. – Możesz być jednym i drugim.

Odwróciła się, by odejść. Złapał ją za nadgarstek. Nie dotykał jej od czasu wyjścia z więzienia. Nie wyrwała się.

– Tak? – zniżyła głos.

– Jedno pytanie. Chcesz wypić herbatę w salonie z freskami czy w marmurowym?

Teraz się wyrwała.

– Esther, droga – zawrócił się do siostry. – Nie ma basenu?

Esther wskazała na lewo od wyłożonego kamieniami patio.

– Ach tak. Teraz widzę. A kort tenisowy?

Esther wskazała na prawo.

– Oczywiście. Głupiec ze mnie.

– To miejsce jest odrobinę większe od cel, w których spędzałeś tyle czasu – powiedziała Esther.

Harry postukał się palcem w skroń.

– Moja wolność jest tutaj – powiedział. – Zamieniłem tylko małą celę na większą. – Wzruszył ramionami lekceważąco. – Tu jest sala bankietowa. I co z tego? To nadal więzienie.

Esther i Rosa zignorowały go i wyszły do Giny stojącej na werandzie. Ze wszystkich

stron otaczała ją gęsta siatka. Gina przyjrzała się jej, zastanawiając, po co tu jest i czy będzie mogła ją zdjąć, by bez przeszkód spoglądać na wodę.

– Nie można zdjąć tych siatek, bo zjedzą cię insekty – wyjaśniła Esther. Fernando nazywa to miejsce *lanai*. Zgadza się?

Fernando skinął głową.

– Za wodą jest Tequesta – powiedział, wskazując palcem. – To indiańska nazwa, lecz teraz mieszkają tam Kubańcy. I moja rodzina. Nazywamy je Spanish City. Kupujemy tam wszystko, co potrzeba.

– Książki o rewolucji? – zapytał Harry, stając za nimi.

– Mnóstwo książek, *señor*. Proszę powiedzieć jakie, a ja kupię.

– Żadnych rewolucyjnych książek – zarządziła Esther. – Mój brat ma rewolucji po dziurki w nosie. Ale jutro będziemy potrzebować twojej pomocy. Musimy nająć gospodynię i kucharkę. Może też lokaja. I pokojówkę dla Giny.

– Nie potrzebuję lokaja – zaprotestował Harry. – Od czterdziestu lat sam wkładam skarpetki. Mogę to robić jeszcze przez trzy.

– A ja nie potrzebuję pokojówki – oznajmiła Gina. – Ja jestem pokojówką. Fernando, chciałabym kupić maszynę do szycia. Możemy to zrobić? I nie potrzebuję kucharki. Sama będę gotować włoskie jedzenie dla mojego męża. Kiedyś je lubił.

– Od tak dawna go nie jadłem – powiedział Harry – że zapomniałem, jak smakuje.

Wymienili przelotne spojrzenie, w którym odbijał się głód.

Fernando zaprotestował.

– Potrzebuje pani kucharki, *señora*. I kogoś, kto będzie robił zakupy. Nie może pani sama chodzić na targ, kupować jedzenia, gotować, sprzątać. Proszę spojrzeć na ten wielki dom. To za dużo w pani stanie.

– A jak twoim zdaniem żyłam przez wszystkie te lata?

– Nie mieszkałaś w takim domu, Gino – przypomniała Esther.

– Spodziewała się pani dziecka przez wszystkie te lata, *señora*?

– Kubańczyk ma rację – powiedziała Esther. – Teraz będziesz musiała nauczyć się żyć inaczej. Bez maszyny do szycia.

– Ale ja lubię szyć. Chcę sobie uszyć kilka letnich sukienek. I lubię chodzić na targ. Tutaj na pewno jest mnóstwo świeżych warzyw i owoców.

– O tak! Mamy pyszne owoce tropikalne. Mango, ananasy, guawy. Banany. Mnóstwo bananów.

Gina wzdrygnęła się. Esther też. Patrzyły na siebie zakłopotane, marszcząc brwi, a Esther nie umknęło drżenie Giny. Nie powiedziały ani słowa, jakby się nic nie wydarzyło. To Ben pokazał im wszystkim banany ponad dwadzieścia lat temu, gdy zaczął pracować dla United Fruit Company i zauroczyła go Ameryka Środkowa. Banany były pierwsze. Potem pojawił się Kanał Panamski.

– Banany, cudownie! – wykrzyknął Harry, wracając do kuchni. – Nie mogę się doczekać. Mogę też z tobą jechać, Fernando? – zapytał, siadając z uśmiechem na podłodze z wapienia. – Chciałbym sam zbierać owoce. Powiedz mi, te banany, o których mówisz, przywożą z Panamy?

– Harry, dość – szepnęła Gina.

– Tak, Harry – rzuciła Esther i jeszcze bardziej zdumiona spojrzęła na Ginę. – Wystarczy.

– Inne owoce rosną tutaj, *señor* – odparł Fernando. – Ale banany przywożą z Panamy i Kostaryki.

– Oczywiście.

– Docierają tutaj bardzo szybko, zanim dojrzeją. Nowy port w Key West przyjmuje statki z Panamy, a nowa kolej biegnąca stamtąd aż na wybrzeże przywozi je do nas.

– Jakże wygodnie.

– Wie pan – zaczął Fernando – że człowiek, który zbudował kolej, to ten sam, który zbudował ten dom? Nazywa się Henry Flagler. – Skinął głową z dumą, jakby to wszystko było jego dziełem. – To prawda. Proszę się tak nie dziwić, *señor*. Niewiele osób o tym wie. Staram się państwa zapoznać z miejscową historią. – Uśmiechnął się zadowolony.

Harry z szyderym uśmiechem rozłożył ręce przed zdezorientowanymi siostrą i żoną.

– Bellagrand to dar, który nie przestaje obdarowywać, prawda?

Gina i Esther stały jak marmurowe kolumny.

– Szkoda, że nie może pan ze mną pojechać na targ, *señor*. Zdumiałby się pan.

– Uwierz mi, jestem już dość zdumiony. Podobnie jak moje panie. Spójrz, odebrało im mowę. A to rzadkość, przyjacielu.

– Fernando, nie zwracaj uwagi na żarty Harry’ego – powiedziała Esther, gdy odzyskała głos. – Nie wolno mu opuszczać domu.

– Ktoś tu żartuje?

– Znam swoje obowiązki, proszę pani. Proszę się nie martwić.

– Gia – zawołał Harry do żony. – Co się dzieje? Kot odgryzł ci język?

Gina całkowicie wyłączyła się z rozmowy. Oglądała spiżarnię, zauroczona liczbą szuflad i szafek, w których znalazła białą porcelanę i kryształowe kieliszki. Srebrną zastawę. Półmiski. Uświadomiła sobie, że jest głodna. Może zamiast tyle gadać, niedługo coś zjedzą. Czy w tym domu jest coś do jedzenia? A może tylko porcelana?

– Harry, znasz granice – mówiła Esther. – Nie wolno ci opuszczać tego domu z żadnego powodu. Fernando pracuje dla Departamentu Więziennictwa Florydy. Zna zasady lepiej od ciebie. Kuratorka odwiedzi cię w poniedziałek, by się przedstawić i wyjaśnić resztę. Będzie przyjeżdżać co tydzień zgodnie z planem, ale też wpadać niezapowiedziana.

– Na przykład w środku nocy? – zapytał Harry. Jego oczy zamigotały lekko.

Odpowiedziała mu wesołym spojrzeniem.

– Nie bądź niemożliwy. Wiem, że to praca godna Herkulesa, ale możesz przynajmniej spróbować?

– Fernando – zagadnęła Gina, wracając do kuchni. – Co możemy zrobić, żeby pomóc ci nas urządzić? Bo chciałabym niedługo coś zjeść.

Fernando szybko ich przeprosił i poszedł do samochodu po walizki. Gina skinęła na Harry’ego, żeby mu pomógł. Zignorował ją. Nie dawała mu spokoju, aż w końcu uciszyła ją Esther, której nie przeszkadzało, że Fernando i Rosa sami dźwigają bagaże na górę. Ginie przyszło wtedy do głowy, że nie przyswoiła sobie nawet tej najprostszej zasady: służący służą. Płaci się im za noszenie bagaży, gotowanie i chodzenie na targ. Harry, wychowany w zamożnym domu ojca, tylko siedział na podłodze. Wreszcie pojęła kilka rzeczy

dotyczących męża. W domu przy Summer Street też siedział przez trzynaście lat. Bo to ona była służącą.

Powoli skierowali się na górę. Oszołomiona Gina oglądała sześć sypialni, każda z osobną łazienką, niektóre z przyległym salonikiem. Każdy pokój był urządzone w innym kolorze. Był pokój różowy, czerwony, złoty, zielony, liliowy, błękitny. A Gina dzieliła się jedną małą łazienką z matką, kuzynką Angelą, ciotką Pippą, bratem Salvem, a potem z mężem. Każdy pokój z osobną łazienką! Poruszona przyłożyła dłonie do brzucha.

Harry stanął obok niej.

– Co się dzieje? Dlaczego się tak trzymasz? Źle się czujesz? Usiądź.

– Nic mi nie jest – odparła.

– Coś cię boli? – Rozejrzał się za krzesłem, na którym mogłaby usiąść.

– Nic mnie nie boli. Dotknęłam tylko brzucha. Wszystko w porządku.

Nie puszczał jej łokcia.

Główna sypialnia stanowiła połączenie błękitnych pokoi. Była ozdobiona przypominającą koronkę boazerią. Na środku stało ogromne łóżko, wszędzie wisiały lustra i jasnożółte obrazy przedstawiające kwiaty i wodę. Przy balkonie zaprojektowano wnękę do siedzenia, były tu też kręte schody prowadzące na trawnik na dole i biblioteka z kominkiem. Gina zapytała Harry'ego, czy chciałby urządzić w bibliotece pokój dla dziecka. Odparł, że wolałby zostawić tam bibliotekę.

– Czytanie to jedyna przyjemność, której mi nie odebrano – powiedział. – A teraz ty chcesz mnie tego pozbawić?

– Kto powiedział, że nie możesz czytać? Ale dziecko musi gdzieś spać.

– Jest pięć innych sypialni. Nie może spać w jednej z nich?

– Nie – przedrzeźniła go. – Nie może.

Przewrócił oczami.

Ona też.

Zapomniała o nim, gdy weszła do obszernej łazienki urządzonej na błękitno, z dwiema umywalkami, wielką porcelanową wanną i prysznicem w rogu odgrodzonym marmurową ścianką. Musiała się o nią oprzeć, by odzyskać równowagę.

– Harry, możesz w to uwierzyć? Tu jest nawet miejsce, żebym mogła usiąść i zrobić makijaż.

– Hmm – mruknął, wzruszając obojętnie ramionami. – Jest za dużo kominków. Nawet tutaj jest jeden. Po co kominek obok wanny? Po co w ogóle kominki na Florydzie? To wyrzucanie pieniędzy.

Jednak kiedy zapadł wieczór, sam rozpałił ogień na dole. Fernando znalazł polana w stajni.

– Wielka szkoda, że Fernando będzie mieszkał w stajni z końmi i drewnem – powiedział Harry, siadając przy malachitowym stoliku, do przechodzącej obok Esther, która niosła kryształowe szklanki. – Czy Maria Antonina nie ma prywatnej siedziby nad jeziorem? Może Fernando mógłby spać właśnie tam.

– Już dobrze, Robespierre, wystarczy – odparła Esther. – Chodź jeść.

Na wyłożonym kamiennymi płytami patio jedli zimne krewetki i kraby, świeży chleb, sałatkę z ogórków i placek z truskawkami. Styczniowy wieczór był chłodny, lecz przy płonącym ogniu było ciepło i przyjemnie. W Bostonie Rosa zwykle nie jadała przy jednym stole z Esther, lecz tutaj usiadły we trzy i spędziły wieczór na planowaniu następnego dnia i tygodnia, zastanawiając się, jak pozbyć się zapachu stęchlizny, zdobyć środki do czyszczenia, umyć stoły i krzesła. Gina chciała mieć do siedzenia także ławkę i może hamak. Będą też potrzebowały kostiumów kąpielowych do pływania, choć Gina nie była pewna, czy można kupić kostium dla kobiety w ciąży. Mogłaby sobie uszyć, gdyby miała maszynę. Kupią świeże kwiaty, wazon, nową pościel...

– Cudownie, teraz wszystkie zamieniłyście się w pokojówki – wtrącił się Harry. – Zwłaszcza ty, Esther. Czy nikt nie ma mniej przyziemnych trosk?

– Naszą troską jest dom – odparła Gina. – Jest wszystkim.

– W tym akurat się nie zgadzamy.

– Tylko w tym?

Wypił łyk wina.

– Przyznaję, że dom jest w lepszym stanie, niż się spodziewałem. Ale też nie oczekiwałem wiele. Mimo wszystko jak na dom, w którym nie mieszkało od ćwierć wieku... Jestem zdziwiony.

– Musisz podziękować za to ojcu – powiedziała Esther. – Aby chronić twoje dziedzictwo, wynajął kierownika budowy, który opiekował się domem. Co pięć lat płacił, by go odnawiano. Dwa razy do roku opłacał też ekipę zajmującą się ogrodem i sprzątaniem.

– Przez wszystkie te lata? Dlaczego?

– Bo gdyby tego nie robił – odparła Esther – posiadłość byłaby warta tyle ile grunt. To i tak sporo. Ale twoja żona ma rację, dom ma wartość niezależnie od gruntu.

Harry podniósł wzrok na balkon sypialni, kominek na patio, światła w kuchni.

– Nie wygląda jak dom zbudowany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku – zauważył, nie patrząc na Esther, która też na niego nie patrzyła. – Nie wyobrażam sobie, żeby mieli wtedy wewnętrzną kanalizację. A elektryczność?

– Niektóre rzeczy mieli. – Esther zawiesiła głos. – Na przykład wanny. Ale masz rację. Trzy czy cztery lata temu, mniej więcej wtedy gdy wybuchła wojna, a ty pierwszy raz poszedłeś na dłużej do więzienia, ojciec postanowił przebudować dom. Wiesz, że się na tym zna. Chciał wszystko unowocześnić. Kazał założyć nowe rury, odnowić basen, przerobić ogrzewanie z węglowego na olejowe, żeby biały dom nie czerniał. Założono nową instalację elektryczną i zmodernizowano sprzęt w kuchni. Widzisz, jaki jest nowoczesny.

– Zrobił to wszystko na początku wojny? Dlaczego?

– Nie wiem. – Esther ciasniej otuliła się jedwabnym szalem. – Pomyślał, że możesz do niego przyjść, poprosić o pomoc. Chciał, żeby dom był gotowy.

– Nawet po tysiąc dziewięćset piątym roku? – Kiedy rozstali się z ojcem, Harry był przekonany, że na zawsze.

Esther skinęła głową.

- To twój dom powierzony jego opiece. Zajmował się nim dla ciebie.
- Nie przestałeś być jego synem – wtrąciła Gina. – Nic nie mogło tego zmienić.
- Gina ma rację, Harry – powiedziała Esther i zacisnęła usta, jakby na znak dezaprobaty, że musi przyznać rację bratowej. – Jesteś jego jedynym synem. Mężczyźni przywiązują wagę do takich rzeczy. W przeciwieństwie do posiadania córek.
- Nie, Esther – zaprotestowała Gina. – Ojcowie uwielbiają swoje jedyne córki. Uwierź mi.
- Chyba nie mamy tego samego ojca, prawda? – odparła Esther.
- Masz rację, nie mamy – zgodziła się Gina. – Twój nadal żyje.

Siedzieli w milczeniu w chłodzie wieczoru, popijając herbatę. Rosa przeprosiła i poszła się położyć.

– Jak będziemy tu żyć? – zapytał Harry Esther. – Mamy siedzibę przypominającą Wersal, a jesteśmy biedni jak myszy kościelne. Za co będziemy kupować mleko? Grzechotki dla dziecka?

Esther i Gina uśmiechnęły się do siebie nad stołem z drewna tekowego.

- Co? Co się tak śmiejecie?
- Jestem z ciebie dumna – wyjaśniła Gina. – Pierwszy raz od ślubu zapytałeś, jak za cokolwiek zapłacimy.
- Nie wiem, o co ci chodzi.
- Nigdy wcześniej nie pytałeś. Zakładałeś, że wszystko samo się skądś weźmie.
- Sama zamień tę miłą pochwałę w niewymuszony komplement.
- To nie była ani pochwała, ani komplement.

Harry odwrócił się do siostry.

- Czy ty odpowiesz na moje pytanie? Jak zapłacimy Fernandowi?
- O to się nie martw – odparła Esther. – Ojciec płaci za twoją ochronę. W końcu w grę wchodzi jego słowo, jego dobre imię i pół miliona jego dolarów. Nie możesz się zachowywać jak dotąd.

– Zostawmy moje zachowanie. Co z resztą? Wyznaczy nam stypendium?

Esther pokręciła głową.

– Bellagrand jest twoim stypendium. Billingsworth zaciągnął dla ciebie kredyt w tutejszym banku równy wartości domu i otworzył konto. Oznacza to, że nie możesz podjąć z banku więcej niż dom jest wart.

- Wiem, jak to działa, Esther. Jestem absolwentem Harvardu.
- Książkowa mądrość nie oznacza mądrości życiowej – odparowała. – Możesz wykorzystywać kapitał na opłacanie codziennych wydatków, kupować wszystko od jedzenia po ubrania, maszynę do szycia dla żony, samochód, jeśli zechcesz. Na koniec, po śmierci ojca, czyli za wiele lat, kiedy własność domu przejdzie na ciebie, będziesz odpowiedzialny za to otwarte konto. A to oznacza...

- Esther! Wiem, co to oznacza.
- Chyba nie. Jeśli postanowisz sprzedać Bellagrand...
- Dlaczego mielibyśmy je sprzedawać? – wtrąciła się Gina.
- Pozwól mojej siostrze dokończyć.

Esther mówiła dalej:

– Jeśli postanowisz sprzedać dom, bank spłaci najpierw twoje wydatki, a potem wystawi ci czek na resztę, zakładając, że coś zostanie.

– Dlaczego miałyby nie zostać?

– Przecież nic nie mówię. Ale im więcej będziesz wydawał, im swobodniej będziesz korzystał z konta, im większe będą twoje samochody i domowy budżet, tym mniej pieniędzy zostanie ci po sprzedaży domu.

– Kiedy nic nie mówisz – odparł Harry – mówisz całkiem sporo.

– Dlaczego mielibyśmy sprzedawać dom? – powtórzyła Gina.

– Poczekaj, Gia. A co się stanie z otwartym kontem, jeśli nie sprzedamy domu?

– Możesz z niego korzystać do woli – odparła Esther. – Każdy kęs jedzenia, który włożysz do ust, ma oparcie w wartości domu. Bank udziela ci kredytu i pobiera odsetki od pieniędzy, które pożyczasz. Im więcej pożyczysz, tym więcej zapłacisz. Dom jest gwarancją dla banku, że odzyska pieniądze. W końcu będziesz musiał spłacić kredyt, sprzedając dom albo znajdując pracę. – Esther uśmiechnęła się gorzko, lekko rozbawiona. – Żyj więc i wydawaj pieniądze. Ale pamiętaj, wszystko ma swój koniec.

Harry zajrzał do pałacu zbudowanego dla dyplomatów i królów.

– To nie ma.

3

Oboje byli wykończeni, gdy wreszcie zamknęli drzwi błękitnej sypialni, by przygotować się do snu. Gina pościeliła łóżko, gdy Harry siedział na balkonie. Chciała zostawić otwarty balkon, by świeże powietrze wpadało do pokoju. On chciał zamknąć. Gdy weszła do łazienki, Harry wrócił z balkonu i zostawił drzwi otwarte. Siedział w fotelu przy kominku, przeglądając książkę o hiszpańskiej architekturze. Spojrzał na zimny kominek.

Kiedy Gina weszła do pokoju w cienkim szlafroku z luźno związanymi włosami, na kominku płonął trzaskający ogień.

– Dlaczego rozpałiłeś ogień na Florydzie? – zapytała, przechodząc obok niego po szczytkę do włosów.

– Pomyślałem, że ci się spodoba. Nie jest ci za chłodno przy otwartych drzwiach? – Spojrzał na jedwabny szlafrok.

– Nie.

Przez chwilę udawał, że fascynują go doryckie kolumny i marmurowe portyki, filary, słupy i podpory. Ale potem...

Ujrzał delikatne krągłości, dojrzałość, do której nie był przyzwyczajony. Siedząca na dużym białym łóżku kobieta była zarumieniona, ciepła, jego. Do tego też nie był przyzwyczajony. Coś drgnęło nie tylko w jego sercu. Otworzyło się. Krew popłynęła szybciej. Zamknął książkę i ostrożnie położył ją na niskim stoliku.

– Hej – powiedział. – Chodź tutaj.

Siedziała daleko, szczytkując włosy.

– Słucham?

– Chodź tutaj.

Podeszła i stanęła przed nim zmęczona, bez uśmiechu, a w jej wielkich brązowych oczach malowało się rozczarowanie.

Wyciągnął rękę i dotknął jej biodra, pociągnął pasek szlafroka.

– Rozepnij – powiedział. – Chcę zobaczyć.

– Co? Widziałeś wszystko.

– Chcę zobaczyć dziecko – powiedział.

Nie zaprotestowała, ale też nie odłożyła szczotki. Harry pomyślał, że w każdej chwili może nią walnąć go w głowę. Odwiązał jedwabny pasek i lekko rozsunał szlafrok. Stała przed nim naga, jakiej jeszcze nigdy nie widział, większa, miękka, z powiększonym brzuchem wystającym na kształt półksiężyca. Otulił go dłońmi. Pod aksamitną skórą brzuch był twardy jak połówka melona. Pochylił się i pocałował go nad i pod pępkiem, i zatrzymał się tam na dłużej, zaciskając dłonie na jej biodrach. Podniósł wzrok. Jej piersi były trzy razy większe, a sutki duże i brązowe.

Jęknął cicho, jakby nie chciał, by usłyszała, jak bardzo jej pragnie, i przyciągnął ją do siebie.

– Który to miesiąc? – zapytał ochryple, przesuwając dłonie, by ująć piersi. Kiedyś idealnie się tam mieściły. Teraz już nie. Oddychał urywanie.

– Prawie piąty.

– Czy wcześniej doszliśmy tak daleko? – Przysunął krzesło i pieścił ją czule. Całował miejsce pod piersiami.

– Tak daleko nie.

Jego otwarte niecierpliwie usta zamknęły się na jej twardych sutkach.

Jęknęła i upuściła szczotkę. Nareszcie.

Stojąc, pocałował ją głęboko, zsuwając szlafrok z jej ramion, przyciskając jej nagie ciało do siebie, a jego szalone dłonie splotły się na jej plecach.

– Jesteś zupełnie ubrany, *marito* – szepnęła.

– A ty zupełnie naga. – Położył ją na ogromnym łóżku i stanął nad nią, dotykając jej kostek, wodząc po niej wzrokiem. Powoli uniosła ręce nad głowę.

– Stałaś się inną kobietą – szepnął, pochylając się nad nią. Całował jej sutki, żałując, że nie może się rozebrać, nie przestając jej dotykać.

– Nie. Jestem tylko kobietą w ciąży – odparła, wyciągając do niego ręce. Odchyliła głowę, zamknęła oczy i rozchyliła usta i uda.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a potem podszedł, by zamknąć balkon.

– Co robisz? – jęknęła. – Chcę, żeby były otwarte.

– Nie chcesz – odparł i uklęknął na łóżku pomiędzy jej nogami. Przesuwał dłońmi po jej udach.

– O tak, masz rację. – Zadrżała, zanim jeszcze ją pocałował. Chwyciła go za głowę. – Zamknij balkon, tak, tak.

– Już jest zamknięty, moja żono – szepnął, opuszczając głowę. Sunął wargami po jej ciele, och, co za radość, uniesienie, zachwyt. *Tu mi hai rapito il cuore.*

Tu sei tutta bella, Harry szepnął do niej słowa, których kiedyś go nauczyła. *Mia perfetta*.

Ho fame, powtarzała raz po raz. *Ho fame*.

Ja też, szepnął. Boże, ja też. Umieram z głodu.

Nie mogła przestać płakać. Leżąc na niej, dotykał ustami jej szyi i czuł, jak szłocha, jej sutki były tak tkliwe, uniesie się z łóżka i odleci, gdy on tylko przesunie usta, by zacząć je ssać. Gino, Gino...

Piango, piango.

Powiedz mi, czego chcesz.

Prega non si smettere.

Czy przestaję?

Jej usta wędrowały po jego szyi, głowie, twarzy, sercu, brzuchu, szalone, a jednak *pianse*, nawet kiedy był w jej ustach i tracił zmysły, nie, stracił je już dawno, cisnął je dwadzieścia lat temu w tajemnice starych wulkanów. Pocił się jak nigdy dotąd, musiał otworzyć balkon albo oboje by się udusili.

Otworzył balkon.

Nadal się dusili.

Tęskniłaś za mną?, szepnął do niej w ciemności, wtulony w nią. Oboje byli mokrzy, jakby leżeli w łonie.

Nie mogę żyć bez ciebie, odszepnęła z jękiem. A ty tęskniłeś za mną?

W odpowiedzi przycisnął usta do jej pleców między łopatkami.

Non smettere, non smettere mai...

Czy przestaję?

Leżeli razem, próbując złapać oddech.

Gina trzymała jego twarz w dłoniach. Harry, szepnęła. W każdym pokoju tego domu jest miłość.

Miłość jest w tym pokoju.

Zbudowała go miłość, szepnęła Gina.

Nie chcę o tym rozmawiać. Proszę.

Spójrz na kolor Bellagrand. Jest biały jak panna młoda, jak niewinność, jak piasek, odległe brzegi, horyzont o świcie. Biały to niewinność, romantyzm, wysublimowane uniesienia.

Nie widzę tego i nie chcę widzieć, powiedział, pochylając się nad jej szyją, całując miejsce między piersiami, sutki, serce.

Jesteś ślepy.

Nie całkiem, szepnął, wpatrując się w jej twarz.

Jej usta odnalazły jego usta. Zamknął oczy.

Wiesz, czego żałuję?

Leżała na łóżku drżąca, słuchała, przyjmowała, pragnęła więcej.

Że mam tylko jedną parę oczu, by patrzeć na ciebie.

Jęknęła i rozłożyła ramiona.

Że mam tylko jedną parę uszu, by cię słuchać.

Wygięła się pod jego dłońmi.

Że mam tylko jedną parę rąk, by cię dotykać.

Kołysała się na boki, przyciągając go do siebie, na siebie, proszę proszę...

Że mam tylko jedno usta, żeby cię całować.

Więc całuj mnie, całuj, przesuwaj po mnie ustami, uwielbiaj mnie...

Że mam tylko jeden język, żeby cię smakować.

Znów musiał zamknąć balkon, gdyż krzyk jej ekstazy niósł się nad ciemną pofalowaną wodę.

Że mam tylko jeden...

Och, Harry...

Tutaj i tam, i wszędzie, bez ustanku, bez końca.

A ona nadal płakała.

Nie płacz, *amica mia, innamorata*, szepnął, oddychając ciężko, a serce otwierało mu się i zamykało jak modlitewnik. *Non piangere.*

A jednak... *lei piange.*

Przepraszam, mówił w chwilach odpoczynku pomiędzy chaosem huraganu. Przepraszam, że nie jestem mężczyzną, za jakiego mnie uważałaś.

Jesteś mężczyzną, za jakiego cię uważałam. Przepraszam, że byłam słaba i się myliłam. *Mi dispiace. Perdonami.*

To nieważne, minęło. Wybaczysz mi moją głupotę?

Nie pamiętam żadnej.

Będę się jeszcze bardziej starał. Choć wtedy, gdy wydarzyła się ta straszna rzecz między nami, zacząłem się okropnie bać, że nie stanę na wysokości zadania, że nigdy nie będę godny twojej miłości. Tego się boję najbardziej. A wtedy zachowuję się najgorzej. Czasami nie wiem, jak pomóc nam stać się takimi, jak kiedyś marzyliśmy.

Nigdy się nie bój, *delitto mio*. Jesteśmy tacy, jak marzyliśmy. Czasem oddaleni, ale zawsze razem.

Tak, czasem oddaleni, ale zawsze razem. Leżeli na boku, brzuchami do siebie. Proszę, nigdy mnie nie opuszczaj.

Nigdy cię nie opuszczę. *Non ti lascerò mai.*

Obiecuj mi.

Już to zrobiłam. Wyszłam za ciebie. To była moja obietnica.

Zasnęła z dłonią Harry'ego na ich dziecku.

On nie spał, pociał się, znów jej pragnął, potrzebował. Ale ona leżała zwinięta w kłębek z dłońmi wsuniętymi pod policzek jak dziecko.

Długo leżał obok niej, słuchając, jak oddycha, podziwiając jej jedwabistą skórę i kwitnące ciało, zaokrąglone biodra i szczupłą talię. Twarz wtulił w gęstą grzywę splecionych włosów.

Chcesz wiedzieć, czego jeszcze żałuję, szepnął do niej, kiedy wiedział, że śpi i nie słyszy.

Żałuję, że mam tylko jedno serce, żeby cię kochać.

Żałuję, że mogę cię kochać tylko przez jedno krótkie życie.

Rozdział dziesiąty

Melasa

I

Ich śmiech przeszkadzał kaczkom pływającym po basenie. Siedzieli sami na patio na długiej drewnianej ławce i jedli śniadanie. Gina przycupnęła na kolanach Harry'ego i pouczała go, żeby się zachowywał przyzwoicie, a on nie zwracał na nią uwagi i dalej starał się tłumaczyć jej rzeczy, które niewiele ją obchodziły.

– Chcesz, żebym zawołał Fernanda? On ci wytłumaczy.

– Nie! Aresztuje cię za nieprzyzwoity wygląd. Nikt nie powinien cię oglądać w takim stanie. – Ścisnęła go.

– Chcę, żeby ci wyjaśnił, że melasa nie jest przynętą dla ryb. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? To jedzenie dla ludzi.

Zgodnie z życzeniem Giny Rosa i Fernando przynieśli do domu drewnianą ławkę, lecz Harry'emu się nie spodobała.

– Powinienem ci zrobić porządną ławkę – powiedział.

Esther parsknęła śmiechem.

– Ty zrobisz ławkę? A wiesz w ogóle co to takiego młotek? I gwoździe?

– Śmieję się, śmieję – rzucił Harry. – Zapominasz, że mamy tego samego ojca. A on paru rzeczy mnie nauczył.

– Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł pamiętać choć jedną rzecz, której nauczył cię nasz ojciec – odparła Esther, a Gina znów przeżegnała się na dźwięk słów „nasz ojciec”. Jęknęli głośno, lecz kiedy się odwrócili, zauważyli, że przeżegnał się też Fernando, kubański katolik. Jęknęli jeszcze głośniej.

Fernando mylił się co do jednego: w Spanish City nie było księgarni. Pewnego popołudnia zawiózł za to panie do Palm Beach, gdzie zjadły długi lunch w hotelu Breakers, a potem poszły na zakupy. W Palm Beach Garden udało im się znaleźć kilka książek dla Harry'ego, z których żadna nie znajdowała się na liście zakazanych.

Bellagrand powoli stawał się prawdziwym domem. Gina i Esther otworzyły basen, najęły kucharza i gospodynię. Emilio i Carmela, małżeństwo po pięćdziesiątce, prawie się nie odzywali i Gina szybko odkryła, co było tego powodem. Prawie nie znali angielskiego

i trudno było z nimi omawiać, co mają ugotować i kupić. O zgrozo przynosili do domu konserwy i keczup. Kupowali nie te ryby co trzeba. Znaleźli zbyt szorstką pościel i workowate muślinowe sukienki dla Giny, a potem milczeniem dawali wyraz swojej urazie, gdy ich nie nosiła. Kilka dni temu, gdy poprosiła ich, żeby kupili jej syrop klonowy, przynieśli do domu coś, co nazywało się melasa i wyglądało, i smakowało jak słodka smoła. Gina chciała ich zwolnić. Melasa była ostatnią kroplą.

– Nie chcę tego w naszym domu, Harry! Karmią tym bydło.

– Kim są ci oni? I skąd wiesz cokolwiek o melasie?

– Mój brat pracuje dla Purity Distillers. Mówi, że jest obrzydliwa. Nie chcę, by nasze dziecko miało z nią styczność.

Harry wybuchnął śmiechem.

– Mamy jeszcze cztery miesiące do narodzin dziecka i pewnie nie zacznie raczkować, gdy tylko wyjdzie z twojego łona, więc przez jakiś miesiąc jesteśmy bezpieczni.

Połaskotał ją.

– Na Kubie Fernando robi rum z melasy. Nam też trochę zrobi. Nie miałabyś ochoty? – Pocałował ją w nagie ramię.

– A co to takiego ten rum? – Bożonarodzeniowy *ron ponche* był już tylko odległym wspomnieniem.

– Uwierz mi, kiedy raz spróbujesz, nigdy go nie zapomnisz.

Gina objęła go za szyję, uniosła jego twarz i wpatrywała się szczęśliwa w roześmiane, teraz błękitne oczy. Zniżając głos, powiedziała:

– Och, *cuore mio*, nie potrzebuję melasy od Fernanda, kiedy ty stale dajesz mi próbować tyle pysznych rzeczy.

Zerwał się, prawie zrzucając ją na ziemię i pociągnął za sobą ku kręconym schodom prowadzącym do ich sypialni. U stóp schodów stała Esther z wyrazem jawnej dezaprobaty na twarzy, czysta i elegancka jak posąg, w kostiumie z grubej bawełny i czarnych półbutach.

– Twoja kuratorka przyjechała na pierwsze spotkanie – oznajmiła. – Tam właśnie się udajesz, prawda? Do holu?

– Oczywiście, Esther. A gdzie indziej mielibyśmy iść?

Trzymali się za ręce jak dwójka dzieciaków przyłapanych na psocie i starali się nie wybuchnąć śmiechem.

2

Margaret Janke miała ściągniętą twarz i nieufne szparki zamiast oczu. Harry'emu wydała się ograniczona i mało bystra, dopóki nie powiedziała:

– Panie Barrington, z lektur, które widzę na częściowo pustych jeszcze półkach, wnoszę, że nadal interesuje się pan literaturą socjalistyczną?

Harry nie odpowiedział. Na malachitowym stoliku leżał niedawno przetłumaczony i wydany pamflet Lenina *Zadania proletariatu w naszej rewolucji*.

– Nie wiedziałem. To też przestępstwo? Czytanie?

– Nie. Dopóki pan rozumie, że nie wolno panu o tym pisać, wysyłać listów ani pamfletów, pisać artykułów lub felietonów do lokalnej prasy, wysyłać agitek, kontaktować się z kimkolwiek związanym z partią socjalistyczną, komunistyczną, Pierwszą Międzynarodówką ani jakąkolwiek inną radykalną organizacją, o której nie pomyślałam ani jej nie wymieniłam. Nie wolno panu pisać listów do nikogo w Rosji ani rozmawiać z byłymi towarzyszami przez telefon. Nie muszę chyba wspominać, że nie wolno panu brać udziału w marszach ani protestach.

– Skoro nie musi pani wspominać, to czemu pani to robi?

– Wyjaśniam panu tylko literę prawa, na mocy którego zyskał pan wolność.

W odpowiedzi przywołał na twarz celowo obojętny wyraz.

– Czy tak wygląda wolność, pani kurator? Dzień i noc pilnują mnie Kubańczycy, a pani przyjeżdża do mojego domu co poniedziałek.

– Tak, panie Barrington, tak wygląda wolność dla pana. Trzymam w ręce podpisany przez pana dokument, w którym przyznaje pan, że postąpił pan źle i żałuje swoich czynów. Czy to prawda?

– Że trzyma pani ten dokument? Tak.

– Dokument ten zobowiązuje pana również – ciągnęła, nie dając się sprowokować – do znalezienia pracy po zakończeniu aresztu, by utrzymać rodzinę. Zgadza się pan z tą jego częścią?

– Dlaczego miałbym się spierać? Ale proszę mi powiedzieć, pani kurator, zanim zacznę szukać pracy, wolno mi pójść popływać?

– W pańskim basenie? Oczywiście.

– W tej chwili korzystają z niego kaczki. A moja posiadłość po drugiej stronie drogi nad oceanem?

Janke się zawahała.

– Jeśli to pańska prywatna plaża, to tak.

– Wolno mi spacerować po plaży?

– Jeśli to pańska prywatna...

– Mogę więc chodzić tam i z powrotem na odcinku dwunastu metrów jak w więziennej celi?

– To raczej czterdzieści metrów – odparowała. – Ale może pan.

– Rozumiem. Więc to kwestia odległości. Jeszcze jedno pytanie. Wolno mi pływać łódką?

Spojrzała przez trawnik na przystań i wyszorowaną łódkę podskakującą na falach.

– Może pan, ale tylko w towarzystwie Fernanda.

– Och! – wykrzyknął Harry. – To jest warunek? Czyli jeśli Fernando będzie mi towarzyszył, mogę się poruszać? Tylko łódką, pani kurator, czy samochodem też? Na przykład jeśli mogę popłynąć łódką sześćdziesiąt kilometrów na południe do Palm Beach, to czy mogę pojechać pięć samochodem na zachód do Spanish City?

– Nie może pan nigdzie jeździć samochodem.

– A mogę popłynąć łódką na targ? Może na karnawał po drugiej stronie laguny? Może do Miami? Jeśli Fernando będzie mi towarzyszył? Nigdy nie byliśmy z żoną na Key West.

W zasadzie nie mieliśmy podróży poślubnej. Pojechaliśmy na kilka dni do Chicago, ale cały czas łało. Jeśli więc Fernando popłynie z nami i będzie przebywał ze mną i żoną w małej kabinie, możemy popłynąć na Key West na spóźnioną podróż poślubną?

Janke zerwała się i zaczęła zbierać papiery.

– Skończyliśmy, panie Barrington.

Harry powstrzymywał śmiech, założył ręce na piersi i wyciągnął nogi pod stołem.

– Tak myślałem. Zobaczymy się w przyszły poniedziałek? Może spotkamy się u pani w domu? Mieszka pani blisko wody? Bo Fernando może mnie do pani przywieźć. Łódką, oczywiście.

– Miłego dnia.

– Pani również.

Kiedy Janke wybiegła z domu, Gina weszła do kuchni ze spiżarni, gdzie podsłuchiwała ich rozmowę.

– Każe ci tu siedzieć dziesięć lat, jeśli nie przestaniesz – powiedziała. – Dlaczego ją dręczysz?

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się ubawiłem. – Złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i objął. – Poczekaj, chyba pamiętam... Gdzie byliśmy, zanim ten żandarm nam przerwał?

– Opowiadałeś jakieś paskudne historie o gęstym czarnym syropie, który twoim zdaniem powinnam wkładać do ust.

– Nie rozumiem. – Dobiegł ich głos Esther rozmawiającej z kimś, kogo nie słyszeli. – A jeśli stało się coś strasznego? – Cisza. – Co innego może to tłumaczyć? Jest druga po południu, a oni jeszcze nie zeszli na dół. Co oni mogą tam wyprawiać? – Pauza. – Do drugiej po południu? Niemożliwe! To nieprzyzwoite. Mieliśmy plany na dziś. – Kolejna pauza. – Nie, coś się musiało stać. Fernando, Roso, musimy wyważyć drzwi. – Głośne pukanie. – Harry! Gina! Otwórzcie. Jesteście tam?

Harry otworzył drzwi ubrany tylko w spodnie i rozpiętą białą koszulę. Był potargany, nieogolony i bosy. Wyglądał, jakby narzucił ubranie pięć sekund przed otwarciem drzwi. Giny nie było widać.

– Esther – powiedział. – Możesz poprosić Emilia, żeby przyniósł kawę dla Giny, a dla mnie lemoniadę, kanapki i trochę owoców? Także dwa kieliszki i resztę czerwonego wina z wczorajszego wieczoru. Nie czujemy się dobrze. Zostaliśmy w łóżku. Zejdziemy, kiedy poczujemy się lepiej. Nie dzisiaj i może nawet nie jutro. Poproś Emilia, żeby stale donosił kanapki. Niech je zostawia na tacy pod drzwiami.

3

Siedziała na nim w wykrochmalonej rozłożonej szeroko halce.

– Dlaczego teraz lubisz halki, *marito*? – zapytała. – Przez całe małżeństwo powtarzałeś, że ci się nie podobają.

– Zgoda – odparł – ale w czasach, których już nie pamiętam, nie nosiłaś halek tak jak teraz, bez niczego pod spodem. – Zsunął jedwabną koszulę z jej ramion, obnażając pełne piersi.

– Skąd wiesz – szepnęła – że wtedy coś miałam?

Oboje jęknęli. Sięgnął po nią rękami, ustami.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi sypialni.

Sfrustrowany Harry zakrył twarz poduszką.

– Harry? Mogę z tobą porozmawiać? Proszę, to bardzo ważne. Harry? Jesteś tam? Otwórz drzwi.

– Zejdę na dół za parę minut, Esther.

– Za ile?

Harry poruszył Ginę, tak że jej piersi zadrżały i opadły mu na twarz.

– Piętnaście.

– Dwadzieścia – szepnęła Gina, wsuwając mu sutki do ust.

Kiedy godzinę później Harry wszedł w końcu do kuchni, panowało tam dziwne poruszenie. Esther rozmawiała przez telefon, a Rosa gorączkowo zmywała nieskazitelnie czystą podłogę, choć to nie należało do jej obowiązków. Na stole leżała rozłożona gazeta.

– O co chodzi? – zapytał Harry. Na górze Gina była taka spokojna. Chciał tylko przynieść jej filiżankę kolumbijskiej kawy (dostarczanej przez Kanał Panamski, przez co Harry nigdy jej nie pijał), ciastko, trochę dżemu, a potem leżeć u jej boku i czytać gazetę. – Roso, czy Emilio nie zaparzył jeszcze kawy?

– Gdzie ona jest? – zapytała Esther, gdy tylko skończyła rozmawiać i podbiegła do Harry’ego.

Cofnął się.

– Kto? Carmela?

– Twoja żona! Gdzie jest?

– Na górze. Dlaczego...

Esther podsunęła mu gazetę i pokazała mały artykuł na pierwszej stronie.

Harry zbladł.

„Wielka eksplozja melasy w North End w Bostonie. 21 zabitych. 150 rannych”. Czytał dalej. Żelazny zbiornik mieszczący blisko milion litrów wybuchł w niezwykle ciepłe popołudnie, a fala melasy rozlała się po North End z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Waliły się budynki, pociągi wypadały z szyn, konie i ludzie tonęli w czarnej mazi. Zbiornik wybuchł nagle, a jego zawartość rozlała się po ulicach w ciągu paru minut. Purity Distillers i spółka macierzysta Industrial Alcohol, która była właścicielem fabryki melasy, winą za wybuch obarczały anarchistów. W artykule wspomniano o North End, lecz nie podano dokładnego miejsca katastrofy.

– Esther – szepnął Harry. – Zadzwoń natychmiast do ojca.

– A jak myślisz, z kim rozmawiałam? Nic nie wie.

– Nic mu nie jest?

– Nie. Nie pojechał rano do Bostonu.

– Zadzwoń do Clarence’a, do Darryla, poproś, żeby się dowiedzieli, gdzie dokładnie to się stało.

– A jakie to ma znaczenie? Czy Salvo nie pracuje na dziennej zmianie? Na pewno był w fabryce po południu! – Esther zaczęła chodzić po kuchni.

– Zadzwoń do Clarence’a, Esther.

Zapomniał o kawie i herbacie, dżemie, ciastkach, miłości.

Esther zadzwoniła do wszystkich znajomych. Wypadek wydarzył się dokładnie po drugiej stronie ulicy od mieszkania Salva przy Charter Street. To był jeden z powodów, dla których Salvo lubił pracę w Purity – wstawał z łóżka i za parę minut był w fabryce.

– Nie ma sensu straszyć twojej żony, dopóki nie poznamy konkretów – powiedziała Esther, gdy odłożyła słuchawkę.

– Ale mój Boże, Esther...

– Wiem. To ostatnia rzecz, jakiej ona potrzebuje. Boże, modlę się, żeby nic mu się nie stało.

– Czy ktoś go widział albo miał od niego wiadomości?

– A skąd mam to wiedzieć? – zapytała piskliwie Esther. – Może zadzwonię do fabryki i dowiem się, czy był w pracy?

– Po co ten sarkazm, siostró? Zadzwoń jeszcze raz do Clarence’a. Poproś go, żeby pojechał do North End i znalazł Flaminia Galleraniego przy Salem Street. To taksówkarz, który zawsze tam czeka na kurs. Są z Salvem dobrymi przyjaciółmi.

– Skąd to wiesz? Myślałam, że nie rozmawialiście od lat?

– Nie jestem głuchy. Słyszałem, jak żona rozmawia z matką.

– Jak Clarence ma znaleźć tego... tego Flaminia?

– Każ mu szukać najbardziej krzykliwego Włocha w zasięgu paru przecznic. Wszyscy go znają. Gina mówiła...

– Co takiego? – zapytała Gina, wchodząc do kuchni. – Nie ma kawy?

Umilkli natychmiast i próbowali odwrócić jej uwagę bułkami i dżemem. Wyrzucili gazety, żeby nie zauważyła złych wieści, i nerwowo kręcili się po kuchni.

Przez trzy okropne dni szukali sobie zajęcia i wyrzucali gazety. Za każdym razem gdy dzwonił telefon, Esther ustanawiała rekord olimpijski, biegnąc, by go odebrać.

Gina nie mogła tego nie zauważyć.

– Kto ma do niej zadzwonić? – zapytała szeptem Rosę. – Konkurent?

– Chyba tak, choć nie chce mi powiedzieć – odparła Rosa. – Chodź, Gino, zjedz coś. Przygotowałam świeże owoce i owsiankę. Emilio robi ci dobry lunch, gdy wrócą z Carmelą z targu. Musisz trochę przytyć.

– Przytyć? Z trudem mieszczę się w ubrania. Już prawie mogę nosić te worki na ziemniaki, które kupiłyście mi z Carmelą. Chcę, żeby kupiła mi bawełnę, o którą ją prosiłam. Muszę sobie uszyć sukienkę.

– Na pewno dzisiaj kupi.

Za każdym razem gdy Esther odkładała słuchawkę, była blada i przybita.

– Jeśli to rzeczywiście konkurent – powiedziała Gina do Rosy – to wyczuwam kłopoty.

Nikt nie mógł znaleźć Salva. Harry sądził, że to dobry znak, skoro nie mogli go zlokalizować ani ludzie z Purity, ani personel szpitali.

Clarence w końcu zadzwonił, by przekazać wiadomości. Niestety znaleźli Flaminia. Zmarł z powodu oparzeń. Wszyscy wpadli w jeszcze większą panikę, gdy Clarence ze

szczegółami opowiedział o katastrofie.

– To było zupełnie jak tsunami! Fala miała wysokość czterech metrów, czarna jak smoła płynęła ulicami! Zniszczyła remizę, całe ulice, konie padały jak muchy, psy...

Siedzieli, podpierając głowy rękami.

Musieli jej powiedzieć. Bali się jednak, że straci dziecko.

– To jej brat, Harry. Nie możemy jej powiedzieć.

– Esther, musimy – odparł.

– Nic nie może na to poradzić.

– Możemy jej przynajmniej powiedzieć, że tak naprawdę nic nie wiemy.

– Nie! – wykrzyknęły zgodnie Esther i Rosa.

– Posłuchajcie mnie. – Harry uderzył pięścią w stół dla podkreślenia swoich słów. – Zrobiłem wiele rzeczy, które unieszczęśliwiły moją żonę. Mam szczęście, że przywiązuje pewną *gravitas* do instytucji małżeństwa. Nazywa je sakramentem czy coś w tym stylu. Ale ten spisek i oszustwo stanowi chyba podstawę do rozwodu, nawet na Sycylii.

– Straci dziecko! – powiedziała Esther. – Tego chcesz?

– Boże! Kiedy ty stałaś się taka włoska? Trochę więcej opanowania, proszę.

Wstał i wyszedł.

Pewnego wieczoru wrócili do kuchni po ostrej dyskusji na temat Giny i zastali ją rozmawiającą przez telefon. Mówiła po włosku, więc nie rozumieli ani słowa. Harry usiadł i słuchał, jak Gina cicho płacze i głośno krzyczy. Kiedy odłożyła słuchawkę, usiadła z nimi przy stole.

– Dlaczego tak na mnie patrzycie? – zapytała.

– Gino, kochanie, z kim rozmawiałaś? – zapytała Esther najbardziej obojętnym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

– Czemu tak ściskasz blat stołu? Z moim bratem, dlaczego pytasz?

Rozległo się głośne westchnienie ulgi. Potem jej powiedzieli.

Patrzyła na nich z otwartymi ustami.

– I to się działo przez ostatnie parę dni?

Potwierdzili. Gina przewróciła oczami.

– Harry, ostrzegałam cię, że melasa to kłopoty, a ty mi nie wierzyłeś.

– Teraz ci wierzę.

– Szkoda, że nie powiedzieliście mi od razu. Znalazłabym go w pięć minut i oszczędziła wam nerwów.

– Gdzie on był?

Gina powiedziała, że Salvo wyjechał z miasta z kobietą z Back Bay w wieczór przed eksplozją. Był z nią nadal następnego ranka i miał zbyt wielkiego kaca, by iść do pracy.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparł Harry. – Rozpusta Salva uratowała mu życie. Naprawdę nie potrafię ogarnąć wniosków, jakie powinno się z tego wyciągnąć.

– Po pierwsze, trzymać się z dala od melasy – powiedziała Gina. – A po drugie, stale powtarzam mojemu bratu, że kobiety staną się albo jego zbawieniem, albo zgubą. – Uśmiechnęła się.

Harry też się uśmiechnął.

– A co on na to? Dlaczego nie jedno i drugie?

– Właśnie.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Ale jak go znalazłaś? – zapytała Esther. – Kazałam Clarence’owi jeździć całymi dniami po okolicy i go szukać.

Gina z uśmiechem poklepała ją po dłoni.

– To mój brat. Wiem, gdzie go szukać. Ty nie wiedziałabyś, gdzie szukać swojego?

– W więzieniu?

– Zgadza się, Esther – odparował Harry, zagłębiając się w gazecie, którą spokojnie mógł przeczytać pierwszy raz od paru dni. – Tu właśnie jestem.

– Przestań – powiedziała Gina. Uszczypnęła go i przysunęła się bliżej. – Niestety Salvo nie ma teraz pracy.

Przez moment milczeli, patrząc na siebie.

– Czy twoje milczenie jest znaczące? – Harry wzruszył ramionami. – Poproś go, żeby tu przyjechał. – Poklepał ją po dłoni. – Nie mam nic przeciwko temu.

– Już go prosiłam. Najwyraźniej on nadal ma.

– Zdobyłem więc punkt za propozycję i nie muszę nic robić? Idealnie.

– Harry – upomniała brata Esther. – Uspokój się. Nie każ Ginie załatwiać twoich brudnych spraw. Nie bądź taki nieugięty. Czas zapomnieć o urazach.

– Nieugięty? Urazy? Czy to ja nie chcę przyjechać w bezpieczne miejsce, gdy ledwo uszedłem z życiem?

– Choć raz Harry ma rację, Esther – powiedziała Gina, znów go szczypiąc. – Salvo jest uparty jak osioł. Ma tupet, żeby mi mówić, że tutaj jest niebezpiecznie. Twierdzi, że tu szaleją huragany.

– To się nazywa deszcz i wiatr. – Harry wrócił do lektury „Palm Beach Gazette”. – Ile poważnych huraganów zanotowano tutaj w ciągu ostatnich dziesięciu lat? Ani jednego. A ile razy wybuchła w Bostonie melasa? Nie mam nic więcej do dodania.

4

Zaraz po tym jak dowiedzieli się, że Salvo żyje i ma się dobrze, Esther spakowała walizki i przepaszającym tonem oświadczyła, że postanowiła wrócić do Bostonu.

– Mam wyrzuty sumienia, zostawiając ojca na tak długo – powiedziała do nich w ostatni wieczór przed wyjazdem.

Zrobiło się późno, już dawno skończyli kolację. Rosa poszła na górę i siedzieli we trójkę na patio. Ogień prawie zgasł, prawie skończyło się wino. Czas, by wszyscy poszli już spać, pociąg odjeżdżał o świcie następnego dnia. A jednak siedzieli dalej.

Noc była cicha i duszna. W powietrzu unosił się głęboki zapach słonej wody.

– A jeśli ojciec byłby wtedy w North End? – zapytała Esther. – Jeździ tam często w tygodniu. Nadal nadzoruje nieruchomości, które zachował. Mógł tam być.

– Powiedz mi, Esther – odparł Harry – co mogłabyś zrobić, gdyby tam był?

Przeniosłabyś go w ramionach przez Salem Street?

Esther objęła brata i pocałowała go w głowę.

– Nie martw się – powiedziała. – Obiecuję, że wrócę, kiedy urodzi się dziecko. Wiem, że będziecie za mną tęsknić. – Uśmiechnęła się. – Ale masz żonę. A ojciec nie ma nikogo.

Gina naląła im resztę wina. Unieśli kieliszki. Po kilku minutach milczenia Gina skorzystała z ostatniej – jak sądziła – okazji, by zapytać rodzeństwo o niewypowiedziane. Bała się, że kiedy Esther wyjedzie, nie uda się skłonić Harry’ego do wyjaśnień.

– Powiedzcie mi – zaczęła z wahaniem – dlaczego Henry Flagler zbudował ten dom dla waszej matki?

Harry spojrzał na siostrę.

– Chcesz odpowiedzieć?

– Nie bardzo.

Nie podjęli tematu, więc Gina drażzyła dalej:

– Kochał ją?

– A skąd mamy wiedzieć?

– Być może – powiedział Harry. – Sama to mówiłaś, Gia.

– Tak. Ten dom to dzieło miłości. *Un travaglio d’amore*.

– No widzisz.

– Był żonaty, kiedy go budował?

Esther i Harry spojrzeli na siebie, trzymając kieliszki w dłoniach.

– Czy był żonaty? – powtórzyła Esther. – Tak. Nie? Być może. Mógł akurat być pomiędzy żoną numer dwa i trzy. Albo numer trzy i cztery. Albo i nie. Nie wiemy, skąd znalazł czas, by zbudować Bellagrand, gdy w tym samym czasie budował liczący pięćset czterdzieści pokoi hotel Ponce De Leon w St. Augustine. Może dlatego trwało to tak długo. Całe lata. Był zajęty innymi rzeczami.

– Nie wiem, czy był żonaty – dodał Harry – ale wiemy, kto na pewno nie był wolny. Nasza matka. Była żoną naszego ojca.

Gina się przeżegnała. Tym razem Harry i Esther nie skomentowali jej gestu i wyglądali tak, jakby sami mieli ochotę to zrobić.

– Rozumiem, że to mogło być trudne. Ale czy wasza matka wiedziała, że Flagler buduje dom dla niej? A może najpierw go zbudował, a potem jej pokazał?

– Wiedziała – rzucił stanowczo Harry.

– Uważamy, że mu pomagała – powiedziała Esther. – Często tu przyjeżdżała.

– Esther bardzo delikatnie to ujęła. Matka chyba musiała się tu przeprowadzić. Bo rzadko ją widywaliśmy. Kiedy miałem jedenaście czy dwanaście lat, widziałem ją chyba raz na pół roku.

– Byłeś w szkole z internatem – wyjaśniła Esther. – Ja ją widywałam.

– Ty też byłaś w szkole z internatem.

– Tak, ale ją widywałam. Na pewno nie raz na pół roku. Przesadzasz.

– Może. Chodzi mi o to, że między spotkaniami mijało sporo czasu.

– Nawet teraz podróż pociągiem stąd do Bostonu jest bardzo długa. Wtedy trwała tydzień. To długa droga, by odbywać ją samotnie.

– Tak – zgodził się Harry. – I matka rzadko ją odbywała. Mieszkała tutaj.

– Jak to tłumaczyła waszemu ojcu? – zapytała Gina w zamyśleniu. – Że nie było jej całymi miesiącami?

– Po prostu jej nie było.

– Harry, nie jesteś sprawiedliwy – zaprotestowała Esther. – Była.

– Tak?

– Może kogoś nie być i nie być – powiedziała Esther ledwo słyszalnym głosem.

Harry odstawił kieliszek.

– Gia, zboczyliśmy trochę z tematu i zapomniałem, o co pytałaś. A, tak. Jak to tłumaczyła? Chciałbym powiedzieć, że pewnie nie musiała. Ojciec był tak zajęty pracą, że mógł nie zauważyć, że zniknęła.

– Harry!

– Żartuję?

– Nie słuchaj, Gino. Oczywiście, że zauważył. A ona powiedziała nam, że pracuje nad czymś wyjątkowym na Florydzie. – Esther machnęła ręką w stronę ciemnego domu. – Nad nowym letnim domem. Początkowo przyjeżdżali tu razem z ojcem, by oglądać miejsca pod nowe inwestycje. Matka zostawała nad morzem, a ojciec pracował. Początkowo więc wydawało się, że ojciec aprobuje jej nieobecność.

– Tak – zgodził się Harry. – Ale ojciec szybko przestał tu przyjeżdżać, a matka zostawała.

– Jak długo to trwało? – Gina przełknęła ślinę. – To jej... hmm... zostawanie?

– Kilka lat. Zgadza się, Esther?

– Co najmniej. – Esther zajrzała do pustego kieliszka i odwróciła go do góry dnem.

– Prawda wygląda tak – powiedział Harry – że nic z Esther nie wiedzieliśmy.

Jego siostra potrząsnęła głową.

– Byłeś za młody. Ja czułam, że coś jest... nie tak. Pytałam stale ojca, a on powtarzał, że matkę coś zatrzymało. Tak to ujmował.

– Tak nazywano to pod koniec ubiegłego wieku – powiedział Harry. – Coś ją zatrzymało.

– A potem pewnego dnia wróciła. Tak po prostu.

– Nie było jej prawie rok – dodał Harry. – Zapytaliśmy, czy dom jest gotowy, a ona odparła, że pojawiły się problemy i musiała zrezygnować.

– Ale potem zabrała nas na Cape Cod – przypomniała sobie Esther. – Pamiętasz?

– Pamiętam. Zbieraliśmy małże na plaży w Truro.

– Tak. Nigdy więcej nie słyszałem słowa Floryda – powiedział Harry. – Dopóki ojciec nie przyjechał do mnie do Concord.

– Ja też nie – dodała Esther. – Harry, uwierzysz, że przyjął ją z powrotem?

Harry zacisnął pięści, a serce Giny zadrżało.

– Kiedyś – szepnął Harry – uważałem, że to niemożliwe.

Nie patrzył na Ginę ani na siostrę. Gina szybko zaczęła mówić, żeby Esther nie mogła się zastanawiać nad jego słowami.

– Ile lat minęło do jej śmierci? – zapytała.

Egzotyczne orchidee straciły kolor, nie widać było jaskółek ani zachodu słońca. Zniknęli rybacy i przemytnicy rumu, nie było muszli, spadzistych dachów ani lasów namorzynowych. Była tylko ciemność, migocząca świeca na stole i ostry zapach słonej

wody. Zapadająca noc z bladymi światłami po drugiej stronie zatoki.

– Sześć miesięcy – powiedziała w końcu Esther.

– Aż tyle? – zdziwił się Harry. – Wydawało mi się, że mniej.

– Na plaży w Truro byliśmy w sierpniu. Umarła w grudniu.

– Zgadza się. To niecała pora roku.

Gina wciągnęła powietrze i czekała, ogarnięta coraz większym smutkiem. Liczyła, ile razy zaśpiewał słowik, ile razy zagrały cykady. Esther siedziała wyprostowana jak struna, wpatrując się w bezmiar wody, a Harry pochylił się i oparłszy łokcie na kolanach, wbił wzrok w ziemię. Gina zacisnęła splecione palce. Minęły minuty.

– Jak umarła?

Odpowiedział jej Harry.

– Utonęła w rzece Mystic.

Dio mio, abbi pietà. Gina przeżegnała się, szepnęła bezgłośnie po włosku.

– Utonęła... przypadkiem?

– Tak, czemu pytasz? – powiedział Harry, nie podnosząc wzroku.

– Przekładem – powtórzyła jak echo Esther. – Jeśli zapomni się o kawałku betonu w worku zawieszonym na szyi.

– I o listach, które zostawiła dla nas zawieszane jak worki z betonem na naszych szyjach.

– Harry wyprostował się i objął Esther ramieniem. Pochyliła się w jego stronę.

– Tak mi przykro, Harry – wyszeptała Gina. – Tak mi przykro, Esther. – Nie odezwali się. – Jak poradził sobie z tym wasz ojciec?

Esther wzruszyła ramionami, z których zsunął się szal.

– Kto to wie? Nigdy o niej nie mówi, chyba że naprawdę musi, i nigdy nie wypowiada jej imienia. Ja czasami wspominam o niej przelotnie, kiedy rozmawiamy o innych osobach lub wydarzeniach, ale z reguły do tego nie wracamy.

Gina rozumiała. Ale nie tak załatwiało się te sprawy w jej rodzinie. Wszystko roztrząsano. Potem przyszło jej na myśl, że osądzając ojca, osądza jednocześnie syna, bo byli z Harrym małżeństwem blisko czternaście lat i po raz pierwszy usłyszała o śmierci Frances Barrington.

– Harry też nigdy nie mówi o matce – powiedziała.

– Dziwisz się? – zapytała Esther.

– A o czym tu mówić? – rzucił Harry. – Im mniej się mówi, tym lepiej. – Szturchnął siostrę. – Kiedyś o niej rozmawialiśmy.

– Tak – odparła Esther. – Zanim wykreśliłeś rodzinę ze swojego życia, od czasu do czasu rozmawialiśmy o matce.

– Ojciec powiedział, żebym nie wracał, więc go posłuchałem. Byłem posłusznym synem.

– Harry nadal obejmował Esther. – Pamiętasz, kto nigdy nie przestawał o niej mówić? Louis.

– Rzeczywiście. – Esther potarła oczy. – Dopóki nie ogłuchł, stale o niej mówił.

– Co stale powtarzał? – Harry poprawił szal na ramionach siostry i mocniej ją przytulił.

– Mówił: waszej mamie pękło serce.

– A kto może żyć z pękniętym sercem – dokończyła Esther.

Gina skuliła się na krześle. Szukała wzrokiem twarzy męża i jego siostry. Ogień dawno

zgasł i było prawie całkiem ciemno. Tylko świeca migotała na wietrze, a stopiony wosk spływał na talerzyk.

– Czy zostawiła coś dla ciebie, Esther?

Po twarzy Esther spłynęła jedna łza. Harry znów mocniej ją przygarnął.

– Tylko smutek. – Wziął głęboki oddech. – Skrzynię pełną ozdób i błyskotek. I cytaty z Hioba.

Świeca zamigotała po raz ostatni i zgasła.

Esther odezwała się chrapliwym głosem:

– Po co się daje życie strapionym, istnienie złamanym na duchu?[13]

5

Po wyjeździe dwóch rozgadanych kobiet wielki dom ze wszystkimi swoimi odgłosami wydawał się dziwnie cichy.

Okna i przeszklone drzwi wychodzące na trawnik były otwarte. Gina leżała w hamaku pod palmami. Nie było wiatru, więc liście nad jej głową się nie poruszały. Wzięła ze sobą książkę o dzieciach, ale zasnęła, gdy tylko jej oczy dotknęły strony.

Iluzja romansu w białym domu, który zbudowało tak rozpaczliwe pożądanie, wydawała się realna. Otworzyła oczy, by poszukać Harry'ego.

Stał niedaleko wody i lilii. Było gorąco, nie miał więc na sobie koszuli. Był opalony, słońce rozjaśniło mu włosy i stał się prawie blondynem. Golił się tylko w poniedziałki, by wywrzeć korzystne wrażenie na Margaret Janke; przez resztę tygodnia nosił szorstki zarost, którym łaskotał Ginę. W słońcu Florydy jego szare oczy wydawały się prawie niebieskie. Czyścił łódź i przygotowywał haczyki i żyłki do łowienia ryb. Stale przebywał na zewnątrz, coś kopiąc czy przybijając. Zrobił stół, żeby mógł przy nim siedzieć i czytać. Gina nie wierzyła własnym oczom. Zrobił stół! I to nie byle jaki, lecz okrągły z rzeźbioną podstawą i blatem z mozaiki, bardzo wyszukany i piękny.

– Czemu tak się dziwisz? – zapytał Harry obojętnie. – Myślisz, że tylko czytam i kocham się z żoną?

– Bo tylko to robisz – odparła.

Każdego popołudnia pomiędzy pływaniem a drzemką syciła go nektarem niczym wygłodzoną pszczołę.

Jednak kiedy leżała w hamaku i go obserwowała, często płakała. Czy to, czego się o nim dowiedziała, tłumaczyło jego początkową niechęć do posiadania dzieci? A może to zbytne uproszczenie? Co jakiś czas przyłapywała go, jak z niepokojem patrzy na jej obrzmiałe ciało, i zastanawiała się, czy odbiera ją inaczej teraz, gdy miała zostać matką. Czy Harry definiował matkę jako kogoś, kto porzuca dzieci dla kaprysu serca? Kupiła dla ich dziecka jedwabne śpioszki i żółtą piżamkę. Wymalowała różowe kwiaty na ścianach pokoju dziecięcego, szyła czapeczki, pieluszki i kaftaniki. Poprzysięgła sobie, że na nowo zdefiniuje dla Harry'ego pojęcie macierzyństwa i pokaże mu, jakie jest naprawdę – boskie.

Wlali paliwo do białej łódki, którą Harry nazwał Frances, i przy pełnej aprobacie

Fernanda popłynęli wzdłuż wybrzeża, a potem do jeziora Worth, rzucili kotwicę w małym ujściu przy zwisających gałęziach palm, udawali, że łowią ryby, zjedli lunch i rozmawiali cicho o imionach dla dziecka. Gina zasugerowała, by nazwać dziewczynkę jak łódkę. Harry zaprotestował tak głośno, że odleciały czaple. Nie chciał w ogóle o tym słyszeć. A ona nie chciała słyszeć o imieniu dla chłopca. Była przekonana, że urodzi dziewczynkę.

– Czuję to – powiedziała.

Pod mirtem w delcie rzeki wśród namorzynów zdecydowali się na Grace[14], bo jak inaczej można wytłumaczyć to, co się im przydarzało?

Gina przyniosła do domu całe sterty ubranek i pokazała je zdumionemu Harry'emu.

– Jak jedno małe dziecko może potrzebować całego sklepu ubranek? – zapytał. – Ja mam trzy koszule. Dlaczego on musi mieć dwadzieścia?

– Ona – poprawiła go Gina, rozkładając cudeńka z różowego jedwabiu i bawełny w kwiatki.

– Wiesz, moja żono, moja ogromna królowo piękności, moja mądra i falująca księżniczko, istnieje niewielka, może nawet znikoma, szansa, że to dziecko będzie chłopcem.

– Nie ma mowy – odparł zdyszany Fernando, który zaniósł zakupy Giny do sypialni. – My, Kubańczycy, mamy dar przewidywania. Pańska *señora* na pewno urodzi dziewczynkę.

– No dobrze, skoro wiesz z Kuby tak twierdzi, proszę, kupuj dalej różowe ciuszki.

Emilio i Carmela przychodzili teraz rzadziej, bo Gina chciała przebywać z Harrym sama, ale ogrodnik pracował sumiennie, kosząc zieloną, odporną na działanie soli trawę, która dochodziła aż do wody.

Margaret Janke skrzywiła się, gdy zobaczyła go przy pracy pewnego poniedziałkowego ranka. Powiedziała, że Harry powinien sam kosić trawę i pracować jak żona, która sprząta dom, szyje sukienki i gotuje papardelle z krewetkami w sosie czosnkowym.

– Moja żona robi też pastę pomidorową – powiedział Harry z błyskiem w oku. – W tym jej pomagam. – Gina, mocno już zaokrąglona, ubrana w muślinową haftowaną sukienkę przycinała drzewka pomarańczowe nieopodal i pogroziła mu pięścią w udanym oburzeniu, uśmiechając się od ucha do ucha jak dziecko.

– Powinien pan kosić trawę – powtórzyła Janke. – W więzieniu pracował pan w pralni, prawda?

– Chce pani, żebym kosił trawę czy robił pranie?

– Jedno i drugie. Czemu nie? Ma pan dość czasu. W pralni świetnie sobie pan radził. Mam raporty z więzienia.

– A to jest więzienie? Pracowałem w pralni, żeby kupować papierosy.

– Bez pracy człowiek nie jest kompletny. Jest niczym – powiedziała Janke. – Proszę spojrzeć na swoją żonę.

– Patrzę. – Jego oczy uśmiechały się do niej. W jej oczach pojawiło się uwielbienie.

– Proszę spojrzeć, ile ma zajęć. Zawsze coś sprząta, gotuje, naprawia, szyje. A teraz przycina drzewka. Widzi pan?

– Robi też zakupy. Całkiem spore. I daje nowe życie – dodał Harry. – I świetnie sobie z tym radzi. Jak pani widzi.

– Jeśli pan się czymś nie zajmie, nie zacznie czegoś robić, niebawem stanie się pan

ponury, podenerwowany i rozdrażniony.

Harry wstał od stołu z mozaikowym blatem, przy którym pili mrożoną herbatę.

– Pani kurator – zaczął. Jego oczy straciły blask. – Proszę nie cytować błędnie Pascala. Jeśli na czymś w życiu się znam, to są to francuscy matematycy. Nie siedzę beczynnianie ani przez jedną minutę w ciągu dnia. Brakuje mi czasu, by zrobić wszystko, co chcę. Nie mam dość minut, by przeczytać książki, które chcę przeczytać, pomyśleć o nich, napisać streszczenia w dzienniku, który prowadzę w tym celu. Pascal miał na myśli człowieka, który nie jest kompletny, gdy nie ma pasji i nie studiuje. Ja nigdy taki nie byłem. Aż kipię od pasji.

– Do złych rzeczy, panie Barrington.

– Do paru dobrych też. – Spojrzał na kobietę, która przysłuchiwała im się z powagą z sekatorem w dłoni. – Ale pani praca nie polega na ocenianiu moich zajęć lub rozrywek.

– Moja praca polega na przygotowaniu pana do życia w świecie zewnętrznym, do którego wejdzie pan za niecałe trzy lata.

– Nie. Pani pracą jest być moim strażnikiem. To wszystko. Przygotuję się sam. Nie jestem słaby ani pusty. Cieszę się światem. Moje serce nie jest znużone. Nie trawi mnie smutek. Budzę się codziennie tuż po świcie i nie mogę się doczekać, by zacząć kolejny dzień.

– Czy czuje pan, że ma pan cel?

– Oczywiście. Ale inny niż pani. Nie szpieguję mężczyzny w kwiecie wieku, by upewnić się, że nie odszedł za daleko od plantacji. Ale codziennie wstaję do pracy. Przygotowuję się do nowego życia, nowego prawa. Wiem, że życie, jakie wiedliśmy z żoną w Lawrence, skończyło się. Rozumiem, że nadejdzie pora, kiedy będzie się ode mnie wymagać innych rzeczy. Robię więc teraz, co mogę, i nie wpadam w rozpacz, czekając na jasną przyszłość.

Janke nie odezwała się, lecz nie spuszczała sceptycznego wzroku z jego szczupłej i opalonej sylwetki.

– Nie będę się uczył w Bellagrand, jak zostać kuratorem – powiedział Harry – jeśli dobrze interpretuję pani krytyczne spojrzenie.

– Źle je pan interpretuje.

– Nie będę dozorcą. Kiedy skończy się ta krótka izolacja, razem z żoną i naszym mającym się wkrótce narodzić dzieckiem będziemy mieli przed sobą całe życie. Przygotowuję się teraz do tej chwili, żeby być najlepszym mężem i ojcem. To, co pani krytykuje jako moją opieszałość, jest działaniem, aktywnym zainteresowaniem światem, który mnie otacza.

Gina podeszła do stołu.

– Przepraszam, Harry, mogę?

Cofnął się z lekkim ukłonem.

– Jak pani słusznie zauważyła, mam wiele zajęć – powiedziała Gina z otwartym sekatorem w dłoni. – Jednym z nich jest bronić mojego męża. Proszę go zostawić w spokoju. Nie jest pani filozofem. Jest pani strażnikiem. Więc proszę przyjeżdżać w poniedziałki i stać na straży. I bardzo się pani myli co do niego. Pani widzi owoce jego beczynności, a tak naprawdę są to owoce jego samotności. Czy możemy jeszcze czymś służyć, zanim pani odjedzie?

Harry pocałował Ginę, by ją obudzić, a potem nią potrząsnął.

– Już po drugiej, śpiąca królowno. Masz ochotę na lunch?

– Nie mogę uwierzyć, że tak długo spałam – mruknęła. Potrzebowała jego pomocy, by podnieść się z hamaka.

– Jesteś jak żółw leżący na plecach – powiedział, głaszcząc ją po brzuchu i ujmując pod ramiona. – Ale będziemy mieli zabawę, gdy zrobisz się jeszcze grubsza.

– Nie wyobrażam sobie, że mogę być jeszcze grubsza – powiedziała. Przeciągnęła się i ruszyła z nim w stronę domu.

– To prawda. Jesteś wielka jak Bellagrand.

– Umieram z głodu. Czy Emilio zrobił lunch?

– Nie – odparł, lecz zanim zdążyła otworzyć usta, by się poskarżyć, dodał: – Ja zrobiłem.

– Co?

– Wielkie nieba, czemu płaczesz?

Harry przygotował prawdziwą ucztę: sałatkę z krewetek i awokado i kanapki z serkiem i ogórkiem. Zjedli na werandzie. Zza wody dobiegały ich dźwięki hiszpańskiej gitary. Jedli prawie w milczeniu.

– Dobrze jest być samemu razem, żyć samemu razem.

Harry wyciągnął rękę i pogładził ją po brzuchu i bujnych piersiach, brązowych od słońca jak melasa.

– Najwyraźniej wcześniej też potrafiliśmy być sami razem, bo inaczej ja nadal siedziałbym w więzieniu, a ty naprawiałabyś sukienki w tej twojej portugalskiej przędzalni.

Cieszyła się, że rozmawia z nią tak lekko, wesoło.

– Wiesz – zaczęła z ustami pełnymi arbuza – że gdybym nie zastawiła mojego pierścionka, żeby zapłacić kaucję, nie siedzielibyśmy tu teraz? Nie byłabym w ciąży, nie mielibyśmy Bellagrand. – Pokręciła głową, sięgając po następny kawałek. – Strasznie było się z nim rozstać. Ale spójrz tylko, co mam w zamian. – Popatrzyła na niego, a potem wyciągnęła rękę, by pogładzić go lepką dłonią po szorstkim policzku. Nie odezwał się.

Czekała.

– Dlaczego nic nie mówisz?

– A co mam powiedzieć?

– Nie wiem. Coś. Cokolwiek. Nie mówiłam przecież do czapli na pomoście.

– Rzeczywiście. Stwierdziłem, że lepiej milczeć. Minutę temu płakałaś jak bóbr na widok ogórka na kanapce, więc nie mogę powiedzieć tego, co chcę, bo będziesz płakać do maja.

– Harry! Powiedz.

– Nie chcę doprowadzić cię do łez.

– Proszę, *mio diletto* – szepnęła. – Doprowadź mnie do łez.

Powiedział, że zaraz wróci, i zniknął. Czekała, kończąc jeść arbuza i spoglądając na wodę. Kiedy wrócił, podszedł do jej krzesła i uklęknął na podłodze z wapienia.

– Co ty...

Podał jej małe pudełeczko owinięte ozdobnym papierem.

Jej dłonie ociekały sokiem z arbuza. Zaczęła płakać, jeszcze zanim otworzyła pudełeczko.

– Widzisz, czemu nie chciałem nic mówić?

– Och, Harry. Co ty zrobiłeś?

– Nie wiem. Będziesz tak siedzieć i płakać czy otworzysz?

– Będę siedzieć i płakać – powiedziała, siedząc i płacząc.

Kiedy wytarła ręce, otworzyła czarne pudełeczko. W środku na niebieskim aksamicie leżał jej zaręczynowy pierścionek z dwukaratowym brylantem.

Wpatrywała się z otwartymi ustami w pierścionek, w klęczącego nadal Harry’ego.

– Co się dzieje? – zapytała. – To jakaś magiczna sztuczka? Nie rozumiem.

– To twój pierścionek, Gia.

– To niemożliwe.

– A jednak.

– Harry, to niemożliwe! To jakieś oszustwo.

– A jednak...

– Straciłam ten pierścionek.

– Nie straciłaś.

– To nie ten sam.

– Chcesz przeczytać napis wewnątrz?

Przez łzy nic nie widziała. Musiał to zrobić Harry. *Gia, amica mia, mia bella.*

Kiedy przestała płakać i mogła go wysłuchać, powiedział jej, że w styczniu, zanim wyjechali na Florydę, poprosił siostrę, by pojechała do lombardu w Lawrence i sprawdziła, czy pierścionek nie został sprzedany. Jeśli nie, prosił, by go wykupiła.

– Wiedziałem, że ty nie możesz o to poprosić mojej siostry. Ale ja mogłem. I poprosiłem. – Otarł jej twarz. – Właściciel lombardu wyjaśnił Esther, że pierścionek nie został sprzedany, bo on niemiłosiernie wywindował cenę.

– Dlaczego?

– Bo pamiętał ciebie i pomyślał, że jeśli ktokolwiek przyjdzie po ten pierścionek, na pewno zrobisz to ty, podniósł więc cenę i trzymał go, dopóki nie będziesz mogła go wykupić.

Gina płakała.

– Chciałem poczekać do naszej rocznicy w czerwcu, ale wspomniałaś o pierścionku, więc co mogłem zrobić? Poza tym co będzie, gdy urodzi się dziecko, a ty nie będziesz już miała głowy do pierścionków, miłości i Harry’ego? Słyszałem, że takie rzeczy się zdarzają.

– *Il mio cuore*, to się nigdy nie zdarzy.

W domu stale rozbrzmiewała muzyka: niespokojny jazz w radiu, zmagania Giny z *Marzeniem* Schumana, Fernando wygrywający na gitarze powolną habanerę. Siadywał na marmurowym dziedzińcu i wracał muzyką do dzieciństwa na Kubie, a dźwięki jego gitary unosiły się wśród palm. Słońce świeciło od rana do wieczora, szumiały wiatraki, dźwięczały noże i trzaskały szuflady. Toczyło się życie. Posadzili czarne jagody w piaszczystej ziemi i pomidory na później, by po narodzinach dziecka robić pastę z domowych, a nie kupowanych na targu. Razem robili pyszny sos i jedli makaron

z czosnkiem, małżami i krewetkami, warzywne lasagne, capellini primavera. Harry pił czerwone wino i całował ją wilgotnymi od niego ustami. Swoim nowym aparatem Kodak Brownie robił jej zdjęcia, których nigdy nie wywoływał, wrzucając filmy do szuflady na później, które nigdy nie nadeszło. Powiedział, że nie ma pojęcia, jak Gina może się pokazywać publicznie. Przebywanie z nią to jak nieustanny spacer przez dzielnicę czerwonych latarni w Nowym Orleanie. Była chodzącym pożądaniem. Odparła, że to najmiłsza rzecz, jaką słyszała w życiu.

Późnym wieczorem Harry przygotowywał dla nich kąpiel i rozpalał ogień w jasnobłękitnej łazience. Był dla niej bardzo czuły. Mydlił ją tak, jak ją kochał, trzymał ją tak, jak ją kochał, kochał ją tak, jak ją kochał. W niektóre noce przez otwarte okna wpadała lekka bryza. Pokój wypełniał zapach mydła, słonej wody i miłości jak odurzające perfumy, jak narkotyk.

Marzec i kwiecień przeszły w upalny maj, ulotną intymność, niesłabnący żar, rozkoszną radość.

Lemoniada jest gotowa, cukierniczka stoi na stole. Słońce świeci codziennie, a księżyc i gwiazdy rozświetlają dla nas noc, szepcze Gina jak pieśń miłości.

13 Księga Hioba 3,20.

14 *Grace* (ang.) – łaska.

Rozdział jedenasty

Całkowite zaćmienie

I

W połowie maja w gazetach zaczęło się odliczanie do dwudziestego dziewiątego, na który to dzień astronomowie przewidywali zaćmienie Słońca. Księżyc miał się znaleźć między Ziemią i Słońcem, a w tropikach na niebie nie będzie można dostrzec Jowisza. Przez chwilę, może dłużej, na świecie wokół równika zapadnie ciemność.

Sąsiedzi Giny i Harry'ego, Chuck i Karen, przyjechali swoim nowiutkim samochodem do Bellagrand, by się przedstawić. Oświadczyli, że z okazji zaćmienia wydają wielkie przyjęcie. Na południowej Florydzie położonej tuż nad Zwrotnikiem Raka, zrobi się ciemno. Czy Harry i Gina mieliby ochotę przyjść?

Chuck i Karen stale wydawali wspaniałe przyjęcia. Dwa razy w tygodniu nad zatoką rozlegała się głośna muzyka i gwar tłumu, a głosy podpitych gości słyhać było aż nad jeziorem Worth. Ujęci zaproszeniem Harry i Gina nie chcieli się tłumaczyć aresztem domowym.

– Dziękujemy – powiedział Harry – ale jak widzicie, moja żona niebawem urodzi dziecko.

Gina była ogromna, szwy na cienkiej sukience w orchidee rozchodziły się pod naporem zaawansowanej ciąży.

– Gratulacje. Ale chyba nie tak szybko? Nie w dzień zaćmienia?

– Wierzę, że to się stanie właśnie w dzień zaćmienia – odparł Harry. – Choć lekarz się ze mną nie zgadza.

– Lekarze nie wiedzą wszystkiego – oświadczyła Karen, szczupła, krótkowłosa, wygodnie ubrana starsza kobieta o białej skórze, która bardzo nie pasowała do tropików. – Mój powtarza stale, że whisky może mi zaszkodzić. – Roześmiała się serdecznie. – A jednak jestem okazem zdrowia. – Mąż stał obok niej w milczeniu.

– Lekarze może nie wiedzą wszystkiego – wtrąciła Gina – ale mężowie też nie.

– Racja – zgodził się Harry. – Czasami mężowie nie wiedzą wszystkiego. – Zawiesił głos. Gina szturchnęła go łokciem. – Ale wiem, kiedy urodzi się moje pierwsze dziecko. Tutaj. – Poklepał się po sercu.

– Wpadnijcie koniecznie – powiedziała Karen, machając do nich od fontanny Afrodyty – jeśli dziecko nie zdecyduje się przyjść na świat w tym doniosłym dniu. Powiedzcie mu, że to niegrzecznie. – Roześmiała się i wsiadła do samochodu. – Co myślicie o naszym nowym rydwanie? Kupiliśmy go tydzień temu.

– Piękny! – zawołała za nimi Gina. – Uważajcie przy wyjeździe z bramy!

– Gdyby czekał z urodzinami na dzień, w którym nie wydają przyjęcia – powiedział Harry, patrząc jak Chuck i Karen odjeżdżają niebieskim cadillakiem – to chyba nigdy by się nie urodził.

– Nigdy by się nie urodziła – poprawiła go Gina. – Ona.

Dwudziestego dziewiątego maja 1919 roku Gina obudziła się koło siódmej i zapytała Harry'ego, który stał już przy oknie, czy widzi stamtąd zaćmienie.

Odparł, że nie, ale sądząc po odgłosach dobiegających z domu Chucka i Karen, można było wywnioskować, że jednak coś widać.

– Balowali od wczorajszego popołudnia – powiedziała Gina. – Widziałeś, jak zniszczyli bramę? Wiedziałam, że jadą za szybko.

– Ich cadillac ma wgnieciony prawy bok.

– Pójdziemy? – zapytała. – Mogłoby być miło. Poznalibyśmy nowych ludzi. Przestalibyśmy myśleć. Czekamy tylko i czekamy. Fernando na pewno pozwoli ci wyjść do domu obok.

– Nigdzie nie idę. Janke mnie nie znosi i tylko na to czyha. A jeśli na przyjęciu będzie jakiś radykał? Nie. – Harry potrząsnął głową. – I o czym mamy przestać myśleć?

– O dziecku.

– Nie możemy przestać myśleć o dziecku, bo jak ci mówiłem, urodzi się dzisiaj. Czas na nagrodę.

– Och, Harry – powiedziała Gina, gładząc się po wydętym jak balon brzuchu. – Nie bądź głuptasem. To nawet się nie zbliża.

Godzinę później poszli popływać w basenie, bo było straszliwie gorąco. Gina siedziała potem na patio, popijając lemoniadę. Nawet się nie wytarła, tylko patrzyła w niebo i słuchała, jak Harry czyta artykuł o Arthurze Eddingtonie z Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego w Greenwich w Anglii. Pojechał na wyspę położoną przy wybrzeżu Afryki Równikowej, by robić zdjęcia zaćmienia Słońca. Wyjazd podyktowała niesprawdzona teoria urzędnika patentowego w Szwajcarii o nazwisku Albert Einstein.

Przez lata Einstein spekulował, że czas i przestrzeń nie są absolutami, lecz są względne w stosunku do sił grawitacji innych obiektów i, co ważniejsze, względne wobec prędkości, z jaką inne objekty się poruszają. Grawitacja i ruch wpływały na czas i przestrzeń. Tylko całkowite zaćmienie Słońca pozwoli Eddingtonowi zmierzyć teoretyczne odkształcenie światła – wpływ grawitacji Słońca na światło odległych gwiazd. Jeśli promienie słoneczne nie wykrzywią się podczas zaćmienia, jak twierdził Einstein, jego teoria okaże się fałszywa, a on się skompromituje i okryje niesławą. Oczy całego świata zwrócone były na poczciwego starego Eddingtona, który miał zrobić szesnaście zdjęć Słońca wyłaniającego się z cienia Księżycy.

– Pierwsza trzydzieści czasu Greenwich – powiedział Harry, spoglądając w niebo. –

Ósma trzydzieści rano czasu Bellagrand. – Spojrzał na zegarek. – To teraz, Gina. Patrz.

Poprawiła się na krześle i podniosła wzrok. Zrobiło się ciemniej, a ona poczuła nagle wstrząs, jakby przez jej ciało przebiegła wielka fala. Wzdrygnęła się i o mało co nie spadła na ziemię. Robiło się coraz ciemniej. Harry zerwał się z miejsca, gazeta spadła na ziemię, spojrzał na nią i pobiegł do telefonu.

– Harry, najpierw zaprowadź mnie na górę! – zawołała za nim Gina – ale potem powiedz akuszerce, żeby się pospieszyła.

Na szczęście Carmela i Emilio byli w kuchni. Carmela kazała Harry’emu zostać na dole, a sama zaprowadziła Ginę do sypialni. Gina chciała protestować, wyciągała rękę do Harry’ego, lecz usta odmówiły posłuszeństwa, bo ciało pochłonął potop, który odebrał jej mowę.

– Dlaczego tak nagle? – wyszeptała do Carmeli. – Myślałam, że mam jeszcze trochę czasu.

– *Señora*, chyba odeszły pani wody. Nie czuła pani?

– Nie, wyszłam z basenu. – Dyszała ciężko. – Było gorąco. Pociłam się. – Zgięła się wpół i zaczęła powoli schodzić po schodach. – Muszę iść, Carmelo, dziecko chyba jest w basenie. Pomóż mi. Zostawiłam ją. Wyśliznęła się.

– *Señora*, proszę iść ze mną.

– Nie, muszę sprawdzić. Jestem tutaj, a ona jest tam...

– *Señora*, proszę tutaj, do sypialni. Proszę się położyć, zaraz wrócę.

– Carmelo, poproś Harry’ego, żeby po nią poszedł. Bo...

– Ma pani omamy. *Ćśśś*.

– Jakim cudem rozumiesz, co mówię? A ja rozumiem ciebie? Mówisz po angielsku?

Dlaczego w pokoju jest tak ciemno? Zupełnie jak w nocy. Co się dzieje? Gina podniosła wzrok na sufit – krzyknęła – tonęła – krzyczała bezgłośnie, jakby była pod wodą.

Reszty nie pamięta dobrze.

Otwiera oczy raz, dwa razy, jest tu mężczyzna, którego nie poznaje, kobieta, której nigdy nie widziała, ktoś się nad nią pochyla, próbuje przypomnieć sobie imię mężczyzny, który jej to zrobił, żeby mogła go zabić, ale nie może, szepce, Mimoo, Mimoo, potrzebuję matki. Jest gorąco, wilgotno, rozlega się przesywający dźwięk i w delirium myśli, że to ona. Krzyczy, lecz nie wydobywa się żaden dźwięk, jest pod oceanem.

Nagle światło. Akuszerka, której imienia zapomniała, i lekarz, którego imienia zapomniała, uśmiechają się nad nią, a na jej piersi leży wijące się stworzenie z gęstymi włosami i długimi kończynami, a ona teraz prawie coś słyszy, prawie... Zamyka oczy.

Kiedy znów je otwiera, stoi przy niej mężczyzna i uśmiecha się od ucha do ucha. Pochyla się i mocno ją całuje. Ależ sobie pozwala! Jak ma na imię? Nie pamięta. Ach, tak. Harry.

– Gia – mówi Harry, całując ją, ocierając jej czoło, cały rozpromieniony. – Przepraszam, ale mówiłaś, że dasz malutkiej na imię... Jak? Nie pamiętam imienia, jakie wybraliśmy dla naszej córeczki. Możesz mi przypomnieć?

Dlaczego on tak się uśmiecha? Jak kot na widok myszy.

Gina spogląda na swoje dziecko.

To nie jest dziewczynka.

Dwudziestego dziewiątego maja 1919 roku całkowite zaćmienie słońca zmieniło wszechświat, potwierdziło teorię względności Alberta Einsteina i przyniosło mu Nagrodę Nobla. Zaćmienie, dzięki któremu zyskał natychmiastową sławę i które sprawiło, że jego nazwisko stało się znane na całym świecie, było jednym z najdłuższych z zanotowanych w historii – trwało prawie siedem minut. Poród Giny, który przewidział tylko Harry, trwał niestety dłużej. Suma kątów trójkąta już nie wynosiła sto osiemdziesiąt stopni. Słońce w pełnej krasie wisiało nisko na niebie, kiedy na świecie pojawił się malutki chłopczyk. Urodził się w błękitnej sypialni Bellagrand, rezydencji wybudowanej dla matki Harry’ego przez mężczyznę, który nie był jej mężem. Malec zakrzywił czas i przestrzeń siłą swojej grawitacji i zagiął światło wokół nich.

2

– To chłopiec! – wykrzyknął Harry. – Jak to możliwe? Wróżbita Fernando mówił, że to niemożliwe. Ty też, wieszczko z Sycylii. – Leżał na boku obok niej. Byli w pokoju tylko we trójkę.

Gina nie odpowiedziała, a dziecko, wykąpane i ciasno otulone, leżało w jej ramionach.

– Jak mogłam urodzić chłopca? – szepnęła. – Jestem córką swojej matki. Znam tylko dziewczynki. Co ja pocznę z chłopcem?

– Nie wiem. A co robiłabyś z dziewczynką? Karmiła ją. Przewijała.

– A potem?

– Nie wybiegam myślami tak daleko. – Harry czekał przez chwilę. – I co?

– Co?

– Mogę go potrzymać?

– Za chwilę. – Zakaszłała. – Co się stało z moim głosem?

– Może go nadwerężyłaś.

– Krzyczałam?

– Trochę.

Zapadł wieczór. Minęła noc. Chyba w ogóle nie zmrużyli oka. Dziecko spało.

Tuląc je do piersi, Gina nie mogła oderwać od niego oczu. Modliła się o ulgę, przebaczenie. Modlitwą dziękowała. Płakała za matką, żałowała, że Mimoo nie może go zobaczyć, nie może zobaczyć dziecka swojego dziecka, potrzymać go. Kto wie? Gina podniosła dziecko. Jest tutaj, Mimoo. Nasz chłopczyk. *Grazie, più misericordioso Dio.*

Próbowała go nakarmić. Próbowała go obudzić, otworzyć mu oczy. Nie mogła spać, bo słuchała, jak oddycha. Był zbyt cichy i to ją martwiło.

– Mogę go potrzymać?

– Za chwilę.

Przez całe nasze małżeństwo czekałam, by urodzić to dziecko, chciała powiedzieć. Prawdopodobnie nie będę miała drugiego. To może być jedyna chwila, w której będę trzymać noworodka.

– Ja też, Gia.

O, mówiła na głos. Usłyszał ją. Ona nie słyszała własnego głosu.

Rano Harry zszedł na dół. Zadzwoił do Bostonu, zawiadomił wszystkich, nawet Salva, wypalił kubańskie cygaro podarowane mu przez Fernanda, zjadł śniadanie, przeczytał gazetę. Wrócił na górę ze słodką bułką i kawą.

Gina nie ruszyła się ze swojego miejsca na łóżku. Siedziała oparta o poduszki z dzieckiem na piersi, matka i syn, brzuch przy brzuchu, pogrążeni w półśnie.

Harry opadł na łóżko obok nich, obrażony jak dziecko.

– Ostrożnie!

– Mogę go potrzymać?

– Dobrze. Kiedy się obudzi. – Nadal chrypiała.

– Zepsujesz go.

– Miłością?

– Przez całą noc spał na twoim brzuchu. Jakby jeszcze był w łonie. Wiem, że tam jest miło, ale...

– Teraz jest na zewnątrz. – Nie zdejmowała rąk z dziecka. Nie mogła jeść, nie mogła pić. Otworzyła usta i Harry ją napoił.

Dziecko było największe, jakie przyjęła akuszerka. Największe, jakie widział lekarz. Poród odbył się bez żadnych komplikacji, ale akuszerka na wszelki wypadek wezwała lekarza.

– Niedługo będzie za duży, by go nosić – powiedział Harry.

– Ale jeszcze nie, prawda?

– Co wtedy zrobisz?

– Nadal będę go nosić.

– Kiedy skończy dwadzieścia lat? Dwadzieścia pięć?

– Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby mi pozwolił.

Harry spojrzał z tęsknotą na buzię ciemnowłosego noworodka śpiącego na piersi Giny.

– Nie mamy planu awaryjnego dla chłopca – przypomniał. – Czy imię Grace też się nada?

– Nie. Nazwiemy go Anthony Aleksander Barrington. Po moim ojcu i bracie. Będziemy go nazywać Aleksander.

– A ja nie mam nic do powiedzenia?

– Nie.

Chłopczyk poruszył się, zaczął płakać.

– Może protestuje – powiedział Harry. – Może chce mieć na imię Harrison.

– Harrison Barrington? – Zaśmiała się gardłowo. Nadal miała bardzo niski głos.

– Horatio Barrington?

– Jak morski bohater Anglii? Ty, pacyfista, chcesz nazwać syna na cześć legendarnej admirała?

– Nie, nie, masz rację. – Spojrzał na nią czule. – Nie wiedziałem, moja wieśniaczko z Sycylii, że tak dobrze znasz militarną historię Wielkiej Brytanii.

– Studiowałam rewolucję francuską w Simmons. Zaraz po niej był Napoleon. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że nie podoba mi się Max Robespierre?

– A co to ma wspólnego z...

– Był taki nadęty i bez humoru – ciągnęła cicho nad główką dziecka, odchrząkując po każdym zdaniu. – Zastanawiałam się, czy jakaś kobieta mogła go pokochać. Był taki smutny w tym swoim morderczym splendorze.

– Hm...

– Ale Nelson! To mężczyzna dla ciebie. Wiesz, że kochała go najpiękniejsza kobieta w Anglii? Niektórzy twierdzą, że na świecie.

– Jak mnie? – Harry się uśmiechnął. – *Ecco sei bella*.

– Głuptasie. Nie. Horatio Nelson i Emma Hamilton. – Rozmarzyła się.

– Świetnie. Następne imię na H. Może Hamilton Barrington?

– Przynajmniej jesteś zabawny. W przeciwieństwie do Robespierre'a.

– Nie staram się być zabawny – odparł Harry. – Próbuję podtrzymać długoletnią tradycję imion na H w rodzinie Barringtonów.

– Nie wiedziałam, że to dla ciebie ważne.

– Ja też nie. Do teraz.

Dziecko poruszyło się, ożywiło. Harry poruszył się, ożywił.

Położyli je na pleckach na łóżku, rozwinęli z kocyka, pochylili się.

Przez kilka minut patrzyli, jak malec wije się i kwili.

– Dlaczego on musi wyglądać dokładnie jak ty? – zapytał Harry.

Pocałowała go.

– Jest taki jak ty pod wszystkimi ważnymi względami, *amore mio* – powiedziała. – Ale dlaczego płacze?

– Nie wiem. Może chce mieć imię na H?

– Chyba nie o to chodzi.

– Może chce, żeby ojciec go potrzywał?

Wreszcie niechętnie mu pozwoliła.

Boże! Minęła noc i część następnego dnia, zanim Harry mógł podnieść wijącego się nagiego synka. Zaniósł go do otwartego okna. Było tak gorąco. Znad wody prawie nie dochodziła słona bryza. Chłopczyk uspokoił się i leżał nieruchomo, patrząc na ojca. Po chwili zasnął. Harry usiadł na balkonie w swoim ulubionym bujanym fotelu.

– Mój syn – szepnął.

– Przynieś go z powrotem – zażądała Gina.

– Za chwilę.

– Zmarznie.

– Na zewnątrz jest trzydzieści pięć stopni. To prawie taka sama temperatura jak w łonie.

Kiedy nie odzywała się przez kilka minut, Harry obejrzał się na łóżko.

Zasnęła na kołdrze. Dzięki Bogu. Harry ponownie skupił się na synu. Mijały godziny.

– Chyba zaczynam rozumieć, dlaczego matka nie chciała cię puścić – szepnął, przesuwając ustami po główce śpiącego malca. Sam mógłby tak zasnąć, trzymając go w ramionach. – Jak cię nazwiemy, synu? Szepnij mi imię, które chciałbyś nosić, tak żeby mama nie słyszała. Jakie ci się spodoba? Howard Barrington? Herbert Barrington? Howie? Herbie?

– Anthony Aleksander Barrington – zawołała ochryple Gina. – I będziemy go nazywać Aleksander. Przynieś go tutaj. – Zakaszłała.

– Oho. Obudziła się. – Harry zasłonił dłońmi uszka synka. – Nie słuchaj tego chrapliwego sycylijskiego głosu, który mówi ci, co masz robić. Sam sobie wybierzesz imię. Jakie byś chciał? Harley? Hektor?

– Aleksander – powiedziała Gina. – Przynieś go tutaj. Musi jeść.

– Nie pozwól zawrócić sobie w głowie tylko dlatego, że to mama może cię karmić – szepnął do główki synka. – Ty i ja możemy robić razem wiele innych rzeczy. Zabawnych.

– Na razie nici z zabawy, bo muszę go nakarmić.

Harry powoli wrócił z chłopcem do pokoju.

– Hektor to ładne, silne imię.

– Owszem, jeśli jesteś Grekiem i przegrywasz długą bitwę. W innym wypadku nie. Podaj mi go. – Wyciągnęła rękę. – Wiesz, jakie jest ładne, silne imię? Aleksander. – Wreszcie znów miała go w ramionach. Z uśmiechem pocałowała go w główkę, zsunęła koszulę i przystawiła go do piersi. – Zdobywca świata.

– Mój syn nie jest wojownikiem – powiedział Harry. – Nie może być zdobywcą.

– Hektorem też nie będzie.

Mleko pojawiło się trzeciego dnia. Ginę i Harry'ego zdumiała jego obfitość. Przez pierwsze dwa dni chłopczyk był marudny i mocował się z piersią. Bali się, że nie je wystarczająco dużo. Jadł tylko rzadką ciecz cytrynowej barwy. Nagle z piersi Giny do ust malca popłynęła fala białego mleka. Chłopczyk natychmiast się uspokoił, a jego apetyt został zaspokojony.

Po karmieniu Harry przytulił twarz do piersi Giny.

– *Amore mio* – szepnęła – nie goliłeś się od wielu dni. Co ty wyprawiasz?

Podrapał ją lekko zarostem po brzuchu, gdzie wcześniej było dziecko. Polizał ją pod piersiami, w miejscu słodkim i lepkiem od mleka. Pieścił ją ostrożnie. Całował jej brązowe ręce od nadgarstków po ramiona. Całował pełne piersi.

– Nie dotykaj sutków, *mio tesoro*. Bo będę krzyczeć. Służba na dole pomyśli, że wyprawiasz ze mną straszne rzeczy.

– Próbuję.

– Jeszcze nie.

– Kiedy będę mógł dotykać cię całą? No chodź, rozbierz się, zdejmij koszulę.

– Nie możesz mnie dotykać, Harry. Słyszałeś, co mówił lekarz. Żadnych małżeńskich rozkoszy, dopóki nie wydobrzeję.

– Jestem pewny, że przez małżeńskie rozkosze rozumiał opłacanie rachunków czy coś takiego. Jak długo, mówił?

– Cztery tygodnie.

– Cztery tygodnie! Oszalałaś?

Osadziła go jednym spojrzeniem.

– Siedziłeś w więzieniu dłużej, Harry.

– To było wtedy. Moje nowe ja przypomina stare, pełne małżeńskiej obfitości. Pomóż, proszę.

– Teraz nie. – Uśmiechnęła się. – Dziecko jest tutaj.

– A kiedy go tu nie będzie?

– Zawsze będzie.

– No właśnie. Trzeba będzie jakoś to obejść.

Potem wrócili do innych małżeńskich rozkoszy, czyli sprzeczek.

– A może Absalom? – Harry uśmiechnął się zadowolony i zwinął w kłębek, gładząc malca po policzku. – Chcesz być Absalomem, synku?

Gina spojrzała na niego zdziwiona.

– A cóż ty możesz wiedzieć o Absalomie, *caro*?

– Myślisz, że czytam tylko Maxa Eastmana?

– Spójrz na swoje książki. Wiem, że tylko to czytasz.

Nie spuszczał wzroku z synka.

– Czasami zaglądam też do twoich malutkich książeczek.

– Moich malutkich książeczek? – Roześmiała się, zakaszła. – Chodzi ci o moją malutką Biblię?

Wzruszył ramionami i przytulił się do synka.

– Zacząłem czytać Księgę Samuela dla opisów bitew. Czytałem dalej, bo była nieprzyzwoita. Sporo tam tego. Może Samuel?

– Nie.

– Dawid?

– Nie.

– Salomon?

– Nie.

Harry'emu przyszło na myśl ostatnie imię na H.

– Homer! – wykrzyknął. – Homer Barrington. Podróżnik, wojownik, prosto od Greków. Pasuje, prawda? Może nasz syn także wyruszy w podróż długą jak odyseja.

– Może – odparła Gina, nieustępliwa do końca. – Ale wyruszy w nią, nosząc imię Aleksander.

3

Esther i Rosa zjechały do Bellagrand siedem dni po narodzinach Aleksandra.

W sypialni trzy kobiety w uwielbieniu pochylały się nad malcem. Klęcząc przy łóżku, wpatrywały się w niego z otwartymi ustami. Przesunęły go na środek, rozwinęły z kocyka. Dołączył do nich Harry i teraz czwórka dorosłych pochylała się nad nim, szepcząc, mrużąc, oceniając.

– Na co się tak patrzycie? – dopytywał się Harry.

– Przyglądamy mu się.

– Jak przez teleskop wymierzony w Alpha Centauri – powiedział Harry. – Jest doskonały, prawda?

– Jest – odparła zachwycona Esther. – Ale nie jest podobny do naszej rodziny. My wszyscy urodziliśmy się łąsi. Spójrz na jego czarne włosy.

– W naszej rodzinie – powiedziała Gina – wszyscy rodzili się z włosami. To typowe dla

Sycylii.

Esther spojrzała na Ginę ubraną w brzoskwinowy jedwabny szlafrok z kaskadą brązowych włosów rozrzuconą na ramionach.

– Co się stało z twoim głosem?

– Nie wiem. – Gina wzruszyła ramionami. – Jakoś nie mogę go odzyskać.

Esther zwróciła wzrok na bratanka.

– Co on teraz robi? Co to jest?

– Nic – odparła Gina. – Ziewa. To normalne.

– Dlaczego ziewa? Często to robi? Może chce spać?

– Dopiero co się obudził.

– To dlaczego ziewa?

Harry patrzył na siostrę z rozbawieniem.

– Co się z tobą dzieje?

– Nic – odparła, siląc się na suchy ton. – Na co tak patrzysz?

– Wpatrujesz się w niego, jakby to było drugie przyjście.

– Co masz na myśli, mówiąc drugie? – chciała wiedzieć Gina.

– Esther, dlaczego prychniesz? – Harry przesunął palcami przez włosy. – Dlaczego jeden niemowlak sprawia, że wszyscy dorośli wokół niego zamieniają się w dzieci?

– Nie zwracaj uwagi na brata – poradziła Gina. – Chciałabyś go potrzymać?

– A mogę?

– Oczywiście. – Gina owinęła synka kocykiem, podniosła i podała szwagierce. – W każdej chwili.

– O, Esther może go trzymać w każdej chwili? – zapytał Harry, szturchając Ginę w żebra.

Przez kilka minut Esther nie mogła wykrztusić ani słowa; trzymała tylko malca, próbując zapanować nad łzami.

Harry wyrzucił ręce w górę.

Gina podała Esther chusteczkę.

– Zapomniałaś chusteczki? – powiedziała cicho, łagodnie. – Jak ja?

– Nie przejmuj się. – Esther odzyskała panowanie nad sobą. – Naprawdę uważam, że to najpiękniejsze dziecko, jakie się kiedykolwiek urodziło.

– To nie jest kwestia przekonań – powiedział Harry. – To fakt.

– Jak go nazwiecie?

– My? – zdziwiła się Gina. – Aleksander.

– Jak? – Esther mocniej przytuliła malca.

– Ja tak zdecydowałem – powiedział Harry.

Esther pokręciła głową.

– Nikt tak nie nazywa dziecka w Bostonie – powiedziała zdecydowanie.

– A jesteśmy w Bostonie?

– No to w Ameryce. Nadal jesteście w Ameryce, prawda? Jak naprawdę go nazwiecie? Musimy się poważnie nad tym zastanowić. Imię dla dziecka to bardzo ważna sprawa.

– Zgadza się – powiedziała Gina. – Bóg wyznaczył nam ten obowiązek. Człowiek nazywa rzeczy. I nie musimy się wcale nad tym zastanawiać. Nazwiemy go Anthony

Aleksander. Będziemy do niego mówić Aleksander.

– Powiedziałaś przed chwilą, że człowiek nazywa...

– Nie chodziło mi tylko o mężczyznę.

– Ale tak było.

– Nie.

Esther odwróciła się od Giny, jakby chciała osłonić dziecko przed intruzem.

– Proszę, bądź poważna. Haroldzie, nie stój tak. Przemów żonie do rozsądku, a ja zajmę się dzieckiem.

Harry rozłożył ręce w geście bezradności.

– Esther, dlaczego się ze mną kłócisz i nazywasz mnie Haroldem?

– Nie jesteś ojcem dziecka?

– A co to ma z czymkolwiek wspólnego? W tej sprawie nie mam już chyba nic do powiedzenia.

Rosa i Esther prawie potrzebowały soli trzeźwiących.

– Esther – zaczęła Gina, wyjmując dziecko z jej niechętnych ramion. – Mój ojciec nazywał się Anthony Aleksander. Mój starszy brat nazywał się Anthony Aleksander. I mój syn będzie się nazywał Anthony Aleksander.

– Trzeci?

Gina pokręciła głową.

– Oni nosili włoskie imiona. Antonio Alessandro. On jako pierwszy będzie miał amerykańskie.

Do rozmowy wtrąciła się Rosa.

– Rozważaliście inne możliwości? Jest teraz tyle pięknych imion dla dzieci. William. Walter.

Gina spuściła wzrok na synka, obrzucając go pełnym uwielbienia spojrzeniem.

– Nie będzie Williamem ani Walterem. Spójrzcie na niego. To Aleksander. – *Il mio bambino. Il mio figlio.*

– Nie ma sensu się kłócić, Esther – powiedział Harry. – To tylko strata czasu. Dość już go zmarnowałam. Macie ochotę na lunch? Zadzwoń na Emilia.

– Na pewno nie będę do niego mówić Aleksander – oświadczyła Esther. – Nigdy. Będę mówić Ksander.

Stojąca obok niej Rosa prychnęła.

Harry chwycił dzwonek.

– Emilio! Ratuj! O mój Boże. Czy w tym domu zjawi się kiedyś jakiś mężczyzna, czy będę musiał żyć w otoczeniu jęczących kobiet?

– W tym domu zjawił się mężczyzna. – Gina podniosła malca. – Twój syn.

– Skąd mam to wiedzieć? Prawie nie wolno mi go trzymać.

– Potrzebuje matki. Możesz go karmić?

Harry i Gina spojrzeli na siebie z czułością, tęsknotą.

– Nie trzeba go karmić dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawda? – Harry zniżył głos.

– On ma rację – powiedziała sztywno Esther. – Możesz go przekarmiać. Jest za duży.

– Czy chłopiec może być za duży? – zapytała Gina schrypniętym głosem. Uśmiechnęła

się. – Chyba nie.

– Ile ważył po urodzeniu?

– Lekarz powiedział, że cztery kilo osiemset. Ale chyba się pomylił – odparła Gina. – Powiedział też, że mierzył sześćdziesiąt jeden centymetrów. Ale to nieprawda.

– Wiem tylko, że jest za duży. Nie zmieści się w żadne ubranka, które przywiozłyśmy. – Esther odwróciła się do pokojówki. – Prawda, Roso?

– Nie doceniłyśmy go – odparła Rosa, wydmuchując nos.

– Pojedźmy na drugą stronę laguny do Tequesty i kupmy więcej ubranek. Harry, możesz zawołać Fernanda? Każ mu przygotować samochód.

– Już wyjeżdżacie? Dopiero co przyjechałyście!

– Nie ma sensu się ościagać. – Schyliła się po Aleksandra. – Może jechać z nami? – Zaśmiała się cicho, muskając nosem jego główkę. – Grzeczny chłopczyk, pojedziesz na zakupy z dziewczętami?

Słyszając śmiech Esther, Harry i Gina wymienili zdumione spojrzenia.

– Czemu nie – odparł Harry. – On nie przebywa w areszcie domowym jak ja.

– Może jechać – powiedziała Gina, kręcąc głową. – Ale jeszcze nie teraz. Nie jest ochrzczony. Nieochrzczone dziecko nie może opuszczać domu. Za sześć tygodni wyprawimy chrzciny i wtedy będzie mógł wyjść.

– W porządku. Pojedziemy bez niego – zgodziła się Esther. – Zostaniemy do chrzcin.

Harry jęknął.

– Nie wytrzymam... Potrzebuję wsparcia. Gino, proszę, zadzwoń do Salva, zaprosz go. Powiedz, że błagam go o wybaczenie na kolanach.

– Cieszę się, że to mówisz – odparła Gina. – Bo Salvo przyjedzie. Będzie ojcem chrzestnym.

– Salvo? Ojcem chrzestnym? – wykrzyknęła Esther. – Och nie... nie mów, że po tym, jak nazwałeś go Aleksander, ochrzczisz go jako katolika!

Gina zasłoniła synka przed wzrokiem Esther brzoskwiniowymi fałdami jedwabnego szlafroka.

– A w jakiej religii mam go ochrzcić? Harry'ego? Czy twój brat w ogóle wie, co to takiego religia?

– Gino, musisz wiedzieć, że zawsze byliśmy metodystami.

– Esther, kochanie, gwarantuję ci, że Harry nie umie powiedzieć o tej religii ani jednego słowa.

– Nieprawda – zaprotestował Harry. – Na pewno jest chrześcijańska... Zgadza się?

Tydzień później przez drzwi z afrykańskiego drewna przeszedł Salvo. Jakimś sposobem sam trafił ze stacji do Bellagrand i Fernando nie musiał po niego wyjeżdżać. Salvo nie miał samochodu ani mapy. Zapytał kogoś o drogę po włosku, usłyszał wskazówki po hiszpańsku i przyszedł do domu przez most, z rzeczami w worku zarzuconym na ramię.

Włosy Salva siwiały lekko na skroniach, lecz nadal były gęste i błyszczące. Miał na sobie białą koszulę, pomięty beżowy garnitur i lekko przekrzywiony brązowy krawat. Jego spoconą oliwkową twarz pokrywał kilkudniowy zarost. Salvo był trochę tęższy niż w dawnych czasach. Nie dorównywał wzrostem siostrze obdarzonej figurą modelki, lecz miał mnóstwo wdzięku i uwodzicielski uśmiech. Najpierw oceniał spojrzeniem stojących przed nim mężczyznę bądź kobietę, a potem olśniewał ich uśmiechem.

– *Santa Madre di Dio*, ależ tu jest gorąco. Gia, maleńka! – Rozłożył ramiona.

Podbiegła do niego. Objęli się z radością.

– Jak się tu dostałeś, Salvo? – Kiedy jej powiedział, wyrzuciła ręce w górę. – Piechotą? *Pazzo!*

– Co się stało z twoim głosem, *sorella*?

– Nieważne. – Odsunęła się i gestem dłoni wskazała dom. – I jak? Co o tym myślisz?

Salvo rozejrzał się, starając się nie gwizdać ani nie wyglądać na zbyt oszołomionego.

– Ładny. Trochę mały. Gdzie będę spał? – Odgarnął jej włosy, przyjrzał się uważnie. – Gia, jesteś czarna jak sycylijscy pijacy, którzy leżą cały dzień na słońcu.

– Tak, słońce pali tu niemiłosiernie – odparła. Miała na sobie lekką domową sukienkę z bawełny, włosy spięła byle jak. – Przekonasz się. Chciałbyś obejrzeć dom?

– Dom, dom. Widziałem już domy. Może pokażesz mi dziecko? Gdzie ono jest?

– Z Esther. – Pochyliła się w jego stronę. – Mówię ci, nigdy go nie wypuszcza. Zepsuje go zupełnie. O, Esther. Salvo przyjechał.

Rosa i Esther wyszły z kuchni, niosąc Aleksandra.

– Widzisz, że dwie dorosłe kobiety muszą nieść jedno dziecko? – szepnęła Gina do brata.

Salvo upuścił worek na ziemię. Sięgnął po malca, przyglądając się jednocześnie obu kobietom. Gina powstrzymywała śmiech, obserwując, jak obracają się trybiki w diabelskim umyśle brata. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Salvo nie potrafił ukrywać uczuć. Po trzysekundowej ocenie słusznie uznał, że Esther pozostanie na zawsze odporna na jego urok. Nie miał zamiaru tracić na nią ani odrobiny swoich darów. Całą uwagę skupił na Rosie. Rozciągnął wargi w uśmiechu od ucha do ucha. Aleksander spoglądał uważnie na pochyloną nad nim nową twarz.

– Alessandro – powiedział Salvo, odrywając na moment wzrok od Rosy i spoglądając na siostrzeńca leżącego w jego ramionach. – Jestem twój wujek Salvo. *Zio Salvo*. Potrafisz to powiedzieć? – Podniósł malca do światła. – Co się dzieje, mały kowboju? – Podrzucił go do góry. Niepodtrzymywana główka dziecka podskakiwała. – Lubisz łowić ryby?

Dwutygodniowy malec patrzył na niego badawczo.

– Proszę mu podtrzymywać główkę – powiedziała Esther surowo i już z dezaprobatą.

Salvo nadal go podrzucał, lecz trzymał już główkę.

– Jeśli zechcesz, zabiorę cię na ryby.

– Może jeszcze nie teraz, Salvo.

– Nie mówię, że teraz, Gia. Kiedy nauczę go zakładać robaki na haczyk.

Gina zaśmiała się chrapliwie.

– Sam najpierw musisz się nauczyć. Kiedy ostatni raz byłeś na rybach, *fratello*? Dwadzieścia pięć lat temu w Katanii? – Pociągnęła go do przodu. – Esther, to mój brat, Salvo. To Esther, siostra Harry’ego.

Trzymając dziecko na jednym ramieniu, Salvo pochylił się teatralnie i pocałował ją w rękę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział w jej napiętą i krytyczną twarz. – I mówię to szczerze. Cała.

Gina omal nie parsknęła śmiechem.

– A kim jest ta *donna bella* przy boku Esther?

– To Rosa, jej towarzyszka. – Gina pociągnęła Salva za rękaw. – Ale nie jest śliczna.

– Bardzo ci dziękuję, Gino – powiedziała Rosa.

– Chodziło mi o to, że nie jest dla ciebie Salvo – wyjaśniła Gina. – Rosa jest zdecydowanie zbyt dorosła.

Rosa wcale nie uważała, że jest zbyt dorosła dla uroczonego, zadziornego, serdecznego i przystojnego Salva.

– *Matura?* – Salvo rozpromienił się. Po włosku znaczyło to „dojrzała”.

– Nie. Dorosła po angielsku.

– Nie zgadzam się z tobą, *mia sorella* – odparł Salvo, podkreślając literę R i samogłoski, pieszcząc każde słowo swoim włoskim językiem. – Moje oczy nie kłamią. *Rrosa* to uosobienie urroku.

Gina pociągnęła zarumienioną, rozchichotaną Rosę w zacisze spiżarni.

– Roso, jesteś dorosłą kobietą i oczywiście zrobisz, co zechcesz, ale jako jego siostra powiem ci jedno: *caveat emptor*. Kocham mojego brata i ma wiele wspaniałych cech...

– Dlaczego nigdy nie mówiłaś, że masz takiego brata? – W spiżarni Rosa szybko poprawiała włosy, by luźniej sływały wokół twarzy, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia Giny.

– Ale jest jedna rzecz, w której mój brat celuje... – ciągnęła Gina.

– Prawie się domyślam, co to takiego. – Rosa zachichotała nerwowo.

– Łamie serce każdej dziewczyny, z którą się wiąże. Każdziutkiej. Jest w tym przerażająco dobry. Zbliżaj się więc do niego na własne ryzyko.

Rosa z zarumienioną twarzą wygładzała fałdy codziennej spódnicy. Słowa Giny tylko ją rozpałyły i nie zważała na żadne niebezpieczeństwo.

Kiedy wracały do wielkiego holu, Gina przewróciła oczami. Nie mogła zrobić nic więcej. Jeśli coś pójdzie nie tak, Rosa będzie musiała ratować się sama.

Harry wszedł do środka w prostym lnianym domowym ubraniu i stanął niepewnie obok Giny. W milczeniu patrzył, jak Salvo flirtuje z Rosą i grucha do dziecka.

– Co się tu dzieje? – zapytał.

– A na co wygląda?

– Na kłopoty.

– No właśnie.

Wreszcie Salvo odwrócił wzrok od Rosy i spojrzał na Harry'ego.

– Witaj, Salvo – powiedział ten, robiąc krok do przodu.

– Witaj, Harry. – Salvo zawahał się na moment, przełknął ślinę, a potem podszedł do Harry'ego. Uścisnęli sobie dłonie.

– Jak się miewałeś?

– Nie tak dobrze jak ty – odparł Salvo, przyglądając mu się z lekkim uśmiechem.

Harry wzruszył ramionami.

– Tak. Przypominam kraba wspinającego się na drzewa. Cały dzień jestem na słońcu.

– Tutaj jest fantastycznie – zgodził się Salvo. – Z radością przeszedłem sześć kilometrów w upale. – Objął czule siostrę. – Gorąco jak w Belpasso, prawda?

– O wiele goręcej. – Gina puściła oko do Harry’ego i pocałowała brata w policzek. Tak się cieszyła, że Salvo jest razem z nią. – I nie ma wulkanów.

– Nie stójmy jak słupy soli – powiedział Harry. – Chodź, Salvo, napijmy się, odpocznijmy przed kolacją. Gina powiedziała mi, że możesz zostać na parę tygodni?

– Najwyżej na dwa.

– Wspaniale.

– Ale teraz widzę – ciągnął gładko Włoch – że dwa tygodnie nie wystarczą, by rozkoszować się przyjemnościami tej rezydencji. – Uśmiechnął się szeroko do Rosy, gdy wchodzili do kuchni. – Więc może zostaną trochę dłużej?

– Och, moim zdaniem dwa tygodnie to bardzo długo, więcej niż dość – wtrąciła Esther, odbierając dziecko od Salva, jakby przekazywali sobie pałeczkę. – Co tutaj można robić poza noszeniem dziecka? Och, i słyszałyśmy z Rosą, że nadciąga huragan. Prawda, Roso? – Esther otworzyła szeroko oczy. – To straszne. Bo wiesz, Salvo, mieszkamy blisko wody. Fale mogą być ogromne. Prawda, Fernando?

– Nie, nie, proszę się nie martwić, *señora* – odparł Kubańczyk, który dołączył do nich w kuchni. – Nie leżymy na drodze huraganów. Wybrzeże zakręca korzystnie dla nas. Tutaj nie jest jak w Keys, gdzie mogą występować sztormy. – Uśmiechnął się.

Salvo odpowiedział mu uśmiechem jak dzieciak.

– A to kto?

– Fernando – wyjaśnił Harry.

– Fernando! Ja jestem Salvatore. Ale mów do mnie Salvo. – Jeden uścisk dłoni i zniknęli. Jeden mówił po włosku, drugi po hiszpańsku, nie rozumieli nic, a jednocześnie wszystko.

Wieczorem zjedli ucztę z owoców morza przygotowaną przez Emilia, a Fernando i Rosa dołączyli do nich na werandzie. Salvo nie chciał spać w pokoju gościnnym na górze.

– Ani w złotym, ani w lawendowym – powiedział. Zapytał, czy mógłby zamieszkać w przerobionej stajni razem z Fernandem.

– Jak służący? – syknęła Esther, kiedy Carmela i Emilio zbierali ze stołu.

– Zostaw go w spokoju, Esther – rzucił Harry. – Jest dużym chłopcem.

– Masz rację. – Esther pokręciła głową. – Nie ma sensu rzucać pereł przed wieprze.

Salvo nie stracił dobrego humoru.

– Rozważałaś taką możliwość, droga szwagierko – zagadnął, unosząc kieliszek w jej stronę – że to Fernando może być *la perla*?

Aleksander został ochrzczony. Salvo został. Tydzień, dwanaście dni, dwa tygodnie, miesiąc. Życie biegło spokojnym trybem. Salvo i Fernando bardzo się zaprzyjaźnili. Salvo próbował nawet oczarować Margaret Janke, lecz kiedy na jej pytanie, jak długo planuje zostać, odparł, że zastanawia się, czy nie zostać na zawsze, nie zobaczył nawet cienia uśmiechu na jej twarzy.

– Pani kurator, jest pani pewna, że nie jest spokrewniona z panią Esther Barrington? – zapytał. – Bo ja jestem niemal pewien, że tak.

– Czy to żart? – zapytała Janke. – Dlaczego miałabym być spokrewniona z siostrą pana Barringtona?

– Tak tylko gadam, *señora*.

Po tej wymianie zdań Gina zabroniła Salvowi wychodzić ze stajni w poniedziałki rano, na wypadek gdyby Janke postanowiła zemścić się za jego wybryki na Harrym, który zresztą był do nich równie skory.

Co wieczór po kolacji, mimo zastrzeżeń Esther, Fernando i Rosa siadywali razem z rodziną na tarasie i gdy Alexander spał spokojnie w ramionach któregoś z lekko wstawionych dorosłych, oni raczyli się rumem z miętą, coca-colą i cukrem, pili czerwone wino z owocami zwane sangrią i pod palmami rozprawiali o wielu sprawach: menu na następny dzień, ścieżce jasnej przyszłości Aleksandra, niepewnej przyszłości Salva i najlepszym romantycznym języku dla piosenek i miłości. Salvo i Harry zostawili za sobą dawne urazy. Uścisnęli sobie dłonie, usiedli do kolacji i następnego ranka wstali jako rodzina. Wściekali się na zmianę po hiszpańsku, angielsku i włosku na nadchodzącą jak apokalipsa prohibicję. Od stycznia 1920 roku wytwarzanie i przewożenie rozkosznego nektaru, na przykład rumu, stanie się nielegalne. Po tygodniach wieczornych kazań przeciwko ruchowi kobiet, ich prawu do głosowania i wynikającego z tego ich zaangażowania w męską politykę ku szkodzie wszystkich pijących mężczyzn (i kobiet – zauważyła Gina z miętowym drinkiem w długich palcach), Harry powiedział, żeby byli spokojni, ponieważ przez ostatnie sześć miesięcy płacił Fernandowi, by ten cztery razy wyprawił się na Kubę i przywiózł skrzynki najlepszego rumu z Hawany.

– Bo pamiętajmy, panie i panowie – zauważył – że ludzie na tym *lanai* są mądrzejsi niż wszyscy głupcy w Waszyngtonie, którzy uznali, że należy uchwalić ustawę Volsteada i ratyfikować osiemnastą poprawkę, lecz zapomnieli umieścić w nowym prawie choć jedną wzmiankę o konsumpcji alkoholu. Nie możemy więc go sprzedawać, kupować ani przewozić z naszego domu do Chucka obok, który też ma go pod dostatkiem, lecz możemy go tu magazynować i robić, a potem pić. Porzućcie więc troski.

– Dobra robota, Harry – powiedział Salvo. – Ale co się stanie, gdy zapas się skończy?

Fernando klepnął go w plecy.

– *Mi amigo, por favor*, nie martw się. Nauczę cię, jak robić rum. – Uśmiechnął się promiennie.

– Jeśli nie jest do tego potrzebna ta diabelska melasa – odparł Salvo – to nie mogę się już doczekać.

Fernando przywiózł też butelki Guayabita del Pinar, mocnego alkoholu wytwarzanego w Vueltabajo z cukru i owoców dzikiej guawy rosnącej jedynie nad rzeką Pine na Kubie. Te jednak Harry chował tylko dla siebie i Giny. Wystarczyło parę łyków tego mocnego alkoholu, *dolce, dolce* i razem z Giną spędzali długie godziny, wcielając w życie święte słowa: *Io sono del mio diletto, e il mio diletto è mio*.

Jestem mojej ukochanej, a moja ukochana jest moja.

Po chrzcie Aleksandra Salvo nie miał sprecyzowanych planów, ale jednego był pewny: nigdy nie wróci do zaśnieżonego Bostonu.

– Może znajdę sobie pracę tutaj – powiedział do Giny i Harry’ego pewnego leniwego poranka przy *huevos rancheros*, które jadł nad podskakującą główką Aleksandra. – Lubię opalone dziewczęta. – Uśmiechnął się szeroko. Rosy nie było w pobliżu.

– Jaką pracę? – zapytał Harry z niedowierzaniem. – Nie jestem pewien, czy płacą za to, co sobie wyobrażasz.

Salvo wybuchnął śmiechem.

– Gia, twój mąż ma rację, *sorella cara*?

– Tak. Ale dlaczego miałyby cię to powstrzymać przed twoimi niegodziwymi planami? Daj mi dziecko. On też musi zjeść. – Nakarmiła go pod szalem, nie ruszając się od stołu.

Salvo znalazł pracę w piekarni. Tydzień później dostał podwyżkę, bo nikt nie potrafił piec chleba tak jak on ani podnieść sprzedaży o dwadzieścia procent, do czego przyczynił się jego talent piekarski połączony z ciemną pociągającą twarzą i sycylijskim urokiem. Szybko doszedł jednak do wniosku, że piekarnia mu nie odpowiada. Upalne słońce i pobliskie plaże Florydy z całym zapleczem były zbyt kuszące, by spędzać całe dnie w gorącej piwnicy przy rozpalonych piecach. Znalazł więc pracę w porcie przy czyszczeniu łodzi. To bardziej mu odpowiadało. Nadal pracował parę godzin w piekarni i sprzedawał chleb na targu w niedzielę, pozdrawiając serdecznie dobrze ubrane klientki. Od muzycznie utalentowanego Fernanda nauczył się trochę grać na gitarze, więc kupił sobie instrument, wynajął małą chatkę nieopodal mariny, gdzie pracował, i wieczorami grał na przystaniach Tequesty *Rumores de la Caleta*, rozbrzmiewające niczym godowa pieśń włoskich jaskółek.

Kiedy kończyło się lato, poprosił Ginę o krótkoterminową pożyczkę na kurs ogrodnictwa.

– Chcę się nauczyć projektować ogrody – obwieścił wszystkim. – Cały dzień będę na świeżym powietrzu. To idealna praca. – Uśmiechnął się radośnie. – Będą mnie wynajmować wszystkie *bellissima* panie, które mają dość czasu i pieniędzy, żeby dzięki mnie rozkwitły ich jałowe ogrody.

– Salvo!

– Ogrodnictwo, Gia. Nie bądź bezczelna. To mój następny zawód. – Uniósł twarz w niebo. Był już spalony przez słońce.

– Na pewno chcesz mu pożyczyć na to pieniądze? – zapytał Harry Ginę. – Czy to nie będzie przypadkiem współudział w...

– W czym, Harry? – zapytała z uśmiechem, karmiąc Aleksandra. – Miłości? Radości? Życiu?

– Myślałem o czymś innym, ale w porządku.

Gina pochyliła się nad trzymiesięcznym synkiem i zasypała go pocałunkami.

– Ty nie będziesz taki, prawda, maleńki? Jak twój głupi *zio* Salvo, który stale czegoś szuka i nigdy nie znajduje? Będziesz grzecznym chłopcem, dobrze?

Harry wziął od niej nakarmione dziecko.

– Nie słuchaj matki, Aleksandrze – powiedział, wycierając mu buzię i zabierając na popołudniowy spacer nad wodę. – Salvo próbuje przerobić cały świat na sycylijską modłę. Co w tym złego? – Pocałował go. – Może kiedy dorosisz, przerobisz cały świat na modłę rewolucyjną.

Aleksander nie wiedział, co to znaczy spać w łóżeczku w pustym pokoju i zostać samemu. Całe lato spędzał z Esther albo z Rosą, które kąpały go i pływały z nim w basenie, woziły w wózku po Spanish City, wyjmując go co dwie minuty, „by sprawdzić, czy wszystko w porządku”, albo z Fernandem i Salvem, którzy zabierali go na łódkę lub przejażdżki samochodem z opuszczonymi szybami, a malec z trudem łapał oddech w gorącym wietrze Palm Springs. Zostawiali go na kocu, gdy sami siedzieli na piasku nad oceanem, palili, pili, grali na gitarach i rozmawiali o dziewczynach. Zaraz jednak wrywały im go Esther i Rosa, by zabrać na popołudniowy spacer promenadą wzdłuż wydm Jupiter, podczas którego rozmawiały o tym, jak niemożliwy jest Salvo.

6

Ginie przyszło do głowy, że Esther mogły zdenerwować przelotne flirty Rosy i Salva. Nie potrafiła tego dokładnie określić, ale po kilku radosnych wieczorach wyczuła wrogość wymierzoną – o dziwo – w nią! Może Esther uważała Salva za dziecko znajdujące się poza krytyką dorosłych i ją obwiniała za jego zachowanie? Gina uznała, że Esther przyda się rozmowa spod znaku „między nami kobietami”. Miała dla niej pewną radę, choć nie wiedziała, czy znajdzie dość odwagi, by udzielić jej nieproszona.

Pewnego wieczoru, gdy pozostali bawili się wesoło na tyłach domu, a one siedziały na białych marmurowych stopniach przy fontannie, trzymając Aleksandra i nasłuchując szumu fal, Gina przełknęła ślinę i postanowiła zaryzykować.

– Esther, wybacz mi, proszę, bezceremonialność – zaczęła. – Czuję jednak, że mogę porozmawiać z tobą otwarcie, ale tylko dlatego, że wypiliśmy trochę rumu i trzymasz w ramionach mojego syna.

– Wyrzuc to z siebie. Chodzi o Rosę?

– O Rosę? Nie. Co masz na myśli?

– To, co twój brat wyprawia z jej sercem.

– Oni tylko dobrze się bawią, Esther. Nic więcej.

Jej sercem! Gina ostrzegła Rosę, że w kontakty z Salvem nie wolno nigdy angażować serca. Czy posłuchała? Jasne, że nie. A teraz Ginie się za to dostaje.

– Bawią się? – powtórzyła Esther. – Za pięć minut moja urocza towarzyszka będzie musiała umykać, gdzie pieprz rośnie przed zabawą, którą proponuje jej twój nieobliczalny brat.

– Nie chodziło mi o nich...

– To o co? – W spojrzeniu szwagierki znów pojawiło się ostrze wycelowane prosto w Ginę.

– Czuję, że coś cię martwi, Esther. I nie wiem co. Czy coś zrobiłam?

Esther siedziała cicho, kołysząc Aleksandra. Pochyliła się, pocałowała go w główkę, spojrzała na jego matkę i pokręciła głową.

– Nie – westchnęła przez zaciśnięte usta, jakby mocno nad sobą panowała i nie chciała powiedzieć nic więcej. – Przepraszam, jeśli odniosłaś takie wrażenie. Wszystko jest w porządku.

Gina nie uwierzyła. Naciskała dalej.

– Chodzi o twojego ojca?

– Nie. Czemu?

– Że został sam na północy, a my tutaj świetnie się bawmy? Poproś go, żeby tu przyjechał. Mamy mnóstwo miejsca. Bardzo byśmy chcieli gościć go u nas w domu.

– Po pierwsze – zaczęła Esther – myślisz, że Rosa świetnie się bawi? Ci dwaj bandyci, Fernando i twój brat, może tak. Ale kto jeszcze? Mój własny brat nie ma chwili spokoju. Parę dni temu zapytał mnie, dlaczego nikt nie gasi światel o określonej porze, skoro to jest więzienie. A po drugie, moja droga, nawet gdyby udało mi się przekonać ojca, że stan jego zdrowia pozwala mu na długą podróż na Południe, po tym co powiedzieliśmy ci z Harrym o Bellagrand, naprawdę sądzisz, że chciałby przyjechać do miejsca, które przez trzydzieści lat wymazywał z pamięci?

– Jaki ojciec, taki syn. Ale Harry’emu jakoś się udało. Może Hermanowi też się uda.

– Wątpię. Ojciec należy do osób, które bardzo nie lubią, by przypomniano im o przykrych rzeczach.

– Nie tylko on – mruknęła Gina.

– Może gdyby Harry sam do niego napisał? Zaprosił go na wakacje. Nie wiem. Może. Ale wiem, że ani ty, ani ja nie zdołamy go przekonać. Tylko Harry ma cię szansy. Czy o tym chciałaś ze mną porozmawiać?

– Nie – rzuciła Gina. – Esther, myślę, że powinnaś sprzedać biżuterię matki.

– Co takiego? – Esther odwróciła się gwałtownie.

Gina skinęła głową i szybko mówiła dalej:

– Tak. Nie całą. Ale większą część. Myślę, że ta biżuteria jest jak ciężarki u twoich stóp. Obciąża cię i nie próbujesz żyć swoim życiem.

– Ten rum zupełnie uderzył ci do głowy – wycedziła Esther. – Ja nie próbuję żyć moim życiem, ty głupie stworzenie. Ja nim żyję.

– Myślałam, że może romans...

– Romans! – Esther roześmiała się szyderczo. – Przypominam ci, że byłam mężatką i owdowiałam. Niedługo skończę pięćdziesiąt lat. O czym ty mówisz? Romans! To na pewno ten rum. O Boże. Jeśli to nie jest dowodem, że powinnaś pić mniej...

– Pozbądź się jej, Esther. – Ton Giny był błagalny. – Wcale jej nie nosisz. Po co ci ona? Przekonasz się, ciężar spadnie ci z serca. I inni to zauważą. – Inni mężczyźni chciała dodać.

Esther zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem.

– A co ty możesz wiedzieć o moim sercu, Gino Attaviano?

– To serce Barringtonów, a o nim coś wiem. – Gina spuściła głowę, nie chcąc dostrzec na twarzy Esther śladów miłości do człowieka, który dawno odszedł. Miała nadzieję, że Ben był *le cose da bambino*, dziecinadą, o której Esther dawno zapomniała. A jednak za każdym razem, gdy ktoś w domu wspominał o Panamie, bananach, kanałach, statkach

liniowych, inżynierach, Esther wyraźnie sztywniała, zmieniał się wyraz jej twarzy, stawała się bardziej szorstka, uszczypliwa i sarkastyczna, jakby kuferek z biżuterią matki nie był jedynym ciężarem przytłaczającym jej serce.

Kto to jednak mógł wiedzieć? Gina odwróciła wzrok, by Esther przypadkiem nie dostrzegła w jej twarzy rzeczy, których nigdy nie powinna oglądać.

– Zawsze czułam, że coś ci ciąży.

– Coś mi ciąży – powtórzyła głucho Esther.

– Zatrzymaj rzeczy, które będziesz nosić – nalegała Gina – a reszty się pozbądź! Kup sobie marmurową urnę, rzeźbę na taras albo przekaż pieniądze kościołowi...

– Dziękuję za radę, Gino – powiedziała Esther, oddając jej Aleksandra. Wstała. – Jestem zmęczona. Ten straszny alkohol poszedł mi prosto do głowy, podobnie jak tobie. Chyba się położę. – Zawiesiła głos. – Zanim powiem coś, czego będę żałować do końca życia. – Nie mówiąc nawet dobranoc, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Gina siedziała długo na marmurowych schodach pod portykiem, słuchając szumu oceanu, hiszpańskiej gitary z domu, wdychając zapach śpiącego synka i słonego powietrza.

Co zrobimy, moje słodkie maleństwo, moje małe *bambino*, *il mio amato figlio*? Jak sprawimy, by *zia* poczuła się lepiej? Wiesz, kto to potrafi? Ty. Za każdym razem, gdy na ciebie patrzy, mięknie jak wosk. Wiesz czemu? Bo tu jest miłość, szepnęła nad Aleksandrem, całując go i pieszcząc. Bo tu jest Miłość.

Rozdział dwunasty

Rajskie ptaki

1

Drogi Ojcze,

Gina, Aleksander i ja, a także Salvo, bylibyśmy zachwyceni, gdybyś razem z Esther przyjechał do nas na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie. Ojcze, mam nadzieję, że czujesz się na tyle dobrze, by podróżować. Pogoda tutaj jest bardzo przyjemna, a woda w oceanie zawsze ciepła. Esther na pewno Ci opowiadała. Miło było ją gościć i tęskniliśmy, gdy wyjechała we wrześniu. Proszę, przyjedźcie i zostańcie, jak długo zechcecie. Przemalowałem naszą łódź. Spodoba Ci się. W jeziorze Worth jest mnóstwo ryb.

Z poważaniem,

Harry

Odpowiedź dotarła do Harry'ego odwrotną pocztą.

Drogi Harry,

Dziękuję za miłe zaproszenie. Esther rzeczywiście zasypała mnie opowieściami o swojej uroczej wizycie. Dziękuję, że przyjęliście ją tak serdecznie. Niestety, w tej chwili nie czuję się na tyle dobrze, by podróżować, nie będziemy więc mogli przyjechać na Święto Dziękczynienia. Ale może poczuję się lepiej przed Bożym Narodzeniem. Proszę, pozdrów Ginę i Aleksandra od nas wszystkich.

Z poważaniem,

Ojciec

P.S. Louis zmarł dwa tygodnie temu. Prosił, żeby Ci przekazać: Mateusz 6,21.

I tak przed Bożym Narodzeniem 1919 roku Esther, Herman i Rosa wsiedli do pociągu w Bostonie, by spędzić święta na Wybrzeżu Skarbów. Esther uprzedziła Ginę wcześniej, że

Herman będzie mógł zostać tylko do połowy stycznia.

– Wrócimy, kiedy nie można już będzie kupować alkoholu, szesnastego stycznia.

– Powinniście zostać dłużej – powiedziała Gina. – Bo w Bellagrand są zapasy rumu aż po dach.

– Mam nadzieję, że żartujesz – odparła Esther i odłożyła słuchawkę.

Niebawem zjawili się w Bellagrand. Gina patrzyła, jak Fernando pomaga Hermanowi wysiąść z touristera. Starszy pan szorstko wszystkich odsunął, wyprostował się i podniósł wzrok, ale nie na Ginę czy Harry'ego stojącego pod portykiem i machającego na powitanie, lecz nad nich i za nich. Esther stała obok niego.

Przez długą chwilę Gina obserwowała Hermana, który z uniesioną brodą i pochylonymi ramionami wpatrywał się z podszytym smutkiem zdumieniem w białą willę, którą inny mężczyzna zbudował dla jego żony. Harry szturchnął ją lekko.

– Mówiłaś, że będzie łatwo? – szepnął. – Spójrz na niego.

– Nieważne – odparła. – Mamy synka, który sprawi, że o wszystkim zapomni, nawet o bólu, o którym zapomnieć się nie da.

– Nie postawiłbym na to ostatniego dolara – powiedział Harry, schodząc po schodach. – Ojczy! Witaj.

– Witaj, synu – powiedział Herman, skupiając wzrok na Harrym. Uścisnęli sobie dłonie. Herman poklepał go po ramieniu. – Jak się miewasz? Dobrze wyglądasz.

– Dziękuję. Więzienie wyraźnie mi służy.

– Rzeczywiście, synu. Szkoda by było, gdyby nie służyło, bo spędzasz w nim mnóstwo czasu.

Harry spojrzał z ukosa na Ginę.

– Herman! – powiedziała, podchodząc do niego z uśmiechem. Uścisnęła go i pocałowała. – Dziękuję, że przyjechałeś. Tak bardzo się z Harrym cieszymy. Prawda, Harry?

– Oczywiście. Jak minęła podróż?

– Na szczęście spokojnie. – Herman westchnął prawie niezauważalnie i lekko złagodził wyraz twarzy. – Pogoda jest tu w grudniu bardzo przyjemna. Zawsze tak jest?

Harry skinął głową z dumą, jakby to była jego zasługa.

– To jedna z największych zalet tego miejsca.

– Ile teraz jest stopni? Dwadzieścia?

– Termometr wskazuje dwadzieścia sześć.

– Niezwykłe. Nie jest za gorąco do spania?

– Nie, w nocy robi się chłodniej. Wieje lekka bryza i zostawiamy wszystkie okna otwarte. Zobaczysz.

– Czy sól niszczy wszystko w domu? Garnki, metalowe części?

– Jeszcze nie – odparł Harry.

– Widzę, że jest bardzo wietrznie. Czy fale nie są za duże, by pływać?

– Zazwyczaj nie. Są na tyle łagodne, że Aleksander może kąpać się z matką. Choć ona wie, że tego nie pochwalam.

– Malec to uwielbia, Hermanie – wtrąciła Gina. – I ty też polubisz. Wejdz, proszę. Nie stójmy na schodach. Esther, jak się masz? Nie powiedziałaś ani słowa.

Kiedy obejrżeli się na Esther, ocierała oczy.

– Co się z tobą dzieje? – Herman zmarszczył brwi.

Harry machnął ręką.

– Nie zwracaj na nią uwagi, ojciec. Będziesz niestety świadkiem niewyjaśnionej cikliwości, która dotyka kobiety wchodzące do tego domu. Najlepszym lekarstwem jest ją zignorować. Naprawdę. Wejść, proszę.

Herman wszedł do środka.

– No dobrze, ale dlaczego, Esther?

– On ma rację, ojciec – odparła. – Najlepiej nie zwracaj na mnie uwagi.

Herman prawie się nie rozglądał. Niełatwo było go zachwycić.

– Znajdziesz dla mnie jakiś pokój, synu? Gina powiedziała nam, że w każdym pomieszczeniu jest alkohol.

– Rzeczywiście – odparł Harry. – Ale nie martw się, wyszykowaliśmy dla ciebie komórkę pod schodami. Wygląda jak pałac.

– Jesteś spragniony, Hermanie? – Gina wskazała szklany dzbanek. – Masz ochotę na lemoniadę? Sama zrobiłam.

– Na razie dziękuję. Co się stało z twoim głosem, Gino? Zupełnie się zmienił.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– To przez twojego wnuka. Nadwerężyłam głos i tak już zostało.

Harry wychylił się zza niej i szepnął.

– Ale teraz zawsze brzmisz, jakbyś była *nuda nel letto*...

– *Marito*, ćśśś!

– Skoro mowa o wnuku... – zaczął Herman, kierując się w stronę zalanej słońcem kuchni. – Czy jest duchem?

– Nie, śpi. – Gina dogoniła teścia.

Herman wyglądał na rozczarowanego.

– W swoim łóżku?

– Och nie, ojciec – powiedział Harry. – To dziecko w ogóle nie wie, co to takiego łóżko. – Podniósł brwi, patrząc na Ginę i lekko ją popchnął. – Przedstaw go Aleksandrowi. Choć wątpię, czy Salvo się z nim rozstanie. Ja zaniósę walizkę ojca na górę.

– Teraz będzie musiał się z nim rozstać – oznajmiła Esther, wychodząc zdecydowanym krokiem na zewnątrz. – Bo my tu jesteśmy.

Herman wyszedł przed dom, gdzie na wielkim zielonym trawniku w pełnym słońcu leżał na szezlongu Salvo. Na nagiej piersi tulił śpiący kształt przykryty od stóp do głów bawełnianym kocykiem. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Jak się pan miewa, panie Barrington? Przepraszam, że nie wstaję, żeby się przywitać, ale mam... – Skinął głową w stronę niemowlęcia na piersi.

– Nie ma potrzeby przepraszać. I proszę, mów do mnie Herman.

Podeszła do nich Esther.

– Salvo, nie wierzę, że trzymasz go tak na słońcu – powiedziała, zdejmując dziecko razem z kocykiem z piersi szwagra. – Dostanie udaru.

– Jest całkiem zakryty – odparł Salvo. – To ja dostanę udaru.

– To dlaczego nie siedzisz w cieniu?

– Ty też witaj, droga Esther – powiedział Salvo z uśmiechem. – Miło znów cię widzieć. Tak szybko wróciłaś?

– Nie było mnie trzy miesiące.

– I tydzień.

Gina weszła między nich z tacą z lemoniadą i szklankami i szturchnęła brata łokciem w brzuch.

– Hermanie, lemoniada dla ciebie. Jesteś głodny?

– Jeszcze nie, ale dziękuję. – Wypił lemoniadę dwoma łykami. A jeszcze pięć minut wcześniej twierdził, że nie chce mu się pić. Gina zawołała na Emilia, by nakrywał do lunchu. Esther bezskutecznie próbowała obudzić Aleksandra.

Herman skierował się w stronę domu.

– Esther, daj temu biednemu dziecku odpocząć. Wiem, jak się czuje. – Uśmiechnął się do Giny. – Bądź taka miła i wskaż mi drogę do mojej komórki pod schodami. Chciałbym się odświeżyć. – Spojrzał na duży zakryty kształt w ramionach Esther. – Jestem pewien, że to śliczny chłopiec – powiedział.

Gina na kilka godzin zostawiła Aleksandra z Esther i pojechała na świąteczne zakupy z Fernandem i Rosą. Kiedy tylko Aleksander wyczuł, że został bez mamy, zaczął płakać. Esther kołysała go, uspokajała i nosiła po wielkich pokojach na dole, lecz nadal dawał wyraz niezadowoleniu. Poza Carmelą w domu nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Herman nadszedł z ogrodu, gdzie odpoczywał nad basenem, i pokręcił siwą głową.

– Co to za zamieszanie?

Esther pokazała mu płaczące dziecko.

– Wiem, że to on płacze. Czego chce? – Herman zmrużył oczy i wzdrygnął się, bo chłopiec płakał naprawdę głośno. Przez chwilę stał w przeszklonych drzwiach, a potem wszedł do środka, opierając się na lasce. Artretyzm spowalniał jego ruchy i utrudniał oddychanie. Każdy wysiłek był dla niego wyzwaniem.

– Nie wiem.

– Gdzie jest jego matka?

– Na zakupach.

– A Rosa?

– Z nią. Fernando też.

– A gdzie jest jego ojciec?

– Chodzi ci o twojego syna? Próbuje złapać coś na kolację.

– A gdzie jest ten człowiek, który cię nie obchodzi?

– Z ojcem dziecka.

Herman przyglądał się wrzeszczącemu malcowi.

– Może jest głodny.

– Gina nakarmiła go tuż przed wyjazdem. Nie powinien być głodny do jej powrotu.

– Najwyraźniej się myliła. Słyszysz, jak wrzeszczy? Umiera z głodu.

– Chyba nie, ojczu. W każdym razie nic dla niego nie mamy. Je tylko mleko.

– Tylko mleko! Ile ma lat? Chodzi do szkoły?

– Ma sześć miesięcy.

– No to daj mu trochę mleka.
– Takiego nie mam.
– Och. – Herman stanął ostrożnie przy stole. Esther okrążyła kuchnię, podrzucając chłopca. – Esther, co ty u diabła wyprawiasz?
– Kołyszę go. Ruch pomaga.
– To nie jest ruch. Wszystko z niego wytrząsniesz. Poza tym ryczy już od pół godziny. Pomogło coś?

– Pomyśl, co by było, gdybym go nie kołysała.
– Gorzej już chyba być nie może. Spróbuj czegoś innego.
– Czego na przykład? – Poklepała malca po plecach.
– Dlaczego go bijesz?
– Chcę, żeby mu się odbiło.
– Może trzeba go przewinąć?
– Przewinęłam.
– Może chciałby pójść na spacer?
– Skąd mam wiedzieć? – Esther powoli wpadała w histerię i wyglądało na to, że lada chwila sama zacznie wrzeszczeć.

Herman usiadł w fotelu przy przeszklonych drzwiach prowadzących na *lanai*.

– Daj go tutaj – polecił.
– Ojczy, trzeba z nim chodzić, nie możesz siedzieć...
– Daj go tutaj, proszę.

Ostrożnie podała mu Aleksandra. Wymiana trwała boleśnie długo, bo chłopiec wiał się niemiłosiernie i ojciec, i córka bali się, że go upuszczą.

– Strasznie się wierci – mruknął Herman. – Co się, na Boga, dzieje? – zapytał malca i wreszcie mocno go chwycił. – Ćśś. O co to całe zamieszanie? – Trzymał malca pionowo przy piersi. – No już, już. Nie ma o co płakać. Poczekaj, aż dorośniesz. Wtedy będziesz miał powody do płaczu. W twoim wieku jest tylko mleko i sen. Czy to takie złe? Ćśś. Nawiasem mówiąc, moje życie też tak wygląda. Widzisz? Jesteśmy tacy sami. A czy ja wrzeszczę, jakby mnie mordowano? No właśnie. Ćśś. Uspokój się. Nie ma o co płakać. Jak masz na imię? Aleksander? Ćśś, Aleksandrze. Ćśś. Po kim ma to imię? – zapytał Esther.

– Po jej ojcu Alessandrze. – Stała blisko, zatroskana, zaniepokojona.
– Myślałem, że ma na imię Anthony.
– Anthony Aleksander.
– Ach.

Chłopczyk ucichł. Esther przestała się denerwować, a Herman zamilkł. Aleksander spojrzał na twarz dziadka, wyciągnął rączkę, chwycił sporą część policzka i ust Hermana, ułożył się wygodnie, a potem oparł główkę na jego ramieniu. Rączkę trzymał po części w ustach dziadka. Esther stała cichutko obok.

– Chcesz, żebym go zabrała?
– Teraz, kiedy go uspokoilem? – zapytał Herman głosem stłumionym przez tłuściutkie paluszki Aleksandra. – Niezła z ciebie opiekunka. Idź się czymś zająć. Tylko cicho. Posiedzę tutaj minutkę. Ale nie zostawiaj mnie na długo.

Kuchnię zalewał blask popołudniowego słońca, padający na podłogę z wapienia i dębowe

stoły. Herman siedział zwrócony twarzą do trawnika, za którym woda migotała jak miraż.

Esther wyszła z kuchni, szepcząc, że zaraz wróci, a kiedy znalazła się w holu, zasłoniła dłonią usta, by stłumić szloch smutku, tęsknoty, szczęścia, ułożony w jedno udęczone nieme O.

Pół godziny później znalazła ich w tej samej pozycji. Obaj smacznie spali.

2

Siedzieli na *lanai* przy kolacji. Herman zastrzegł, że wejdą do środka, jeśli zrobi się dla niego za zimno, ale nie zmusiła go do tego nawet wieczorna bryza znad oceanu.

Dla Giny największą rozkoszą było słuchać, jak Fernando uczy jej brata grać na gitarze i jak sam śpiewa, uderzając w struny. Fernando, niezwykle uzdolniony muzycznie, powiedział im, że Salvo obrał niewłaściwą ścieżkę dalszej kariery.

– Bo, *señora*, pani brat potrafi śpiewać, jak jeszcze nie słyszałem. Ma... Jak się to nazywa?

– Wyjątkowy talent?

– Jest geniuszem – oświadczył Fernando w obecności bezwstydnie zadowolonego Salva.

– Ma prawie słuch absolutny. Wiecie, jakie to rzadkie?

– Nawet nie wiem, co to takiego – przyznała się Gina.

– To nie jedyna jego rzadka cecha – mruknęła Esther.

– Nieważne – skwitował Fernando. – To niesamowite. Salvo, jeśli nic nie wyjdzie z tego ogrodnictwa, zawsze możesz zostać trubadurem. Będziesz musiał szukać pracy w Miami, ale zostaniesz za to hojnie wynagrodzony.

– Amigo! – wykrzyknął Salvo – o tym dla mnie marzysz? Chcesz, żebym był ulicznym grajkiem?

– Brzmi nieźle – szepnęła Esther.

– A co może być lepszego od bycia śpiewakiem?

– Na ulicach?

– To lepsze niż te lekcje o kwiatach, na które chodzisz.

Salvo zaczął chrząkać.

– *Madre di Dio!* – wykrzyknęła Gina. – Ty nadal tam chodzisz? Jeszcze nie skończyłeś?

– Chcemy odzyskać nasze pieniądze – powiedział Harry.

Esther prychnęła.

– Możecie się z nimi pożegnać. Nigdy nie zobaczycie ani centa zwrotu z tej inwestycji.

– Posłuchajcie wszyscy – zaczął Salvo. – *Sorella mia*, przestań się tak denerwować. Ogródnictwo nie jest dla mnie, bo uświadomiłem sobie, że nie chcę chodzić brudny przez cały dzień. Jakiej kobiecie się spodoba, jeśli będę kopał w ziemi, miał brudne ręce i pocił się w słońcu? – Rozpromienił się. – Nie, panie lubią, gdy jestem czyściutki i świeży, gdy noszę jedwabne garnitury i jeżdżę pięknymi samochodami, jaki ci sąsiedzi pijacy. Też chcę mieć ładny dom, nie garaż, w którym mieszkam. Chcę traktować damy tak, jak na to zasługują, jak księżniczki.

Esther już miała zaprotestować, lecz Herman uciszył ją jednym spojrzeniem.

– To cele godne podziwu, Salvo – powiedział.

– Dziękuję, sir.

– Jak zamierzasz je osiągnąć?

– Myślałem o innym kursie.

Wszyscy głośno jęknęli.

– Przestańcie. *Basta*. Wysłuchajcie mnie, zanim zaczniecie szydzić.

– A nie możemy szydzić najpierw?

– Salvo, czy to będzie mnie kosztować jeszcze więcej? – chciał wiedzieć Harry.

– Wysłuchajcie mnie, *prego*. Mam wspaniały pomysł.

Zaczęli narzekać, napełnili kieliszki, wzniesli toast na cześć nocy, gitary, rodziny i Aleksandra śpiącego w ramionach Harry’ego, a potem dali mu mówić.

– Chcę iść na kurs pośrednictwa w handlu nieruchomościami.

– Co? – zdziwił się Harry.

– Nauczyć się sprzedawać nieruchomości.

– A co ty wiesz o nieruchomościach?

– Nic. Dlatego chcę iść na kurs.

– Jego logika jest bezbłędna, Harry – ocenił Herman.

– Hermanie, jak *pazzo* może mieć logikę? – powiedziała Gina. – Logika zakłada rozsądek.

– Niekoniecznie – odparł Salvo. – I, *sorella*, albo mnie broń, albo siedź cicho. – Pili sangrię od paru godzin i mieli za sobą siedem toastów i trzy porcje tortu *tres leches*, zanim przyniesiono profiterolki i lody.

– Harry – Esther zwróciła się do brata – możesz w to uwierzyć? Ojciec uważa, że to wspaniały pomysł.

– Nie przesadzaj – odparł Herman. – Nie posunąłbym się tak daleko, by nazwać go wspaniałym. Salvo, nie wiem, ile podobnych pomysłów przychodzi ci do głowy co tydzień...

– Dwadzieścia siedem – powiedziała Gina.

– *Sorella!* O co cię prosiłem?

– Mówię tylko – ciągnął Herman – że ze wszystkich miejsc w Ameryce Palm Beach jest jednym z najlepszych na taki kurs. Wartość domów rośnie z dnia na dzień.

– No właśnie! – Salvo przysunął się do Hermana tak blisko, że prawie siedział mu na kolanach. – I będę dostawał prowizję za każdym razem, gdy ceny poszybują. Gdy będę sprzedawał albo kupował. Niebawem sam będę szybował jak bracia Wright.

– To nie brzmi zbyt stabilnie – uznała Esther. – Ceny spadają, potem rosną, ludzie przestaną kupować domy i co wtedy?

– Wtedy zajmę się następną przygodą. – Salvo uśmiechnął się od ucha do ucha. – Może nauczę się prowadzić łódź. Albo zostanę ulicznym śpiewakiem, jak radzi Fernando. Ale na razie pieniądze są tam, gdzie nieruchomości, i tam chce być Salvo.

– Gino, moja droga – odezwał się Herman. – To byłaby dla was mądra inwestycja. Bo jeśli Salvo nie będzie miał pracy, gdzie będzie mieszkał? Z wami.

Gina uniosła kieliszek ze słodką sangrią.

– No to postanowione – oznajmiła. – Nie pożyczę mu ani centa. Bo nic nie uszczęśliwi mnie bardziej niż to, że znów zamieszka ze mną. – Z wami wszystkimi, chciała dodać.

To Herman, ku zaskoczeniu Giny, zacytował Nathaniela Hawthorne’a:

– Idee ludzi nie wznoszą się wyżej niż dachy ich domów. Wszystkie ich zainteresowania rozciągają się grubą lepką warstwą na powierzchni ziemi. Tylko iglica nad domem modlitwy wyrasta poza ich sferę.

– Podoba mi się to, Hermanie – wyznała Gina z aprobatą. – I zgadzam się z tobą. Dla mnie nic nie wznosi się wyżej od tego domu i wszystkiego, co w nim jest. – Patrzyła na męża, który trzymał w ramionach jej wielkiego śpiącego syna.

– A ja wcale się z tobą nie zgadzam, ojciec – powiedział Harry.

– Oczywiście, że nie – odparł Herman, puszczając oko do Giny. – Jesteś przecież sprzeciwaczem. – Skupił całą uwagę na Harrym. – W porządku, jestem gotowy. – Wypił łyk wina. – Powiedz mi, dlaczego się nie zgadzasz.

– Bo pomijasz dziesięć rzeczy.

I tak upojeni winem zaczęli się spierać, bo był to jedyny sposób komunikowania się, jaki znali.

Palm Beach ma w sobie magię i majestat. Są tam jeziora i morza, ekstremalna pogoda, dramatyczne niebo i kojące bryzy. Mieszkają tam piękni ludzie, elegancko ubrani, stukający obcasami, kręcący parasolkami. Jesteś teraz panią domu, Gino. Płacisz komuś za pracę, którą kiedyś sama wykonywałaś. Teraz idziesz z nami Worth Avenue w eleganckim Palm Beach, spoglądasz na wystawy sklepów z jedwabnymi kapeluszami o szerokich rondach i aksamitnymi paskami, wchodzisz i kupujesz, tak po prostu. Nie bierzesz już do domu szycia, żeby zarobić kilka dodatkowych dolarów, by kupić parę używanych rękawiczek, których pozbyli się piękni ludzie. Teraz ty jesteś piękna. Ty się pozbywasz. Nie szyjesz, nie pierzesz. Nie ściesz łóżka ani nie robisz śniadania. Siedzisz i pozwalasz innym przynosić sobie owoce pracy Henry’ego Flaglera.

Zostawiali Harry’ego w domu, a Gina wozila resztę klanu na południe do Palm Beach. Zatrzymywali się w Breakers, bo nawet Herman musiał przyznać, że to wspaniały hotel. Po spokojnym lunchu pewnego popołudnia przeszli kilometr pod wysokimi palmami do Whitehall. Salvo niósł ciężkiego Aleksandra. Herman powiedział, że chce zobaczyć Tadz Mahal w Palm Beach – liczący siedemdziesiąt trzy pokoje dom, który Flagler zbudował dla ostatniej kobiety w swoim życiu. Stał na podjeździe i przyglądał się marmurowemu budynkowi. Nie chciał wejść do środka, nawet na popołudniową herbatę, nawet na szybkiego drinka, a w drodze do domu powiedział tylko:

– Cieszę się, że wreszcie zobaczyłem ten dom. Ten człowiek zbudował go dla kobiety, którą wolał od tej, której ja nie umiałem odrzucić.

Herman zapomniał, że musi wracać do domu. Minął grudzień, styczeń i luty. Razem z Esther zaczęli codziennie rano zabierać Aleksandra na spacer po plaży, nawet jeśli to oznaczało, że Esther musi przez całą drogę nieść kręcącego się olbrzyma. Kiedy kładła go na chwilę, jadł piasek i pełznął do oceanu, jak roześmiana czarnowłosa kałamarnica. Esther powiedziała, że nigdy w życiu nie była w tak dobrej formie jak po miesiącach noszenia

niespokojnego bratanka. Czasami w tym rytuale towarzyszyli im Gina i Harry, czasem nawet Salvo, jeśli nie wrócił zbyt późno do domu. Esther niechętnie wyznała Ginie, że kiedy Salvo i Harry wybierali się na plażę, było dużo łatwiej, bo na zmianę nosili Aleksandra. Trzy pokolenia spacerowały wzdłuż oceanu łączącego podzielone kultury. Salvo uwielbiał nosić Aleksandra i miał dla niego nieskończenie dużo cierpliwości; podrzucał go, huśtał, sadzał sobie na ramieniu, kołysał nim nad spienionymi falami. W te wilgotne poranki nawet Esther spoglądała na Sycylijczyka z mniejszą dezaprobatą.

Pewnego dnia Gina przez chwilę obserwowała, jak Esther patrzy na Salva, po czym szturchnęła Harry'ego.

– *Marito*, spójrz na twarz siostry.

Spojrzał.

– Nic nie widzę.

– Spójrz, jak patrzy na mojego brata, gdy bawi się z naszym synkiem. Mówiłam ci, że w końcu go polubi.

– Nie, lubiła Aleksandra od samego początku.

– *Ilare!* – Ścisnęła go za ramię. – Widzisz? Nikt nie może długo opierać się Salvowi. Ani ty, ani twój ojciec, ani nawet twoja siostra, którą tak trudno zadowolić.

– Nie bądź taka pewna. Chyba jej nie doceniasz. Spójrz, zaraz wciągnie Salva do rozmowy. O czym oni mogą rozmawiać?

Zaciekawiona Gina zostawiła męża i podbiegła do teścia. Podała mu ramię i przyspieszyła kroku, by wśród szumu fal i wiatru słyszeć, o czym rozmawiają Esther i Salvo. Dołączył do nich Harry z szelmowskim uśmiechem na opalonej i wypoczętej twarzy. Gina szła między ojcem i synem.

– Salvo, wygląda na to, że lubisz swojego siostrzeńca – usłyszeli głos Esther.

Skinął głową.

– Jest moim siostrzeńcem. Ty też bardzo go lubisz.

– Rzeczywiście. Nie dane mi było mieć własnych dzieci. – Esther celowo zawiesiła głos.

– A ty miałaś to szczęście?

– Mam za co dziękować – odparł.

– Za dzieci też?

Skinął głową.

– Nawet za dzieci. – Z szerokim uśmiechem odwrócił się do Giny, która pogroziła mu pięścią. Przestań!

– Co? – zapytał bezgłośnie. Aleksander siedział mu na barana i ciągnął za włosy.

– Gino – powiedział Herman – myślisz, że ich rozmowa skończy się wielkim wybuchem?

– Dla Esther na pewno.

– Tak też myślałem.

Idący obok Giny Harry roześmiał się cicho. Kiedy Gina zmierzyła go spojrzeniem, szepnął:

– A nie mówiłem?

– Za dzieci... w liczbie mnogiej? – dopytywała się Esther.

– Tak, tak. Ale to same dziewczynki – wyjaśnił ze smutkiem Salvo, poklepując

Aleksandra po pulchnej nóżce. – Niestety nie doczekałem się chłopca. Prawda, Harry? – Odwrócił się. – Masz szczęście, że urodził ci się syn. Jak wszyscy ojcowie. – Zacmokał. – Stale próbuję, ale bez powodzenia.

– Nie wypowiadam się w imieniu wszystkich ojców – odparł Harry – ale bardzo się cieszę, że mam syna. Ale nie chcę wam przeszkadzać w rozmowie, mówcie dalej, proszę.

Esther naciskała.

– Same dziewczynki? To ile... ich jest?

– Dobre pytanie – odparł w zamyśleniu Salvo.

– Myślałam, że proste.

– Esther – przerwał jej Herman. – Przestań grillować tego biedaka. Nie jest stekiem.

– Nie, nie, ojcze, pozwól jej – powiedział Harry.

Gina pociągnęła go za jasny włos na opalonym ramieniu i zaczęła strofować. Musiał zasłonić usta dłonią, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

– Harry ma rację, wszystko w porządku, Hermanie – zawołał Salvo, trzymając teraz Aleksandra do góry nogami za kostkę. – Nie mam nic przeciwko temu. O co pytałaś, Esther?

– Ile masz dzieci – rzuciła ostro.

Salvo liczył, zginając wszystkie palce lewej ręki.

– Powiedziałbym, że pięcioro. – Po krótkiej chwili namysłu dodał: – Pięcioro, o których wiem.

Esther się zachnęła. Nawet Gina o mało co się nie roześmiała.

– Gdzie one są? – indagowała Esther. – Te maluchy, twoje dzieci, twoje córki? – Przemawiała ostrym tonem.

Salvo wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chyba ze swoimi matkami. Mam przynajmniej taką nadzieję.

– Matkami?! – Esther przyłożyła dłoń do serca.

– Tak. Czy to cię denerwuje? Usłyszałem coś w twoim głosie. Tak strasznie zbladłaś. A może jestem przewrażliwiony?

– Matki?

– Dzieci mają matki, tak. Dlaczego to cię tak dziwi?

– Matki w liczbie mnogiej?

– Tak. Pięć córek, pięć matek.

Esther o mało co nie upadła. Kiedy się odwróciła, zobaczyła Harry'ego zgiętego wpół ze śmiechu. Odbiegła od nich, a oni nie przestawali się śmiać.

Gina mocno uszczypnęła Salva. Aleksander wyciągnął do niej rączki.

– Jak ona może cię polubić – strofowała brata Gina – kiedy ją tak dręczysz? – Oparła malca na biodrze.

– Miałaś rację, że powinienem spróbować czegoś innego, żeby mnie polubiła. – Puścił do niej oko.

– Salvo!

– No co? – Był wcieleniem niewinności.

Odwrócili się i zobaczyli Harry'ego, który wpatrywał się w nich z powagą.

– Naigrawacie się z mojej siostry.

– Salvo! Harry ma rację – powiedziała Gina z udaną powagą. – Jak możesz w ogóle żartować w takiej sprawie?

Kiedy się przekomarzali, Herman dogonił Esther.

– Wiesz, dlaczego on cię dręczy?

– To nie jest zabawne, ojcze.

– Wiem.

– To dlaczego się śmiejesz?

– Odpowiedz mi. Wiesz dlaczego?

– Nie.

– Bo jesteś dla niego łatwym celem. To nawet nie jest sprawiedliwe. Jak strzelanie do ryb w beczce.

– Ale kto może żartować z takich rzeczy? – zapytała Esther wysokim głosem.

– Wie, że go krytykujesz, więc się z tobą bawi. – Herman pokiwał głową. – Uwierz mi, wiem coś o tym.

Esther zamilkła.

– Córkco, gdybyśmy krytykowali każdą osobę, która nie zachowuje się zgodnie ze standardami domu po drugiej stronie drogi, byłibyśmy zbyt zajęci, by jeść, prawda?

– W domu po drugiej stronie drogi nie ma standardów.

– No tak, masz rację, wtedy nie było. – Herman przegrupował siły. – Ale dzisiaj oprócz Giny, która jest poza wszelką krytyką – ciągnął, gdy Esther z pogardą wypuściła powietrze – mamy twojego brata, który robi Bóg jeden wie co, udając, że się zmienił. Mamy Salva, który próbuje zmienić południową Florydę we Włochy i drażni dobrze urodzone kobiety z Bostonu, zamieniając je w złośnice. Fernando przemycyca całe tony alkoholu ze swojej ojczyzny i ma nadzieję, że go nie aresztują. Carmela jest okropną gospodynią, która mówi po angielsku, ale udaje, że nie, a Emilio jest bardzo przeciętnym kucharzem. Gina bije go na głowę. Kiedy ona przygotowuje jedzenie, nie mogę się doczekać kolacji. Rosa zachowywała się tak okropnie, że nawet nie chce iść z nami na plażę, bo jest tu Salvo. A ty, moja droga, siedzisz i przez cały dzień cmokasz. W końcu wyrobisz sobie dziurę w policzku.

– Ciekawe, gdzie nauczyłam się krytykować wszystko i wszystkich?

Teraz Herman wyglądał na skruszonego.

– No cóż, może dzieci powinny się starać być lepsze od rodziców.

– Czy matka też była taka krytyczna? – zapytała Esther, gdy przeszli spory kawałek w milczeniu.

– Wręcz przeciwnie – odparł po długiej chwili Herman, patrząc prosto przed siebie. – Nie była dość krytyczna. Wszystkich kochała i akceptowała. Nie miała żadnej ochrony przed życiem.

– Esther, czy możemy porozmawiać o czymś innym niż twoje nieobyczajne

zainteresowanie romantycznymi wyczynami Salva?

– One w ogóle mnie nie interesują, nieobyczajne czy nie.

Herman i Esther szli ulicą. Esther ujęła go pod ramię, by go dotykać, a nie obarczać swoim ciężarem. Dzisiaj byli tylko we trójkę z Aleksandrem. Fernando podwiózł ich na śniadanie do Breakers, a potem szli Worth Avenue wzdłuż eleganckich sklepów. Herman popychał wózek z wnukiem.

– Zamiast roztrząsać prokreację, która nas nie obchodzi, czy możemy porozmawiać o tym, jak rozmyślnie twój brat ukrywa swoje lektury?

– A co czyta?

– Na przykład *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem* Johna Reeda.

– Nie zauważyłam. Ale przecież może czytać, co zechce?

– To dlaczego to ukrywa?

Aleksander zaczął się wiercić, więc zatrzymali się na chwilę. Esther poprawiła mu kocyk i podała misia grzechotkę, którą upuścił.

– Grzeczny chłopczyk – szepnęła, całując go w główkę. – Bardzo grzeczny. – Wyprostowała się. Jej siedemdziesięcioletni ojciec, który pchał wózek, bo łatwiej było mu iść, gdy przytrzymał się rączki, ruszył dalej bardzo wolno. – Pytasz, ojczu, bo wiesz, czy dlatego że chcesz wybadać sytuację?

– Jedno i drugie – odparł. – Pytam, bo wiem, ale chcę wybadać, czy ty wiesz.

– Nic nie wiem. Ignoruję Harry'ego zupełnie, gdy zamyka się w tym dziwnym świecie, i zwracam na niego uwagę, tylko gdy pojawia się w naszym.

– To dobrze. Jego urocza i miła żona powinna przyjąć taką samą postawę.

– Nie wiem, co w niej widzisz – mruknęła Esther, poprawiając kapelusz, by osłonić twarz przed słońcem. – Co jeszcze czyta Harry?

– *Kolonie karną* Kafki.

Esther się uśmiechnęła.

– Harry jest taki zabawny.

– Wiesz, co udaje, że czyta?

– *List do ojca*.

Esther parsknęła śmiechem.

– Ależ on jest komiczny. Wiedziałaś, że ojciec Kafki też miał na imię Herman?

– Nie. Teraz możesz się śmiać, ale co zrobimy w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku, kiedy skończy się jego areszt?

– Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu. Widziałaś, jak bacznie obserwuje go Janke? Zupełnie jakby chciała go przyłapać na złamaniu warunków zwolnienia. Słyszałaś go w poniedziałki? Nazywa ją inspektorem Javertem. – Esther wyglądała na rozbawioną. – W oczy!

Herman się roześmiał.

– Twój brat zawsze miał ostry dowcip.

– Mój brat, ale twój syn. – Poklepała ojca czule po ramieniu, gdy szli dalej ulicą, spoglądając na wystawy pełne *art nouveau* i eleganckich butów. – Za bardzo się martwisz. Da sobie radę. Spójrz tylko, gdzie mieszkają. Myślisz, że Bellagrand nie zauroczy go tak, jak zauroczyło Salva? I Ginę? – Szturchnęła go lekko. – Nawet ty jesteś pod wrażeniem.

Popychając wózek z Aleksandrem, Herman wysunął się nieco do przodu, by uniknąć czułych docinków Esther.

– Tak – odparł. – I nie mogę się od niego uwolnić.

– Harry, miałeś okazję przeczytać nową książkę Johna Reeda? – zapytał obojętnie Herman po kilku dniach. Jedli lunch złożony z *ceviche* z krewetek, świeżego chleba i mango z lodami.

– A dlaczego miałbym czytać? – zapytał Harry. – Mój strażnik więzienny, to znaczy moja kurator, szacowna Margaret Janke woli, żebym nie czytał takich rzeczy.

– Może ma rację. Ja uważam, że książka jest zupełnie nieszkodliwa. Czy mam jej powiedzieć, że możesz ją przeczytać?

– Hermanie, czytałeś *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem*? – zapytała zdumiona Gina.

– Tak, moja droga – odparł wesoło. – W twoim własnym domu. Znalazłem zakurzony egzemplarz w bibliotece. Tyle czytałem o tej książce w gazetach, więc pomyślałem, że spróbuję. Wyznaję, zdziwiłem się na jej widok. Opublikowano ją niecały rok temu.

Przy stole zapadła cisza.

– Nie rozumiem, co się dzieje – powiedziała w końcu skonfundowana Gina. – Co mnie ominęło?

– Nic, Gia. – Harry wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń. – Ojciec jest po prostu ojcem. Robi ze mną to, co Salvo z moją siostrą. – Odwrócił się do Hermana. – No dobrze. Przeczytałem ją. Nie powinno nikogo dziwić, że czytam książkę mojego przyjaciela. Widziałeś, że ją dla mnie podpisał? Otrzymanie jej było dla mnie zaszczytem.

– Hmm – odparł Herman. – Na twoim miejscu ukryłbym ten szczegół przed kuratorką. Myślę, że brak korespondencji pomiędzy tobą a członkami Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych jest jednym z warunków twojej obecnej sytuacji.

– Tak – zgodził się Harry, puszczając dłoń Giny i wpatrując się w miseczkę ze stopionymi lodami. – Dlatego jej nie powiedziałem.

– Mądrze postąpiłeś.

Harry przygryzł wargę.

– Co myślisz o tej książce, ojcze?

– Uważam, że jest świetna. – Herman wzruszył ramionami. – Czemu nie? Ten człowiek jest najwyraźniej zachwycony karabinami, strzelaniną, działaniami policji na wielką skalę i tłumami na ulicach. Byłaby rewelacyjna jako sztuka bez słów. Mnóstwo zamieszania i hałasu, żadnych dialogów, bardzo skąpa narracja.

– Ja myślałem, że narracji jest sporo – zaoponował Harry. – Dlaczego uważasz, że jest skąpa?

– Dlaczego? Bo ta książka ukazała mi wyraźnie, jak wygląda życie z przemocą na ulicach. Ale jakoś niezupełnie wyjaśniła, dlaczego do tej przemocy powinno dojść.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Jedna szósta kraju próbuje brutalnie uciskać i mordować pozostałe pięć szóstych, którym nie podoba się ten cały bolszewizm i które nie chcą ani być jego częścią, ani być mordowanymi. Ktoś uważa, że ta brutalna siła to dobry pomysł. Ale nikt mi nie wyjaśnił

dłaczego.

– Naprawdę potrzebujesz Johna Reeda, by ci wytłumaczył?

– Nie miałbym nic przeciwko temu, by ktoś tylko mi zasygnalizował, że warto zabijać ludzi na ulicach.

– On pisze nową książkę na ten właśnie temat. Teraz.

– Interesujące. Nie chcę wiedzieć, skąd to wiesz – powiedział Herman. – Ale to zabawne. Mnóstwo osób powtarza mi stale, że trzeba obalić nasz obecny sposób życia. Wiele rządów w Europie, nawet nasz rząd, żyje pod groźbą obalenia, jeśli sądzić po demonstracjach na ulicach, w których oczywiście nie bierzesz już udziału, choć zakładam, że czytasz o nich w gazetach. Ale akurat ja z milionami innych ludzi nadal czekam na odpowiedź, dlaczego takie obalenie jest potrzebne.

– Nie rozumiem, czemu za brak takiej informacji ze strony innych należy obwiniać Johna Reeda.

– Bo to także jego wina – odparł Herman. – Kiedy czytam książkę o rewolucji francuskiej, chcę się dowiedzieć, co się kryło za gilotyną. Kiedy czytam książkę o rewolucji amerykańskiej, chcę się dowiedzieć czegoś więcej niż tylko to, że Washington przekroczył rzekę Delaware w Boże Narodzenie. Chcę wiedzieć, po co to zrobił. Czy to takie nierozsądne? Dlaczego Cezar przekroczył Rubikon?

– Ojczy, nie możesz mi powiedzieć, że nie wiesz, czym jest bolszewizm! – Zirytowany Harry spojrzał na Ginę. Ona jednak przyglądała mu się zdumiona, niemal zmartwiona, zaskoczona jego nagłym wybuchem podczas pozornie obojętnej rozmowy w leniwe popołudnie, gdy wszyscy powinni uciąć sobie drzemkę.

– Nie – odparł Herman. – Nie wiem. Pan Reed nie chce mi powiedzieć. Pisze, że na pytanie, czym jest bolszewizm, nie można odpowiedzieć na kartkach jego książki. Nigdy nie czytałem czegoś dziwniejszego. Buntują się, walczą, obalają, wszystko to jest wspaniałe, chwalebne, odważne, gwałtowne. Więc dlaczego nie mam pojęcia, jaki cel ma ta odważna chwała? Czy to zamierzone?

– Oczywiście, że nie!

– No to może sam John Reed nie wie. – Herman z satysfakcją odchylił się na oparcie krzesła. – Bo w swojej książce mówi mi wiele innych rzeczy, zarówno trywialnych, jak i głębokich, więc skłaniam się ku myśli, że gdyby znał odpowiedź, podałyby ją. Czyż nie?

– Ta książka opowiada o jego przeżyciach w Piotrogradzie podczas rewolucji rosyjskiej – tłumaczył zniecierpliwiony Harry. – To nie jest encyklopedia.

– Mam nadzieję, że nie. Bo nie byłaby zbyt wyczerpująca. – Herman zawiesił głos i dojadł z wielką przyjemnością resztę mango i lodów. – Synu, weźmy za przykład tego, co próbuję ci powiedzieć, twój przyjaciel Bena.

Wszyscy wyraźnie zeszytnieli. Jediną reakcją Hermana na niewyjaśniony dyskomfort reszty rodziny były zmarszczone brwi. Po chwili mówił dalej z nieco mniejszą pewnością siebie.

– Gdyby Ben Shaw był Johnem Reedem Panamy i napisał książkę o monumentalnym przedsięwzięciu, jakim była budowa kanału, pod względem zarówno metaforycznym, jak i dosłownym przypominająca rewolucję, bo zniszczyła to, co było, a potem zbudowała nowe, myślisz, że Ben potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego poświęcił piętnaście

lat życia na budowanie kanału?

– Nie wiem – odparł zimno Harry. – Może gdyby się tu zjawił, moglibyśmy go zapytać.

– Nie jest nam potrzebny – odparł Herman. – Znamy odpowiedź. Nazbyt często nam o tym mówił. Prawda, Esther? Przez lata wyjaśniał nam swoje powody podczas niedzielnych obiadów. Mieliśmy już ich po dziurki w nosie. Znaliśmy je na pamięć! A potem pojechał do Panamy. Jego książka z pewnością odpowiedziałaby na moje pytanie. Bo on wie dlaczego.

Esther i Gina milczały.

Harry uśmiechnął się z wyższością.

– Kanał Panamski to nie bolszewizm, ojcze – powiedziała cały spocony.

– Rzeczywiście. Ale bez względu na to, jak wielkie czy małe jest twoje przedsięwzięcie, czy nie powinienesz podać przynajmniej jednego powodu, dla którego się go podejmujesz? – Herman odsunął krzesło i wstał. – Dziękuję za pyszny lunch. Ta ożywiona rozmowa mocno mnie wyczerpała. Od lat nie byłem tak ożywiony i jestem za to wdzięczny, ale teraz podobnie jak mój radosny wnuk muszę się przespać.

Herman powiedział, że ciepłe powietrze dobrze robi jego starym kościom, bo artretyzm nie daje mu się już tak mocno we znaki. Pływał w oceanie i łowił ryby ze świeżo przemalowanej łodzi, która nazywała się teraz Gia, nie Frances. Chodził nawet z Giną na targ po świeże owoce, ku zdumieniu Esther, która nie miała pojęcia, że ojciec wie, co to takiego targ. Został przez sześć miesięcy, na tyle długo, by być świadkiem, jak Aleksander stawia pierwsze kroki, mówi pierwsze słowa, i zobaczyć niebieskie balony w dzień jego pierwszych urodzin. Wyjechał, kiedy zrobiło się niemiłosiernie gorąco.

4

Pół roku później, kilka miesięcy przed Bożym Narodzeniem 1920 roku, Herman raz jeszcze przeszedł przez ogromny marmurowy hol Bellagrand. Oddychał z większym trudem, był chudszy i wyglądał na bardziej wyczerpanego. Przytulił Ginę, mocno uścisnął dłoń Harry'ego, spojrział na niego ciepło i zmarszczył brwi.

– Co się dzieje? Dlaczego jesteś taki ponury? Czy Emmę Goldman znów deportowano?

– Och, nie bierz tego do siebie, Hermanie – powiedziała szybko Gina, kiedy Harry nie odpowiedział. – John Reed zmarł niedawno.

Herman przyjrzał się badawczo twarzy syna.

– Nie wiedziałem, że byliście tak blisko.

– To był wspaniały człowiek. Wizjoner – odparł Harry. – Miał tylko trzydzieści dwa lata! Nie mogę w to uwierzyć. Zmarł na tyfus w Piotrogradzie. Kto umiera na tyfus?

– Na przykład John Reed. – Herman się rozejrzał. – Może gdyby nie pognał do Rosji, miałby trzydzieści dwa lata i nadal by żył. Gdzie jest... – Nie dokończył. Do holu wpadł ciemnowłosy chłopczyk o brązowych oczach, niezwykle wysoki na swój wiek. Miał prawie dziewiętnaście miesięcy, a wyglądał na cztery lata. Wbiegł w podskokach, jakby galopował

na niewidzialnym koniu, zatrzymał się, wbił wzrok w dorosłych, w uśmiechniętą Esther, rozpromienioną Rosę i zatrzymał spojrzenie na Hermanie. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Aleksandrze, pamiętasz, kto to jest? – zapytała Gina.

Chłopiec kiwnął głową.

– To ojciec tatusia, twój dziadek – wyjaśniła Gina, kładąc rękę na ramieniu synka.

– Mama, puść – powiedział Aleksander, wyrывая się jej. Przez kilka chwil stał wpatrzony w dziadka, oceniając, zastanawiając się.

– Co się stało, Aleksandrze? – zapytał Herman z uśmiechem na pomarszczonej twarzy. – Kot odgryzł ci język?

– Nie kot – odparł malec. – Zaby. Idzies? – Wyciągnął rękę.

– Chodźmy – powiedział Herman, ujmując miękką rączkę chłopczyka w swoją wielką pomarszczoną dłoń. – Będziemy musieli iść daleko?

– Nie. – Wskazał palcem. – Woda.

– Woda, tak? Jesteś pewny, że to żaby, Aleksandrze? Skąd wiesz, że w pobliżu wody nie czają się małe aligatory?

Aleksander szybko się obejrzał i spojrzał na matkę.

– On żartuje, synku – uspokoiła go Gina. – Jak tatuś. Dziadziowi chodziło o gatory. Na Florydzie mówimy gatory, Hermanie.

Chłopczyk podniósł wzrok na wysokiego, siwego, lekko pochylonego dziadka.

– Nie, nie – powiedział, ciągnąc go za rękę. – Zaby. Nie gatory. Zobac.

Ruszyli.

– Co to? – Aleksander wskazał na laskę Hermana.

– Moja laska. Pomaga mi chodzić.

– Och. Chcem.

– Może ci zrobimy.

– Tak. Teraz.

– Później, dobrze? Potrafię zrobić mnóstwo rzeczy.

– O?

– Stół. Krzesła. Ławkę. Szopę. Dom.

– Dom! – Aleksander wybuchnął śmiechem.

– Nie żartuję.

– Ja zbuduję dom – odparł natychmiast malec.

– Dobrze. Nauczę cię. Ale możemy najpierw zjeść lunch?

Aleksander pokręcił głową i wyglądał na bardzo rozczarowanego.

– Będzie nam potrzebny młotek – powiedział Herman – jeśli mamy zbudować fort dla gatorów.

– Co to młotek?

– Ojciec nie dał ci jeszcze młotka? Może i dobrze.

– Co to młotek?

– Pokażę ci – powiedział Herman, ściskając go za rączkę. – Twój tatuś świetnie sobie radził z młotkiem, gdy był taki mały jak ty.

– Ja nie mały. Duży.

– Tak, jesteś bardzo wysoki. Może pójdziemy razem do sklepu kupić narzędzia.

– Co to narzędzia?

– Młotki, obcęgi, piła, klucz francuski.

Aleksander pokręcił głową.

– Banany, ciastecka.

– To się kupuje w sklepach dla dziewcząt – powiedział Herman. – Kiedy dorośniesz, musisz się nauczyć trzymać od nich z daleka. Ty i ja pójdziemy do sklepu dla mężczyzn, dobrze?

Chłopczyk ochoczo kiwnął głową, nie puszcżając ręki dziadka.

– Teraz. Nie zaby. Chodź teraz.

– Może mały lunch? Dziadek jest strasznie głodny.

– Nie lunch.

– Proszę...

Wyszli na zewnątrz na oślepiające słońce.

Aleksander pokazał Hermanowi staw i żaby pod liliami, palmy, które zasadził z matką, drzewka cytrynowe, pomarańczowy gaj. Pokazał Hermanowi przystań z łódką i żyłki do łowienia ryb.

– To twoja żyłka?

Aleksander kiwnął głową.

– Ja łowiem. Tatuś łowi. Dziadzia łowi?

– Jem ryby. I lubię je łowić. Kiedy byłem tu ostatnio, często wypływałem łódką z twoim tatusiem. Ty byłeś za mały. Ale może tym razem wybierzemy się we trzech?

– Zio Salvo też.

– Jak mogłem zapomnieć. – Herman zmierzwił włosy malca. – Oczywiście *zio* Salvo też.

Gina zawołała ich na lunch. Starszy pan i malec wyglądali na bardzo niezadowolonych, gdy wchodzili na *lanai*.

Po lunchu Aleksander dostał ataku wściekłości.

– Nie spać, ryby! Nie spać, ryby! – wrzeszczał i kopał nogami, gdy Gina niosła go na górę. Po drzemce, do której nie doszło, i przed kolacją Aleksander, Herman i Harry siedzieli na pomoście w ciepłym grudniowym zachodzącym słońcu i machając nogami, zarzucili wędkę. Tego dnia nie udało im się złowić ani jednej ryby, ale powiodło im się następnego i jeszcze następnego.

Herman kupił Aleksandrowi młotek.

Aleksander przestał spać po południu.

– Na co patrzycie? – zapytała Gina. Herman i Esther stali odwrócenii do niej plecami. Ponieważ oboje zajmowali się przede wszystkim Aleksandrem i jego poczynaniami, Gina założyła, że jej syn robi coś wyjątkowego.

– Próbuujemy zgadnąć, co zamierza – powiedziała Esther, odsuwając się lekko, by Gina mogła spojrzeć. Aleksander przetaczał kamienie z jednego końca trawnika na drugi.

Gina patrzyła przez chwilę.

– Najwyraźniej buduje fort.

– Aleksandrze, przestań! – zawołał Harry siedzący przy mozaikowym stoliku, gdzie

przed chwilą zaczytywał się *Scaramouche* Sabatiniego, romansem dziejącym się w czasach rewolucji francuskiej. Beletrystyka była jedynym działem literatury, który Janke aprobowwała. Uznała ją za nieszkodliwą, bo jest „tak naciągana”.

– Janke nie do końca się myli z tym naciąganiem – powiedziała wtedy Gina. – Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że w *Scaramouche* Robespierre odgrywa rolę romantycznego bohatera?

– Aleksandrze! Co powiedziałem? Przestań.

– Tak, tata.

– Ale nie przestajesz!

– Nie skończyłem!

– To skończ! – krzyknął Harry.

– Dobrze!

– Wydaje mi się – odezwała się Gina, obserwując syna – że próbuje zbudować dwa forty na przeciwległych końcach trawnika, a potem rozegrać bitwę.

– Czym? – zapytał Herman.

Gina wzruszyła ramionami.

– Czymkolwiek. Dwoma marchewkami. Bananami. Młotkiem, który mu kupiłeś.

– Nie wiedziałem, że jest wojownikiem – powiedział Herman z nieskrywaną dumą. – Ale na pewno twój syn jest budowniczym.

– I wojownikiem – dodała Esther z nieskrywanym uwielbieniem.

– Aleksandrze! Przestałeś? – Tym razem Harry nawet nie podniósł wzroku znad książki.

– Tak, tata.

Gina wiedziała, jak bardzo Harry’emu podoba się książka, po liczbie cytatów, którymi ich raczył. „Urodził się z... poczuciem, że świat jest szalony”. I po tym, że nie zwracał uwagi na nic innego.

Zawołała do pogrążonego w lekturze męża:

– Harry, *tesoro*. Możesz się oderwać od Robespierre’a? Twój syn zaraz wypłynie łódką.

Aleksander chichotał, próbując odwiązać cumę z haka. Harry upuścił książkę, pobiegł na przystań, a Herman, Esther i Gina wybuchnęli śmiechem. Harry chwycił Aleksandra w ramiona, zwiesił go głową w dół za kostkę i udawał, że chce go wrzucić do wody. Aleksander śmiał się i krzyczał:

– Jesce, tata, jesce, jesce!

5

Jedyną rzeczą, jaka czasem zakłócała idyllę, były spory pomiędzy Hermanem i Harrym, które przypominały pogodę na południowej Florydzie z odległym, lecz codziennym popołudniowym grzmotem. Gina napomknęła Esther, że obaj kłócą się o rzeczy drobne i nieistotne, a Esther się roześmiała.

– Kochanie, to nie są kłótnie. To tylko ostra wymiana zdań. Jeśli się spierają, to znaczy, że wszystko jest w porządku. Kiedy przestaną rozmawiać, musisz zacząć się martwić.

Gina nie dała się przekonać.

– To nie wygląda tak, jakby rozwiązywali problemy. Bardziej jakby je demonstrowali. Żaden nie ustępuje ani na jotę.

Esther skinęła głową.

– Harry jest nieodrodnym synem swojego ojca. Im bardziej się nie poddaje, tym bardziej ojciec jest z niego dumny.

– Harry chyba o tym nie wie – powiedziała Gina. – Raczej jestem pewna, że nie.

– Masz rację – zgodziła się Esther. – Harry zawsze dostrzegał prawdę jako ostatni.

– Może powinniśmy poprosić Salva, naszego nowego eksperta od nieruchomości, żeby wycenił Bellagrand – powiedział Herman pewnego wieczoru po późnej kolacji, na którą jedli homara. Siedzieli na osłoniętym *lanai*, podczas gdy Aleksander, nie zważając na krążące nad basenem muchy, szukał kija, by podpierać się jak dziadek. – Bank oszacował jego wartość, gdy udzielał ci kredytu, Harry, ale to było parę lat temu. Ceny poszły w górę. Może Salvo powie nam coś konkretnego.

– Na pewno, Hermanie – odparła Gina, gdy Harry nie odpowiedział od razu. – Przyjedzie jutro na niedzielny obiad. Poprosimy go.

Harry jęknął.

– Jak Salvo może nam pomóc? – Uwaga była wymierzona w Hermana, choć Gina nie była całkiem pewna. – W cenie domu nie ma nic konkretnego.

– Słucham?

– Nieważne.

– O co ci chodzi, synu? – dopytywał się Herman. – Dom ma wartość. A wyraża się ją za pomocą ceny. Czy może być coś bardziej konkretnego?

– Wiesz, jakie słowo wiąże się z ceną? Kaprys.

– Doczekaliśmy się – mruknęła Gina i dała znak Esther, by pomogła jej pozbierać ze stołu. Carmelę wysłały do domu wcześniej.

– Nie nadążam – rzucił Herman, prostując się na krześle.

– Ceny są dowolne – wyjaśnił Harry. – Można je ustalić na bardzo wysokim poziomie, by właściciel domu uzyskał maksymalny zysk.

– Właściciel, czyli ty.

Harry wzruszył ramionami.

– Jak wiesz, ojczu, jest mi to obojętne. Dom jest jak narzędzie. Robotnicy, którzy je wytwarzają, nie mogą sobie pozwolić, by je kupić. A to nie jest mi obojętne.

– No tak. Wielu ludzi nie może kupić łodzi albo pierścionków z diamentem. Czego to dowodzi? Że nie powinniśmy mieć łodzi ani pierścionków?

Gina schowała dłoń z pierścionkiem. Harry zamrugnął.

– Nie, to dowodzi, że ceny ustalane są arbitralnie.

Herman zaśmiał się cicho.

– Chcesz powiedzieć, że nic nie ma rzeczywistej wartości?

– Wcale nie. Rzeczy, których nie możesz wycenić, mają. Na przykład dzieci. Ale rzeczy wyceniane mają arbitralną wartość. Jak domy.

Kto mógłby się z nim nie zgodzić w tej sprawie? – pomyślała Gina. Tylko że dla niej

obie rzeczy miały wartość.

– Widziałeś kiedykolwiek zestawienie zysków i strat w biznesie, Harry? – zapytał Herman. – Może w restauracjach Salva? Chyba pomyliłeś pojęcia.

– Wcale nie.

– Ja jestem pewien. Mylisz cenę z kosztem. A to nie są synonimy.

– Wiem. Koszt domu wynosi X. Cena domu to kapryśne Y.

Herman wypił ostatni łyk mojito i skinął na Ginę, by nalała mu jeszcze.

– Jeśli ceny są arbitralne, to stosując twoją logikę, pensje również.

– A nie są?

– A są? Dlaczego w przędzalni Wooda wypłacano twojej żonie X dolarów na tydzień? Dlaczego nie połowę X? Albo jedną czwartą?

– No właśnie! Czemu nie dwa razy X? Albo trzy razy?

– Dlaczego tak mało, synu? – zapytał rozbawiony Herman. – Czemu nie mieliby płacić Ginie dwadzieścia razy X za pracę w cerowni?

– Właśnie. A ty wiesz, że ktoś dostaje dwadzieścia razy X, ale nie Gina.

Herman odwrócił się do synowej.

– Gino, dlaczego twój brat nie płacił specjalście od pizzy dwadzieścia razy X?

Gina przygotowywała drinki z rumem i miętą przy wysokim stole.

– Zapytaj swojego syna, Hermanie, nie mnie – odparła. – On mu płacił dwadzieścia razy X.

– I dokąd to was zawiodło?

– Do bankructwa.

– No właśnie. Bo Harry oddzielił ceny od kosztów, czyniąc jedne arbitralnymi, a drugie nie. Aby płacić specjalście od pizzy dwadzieścia razy X, musiałby podnieść cenę pizzy dwadzieścia razy.

– Ale po pięciu minutach wypadlibyśmy z interesu.

Herman skinął głową.

– A co mówiłem o cenach wyrażających rzeczywistą wartość rzeczy?

– Ojczy, odchodzisz od mojej pierwszej uwagi o Bellagrand – powiedział Harry, a Gina patrzyła na jego tężejącą twarz. – Nie możesz liczyć dwadzieścia razy X...

– Nie upieraj się przy dwudziestu. Może być dwa. Albo trzysta dwa. Dlaczego nie może to być dowolna liczba? – zapytał Herman. – Jeśli uważasz, że cena narzędzia jest arbitralna, to arbitralna musi być także pensja wypłacana za jego wykonanie.

– To dwie różne rzeczy.

– Ale odnoszą się do dokładnie tej samej – powiedział Herman. – Kosztu jednego narzędzia. W dostrajaniu równowagi pomiędzy ceną i kosztem tylko zmieniający się rynek może ci powiedzieć, czy liczysz sobie za dużo. Wiesz jak? Nikt go nie kupi i wypadniesz z interesu. – Skinął głową Ginie w podziękowaniu za mojito, które mu przyniosła. – Zażądaj cztery miliony dolarów za ten dom. Albo czterdzieści. Zobaczysz, czy ktoś się połasi.

– Można też zażądać pięćdziesiąt dolarów i połaszą się wszyscy – mruknął Harry.

– Ale jak wtedy zapłacisz elektrykowi i kamieniarzowi dwadzieścia razy X? Pensja kamieniarza i cena domu są ze sobą powiązane. Prawie jak siła grawitacji w fizyce. Im

cięższa rzecz, tym szybciej spada na ziemię. Zmniejsz jej ciężar i będziesz musiał przywiązać do niej ciężarki, żeby nie uleciała w niebo.

– Ojczy, nie o to mi chodzi.

– W porządku – zgodził się Herman. – Zaczniemy od Bellagrand.

– Mówię tylko, że przepaść pomiędzy bogatymi i biednymi rośnie, ponieważ kapitalizm jest niesprawiedliwy i nieskuteczny, a wyraża się to między innymi ceną. Teraz dla kontrastu spójrzmy na Rosję. Koncentracja władzy w rękach jednej partii, która poświęca się wyłącznie zachowaniu podstawowych praw człowieka i powiększania jego szczęścia, to popieram całym sercem.

Przy stole zapadła cisza.

– To znaczy już nie – poprawił się Harry. – Kiedyś popierałem. Jak adwokat diabła. Zmieniłem się. Ojczy, Gino, możecie się nie martwić. Nie zawiodę was. – Zmusił się do uśmiechu. – Choć nadal jestem sprzeciwiaczem. To chyba nie stanowi problemu?

Herman już mniej ugodowo postukał w blat stołu.

– Jeśli tylko popierasz i tylko się sprzeciwiasz, nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli ja będę popierał po swojemu?

– A kiedy tego nie robisz? Proszę bardzo.

– Dwie rzeczy. Powiedziałeś coś o szczęściu. Czy zakładamy, że w Rosji jest na to za wcześnie? Bo z mojego punktu widzenia dwie największe radości rosyjskiego kmiotka, poza jego własnym ciałem, to rynek i kościół. A twój Włodzimierz Iljicz Lenin poświęca życie na to, by go tego pozbawić.

– To nie jedyna rzecz, jaką robi.

Zmartwiona Gina spojrzała na Esther, lecz siostra Harry'ego była nieporuszona, jakby już to wszystko słyszała.

– Czyżby? – zdziwił się Herman – Bo wygląda na to, że tak. Z mojego punktu widzenia. A po drugie, mówisz, że rynek jest nieekonomiczny i nieskuteczny. Pozwól, że cię zapytam: ten garnitur, który masz na sobie, jak trafił na twoje ciało? Nici, przędza, krosna i przędzalnie, bawełna czy wełna, pola, na których rosła bawełna, jak to się wszystko złożyło na garnitur, który dziś włożyłeś? Albo inaczej, jakim cudem ty, mieszczuch mieszkający w dużym mieście lub nierobiący nic (jak teraz), żyjący w małym, wstajesz rano, kroisz sobie kawałek chleba i wkładasz go do ust? Czy zerwałeś się wyjątkowo wcześniej i pojechałeś na zachód do Iowa na swoje własne pole pszenicy? Czy zżąłeś ją dzisiaj, wymłóciłeś, zawiozłeś do młyna, zrobiłeś mąkę, połączyłeś ją z jajkami od kur, które hodujesz, wydoiłeś krowę i zrobiłeś masło, a potem upiekłeś chleb w piecu, który sam zrobiłeś? Jeśli nie, to jak ten chleb, który w cudowny sposób pojawił się na twoim stole, do ciebie dotarł?

– Salvo go upiekł.

Gina i Esther parsknęły śmiechem.

– A potem przyniósł mi go do domu – dodał Harry pogodnie.

– A skąd wziął ziarno? – zapytał Herman. – Wiemy, że Salvo nie ma pola, więc jak do niego dotarło? Pociągami? Który zbudowali inni ludzie? Drogi, tory, samochody, młockarnie, silosy na zboże wszystko zbudowane przez innych? Zeszłej nocy spałeś w łóżku z białą pościelą i miałeś bieżącą wodę, która płynęła w rurach. Skąd się wzięła ta

pościel? A jak rura znalazła się w twoim domu? A skoro już pytamy, jak trafiła tu woda?

Harry słuchał uważnie.

– Ojciec, zaczyna mnie to męczyć. Co to wszystko ma wspólnego z tym, o czym ja mówię, z tym, co mówił i o co walczył John Reed? – Zawiesił głos. – I za co umarł?

Herman wyprostował się i splótł ręce za głowę.

– Nie wiem, za co umarł twój John Reed. Chyba za nic. Po prostu zachorował i umarł. Ale odpowiadam na twoje pierwsze zażalenie. Powiedziałaś, że kapitalizm jest nieekonomiczny i nieskuteczny. Uznałem twój argument za błędny i wytłumaczyłem ci, że wolny rynek działa bardzo skutecznie.

– Tak, ale wszystko, o czym mówisz, zostało zbudowane dzięki harówce robotników! To zawsze było moją jedyną kwestią.

– Kto płaci robotnikom?

– Cała amerykańska cywilizacja została zbudowana dzięki harówce Mimoo i Giny, a wszystkie zyski trafiają do kieszeni ludzi, którzy nie pracują przy budowie kolei.

– Do kieszeni takich ludzi jak Henry Flagler? – Herman wypowiedział to nazwisko i nawet się nie wzdrygnął. – Jakie zyski czerpał Flagler z tego domu? Zbudował go ponad trzydzieści lat temu, zainwestował swoje własne pieniądze, użył najlepszych materiałów, jak widać po kamieniu, który masz pod nogami, i po marmurze w twojej łazience, zapłacił architektom i elektrykom, a potem co? Dom kosztuje, Harry. Flagler i ja sięgaliśmy głęboko do kieszeni i czasami nie zarabialiśmy ani centa. – Herman uśmiechnął się ciepło. – Prawdę mówiąc, jedyną osobą, która czerpie jakieś zyski z prywatnego kapitału Flaglera, jesteś ty. – Oparł się wygodnie. – To musi cię trochę wściekać, prawda synu?

Harry wstał od stołu rozdrażniony dobrym humorem ojca.

– Chcę tylko, żeby Ginie i Fernandowi lepiej płacili. Czy to takie nierozsądne?

– Bez kapitału najpierw i dochodów później nie ma pensji. Gina nie dostanie ani grosza. Fernando też nie.

– Państwo też ma kapitał. – Harry podszedł do barku, by nalać sobie whisky.

– A skąd państwo bierze pieniądze?

Pokonany Harry nie odpowiedział.

– Pytam, Harry – nie ustępował Herman. – Skąd państwo bierze pieniądze, by zbudować coś takiego jak Bellagrand?

– Z tego samego miejsca co Flagler.

– Z oszczędności? Ze zwrotów z ryzykownych przedsięwzięć na wschodnim wybrzeżu?

– Czemu nie?

– Innymi słowy z zysków?

– To nie byłyby zyski, ojciec, gdyby państwo mocno trzymało kasę. – Harry wypił whisky i nalał sobie następną. – A raczej byłyby to zyski rozdzielane równo pomiędzy ludzi, którzy zbudowali ten dom.

– Przede wszystkim, aby zbudować ten dom w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku, trzeba było zapłacić robotnikom. Dziś dom nie przynosi zysków. Powiedzmy, że Flagler sprzedałby go, zamiast podarować pani X. – Nikt przy stole nie powiedział, kim mogła być ta pani. – Powiedzmy, że potrzebował pieniędzy i sprzedał dom. Gdyby zyski z tej sprzedaży zostały podzielone między malarzy i stolarzy, skąd wzięłby potem kapitał na

wybudowanie Whitehall?

– A kogo obchodzi Whitehall? Mnie nie.

– Mnie też nie – odparł Herman – ale wybudowali go robotnicy, którzy otrzymywali za to zapłatę. Skąd wziął się kapitał na budowę Bellagrand? Gdyby Flagler rozdał zyski z kolei i ropy naftowej, nie byłoby Bellagrand. Nie byłoby ponownych inwestycji, budowy ani rozwoju. Nie byłoby Palm Beach, St. Augustine, Miami, portu w Key West. Nie byłoby pensji, zysków, biznesu. Brak inwestycji to brak przyszłości.

– Zapędziłeś się do narożnika – rzucił Harry.

– Ja?

– Tak! Byłoby mnóstwo innych pieniędzy.

– Skąd?

– Rosja ma pieniądze. Robią w tej chwili to, czego twoim zdaniem nie można zrobić. Naprawdę robią.

– Harry, Rosja unieważniła całe zagraniczne zadłużenie. Nazwała je nielegalnym. Wyobraź sobie, że jakiś inny kraj lub biznes działałby w ten sposób. To jedno źródło ich kapitału. Drugim jest odebrane siłą to, co prywatne przedsiębiorstwa zbudowały za prywatne pieniądze. Zajęli własność i nieruchomości: ziemię, gospodarstwa, fabryki, które należały do Rosjan. Tak samo zajęli pożyczone zagraniczne pieniądze i uznali je za własne. Jest inne słowo na to, co zrobili w Rosji i za granicą. – Herman spojrzał na Harry'ego znacząco. – Ale teraz wyleciało mi z głowy.

– Mów, ojczu, co chcesz, przeciwko Rosji, ale prywatny kapitał to trucizna, pomimo Bellagrand, o który tu nie chodzi.

– Zaczęliśmy od Bellagrand – powiedział Herman łagodnie – a teraz nie o niego tu chodzi?

– W Rosji nadal trwa wojna domowa! Kiedy odniosą zwycięstwo i reszta świata zostawi ich w spokoju, poobserwujemy ich przez jakiś czas i zobaczymy, co się wydarzy. Powstrzymajmy się od krytyki, dopóki nie zobaczymy, jak się udaje ich eksperyment. Mają teraz kapitał, obojętne jak zdobyty, i są właścicielami środków produkcji. Zobaczymy, jak się będą industrializować, kolektywizować, organizować. Dopóki nie zobaczymy, co się dzieje z rosyjską gospodarką pod nowym zarządem, nie możesz nic powiedzieć. Żadne fałszywe fakty, którymi mnie zarzucasz, nie sprawią, że zmienię zdanie. Wiem, jaka będzie prawda. Pytanie brzmi: dlaczego ty nie wiesz?

Herman podniósł się z krzesła.

– Drogi chłopcze, bez kapitalistów, których demonizujecie, kogo byście okradali?

Zanim pocałował Ginę na dobranoc i ruszył na górę, wypowiedział niepokojący cytat:

– Nikt nie może przez dłuższy czas nosić jednej twarzy dla siebie, a drugiej dla tłumu, nie narażając się na to, że w końcu sam nie będzie wiedział, która jest prawdziwa[15].

– Co twój ojciec chciał przez to powiedzieć? – zapytała Gina, gdy kładli się spać.

– Myślę, że mówił o sobie, Gia.

Pokręciła głową.

– Na pewno wierzy, że coś ukrywasz.

– Jestem jak otwarta książka. Chodź tutaj. Pokażę ci, na której stronie.

Jednak pomimo ostrych dyskusji i niepokoju Hermana związanego z przyszłością Harry'ego mieszkali razem w wielkim białym domu jak ptaki, które przeczekują zimę na południu; łowili ryby, jedli, pływali i jeździli do Spanish City. Herman, Aleksander i Harry robili razem ławki, sadzili rośliny, budowali pomosty do pływania, sadzawki dla karp i koi i skrzynie na zabawki. Dorośli zabierali malca na farmę gatorów Aligatora Joego na Jungle Trail, gdzie jedli na lunch ostrygi, a właściciel pokazywał nieustraszonemu, zafascynowanemu Aleksandrowi swoje największe okazy. Rankami Herman wyjeżdżał z Salvem i Aleksandrem pokazywać domy i patrzeć, jak żyją inni piękni ludzie. Potem spotykali się z Giną i Esther i jechali do Palm Beach, gdzie na tarasie Breakers jedli lunch w słonych powiewach znad oceanu. Herman i Salvo pływali z Aleksandrem w spokojnym Atlantyku, a Gina i Esther obserwowały ich, dopóki nie zaczynało padać. Aleksander pokazywał Hermanowi, Harry'emu i Salvowi, jak złapać wspinającego się na drzewa kraba. Sam też wspiął się na pokryty mchem dąb i Salvo musiał go zdjąć, choć najpierw zaoferował, że przekaze obowiązki ratownika Esther. Ta jednak grzecznie odmówiła, ponieważ miała na sobie spódnicę, a poza tym nie byłoby to właściwe.

Na drugie urodziny Aleksandra jedli kraby w miękkich skorupkach, szaszłyki z krewetek i wołowiny i tort truskawkowy z bitą śmietaną. Herman nauczył Aleksandra rozpalać ogień i pływać w dużym basenie. Herman stał blisko chłopca w wodzie z wyciągniętymi rękami, a Aleksander go odpychał, wołając: „Umiem, dziadziuś, umiem”.

– Chcesz usłyszeć sentencję Rose Hawthorne na dziś? – zapytała Gina Harry'ego. Siedzieli wieczorem na patio na drewnianej huśtawce i objęci popijali kubański rum z coca-colą, obserwując, jak Herman bawi się z Aleksandrem pod gwiazdami. Nieopodal przepływał rozświetlony jacht pełen rozbawionych ludzi. Muzyka wygrywała jeden rytm ze spokojnym i radosnym sercem Giny. *Rankiem, wieczorem bawimy się cudownie...*

– To sentencje Rose wróciły? – Harry się uśmiechnął. – Byłem ciekaw, kiedy znów podniosą głowę. Tato! Złap go! – Zerwał się z wyciągniętymi rękami. Aleksander zeskoczył z trampoliny na głęboką wodę bez koła ratunkowego.

Wszystko było w porządku. Harry usiadł z powrotem.

Gina zasypała go pocałunkami.

– Za co to?

– Właśnie nazwałeś go tatą. Mogłabym się rozpłakać.

Harry patrzył na dwa cienie, duży i mały, w przejrzystej wodzie basenu.

– Co mówi Rose?

– Nasz Stwórca nie stworzyłby tak pięknych dni i nie dałby nam serc, by się nimi cieszyć tak bezgranicznie, gdybyśmy nie mieli być nieśmiertelni.

Aleksander płakał przez dwa dni, gdy w czerwcu Herman wrócił do Bostonu.

Rozdział trzynasty

Mądrość Aleksandra Pope'a

I

Jesienią 1921 roku kilka tygodni przed przyjazdem na południe Herman zadzwonił, by porozmawiać z Harrym. Harry wypłynął jednak łodzią z Salvem, więc przez kilka minut rozmawiała z teściem Gina, a potem oddała słuchawkę podskakującemu niecierpliwie Aleksandrowi.

– Dziadziuś, gdzie jesteś?

– Bardzo dobre pytanie, kochany. A gdzie ty jesteś?

Aleksander się zaśmiał.

– Tutaj. Psyjedzies sybko?

– Kolejne dobre pytanie. Bardzo bym chciał.

– Mama mówi, że psyjedzies.

– Postaram się, słoneczko.

– Ja mam gatory!

– To bardzo ekscytujące. Prawdziwe?

Aleksander wybuchnął śmiechem.

– Gupi dziadziuś. No pewnie!

– Wspaniale. A co z nimi zrobisz, kiedy urosną?

– Będę mieć farmę jak Aligator Joe.

– Świetnie.

– Będziemy sprzedawać. Będziemy Aligator Aleksander i Dziadziuś.

– Rewelacyjny pomysł! Ale to ja chcę być Aligator Dziadziuś. Ty możesz być zwykłym Aleksandrem.

Chłopczyk zachichotał.

– Pa! Kocham cię!

Herman próbował coś jeszcze powiedzieć, ale Aleksander upuścił słuchawkę i wybiegł w podskokach z domu.

– Przepraszam, Hermanie – powiedziała Gina, podnosząc słuchawkę. – Nadal pracujemy nad manierami. Chcesz, żebym coś przekazała Harry'emu?

Zapadła chwila milczenia.

– Chciałem tylko zamienić z nim parę słów. Powiedz Harry’emu, że świat jest młody.

Kiedy Harry i Salvo wrócili z ogromnym połowem, obaj w wysokich brudnych butach, spoceni, opaleni, szczęśliwi, i Gina powiedziała mężowi, że dzwonił Herman, Harry rzucił siatkę z rybami, wskoczył na przystań i bez słowa pognął do domu.

Gina pobiegła za nim.

– Harry, zaczekaj! Nie w butach! Proszę. Nic się nie stało. Nie powiedział, że to pilne.

– Wiesz, ile razy w moim życiu ojciec dzwonił, żeby zamienić tylko parę słów? – zapytał Harry, wykręcając numer Barringtonów. – Raz. Dzisiaj.

W domu nikt nie odebrał. Kiedy kilka godzin później Harry wreszcie dodzwonił się do Esther, Herman już nie żył.

2

Mąż i żona siedzieli na patio w późny słoneczny październikowy ranek. Harry pił kawę, trzymając filiżankę w lekko drżących palcach. Nieopodal Aleksander kopał wielką dziurę małą łopatką. Gina obserwowała syna. Harry czytał gazetę.

– Uwierzysz? – zapytał. – Duży Bill wypiął się na kaucję.

Gina odwróciła się do Harry’ego.

– Kaucję? Myślałam, że skazali go na dwadzieścia lat.

– Wypuścili go, żeby mógł złożyć apelację. Którą odrzucono. Więc uciekł.

– Dokąd?

– Do Rosji oczywiście! A gdzie miał uciec, do Kanady?

– Dobrze się stało. Spójrz na syna. – Gina pokazała palcem. Malec biegał tam i z powrotem z wiaderkiem na głowie, trzymając przed sobą łopatkę. Wydawał też dziwne dźwięki, jakby z niej strzelał.

– Aleksandrze, co robisz?

– Scelam do złych ludzi, tatusiu!

Harry i Gina wymienili spojrzenia.

– Dlaczego masz na głowie wiaderko?

– To hełm, gupki!

Harry wstał od stołu, podszedł na brzeg, zdjął wiaderko z głowy Aleksandra, wygładził biało-granatowy strój marynarski i pocałował malca.

– Nie pobrudź się, kolego. Mama dopiero co cię ubrała. Gdzie się tego nauczyłeś?

– Cego?

– Biegać i strzelać z łopatką w wiaderku na głowie?

– Nie wiem.

– Widziałeś obrazek?

– Jaki obrazek?

– Skąd wiesz, co to takiego strzelba?

– Zio Salvo zabrał mnie do domu. Wisiała na ścianie.

– Co?

– Zio Salvo powiedział, że to długa scelba. Była taka duża, tatusiu!

Harry zbył go machnięciem ręki.

– Powiedz swojemu bratu, że nie chcę, żeby Aleksander chodził z nim oglądać domy – zwrócił się do Giny, podszedłszy do stołu. – To niedorzeczne zabierać dziecko do domów obcych ludzi. Strzelba to najmniejsze zło, jakie może przypadkiem zobaczyć.

– To nic takiego. Aleksander uwielbia z nim chodzić. Salvo mówi, że on pomaga w interesach. – Zmieniła temat. – Powinniśmy się zbierać i jechać do sądu. Janke rozpatrzy odwołanie. A ona jest zupełnie nieprzewidywalna.

Harry pokręcił głową.

– Nie będę się odwoływał.

– Harry, bądź poważny.

– Jestem. Nie chcę się narażać. Jestem tak blisko końca, Gino. Jeszcze cztery miesiące. – Był zdecydowany. – Nie. Ty jedź. Poza tym ktoś musi zostać z Aleksandrem.

– Harry, nie żartuj. Salvo z nim zostanie.

Harry uniósł brwi i skinął głową w stronę Aleksandra z wiaderkiem na głowie. Chłopiec leżał wyciągnięty na trawie, czołgał się i strzelał.

– Jak możesz winić za to Salva? – dopytywała się Gina. – Nigdy w życiu nie widziałam, żeby mój brat się czołgał. Aleksandrze! Przestań! Ubrudzisz się!

– Nieważne – ciągnął Harry. – Zostanę. Poza tym co on sobie pomyśli, kiedy oboje rodzice wyjadą? Nigdy nie został sam bez nas. Nawet jeśli Janke pozwoli nam jechać, musielibyśmy wziąć go ze sobą. I co potem? Na pewno po pogrzebie wszyscy przyjdą do domu. – Pokręcił głową. – Nie zrobię mu tego. Jest za mały.

– Harry...

– Słyszałaś Janke. Prosiliśmy. Odmówiła. Nie zgadza się zwłaszcza na Boston.

– To niemoralne z jej strony – powiedziała Gina. – Pozwoliła ci iść do kościoła na chrzest.

– To dwadzieścia minut jazdy. Nie to samo co powrót do Bostonu.

– *Marito!* Nie możesz nie jechać na pogrzeb ojca.

Harry rozłożył ręce jakby chciał powiedzieć: Tak się sprawy mają.

– Możesz być moim emisariuszem. Będziesz reprezentować nas oboje. Powiesz wszystkim, że muszę tu tkwić jeszcze przez cztery miesiące.

Chciała zapytać, co rozumiał przez „tkwić”. Czy chodziło mu o wylegiwanie się na trawie pod palmami? Chciała zapytać, co miał na myśli, mówiąc „jeszcze cztery miesiące”. Może „tylko” cztery?

– To twój ojciec.

– Nie chcę ryzykować bez sensu.

– To nie jest bez sensu.

– Chodzi mi o to, że nie chcę prosić i dostać odmowy. Albo jechać i mieć problem. – Pokręcił głową. – Jestem tak blisko. I słyszałaś ją: niechętnie, ale będzie zalecać ograniczony nadzór, bo sprawowałem się jak należy.

– Chcesz, żebym pojechała na pogrzeb twojego ojca sama? – Gina była przerażona.

– Nie jedź, jeśli źle się z tym czujesz. Zostań tutaj. Wszyscy zrozumieją. – Mówiąc to,

nie podniósł jednak wzroku znad gazety. – Uwierzysz w tego Dużego Billa? Do Rosji!
Gina nie była pewna, czy wszyscy rozumieją.
Niepewnie spróbowała raz jeszcze.
– Harry... nie chcesz o tym rozmawiać?
– Chcę. Zastanawiam się, jak to zrobił, jak umknął władzy. To nie jest łatwe.
– Mówiłam o twoim ojcu.
Harry nie odrywał oczu od gazety.
– Czy nie widać – powiedział łamiącym się głosem – że nie chcę o tym rozmawiać?
Gina nie wyobrażała sobie, że mogłoby tam nie być ich obojga.
Pojechała sama.

3

W Bostonie postarzała w żałobie Esther powitała Ginę w drzwiach, spojrzała w stronę samochodu Clarence'a, potem znów na Ginę i powiedziała:

– Nie przyjechał?
– Janke... – Gina zdołała wydusić tylko to jedno słowo, zanim Esther gwałtownie odwróciła się na pięcie i weszła do holu. Później już ani słowem nie wspomniała o nieobecności Harry'ego.

W dzień pogrzebu Esther ubrana w czarną krepę była nienagannie opanowana. Twarz zakrywała jej woalka. Chodziła sztywno, prawie się nie odzywała, lecz trzymała się dzielnie podczas nabożeństwa i pogrzebu, podczas składania kondolencji i wygłaszania przemówień. Stypę zorganizowano w domu Hermana, tak jak spodziewał się Harry.

– Mój ojciec życzyłby sobie tego – powiedziała Esther. – Wszyscy jego przyjaciele i rodzina... większość jego przyjaciół i rodziny przyjdzie do jego domu, by uczestniczyć w przyjęciu wydanym na jego cześć. Nie wiem, jak się wszyscy zmieszczą. Przyjdzie chyba czterysta osób.

W wypełnionym po brzegi kościele Gina z przerażeniem dostrzegła w jednej z tylnych ławek Bena. Potknęła się o brzeg chodnika i przeszła obok niego z twarzą zwróconą w stronę ołtarza, nie rozglądając się na boki. Nie spodziewała się, że go tu zobaczy. Po jednej jego stronie siedziała Ellen Shaw, jego matka, której Gina nie widziała od lat, a po drugiej kobieta o latynoskiej urodzie, bez wątplenia jego żona.

Po zakończeniu nabożeństwa podenerwowana Gina stała obok Esther i przyjmowała kondolencje, bojąc się nieuniknionego spotkania, lecz wiedziała, że przy tej liczbie ludzi na szczęście będzie krótkie.

Czekali, by żałobnicy wynieśli trumnę z kościoła i postawili ją na karawanie, gdy do Esther podeszli Ben, jego matka i kobieta o latynoskiej urodzie.

Poświęciła im więcej czasu niż innym. Ben objął ją, pogładził po plecach, pocałował. Rozmawiali cicho. Trzymał ją za rękę. Wyglądał starzej, trochę utył, posiwiiał. Ale uśmiechał się tak samo i był jak dawniej ożywiony. Nadal był Benem. Pociągnął za rękę stojącą obok niego kobietę, potem matkę. Gina nadal patrzyła prosto przed siebie i tylko

kątem oka dostrzegając uściski rąk, ciche wymiany uprzejmości. Zaciśnięta usta i miała nadzieję, że wygląda to na uprzejmy uśmiech.

Ben stanął przed nią. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Gina rzuciła nagle:

– Bardzo dziękuję!

– Hmm... Nie ma za co...

– Przykro mi z powodu twojej straty. – To nie była właściwa kwestia.

– Nie, to mnie jest przykro z powodu twojej straty – powiedział Ben.

Na szczęście zaraz przesunął się w stronę trzech potężnych kuzynów Harry'ego, ich żon i kilkanaściorga nastoletnich dzieci. Latynoska, przechodząc obok Giny, skinęła głową. Była w ciąży.

Teraz stanęła przed nią Ellen Shaw.

– Gina! Co za niespodzianka. Tak długo się nie widziałyśmy

Gina uścisnęła dłoń Ellen.

– Przykro mi z powodu twojej straty – powtórzyła. – Dziękuję. Dziękuję za przybycie.

Ellen była siwa, drobna, okrągłutka, bardziej krucha niż Gina ją zapamiętała.

– Dobrze wyglądasz. – Uśmiechnęła się. – Piękna jak zawsze. Floryda ci służy. Jak się miewa Harry?

– Dobrze. To znaczy nie. Jest oczywiście załamany i bardzo żałuje, że nie mógł... Został z...

– Mamo! – zawołał Ben, podchodząc do nich. Ujął matkę pod ramię. – Składanie kondolencji to nie jest okazja towarzyska. Ufam, że dostrzeżesz różnicę? – Odciągnął Ellen od Giny, rzucając jej przepraszające spojrzenie.

– Kiedy wrócił? – szepnęła Gina, pochylając się w stronę Esther. Czowała, że musi coś powiedzieć.

– W lipcu.

Od ich ostatniego spotkania minęło wiele lat. Tutaj, w kościele metodystów w Bostonie, w tłumie mężczyzn i kobiet, wśród czarnych garniturów i sukien, czarnych kapeluszy i torebek, ciemnych parasoli i białych kwiatów, wszystko było tak bardzo poprawne. A jednak wystarczyło zamrużyć oczami, by zobaczyć Harry'ego, Bena i Ginę na Essex Street również otoczonych tłumem ludzi. Ona ma na sobie najlepsze ubranie, by wyglądać ładnie i zalotnie, by stać się dziewczyną, którą ci dwaj chłopcy mogliby zauważyć, zwłaszcza ten drugi, ten, który się nie odzywa, który wpatruje się w nią bezbarwnymi oczami, a ona wyobraża sobie niespokojne morza ukryte za tą spokojną taflą. Sprzedają banany i rozdają ulotki, by promować budowę kanału w Ameryce Środkowej, a ona nalewa lemoniadę z wielką ilością cukru, którą sama zrobiła.

Kolejne mrugnięcie i już suną na łyżwach, tylko Ben i Gina. Kręcą kółka na lodzie w głębokiej dolinie Fairyland.

Minęło siedem lat od tych ewolucji. Sześć od chwili, gdy pomachał na pożegnanie kapeluszem u stóp werandy w Lawrence. Dwadzieścia dwa od czasu przesłodzonej lemoniady, śmiechu, ulotek na rzecz Panamy.

Gina pomalowała usta, wsunęła wymykające się pasma włosów pod kapelusz z czarnej krepy, wyprostowała się i mrugając szybko oczami, razem z Esther wsiadła do czarnej limuzyny, która miała je zawieźć do domu Hermana.

Podczas stypy unikała Bena. Ale nie dość skutecznie. Trzymając drinka w jednej ręce, a drugą podtrzymując pod łokieć Latynoskę, przeszedł w końcu przez wyłożone kamieniami patio do Esther i Giny, które siedziały z dala od tłumu gości. Wszyscy inni jedli, pili, rozmawiali. Esther nie chciała brać w tym udziału. A Gina z radością siedziała u boku szwagierki i dotrzymywała jej towarzystwa. Nie знаła nikogo i nikt nie znał jej, z wyjątkiem Ellen, która wyszła wcześniej, i kuzynów Harry'ego, którzy o niej słyszeli, lecz nigdy jej nie poznali. Mogła równie dobrze być damą do towarzystwa Esther, jak Rosa. Kiedy ludzie podchodzili z kondolencjami, Esther kiwała głową, a Gina poklepywała ją po plecach. Chcesz chusteczkę, Esther? Nie dziękuję. Coś do picia? Nie, dziękuję. Coś do jedzenia? Nie, dziękuję. Kiedy ludzie odchodzili, Gina zdejmowała rękę z pleców Esther i przestawała zadawać pytania.

Popołudnie mijało, zrobiło się chłodniej i ludzie powoli zaczęli wychodzić.

Teraz Ben mógł z nimi spokojnie porozmawiać. Kiedy Gina zobaczyła, że podchodzi, przywołała na twarz nieprzenikniony wyraz i oficjalny uśmiech. Był październik i przez te kilka dni przed pierwszym śniegiem ostre zimne powietrze Bostonu wypełniał zapach rozkładających się liści klonów i minionych letnich dni.

Po kilku słowach współczucia Ben powiedział – do Esther? Giny?

– Chciałem oficjalnie przedstawić moją żonę. – Popchnął ją lekko do przodu i uśmiechnął się. – To jest Ingersol.

Esther i Gina zerwały się jak marionetki. Ścisnęły dłonie i kiwały głowami, uśmiechały się, odwracały głowy w tę i tamtą stronę. Miło mi panią poznać, jak się pani podoba w Bostonie, tak, jest pięknie, zwłaszcza o tej porze roku.

Ingersol znów oczekiwała dziecka, „naszego czwartego” poinformowała radośnie po angielsku z silnym akcentem. Mieli nadzieję, że tym razem urodzi się chłopiec. Kto to powiedział – Ben? Ingersol? Podobało się jej w Bostonie, ale nie mogłaby tu mieszkać.

– Nie wiem, jak tu żyć z tym zimnem i śniegiem.

Głowa marionetki należąca do Giny potakiwała.

– Ma pani rację. Mieszkam teraz na Florydzie. Jest ciepło, słonecznie, o wiele lepiej.

Ale czasami jest w tym magia.

Czy Gina to powiedziała? Marionetka zamrugła, pokryty lodem staw Walden stanął jej przed oczami. Zaszli za daleko i zgubili się w lesie, trzymali się za ręce, na łyżwach ślizgali się na odległy brzeg, być może szukając wyjścia.

Kolejne mrugnięcie. Marionetka kiwnęła drewnianą głową. Przez całe swoje amerykańskie życie Gina dzieliła ludzi na dwie kategorie: tych, którzy kochali Boston, i tych, którzy go nie kochali. Była rozczarowana, lecz jednocześnie zadowolona, że Ben ożenił się z dziewczyną należąca do tej drugiej kategorii. Mogła ją mniej lubić.

– W czym jest magia? – zapytała zakłopotana Ingersol. Ben się nie odezwał.

Och, katastrofa!

– Czasami w śniegu – zająknęła się Gina.

Ingersol była ładna urodą łagodną, lecz trochę nijaką. Wszystko niby miała na miejscu, ale nie zapadała w pamięć. Wyjątkiem był wielki brzuch – o nim trudno było zapomnieć. Błada i słaba Esther usiadła wygodnie na krześle. Kiedy Ben z nią rozmawiał, Gina stała, gawędząc z żoną Bena o pogodzie, targu dyniowym na Common i sezonie na małże

(w maju). Ben włączył się do rozmowy.

– Ale nie na ostrygi? – zapytał.

– Nie. – Sznurek poruszający ustami Giny powędrował w górę. – Ostrygi są teraz. Tylko w miesiącach, które mają w nazwie R.

Roześmiali się zdziwieni, skąd marionetka może o tym wiedzieć, liczyli miesiące, a marionetka ruszała głową, jakby też się śmiała. To Harry powiedział o tym Ginie, a sam dowiedział się od matki. Frances Barrington była bardzo dobrą gospodynią. Zawsze wiedziała, co podawać i kiedy. Na przykład ostrygi. Marionetka zastanawiała się, czy w grudniu w rzece Mystic są ostrygi. Czy wędrują tak daleko, płyną rzekami jak łososie, próbując odnaleźć drogę do domu? Och, co też jej przychodzi do głowy! Co się z nią dzieje? To było potworne.

Ingersol przeprosiła ich i poszła do łazienki. Ben i Gina zostali sami, stojąc pół metra od siedzącej Esther. Gina zacisnęła usta i nie patrząc mu w oczy, uśmiechała się, jakby był listonoszem. Przecież Esther patrzyła.

– Co się stało z twoim głosem? – zapytał Ben. – Strasznie chrypisz.

Udała, że kaszle, by oczyścić gardło. Nie mogła mu powiedzieć, że nadwerżyła struny głosowe podczas porodu.

– Jestem troszkę zaziębiona – powiedziała.

– Harry nie przyjechał?

– Przebywa w areszcie domowym do lutego. Nie mógł przyjechać.

– Tak, oczywiście. Ale poza tym wszystko układa się dobrze?

– Tak. Nie, bardzo dobrze, nawet wspaniale. A u ciebie?

– Bardzo dobrze. Nie mogę narzekać.

– No właśnie. Nie można narzekać. – Gina bała się nawet zadać mu pytanie. – Przyjechałeś z wizytą czy... – Szukała innych słów. Jedyne, jakie przychodziły jej do głowy to *per sempre*. Na zawsze.

Ben uśmiechnął się znacząco.

– Ingersol modli się codziennie, by tylko z wizytą. Jak mówisz „na jakiś czas” po włosku?

– *Solo per ora*.

– *Solo per ora* – powtórzył. – Zobaczymy. Rok temu zaproszono mnie na wykłady na Harvard. To wielki zaszczyt. Nie mogłem odmówić.

– O tak. To wielki zaszczyt. Harvard? Gratulacje. Co wykładasz?

– Jediną rzecz, na jakiej się znam. Inżynierię.

Gina zamilkła. Utknęła między kanałami, skałami i wybuchami. W jej głowie rozlegały się głośnie detonacje. Nie mogła mu spojrzeć w twarz.

– No już, powiedz – rzucił Ben.

Och, nie! Przebiegała wzrokiem po jego marynarce.

– Co mam powiedzieć?

– Czy potrzebujemy jeszcze jednego kanału?

– Ach.

– Nie. Tak? Oczywiście, że potrzebujemy.

Nie zapytała, ale Ben i tak jej powiedział.

– Mam trzyletni kontrakt. Ale nie mów mojej żonie. Ona myśli, że zostaniemy tu tylko na jeszcze jeden semestr.

– Hiszpański różni się od włoskiego, nie martw się – powiedziała. – Ale twoja żona zna się na czasie, prawda?

Ben roześmiał się.

– Tylko dzięki słońcu.

– No to nie masz się czym martwić. Do wiosny w Bostonie nie będzie słońca.

– Racja – powiedział prawie obojętnym głosem. – W zimie nie ma tu słońca.

Gina była zupełnie rozbita. Jak w ogóle oddychała? Rozejrzała się za krzesłem, na którym mogłaby się wesprzeć.

– Nie jestem przyzwyczajona do obcasów – powiedziała, chwiejąc się lekko. – Ciężko mi się w nich stoi. Tak długo chodziłam boso.

– Słyszałem, że masz dziecko.

– Tak. Syna.

– Gratuluję. Ja mam trzy córki.

– Słyszałam. Twoja żona mówiła. Także ci gratuluję.

– Jest tu z tobą?

Pokręciła głową.

– Jest za mały. Jeszcze się nachodzi na pogrzeby.

– Jak ma na imię?

– Aleksander.

– Alessandro – powiedział Ben. – Jest grzeczny?

– Bardzo. – Och, zmienić temat! – Twoja matka jest w świetnej formie.

– Ma powody. Kobiety mogą głosować, mężczyźni nie mogą pić, nie prowadzimy żadnej wojny...

– I jej syn wrócił.

Ben się uśmiechnął.

– To też. A jak się miewa twoja?

Do oczu marionetki napłynęły łzy. Ben pochylił się, powiedział „Co?”. I wróciła Ingersol, ratując marionetkę przed łzawą odpowiedzią.

Ben położył dłoń na plecach żony i cofnął się.

– Wszystko w porządku, Inge?

– Tak, oczywiście, kochanie. – Uśmiechnęła się do Giny i Esther. – Nie wiem, czy macie dzieci, ale na końcu strasznie trudno się poruszać. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie Benny.

Benny. Gina zmusiła się do uśmiechu.

Ben pochylił się, pocałował Esther w policzek i poklepał ją po ramieniu.

– Rozchmurz się, Esther. No już. Co powiedziałem?

– Rozchmurz się.

– I co? Jak ci idzie?

Esther prawie się uśmiechnęła.

– Herman byłby z ciebie dumny – ciągnął Ben. – Spójrz, ilu ludzi przyszło. Wygląda na to, że jest tu cały Boston. Tak pięknie go pożegnałaś. Zasłużył na to. Był wspianiałym

człowiekiem. Przeszłaś samą siebie. – Pocałował ją w skroń. – I jedzenie jest wyśmienite. Lepsze niż na twoim weselu.

Esther się roześmiała.

– O to mi chodziło. By pogrzeby bardziej zapadały w pamięć niż wesela.

Ben śmiał się razem z nią.

– Jak już mówiłem, przeszłaś samą siebie. – Skinął w stronę stołów. – Przed wyjściem zjemy jeszcze trochę.

Esther poklepała go po ramieniu.

– Wszystko, czego chcesz, Ben.

– Ale potem już pójdziemy, dobrze? Ingersol jest zmęczona.

– Oczywiście.

– Zobaczmy się w przyszłym tygodniu. Wpadnę w piątek po seminarium. Chcesz, żebym przyniósł szarlotkę z Crimson, która tak ci smakowała?

– Chętnie.

Kiedy Ben i Ingersol odeszli, Gina usiadła obok Esther i jednym haustem wypła drinka, który stał na stoliku obok. Był mocny, okropny i nawet nie wiedziała, kto go tam postawił. Nagle wstała, przeprosiła Esther i wbiegła do domu. Potykając się o spódnicę, biegła przez wielki hol do salonu. Stała przy wykuszowym oknie za zasłoną i patrzyła na plecy Bena, który pomagał wsiąść żonie do samochodu. Miał teraz inny, ładniejszy. Lśniący. Kremowy. Kiedy zatrzasnął drzwi za Ingersol, wyprostował się i odwrócił, by spojrzeć na dom. Przebiegał wzrokiem po oknach, jakby jej szukał. Nie wiedząc, co robić, Gina schowała się za firanką. Ale Ben ją zobaczył. Uśmiechnął się i unióś rękę, jakby chciał jej pomachać. Ona uniosła swoją. Obszedł samochód, wsiadł i odjechał. Gina pomachała za nim drżącą dłonią. *Addio, il mio ex amante.*

4

Kiedy goście wyszli, a służba położyła się spać, Gina i Esther siedziały w gabinecie Hermana i popijały jego najlepszą brandy z kryształowych kieliszków, pragnąc go upamiętnić. Z wyjątkiem likieru z guawy z Kuby i rozcieńczonego mojito, Gina nie znosiła smaku mocnego alkoholu. Piła, by dotrzymać Esther towarzystwa.

Esther była spięta, milcząca, ostra dla wszystkich, szczególnie dla Giny, a nawet dla Rosy. Trudno się dziwić, myślała Gina, w dzień pogrzebu ojca. Esther nigdy nie wyprowadziła się z domu rodzinnego, nawet po ślubie z Elmore'em. Mieszkali tutaj z Hermanem, dopóki podczas wojny Elmore nie wyjechał z misją Czerwonego Krzyża.

W domu panowała cisza przerywana trzaskiem polan na kominku. Wreszcie Esther się odezwała.

– Kiedy ten alkohol się skończy, to na dobre – powiedziała. – Ojciec kupił tę butelkę w dniu, kiedy się urodziłam. Jego pierwsze dziecko. Powiedział mi, że ją otworzy, gdy skończę osiemnaście lat, a potem będziemy z niej pić dla uczczenia najważniejszych wydarzeń w moim życiu. – Podniosła butelkę, by pokazać Ginie, jak dużo jeszcze zostało. –

Piliśmy, gdy skończyłam osiemnaście lat. Piliśmy, gdy Harry zaręczył się z Alice. Kiedy wyszłam za mąż. Wypiliśmy kilka drinków, gdy urodził się twój syn. A tydzień temu ojciec siedział tam, gdzie ty siedzisz teraz, i wypiliśmy razem całkiem sporo. Powiedział: „Nie ma sensu oszczędzać, Esther. Lepiej cieszyć się najlepszą brandy, jaką można kupić za pieniądze”. – Uniosła butelkę wyżej. – Niewiele ubyło.

Gina spuściła głowę.

– Herman miał rację. Dawno temu moja matka kupiła sobie porcelanowy serwis obiadowy na cztery osoby. Powiedziała, że będziemy go używać na specjalne okazje. Miała go przez dwadzieścia lat. Zjedliśmy na nim tylko raz.

– Kiedy to było?

Gina milczała przez chwilę.

– Gdy przywiozłam Harry’ego do domu po naszym ślubie.

– Fascynujące. W twoim domu była to więc okazja do świętowania.

Gina miała ochotę się kopnąć. Przełknęła ślinę.

– To było tak dawno temu. Wydaje się, jakby wydarzyło się w życiu innych ludzi.

– Wiele rzeczy wydarzyło się dawno temu – powiedziała Esther. – Ale niektóre twoje postęпки sprzed lat nadal dużo mnie kosztują, prawda. – To nie było pytanie.

Kopnąć się. Mocno. Gina uśmiechnęła się blado.

– Musisz być zmęczona. Pomóc ci się położyć? To był taki trudny dzień. Pamiętam, kiedy mój ojciec u...

– Jak gładko uznajesz przeszłość za przeszłość – przerwała jej Esther. – Ale jak odległa może się wydawać, gdy na pogrzebie mojego ojca, który odbył się dzisiaj, syn, któremu dał życie wczoraj, jest nieobecny? Powiedz mi, proszę.

– Och, Esther, to nie ma nic wspólnego ze mną. Wiesz, że nie jest wolny. Błagałam go, żeby jeszcze raz porozmawiał z Janke. Ale wiesz, jaka jest stanowcza. Nie chciała mu pozwolić pojechać zwłaszcza do Bostonu.

– Jak bardzo się starał?

– Bardzo. – Gina przygryzła wargę. – Błagałam go, by spróbował jeszcze raz.

– Czyżby? – Esther zawiesiła głos. – Jak błagałaś go, żeby się z tobą ożenił?

– Słucham? – Ginie zaczęły się trząść ręce. Miała nadzieję, że to przez brandy. – Oczywiście, że nie. Nie błagałam... – Nie, nie ma sensu bronić tego. Ostrożnie postawiła kieliszek na niskim stoliku obok fotela. A jeśli upuści go przypadkiem? Co wtedy? – Esther, co się dzieje? Dlaczego chcesz o tym mówić akurat dzisiaj?

– Bo mojego brata nie ma tu akurat dzisiaj.

– To straszne. Bardzo mi przykro. Wiem, co czujesz...

– Czyżby? Naprawdę masz pojęcie? Jakoś ci nie wierzę.

– Oczywiście, Esther. – Patrząc na szwagierkę, Gina lekko zmarszczyła brwi. – Wiesz, że ja też straciłam ojca. Miałam tylko czternaście lat. Byłam jeszcze dzieckiem.

– Tak, Gino, stale mi przypominasz, że byłaś tylko dzieckiem, kiedy wydarzyło się wiele rzeczy – rzuciła Esther. – Wiele rzeczy, dla których ty jesteś wspólnym mianownikiem, rzeczy, które zmieniły moje życie, życie mojego ojca i brata. – Wzięła oddech. – I życie Bena.

– Bena? – Gina chciała wybiec z pokoju. Och, nie. A więc o to chodzi. – Esther, nie

obwiniaj mnie za Bena. Proszę. – Odwróciła lekko głowę. – Obwiniaj mnie za swojego brata, w porządku, ale...

– Pojechał do Panamy, żeby uciec od ciebie.

– Co? – Co się dzieje? Gina pobladła gwałtownie. Mogła tylko kręcić głowę.

Esther odpowiedziała jej skinieniem.

– O tak. Chcesz, żebym policzyła, ile razy zmusiłaś go do ucieczki? Trzy. – Ku przerażeniu Giny Esther podniosła jeden palec. – Pierwszy raz jeszcze w tysiąc dziewięćsetnym roku. Kiedy dowiedział się, że Harry potajemnie pomaga ci z restauracjami Salva. Wyjechał.

Gina potrząsała głową tak gwałtownie, że aż zrobiło się jej słabo.

– Esther, miałam piętnaście lat. Nie miałam o niczym pojęcia.

– Och, o pewnych sprawach miałas.

– Zawsze się tam wybierał. – Ulotki! Lemoniada! Podpisy! Petycje!

– Tak? A skąd o tym wiesz? Myślałam, że o niczym nie miałaś pojęcia?

– Wiem, bo mówił tylko o Panamie.

– Do kogo? Do ciebie? Do imigrantki z Sycylii, *bambiny*, która znała parę angielskich słów?

– Proszę, Esther...

Esther uniosła drugi palec.

– Drugi to rok, w którym razem z Harrym wymknęliście się z domu, by w tajemnicy wziąć ślub. Zauważyłaś, że wszystko, co mój brat z tobą robił, odbywało się w tajemnicy? Wszystko. Tak, jeszcze nawet nie zaczęłam mówić o Harrym i o tobie. Ale Ben przyjechał do Bostonu, by zostać drużbą na jego prawdziwym ślubie, i nie chciał już wracać do Panamy. Miał problemy w pracy. Byłam bliska przekonania go, by został tu na dobre. Ale w chwili, gdy dowiedział się o tobie, Harrym i waszym *rendez-vous* z sędzią pokoju, wyjechał. – Głos Esther był spokojny, opanowany. Celowo mówiła wolno i wyraźnie. Lodowato. Była przerażająca.

Gina rozłożyła ręce.

– Esther, kiedy pobraliśmy się z Harrym, nie widziałam Bena od pięciu lat.

– Ben nie mógł stanąć twarzą w twarz z Harrym przez ciebie. Nikt nie mógł po tym, co się wydarzyło. Ale Ben nie potrafił udawać, nie mógł się przyjaźnić z Harrym jak dawniej. Przez ciebie.

Gina spojrzała kątem oka na kieliszek z koniakiem. Żałowała, że nie smakuje jej bardziej, bo mogłaby wypić znacznie więcej i nie słyszeć tak wyraźnie, mogłaby rozpląnąć się jak mgła, zniknąć. Tego właśnie pragnęła. Zniknąć.

Jak świeże były jeszcze te rany. Ale Gina miała swoje własne gorzkie rozczarowania. Myślała, że Bellagrand je uleczył, wygładził ostre brzegi. Kto rozpamiętywałby dawne żale, kiedy każdego ranka przez balkon wpadała słona bryza, a słońce wschodziło nad oceanem, nad jej marmurowym domem, kiedy ona się budziła? Nie było błota, tylko marmur. Nie było bólu, gdy całymi dniami grała na trawniku w karty lub bawiła się w chowanego. Miała łódkę nazwaną Gia, własną przystań, dwa piece. Opanowała mistrzowsko sztukę kulinarną krajów rodzinnego i nowego, piła wino i nie wróciła do wagi sprzed ciąży, była opalona jak sycylijski urwis i biegała w workowatych sukienkach, bosa i radosna, a mąż szeptał jej do

ucha w nocy i w południe, *tu sei tutta bella. Mi amica, tu sei tutta bella.* Harry nauczył się *Pieśni nad pieśniami* w języku romansu. Wszystkie jego krawędzie wygładziły się. Nie przypominał już papieru ściernego. Był cudowny. Czytał, jadł przygotowane przez nią jedzenie, pływał, naprawiał łodzie, sadził drzewa, budował domki dla Aleksandra i kochał ją. Bellagrand.

Prawie zapomniała o pozostałych B w jej życiu. Belpasso. Boston. Ben.

Esther przypomniała tego wieczoru o innej Ginie – nie tej obecnej, która nie chciała nic więcej jak tylko – przepraszając ukochanego ojca – zapomnieć, skąd pochodziła.

– Proszę, Esther – powiedziała. – Przepraszam. Wybacz mi. Widzisz nas teraz, widziałas nas w Bellagrand. Twój brat i ja... od samego początku łączyła nas wielka miłość.

– Czy ty w ogóle wiesz, czym jest miłość?

Gina wyprostowała się przerażona nie tyle absurdalnym pytaniem, ile brutalnością Esther.

– O czym ty mówisz? – zapytała drżącym głosem, roztrzęsiona. – Oczywiście, że wiem.

Esther podniosła trzeci palec.

Gina z jękiem podniosła dłonie w geście poddania.

– Proszę, Esther – szepnęła. – *Ferma!*

– Wykorzystałaś go – powiedziała Esther, z trzaskiem stawiając kieliszek na stoliku. – Wykorzystałaś Bena, kiedy byłaś młoda, kiedy jak mówisz, nie miałaś o niczym pojęcia, i wykorzystałaś go ponownie, gdy byłaś już starsza i doskonale wiedziałaś, co robisz. Wzięłaś go i zniszczyłaś. Aby uciec przed tobą, musiał stąd wyjechać trzeci raz.

Esther zacisnęła pięści, a jej długie, wypielęgnowane paznokcie wbiły się w dłonie.

– W tysiąc dziewięćset czternastym roku, kiedy ten przeklęty kanał wreszcie otwarto, byłam taka szczęśliwa, gdy wrócił! Zawsze byliśmy sobie bliscy i tak bardzo go potrzebowałam, gdy Elmore wyjechał do Europy, zachorował i zmarł. Nie wiem, dlaczego musiał umrzeć. Był przyzwoitym człowiekiem i zasługiwał, by żyć dłużej. Ale w tym wszystkim Ben był dla mnie taki dobry. Jak zawsze. Dodawał mi otuchy. Aż tu nagle, niemal bez słowa, znów wyjechał do Panamy. Nie został nawet na Boże Narodzenie. Myślałam, że zerwał z Panamą na dobre. Obiecał mi, że już nie wyjedzie. A jednak uciekł! I dopiero dzisiaj, kiedy zobaczyłam go z tobą, wreszcie uzmysłowiłam sobie, dlaczego to zrobił. Uciekł przed tobą.

Koniuszki palców Giny zupełnie zmartwiały. W ciemnym i zazwyczaj cichym gabinecie Hermana było bardzo głośno.

– Nie, Esther.

– Kiedyś, gdy rzekomo byłaś jeszcze dzieckiem, wykorzystałaś go, by zbliżyć się do Harry'ego – mówiła Esther stłumionym głosem. – Czy wykorzystałaś go również, żeby się na Harrym odegrać? Kiedy mój brat siedział w więzieniu, czytał książki, stawał się radykałem, zostałaś sama. Byłaś jeszcze stosunkowo młoda. I uważałaś się za całkiem atrakcyjną, prawda? O tak, ten sycylijski urok! Gina to i Gina tamto. A męża nigdy przy tobie nie było. Myślałaś, że świat jest ci co nieco winien.

– Nic z tego, co mówisz, nie jest prawdą. Bóg nie jest mi nic winien. To ja...

– Przeżyłaś go więc, a kiedy skończyłaś, wyplułaś jak zużytą gumę. Jego, najlepszego człowieka, jakiego znam! – wykrzyknęła Esther.

Gina złożyła dłonie błagalnie jak do modlitwy.

– Esther, o czym ty mówisz? Jak mogłam wykorzystać Bena do czegokolwiek? Harry nie został przecież w domu. Jeśli mówisz prawdę, to starałam się na próżno.

– Tak, na próżno. Bo twoje wdzięki są ograniczone i nie uwiodły mojego brata. Ale mówię prawdę.

– Nie. To nie jest prawda.

– Gdyby nie ty, Ben nigdy by nie wyjechał.

– Ale musiał wyjechać! Ktoś musiał zbudować Kanał Panamski.

– Nie w tysiąc dziewięćset piętnastym roku!

Gina skuliła się na krześle. Chętnie zerwałaby się i sama uciekła, ale wiedziała, że nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Esther z wzrokiem zamglonym przez pięćdziesięcioletnią brandy pochyliła się, zmrużyła oczy, a utkwione w Ginie źrenice były jak koniuszek miecza, podobnie jak jej słowa, nadal wypowiedane wyraźnie.

– Nie chciałaś na niego patrzeć – szepnęła z bólem. – Nie mogłaś! Próbował uchwycić twoje spojrzenie, kiedy jego żona odeszła. A ty mu się wymykałaś. Przekrzywił głowę! A ty nie odpowiadałaś mu spojrzeniem. Patrzyłaś na jego krawat! Na jego koszulę, na trawę, na kieliszek, na wszystko, byle nie na jego twarz. Dziś po południu w twojej rozmowie z nim nie było ani cienia serdeczności. Nie tak zachowują się przyjaciele. Tak zachowują się dawni kochankowie. On nadal do ciebie wzdycha, a ty odwracałaś twarz, bo nie mogłaś tego znieść.

– Esther, za dużo wypijaś. – Gina oddychała ciężko.

– To niczego nie zmienia.

– Mylisz się.

Esther pokręciła głową.

– W tej sprawie? Nigdy.

– Przykro mi, że jesteś na mnie zła. Ale dzisiaj jest dzień pogrzebu twojego ojca. Dlaczego mówisz o tamtych rzeczach?

– Bo nie ma tu mojego brata! Nie ma jedyne go syna mojego ojca!

Obie płakały.

Czując, że jest Esther coś winna, słowo, cień wyznania, uczciwości, skruszona Gina spuściła głowę.

– Esther – zaczęła cicho – zakładając przez moment, że to, o co mnie oskarżasz, jest prawdą, czy nie otrzymałaś odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie ma tu twojego brata?

Esther oddychała ciężko.

– I przez to mam się poczuć lepiej? – Jej głos był ostry jak nóż. – To ma sprawić, że zrozumiem, może ci wybaczę? Że złamałaś serce nie tylko Bena, nie tylko moje, ojca, Alice, ale także mojego brata?

– Esther, nie mów tak!

– Od chwili, gdy zeszaś z pokładu statku i twoje życie przecięło się z naszym, przynosiłaś nam tylko nieszczęście!

Gina z trudem łapała oddech.

– Esther, jak możesz tak mówić... A co z Aleksandrem, z Bellagrand...

Esther szlochała.

– Tak, tak, wiem, moje serce jest boleśnie rozdarte. Dajesz Aleksandra jedną ręką, ale co zabierasz drugą? Po śmierci matki brat i ojciec byli wszystkim, co miałam. Ty to zniszczyłaś, zniszczyłaś naszą małą rodzinę, nadwątloną, ale silną więź. Rozdzieliłaś ojca i brata na większość ich dorosłego życia. Mojego też. Rozdzieliłaś ojca i syna. Pomyśl o tym. Zabrałaś mojemu ojcu jego Aleksandra! A teraz jest już za późno. Te wszystkie lata nie wrócą. Podzieliłaś ten dom, żeby zdobyć to, co chciałaś. A potem, ponieważ ci to nie wystarczyło, zabrałaś Bena! – Esther zakryła twarz i krzyczała w dłonie. – Nie wiem, jak mogę na ciebie patrzeć, rozmawiać z tobą. Zniszczyłaś mnie. Spójrz na mnie.

Gina nie mogła wykrztusić słowa. Esther, szeptała bezgłośnie, korząc się przed ołtarzem jej niewysłowionego cierpienia, proszę, wybac mi...

– Zabrałaś go z mojego życia i z życia Harry'ego. Czy Harry kiedykolwiek miał takiego przyjaciela jak Ben? Nie. Nigdy. A ty, jak upośledzone dziecko, radziłaś mi, żebym sprzedała biżuterię matki. Powiedziałaś, że rozumiesz wiele rzeczy. Boże! Nic nie rozumiesz! – Esther wyrzuciła ręce w górę i opuściła je, jakby śmiertelnie ranny ptak powoli spadał z nieba. – Nie rozumiesz, że Ben jest miłością mojego życia? Kochałam go od czasu, gdy miałam piętnaście lat, od dnia, gdy Harry po raz pierwszy przyprowadził go do domu. Przywołał na moją twarz uśmiech i robił to już zawsze. Sekretna, nieodwzajemniona, ale to była moja najgłębsza tęsknota, największe pragnienie mojego serca. Co zostało, Gino Attaviano? – zapytała żałośnie. – Chcesz mój dom? Rosę? Co jeszcze chcesz mi zabrać i wrzucić do eleganckiej walizki kupionej za pieniądze mojej zmarłej matki?

Tak skończył się okropny dzień, w którym pochowano ojca Harry'ego. Esther siedziała załamana i samotna w fotelu przy kominku, wyczerpana, a Gina nie mogła znaleźć słowa pociechy dla siostry męża. Powtarzała jedynie: *mi dispiace*.

5

Kiedy Fernando przywiózł ją ze stacji, Harry na trawniku uczył Aleksandra boksować. Początkowo Gina myślała, że tańczą. Z wyciągniętymi rękami okrążali się nawzajem, jeden malutki, drugi duży, jak dwaj wojownicy bez koszul, chudzi i opaleni, zwłaszcza Aleksander. Nie było jej dwa tygodnie, a jednak wydawał się starszy, wyższy. Podbiegł do niej wielkimi susami.

– Mamo, mam, gdzie byłaś? Tęskniłem za tobą.

Harry podbiegł za nim.

– Pojechałam do Bostonu w mamusiowych sprawach – odparła, tuląc jego opalone, chude ciało, obsypując twarz pocałunkami. – Przywiozłam ci model statku. Może skleicie go z tatą?

– Może. – Wysunął się z jej objęć. – Tatuś uczy mnie boksować. Patrz, mam. – Podniósł zaciśnięte pięści.

– Chwileczkę, kolego – zaprotestował Harry, kładąc mu dłoń na głowie. – Pozwól mi

najpierw porozmawiać chwilę z mamą. – Objęli się i pocałowali. Harry nalał jej lemoniady. – Próbowałem zrobić taką jak twoja – powiedział – ale nie jest dość słodka, choć wsypałem do niej pół kilo cukru. Ile ty dajesz?

– Więcej.

– No i? – Przyglądał się jej twarzy. – Jak było?

Po pięciu dniach w pociągu Gina miała nadzieję, że jej twarz jest nieprzenikniona.

– Niedobrze. – Zawiesiła głos. – Dzwoniłeś do siostry?

– Tak. Nie podeszła do telefonu.

– Mmm.

– Co? Rosa powiedziała, że nie czuje się dobrze.

– Rzeczywiście. – Zabrzmiało dwuznacznie. Ale co innego mogła powiedzieć? Nie mogła przecież wyznać, co zaszło między nią a Esther.

Harry przysunął bliżej krzesło.

– Dlaczego jesteś zdenerwowana? – Oparł dłonie na jej kolanach. – Coś się stało?

– Nie jestem zdenerwowana, *amore mio*. Jestem wykończona. Cieszę się, że wróciłam. – Przechylając twarz do słońca, zamknęła oczy.

– Był na pogrzebie ktoś, kogo znam?

Nie patrzyła na niego.

– Chyba wszyscy, których znasz.

Harry milczał.

– Tak, Ben też był. – Czy na to czekał? – Z żoną w zaawansowanej ciąży. Dziecko numer cztery. Chyba mają nadzieję na chłopca.

– Ach. – Gina usłyszała zgrzyt odsuwanego krzesła. – Przywiózł żonę? Esther musiała być zadowolona.

– Esther była podenerwowana wieloma rzeczami podczas pogrzebu twojego ojca, co wydaje się zrozumiałe. Powinieneś spróbować zadzwonić do niej jeszcze raz.

– Dzwonię dwa razy dziennie od tygodnia. Rosa stale powtarza, że Esther nie czuje się na tyle dobrze, by podejść do telefonu. Czy coś się stało? – Zawiesił głos. – To znaczy coś jeszcze?

Nadal zdruzgotana po strasznym wieczorze z Esther Gina pokręciła głową. Bała się, że każde słowo, które padło z wykrzywionych ust szwagierki, było prawdą. Nie mogła powtórzyć Harry’emu żadnego fragmentu tej rozmowy. Z wyjątkiem:

– Powinieneś być pojechać, *marito*.

– Nie wolno mi opuszczać tego domu. Dlaczego wszyscy o tym zapominają? – Zamilkł, a gdy Gina otworzyła oczy, już go nie było. Stał na przystani z Aleksandrem.

Powoli podeszła do swoich mężczyzn. Była okropnie zmęczona, ale chciała pójść popływać, złowić rybę. Stała w milczeniu.

– Patrz i ucz się, Aleksandrze. – Harry okrążał syna. – Prosty wygląda tak. A sierpowy tak. No pokaż mi, że widzisz różnicę.

Aleksander podbiegł do ojca i uderzył go piąstką w pierś.

– To był sierpowy, tato.

Harry potarł bolące miejsce.

– Nie, synu. To był hak. – Potargał mu włosy. – Potrzebuję dziesięciu minut, żeby dojść

do siebie.

– Dobrze. Popatrzę na małe gatory.

Harry i Gina usiedli na ławce przy przystani i patrzyli na wodę i Aleksandra zanurzonego po łokcie w sadzawce z gadami.

– Szkoda, że nie żartował – powiedziała Gina. – Nie sądzisz?

– Poczekaj, aż przestaną być małe.

– *Divertente. Grazie.* – Uśmiechnęła się łagodnym uśmiechem osoby, która znalazła ukojenie. – Nie wiedziałam, że potrafisz boksować, *caro*.

– Roy mnie nauczył. W więzieniu można się nauczyć różnych dziwnych rzeczy.

Mogła to sobie wyobrazić.

– Chcesz wypłynąć łodzią? – zapytał.

– Bardzo. Po kąpieli i drzemce.

– Mogę ci pomóc i w jednym, i w drugim. – Sięgnął do jej ramion, szyi.

Zastanawiali się, co zrobić z synem w środku popołudnia.

– Kiedy zostanie odczytany testament? – zapytała Gina.

Harry wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chyba za dwa tygodnie. Ale co to ma ze mną wspólnego?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Położył dłoń na jej ręce, pochylił się i pocałował ją czule.

– Kocham cię. Za dwa tygodnie będziesz wiedziała, co chcę przez to powiedzieć. Aleksandrze! Hej, kolego, chciałbyś się zdrzemnąć? Bo mamusia i tatuś idą się położyć. – Znów ją pocałował. – Ale nie będą spać.

Esther nie zadzwoniła ani przed odczytaniem testamentu, ani w trakcie, ani po. Otwarto go i przeczytano, a szczegóły pojawiły się w „The Boston Globe”, który dotarł na Florydę tydzień później razem z „Palm Beach Gazette”. Przez ostatnie trzy lata tak otrzymywali wieści ze świata. Z tygodniowym opóźnieniem. Herman Barrington zostawił Esther połowę majątku, jak również dom w Barrington, drugi w Newburyport, wszystkie samochody, dwie łodzie i wszystkie rzeczy osobiste. Jedną czwartą majątku przekazał oddziałowi kardiologicznemu w szpitalu Boston Memorial, który utrzymał go przy życiu przez dodatkowe dziesięć lat. Darowiznę przekazał dla upamiętnienia Elmore’a Lassitera, męża Esther, kardiologa. Resztę rozdzielił pomiędzy różne instytucje dobroczynne, którym patronowała Esther. Herman życzył sobie również, by do czasu gdy Aleksander będzie tego potrzebował, Esther łożyła na jego edukację. Wyłącznie edukację. Harry’emu nie zostawił nic. Nie wspomniał nawet o synu z imienia, zupełnie jakby go nie miał. Jedyna wzmianka, która mogła się odnosić do Harry’ego, kryła się w tajemniczym zakończeniu: „Błogosławieni ci, którzy niczego nie oczekują, bo nigdy nie będą rozczarowani. To jest dziewiąte błogosławieństwo”.

– Czy to dla ciebie? – zapytała Gina. – Ten ostatni fragment?

Harry nie odpowiedział, tylko nalał sobie resztę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy.

– Tak! – wykrzyknęła, przypominając sobie. – Już to słyszałam. Kiedy się poznaliśmy...

– Postanowiła nie wypowiadać na głos imienia Bena – ...kłóciliście się o znaczenie tych

słów. Och, Harry. – Co ona narobiła? Co oni narobili?

Harry uśmiechnął się, a jego szare oczy zaśmiały. Wydawał się spokojny, może zwodniczo, ale nie miała pewności.

– Gia, nie jestem zdenerwowany – powiedział. – Właśnie z powodu Aleksandra Pope’a i jego dziewiątego błogosławieństwa. – Wziął nóż, by rozkroić więcej pomarańczy. – Znam mojego ojca. – Minęła długa chwila, zanim znów się odezwał. Patrzyła, jak wyciska sok. – Niczego nie oczekiwałem. Na nic nie zasłużyłem. Nie jestem rozczarowany.

– Dlaczego mówisz, że na nic nie zasłużyłeś? Jesteś jego jedynym synem.

Harry machnął ręką.

– Jesteś taka sycylijska.

– Tu nie chodzi o Sycylię, lecz o ojców i synów. – Odsunęła się od blatu i od niego.

– Nie o tego ojca i tego syna. – Zajmował się pomarańczami, jakby w ogóle jej tam nie było.

– Ale nie rozumiem. – Zaczęła chodzić po kuchni. – Tak dobrze się dogadywaliście. Był szczęśliwy. – Wykręcała palce.

Spojrzał na nią czule z rękami brudnymi od pomarańczowego miększu.

– Gia... jesteś tak uroczo poruszona.

– A co z twoim dziedzictwem?

– Jakim dziedzictwem? Firma, którą stworzyła nasza rodzina, a ojciec rozbudował, przeszła w ręce synów wuja Hanka. Teraz oni nią kierują. Jak myślisz, co czuł z tego powodu mój ojciec? Że jego brat miał synów, którzy podjęli pracę w liczącej sto lat rodzinnej firmie, a jego własny syn siedzi w więzieniu? Nawet nie mogliśmy o tym rozmawiać. Och, jasne, rozmawialiśmy o innych rzeczach. O szopach i krzesłach, o gatorach Aleksandra i łódkach. O Johnie Reedzie. O tym domu. Ale to wszystko sprawy drugorzędne. Prawda wygląda tak, że odwróciłem się od mojego ojca. Czuł to i nie da się od tego uciec. Zachował się dokładnie tak, jak się spodziewałem. – Harry skinął głową. – Szanuję go za to. Wstyd by mi było przyjąć owoce jego długoletniej pracy, kiedy tak bardzo jej nie ceniłem. – W jego głosie brzmiała nonszalancja i brak skrępowań. Gina chciała zadzwonić do Esther i zapytać, dlaczego jej brat nie ponosił za nic winy. Dlaczego zawsze obwinia się tylko kobietę, nigdy mężczyznę?

– Mój ojciec wiedział o mojej obojętności w stosunku do jego pieniędzy – ciągnął Harry – a potem o antypatii. Zawsze dawałem mu to do zrozumienia. – Wyrzucił wyciśnięte połówki pomarańczy. – Jestem głodny. Zrobisz nam jajka? Może frittate?

Przygnębiona podeszła do szafki, by wyjąć patelnię.

– Siostra ci pomoże?

– Nawet nie odbiera moich telefonów.

– Powinieneś być pojechać na pogrzeb, Harry. – Gina powtórzyła te słowa jak pełen wstydu refren.

– Było chyba za późno na zmianę testamentu, nie sądzisz? Ojciec już nie żył.

– To nie jest zabawne.

Stali nieruchomo, wpatrując się w swoje twarze.

Harry odezwał się z drugiej strony kuchni.

– Gino, za swoje wybory trzeba zapłacić. Stale ci to powtarzam, ale nie chcesz słuchać.

Ty i ja wybraliśmy nasze miejsce dawno temu. Powiedzieliśmy, że nie będziemy żyć moim życiem ani twoim, ale nowym.

– Na pewno nie żyliśmy twoim życiem. – Spuściła głowę. – Aż do teraz. – Jej życia mieli za to za dużo. – Ale ty dorastałeś z czymś, czego ja nigdy nie miałam.

– Czyli?

Próbowała to zdefiniować. Co jednym słowem dawało mu odrzucone bogactwo?

– Wolnością – powiedziała.

– Masz chyba na myśli niewolę.

Jedno z nich musiało przerwać impas. Zawsze robiła to ona.

– To zależy od pozycji, jaką się zajmuje.

– Chyba tak.

Wiedziała, że powiedział to, by zakończyć dyskusję, a nie dlatego, że zgadzał się z jej słowami. Marszcząc brwi, weszła znów na ring.

– Harry, niewolą nazywałeś moje codzienne chodzenie do pracy, żebyśmy mogli zapłacić czynsz i kupić jedzenie. Pamiętasz?

W odpowiedzi zmarszczył brwi i sam wstąpił na ring.

– I co z tego?

– Jak dwie przeciwstawne rzeczy możesz określać jednym słowem? Pracowałam, żeby jeść. Ty odrzuciłeś to życie. Ale nie musiałeś wcale pracować, chyba że miałeś na to ochotę. To życie też odrzuciłeś. Jak oba mogą być niewolą?

Stał, milcząc, wzruszył tylko znacząco ramionami. Dlaczego Gina czuła, że zrobił to nie dlatego, że nie znał odpowiedzi, lecz dlatego, że ją znał i nie chciał jej wyjawić?

Czekała, aż się odezwie, a kiedy milczał, sama zaczęła mówić.

– Do niedawna nawet nie znałam tego, co ty uważałeś za oczywiste. I od czego się odwróciłeś.

– Może się i odwróciłem, ale na co była zwrócona moja twarz? – Wskazał na nią.

– Nie wiem, czy dokładnie to przemyśleliśmy. – Przygarbiła się.

– Chcę ci powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze mam nadzieję, że nie wyszłaś za mnie dla pieniędzy.

– Musiałabym być głupia.

– W istocie. A po drugie nie martw się tak bardzo. Nie zostaliśmy z niczym. Nie jest tak jak dawniej. – Wskazał na trawnik, niebo i migotliwy ocean. – Mamy wszystko, czego potrzebujemy. To cena za nasze małżeństwo. Życie w rajku nad morzem. A niedługo będę wolny.

– Tak – szepnęła, chwytając powietrze. Dlaczego poczuła nagły ucisk w gardle, dlaczego oddychała z trudem? Wolny czy w niewoli?

Rozdział czternasty

Spanish City

I

- Panie Barrington, nie mogę uwierzyć, że to mówię, ale jestem z pana dumna.
- Ja też nie mogę uwierzyć, że pani to mówi. Ma pani ochotę na wino, żeby to uczcić?
- Jestem w pracy, więc dziękuję. Ale pan może się napić.
- Chce pani, żebym pił sam? To miłe. A pozwalają pani pić w pracy sok pomarańczowy?
- Nalał jej szklankę. – Drzewka rosną tuż za domem.
Wypiła i pochwaliła.
- Pyszny. Świeżo wyciśnięty. Będę szczerą, panie Barrington. Nie sądziłam, że się panu uda.
- Hodować pomarańcze? To nie takie trudne.
- Wytrzymać. Wypełnić warunki zwolnienia. Sprawować się jak należy. Zmienić myślenie.
- Może trochę mniej szczerości zabrzmiałoby lepiej?
- Naprawdę myślałam, że się panu nie uda. Spodziewałam się tego.
- Hmm... przepraszam, że panią zawiodłem...
- Zaskoczył mnie pan.
- Mam nadzieję, że mile.
- Bez wątplenia. Jestem pewna, że pańska rodzina odczuła ulgę.
- Liczę, że tak. Chyba nie chcieli, żebym zaważył.
- Ja też nie chciałam. Spodziewałam się.
- O, wy ludzie małej wiary. – Uśmiechnął się.
- Nieważne. Dotarliśmy do chwili, na którą pan czekał. I naprawdę bardzo się pan starał. Zachowywał się pan wzorowo. Był pan ze mną szczerzy, nie złamał żadnych praw.
- O których pani wie. – Zachował pokerowy wyraz twarzy.
- Był pan tu zawsze, kiedy miał pan być, a nawet kiedy wpadałam niezapowiedziana, zawsze mnie pan witał.
- Była pani moim jedynym towarzystwem, pani kurator. Często pani wizyty były najjaśniejszym punktem całego tygodnia.

– Czasami nie wiem, kiedy pan żartuje.
– Nigdy nie żartowałbym z takich spraw.
– To dobrze. Bo bardzo się cieszę, że mogłam poznać pana i pańską rodzinę.
– A oni panią. Zwłaszcza mój szwagier Salvatore.
– Naprawdę? – Janke pochylila się i zniżyła głos. – Muszę coś panu wyznać. Nigdy go nie lubiłam. Ale proszę zachować to dla siebie.
– Oczywiście.
– Wygląda mi na krętacza.
– Niemożliwe!
– W przeciwieństwie do pana. Niczego pan nie ukrywa. Na początku nie byłam pewna. Ale teraz jestem. – Zamknęła notes. – Przed panem wiele decyzji – powiedziała. – Bardzo ważnych. Teraz, kiedy może pan jechać wszędzie i robić wszystko, musi się pan zastanowić, dokąd chce pan jechać i co robić.
– Ma pani rację, to bardzo ważna decyzja.
– Ale daje wiele satysfakcji. Z jednej strony może pan jak pański szwagier przeskakiwać z jednego kamienia na drugi...
– Tak.
– Albo jak pański ojciec, do końca być skałą i opoką dla innych.
– Nie dla siebie.
– Albo może być pan czymś pomiędzy.
– Może jakąś nową rzeczą? – Harry znów się uśmiechnął.
– Tak! Nową. – Wstała, by zebrać się do wyjścia. – Proszę pamiętać o jednym: bez pracy człowiek nie ma znaczenia. Życie nie ma znaczenia. – Zebrała papiery. – Jaką pierwszą rzecz zrobi pan jako wolny człowiek?
Przewrócił oczami.
– Planuję zabrać żonę i syna na targ. Przez trzy lata opowiadali mi, co mnie omija.
– Mają rację, jest wspaniały. Spodoba się panu. Jeśli pojedzie pan w przyszłym tygodniu, będzie jeszcze lepiej. Do miasta na kilka dni przyjedzie wesołe miasteczko. Pański syn będzie zachwycony.
– Może pojedziemy drugi raz. Bo nie sądzę, by chłopiec chciał tak długo czekać.
Oboje spojrzeli na trawnik, gdzie matka i syn grali w siatkówkę lub, jak nazywali to w domu Barringtonów, w biegnij-w-krzaki-i-przynieś-piłkę.
– Proszę uważać. Trzymać się z dala od innych. I od kłopotów. Nadzór nie oznacza, że może pan robić wszystko.
– Oczywiście.
– Nie ograniczają pana ściany tego domu. Może pan jechać, gdzie zechce. Byle nie do siedziby partii komunistycznej.
– Kto chciałby tam jechać?
– No właśnie. – Ucisnęli sobie dłonie. – Poradzi pan sobie – powiedziała Janke. – Cokolwiek pan wybierze, na pewno odniesie pan sukces.
– Bo udało mi się dotrzymać warunków aresztu domowego?
– Właśnie, panie Barrington. Nauczył się pan żyć w zamknięciu. To ważne dla wszystkich dorosłych mężczyzn. Proszę spojrzeć na swojego szwagra, a znajdzie pan inny

przykład.

– To dlatego że on jeszcze nie dorósł, inspektorze Javert.

– Przez te lata zwracał się pan tak do mnie kilka razy. Wie pan, że tak się nie nazywam?

– Tak, Margaret – powiedział Harry z uśmiechem. Otworzył ciężkie drzwi, by ją wypuścić. – Trudno mi to wyznać, ale będę za panią tęsknił. Za pani uwagami, oświadczeniami, dominującym usposobieniem i sztywnym zachowaniem. Nie co dzień spotyka się taką osobę jak pani.

– To może ustalimy, że będzie mnie pan nadal widywał, Jeanie Valjean. – Zeszła po marmurowych stopniach i nie odwracając się, pomachała mu.

Harry parsknął śmiechem.

– Jednak jest pani człowiekiem! – wykrzyknął. – Przez te wszystkie lata nie byłem pewien.

I tak po raz pierwszy od trzech lat wsiedli razem do swojego packarda. Gina zawiozła ich do Tequesty, gdzie zaparkowali, by spacerować wśród przyjaznych ludzi. Na targu Aleksander biegał przed nimi jak szalony. Z trudem dotrzymywali mu kroku. Znali go wszyscy kupcy na wszystkich straganach; dawali mu mango, cukierki, ciastka i zabawki. Wracał do rodziców z pełnymi rękami różności, które rzucał im do stóp.

– Czy tak jest zawsze? – chciał wiedzieć Harry. – On biega, a oni dają mu różne rzeczy?

– Tylko spójrz na niego – odparła Gina. Sama wyglądała zjawiskowo w zwiewnej sukience, z kasztanowymi włosami, w jedwabnym kapeluszu, z ręką wsuniętą pod łokieć Harry’ego.

– Wiem, jak wygląda. Ale dlaczego oni tak go hołubią?

Gina ścisnęła go za ramię.

– Nie chcesz, żeby inni zwracali uwagę na twojego syna, *mio amore*?

– Nie wiem, po co mieliby to robić, to wszystko. Aleksandrze! Nie odbiegaj tak daleko! Trzymaj się blisko nas.

Gina z rozbawieniem dostrzega poirytowany wyraz twarzy Harry’ego. Aleksander ściska kobietę, której Harry nie zna. Marszczy brwi. Ta kobieta, jakby Aleksander był jej synkiem, daje mu ciężarówkę, kredki i czekoladę. Harry pyta, czy jest choć jedna osoba, do której Aleksander nie pała natychmiastową sympatią. Gina odpowiada, że nie może wbić mu do głowy pojęcia obcej osoby. Harry rzuca ostro, że dla Aleksandra każda obca osoba jest przyjacielem, którego imienia jeszcze nie zna.

– Dla mnie to urocze – mówi Gina.

– Na pewno. Bo ustawiłaś go na piedestale w dniu jego narodzin i od tamtej pory reszta nas pada mu do stóp.

– Dlaczego to cię denerwuje?

– Spójrz!

Aleksander biegnie i wpada w ramiona przystojnego mężczyzny w eleganckim garniturze. Harry marszczy brwi, otwiera usta i już ma krzyknąć, gdy...

– O, witaj, Salvo.

Aleksander zwisał jak małopka marmozeta z obwieszonej biżuterią szyi Salva, który w 1922 roku był prawie nie do poznania. Zarobiwszy fortunę na prowizjach od sprzedaży

nieruchomości, która wystarczyła na trzy samochody, nowy dom, łódkę i mniejszościowy udział w niedawno otwartej kubańsko-włoskiej restauracji, Salvo spacerował po Tequeście, jakby był właścicielem większości miasta, a nie tylko małej knajpki niedaleko portu. Nie wyglądał ani nie zachowywał się jak człowiek, który zapewnia fundusze i doświadczenie niezbędne do wyrobu pizzy, podczas gdy ktoś inny liczy zyski i wyrabia ciasto. Wyglądał jak człowiek, który panuje nad wszystkim, także nad własnym przeznaczeniem.

Gina kupiła sobie i Aleksandrowi lody. Panowie nie mieli ochoty. Spacerowali we czwórkę otoczonymi bujną roślinnością ścieżkami niedaleko mariny.

– Jak się czujesz, bracie? – zapytał Salvo Harry’ego, klepiąc go w plecy. – Gdy idziesz wolny wśród nas, zwykłych śmiertelników?

– To przereklamowane.

Salvo się zaśmiał.

– Aleksandrze, zejdź – powiedział Harry. – Lody kapią na garnitur wujka.

– Nieważne. – Salvo czule pocałował siostrzeńca w lepką buzię. – Prawda, mistrzu? Jesteś jedynym chłopcem, z którym łączą mnie więzy krwi. Możesz mnie brudzić do woli. Wożę w bagażniku dwie czyste koszule na wszelki wypadek.

Aleksander przycisnął rózek z lodami do policzka Salva, roześmiał się i pocałował lepkie miejsce.

– Chcesz, żebym też ci tak zrobił, tatusiu?

– Nie, dziękuję.

Z twarzy Giny nie zniknął uśmiech, gdy patrzyła na trzech mężczyzn, których kochała najbardziej na świecie.

Niebo jest błękitne, słońce świeci jasno, nawet w lutym. Wszystko jest takie proste, łatwe. Gina rozgląda się wokoło, podziwiając widok jak z akwareli, na którą zaczyna padać deszcz.

2

Miesiąc po zniknięciu Janke z ich życia Harry poruszył wreszcie trudny temat.

Siedzieli na przystani przy jego mozaikowym stole, jedli wafle i truskawki, patrząc na piękną spokojną wodę. Niewidoczny Fernando grał gdzieś na hiszpańskiej gitarze *La Bruja* dla Giny, bo wiedział, że lubi tę melodię. Gdy Harry został wolnym człowiekiem, Fernando nie był już potrzebny jako opłacany przez Hermana ochroniarz. Postanowili go jednak zatrzymać jako kierowcę (i trubadura) i zaproponowali mieszkanie za darmo w przerobionej stajni. Gina poczuła wielką ulgę, gdy Fernando przystał na ich propozycję. Aleksander kochał Fernanda i jego hiszpańskie struny. Nie chciała, by jeszcze jedna osoba zniknęła bez śladu z życia synka. Esther zadzwoniła jednak, by porozmawiać z Aleksandrem jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

– Mówiłem ci, że nie będzie się długo złościć – powiedział Harry. – Nie może się rozstać z tym chłopcem. On jest naszą tajną bronią.

A czy potrzebujemy broni?, chciała zapytać Gina.

Kiedy Harry skończył śniadanie, zaczął zakładać robaki na haczyki, szykując się do wypłynięcia z Aleksandrem na ryby.

– I co myślisz? – zapytał. – Co powinniśmy zrobić?

– My? – Uśmiechnęła się. – Salvo obiecał, że przyjdzie na lunch. Zrobię quesadillas i będę naprawiać połowę ubrań Aleksandra. Popływamy. Będziemy żyć. Tak jak dotąd.

– Chodziło mi o nas. Jaki mamy plan na życie dla nas, dla Aleksandra?

– Musimy mieć plan?

– Zupełnie jakbyś pytała, czy musimy mieć przyszłość.

– No cóż, *mio marito* – zaczęła Gina. – Przez trzy lata opowiadałeś Janke, jak przygotowujesz się do tej chwili, żebyś był gotowy, gdy nadejdzie. – Uśmiechnęła się do niego z czułością. – Jesteś gotowy?

– A ty?

– Otwórzmy księgarnię – powiedziała po chwili. – W mieście bardzo jej brakuje.

– Księgarni? – Harry zrobił minę. – A potrafią tu chociaż czytać?

– Bardzo miłe. Od kiedy stałeś się takim burżuazyjnym snobem? Myślałam, że jesteś człowiekiem z ludu. No to bądź. Sprzedawaj mu pomarańcze i książki.

– Chcesz, żeby otworzył i prowadził interes – powiedział z niedowierzaniem.

– Księgarnię, Harry. To najlepszy interes poza pizzerią.

Harry pokręcił głową.

– Wolałbyś pracować dla kogoś innego?

– To też mi się nie podoba. Nie lubię wykonywać poleceń.

– Każdy musi wykonywać czyjeś polecenia, *amore mio*. Nawet komuniści.

– Nie mogę być komunistą, mam nadzór sądowy. – Patrzyli na siebie. – Żartuję. – Uderzył w żyłki jak w struny gitary. – Gdzie się podziało twoje poczucie humoru?

– Nie wiem, dlaczego sprzeciwiasz się księgarni. Bylibyśmy tylko we dwoje. Nie musiałbyś nikogo zatrudniać, żeby go nie wykorzystywać. Tylko mnie. – Uśmiechnęła się.

– A ja chcę być wykorzystywana.

– Jest dopiero późny ranek. Nie bądź niegrzeczna. Chociaż... – odłożył haczyki i żyłki, pochylił się i pocałował ją tak namiętnie, że odchyliło się do tyłu małe metalowe krzesło. Pisnęła.

– Wracając do księgarni – powiedział, stawiając ją do pionu. – Gdyby nam się choć odrobinę powiodło, musielibyśmy kogoś zatrudnić, prawda?

– Och, Harry, *caro mio*. Zadbamy o to, żeby nam się nie powiodło. Możemy zaraz przysiąc, że nie zarobimy ani dolara na naszej małej księgarni.

Zaniósł wędkę na przystań.

– Nie pozwolę z siebie drwić.

Poszła za nim.

– Nie drwię, *delitto*. Drocę się.

– Wszystkie te twoje marzenia zakładają, że zostaniemy w Bellagrand.

Kiedy się obejrzał, zobaczył, że zbladła.

– Nie drwię, *delitta* – powiedział. – Drocę się.

Teraz rozmawiali tylko o Aleksandrze i o jedzeniu. Marzec przeszedł spokojnie w kwiecień. Było jeszcze ciepłej i sucho. Gina zastanawiała się, na co Harry czeka, dopóki pewnego dnia nie podsłuchała, jak rozmawia przez telefon z siostrą.

– Kiedy? Minęło już parę miesięcy. Dlaczego to trwa tak długo? – Zamilkł i teraz mówiła Esther. – Ile to przekłete uprawomocnienie testamentu będzie trwało?

Czekał, by akt własności przeszedł z fundacji na jego nazwisko. Gina obserwowała plecy Harry’ego, krojąc cytryny na lemoniadę. Ale dlaczego? Jaki to miało związek z ich życiem?

Kiedy odłożył słuchawkę, chciała go zapytać, ale schował nos w gazecie. Spojrzała, co go tak absorbuje. Niemcy i Rosjanie podpisali tajny pakt lekceważący traktat wersalski i Ligę Narodów. Choć obaj ministrowie spraw zagranicznych twierdzili, że to tylko umowa gospodarcza, wszyscy wiedzieli, że kryje się za tym sojusz militarny.

– Dlaczego pytasz Esther o testament?

– Jestem tylko ciekaw. – Nie podniósł głowy.

Chciała mu wyrwać gazetę. Całymi dniami nie wychylał z za niej nosa. Czytał ją, jak inni czytają Biblię.

– Co mam ci powiedzieć? – zapytał, odsuwając lekko jej łokieć od swojej głowy. – Teraz chcę mieć tylko święty spokój. Alianci zjednoczyli się przeciwko Rosji i nie nawiążą z nią stosunków dyplomatycznych, dopóki nie spłaci długu unieważnionego przed czterema laty.

– Zostawiali cię w spokoju w więzieniu? – zapytała, szturchając go. Pochyliła się, wściekła na te przekłete wiadomości.

– Uwielbiam twoje zgrabne porównania.

– A co z twoimi wzniosłymi wypowiedziami dla Janke? Były tylko na pokaz?

– Nie. Jakimi wypowiedziami? Tak, próbowałem ją ułagodzić.

– Jak mnie teraz?

– Nie najlepiej mi idzie, co?

– Co cię obchodzi uprawomocnienie? Mówiłeś, że ci nie zależy. Więc dlaczego?

Milczał. Pochłaniał go dług wojenny Rosji. Być może nawet jej nie słyszał.

– Harry!

– O nie... – Położył dłonie na gazecie i wreszcie spojrzał na nią znużonym, lecz czułym wzrokiem. – Gino – powiedział łagodnie. – Zawrzyjmy umowę. Dokończę czytać gazetę, a potem zabiorę cię na lunch do miasta i porozmawiamy jak należy. Dokąd chciałabyś pójść? Do Breakers? A może pojechać do Palm Beach?

– Aleksander dziś po południu pokazuje domy z Salvem – odparła. – Ale Salvo ma jakieś plany o trzeciej, więc musi go odwiedzić. Może pojedziemy do Palm Beach innym razem? Kiedy będziemy się mogli wybrać na cały dzień.

– Dobrze. Dziś pojedziemy do Seaside. Czy teraz mogę doczytać ten artykuł, który próbuję skończyć od dwudziestu minut?

Zabrał ją na wczesny lunch do Seaside, popularnej knajpki serwującej owoce morza. Gawędziła z nim o błahostkach. Widziałaś, że czaplom właśnie wykluły się młode? Przytaknął.

Widziałaś dziś o świcie delfiny? Wreszcie znów pojawiły się w oceanie. Zbliża się lato.

Tak, odparł. Miło było spacerować wczesnym rankiem po plaży i obserwować, jak

baraszkuje.

Wreszcie przyszła pora na poważniejszą rozmowę.

– Wiesz – zaczął Harry – testament prawie się uprawomocnił i dokumenty, na które czekamy, są niemal gotowe. Powinny do nas dotrzeć w przyszłym tygodniu. Dotyczą przekazania własności. Pojedziemy do banku razem. Poprosiłem Jenkinsa, żeby umieścił nas oboje na akcie własności. Tak więc Bellagrand będzie należeć do nas obojga.

– To dobrze. Kim jest Jenkins?

– Trevor Jenkins, kierownik banku.

– Och.

Dotknął jej dłoni.

– Jesteś zadowolona?

Jak powinna brzmieć właściwa odpowiedź?

– Tak, Harry, *il mio unico delitto*. Jestem.

Czekała, czekała, czekała...

– A gdybym ci powiedział, że chcę wrócić na uniwersytet i skończyć doktorat? – zapytał przy *ceviche* z krewetek, którą jedli na przystawkę.

Nareszcie. Gina wpatrywała się w zamyśleniu w szklanekę z napojem.

– Nie wiedziałam, że w Jupiter jest uniwersytet – powiedziała. – Myślałam, że najbliższy jest w Miami.

– Nie myślałem o Miami, lecz o Cambridge.

Chciała się na nim skupić, lecz nie mogła. Nie widziała wyraźnie. Nadal wpatrywała się w szklanekę.

– Harvard?

– Gia, spójrz na mnie.

Jakoś jej się udało. Ujął jej rękę, jakby się oświadczał. Brakowało tylko, żeby uklęknął.

– A gdybym ci powiedział, że chcę wrócić do Bostonu?

Przez chwilę nie była w stanie mówić, bo nie mogła złapać oddechu. I wtedy pomyślała, że cały czas chodziło o wybór powołania! Niestety.

Trzymał ją nadal za rękę leżącą na białym obrusie.

– Nie denerwuj się. Najpierw mnie wysłuchaj.

– Mam cię wysłuchać, a potem się denerwować?

– A gdybyśmy wrócili i kupili dom w Beacon Hill? Zawsze chciałaś tam mieszkać. Tam, gdzie mieszkają eleganccy ludzie. – Uśmiechnął się. – Aleksander mógłby się codziennie bawić na Common.

Cofnęła dłonie. Siłą powstrzymała się, by ich nie wyrwać.

– Marzyłam o Beacon Hill – powiedziała, starając się nie podnosić głosu – dawno temu. Zanim zobaczyłam Bellagrand. Wiesz, że nie chcę mieszkać nigdzie indziej.

– Daj spokój. Zawsze byłaś dziewczyną z miasta. – Przekrzywił głowę, przywołał cały swój urok. – Wyglądałabyś tak pięknie w dziennych sukienkach, eleganckich butach, toczkach i długich jedwabnych rękawiczkach. Mogłabyś wstąpić do Córek Rewolucji. Załatwić sobie pracę w bibliotece w Back Bay. Oprowadzać wycieczki po Beacon Hill. Powiedz mi, że byś tego nie chciała. – Mówił, jakby marzył za nią.

– Och, więc pracowałabym.

– Nie, nie. Też mogłabyś wrócić do szkoły. Zdobyć dyplom w Simmons. Wiem, jak bardzo kiedyś tego pragnęłaś. Mogę ci oddać to, co kiedyś zabrałem. Mogłabyś zostać nauczycielką.

Starła się, by w jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– A z czego byśmy żyli?

Podniósł rękę i pokazał na lśniąca wodę.

– Z tego samego co teraz. Z Bellagrand.

Milczała.

– Mielibyśmy dwa domy?

– Sprzedalibyśmy ten.

Poczuła straszliwy ucisk w gardle. Z trudem pokręciła głową. Nadal nie mogła oddychać.

– Sprzedalibyśmy – ciągnął, jakby nie dostrzegał jej rozpacz – i za te pieniądze przenieśliśmy się do Bostonu i żyli jak królowie na Mt. Vernon Street.

Cały jej wysiłek skupił się na urywanym oddechu.

– Na akcie własności nie ma jeszcze naszych nazwisk – zdołała wychrypieć. – Jeszcze nie złożyliśmy na nim podpisów. A ty już chcesz sprzedać dom?

– Żebyśmy wrócili do Bostonu jak zdobywcy.

Próbowała zaczerpnąć haust powietrza, lecz nie mogła.

Harry chwycił ją za drżące dłonie.

– Posłuchaj, moja ukochana żono. Chcę, żebyś żyła w mieście, jak marzyłaś.

Próbowała się wyrwać, lecz nie puszczał jej rąk.

– Mam już życie, jakiego chciałam.

– Czy masz pojęcie, ile ten dom jest wart? Nie wyceniliśmy go jak należy, jak radził mój ojciec. Ale teraz to zrobimy. Salvo nam pomoże. Kiedy Flagler go zbudował, był sporo wart. Ale teraz? Gia, mój ojciec miał rację, być może siedzimy na żyłce złota!

– Mamy ja podciąć? – Nie podniosła wzroku.

– Co?

– Nieważne. – Podziwiała jego entuzjazm, ale dlaczego zawsze oznaczał gorsze życie dla niej? Dlaczego ogarniało ją odrętwienie, jakby zalewała ją stygnąca lawa? Czemu była przerażona, zamiast czuć podniecenie? Pokręciła głową. – Haroldzie, nie chcę sprzedawać Bellagrand.

Puścił ją i oparł się o krzesło.

– Powiedziałaś do mnie „Haroldzie”?

– Przecież tak masz na imię. Nie zmieniłam go, prawda? Jak zmieniłam swoje. Nawet Bóg by mnie nie rozpoznał, nie mógłby mnie znaleźć.

– Chcesz nadal tutaj mieszkać?

– Tylko tego chcę.

– Ale ja chcę wrócić do Bostonu – powiedział. – Chcę skończyć doktorat na Harvardzie. I Gino, chcę być bliżej mojej siostry. To jedyna rodzina, jaka mi została.

– A ja chcę być bliżej mojego brata – odparła Gina. – To jedyna rodzina, jaka została mnie. – Nie mogła mu powiedzieć, że nie rozmawiają z Esther i być może już nigdy nie będą rozmawiać. Tego, co się między nimi wydarzyło, raczej nie da się naprawić.

– Wiem, że nie była dla ciebie miła. Nie wróciła jeszcze do równowagi. Ciężko jej

w domu bez ojca. I straszliwie tęskni za Aleksandrem. Twój brat jest włóczęgą. Przeprowadził się tutaj dla kaprysu i dla kaprysu może wrócić. No, bądź rozsądna. Moja siostra nigdy nie wyjedzie z Bostonu, a jesteśmy wszystkim, co ma. Chce, żebyśmy byli blisko. Zwłaszcza Aleksander.

– Tylko Aleksander.

– W porządku.

– Aleksander też korzysta na tym, że jest blisko *zio*. – Kanapki z ogórkiem, sałatka z owocami morza, zupa z krabów stały ledwo muśnięte okiem, niezjedzone. – Esther może do nas przyjeżdżać, kiedy tylko zechce – powiedziała Gina. – Jak dotąd.

– To nie to samo. Nie słuchasz, co mówię.

– A ty nie słuchasz, co ja mówię.

– Żyliśmy po twojemu ponad trzy lata, Gia. Nie możemy teraz spróbować żyć po mojemu?

– Żyliśmy po twojemu czternaście lat. – Czy naprawdę musiała mu o tym przypominać?

Roześmiał się szyderczo.

– Lawrence było moje?

– Oczywiście – odparła spokojnie. – A czyje? Moje?

– No dobrze, dobrze. Ale nie możemy teraz żyć innym życiem, takim, jakiego pragnęłaś?

Potrząsnęła głową.

– Jestem bostończykiem – powiedział Harry. – Może ciebie można przesadzać jak namorzyn. Mnie nie.

– Nie jestem namorzynem. Jestem imigrantką. Już się przesadziłam. Stworzyłam siebie na nowo. Jestem Amerykanką.

– Ja też jestem Amerykaninem, ale nie będę mieszkał na Florydzie. Dla mnie to zawsze będzie druga kategoria. Nigdy nie będę się tu czuł jak w domu. Dlaczego nie możesz tego zrozumieć?

Gina spojrzała na wodę. Gdzieś na drugim brzegu stał ich dom. Gdyby zmrużyła oczy, dostrzegłaby jego białe ściany.

– Dlaczego mamy sprzedawać dom? – zapytała. – Czemu nie możemy dalej pożyczać pieniędzy z Bellagrand jako gwarancją?

– Jak możemy być wolni z taką pętlą na szyi?

– Bellagrand nie jest pętlą. To wolność. – Odwróciła wzrok. Nie chciała, by dostrzegł wyraz jej twarzy. Zupełnie jakby Harry był obcym człowiekiem. Ich uczucia do Bellagrand tak bardzo się różniły.

– Pozwól, że się z tobą nie zgodzę, odbywszy wyrok w jego ścianach jak w fortecy. Poza tym pamiętasz, co powiedziała Esther? W końcu będziemy musieli oddać pieniądze albo sprzedać dom. Nie możemy pożyczać bez końca.

– Jeśli jego wartość będzie rosła, to możemy. – Wolałaby to od sprzedaży. Albo jeszcze gorzej: od sprzedaży i przeprowadzki.

– Wartość będzie rosła? Przypomnij mi, żebym zrobił ci wykład na temat kapitalizmu. – Gestem poprosił kelnera o rachunek. – W kapitalizmie jeśli coś idzie w górę, to potem szybko spada.

Gina odsunęła krzesło.

- Nie to powiedziałaś Esther na początku, kiedy mówiła, że wszystko ma swój koniec. Ujął ją za łokieć.
- Gia, kto to mógł wtedy wiedzieć, ale moja siostra ma rację. Wszystko ma swój koniec. Zapłacili i wyszli w milczeniu.

3

Minął dzień. I jeszcze jeden.

- Nie podoba ci się tutaj? – Leżeli w łóżku późno w nocy, nadzy i bezbroni.

Wzruszył ramionami.

– Podoba – rzucił ugodowym tonem. – Bo tobie się podoba. Ale tobie bardziej niż mnie. Nie lubię palącego słońca tak jak ty. I plaży. Nigdy nie będę myślał o Jupiter jak o domu. Nie jestem chłopakiem ze wsi. I Aleksander też nie. A nawet gdyby był, chcę, żeby dorastał jako kosmopolita.

- Jak ty?

Uścisnął ją.

- Tak. Ojciec chce, żeby syn był taki jak on. Kropka.

- Tak jak chciał twój ojciec?

Wziął głęboki oddech.

– Gia, co Floryda ma wspólnego z nami? Na kogo wyrośnie Aleksander? Nie ma tu dla niego nic do roboty. Ani dla niego, ani dla mnie.

- Flagler coś znalazł. Zmienił tu świat.

- Budując nowe domy?

– Dlaczego szydzisz? Podobnie jak twój ojciec w Bostonie zbudował kilka domów, jak ten, potem kolej, potem St. Augustine i Palm Beach, i Miami. Dziesięć ostatnich lat życia poświęcił na zbudowanie mostu do Key West, który biegnie nad wodą przez prawie siedemdziesiąt kilometrów. Powstał najbardziej wysunięty na południe amerykański port, z którego jest najbliżej do Kanału Panamskiego.

Harry zeszywniał. Żałowała, że zaczęła wyliczać osiągnięcia Flaglera, zaczynając od najgorszego i na najgorszym kończąc. Ale dlaczego on musi mówić tak lekceważącym tonem?

– Kolej i kanał już zbudowano – powiedział. – Więc nic mi nie zostało. Ale nie chodzi tylko o mnie. – Odsunął się od niej na swoją stronę łóżka. Ona leżała po swojej. – Także o naszego syna, Gia. Co będzie robił na Florydzie? Zajmuje się tylko budowaniem domków dla żab i gatorów. Całymi dniami łowi ryby, pływa i biega po korcie tenisowym. Wiem, że kiedy jest mały, powinien się bawić. Ale co z tego wyniknie na dłuższą metę? Aleksander jest za dobry na Florydę. Może zostać, kim tylko zechce.

- Najwyraźniej nie zapytałeś syna, kim chce zostać.

Odwrócił się, by spojrzeć na nią z niedowierzaniem.

– Czy zapytałem trzylatka, kim chce zostać, kiedy dorośnie? Nie, nie odbyliśmy jeszcze tej poważnej rozmowy.

– A powinniście. Bo on już wszystko wie.

Harry przysunął się do niej i objął ją, jakby opowiedziała najlepszy dowcip.

– Gina! W tym miejscu nie ma żadnych perspektyw dla tak bystrego chłopca jak on. Kiedy dorośnie, może zostać burmistrzem. Gubernatorem. Prezydentem. Każdy, kto go spotyka, przyznaje, ku mej wielkiej irytacji, widzi, że jest niezwykłym dzieckiem. Nie stawaj mu na drodze. Pozwól mu dorastać tam, gdzie będzie mógł zrealizować swoje największe talenty, największy potencjał.

Gina powstrzymywała płacz.

– Tutaj jest tylko piękno.

– Ci, którzy odwiedzają Atticę, też myślą, że tam jest pięknie. Dla mnie to było wygnanie.

Nie chcę sprzedawać domu, powtarzała Gina jak litanie, jak omen.

Ale musimy, powtarzał Harry, jeśli mamy wieść życie, jakiego pragniemy.

– Nie chcę innego życia. Tylko to.

– Naprawdę?

Tak, krzyczało jej serce, lecz wargi się nie poruszały.

– Jeśli żyjesz, odwracając się od prawdy, to żyjesz w piekle.

– Prawda nie kryje się w Bellagrand!

– Tak.

– Gdzie się podziała moja wyrafinowana dziewczyna z Simmons? – szepnął Harry w ciemności. – Młoda dziewczyna ubrana w aksamit, z włosami upiętymi w kok jest teraz kobietą w pełnym rozkwicie. Nie chcesz spacerować po Bacon Street w białych rękawiczkach?

– Zamiast w letniej sukience po Fiesta Avenue? – Zawiesiła głos i zmieniła taktykę. – A czego chciałaby twoja matka? Zostawiła ci ten dom. Jak myślisz, jakie byłoby jej życzenie?

– A kto to wie?

– Ty. Przeczytaj jeszcze raz list, który trzymasz przy łóżku. Dom, by nigdy nie zapomniał romantyzmu młodości.

– Odrzucając życie, odebrała sobie prawo do decydowania o czymkolwiek.

*

Następnego ranka Harry zawołał Aleksandra, gdy szli razem z Giną plażą, bosy, by woda oblewała im nogi.

– Synu – zaczął Harry – kim chcesz zostać, kiedy dorośniesz?

– Budowniczym – odparł malec. – Jak dziadzius.

Gina kopnęła falę bez słowa.

– Tylko tyle? Budowniczym? – dopytywał się Harry. – Niczym więcej? Nie masz innego planu?

– Jeśli nie budowniczym, to żołnierzem.

– Żołnierzem! – Harry starał się uchwycić spojrzenie Giny, lecz odwracała głowę. – Dlaczego, synku?

Aleksander próbował uciec przed falą.

– Tato, przestań. Nie wiem dlaczego. Żebym mógł nosić strzelbę? Nie wiem. Po. Prostu. Nie. Wiem.

– Ty go do tego namówiłaś – powiedział Harry, doganiając Ginę i wpychając ją do wody.
– Jakby można go było do czegoś namówić.

Gina uparcie obstawała przy swoim. Harry pracował nad nią. Pojechał z Aleksandrem do miasta i kupił jej biały kapelusz. Wypłynęli łodzią, zarzucił kotwicę i łyżeczką karmił ją na wpół roztopionymi lodami. Zасыpywał ją opowieściami o wspaniałej przyszłości, zmiękczał gładkimi słówkami i pocałunkami. Przede wszystkim zmysłowymi pocałunkami. Przechodził samego siebie.

Gina zamknęła się w Bellagrand i w sobie. Patrzyła, jak Aleksander bawi się z żabami i krabami, i obserwowała sadzawkę z karpami koi. Co okaże się najlepsze dla jej tańczącego, boksującego synka? Nie była pewna, czy Boston. Ale nie była też pewna, że nie.

Harry był przekonany, że odpowiedzią na ich rozterki jest duże miasto.

– Codziennie będzie mógł grać w piłkę nożną na Common – powtarzał. – Nauczy się grać w hokeja jak ja. Może nawet jeździć na łyżwach jak ty?

Ignorowała go z uporem.

– Nauczy się niezależności – ciągnął Harry. – Pójdzie do najlepszych szkół. Na Harvard, jak inni Barringtonowie przed nim. Może zostanie tam profesorem, jeśli wszystko ułoży się zgodnie z moim planem. Co za bogactwo doświadczeń, jakie wspaniałe dzieciństwo. Nie możesz myśleć tylko o sobie, Gino. Musisz myśleć o Aleksandrze.

– Co ci chodzi po głowie? Myślę niemal wyłącznie o nim. Ale nadal nie chcę sprzedawać domu.

– Potraktuj to jako ofiarę, którą musisz ponieść – namawiał ją Harry pewnego popołudnia, gdy siedzieli przy zbyt mocnej sangrii. Niebawem umilkną i zacznie się inna rozmowa. Na razie jednak rozkoszowali się sangrią rozgrzewającą im krew.

– Nie chcę sprzedawać domu.

– Kupimy inny letni dom, bliżej Bostonu. Na Cape Cod, jak niedawno moja siostra. – Uśmiechnął się, chwycił ją, podniósł z krzesła, udając, że prosi ją do tańca na werandzie, skąd w oddali widać było zamglone sylwetki łodzi.

– Woda w Cape Cod jest zimna – odparła sztywno, choć była wzruszona. – Tam nie jest tak jak tutaj. – Nigdzie nie jest tak jak tutaj.

Walcowali wokół Bellagrand. Zatańcz ze mną, chodź ze mną, wyjedź ze mną, sprzedaj ze mną... Przekonywał i nakazywał, podczas gdy ona brodziła w błocie.

– Przez trzydzieści lat dom nabierał wartości – powiedziała. – Wartości, która, jak powiedziałaś ojcu, niech spoczywa w pokoju, jest arbitralna. Teraz nie wydaje ci się już taka arbitralna, prawda? Jeśli zatrzymamy dom, jego wartość nadal będzie rosła. Ale jeśli go sprzedamy, co pocniemy w Bostonie, gdy skończą się pieniądze?

– Jeśli sprzedamy dom, pieniądze nigdy się nie skończą – zapewnił ją Harry. – Ale nie możemy mieć jednego domu w Bostonie i drugiego tutaj. Nie możemy prowadzić dwóch dużych gospodarstw. To byłaby rozrzutność. Jeśli zdecydujemy się na moją drogę, będziemy ustawieni aż do śmierci, aniele. Sprzedamy dom, złożymy pieniądze w banku

i będziemy żyli z odsetek od kapitału. Moje życie to koniec z przedsiębiorcami, maszyną do szycia, sprzątaniami cudzych domów. Życie po twojemu oznacza, że nadal będziemy winni bankowi pieniądze i będziemy płacić za dwa domy zamiast za jeden. Po twojemu będziemy splukani za dziesięć lat. Po mojemu – nigdy.

– Będziemy żyli z odsetek – powiedziała Gina. – Ciekawe słowa w ustach byłego komunisty.

Harry zamrugał oczami i zamilkł, przegrupowując siły. Jako argument w wielkiej dyskusji o gospodarce został mu tylko wolny rynek.

– W Bostonie – zaczął, posuwając się krok dalej – jeśli przypadkiem tak się zdarzy, że zabraknie nam gotówki, łatwo znajdę pracę. Prawdę mówiąc, liczę na to. Zrobię doktorat. Zamierzam znów uczyć. A co będę robił tutaj?

Kiedy Gina milczała, potraktował to jako zachętę.

– Tylko o tym pomyśl. Jeśli zostaniemy, co będę robił? Słyszałaś Janke. Człowiek bez pracy nie ma celu. A tutaj nie ma pracy dla kogoś takiego jak ja. Proszę. Spójrz na to z mojej perspektywy. Wszystko przemawia za moim rozwiązaniem. Aleksander, ja, ty, Esther. Jest korzystne dla każdego. Twoje jest dobre tylko dla ciebie.

Przemawia wszystko z wyjątkiem Bellagrand. Powiedziała to do Harry’ego, czy modliła się do Boga?

– Nie możesz stać w rozkroku między dwoma stanami, dwoma życiami – przekonywał Harry. – Bellagrand kupi ci życie w Bostonie. Wreszcie będziesz osobą, którą tak bardzo chciałaś być: należącą do towarzystwa żoną Harolda Barringtona. Wszyscy będą cię nazywać Jane Barrington.

– Jeśli zmienię imię, Bóg nie będzie wiedział, kim jestem – odparła słabym głosem Gina.

– Już zmieniłaś imię, moja dziewczyno z Simmons. Długo przede mną.

Nie chciała powiedzieć, że zrobiła to tylko dla niego. Teraz takie wyznanie nie przyniosłoby żadnej korzyści.

Zawahała się. Zachwiała. Złapał ją i uwodził, mówiąc i robiąc różne rzeczy, by ją zmiękczyć, rozwiać strach.

Odwoływał się stale do jej pragnienia, by z *povera contadina* stać się elegancką damą z wielkiej rezydencji. Możliwość zamieszkania w Beacon Hill, tak jak to przedstawiał, była kusząca. Stałaby się zamożną kobietą z uroczym, świetnie wychowanym dzieckiem, przystojnym mężem ze starej rodziny, w lakierkach i z torebkami ze skóry aligatora, oczywiście innego, nie tego należącego do syna.

Mogłaby jadać lunch z przyjaciółkami w Klubie Harvardzkim, a w czasie weekendów wydawać wielkie przyjęcia i organizować imprezy charytatywne, jak niegdyś Alice. Mogłaby być patronką kościoła lub parku, odprowadzać Aleksandra do szkoły i przyprowadzać go do domu, trzymając za rękę na Charles Street. Mogłaby chodzić na tańce i na zakupy, kupować najlepsze kosmetyki i stroje. Moda kobieca stała się taka lekka, kusząca, zmysłowa. Kto nie dałby się temu uwieść, komu nie zakręciłoby się w głowie?

Gina poruszała palcami po niewidzialnych klawiszach i chodząc po domu, próbowała sobie przypomnieć melancholijne *Marzenie* Schumana. Usiadła przy fortepianie i wyobraziła sobie, że zostawia to wszystko, ze wszystkiego rezygnuje, wyrzeka się tej

stałej rzeczy ze ścianami i oknami, wymieniając ją na kilka niewidzialnych sykli w banku. Lecz sykle oznaczały jednocześnie Beacon Hill, Harvard i eleganckich przyjaciół. Restauracje, operę i bale. Położyła się na podłodze z drewna orzechowego. Teraz to jest dom, lecz niedługo stanie się niewidzialnymi pieniędzmi w bankowym sejfie zamykanym wielkim kołem. Teraz: trawa, ocean, żaby, palmy, łódź. Życie. Niebawem: Boston, pociągi, hałas, Aleksander grający w piłkę nożną. Też życie...

W obu krył się romantyzm, obu pragnęła. Ale brak jednego przerażał ją, gdy wyobrażała sobie przyszłość bez tego domu, bez tego widoku i spacerów boso po plaży wczesnym rankiem, gdy delfiny baraszkowały niedaleko brzegu, bez najgłębszego spokoju, bez Fernanda grającego na hiszpańskiej gitarze *Rosario de mi Madre*, gdy siedziała wieczorem na tarasie i popijała koktajl bellini. *Esta será la última cita de los dos...* To będzie ostatni raz dla nas obojga.

Nawet ta część była już za nią. Nie wrócą tu Esther ani Rosa. Herman odszedł. Salvo, ogromnie zajęty, przestał przyjeżdżać. Przeżyli tu kawał życia, które powoli rozplątywało się przed jej oczami.

Gina wędrowała przez ogromne pokoje i wspominała jeden z wykładów Emmy Goldman, na który poszła w 1908 roku. Harry już dawno przestał z nią chodzić, towarzyszyła jej więc Angela. Wykład nosił tytuł *W co wierzę*. Emma mówiła o własności. „Własność jest nie tylko zawadą na drodze do dobrobytu, lecz także niebezpiecznym hamulcem w rozwoju. Własność sprawia, że miliony ludzi stają się nikim, żywymi trupami, maszynami z ciała i krwi, które gromadzą góry bogactwa dla innych, płacąc za to szarą, ponurą, beznadziejną egzystencją”.

Czy należę do tych „innych”? – zastanawiała się Gina, dotykając ścian, marmurowych umywalek, czarnych drzwi. Przez otwarte okna wpadała słona popołudniowa bryza. Od lat nie myślała o Emmie i jej poglądach na temat własności. Dwa lata wcześniej Emmę Goldman deportowano do Rosji na pokładzie Buforda. Jak anarchistka i komuniści dogadywali się w radzieckiej arce? Była gotowa się założyć, że Harry wie. Chciała go zapytać, ale tak naprawdę niewiele ją to obchodziło. Teraz, wspominając swoją idolkę na środku Bellagrand, Gina czuła, że Emma Goldman nie miała racji. Ich egzystencja nie była ponura. Była lśniąca łaską.

Co czuł Harry, namawiając ją do sprzedaży? Czy zatrzymanie Bellagrand oznaczało dla niego wyrzeczenie się najważniejszych zasad? Bała się jego odpowiedzi.

– Gino, musisz zdecydować, czego chcesz – powiedział w końcu. – Nie możemy tylko kąpać się w oceanie i jeść *ceviche*.

– Ty i ja chcemy różnych rzeczy – powiedziała głosem pełnym napięcia.

– Wcale nie! Ty też marzysz o atrakcjach miasta. Zawsze tego chciałaś. I nadal jesteś tą samą dziewczyną, z którą się ożeniłem, ta sama impulsywną, dziką, mądrą, pełną życia dziewczyną. No, Gia – szeptał jej w szyję, w serce, w rowek pomiędzy piersiami. – Nie chcesz być znowu młoda, ekstrawagancka, oszałamiająca? Nie chcesz być sobą?

Urywany głos Frances Barrington ucichł, szepcząc, by nie płakała za romantyzmem młodości, ucichł też głos jej ojca, który nakazywał, by nigdy nie zapomniała, skąd pochodzi. Gina zamknęła serce przed strachem, uciszyła dręczące ją przerażenie i zgodziła się przeprowadzić z powrotem do Bostonu.

Zanim zdążyła zmienić zdanie, Harry zadzwonił do Salva i poprosił o wystawienie domu na sprzedaż. Gina powiedziała, że daje mu dwa miesiące. Jeśli nie sprzedadzą domu, będzie to znak, że ma pozostać ich własnością.

Sprzedali Bellagrand w pewne spokojne popołudnie. Salvo przywiózł mężczyznę w garniturze o trzeciej po południu, gdy wszyscy odbywali sjęstę. Mężczyzna, Jon Turner, powiedział, że ma żonę, ale niczego z nią nie uzgadniał. Kiedy obejrzał dom, nawet się nie targował. Salvo podał cenę, a Turner zgodził się zapłacić, zanim zszedł po schodach do nagiej Afrodyty.

Gina oniemiała. Cena była za niska, dlatego sprzedali tak szybko.

Harry nie podzielał jej zdania.

– Zażądaliśmy uczciwej ceny. Ojciec oszacował, że dom jest wart sto tysięcy dolarów. Dostaliśmy dwa razy tyle.

– O to właśnie mi chodzi. W trzy lata wartość domu wzrosła dwukrotnie. Za trzy następne byłby wart pół miliona.

– No to tego nie zobaczymy, bo nas tu nie będzie. A jeśli rynek się załamie? Tego też nie zobaczymy.

Salvo uśmiechnął się znacząco.

– Harry, często mówisz takie pocieszne rzeczy. To najbardziej lukratywny rynek nieruchomości w Stanach Zjednoczonych. – Razem z Aleksandrem na wyścigi wysysali sok z połówki pomarańczy. Okropnie przy tym nabrudzili.

– Tak, tak – rzucił zniecierpliwiony Harry. – Teraz jest dobrze, sprzedaż kwitnie. Ale to nie będzie trwać.

– Rynek jest bardzo stabilny – zaopiniował Salvo z ustami pełnymi mięszu.

– Jeśli przez stabilny chcesz powiedzieć nieprzewidywalny, to się zgadzam – odparł Harry. – Gdybyśmy byli zmuszeni sprzedać dom później, na pewno byśmy na tym stracili. Czy to mądre?

– Chciałabym wiedzieć, czy mądrze było sprzedawać teraz – westchnęła Gina.

– Bardzo, bardzo niemądrze – powiedział Trevor Jenkins, kierownik Tequesta National Bank, który stanął w drzwiach Bellagrand dwa dni później, podziwiając czarne drewno. Kierownik banku sam się do nich pofatygował. Gina była pod wrażeniem.

– Pan Jenkins? Miło wreszcie pana poznać.

– Jak to? Przecież już się poznaliśmy. Przychodzi pani do banku dwa razy w tygodniu. Podpisała pani akt własności u mnie w gabinecie.

– Oczywiście. – Gina nie mogła go sobie przypomnieć. – Proszę wejść. Ma pan ochotę na lemoniadę? Zrobiłam świeżą dziś rano. Hodujemy własne cytryny.

Harry wszedł do wielkiego holu i uściskał dłoń Jenkinsa.

– Proszę spróbować mojego świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. – Uśmiechnął się. – Powinienem chyba otworzyć interes, jest taki dobry. Prawda, Gia?

– Tak. – Wolno poszła za nimi do kuchni, gdzie Salvo siedział na podłodze

z Aleksandrem. Chłopczyk budował bardzo wysoki mur z drewnianych klocków niczym termit wznoszący kopiec sto razy większy od niego. Musiał wejść na stół, by dokończyć dzieła.

– Salvo, zdejmij chłopca ze stołu – powiedział Harry, stawiając szklankę na blacie. – Co pan Jenkins pomyśli o naszym domu?

W ramionach Salva Aleksander dokładał ostatnie klocki do wieży.

Jenkins głośno chwalił przestrzeń, jasne kolory kuchni, trawnik, nawet Aleksandra.

– Powiedz mu, że dziecko nie jest dodatkiem do domu – szepnęła Gina do męża, gdy nalewał sok. Jenkins wypił i głośno chwalił sok Harry’ego.

– Dziękuję. Ale teraz proszę nam powiedzieć, czemu zawdzięczamy pańską wizytę?

Jenkins wytarł usta.

– Czy mogę mówić otwarcie? – Spojrzał na Aleksandra i zmierzył gniewnym spojrzeniem Salva, który uśmiechnął się i skłonił z przesadą.

– Oczywiście – powiedział Harry.

– Z całym szacunkiem, wydaje mi się, że pan Attaviano źle państwu doradził. Bardzo źle. To nie jest odpowiednia pora na sprzedaż. Z pewnością nie za cenę, którą ustaliliście. – Wyciągnął lepką rękę do Giny i uściśnął jej dłoń. – Pani Barrington, jest pani jedną z naszych najlepszych klientek.

– Dziękuję.

Harry uśmiechnął się nerwowo.

– Tak. Z ogromnym żalem utracilibyśmy państwa konto na rzecz banku w Bostonie, ale z powodu ogromnego szacunku, jakim darzę państwa rodzinę, chciałbym udzielić państwu bezcennej rady i wyjaśnić kilka rzeczy. Mogę usiąść? – Opadł na krzesło obok klocków Aleksandra. Zagrzechotały. Teraz Aleksander zmierzył wściekłym spojrzeniem kierownika banku. Gina przysiadła na krześle obok, lecz Harry nadal stał.

– Salvo – powiedział, biorąc na ręce chłopca i przekazując go szwagrowi. – Idźcie popływać. Chcę bez przeszkód wysłuchać tego, co ma nam do powiedzenia pan Jenkins. Nie martw się, synku, nawet nie dotkniemy twojej egipskiej piramidy. Teraz zmykaj.

– Dzień będzie upalny – zauważył Jenkins, gdy wujek i siostrzeniec wyszli. – Mają państwo szczęście, syn państwa może spędzać cały dzień w basenie. – Uśmiechnął się fałszywie. – W Bostonie to byłoby niemożliwe, prawda? W zeszłym tygodniu było tam bardzo zimno. Czytałem w gazetach. Piętnastego czerwca było jedenaście stopni i padał deszcz.

– Proszę nam powiedzieć, z czym pan do nas przyszedł. – Harry był oficjalny, ubrany w garnitur, bostońsko elegancki, a nie swobodny jak w Bellagrand. – Nie mamy całego dnia. Turnerowie czekają na odpowiedź.

– Z całego serca radzę, by ta odpowiedź była odmowna – powiedział Jenkins. – I wyjaśnię państwu dlaczego. – Zakaszłał. – Zażądali państwo stanowczo za niskiej ceny. Nie chcę przez to powiedzieć, że dom nie jest tyle wart. Mówię tylko, że nie na tyle wycenia się domy na wybrzeżu od Miami do Dayton. Na domy tutaj istnieje ogromne zapotrzebowanie. Sprzedają państwo za tanio i za szybko. – Jenkins pokiwał głową i otarł czoło. – Ale nie radzę, by zażądali państwo wyższej ceny. Wręcz przeciwnie. Radzę, by państwo poczekał.

Gina spojrzała triumfalnie na męża, lecz wyraz jego twarzy natychmiast zgasił jej triumf. Z jakiegoś powodu Harry nie kupował tego, co Jenkins sprzedawał.

– W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku – ciągnął Jenkins – pewien człowiek kupił ziemię nad oceanem jakieś dwadzieścia kilometrów stąd, płacąc ćwierć dolara za czterdzieści arów. Dwadzieścia pięć centów za czterdzieści arów. A niedawno sprzedał ją za ponad milion dolarów. Nie czytaliście o tym? Było we wszystkich gazetach.

– Musiało nam to umknąć – odparł ponuro Harry.

– Od dwudziestu pięciu centów w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku do miliona dolarów w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim. Malutka działka w Miami, którą sześć lat temu kupiono za dwadzieścia pięć dolarów, poszła niedawno za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie słyszeliście, że „Miami Herald” stał się najgrubszą gazetą na świecie z powodu ogłoszeń o nieruchomościach? Macie jedną z najrzadszych działek na tym terenie, posiadłość otoczoną z dwóch stron wodą, z dwoma prywatnymi plażami. Ponad dwa akry ziemi, dobrze zbudowany, zmodernizowany dom. Gwarantuję państwu, gwarantuję – powtórzył dla większego efektu – że za dwa lata dom będzie wart pięć milionów dolarów. Przynajmniej. – Skinął głową przed zdumioną twarzą Giny. – Pragnąc udowodnić państwu, jak bardzo jestem pewny tej wzrostowej tendencji, obniżyłem już oprocentowanie państwa kredytu z sześciu procent do trzech i zrezygnuję również ze wszystkich odsetek przez następne dwanaście miesięcy. Tak jest. Zwiększę również – dodał szybko, gdyż z twarzy Harry’ego wyczytał, że to nie wystarczy – wysokość kredytu z obecnej, starej wartości domu, za którą pan Attaviano próbuje go sprzedać, do osiemdziesięciu procent sumy, którą wasz dom będzie na pewno wart w... powiedzmy tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku. Udzielę państwu kredytu w wysokości trzech milionów dolarów, które będą spoczywać na państwa osobistym koncie bankowym. Och, i jeszcze jedno, pani Barrington. Nie chcę, by pani brat ucierpiał na tym, że odradzam państwu sprzedaż domu, wypłacę mu więc należną prowizję od utraconej transakcji.

Podniecona Gina spojrzała na milczącego Harry’ego. Czy dobrze usłyszała? Czy Jenkins powiedział właśnie...

– Chciałbym dobrze zrozumieć – zaczął Harry. – Pożyczmy nam pan...

– Oczywiście z zabezpieczeniem w postaci domu.

– Oczywiście. Pożyczmy nam pan trzy miliony dolarów, obniży o połowę oprocentowanie, zrezygnuje z odsetek przez rok i wypłaci Salvovi prowizję od transakcji, która nie doszła do skutku. – Harry zrobił sceptyczną minę. – Dlaczego miałyby pan to robić?

– Jest pan jednym z naszych najlepszych klientów – powtórzył Jenkins. – I chciałbym, żeby tak zostało. Być może zapomniałem wspomnieć – dodał – że mamy niebywały boom.

– Powiedział pan nietrwały? – zapytał Harry sucho.

– Nie, nie. – Jenkins mówił znacznie wolniej. – Powiedziałem: nie-by-wa-ły. Bezprecedensowy.

– Och. Dziękuję, że mówi pan wolniej.

– Bardzo proszę, sir. Zrobię wszystko, by zatrzymać państwa u siebie i ochronić przed popełnieniem błędu życia. Ale wybór należy oczywiście do państwa.

– Dziękuję.

– Proszę to spokojnie omówić. Czy czekając, mogę dostać szklanek pani lemoniady?

Synkowi bardzo smakowała.

Harry sięgnął po dzbanek.

– Niczego nie musimy omawiać, panie Jenkins – powiedział, nalewając lemoniadę.

– Nie? – zapytała Gina.

– Lemoniada jest rozkosznie słodka, proszę pani. Pani syn miał rację. – Uśmiechnął się do Giny.

– Nie musimy niczego omawiać – powtórzył Harry – bo zgodziliśmy się już sprzedać dom Jonowi Turnerowi. Jego oferta jest niezwykle korzystna. Proszę mi wybaczyć, panie Jenkins, ale z powodu ofert takich jak pańska ludzie tracą oszczędności całego życia. Powoduje nimi chciwość. Nigdy nie mają dość. A nam nie potrzeba więcej. Pieniądze ze sprzedaży domu wystarczą nam w zupełności.

Gina podniosła rękę, by go powstrzymać.

– Harry, zaczekaj...

– Panie Jenkins, nie ma pan kryształowej kuli, prawda? – ciągnął Harry. – Nie może pan spojrzeć w przyszłość? Bo to byłaby niezła sztuczka. Ale nie może mi pan obiecać, że rynek nieruchomości się nie załamie. – Wypił szklanekę soku pomarańczowego. – Nie może się pan podpisać pod takim dokumentem, prawda? Dobrze pan wie, że cechą rynku jest zmienność. Proszę sobie wyobrazić – ciągnął chłodnym tonem Harry – że bierzemy od pana kredyt na nasze nowe życie w Bostonie. Kupujemy dom, łódź albo dwie, eleganckie ubrania, parę samochodów. Może nawet rolls-royce'a. Czemu nie? Mamy przecież pańskie trzy miliony dolarów. Zachowujemy się jak mój syn w sklepie ze słodyczami. Ale co się stanie, jeśli rynek się załamie i będziemy panu winni milion, może nawet dwa? Skąd weźmiemy pieniądze, żeby spłacić dług?

– Oczywiście ze sprzedaży domu, panie Barrington – powiedział protekcyjnym tonem Jenkins.

– Czyżby? – Teraz Harry przybrał protekcyjny ton. – A jeśli nie będę mógł go sprzedać? Jeśli nie będzie chętnych? Jeśli będziemy panu winni więcej, niż dom jest wart? Czy brał pan pod uwagę taką możliwość?

Jenkins się zaśmiał.

– Ludzie śpią na plażach, czekając, by wystawiono na sprzedaż jakiś dom w tej okolicy! Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mówię o krachu na rynku.

– Dlaczego miałyby nastąpić krach?

Harry spojrzał pytająco na nachmurzoną Ginę.

– To, co pan mówi, nie ma sensu – ciągnął Jenkins. – Przyznaję, że na rynku dochodzi czasem do niewielkiej korekty. Ale nie spada na łeb na szyję.

– Rozumiem. – Harry pokręcił głową. – Nie podejmiemy z żoną takiego ryzyka. Prawda, Gino?

Co mogła powiedzieć? Czy miała kryształową kulę? Czy mogła przewidzieć przyszłość? Salvo nienagannie ubrany w jedwab! Oferta kupna domu od pierwszego chętnego! Jenkins proponujący kredyt w wysokości trzech milionów dolarów, czyli prawie dorównujący rocznemu produktowi brutto Sycylii. Harry rzadko miewał rację. A jednak życie na kredyt było dla niej jak klątwa. Los jest nieprzewidywalny. W sercu bała się wszystkiego.

– Masz rację, Harry – szepnęła niepewnie.

Harry wyciągnął rękę do spoconego i zdumionego kierownika banku.

– Dziękuję bardzo, że się pan do nas fatygował. Przykro mi, że nic z tego nie wyszło. – Wyjrżeli na trawnik, gdzie Aleksander pokazywał Salvowi, jak złapać bąka. – To prawda, małemu bardzo się tu podoba – ciągnął Harry – ale jest jeszcze małym chłopcem i niedługo pójdzie do szkoły. Potrzebuje innego życia. To będzie wspaniały dom dla innej rodziny. Nie będę pana dłużej zatrzymywał.

Kiedy odprowadzili nieszczęśliwego Jenkinsa do wyjścia, zostali na werandzie i wdychali pachnące oceanem powietrze. Gina przywołała na twarz obojętny wyraz. Harry wziął ją za rękę. Powiedział, że wiosną stał na schodach domu w Barrington i wdychał powietrze napływające z oddalonego o piętnaście kilometrów Atlantyku. Słone wiatry ze wschodu zwiastowały, że lato jest tuż za progiem.

5

Mieszkaliśmy w Walhalli wystarczająco długo, wykrzyknęła Gina, pokazując ludziom od przeprowadzek, jak pakować i oznaczać skrzynie i pudła. Tak dobrze im się teraz powodziło. Już nie pakowała sama swoich rzeczy. Wynajmowała ludzi, by robili to za nią.

Oczekiwanie związane z nieuchronną zmianą przyćmiewało inne sprawy, na przykład nocne poty, które zaczęły jej dokuczać, gdy dzień wyjazdu zbliżał się coraz bardziej. Eldorado noszę w sobie, powiedziała, by się uspokoić. Gdziekolwiek się udadzą, dopóki będą razem, znów znajdą swoje Eldorado. Mówiła tak, ale nocą budziła się, bo brakowało jej tchu, i długo nie mogła zasnąć. Co jest?, pytał Harry. Co ci się śni? Nie pamiętała. Widziała siebie siedzącą przy stole w pustym pokoju.

– To nie brzmi zbyt przerażająco – mrucał, by ją uspokoić. – Siedzisz przy stole trzy razy dziennie przy jedzeniu. Kto jest z tobą w pokoju?

– Nie ma nikogo. Jakbym czekała, aż przyjdzie ktoś straszny.

– A gdzie jestem ja? Gdzie jest Aleksander?

– O to chodzi. – Płakała, kryjąc twarz w dłoniach. – Nie wiem. Siedzę przy tym stole i nie wiem, gdzie jesteście. Zupełnie jakby wszyscy zniknęli.

– A co się dzieje potem?

– Co się dzieje? Budzę się. Jak teraz.

– To może powinnaś spać dłużej, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteś? I nie będziesz się już więcej bała.

– Nie mogę. Jestem tak strasznie przerażona, że nie mogę.

Przytulił ją, pogładził po plecach, pocałował we włosy.

– Stoły potrafią wystraszyć, ukochana. Rozumiem. Ćśśś.

*

Spakowali rzeczy i sprzedali samochody. Aby ich odwieźć na stację, przyjechały dwie

taksówki. Fernando był bardzo opanowany, gdy trzymał na rękach Aleksandra.

– Mój mały mężczyzno, świetnie sobie poradzisz w Bostonie. Żartujesz? Będziesz się wspaniale bawił. Wielkie miasta są zabawne, *mi amico*. Zobaczysz. Pokochasz je, jak ja kocham Miami. W wielkim mieście wszystko dzieje się naraz.

W pociągu jadącym na północ Harry wziął Ginę za rękę.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Zmusiła się do uśmiechu.

– Nie czujesz, że to absolutnie słuszna decyzja?

Kiwnęła głową i przycisnęła usta do głowy Aleksandra, którego trzymała na kolanach. Wyglądała przez okno, gdy pociąg nabierał prędkości, tocząc się pomiędzy dwoma zbiornikami wodnymi, palmami, blaskiem słońca, ludźmi, którzy wypływali łodziami, dwoma chłopcami puszczającymi latawiec, kwitnącymi roślinami, cyprysami, umykającą dżunglą amerykańskiej granicy. Salvo płakał, gdy żegnali się poprzedniego wieczoru. Poprosiła go, żeby zaśpiewał, ale łamał mu się głos. Chciała usłyszeć swoją ulubioną arię z *Toski* – *E lucevan le stelle*. Zwykle śpiewał porywająco, a jego piękny tenor niósł się przez wodę do Tequesty, jakby Salvo był nieszczęsnym Cavaradossim. Ale nie wczoraj wieczorem. Nie łapał tonacji, pisał i nie mógł dokończyć, gdy dotarł do słów *svani per sempre*. Zniknąć na zawsze. Gina nie widziała płaczącego brata od czasów Sycylii, gdy zmarł ich ojciec. Nie mogła myśleć o tym teraz, gdy trzymała Aleksandra, który z całej siły stukał w szybę, próbując zwrócić na siebie uwagę pań na łodziach poniżej pędzącego pociągu. Dlaczego Salvo był taki zdenerwowany? Czy dlatego że jego uwielbiany *nipote* wyjeżdżał? A może w jego smutku czaił się jakiś znak? Czy Salvo się bał, że już nigdy nie zobaczy siostry i jej rodziny? Nie chciał odpowiedzieć, gdy go zapytała. Przyjedziesz na Boże Narodzenie, Salvo, powiedziała, pełna pustych zapewnień, a my przyjedziemy tu z wizytą, to tylko kilka stanów na północ, nie będziemy w innym kraju.

Na przykład w Rosji.

Albo w Panamie.

– Wiem, że myślałaś, że to Shangri-La – powiedział Harry w pociągu, obejmując Ginę, całując ją i Aleksandra. – Teraz zastąpi to Beacon Hill. Synu, proszę, nie wal tak mocno w szybę. Konduktor mówi, że ją rozbijesz. A dziewczęta i tak cię nie słyszą.

Gina nie chciała poprawiać wychowanego w Ameryce męża; miał przecież dyplom Harvardu z wyróżnieniem, a ona nawet nie skończyła zwykłego Simmons. Nie wspomniała więc, że Shangri-La było fantazją, miejscem, które istniało tylko w muzyce Mozarta i w jej sercu. Nie było prawdziwe. Bellagrand nie był fantazją, lecz teraz należał do przeszłości i nic nie podkreślało tego bardziej niż przedział pierwszej klasy w pociągu pędzącym na północ, który oddalał ich od tego, co było i czego już nigdy nie będzie, i przybliżał do tego, co niebawem się stanie. Pociąg był momentem zawieszenia między dwoma światami. Jak statek z Neapolu do Bostonu. Pociąg z Bostonu do Lawrence. Z Bostonu do Spanish City. Jak pięknie wyglądało to miasto przed laty, zanim urodził się Aleksander. Ile obietnic kryło. Na przedmieściach stało wesołe miasteczko, patrzyła na nie z góry, z okna pociągu. Szukała go teraz, diabelskiego młyna, kramów. Pamiętała, jak Aleksander jeździł na karuzeli na białym koniu, ściskając lejce; malutki jeździec, zataczający kręgi do rytmu wesołej muzyki.

Jak wspomnieć o cytacie z Pascala, który Gina znalazła starannie przepisany jako ostatni w otwartym dzienniku Harry'ego? Przeczytała go, gdy się pakowali.

„Natura nasza jest w ruchu; zupełny odpoczynek to śmierć... Nie masz dla człowieka nic równie nieznośnego, jak zażywać pełnego spoczynku, bez namiętności, bez spraw, rozrywek, zatrudnienia. Czuje wówczas swoją nicość, opuszczenie, lichotę, zależność, niemoc, próżnię. Bezzwłocznie wyłoni się z głębi jego duszy nuda, melancholija, smutek, troska, żal, rozpacz”[\[16\]](#).

Inspektor Javert nie mogła mieć racji, prawda?

Shangri-La.

Czy w Bostonie są wesołe miasteczka, zapytała Harry'ego nikiem głosem, który zabrzmiał jak głos Frances Barrington, jak głos Alessandra Attaviano.

Będziemy je mieć codziennie, ukochana, powiedział.

[16](#) Blaise Pascal, *Myśli*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań–Warszawa 1921.

Część trzecia

CZŁOWIEK BEZ KRAJU

1922–1929

*Deszcz zacinał ostro,
Księżyc jasno świecił,
I wszystko co widzialne
Znikło nagle z oczu*

Anonim

*O, czemuż dawne wizje przeminęły?
Ten sen i chwała, gdzież, o, gdzież zniknęły?*^[17]

Wordsworth

¹⁷ William Wordsworth, *Oda: Przeczucia nieśmiertelności czerpane ze wspomnień o wczesnym dzieciństwie*, tłum. Zygmunt Kubiak, w: *Twarde do snu*, Noir sur Blanc, Warszawa 2002.

Rozdział piętnasty

Isadora i Siergiej

I

Wynajęli duży stary dom z brunatnego piaskowca przy Mt. Vernon, najpiękniejszej z pięknych ulic w Beacon Hill, kilka drzwi od domu Henry’ego Cabota Lodge’a. Był przestronny, lecz trochę czuć w nim było stęchlizną, za to kuchnia była odnowiona, a pomalowane na jasne kolory ściany i jasne dywany wskazywały, że używano tu elektryczności zamiast węgla, który pokrywał wszystko sadzą. Choć jasny, nie był biały jak tamten. Część ścian pomiędzy pokojami wyburzono, co dawało złudzenie przestrzeni. Harry i Gina chcieli go kupić, lecz właściciel nie zamierzał się go pozbywać. Dom należał do rodziny jego żony od początku dziewiętnastego wieku, wyjaśnił. Nie mieszkali w nim teraz, bo było im za zimno, przenieśli się więc akurat na Florydę. Chcieli, by spokojna, szacowna rodzina opiekowała się ich cenną nieruchomością. Barringtonowie – profesor ze starej bostońskiej rodziny z żoną i jednym dzieckiem wydawali się idealni.

Harry powiedział Ginie, żeby się nie martwiła. Wprowadzą się tutaj i spokojnie poszukają domu do kupienia.

Wyjechali z Bellagrand na początku sierpnia, gdy było najbardziej duszno, ale w Bostonie było niewiele chłodniej. Na dodatek, powiedziała Gina do nieskorego do słuchania Harry’ego, najcieplejszy z oceanów nie znajdował się już po drugiej stronie drogi.

Powitanie Esther z Aleksandrem zamieniło się w jeden wielki łzawy uścisk. Esther płakała na powitanie tak długo jak Salvo na pożegnanie. Tak się cieszę, że tu jesteście, powtarzała zachwyconemu lecz skonfundowanemu malcowi. Zaproponowała, że zabierze Aleksandra do nowo kupionego letniego domu w Truro, by Harry i Gina mogli przez miesiąc w spokoju poszukać domu, kupić meble, złożyć dokumenty na Harvardzie, zdomowić się, poznać nowych przyjaciół, wynająć pomoc domową, nie martwiąc się przy tym, co zrobić z dzieckiem. „Zabierzemy go z Rosą na połów małży – powiedziała. – Rybacy z radością pokażą mu, jak to się robi”. Aleksander nie wiedział, co to takiego połów małży, ale mimo to był podekscytowany. Gina i Esther odnosiły się do siebie oficjalnie, jakby przed chwilą się poznały.

– Aleksandrze, miałam cię zabrać na lunch – powiedziała Esther, niosąc go do samochodu, gdzie czekał Clarence – ale jesteś bardzo ciężki. Czym oni cię karmią?

– Mama mówi, że jestem duży na swój wiek.

– Mama ma rację. Może dzisiaj obejdziemy się bez lunchu? Wyglądasz, jakbyś zjadł już bardzo dużo.

– Ciociu Esther, umieram z głodu. *Zio Salvo* zawsze daje mi dużo do jedzenia.

– Tak? No to będę musiała dawać ci jeszcze więcej. Czy dawał ci lody?

– Dwie gałki i piankę.

– Znam takie miejsce, gdzie dadzą ci trzy gałki, piankę i bitą śmietanę. Pojedźmy tam teraz. – Esther nie oglądała się, gdy jechali Mt. Vernon.

Gina i Harry spędzili cały miesiąc na kupowaniu mebli. Zostawili na Florydzie wszystko, nawet ulubiony stolik Harry’ego z malachitu i mozaikowy stół, który sam zrobił.

Zatrudnili pozbawionego uroku, lecz bardzo polecanego agenta od nieruchomości, który nie nosił jedwabnych garniturów i nie bawił się z małymi chłopcami, ale za to zabrał ich na poszukiwanie wystawionych na sprzedaż domów w okolicy. Były drogie i żaden nie był tak pięknie położony jak ten, który wynajęli. Postanowili zostać. Gina znalazła Aleksandrowi grupę do zabawy przy Byron Street, do której uczęszczały wszystkie dzieci w wieku przedszkolnym z Beacon Hill. Aleksandrowi dobrze robi zabawa z innymi dziećmi, a ona będzie się mogła zaprzyjaźnić z ich matkami.

Jednak we wrześniu, kiedy zaczęła go tam zaprowadzać, odkryła, że dzieci są przyprawiane nie przez matki, lecz przez niańki. Matki były na recitalach i spotkaniach w konserwatorium, zbierały fundusze na lunchach, kupowały dzieła sztuki dla bostońskiego muzeum i otwierały oddziały szpitali. Gina chciała się zaprzyjaźnić, ale wiedziała, że nawiązywanie stosunków towarzyskich z niańkami nie jest właściwe. Sprawdziła, co się dzieje z jej dawną przyjaciółką Verity, i ku swemu rozczarowaniu dowiedziała się, że Verity wróciła do Lawrence z mężem i siedmiorgiem dzieci. Siedmiorgiem! To więcej niż drużyna siatkówki. Gina nadal zamierzała ją odwiedzić.

Kilka domów dalej przy Louisburg Square mieszkała piękna, pełna życia kobieta o imieniu Meredith, żona finansisty i matka dwojga dzieci, w tym chłopczyka w wieku Aleksandra. Była potencjalną kandydatką na przyjaciółkę i Gina zapragnęła nawiązać znajomość z tą stylową i dobrze ustosunkowaną kobietą. Wyglądało na to, że jest świetnie zorientowana w zawiłościach kalendarza towarzyskiego i obowiązkach żony z Beacon Hill.

Meredith od razu poradziła Ginie, by najęła nianię na pełny etat, bez której – twierdziła – o wiele trudniej trzymać się ustalonego porządku dnia. Duże pieniądze trzeba wydawać, by Boston stawał się bardziej nowoczesny, odczytany, postępowy. Koncerty i wystawne kolacje same się nie zorganizują. Gina ignorowała główną radę Meredith, dopóki mogła, zmieniając temat, a nawet zbywając ją śmiechem.

– Jesteś taka zabawna – mawiała.

– Ale ja wcale nie próbuję być zabawna, Jane – odpowiadała Meredith.

– Wiem. Dlatego właśnie jesteś.

Gina zaproponowała zajęcia, w których mogłyby uczestniczyć razem z dziećmi, na przykład spacer w ogrodach publicznych lub wyprawę do Freedom Docks, których część zamieniono na muzeum imigrantów. Meredith zastanawiała się przez chwilę.

– Chodzi ci o nas dwie, dzieci i nianię?

– Myślałam, że bez niani.

– Bez niani? A jeśli dzieci będą czegoś potrzebować?

Gina przestąpiła z nogi na nogę w drzwiach domu Meredith.

– A czego mogą potrzebować? Lodów?

– No nie wiem. Ale wiem, że zawsze czegoś potrzebują, bo Gemma stale im coś przynosi.

Gina pociągnęła ją za rękaw.

– No chodź. Popołudnie jest takie piękne.

Aleksander stał prawie cichutko przy boku Giny, trzymając piłkę, i od czasu do czasu szeptał:

– Mamo, chodźmy, mammo chodźmy, chodźmy, chodźmy... MAMOOOO.

– Kochanie – powiedziała Meredith, obrzucając pełnym dezaprobaty spojrzeniem matkę i syna – naprawdę musisz zatrudnić nianię. To ci bardzo ułatwi życie.

– Moje życie wcale nie jest trudne – odparła Gina. – Cały czas bawię się z synkiem.

– O to właśnie mi chodzi. – Meredith uniosła idealne brwi.

Miesiąc zabrało Ginie przekonanie Meredith, by wybrały się razem na „szybki” spacer po ogrodach publicznych, wciśnięty z trudem między koktajl przed operą. Gina i Harry też otrzymali zaproszenie, lecz grzecznie je odrzucili.

– Dlaczego idziemy do ogrodów publicznych? – jęczała Meredith. – Dziś nie jest niedziela. Wtedy wszystkie matki spacerują tam z dziećmi po kościele i drugim śniadaniu.

– W niedzielę też możemy iść – zgodziła się Gina. – Ale dziś Aleksander i Walter chcą pograć w piłkę.

– Kochanie, nie mów mi, proszę, że nadal nie skorzystałaś z mojej rady, by kogoś zatrudnić. Dobra pomoc to jedna z wykładni szanowanego domu.

– Mam gospodynię, jeśli o to ci chodzi. Jest bardzo dobra.

– Nie o to mi chodzi – odparła Meredith, podążając wzrokiem za Aleksandrem, który biegł przodem z Walterem i jego malutką siostrą Mabel.

Gina skinęła głową.

– Problem polega na tym – powiedziała – że dużo czasu upłynęło, zanim urodziłam moje jedyne dziecko, i nie chcę, żeby zajmował się nim ktoś inny. Sama chcę się nim zajmować.

– Ale tak się nie robi, kochanie – przekonywała Meredith. – Po prostu się nie robi. Skąd ty jesteś?

– Z Sycylii.

– Z Sycylii? Naprawdę? Musisz powiedzieć Edwardowi. Będzie zafascynowany. Studiował afrykańskie kultury w Brown. Z rozkoszą z tobą o tym porozmawia. Kiedy możemy się umówić na kolację?

– Czasami siostra Harry’ego zabiera Aleksandra na weekend. Może wtedy?

Harry uznał, że Edward jest strasznym nudziarzem, i nie spotykali się we czwórkę tak często, jak pragnęłaby Gina.

Wielka szkoda, bo Gina naprawdę chciała się z nimi zaprzyjaźnić.

Harry próbował sprawić, by poczuła się lepiej.

– Co ci mogę powiedzieć? Może ona mogłaby znaleźć bardziej błyskotliwego męża.

Jeśli usłyszysz jeszcze choć słowo o wypychaniu gazeli, sam go wypcham. A ty zatrudnij nianię i będziesz pasować idealnie. Panie domu nie gotują same posiłków.

– Ani nie opiekują się dziećmi.

Harry wzruszał ramionami.

– Na Florydzie stale denerwowałaś Emilia, płacząc mu się pod nogami w jego kuchni.

– Chciałaś powiedzieć mojej kuchni.

– Podchodził do tego z humorem. Ale tutaj tak się nie robi. Najpierw złączą plotkować gospodynie. Potem panie domu. A na koniec mężczyźni złączą plotkować na mój temat.

– To lepsze niż kolejne opowieści o antylopach.

Harry zaśmiał się i mocno ją objął.

– Masz rację. Ale czy naprawdę chcesz się spotykać z ludźmi, którym przy koktajlach potrzebna jest lekcja geografii? Stale próbujesz im wytłumaczyć, że Sycylia nie jest częścią Afryki. Jakoś nie mogą tego pojąć.

– Może to kwestia bariery językowej – odparła Gina. – Jak przy budowie wieży Babel.

Podczas gdy Gina organizowała swoje nowe życie, Harry organizował swoje. Długo trwało, zanim zgłosił się na Harvard, by kontynuować doktorat. Przyjechali za późno, by mógł uczęszczać na semestr jesienny, ale planował zacząć naukę wiosną, a na razie szukał tematu.

Podczas ich pierwszej jesieni w Bostonie był spokojny i szczęśliwy, z wyjątkiem jednego poranka w październiku 1922 roku, gdy wściekał się bardziej niż zwykle podczas lektury porannej gazety.

– Widziałaś, jak ją potraktowali? – powiedział. – To karygodne. Po prostu karygodne.

– Kogo?

– Myślałem, że czytałaś gazetę.

Gina zwykle wstawiała przed Harrym i przeglądała gazetę, gdy robiła śniadanie i szykowała się do nowego dnia.

– Najwyraźniej nie dość uważnie. Co się stało?

Harry zde gustowany rzucił gazetę i poszedł na górę. Gina przebiegła wzrokiem przez pierwsze strony. Nic tam nie znalazła, ale w sekcji kulturalnej zamieszczono krótki artykuł o występie tancerki Isadory Duncan w bostońskim teatrze. Burmistrz Bostonu zakazał jej dalszych występów w mieście po tym, jak obnażyła piersi przed publicznością i wykrzyknęła: „Życie tutaj nie jest prawdziwe!”.

Chodziło o coś jeszcze. Isadora powiewała nad głową czerwonym szalikiem i oświadczyła, że czerwony to kolor życia i wigoru. „Jest czerwony – krzyknęła. – I ja też”.

– Myślisz, że burmistrz zachowuje się nierozsądnie? – zapytała Gina Harry’ego, gdy zszedł na dół.

– Nierozsądnie? Jest wstrętny. Gdzie jest Aleksander? Jadę do Athenaeum. Chcę się z nim pożegnać.

– Jeszcze śpi. Możesz iść go obudzić. – Przyjrzała się uważnie mężowi. – Nie wiedziałam, że jesteś takim wielbicielem Isadory. Powinniśmy byli pójść na jej występ.

– Nie jestem jej wielbicielem. Poza tym bilety były wyprzedane. Ale ona przyjeżdża do naszego miasta na występy, a władze traktują ją z pogardą.

Gina zamieszała kawę.

– Ona jest teraz obywatelką Rosji?

– A co to ma do rzeczy? Burmistrz sieje panikę.

– Może. Ale co cię to obchodzi?

– Nic. Uważam tylko, że to karygodne. – Pochylił się, by ją pocałować. – Pójdę go obudzić. Obiecałem mu, że pogram z nim potem w piłkę. Gdzie będziecie?

– Nigdzie. – Zawiesiła głos. – Myślałam, żeby pojechać do Lawrence odwiedzić Verity. Roześmiał się.

– Dobrze, ale gdybyś jednak nie pojechała, gdzie mogę was znaleźć? Czuję, że jestem bliski wyboru nowego tematu. Chcę zagrać z Aleksandrem, ale nie mogę się też doczekać, by z tobą o tym porozmawiać.

Harry przez blisko rok podejmował decyzję w sprawie doktoratu. Nie mógł znaleźć tematu godnego zainteresowania. Codziennie rano wychodził z domu elegancko ubrany, jakby pracował w banku, i szedł do Athenaeum obok ratusza, w którym wzięli ślub. Athenaeum było najstarszą biblioteką w Stanach Zjednoczonych, z której korzystać mogli tylko członkowie. Dostęp do jej zbiorów był jednym z przywilejów członkostwa w elitarnym Klubie Beacon Hill. Harry uwielbiał chodzić do Athenaeum nie tylko dlatego, że zbiory były prywatne, lecz z powodu bogactwa materiałów źródłowych. Powiedział, że nigdy w życiu nie pracował tak ciężko. Spędzał tam całe dni. Początkowo chciał wybrać temat związany z rosyjską literaturą bądź poezją, lecz Gina go od tego odwiodła. Uważała, że powinien się trzymać z dala od wszystkiego, co rosyjskie. Zasugerowała, że Kenneth Fermer, kurator Harry'ego, na pewno by tego nie zaaprobował. Harry podzielał jej opinię.

Kiedy jesień i wiosna minęły na studiowaniu, czytaniu, poszukiwaniu tematu i rozmowach z Giną o planach i przyszła pora, by złożyć papiery na Harvardzie, Harry zrezygnował. Tydzień czy dwa później wyznał Ginie, że nie czułby się tam komfortowo. Planował zrobić doktorat na innym uniwersytecie.

Gina była zaskoczona.

– Myślałam, że chodzi właśnie o to, by studiować na Harvardzie, twojej Alma Mater. Czy nie tak mówiłeś w Jupiter?

– O to właśnie chodzi – odparł. – To jest właśnie ta część, która nie sprawia mi już przyjemności. Nie wiedziałem, że będę to odczuwał, ale mam zbyt wiele złych wspomnień. Wciąż pamiętam, jak podle potraktowano mnie na wydziale ekonomii, jak niemili byli moi rówieśnicy, których uważałem za przyjaciół, i studenci. Ich poczucie przynależności równe jest tylko ich arogancji. Nie odpowiada mi pomysł, by tam wrócić. – Wzruszył ramionami. – Żyć tam i uczyć się. Szczerze mówiąc, uważam to miejsce za odrażające. Mam nadzieję, że moja noga już nigdy nie postanie w tym kampusie.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Milczała.

– To żaden problem, Gia. Wolno mi iść na inny uniwersytet, gdy mam nad sobą nadzór kuratora.

– Nic nie mówiłam.

– Chcę się tylko znaleźć w innym intelektualnym otoczeniu. Poznać nowych przyjaciół, cieszyć się szacunkiem. Zacząć od nowa. Wyjaśnię wszystko z Fermerem. Jestem pewien, że bez problemu mogę pojechać do Bedford.

– Co jest w Bedford?

– Tufts.

– Tam chcesz jechać?

– Bardzo. Uniwersytet cieszy się znakomitą reputacją.

Gina próbowała obliczyć odległość.

– To chyba za daleko.

– Za daleko skąd? Tam jest bliżej niż do Barrington.

– Nie jeździsz do Barrington.

Nie był tam ani razu od powrotu do Bostonu.

– Nawet bliżej niż do Lawrence.

Nie była tam ani razu od powrotu do Bostonu.

– Będę jeździł samochodem. Nie będzie źle. Nie będę znikał na długo. Postaram się nie mieć zbyt wielu seminariów wieczorem.

– Zbyt wielu? Może żadnego? Poza tym nie mamy samochodu.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– No to będziemy musieli kupić.

Harry złożył podanie do Tufts i został przyjęty. Nadzór sądowy kończył się na początku 1924 roku, rok wcześniej. Harry bardzo się z tego cieszył. Nic nie łączyło go z Kenem Fermerem, starszym panem pracującym w tym zawodzie od czterdziestu lat. Harry często mówił, jak bardzo tęskni za Margaret Janke.

– Bo tego właśnie pragniesz – powiedziała Gina. – Bliskich stosunków ze swoimi strażnikami.

Ale tak naprawdę myślała tylko o jednym: przy całym bogactwie życia na Florydzie Harry tęsknił tylko za Margaret Janke.

Kupili elegancki samochód, drogiego czarnego mercedesa. Musieli wynająć dla niego miejsce, bo w Bostonie było teraz tyle samochodów, że na ulicach brakowało miejsc do parkowania. Znaleźli wozownię, w której przed zaledwie dwudziestu laty bogaci bostończycy trzymali swoje konie.

2

Boston był niezwykłym miastem. Gina zawsze wyjątkowo go lubiła. Mieszkanie w mieście – ze sklepami, chodnikami, parkami i ludźmi – składało się na inne życie niż codzienne oglądanie wyłącznie wody i nieba, palm i żab, namorzynów i omszałych dębów, łodzi i orchidei. Nie było lepsze. Było inne.

W Bostonie lubiła ubierać elegancko rodzinę i spacerować w niedzielne popołudnie w ogrodach publicznych, kiedy zjawiali się tam wszyscy z dziećmi i parasolkami, uśmiechali się, kiwali głowami, gawędzili przyjaźnie. Straganiarze sprzedawali lody i napoje na Charles Street, a w hotelu Park Avenue podawano świetny niedzielny brunch. Gina prawie nie tęskniła za Emiliem i jego przyziemnymi daniami. Aleksander biegł zwykle przodem, a oni szli pod rękę. Harry co pięć minut uchylał kapelusza, a Gina kiwała

głową i uśmiechała się.

– Jesteśmy tak dobrze wyszkoleni – rzucił Harry.

– Jak marionetki – odparła Gina. – Kapelusz, skinienie, uśmiech, idziemy dalej, kapelusz, skinienie, uśmiech.

– I krzyczymy: Aleksandrze, nie za daleko!

– Aleksandrze, nie za daleko!

Kapelusz, skinienie, uśmiech.

Jedyną rzeczą, co do której nie mogli się porozumieć, był wybór kościoła. W Tequeście był tylko katolicki, ale Harry i tak nie mógł opuszczać domu nawet na cotygodniową mszę, zatem nie było istotne, czego chciał, bo co niedziela Gina zabierała Aleksandra z Fernandem i często skacowanego, lecz skruszzonego Salva do kościoła St. Domingo Ibanez. Ale w Bostonie jedyną katolicką świątynią, do której chciała chodzić, był kościół Świętego Leonarda w North End, a Harry nie zamierzał jej towarzyszyć. Powiedział, że jeśli w ogóle ma chodzić do kościoła, to będzie uczęszczał do kościoła kongregacjonalistów przy Park Avenue. Gina spróbowała. Raz. Ale całe nabożeństwo, od początku do końca bez komunii, było jej obce.

– Dlaczego nie odmawiają Ojcze nasz? – zapytała Harry’ego, gdy wychodzili.

– Nie wiem.

– Dziwne, że nie odmawiają Modlitwy Pańskiej.

– Powiedziałem, że nie wiem dlaczego.

– Tak, powiedziałaś. Ale dlaczego nie było komunii?

– Nie robią tego.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem.

– Tak, mówiłaś.

Tak więc w każdą niedzielę Harry zostawał w domu i nadrabiał zaległości w pracy, a Gina zabierała Aleksandra do Świętego Leonarda.

Czasami w niedzielne popołudnia przyjeżdżała Esther, by zjeść z nimi kolację. Była uprzejma, komplementowała dom i meble, jadła jak ptaszek, lecz chwaliła wszystkie włoskie potrawy, które stawiała przed nią Gina, bawiła się z Aleksandrem, zabierała go do parku, rozmawiała z bratem i wychodziła, zanim Aleksander położył się spać. Kulturalna i obojętna. Gina i Harry ani razu nie pojechali do Barrington, by zjeść kolację w domu jego ojca, który teraz należał do Esther.

Gina zapytała Harry’ego, dlaczego tam nie jeżdżą, a on odparł, że wygodniej jest, gdy to Esther przyjeżdża do nich, z czym Gina nie mogła się spierać, ale nie była to odpowiedź na jej pytanie. Naciskany Harry przyznał, że nie czuje się już dobrze w Barrington. Przestała więc naciskać i nie jeździli. Co drugi piątek po południu Clarence przywoził Esther do Bostonu i zabierali Aleksandra na weekend do Barrington.

Gina i Harry mieli więc trochę czasu dla siebie. Mogli się elegancko ubrać i pójść potańczyć, posłuchać jazzu, zjeść kolację w jednym z domów nowych przyjaciół. Tańce były bardzo przyjemne, o wiele bardziej niż kolacje, które Gina uznała za uciążliwe, choć nie do końca wiedziała dlaczego. Planując wieczorne wyjścia, chodziła wcześniej na zakupy na Newbury Street, gdzie kupowała piękne suknie, jedwabne spódnice, zamszowe czółenka,

kapelusze z krepy i białe rękawiczki. Farbowała i elegancko upinała lekko siwiejące niesforne włosy. Ubrani wieczorowo szli z Harrym do Meredith i Edwarda, na kolację z Barnabym, który niedawno stracił żonę z powodu niewyjaśnionej choroby i bardzo potrzebował towarzystwa, lub do Williama i Nancy, uroczej młodej pary, która mieszkała w domu z oknami wychodzącymi na Common przy Beacon Street, gdzie mieszkali królowie i ambasadorowie. Gina lubiła do nich chodzić, choć w drodze powrotnej musiała wdrapywać się na wzgórze.

Spotkania i kolacje w elegancko urządzonych domach były w rzeczywistości mniej udane niż w wyobrażeniach. Problemem był Harry, który zachowywał się jak ponurak. Gdy wszyscy goście rozmawiali z ożywieniem o bibliotekach, parkach, jesiennych kiermaszach, o przemyśle i gospodarce, polityce i giełdzie, o tym kto, ile, gdzie, co jest dobre i dlaczego, i co będzie dobre za dwa miesiące, Harry siedział sztywno z kieliszkiem wina w dłoni. Kiedy mężczyźni pytali go przy stole, co sądzi o rosnącej wartości nieruchomości, cenach farm, nadprodukcji fabryk, nagłej śmierci Hardinga, wygranej Coolidge'a w wyborach prezydenckich lub wojnie domowej w Rosji, mamrotał – dosłownie mamrotał – jakąś banalną odpowiedź i odbijał piłeczkę do pytającego. Nie spierał się, nie oponował, nie angażował. Nie był już sprzeciwiaczem, lecz meblem. Jego brak zaangażowania czasami doprowadzał do kłótni, która na zakończenie wieczoru zastępowała upojoną alkoholem miłość.

– Powodem kłótni większości par po wieczorze spędzonym na pijaństwie jest zazdrość – powiedział pewnego późnego wieczoru, gdy zasapani wspinali się stromą Charles Street i Gina prowokowała go do sprzeczki. – U nas nie.

– Ja się nie kłócę. Chcę zrozumieć.

– A czego nie rozumiesz? Nie interesują mnie rzeczy, o których rozmawiają. Nie mam zdania.

– Ale, kochanie, dziś wieczór Edward zamiast snuć nieśmiertelne opowieści o sawannach poruszył sprawę niedawnego procesu Scopesa i poglądów Williama Jenningsa Bryana. Uwielbiasz ten temat.

– Przesadzasz. Wzbudził moje zainteresowanie na pięć minut, gdy Scopesa po raz pierwszy aresztowano.

– Zastanawiałeś się, czy nie pójść na seminarium z tym związane. A jednak nic nie powiedziałaś.

– Dziś wieczór nie miałem nic do powiedzenia na ten temat. Bryan i Darrow rzucili się na siebie w sądzie jak śmiertelni wrogowie. Tego wszyscy oczekiwaliśmy. Bryan dał z siebie wszystko i pięć dni później umarł na wylew krwi do mózgu. Wspaniałe oratorskie umiejętności Darrowa nie wystarczyły. Scopes i tak został skazany w sądzie kapturowym. Kazali mu zapłacić grzywnę stu dolarów. O czym tu dyskutować?

– Mogłeś to wszystko powiedzieć.

– Po co? Dla nich Darrow jest bohaterem.

– Myślałam, że lubisz przekonywać tych, którzy się z tobą nie zgadzają, żeby w końcu przyjęli twój punkt widzenia?

– Nie obchodzi mnie już, co myślą ani w co wierzą inni.

I tyle. W jego niechęci do rozmowy ze znajomymi dało się wyczuć nutę wyższości.

Zupełnie jakby uważał ich za spierające się mrówki.

– W zeszłym tygodniu Meredith wspomniała o skandalu Teapot Dome – powiedziała Gina. – A wiem, jak lubisz dyskutować o łapówkach i spiskach w najwyższych kręgach spółek naftowych.

– Nie w zeszłym tygodniu – odparł. – I nie z kobietą. Czy mam się kłócić z panią domu przy kolacji, którą przygotował dla mnie jej miły kucharz? To nie w moim stylu.

– Rozumiem. Ale Barnaby, który tak bardzo chce być twoim przyjacielem, rozpaczliwie pragnął wciągnąć cię do dyskusji o nowym modelu chryslera za tysiąc pięćset dolarów, który mógłby ci się spodobać, i o zmniejszeniu liczby godzin pracy w U.S. Steel, a ty...

– Nie dałem się wciągnąć? – Harry kiwnął głową. – Nie jestem zainteresowany. Studiuję inne tematy na Tufts. Moja praca dotyczy bitwy pod Termopilami.

– Wiem. – Zawiesiła głos. W tej sprawie też miała coś do powiedzenia. – To nie są inne tematy. Są metaforycznie powiązane.

– Tylko dla ciebie. Mnie interesuje historia.

– Nawiasem mówiąc, jak ci idzie? – Wydawało się, że pisze pracę od lat, a nadal nie była gotowa.

– Idzie. – Wzruszył ramionami. – Powoli. Staram się pisać jak najlepiej. Temat jest złożony. Mówiłem ci o tych niesamowitych słowach, które grecki król Leonidas powiedział do Kserksesa przy wejściu do wąwozu, gdy Persowie domagali się, by Spartanie złożyli broń?

– Mówiłeś – odparła Gina. – Leonidas powiedział: Weźcie ją sami.

– Niewiarygodne, prawda?

– Wiesz, co jest niewiarygodne? – Była poirytowana do granic możliwości. – Że człowiek, który poświęcił dwadzieścia lat życia na sprzeciwianie się jakimkolwiek działaniom militarnym, a nawet poszedł do więzienia za swoje przekonania i był najbliższym gołąbkim Wilsona, pisze pracę doktorską o najbardziej krwawej, najbardziej brutalnej bitwie w historii.

– Interesuje mnie wiele rzeczy – odparł. Znów ta wyniosłość. – Dlaczego cię to dziwi?

– Tak, wiele. Ale nie Clarence Darrow, chrysler, a nawet Theodore Dreiser.

– Inne rzeczy.

Czy tylko sobie wyobrażała, że Harry wycofał się z ich codziennego życia? Tak dużo studiował w domu i w Athenaeum, czytał, pisał, mruczał pod nosem, jeździł na uniwersytet i z powrotem, był zajęty, bardzo zajęty wszystkim, tylko nie nią.

Szkarłatne kwiaty namiętności rosną na tej samej łące co maki zapomnienia.

Kto to powiedział? Znów ten mędrzec Oscar Wilde?

Zamilkli i dalej wspinali się w stronę Mt. Vernon.

Tak, Boston jest cudownym miastem. Ma w nadmiarze wszystko, co powinno mieć miasto. Można po nim chodzić piechotą, co oznacza, że jest przytulne, mimo że jest duże. Jest technologicznie rozwinięte. Piękne. Leży nad potężnym oceanem i na brzegach krętej, niezbyt szerokiej rzeki. Ma uniwersytety, biblioteki i parki. Ma piękne sklepy i nocne życie, restauracje i operę. Mieszkają w nim piękni, bogaci ludzie, wrażliwi i uprzejmi, dobrze ubrani i dobrze wychowani.

Gina nie chciała by mieszkać w żadnym innym mieście. A mieszka w najpiękniejszej

części Bostonu, na wzgórzu, z którego rozciąga się widok na park i panorama miasta. Wiatr przynosi słony zapach pobliskiego oceanu. Czy mogłoby być lepiej? Ubiera się elegancko, jak dama, i wszyscy to widzą. Jej syn jest niezwykły i wszyscy też to widzą i podziwiają Ginę. Musi być wspaniałą matką i zdolną kobietą, skoro ma takiego wysokiego, przystojnego, dobrze wychowanego syna. Wielkość Aleksandra jest chwałą Giny.

Jej mąż jest erudyta, jest sympatyczny (w większości wypadków) i studiuje (studiuje, studiuje), by zostać doktorem, a potem najbardziej szanowanym z szanowanych, czyli profesorem. Po latach harówki Gina nie musi pracować. To wielkie błogosławieństwo. Wstępuje do klubu czytelniczego, klubu rodziców, komitetu zajmującego się oranżerią w parku. Zostaje członkinią Córek Bostonu, zbiera fundusze na wszystkie słuszne działania. Jest wolontariuszką w Bibliotece Bostońskiej przy Copley Square. Kupuje maszynę do szycia i szyje sukienki i spódnice, które przekazuje lokalnemu oddziałowi misji świętego Wincentego. Jak wcześniej w Lawrence praca w misji powoli zaczyna ją przytłaczać, bo przecież jest tyle do zrobienia. Ale daje radę. Wszędzie zabiera ze sobą Aleksandra. Rozstają się tylko wtedy, gdy chłopiec jest w szkole lub gdy Harry gra z nim w piłkę w parku.

Wbrew jej obawom Aleksander nie ucierpiał na przeprowadzce. Rozkwitł. Uwielbia spędzać weekendy z ciotką, w Barrington ma nowych przyjaciół: Teddy'ego i Belinę. Esther żartuje, że ma problemy, by ściągnąć go na podwieczorek, bo we trójkę stale buszują na podwórku, w lesie, nad strumieniem. Przez jej twarz przebiega wtedy cień, jakby chciała dodać „jak Harry i Ben”, ale oczywiście tego nie robi. Poza tym Harry'ego już dawno nie ma, zniknął w innym pokoju.

Gina czyta, gotuje, robi zakupy i sprząta. Kiedy Aleksander jest na tyle duży, że zaczyna chodzić do przedszkola, ona znajduje sobie zawsze jakieś zajęcie do czasu, gdy trzeba go odebrać. Gdy chłopiec zaczyna uczęszczać do szkoły podstawowej Park Street przy Brimmer Street, ona odprowadza go tam każdego ranka, trzymając za rękę, a potem zajmuje się czymś do czasu, gdy trzeba go odebrać. Poświęca się cała dbaniu o dom i wychowywaniu dziecka, jest dobrą i kochającą żoną. Gdyby ktoś poprosił, żeby opisała samą siebie, powiedziała by bez chwili zastanowienia: Jestem Jane Barrington i jestem matką Aleksandra.

Ale jest także żoną Harry'ego.

Wojna domowa w Rosji skończyła się, powstał Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, Lenin umarł na wylew krwi do mózgu, wszyscy szaleją za *Wielkim Gatsbyem*.

Aleksander ma cztery, pięć, sześć strzelb z patyków, żaby to bomby, piłki to pociski. Wszystko, co trzyma w rękach, zamienia w broń.

1923, 1924, 1925. Lata mijają jak sekundy.

Dlaczego słowa Isadory Duncan nawiedzają ją w najdziwniejszych momentach? Dlaczego Gina pamięta tę szczególną kobietę, sensualistkę, która straciła dzieci w tragicznym wypadku, tańczyła zapamiętałe w Bostonie podczas ostatniego tournée po Stanach Zjednoczonych, wyszła za mąż za Siergieja Jesienina, rosyjskiego poetę młodszego od niej o osiemnaście lat, który porzucił ją, a potem się powiesił? „Życie tutaj nie jest prawdziwe!”.

„Żegnaj, przyjacielu, do widzenia. Śmierć to rzecz nie nowa, a i życie samo – to nic

nowego”[18], napisał Jesienin własną krwią przed śmiercią.
Życie tutaj nie jest prawdziwe.

18 Przeł. Tadeusz Mongird.

Rozdział szesnasty

Fort Wagner

I

– Aleksandrze, czy opowiadałam ci historię człowieka o nazwisku Samuel Sebastian?

– Nie. Opowiedz teraz.

Spacerowali po ogrodach publicznych. Było lato 1926 roku. Aleksander pozwolił, by matka wzięła go za rękę. W wieku siedmiu lat był jeszcze na tyle mały, by nie czuć skrępowania. Gina miała na głowie duży biały kapelusz z fioletową jedwabną wstążką, Aleksander – lekką czapkę, przy której jego włosy wyglądały na prawie czarne. Może zdążą zjeść lody, zanim Gina będzie musiała wracać, by zająć się kolacją.

– Samuel urodził się we Włoszech.

– Tak jak ty.

– Tak. Ale w Toskanii.

– To nie jak ty.

– Zgadza się. W Toskanii jego rodzina uprawiała winogrona i robiła wino. Przyjechał do Ameryki, gdy miał osiemnaście lat. Był bez grosza.

– To też nie tak jak ty. Ty miałeś czternaście lat.

– Tak. Samuel pojechał do San Francisco.

– To nie jak...

– Aleksandrze. – Gina czułym gestem położyła mu dłoń na ramieniu. – Nie musisz wskazywać na każdą różnicę pomiędzy historią moją a Samuela. To nie jest gra w wyszukiwanie różnic. To gra w słuchanie.

– A jak się w to gra?

– Ja mówię, ty słuchasz.

– Ojej.

– Na czym skończyłam?

– Był bez grosza w San Francisco.

– Właśnie. Pracował przez trzy lata w kamieniołomie w Sonomie, gdzie ciął kostkę brukową.

Aleksander podniósł rękę.

– Nie musisz podnosić ręki, *mio figlio*. O co chodzi?

– Co to kamieniołom?

Gina zwalczyła pokusę, by w miejscu publicznym obsypać jego twarz pocałunkami.

– To wielka, pełna kurzu dziura w ziemi, w której się kopie, by wydobywać skały i kamienie.

– Ojej.

Jak kamieniołom granitu, do którego pojechaliśmy z twoim ojcem i zostaliśmy tam sami na pięć minut; ja w lekkiej różowej sukience, on w garniturze, mieliśmy całe życie przed sobą, czuliśmy się szczęśliwsi, niż mieliśmy do tego prawo, i nie chcieliśmy nic więcej, niż tylko być razem.

– W tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku – ciągnęła po króciutkiej przerwie – Samuel kupił wóz z czterema końmi, załadował go brukiem i pojechał do San Francisco. Tak zaczął dostarczać do miasta bardzo potrzebny budulec. Minęło kilka lat. Zarobił mnóstwo pieniędzy. Dość, by kupić kamieniołom.

– Musiał być bogaty.

Skinęła głową.

– Oszczędzał każdego centa. Dobrze sobie radził. Kamienie z jego kamieniołomu wykorzystano do budowy ratusza w Sonomie.

– Co to ratusz?

Wskazała na lśniącą złotą kopułę na szczycie Beacon Hill.

– To jest nasz ratusz. Wielki budynek rządowy. Nawiasem mówiąc, tam wzięliśmy z tatą ślub. Nieważne. W tysiąc dziewięćset czwartym roku Samuel zaoszczędził dość pieniędzy, by kupić ziemię pod winnicę. Kupował i kupował, sadił i sadił, jak jego rodzina w Toskanii. Z winogron robił wino. Stworzył Dolinę Sonoma, gdzie narodził się amerykański przemysł winiarski.

Aleksander milczał. Gina czekała.

– No i?

– Wzięliście z tatą ślub w budynku rządowym?

– *Madre di Dio!* Tylko tyle masz do powiedzenia?

– A co to wino?

– Coś, czego dorośli nie mogą już pić. To pyszny napój dla dorosłych.

– Dlaczego nie możesz go pić?

Gina się uśmiechnęła.

– Jeśli wypijesz za dużo, miesza ci się w głowie. Nasz rząd postanowił, że do tego nie dopuści. Wino jest zakazane.

– Co to wino zakazane?

Gina się roześmiała.

– Mamo... – Aleksander zmarszczył brwi. – Co to ma wspólnego ze mną?

– Każda historia ma coś wspólnego z tobą.

– Stale to powtarzasz. Ale co ma ta?

– Pomyśl i sam mi powiedz.

Zastanowił się.

– Nigdy nie chcę się żenić, fuj, ale jeśli już, to chcę wziąć ślub w kościele jak ciocia

Esther.

Poirytowana Gina pokręciła głową.

– Nie, *cuore mio*. Samuel jest człowiekiem, jakim chcę, żebyś ty był. Jeśli dobry Bóg daje ci pięć kamieni, zrób z nich dziesięć. Jeśli daje ci pięćdziesiąt, zrób sto. Daje ci jeden? Zrób dwa. Pracuj jak Samuel. Zamieniaj swoje kamienie w wino, Aleksandrze. Rozumiesz?

– Chcesz, żebym kopał kamienie?

– Nie...

– Jeździł wozem?

– Nie.

– Robił wino z koni?

– Nie... – Słońce świeciło jej prosto na głowę. – Dlaczego musisz być taki dosłowny?

– Co to znaczy dosłowny?

Zamilkli oboje. Po drugiej stronie Charles Street na Common usłyszeli daleki grzmiący głos. Pczekali, aż przejadą samochody i przeszli przez ulicę. Na trawniku zgromadził się tłum.

Ale ten głos! Brzmiał niepokojąco znajomo. Serce Giny przeszły sztylet. Podeszli bliżej. Gina mocno ścisnęła syna za rękę.

– Nie bój się – powiedziała. – Są trochę hałaśliwi.

– Nie boję się – odparł spokojnie.

Przepychała się dalej, wspięła się na palce, próbowała zobaczyć mówcę.

– Brzmi zupełnie jak tato, prawda?

Gina mocniej ścisnęła go za rękę.

– Mamo, puść. Auć.

– Przepraszam.

Głos był taki mocny! Ale przecież Harry tak nie mówił. Był wyważony, zamyślony. Gina rzadko słyszała jego niemodulowany głos. A jednak teraz przemawiał publicznie. Nie zwracała uwagi na treść, gdy przepychała się przez tłum, szepcząc do starszych mężczyzn i młodych kobiet przepraszam, przepraszam, i ciągnąc za sobą Aleksandra.

Tłum chłonał słowa mówcy. Wszyscy wokół pokrzykiwali i klaskali. Ktoś zabuczał, wykrzyknął wulgarne słowo, ale wszyscy byli bardzo podekscytowani i rozgorączkowani.

Wreszcie Gina i Aleksander wyszli na wolne miejsce przed mówcą. To nie może być on, pomyślała Gina i zbladła. Cały jej świat w Beacon Hill zniknął, na jej oczach w jednej chwili zmyła go wielka fala.

– Niech ŻYJE proletariat, gdyż odnowi CAŁY świat! Niech ŻYJĄ pracujący mężczyźni i kobiety wszystkich krajów! Bo to siła ich RĄK buduje BOGACTWO narodów! Pracują, by tworzyć nowe ŻYCIE! Niech ŻYJE socjalizm, religia przyszłości! Pozdrawiam walczących, ROBOTNIKÓW wszystkich krajów! Miejcie wiarę w zwycięstwo PRAWDY, zwycięstwo SPRAWIEDLIWOŚCI! Niech ŻYJE ludzkość, połączona braterskimi więzami w imię wielkich ideałów równości i wolności!

– Spójrz, to tata – powiedział Aleksander.

Harry spojrzał na nich, gdy stanęli przed drewnianą skrzynką. Na chwilę tylko zawiesił głos. Mrugnął do Giny, mrugnął do Aleksandra i znów skupił całą uwagę na tłumie.

– Czemu tatuś tak krzyczy? – zapytał Aleksander.

– Nie wiem. – Ogarnęło ją lodowate odrętwienie. Zadrżała, wciąż ściskając rękę syna. – Nie jestem pewna, czy to tatuś.

– Tato! – zawołał Aleksander i pomachał do ojca.

Harry odmachął mu w odpowiedzi.

Aleksander odwrócił się do Giny.

– To tatuś.

Gina z powrotem przepchnęła się przez tłum i na drżących nogach ruszyła szybko w stronę domu. Głowę miała zupełnie pustą. W sercu też próżno było szukać uczuć. Zupełnie jakby ją znieczulono, ciało i duszę.

Aleksander zajął się czytaniem i próbował rozpalić ogień, pocierając dwa kamienie, które przyniósł do domu. Gina zaczęła gotować ravioli z sosem pesto.

Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły.

W kuchni stanął Harry. Pomyślała, że głos odmówi jej posłuszeństwa, sparaliżowany jak ciało. Ale tak się nie stało.

– Jak ci minął dzień na uniwersytecie, kochanie? – zapytała. – A praca doktorska? Jest już prawie gotowa?

Nie odezwał się.

Ona też milczała.

– Nie denerwuj się.

– Uważasz, że nie powinnam się denerwować?

– Tego nie powiedziałem. Proszę cię, żebyś się nie denerwowała.

– A nie powinnam?

– Tego nie powiedziałem.

– Nie mówisz dużo, Harry. Prawie jak niemowa. Co się stało? Dałeś już z siebie wszystko na skrzynce po jabłkach?

– Pamiętasz, co ci mówiłem o Oscarze Wildzie i kobietach z poczuciem humoru?

Wytarła ręce w ścierkę.

– Czy wyglądam, jakbym żartowała?

– Nie denerwuj się.

– Dobrze. Nie będę. To proste, prawda?

Zjedli kolację, jak zawsze we trójkę.

– Tatusiu, dlaczego krzychałeś dziś po południu?

– Nie krzychałem, synu. Tylko bardzo żarliwie mówiłem o rzeczach, w które wierzę.

Aleksander przełknął ravioli.

– Dla mnie to były krzyki.

– Może następnym razem pójdziesz ze mną. Potrzywasz mi notatki, pióro, teczkę z ulotkami.

– Kiedy? Bo w piątek jadę do cioci Esther.

Gina zerwała się z krzesła.

– *Tesoro*, jeśli skończyłeś jeść, idź do swojego pokoju i skończ czytać albo rozpaląc ogień. Proszę.

– Nie skończyłem jeść.

– Słyszę dużo gadania, ale nie widzę, by ktoś jadł – odparła Gina. Nie usiadła. Z trudem się hamowała.

Wreszcie po torturach sztucznej uprzejmości zostali na dole sami.

– Co ty wyprawiasz, Harry?

Drzwi do salonu były zamknięte, oni stali daleko od siebie oddzieleni długością kanapy. Gina nie wiedziała, gdzie podziąć wzrok. Nie mogła patrzeć na męża.

– To co zawsze.

– Myślałam, że skończyłeś z przekonywaniem innych – wydusiła z trudem. – Nie to mi mówiłeś?

– Skończyłem z przekonywaniem burżuazji, wśród której żyjemy – odparł. – Nie interesuje mnie podbicie ich serc i umysłów. W tym akurat zgadzam się z twoją Emmą: to, co inni uważają za sukces, zdobywanie bogactwa, władzy, pozycji społecznej, ja uważam za najbardziej fatalną porażkę.

Na jej twarzy musiało się ostro odmalować rozczarowanie, bo Harry cofnął się i stał przyciśnięty plecami do biblioteczki.

– Nie bądź zła, że nie możesz zmienić mnie w mężczyznę, jakim chciałabyś, żebym był. Nie potrafisz nawet sama zamienić się w kobietę, którą chciałabyś być.

– W tym także się mylisz – odparła. – Wiem, jaka chcę być. I taka się stałam. – Przełknęła ślinę, lecz czuła suchość w gardle. – Myślałam, że już z tym wszystkim skończyłeś.

– Dlaczego miałabyś tak myśleć?

– Bo tak mi powiedziałaś. Że to należy do przeszłości. Że to nic więcej, tylko głupota młodości.

– Tym to było dla ciebie? Głupotą? – Teraz on wyglądał na rozczarowanego.

– Nie. To była młodość. – Tytanicznym wysiłkiem powstrzymywała się, by nie rzucić w niego pustym kieliszkiem, który trzymała w ręce. Pomachała rękami przez wielkie nieznane do wielkiej przeszłości. Większość rzeczy we wszechświecie przekraczała zupełnie jej zrozumienie. – Od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, kiedy twój ojciec ocalił cię przed dziesięcioma latami w więzieniu – powiedziała – obiecywałeś nam wszystkim, że skończyłeś z rzeczami, które cię tam zaprowadziły.

– I uwierzyłaś mi?

– Tak. Ale twój ojciec nie. Przed nim nie mogłeś tego ukryć. Wiedział! Przez cały czas. Próbował mnie ostrzec. Ale nie słuchałam. Powiedz mi, czy kiedykolwiek planowałeś pokazać mi twarz, którą ukrywałeś?

Harry zastanowił się albo tylko udawał.

– Nie wiem – przyznał. – Byłaś taka szczęśliwa. Nie chciałem tego niszczyć.

– Niszczyć – powtórzyła. – A co mnie tak uszczęśliwiało? Oszustwo?

– Ja. I nie oszukiwałem cię. Byłaś zadowolona, mogąc odwracać wzrok.

– Nie miałam o niczym pojęcia – powiedziała zniechęcona. – To nie to samo. Nie odwracałam wzroku. – Ale nawet teraz nie mogła na niego spojrzeć.

– Możliwe – mruknął, jakby w to nie wierzył. Jakby nie wierzył nawet w to, że tak dobrze wszystko ukrywał. Jakby chciał ją skarcić, że nie zwracała większej uwagi. Podszedł do niej. Stała pokonana z opuszczonymi ramionami. Ujął jej dłonie w swoje. – Gia... posłuchaj – szepnął. – Idealiści tacy jak my, którzy przestali wierzyć w Boga, szukają innego sposobu, by stworzyć niebo na ziemi, z ludzi uczynić anioły, altruistyczne, ciężko pracujące, mądre, silne.

Wyrwała dłonie z jego uścisku.

– Nie pasuję do twojego modelu idealnego socjalisty, Harry – powiedziała. – Nie jestem idealistką jak ty. W ogóle mnie nie rozumiesz. Nie przestałam wierzyć w Boga.

Potrząsnął głową, nie ustępował.

– Jesteś idealistką.

Gina żarliwie zaprzeczyła.

– Nie. Idealiści widzą świat jaki jest, a potem starają się go zmienić na taki, jaki ich zdaniem powinien być.

– Tak! – wykrzyknął, jakby się w pełni zgadzali.

– Ja taka nie jestem. Nigdy nie byłam. Popieram oczywiście postęp i poprawę... – Zawiesiła głos. – Jak chrześcijanka. Wiedząc, że zawodzę, staram się być lepsza. Walczę, by stać się dobra. Ale na pewno nie jestem idealistką. Widzę świat, jaki jest, ale mam o nim lepsze zdanie.

– Jak o mnie? – Uśmiechnął się. – Widzisz, jaki jestem, jaki zawsze byłem, w jakim się zakochałaś, i mimo wszystko mnie akceptujesz?

Chciała szepnąć „tak”, ale nie mogła.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Więc kim jesteś? Jak się możesz określić?

– Jestem romantyczką – odparła.

Stali daleko od siebie jak na oddzielnych frontach. Harry nie okazywał skruchy, jakby nie zrobił nic złego i jakby to Gina była winna.

– Jak ci się udało robić to wszystko i chodzić na uniwersytet? – Zbladła. – Dlatego to trwało tak długo?

Milczał i wyglądało na to, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Czy dlatego zdecydowałaś się na Tufts zamiast swojej Alma Mater, uniwersytetu, który wykształcił dziesięć pokoleń twojej rodziny? Bo łatwiej było oszukiwać?

– Nie – odparł zimno. – Wybrałem Tufts, bo nie chciałem się znaleźć w tym samym miejscu, w którym uczy twój kopacz rowów z Panamy. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jest na Harvardzie?

Ginie na moment odebrało mowę.

– A co to ma wspólnego z tym? – Teraz ona nie była skruszona. – Co to ma wspólnego z tobą? Wykorzystujesz Bena, żeby mnie okłamywać? Przecież nie robisz doktoratu z inżynierii!

– Mimo wszystko.

– Nie! Dokończenie doktoratu powinno ci było zająć rok. Mogłeś się uwinąć w dziewięć miesięcy i nawet na niego nie spojrzeć.

– Zaczynałem od początku. Czyli potrzebne były dwa lata. Na to liczyłaś? Że nigdy na niego nie wpadnę?

– Na nic nie liczyłam. Nie myślałam o tym.

Jego postawa i wzrok pozostały oskarżycielskie.

– Nie wierzę ci.

– Jak chcesz.

– Wyobraź sobie moje upokorzenie, kiedy przypadkiem wpadłem na niego drugiego czy trzeciego dnia, spacerując po dziedzińcu. On też był bardzo zaskoczony.

– Na twój widok?

Harry uśmiechnął się lekceważąco.

– Że nie powiedziałaś mi, że on tam jest. Prowadzi wykłady. Zaproponowali mu stały etat. Postanowił przyjąć. Ależ on ma tupet! Powiedział mi nawet, że gdybym czegoś potrzebował, czegokolwiek, mam się nie wahać i go poprosić. Wyobraź sobie!

Zakryła twarz. Nie ze wstydu, lecz by powstrzymać krzyk.

– A co Ben ma wspólnego z tym, co robiłeś dziś po południu? – Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. – Powiedz mi, chodzisz na zajęcia na Tufts czy nie?

Harry milczał.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie chodzę.

– Nigdy nie chodziłeś? – Przytrzymała się oparcia krzesła.

– Nigdy.

– A Athenaeum?

– Chodzę tam pracować. Atmosfera jest niezwykła. Mam święty spokój. Mogę mnóstwo zrobić.

– O jakiej pracy mówisz? – Z wściekłości wyprostowała się jak struna. – Przez lata okłamywałeś mnie, swojego syna i siostrę. Doktorat, Termopile, Grecy, król Leonidas, wszystko bzdura! Okłamywałeś mnie, że porzuciłeś radykalizm, kłamałeś, co robisz, kiedy codziennie wychodziłeś z domu. A mówisz o Benie na Harvardzie! – Czuła ucisk w piersi. Wpadła w panikę. Nie mogła wziąć dość głębokiego oddechu, by mówić dalej.

– Przestań krzyczeć! Nie jesteśmy na Sycylii. Chcesz, żeby Aleksander cię usłyszał?

Zniżyła głos. Tak świetnie radził sobie ze słowami, wymachiwał nimi jak młotem nad jej gniewem.

– Co jeszcze poza komunizmem przede mną ukrywasz?

– Nie bądź śmieszna. – Poklepał się po sercu. – Komunizm jest moją jedyną kochanką. Wstąpiłem do Partii Robotniczej. – Pod taką nazwą funkcjonowała Komunistyczna Partia Stanów Zjednoczonych, zmuszona zejść do podziemia przez czerwoną panikę w 1919 roku, kiedy urodził się Aleksander. Jakiż pamiętny to był rok.

– Ale co robiłeś? – Zmusiła ściśnięte płuca do oddechu. – Przez te trzy lata, Harry?

– Trzy lata tajnej rewolucji. Nawet ty nie mogłaś wiedzieć. Trzy lata tłumaczenia sowieckich pamfletów na angielski. Mówię teraz płynnie po rosyjsku – oświadczył z dumą. – Nauczyłem się w więzieniu i bardzo dobrze to wykorzystuję.

– Tłumacząc.

– Tak. Jestem bostońskim redaktorem specjalnym „Daily Worker”. Piszę i redaguję wiele dłuższych artykułów, które publikujemy. I jak Ellen, matka Bena, wiele lat temu, zakładałam nową organizację. Nazywa się Liga Walki o Wyzwolenie Klasy Pracującej. Właśnie skończyłem miesięczne badania nad bezrobociem i walką z nim.

– Nie dostrzegasz ukrytej w tym ironii?

– Nie dam się sprowokować.

– Nie?

– Nie. Chcesz wiedzieć, co robiłem? Powiem ci. Byłem niezwykle zajęty. Mogę z dumą powiedzieć, że pomogłem Jamesowi Cannonowi szukać materiałów do jego monumentalnego dzieła *Piąty rok rosyjskiej rewolucji*, jednego z najbardziej wpływowych, jakie wydała Partia Robotnicza.

Stała oniemiała. On też stał i wyliczał na palcach swoje osiągnięcia.

– Po śmierci Lenina napisałem liczący dziesięć tysięcy słów artykuł o jego życiu i pracy. To ja napisałem słynny list od Międzynarodówki Komunistycznej do Meksykańskiej Partii Komunistycznej, który niedawno cytowały wszystkie gazety w Ameryce. Jestem redaktorem działu kulturalnego i współredagowałem antologię *Wiersze dla robotników*. Jestem z niej bardzo dumny. I publicznie agituję za Partią Robotniczą, tłumacząc, co sobą reprezentuje i dlaczego wszyscy powinni do niej wstąpić. To właśnie dziś widziałas.

– Skończyłeś?

– Nie. Chodzi mi o to, że przez trzy lata przed tymi trzema latami obijałem się jak cholera. Szwendałem się po domu i plaży. A przez te ostatnie trzy lata żyłem naprawdę!

Pod Giną nie ugięły się kolana. Brak zrozumienia sprawił, że zeszytniała jak blok cementu.

– Robiłem to wszystko i nikt o tym nie wiedział – ciągnął coraz bardziej podniecony. – Nie tylko ty, ale co ważniejsze, Fermer. Moim celem była praca, lecz w tajemnicy. Teraz, kiedy Fermer zniknął z mojego życia, nie musimy się martwić.

– Ależ musisz być dumny. Po tym jak dziś się zachowywałeś w miejscu publicznym, pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy znów cię dopadną. Czerwona panika nie minęła. – Jest tutaj, przy Mt. Vernon Street, chciała dodać. – Myślisz, że się z tobą nie rozprawią? Że będziesz mógł dalej tak żyć?

Skinął głową.

– A obietnica, którą mi złożyłeś w domu na plaży? – zapytała. – Kiedy powiedziałaś, że będziesz trwać przy mnie, przy Aleksandrze, przy swojej rodzinie?

– Przecież trwam przy rodzinie – odparł. – Jestem jej szczerze oddany. Pozostaje tylko pytanie, czy moja rodzina jest szczerze oddana mnie.

Gina ścisnęła trzymany w ręce kieliszek tak mocno, że pękł, a szkło rozcięło jej palce i wnętrze dłoni. Harry zrobił krok, żeby jej pomóc, lecz wyciągnęła rękę, by go zatrzymać, a krople krwi kapały na podłogę.

– Miałaś zrobić doktorat – powiedziała łamiącym się głosem. – Miałaś znaleźć dobrą pracę, zostać profesorem, stać się kimś.

– Dlaczego tak ostro reagujesz?! – wykrzyknął. – Co się zmieniło? Nadal jestem tym samym człowiekiem, jakim zawsze byłem.

– Ale myślałam, że zostaniesz nowym człowiekiem! – Z trudem wydobywała z siebie

głos. – Jaki masz plan? Będziesz krzyczał, protestował na ulicach Bostonu? Tłumaczył radziecką propagandę dla „Daily Worker”? Czy taka jest twoja strategia? Będziesz pisał artykuły o różnicach pomiędzy leninizmem i trockizmem? Płacą ci chociaż? – Na widok wyrazu jego twarzy zaśmiała się gorzko. – Tak myślałam. Niedługo skończysz pięćdziesiąt lat. Będziesz tak dalej postępował? Niszczył wszystko po kawałku?

– Nie po kawałku – odparł. – Łamanie strajków i akcje amerykańskiej demokracji mające na celu złamać ruch związkowy nadal trwają. Trzeba im dać odpór. Passaic w New Jersey walczy przeciwko głodowym płacom...

– Boże! Przestań! Zamilcz!

– Przestań krzyczeć!

– Kto cię tym razem uratuje, Harry? – szepnęła, owijając zranioną rękę brzegiem sukni.
– Kto ci pozostał?

– Nie potrzebuję nikogo. Nie potrzebuję, żeby mnie ratowano.

Ale kto uratuje mnie, chciała zapytać Gina, gdy wychodziła z pokoju jak ranny na wojnie żołnierz. Kto uratuje twojego syna?

3

Przez trzy dni była jak otępiała. Wstrząs ustępował powoli, ręka się zabiłżniła, serce również, lecz kiedy mgła zasnuwająca jej umysł się rozwiła, Gina zaczęła planować wyjazd do Tequesty, by zamieszkać z Salvem, dopóki czegoś nie wymyśli. W zewnętrznym życiu nadal spotykała się z Meredith i innymi przyjaciółkami, pomagała w misji świętego Wincentego, gotowała kolacje, odbierała Aleksandra ze szkoły i odrabiała z nim zadania, nawet przyjmowała Esther w niedziele. W środku gryzła się i zastanawiała, jak najlepiej odejść. Podejrzewała, że jeśli poinformuje Harry’ego o swoich planach, nie pozwoli jej odejść lub – co gorsza – nie pozwoli jej zabrać Aleksandra, gdyż wiedział, że bez syna ona nigdzie na stałe nie wyjedzie. Ale jak mogła zabrać syna od ojca bez pożegnania?

To było niemożliwe.

Mijały tygodnie, a ona patrzyła na syna szczęśliwego w swoim życiu, patrzyła, jak bawi się z ojcem, obserwowała Harry’ego w domu, takiego jak zawsze: dowcipnego, serdecznego, spokojnego, poważnego, dobrego ojca. Kipiąc w środku, zaczęła kwestionować swoje plany i zastanawiać się, czy Harry nie miał racji. Może naprawdę zareagowała zbyt ostro? Czy rzeczywiście powinna się domagać dotrzymania obietnic złożonych Janke, gdy przebywał w areszcie domowym? Jednocześnie gdy tylko rano wychodził z domu, ogarniało ją przerażenie, które trwało do jego powrotu. Bała się, że aresztują go na ulicy jak zwykłego przestępcę i będzie musiała wytłumaczyć to Aleksandrowi. Żadna z jej możliwości nie była prosta: zabrać chłopca na krótko na Florydę czy zostać w Bostonie i patrzeć jak Harry Barrington, jeden z pierwszych bostończyków, mieszkaniec Beacon Hill trafia za kratki jako komunista? Ani ona, ani Aleksander nie mogliby się potem nigdzie pokazać, w szkole ani w parku, w sklepach przy Charles Street i Newbury, gdzie wszyscy znali ich z nazwiska.

Przestała spać w małżeńskim łóżku. Przez dwa tygodnie, potem trzy, spała w jednym z pokoi gościnnych. Harry nie przyszedł, nie błagał jej, by wróciła, nie zapytał, co robi. W nocy czytał i pracował przy okrągłym stole pod oknem, a kiedy był zmęczony, kładł się spać. Rano schodził na śniadanie w garniturze, gotowy na nowy dzień, jadł chleb, jajka, wypijał łyk herbaty i wychodził.

Znikał z jej domu na cały dzień. Na całą noc ona znikwała z jego łóżka.

Pewnego dnia Aleksander zapytał go, co będzie robił, a Harry spojrzał przelotnie na Ginę i odparł:

– Piszę długi artykuł o tym, że amerykański imperializm jest największą zmorą kapitalistycznego świata.

– Co to takiego zmosfera?

– Aleksandrze – powiedziała Gina – nie zatrzymuj ojca. Nie widzisz, że jest spóźniony?

Jak łatwo było ją oszukać! Trzy lata na pisanie doktoratu! Karmił ją kłamstwami, a ona przetykała je potulnie. To kara za jej grzechy. Na pewno. Tak musiała się czuć Alice dwadzieścia lat temu. Harry był o krok od ukończenia doktoratu, aż nagle wpadł na Ginę w wąskiej furtce na Harvardzie. Gdy Alice planowała ich ślub i podróż, by oglądać wulkany Europy, Harry leżał w łóżku z Giną. Cudownie nieświadoma Alice przygotowywała się do przyszłości, nie wiedząc, że życie, którym żyje, jest mirażem, a mężczyzna, którego kocha – iluzją.

Tak się teraz czuła Gina.

Dlatego nigdy się nie wtrącała. Zamknęła serce, oczy, udawała, że wszystko jest w porządku. Harry miał rację. Nie chciała wiedzieć. Bo miała tylko dwa wyjścia. Odejść. Lub zostać.

W takim czyścicu minęło lato. Cape Cod z Esther, zbiórki zuchów, łowienie małży.

Gina nadal żyła sparaliżowana, zamrożona.

Wiedziała, jaką jest matką, ale jaką była kobietą? Jaką żoną? Gotowała dla niego i sprzątała, lecz nie chciała go dotykać, nie chciała z nim spać. W końcu sama go do tego zmusi i to on odejdzie, by znaleźć gdzie indziej to, czego mu już nie dawała, czego już od niej nie pragnął.

Z kim mogła o tym porozmawiać? Dlaczego jego komunizm izolował ją od innych? Dlaczego filozofia braterstwa, kolektywizmu, wspólnoty odsuwała ją od reszty świata skuteczniej niż zamknięcie w samotności? Może mogłaby napisać o tym artykuł do „Daily Worker”, oczywiście za darmo, bo raczej nie mieli pieniędzy, żeby jej zapłacić. Komunizm jako największa siła alienacji we współczesnym świecie.

Do kogo mogła się zwrócić?

Do Esther? Przypominały rozwiedzioną parę. Uprzejme ze względu na dziecko, które obie kochały, i nic więcej, nawet kiedy spotykali się w letnim domu Esther w Truro. Gina zachowywała się zawsze tak, jakby zaraz miała wyjechać. Meredith? Kobieta, która nie mogła pojąć, dlaczego Walter i Aleksander mogliby chcieć po szkole pograć w piłkę w parku? Ona i podobne jej kobiety rozmawiały o strojach i muzeach, nie o problemach małżeńskich. Gina była żoną mężczyzny, który głosił nadciągający kres łatwego bostońskiego życia mieszkańcom Bostonu! Jej obecne przyjaciółki byłyby przerażone, gdyby powiedziała im prawdę o swoim mężu, uprzejmym mężczyźnie, który w sobotnie

wieczory siadywał u nich w salonach i zachowywał spokój, gdy wokół niego burzyły się polityczne wody.

Do swojej dawnej przyjaciółki Verity z chmarą dzieci w hałaśliwym domu? Żeby się spotkać z Verity, musiałaby pojechać do Lawrence.

Nie mogła porozmawiać otwarcie z Salvem. Poradziłby jej jedynie, żeby natychmiast odeszła od Harry'ego.

Ben?

O Boże.

Rose Hawthorne nie czuła się dobrze, poza tym mieszkała teraz w Nowym Jorku. Gina nie widziała jej od powrotu z Florydy. Nie mogła się wybrać na krótką, jednodniową wycieczkę do Concord, by poprosić Rose o szczyptę mądrości.

Mając coraz mniej możliwości, wróciła do łóżka Harry'ego. Był namiętny i czuły jak zawsze.

– Tak się cieszę, że jesteś ze mną – szepnął. – Wreszcie uświadomiłaś sobie, że to tylko burza w szklance wody.

Rozpłakała się.

Potem ich rozmowy w łóżku wyglądały tak:

– Gia, nadal odmawiamy uznania Związku Radzieckiego!

– Może myślimy, że zniknie, jeśli będziemy go ignorować.

– Rosja nigdzie nie zniknie. To nie jest kapitalizm. Nie zjada sama siebie.

– Może mają nadzieję, że się zje.

– Kim są ci oni? – Był zbyt poruszony, by trzymać ją w ramionach. – To przecież przychodzi z Amerykańskiej Federacji Pracy! Czytałaś dziś „Globe”?

Gina naciągnęła kołdrę, próbując się rozgrzać. Przykryła się prawie z głową.

– To tacy tchórze. – Harry walnął pięścią w łóżko. – Cholerny Green. – William Green stanął na czele Amerykańskiej Federacji Pracy po śmierci Sama Gompersa.

– Ćśś.

Nie chciała, żeby obudził się Aleksander, nie chciała, żeby ich podsłuchał. Miał pokój tuż obok ich sypialni. A jeśli, Boże broń, też kiedyś zacznie tak mówić? Uczyła go, by był prawdziwym bostończykiem, zawsze uprzejmym.

– Kogo oni się boją? Czytałaś te ich kłamstwa? – Harry leżał na boku, bębniąc palcami po jej plecach, odkrytych, lecz rozgrzanych przez jego zapał. – „Wierzimy w prawo ludzi do wybierania rządu za pomocą konstytucyjnych środków. Sprzeciwiamy się rewolucji pod każdą jej postacią”. Jasne!

– Myślisz, że Green mówi poważnie? – Gina wpatrywała się w okno. Zastłony były zaciągnięte. Nie było tu balkonu, który można by otwierać, nie było ciepłego nocnego powietrza.

– Amerykańska Federacja Pracy to zgraja hipokrytów. Ten kraj powstał dzięki rewolucji! Nie mielibyśmy teraz kraju, gdyby odważni ludzie wtedy myśleli tak jak Green.

– Zgoda. Ale może ten kraj podoba im się teraz taki, jaki jest.

– Bo są tchórzami. – Pocałował ją w ramię. – Cieszę się, że znów rozmawiamy. Cieszę się, że leżysz w naszym łóżku, ale nie stawaj po stronie tchórzy, Gino.

– Nie staję, tylko powtarzam. Amerykańska Federacja Pracy potępia komunizm. Zajmuje

zdecydowane stanowisko przeciwko przemocy, której celem jest obalenie rządu.

– Jak mogą zajmować zdecydowane stanowisko przeciwko czemuś, jeśli nie mają kręgosłupa?! – wykrzyknął Harry. – Bezkęrowce nie mogą zajmować żadnego stanowiska.

– Może masz rację – mruknęła w poduszkę, jak niektórzy szepczą czułości takie jak „kocham cię”.

– Och, być rządzonym przez nieoświeconych – westchnął, przykrywając się i przytulając do niej. – Co za męka.

4

Latem 1926 roku zmarła Rose Hawthorne. Miała siedemdziesiąt pięć lat. Jej ciało przywieziono na Północ i pochowano z Hawthorne’ami i Peabodymi w Concord. Gina nie pojechała na pogrzeb. Przeczytała o nim w gazecie, a łzy kapały jej na druk.

W przytoczonych w nekrologu słowach dawno zmarłego ojca Rose Gina znalazła radę, której tak rozpaczliwie szukała. „Tylko przez stosunkowo krótką chwilę wszystko wygląda dziwnie lub zdumiewająco – a ta prawda kryje w sobie jednocześnie słodycz i gorycz”, napisał Nathaniel Hawthorne.

Jej nowe życie z jego nieproszoną prawdą szybko zaczęło przypominać stare życie, prawdy pozbawione. Stare: odmieniony Harry zamierzał zostać doktorem i profesorem. Nowe: Harry nie zamierzał zostać ani doktorem, ani profesorem. Niemożliwe w ciągu paru miesięcy zaczęło wydawać się tak normalne, że aż ocierało się o banał.

A potem przyszła prawdziwa burza.

5

Wielu mówiło później, że nasiona upadku południowej Florydy zasiano dużo wcześniej. A czas żniw przyszedł w 1926 roku. Pogłoski pojawiały się od początku 1925 roku; tu i tam artykuły i wstępniaki ostrzegały przed nieuchronną katastrofą. Boom oparty wyłącznie na dzikich spekulacjach nie mógł trwać bez końca. Rynek nie mógł się utrzymać, jeśli cena rzeczy kupowanych i sprzedawanych nie miała żadnego związku z ich wartością. Zupełnie jakby Herman przemawiał zza grobu. Każdy mógł sprzedać ci parasol w czasie deszczu, ale byłbyś głupcem, płacąc za niego tysiąc dolarów. Fakt, że parasol nie był wart tysiąc dolarów, był oczywisty nawet dla idiotów.

Podobnie było z rynkiem nieruchomości na południowej Florydzie. Ziemia, poza bliskością oceanu, miała niewielką wartość, a domy i ich ceny budowano nie na solidnych fundamentach, lecz dosłownie na piasku. Potem narzucono embargo kolejowe, pojawił się zator, który sparaliżował cały region, zatonął jakiś statek. Gina słabo to pamiętała.

We wrześniu 1926 roku rozmawiała z Salvem i wszystko było w porządku, a parę dni później na siódmej stronie gazety przeczytała o huraganie. Nagle doniesienia o skutkach

huraganu przeniosły się na pierwszą stronę, gdy okazało się, że zniszczenia w Miami przypominają te po trzęsieniu ziemi w San Francisco w 1906 roku. Kiedy Gina zadzwoniła do Salva, by upewnić się, że nic mu nie jest, nikt nie odbierał telefonu.

– Linie telefoniczne pewnie zostały zerwane – powiedział Harry. – Tak się dzieje w czasie burzy. Nie ma się czym martwić. Tequesta leży sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Miami. Spróbuj jeszcze raz jutro.

Ale jutra nie było. Bostońskie gazety przekazywały przerażające wieści: huragan przeszedł od Miami przez jedną trzecią Florydy po Zatokę Meksykańską i wyspę Sanibel, niszcząc całą cywilizację. Zdjęcia mówiły wszystko. Tam, gdzie kiedyś stały domy, teraz fale zmywały do oceanu drewno.

Gina nie mogła się dodzwonić do Salva, Fernanda, Carmeli ani do dawnych sąsiadów, Chucka i Karen. Linie telefoniczne zostały zerwane, powtarzał Harry. Nie martw się. Znasz swojego brata. Nie pamiętasz wybuchu melasy? Odchodziliśmy od zmysłów przez kilka dni, a on spał spokojnie w domu swojej *amata*. To bardzo do niego podobne, żeby się z tobą nie kontaktować. Poza tym nie może. Telefony nie działają.

Po tygodniu bezsennych nocy telefon w ratuszu w Tequeście zaczął działać. Słuchawkę podniósł udręczony urzędnik, który nie miał żadnych informacji, i szybko ją odłożył. Zdążył jednak powiedzieć: „Nie wie pani, co się stało? Nie możemy nikogo znaleźć”.

Gina nie wierzyła w zbiegi okoliczności. Zbyt długo myślała o tym, by zabrać Aleksandra i uciec do Tequesty do brata.

A jeśli stało się coś strasznego? Mogli przecież tam być, na pewno by byli, gdyby Gina zgodnie z początkowymi planami wyjechała. Dostrzegła w tym ostrzeżenie, lekcję. Gdyby nie boża łaska, ona byłaby tam, a co ważniejsze, byłby też Aleksander. Przekonało ją to, że postąpiła słusznie, nie porzucając Harry’ego.

Została ostrzeżona czy uratowana?

A jeśli uratowana, to po co?

Radość ze słuszności wyboru przyćmiewał niepokój związany z milczeniem Salva. Początkowo była na niego zła. Wiedział przecież, jak bardzo się niepokoi.

Chyba że...

Dni przechodziły w tygodnie, a w ruinach stale odnajdywano ciała.

Nadal nie miała żadnych wiadomości od niego ani o nim.

Zadzwonił Fernando. Gina wybuchnęła płaczem, gdy podniosła słuchawkę i usłyszała jego głos. Przez kilka tygodni leżał w szpitalu z wstrząśnieniem mózgu i połamanymi żebrami. Nadal był lekko oszołomiony, nie przypominał dawnego siebie. Nic nie wiedział o jej bracie. To było najgorsze.

Gina słabo pamiętała ostatnią rozmowę z Salvem. Rozmawiali o błahostkach, lecz obsesyjnie wracała do każdego zapamiętanego słowa, próbując znaleźć jakieś wskazówki. Mówił, że gdzieś się wybiera. Coś zaczęło się jej przypominać...

Wyjęła atlas, znalazła Florydę i szukała miast niedaleko Tequesty, Palm Beach, Fort Lauderdale, Miami.

Jest! Coral Gable! Co za dziwna nazwa. Tam wybierał się Salvo. Na południe od Miami Beach, po drugiej stronie Key Biscayne.

Gina dzwoniła do Wydziału Zdrowia w Miami, na policję, do szpitali. Niczego nie

znalazła.

Fernanda powoli zaczynało męczyć odpowiadanie na pytania Giny. Przez telefon nic nie dało się osiągnąć. Wreszcie w październiku zostawiła Aleksandra i Harry'ego i pojechała pociągiem do Miami, by szukać brata. Harry powiedział, że bez problemu zajmie się synem. Jeśli będzie potrzebował pomocy, zadzwoni do Esther.

– Wrócisz na Święto Dziękczynienia? – zapytał, gdy odwoził ją na South Stadion.

Chciała powiedzieć, że tak. Ale nie wiedziała. Chciała powiedzieć, że wróci, gdy znajdzie brata. Tego też nie była pewna. Rzuciła:

– Tak, z bożą pomocą.

Harry przewrócił oczami i na tym stanęło.

Na widok pakującej się matki Aleksander bardzo się zdziwił.

– Kto to jest Salvo? – zapytał, gdy zamykała walizkę.

Wyprostowała się.

– Jak to, *caro*? Salvo to mój brat. *Zio* Salvo. Pamiętasz go, prawda?

Aleksander wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem, że masz brata, mamó. Myślałem, że jak ja jesteś jedynaczką.

– Dlaczego tak myślałeś? Przecież stale mówię o *zio* Salvo.

– Myślałem, że to twój *zio*.

– Nie pamiętasz Salva?

– Nie pamiętam zeszłego tygodnia.

– Nie pamiętasz Florydy?

– Mamó, byłem wtedy malutki. Nie pamiętam.

Przyjrzała się synowi jak zawsze – bardzo uważnie.

A on, jak zawsze pod jej baczny spojrzeniem, przewrócił oczami jak ojciec i zajął się swoimi sprawami. Ona jednak nadal na niego patrzyła.

A jeśli to nie mnie Bóg próbował ocalić? Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego czarnych włosów, lecz odsunął się rozciągnięty na podłodze z żołnierzami. A jeśli dobry Bóg ocalił Aleksandra, to po co?

6

Po wyjeździe Giny na Florydę Esther opiekowała się Aleksandrem w każdy weekend, by Harry odpoczął i miał trochę czasu dla siebie. Pewnego sobotniego popołudnia odebrała go z domu, gdzie siedział sam, wzięła go za rękę i zamiast wsiąść z nim do samochodu, w którym czekał Clarence, powiedziała, że idą na spacer na Common.

– Na Common? Ciociu, ja mieszkam niedaleko Common. Bawię się tam codziennie.

– A widziałeś ciekawe miejsca?

– Jakie? Głupie kwiatki?

– Nie bądź beczelny. Wiem, że nigdy nie widziałeś tego, co chcę ci pokazać.

– Nie jestem beczelny. Mówię tylko prawdę.

– Chcę, żebyś poznał mojego dobrego przyjaciela. Jego matka nie czuje się dobrze

i chciałabym dać jej kilka książek.

– Nie widzę żadnych książek.

– Są w samochodzie. Mam ich dużo i są ciężkie. Pójdziemy na krótki spacer z moim przyjacielem, a potem odwieziemy go do matki. Nie masz nic przeciwko spacerowi, prawda? Jest ciepło. – Zawiązała wstążki niemodnego kapelusza, który z uporem nosiła. – Jak na listopad jest pięknie. Szesnaście stopni. Zupełnie jak w Jupiter, prawda?

– Gdzie?

– Nieważne. – Poklepała go po ramieniu. – Drugiego takiego dnia już nie będzie.

– Kto jest tym przyjacielem?

– Zobaczysz.

Na Beacon Street tuż przed State House czekali przy bramie z kutego żelaza. Wreszcie podszedł do nich, machając ręką, poważny ciemnooki mężczyzna ubrany w garnitur, krawat i kapelusz.

– Przepraszam za spóźnienie, Est. Długo czekacie?

– Nie, tylko parę minut.

Czekali pół godziny! Aleksander, mrużąc oczy, spojrzał na ciotkę i zastanawiał się, czemu kłamie.

Mężczyzna i Esther wyglądali na dobrych znajomych. Gdyby Aleksander nie wiedział, że są przyjaciółmi, pomyślałby, że są rodziną. Ciotka traktowała mężczyznę tak serdecznie jak jego. Pocałowała w policzek, uścisnęła za ramię, uśmiechnęła się promiennie, zamieniła kilka słów, a potem schyliła się do Aleksandra, którego nadal trzymała za rękę.

– Aleksandrze, to mój stary przyjaciel, Ben Shaw.

– Nie jestem taki stary, Esther, mów za siebie. – Ben wyciągnął rękę do chłopca. Aleksander uścisnął ją i otaksował mężczyznę spojrzeniem. – Bardzo mi miło cię poznać.

– Mnie również, proszę pana.

– Proszę, nie mówi do mnie „pan”. Znam twojego ojca i ciocię Esther niemal przez całe życie. Mów mi Ben.

– Nie – zaprotestowała Esther. – Próbujemy nauczyć chłopca dobrych manier. Jeśli będzie mówił do ciebie po imieniu, zaczniesz się tak samo zwracać do nauczycieli i co potem?

Ben pochylił się do Aleksandra.

– Nie będziesz tego robił, prawda?

Aleksander spojrzał na przyjazną twarz mężczyzny i pokręcił głową.

– Żaden nauczyciel nie ma na imię Ben.

– Bardzo dobrze! Zupełnie jak ojciec. – Ben z uśmiechem poklepał go po głowie. – Mam coś dla ciebie. Mały prezent. – Podał Aleksandrowi torebkę, którą przyniósł. – Twoja ciocia mówiła mi, że lubisz bawić się w wojnę.

Aleksander zajrzał do środka, a potem szybko podniósł wzrok na ciotkę, jakby chciał sprawdzić, czy może przyjąć prezent.

Szturchnęła go lekko.

– No, kochanie, Ben przyniósł ci prezent. Co się mówi?

– Dziękuję – powiedział Aleksander i natychmiast sięgnął do torby. Wyjął z niej replikę noża myśliwskiego w czarnej pochwie z gwiazdą i replikę rewolweru Colta, ciężką

i srebrną, z taką samą gwiazdą na lufie. – Bardzo dziękuję! – Rewolwer był najbardziej niesamowitą rzeczą, jaką widział w życiu. Nóż też był niezły. Ale rewolwer... obrócił magazynkiem. – Skąd pan to ma?

– Nasza dobra przyjaciółka mieszka w Teksasie i wyświadczyła nam przysługę, kiedy poprosiłem ją, by pomogła mi znaleźć prezent dla chłopca, który lubi broń.

– Proszę jej ode mnie podziękować – powiedział Aleksander.

– Podziękuję. Żałuję, że nie mogę go dać moim własnym dzieciom, ale mam cztery córki. Nie interesują się nożami i bronią tak bardzo jak ty.

– Cieszę się, że ma pan córki – odparł Aleksander. – A co to za gwiazda?

– To gwiazda Teksasu – wyjaśnił Ben. – Samotna Gwiazda.

– Ta broń wygląda jak prawdziwa – zauważył Aleksander, obracając rewolwer w dłoniach, ważąc go. Nóż wsunął już pod ramię. – Są w niej jakieś kule?

Esther i Ben uśmiechnęli się.

– To nie jest prawdziwa broń, Aleksandrze – wyjaśnił Ben.

– Zgoda. To są jakieś nieprawdziwe kule?

– Aleksandrze – zaczęła Esther – zawrzyjmy pakt. Będziemy trzymać te prezenty u mnie w domu i będziesz się mógł nimi bawić, gdy przyjdiesz z wizytą. Nie chcemy zdenerwować twojego ojca.

Aleksander był bardzo rozczarowany. Chciał spać z nożem i coltem pod poduszką.

– Chyba... nie, masz rację, ciociu. – Westchnął. – Mój tato nie lubi broni.

– Przejdziemy się? – zaproponował Ben. – A może pobawimy się nowymi zabawkami?

– Chce się pan pobawić? – zapytał podniecony Aleksander. – Może pan wziąć nóż.

– Chcesz, żebym miał nóż w pojedynku rewolwerowym? – zacmokał Ben. – To się nie skończy dla mnie dobrze.

– To zależy, jak sobie pan radzi z nożem – odparł Aleksander.

Ben się roześmiał.

– Słuszna uwaga. Ale lepiej się przejdźmy. Może pobawimy się później, jeśli starczy nam czasu.

Ruszyli wolnym krokiem ścieżką prowadzącą wzdłuż Beacon Street. Aleksander biegał i podskakiwał pomiędzy dorosłymi.

– Teddy umrze z zazdrości! – wykrzyknął, nie spuszczając wzroku z rewolweru.

– Może dasz mu nóż, gdy będziecie się bawić.

– Nigdy. Nie odda mi. – Aleksander przyglądał się uważnie Benowi. – Czym się pan zajmuje, panie Shaw? – zapytał. – Jest pan żołnierzem?

– Nie.

– Ben jest inżynierem w Korpusie Inżynieryjnym Armii Stanów Zjednoczonych.

– Już nie, Esther. Teraz tylko uczę.

– Tak, na Harvardzie. Ben zbudował Kanał Panamski!.

– Esther! – Ben pokręcił głową. – Twoja ciocia bardzo lubi przesadzać.

Aleksander nie miał pojęcia o takim zamiłowaniu ciotki.

– Nie zbudowałem go – ciągnął Ben. – Pomogłem go wykopać.

– Nie słuchaj go, Aleksandrze. Zaprojektował go, zaplanował, walczył o niego i wybudował. Jego nazwisko zapisało się w historii.

– Esther!

– Pracuje pan dla armii? Na pewno nie jest pan żołnierzem?

– Nie. Ale jestem spokrewniony z żołnierzem. Czy to się liczy?

– O tak! – Aleksander zawiesił głos. – A czy my... jesteśmy spokrewnieni? – Bardzo chciał być spokrewniony z żołnierzem.

– Prawie. – Ben się uśmiechnął. – Byliśmy z twoim tatą bardzo dobrymi przyjaciółmi, gdy byliśmy niewiele starsi od ciebie. Przyjaźniliśmy się przez długie lata.

– A teraz?

– Nie widziałem go od paru lat.

– Był dziś rano w domu. Ale potem musiał wyjść.

– Dokąd poszedł?

– Chyba na uniwersytet. Albo do biblioteki. Pisze piosenki do operetki – powiedział Aleksander. – To taka mała opera zatytułowana *Ostatnia rewolucja*. Uczy się też, żeby zostać doktorem. Nie lubi broni, ale studiuje greckie wojny. Wie pan coś o nich?

– Niewiele. Twój tato zawsze bardzo lubił książki. Jest bardzo mądry. A ty lubisz książki?

– Hmm. – Aleksander nie chciał kłamać. – Bardziej lubię się bawić.

– Kto nie lubi?

– Mój tato – odparł Aleksander. – On woli książki. Choć czasami lubi baseball. Zna pan też moją mamę?

Esther wpadła na niego i przeprosiła za nieuwagę.

– Tak – odparł krótko Ben. – Znam też twoją matkę. Jak się miewa?

– Dobrze. Ale był huragan i zaginął jej brat. Nie wiedziałem, że ma brata. Chyba pojechała go szukać.

Skonsternowana Esther spojrzała na chłopca.

– Aleksandrze, nie pamiętasz wuja Salva?

– Nie, ciociu. Mama też mnie o to pytała. Byłem malutki.

– Ach. A teraz?

– Teraz jestem duży – odparł siedmiolatek. – Dokąd idziemy?

– Ben chce ci pokazać pomnik swojego wuja.

– Kto jest pana wujem?

– Mój wuj Robert był pułkownikiem w armii Ulissesa Granta w czasie wojny secesyjnej. Mówiłeś, że lubisz żołnierzy. Pomyślałem więc, że mógłbyś się czegoś dowiedzieć o moim wuju.

Aleksander był teraz podwójnie podekscytowany. Uwielbiał historie o żołnierzach, a nie słyszał ich wiele w domu. Pośród setek książek, które mieli, znalazł tylko dwie o żołnierzach: *Szkarłatne godło odwagi*, która bardzo mu się podobała i *Człowiek bez kraju*, którą – jak opowiadała matka – w młodości uwielbiał jego ojciec. Aleksander przeczytał ją, lecz ze zdziwieniem. Ponieważ lubił ją ojciec, chciał bardzo, by mu się podobała, ale tak się nie stało. Gdyby miał być zupełnie szczery, powiedziałby, że jest pośpna i wcale nie jest dobrą historią o żołnierzu – przede wszystkim dlatego, że opowiada o skwaszonym człowieku nazwiskiem Philip Nolan, który nie chciał być żołnierzem! Nawet nie chciał być Amerykaninem. Aleksander nie mógł pojąć, dlaczego ojcu podobała się ta

książka.

Miał nadzieję, że opowieść o wuju tego mężczyzny będzie lepsza.

– Co robicie razem z tatą, Aleksandrze? Nie bawicie się w wojnę...

– Nie. Ale zabiera mnie w różne miejsca.

– Jakie? Do parku?

– Tak, czasami. Kopiemy piłkę. Rzucamy też piłką do baseballu. Dołączyliśmy do drużyny softballu. Ale to tylko wiosną. W zeszłym tygodniu zabrał mnie na mecz hokejowy Bruins. Było fajnie. Zabiera mnie ze sobą wszędzie. Mama czasami jest surowa. Tato nie dba, o której idę spać ani co jadłem na śniadanie. – Aleksander zachichotał. – Czasami prawie w ogóle nie jem śniadania, a on się nie wścieka.

– Na pewno – powiedziała Esther i pokręciła głową z oburzeniem. – Gdzie jeszcze cię zabiera?

– Nie wiem. Krążymy po Bostonie. Rozdajemy jakieś kartki. A czasami tato mówi do ludzi, prawie krzyczy.

– Jakie kartki? – zapytała Esther. – Jakich ludzi? Twój ojciec nie krzyczy.

– Ja nazywam to krzyczeniem. Mówi, że opowiada o rzeczach, w które wierzy. Czasami o robotnikach. Chyba o pieniądzach.

– A te kartki...

– Proletariusze świata łączcie się – powiedział Aleksander. – Czy coś takiego.

Nie umknęły mu przerażone spojrzenia, które wymienili dorośli.

– A, i któregoś dnia przyszła policja! – ciągnął, gotowy wyrzucić z siebie wszystko, co do tej pory ukrywał. – Kazali odejść ludziom, którzy słuchali taty, a potem kazali odejść tacie. Ale nie odeszliśmy, więc powiedzieli, że go aresztują, jeśli nie pójdzie sobie w ciągu pięciu sekund. Tato powiedział, że jest z nim syn, na co odparli, że mnie też aresztują! – Aleksander wyglądał na mocno zawiedzionego. – Odeszliśmy w końcu. – Zawiesił głos i obserwował wymianę spojrzeń pomiędzy dorosłymi. – Ciociu Esther, co to znaczy aresztować?

– Kiedy policja każe ci coś zrobić, musisz to zrobić, bo inaczej zakują cię w kajdanki i zabiorą na posterunek, gdzie oskarżą cię o popełnienie przestępstwa.

– Ale tato tylko mówił.

– Czy robiłeś z ojcem coś jeszcze poza tym, że prawie was aresztowano? – zapytał Ben. Aleksander się roześmiał.

– W zeszłym roku mama z tatą uczyli mnie jeździć na łyżwach, tutaj, na Frog Pond...

– O, spójrz – przerwał mu Ben, wychodząc naprzód. – Jesteśmy na miejscu.

Ależ ci dorośli są dziwni, pomyślał Aleksander. Po co zadawać pytanie, jeśli nie chce się usłyszeć odpowiedzi? Ścisnął mocniej rewolwer, na wypadek gdyby powiedział coś nie tak i ten miły pan chciał mu odebrać prezenty.

Stali w milczeniu przed płaskorzeźbą z brązu przedstawiającą mężczyznę na koniu w otoczeniu żołnierzy piechoty.

– Czy to pana wuj?

– Tak. Pułkownik Robert Gould Shaw.

– Często go pan widuje?

– Umarł, zanim się urodziłem – wyjaśnił Ben. – Ale był wspaniałym człowiekiem.

Bardzo bym chciał, żebyś mógł go poznać.

– Chciałbym poznać mojego *zio* Salvo – odparł Aleksander. – Ale on chyba nie jest żołnierzem.

– Nie – odparła Esther. – Ale był najlepszym śpiewakiem, jakiego w życiu słyszałam. Jest zabawny. I uwielbiają go wszystkie dziewczęta. – Pocałowała Aleksandra w głowę i szepnęła – Jak kiedyś będą ciebie.

– Ciociu Esther... – zażenowany Aleksander odsunął się od ciotki w stronę Bena. Wpatrywali się w pomnik. – Dlaczego pana wuj był wspaniały?

– Bo był prawdziwym bohaterem.

– Naprawdę? – Aleksander był zaciekawiony. – Co zrobił?

– Poprowadził pluton czarnych żołnierzy przeciwko armii konfederatów – wyjaśnił Ben. – Jego pluton był jedynym złożonym z samych czarnych żołnierzy na całej Północy. Nikt nie chciał nimi dowodzić. Ale mój wuj się zgodził. Walczyli, jedli i spali ramię w ramię w Wirginii i Karolinie Północnej. Nikt inny nie chciał tego zrobić. Ale mój wuj zrobił. Inni dowódcy dziwili się bardzo, ale odparł, że miał absolutną pewność, że jego żołnierze są lepsi od niego, bo są odważniejsi. Był przekonany, powiedział, że Bóg woli jego piechurów od niego.

Aleksander pokręcił głową.

– Bóg nie ma ulubieńców jak pan Duncan, prawda? – Pan Duncan był nauczycielem gramatyki i nie przepadał za Aleksandrem.

– Mój wuj myślał, że ma.

Spacerowali wokół pomnika, a Ben opowiadał dalej.

– W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku, kilka lat przed przyjazdem twojej matki do Ameryki, odsłonięto ten pomnik. Twój tato i ja staliśmy tu, gdzie ty stoisz teraz. Nie mieliśmy jeszcze dwudziestu lat. William James powiedział, że mój wuj był błękitnookim dzieckiem fortuny, a na jego młodość patrzyli z uśmiechem wszyscy bogowie. – Ben sam się uśmiechnął. Ujął dłoń Aleksandra, w której chłopiec nie trzymał rewolweru, i mocno uścisnął. – Pod tym względem był bardzo podobny do ciebie, prawda?

Aleksander był zakłopotany. Dlaczego ten mężczyzna, który tak ciepło traktował Esther i zachowywał się w jej obecności swobodnie, a nie z rezerwą, jakiej wymagają dobre maniery, patrzył na niego, chłopca, którego ledwo znał, z taką czułością i mówił rzeczy, które nie miały sensu?

– Nie mam błękitnych oczu – powiedział. Pokazał na swoje w kolorze karmelu. – Widzi pan?

– Mówiłem w przenośni. Jak William James. Mój wuj też chyba nie miał błękitnych oczu.

Aleksander starał się nie zmarszczyć brwi. Dlaczego tak trudno zrozumieć dorosłych? Czemu nie mówią tego, co mają na myśli?

– Był stary?

– Miał dwadzieścia pięć lat – odparł Ben. – Był?

Aleksander skinął głową.

– Bardzo.

– Razem ze swoimi ludźmi bronił Fort Wagner w Karolinie Południowej – mówił dalej

Ben, uśmiechając się lekko. – Ale wróg miał przewagę liczebną i był lepiej uzbrojony.

– Mieli broń? Taką jak ta? – Aleksander pogłaskał rewolwer.

– Tak. Tylko prawdziwą. I większą.

– Jaką?

– Nie wiem. Pewnie muszkiety. Strzelby. Działa.

– Działo to nie strzelba.

– Masz rację. Mieli mnóstwo broni i dobrze z niej korzystali.

– Lubię broń... – rozmarzył się Aleksander. – Proszę mi opowiedzieć o bitwie.

– Wuj prowadził szarżę, ale został zabity...

– Jak?

– Zastrzelili go.

– Zaraz na początku?

– Bardzo szybko. Mówiłem ci, że wróg miał wielką przewagę.

Aleksander był rozczarowany. Chciał, żeby bitwa była dłuższa. Jak ta pod Gettysburgiem, która trwała trzy straszliwe dni.

– Doszło do walki wręcz i jego piechurzy też zginęli.

– Walki wręcz?

– Z nożami, jak twój. I z bagnietami.

– Ilu?

– Co ilu?

– Ilu żołnierzy zginęło?

– Wszyscy – powiedział Ben. – Wszyscy zginęli.

– Och. – Aleksander spuścił głowę. To nie było dobre. – Jak w Alamo.

– Jak w Alamo. Dlatego pomyślałem, że spodoba ci się rewolwer z Samotną Gwiazdą. Generał Konfederacji dowodzący armią był tak wściekły, że mój wuj prowadził do ataku przeciwko siłom Południa czarnych żołnierzy, że odmówił wydania jego ciała moim dziadkom i kazał go pochować we wspólnym grobie z zabitymi Murzynami.

– To on nie jest tu pochowany? – zdziwił się Aleksander.

– Nie, to tylko pomnik.

Chłopiec zagwizdał.

– Pana wuj musiał być szalony.

– Wręcz przeciwnie – odparł Ben. – Mój dziadek powiedział, że dla jego syna największym zaszczytem było zostać pochowanym ze swoimi żołnierzami, nie było „świętszego miejsca, w którym mógłby spocząć”.

Aleksander zacisnął dłoń na rewolwerze. To była o wiele lepsza historia niż ta o Philipie Nolandzie.

– To musiało naprawdę zdenerwować generała konfederatów. Jak się nazywał?

– Nie pamiętam.

– Czy to nie był generał Hagood? – wtrąciła Esther.

– Skąd to wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Kiedyś chyba mi powiedziałaś. Albo gdzieś przeczytałam.

Aleksander położył ciepłą dłoń na chłodnym pomniku.

– Chyba bardziej generał Habad[19] – powiedział.

Ben się roześmiał.

– Rzeczywiście.

Kiedy odwieźli Bena i książki do jego matki, Aleksander milczał podczas krótkiej podróży do Barrington. Ścisnął rewolwer i nóż i wyglądał przez okno.

Milczenie przerwała Esther.

– I co myślisz?

– O czym?

– O moim przyjacielu Benie.

– Był miły – odparł Aleksander. – Ładnie z jego strony, że dał mi prezent. Lubię jego wuja.

Kiedy Aleksander opowiedział ojcu o tym, jak spędził popołudnie, Harry nie wykazał wielkiego zainteresowania opowieścią o Benie, Esther i Robercie Gouldzie Shaw. Jednak wieczorem chłopiec podsłuchiwał, jak Harry rozmawia ostro przez telefon z Esther o broni, pułkownikach i okropnościach wojny. Aleksander nie spotkał więcej przyjaciela cioci, choć stale prosił, by mógł spędzić z nim jeszcze jedno popołudnie i posłuchać opowieści o wojnie. Być może mama się za nim wstawi, gdy wróci do domu. Nie mógł się już doczekać, by opowiedzieć jej o ataku na Fort Wagner.

19 *Good, bad* (ang.) – dobry, zły.

Rozdział siedemnasty

Prinz Valdemar

I

„Praktycznie nie ma niebezpieczeństwa letnich burz”, pisano w folderach od 1912 roku, kusząc turystów i mieszkańców na południowej Florydzie. Wszyscy w to wierzyli. Nikogo nie ewakuowano przed burzą, którą teraz nazywano Great Miami. Narodowe Biuro Meteorologiczne ogłosiło, co prawda, ostrzeżenie przez wielkim huraganem nadciągającym znad Karaibów, lecz wszyscy nie tyle nie chcieli go słuchać, ile nie bardzo je rozumieli. Foldery głosiły przecież pogrubioną czcionką, że praktycznie nie ma niebezpieczeństwa letnich burz.

I tak 17 września 1926 roku wszyscy pozostali w domach. 18 września niewiele z tych domów jeszcze stało. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi straciło dach nad głową, czterysta osób zginęło. Tysiąc osób uznano za zaginione, w tym brata Giny.

Wiejący z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę wiatr z deszczem nadciągnął w nocy, lecz o wschodzie słońca Miami było w zasadzie nietknięte. O świcie uspokojeni mieszkańcy miasta wylegli na ulice i na mosty, by oglądać potężny ocean. Widzicie?, mówili. Spójrzcie, jaki jest spokojny. Huragan minął. Mieliśmy rację. Było głośno, ale nie niebezpiecznie.

Nie wiedzieli jednak, że stoją w samym oku cyklonu. Czterdzieści minut później potężna fala uderzyła w miasto. Prędkość wiatru wzrosła do stu osiemdziesięciu kilometrów. Poziom oceanu podniósł się o pięć metrów. Burmistrz powiedział później, że Miami Beach leżące na wyspie, oddzielone od głównego lądu wąskim przesmykiem, było otoczone z czterech stron „spienioną białą wodą”.

Zniszczenia były porażające. „Proszę pani, wszyscy i wszystko w Miami spłynęło do morza”, powiedział marynarz do Giny, gdy stała przy suchych dokach uszkodzonych przez nawałnicę. Przy Collins Avenue okazałe hotele i eleganckie letnie rezydencje były o dwa lub trzy piętra niższe. Woda z piaskiem zalała wszystkie wykładane marmurem hole. Nie było elektryczności, a bieżącej wody dostarczał jedynie ocean. Porzucone hotele zamieniono w szpitale.

– Ale mojego brata nie było w Miami – powiedziała z nadzieją Gina do marynarza. –

Pojechał do Coral Gable.

Marynarz zdjął czapkę i przeżegnał się.

– Bardzo mi przykro – powiedział. – Ale Coral Gable jest zrównane z ziemią.

Długo szukała taksówki, by pojechać do Coral Gable, gdzie mogła złożyć zawiadomienie o zaginięciu i szukać Salva wśród ruin. W Bay of Biscayne ogromny statek, długi prawie na osiemdziesiąt metrów, leżał na boku, blokując wejście do portu.

– To przez huragan? – zapytała Gina jednego z pracowników.

– Nie. To Prinz Valdemar. Dziesięć miesięcy temu, w styczniu, płynął do portu, by służyć jako pływający hotel dla turystów, kiedy przewrócił się i zatonął, blokując cały handel.

– Dlaczego zatonął?

– Nikt nie wie. To tajemnica.

– Wiał wtedy huragan?

– Mówiłem już pani, nic nie było. Statek nagle położył się na boku i zablokował miasto. Planowaliśmy odciągnąć go do mariny, gdy uderzył huragan.

– A co teraz z nim zrobicie?

– Nie wiadomo. Kogo to obchodzi?

Gina znalazła pokój w małym hotelu. Została tam tydzień; rozmawiała z policją, marynarzami, ratownikami, codziennie sprawdzała listy zaginionych, wędrowała po zrujnowanych ulicach w nadziei, że zauważy gdzieś Salva lub czegoś się o nim dowie.

W końcu zadzwoniła do Fernanda. Przyjechał do Miami, by zabrać ją do Tequesty. Przestał farbować włosy i był teraz całkiem siwy. Wyglądał też na zupełnie przybitego i pokonanego. Nie uśmiechnął się, gdy uścisnęli się na powitanie, powstrzymując łzy. Poruszał się powoli i z wysiłkiem. To niezwykle dla niego zachowanie powiedziało Ginie, że stary Kubańczyk pogodził się z najgorszym.

Ale nie ona!

Udało im się zamienić kilka słów, dopiero gdy otworzył dla niej drzwi samochodu i obrzucił spojrzeniem jej sylwetkę w bawełnianej sukience z krótkimi rękawami.

– Bardzo pani zeszczupłała, *señora*. Nigdy pani takiej nie widziałem. Nie jest pani chyba chora? Nie karmią pani w tym Bostonie?

W samochodzie rozmawiali o zniszczeniach.

– U nas huragan nie był tak straszny jak w Miami – opowiadał Fernando. – Ale mimo to zostałem ranny, jak pani widzi. Nadal nie doszedłem do siebie. Myślałem, że u nas było okropnie. Ale teraz, kiedy zobaczyłem Miami... – Urwał. – W porównaniu z Miami nas tylko lekko musnął.

W Tequeście nadal rosły palmy, stały domy i płoty.

Konto bankowe Salva nie zostało naruszone. Jenkins, pokrętny i spocony jak przed laty, powiedział Ginie, że nikt nie pobierał pieniędzy, nie dokonywał wpłat i nie realizował czeków od 16 września 1926 roku, czyli od dnia przed huraganem. Gina starała się tego nie okazać, lecz uderzyło ją, jak mało pieniędzy pozostało na koncie Salva. Gdy był agentem, rynek nieruchomości rozkwitał, jednak prowizje nie trafiały na jego konto. Kiedy wspomniała o tym Jenkinsowi najspokojniejszym tonem (Czego się bała? Że okradał jej brata?), uśmiechnął się znacząco.

– Pan Attaviano nie miał dużo oszczędności, bo żył z rozmachem. Wielkim rozmachem. Wydawał pieniądze równie szybko, jak je zarabiał, niech Bóg go błogosławi. A zarabiał sporo. I sporo wydawał. Jeździł bardzo drogim duesenbergiem.

O tym wiedziała. Kilka dni wcześniej ratownicy znaleźli luksusowy czerwony model A Salva w wodach przy Key Biscayne i wyciągnęli go z kanału niedaleko Coral Gable. Salva nie było w środku.

– Żył z rozmachem. Była pani u niego w domu? Była. Fernando zabrał ją tam w pierwszej kolejności. Salvo wybudował sobie piękną białą hacjendę z czerwonym dachem od strony Hobe Sound, prawie z widokiem na Bellagrand. Niewiele z niej zostało. Zmiecione przez huragan czerwone dachówki walały się na podwórku. Dom stał pusty jak skorupa, z której uciekł krab. Szyby w oknach były wybite, drzwi wyrwane z framug, cała weranda w drzazgach, trawnik od frontu zasypany szczątkami i śmieciami. Płot zniknął. Oglądając zniszczenia, Gina nie mogła oddychać, znów ogarnęła ją panika.

Fernando zapytał ją, czy chce przejechać przez most i zobaczyć Bellagrand. Był pewien, że dom nie został poważnie uszkodzony. Z drogi widział bramę, nadal w całości, i chciał, żeby Gina znalazła tam pociechę. Ona spojrzała na niego, jakby proponował jej wyprawę do wrót Hadesu.

– Po co mam tam jechać, Fernando? Dlaczego mam się dręczyć? Nie wiesz, że sprawi mi to tylko ból?

Odwróciła się do niego tyłem, by nie widział, że płacze. Zapach oceanu, zrujnowane domy, nieobecność brata – to było dla niej zbyt wiele. Załamała się. Żałowała, że w ogóle tu przyjechała.

Salvo – pasterz kóz, robotnik w tartaku, zbieracz szmat, zamiatacz ulic, piekarz, śpiewak, sprzedawca, kochanek, właściciel pięknej rezydencji w hiszpańskim stylu, czerwonego jak ogień duesenberga, ubrany w jedwabne garnitury. „Jadę do Miami, *mia sorella Gia* – powiedział do niej śpiewnie przez telefon dzień przed uderzeniem huraganu. – Jest taka dziewczyna w Coral Gable... brzmi jak piosenka, prawda? Dziewczyna w Coral Gable. Pojadę tam, zaproszę ją na kolację, kupię jej piękne kwiaty, pójdziemy potańczyć. Ma na imię Stella. *Bellissima* imię. *Bellissima* dziewczyna. Dziś wieczór będę jej, a ona moja. Stella”.

Salvo dosłownie rozpląnął się w powietrzu. Gina zgięła się wpół i otarła łzy z twarzy.

Fernando bezradnie stał obok i gładził ją po pochylonych plecach.

Po kilku tygodniach daremnych poszukiwań w Miami Gina wróciła do banku, by sprawdzić konto Salva. Niczego nie pobrano, niczego nie wpłacono. Zanim wyszła, zapytała Jenkinsa, ile obecnie jest wart jej dawny dom.

Jenkins początkowo chrząkał i zwlekał z odpowiedzią. Powiedział, że przed huraganem na rynku pojawiło się dużo domów. Zator na kolei spowodował embargo dla wielu spółek, które nie mogły dostarczać do regionu swoich produktów. Zła prasa też nie pomogła. Ceny stopniowo spadały.

– A nie pójdą teraz w górę? – zapytała. – Niewiele posiadłości ocalało. – Przełknęła ślinę. Nie wspomniała nazwy Bellagrand.

– Można mieć tylko nadzieję, że wartość domów rzeczywiście pójdzie w górę. Ale wie

pani, mieliśmy historyczny wzrost...

Przerwała mu. Nie chciała wiedzieć, co było kiedyś. Chciała wiedzieć, co jest teraz.

– Pani dawny dom? – Jenkins przerzucił katalog. A może tylko udawał, że czegoś tam szuka. – Gdybym wiedział, że obecni właściciele na pewno chcą go sprzedać, w ciągu trzech miesięcy znalazłbym kupca za... – Zastanawiał się nad ceną. – Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Ile?

– Tak, tak. Co najmniej.

– Powiedział pan pięćdziesiąt tysięcy?

Jenkins zamknął katalog.

– Widziała pani zniszczenia w okolicy? Oglądała je pani na własne oczy, prawda?

– W ciągu dwóch miesięcy przez huragan wartość domu spadła z czterech milionów do pięćdziesięciu tysięcy?

– A kto mówił o czterech milionach?

– Pan – odparła Gina. – Mnie i mojemu mężowi. Stał pan w naszej kuchni w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku i zaproponował nam kredyt w wysokości trzech milionów pod zastaw domu. Pamięta pan?

Machnął ręką.

– Rynek rośnie i spada, jak wszystko. Przyznaję, teraz jesteśmy w dołku. Dom to długoterminowa inwestycja. Nie można przewidzieć każdego spadku ceny.

– To nie jest spadek, panie Jenkins – powiedziała słabym głosem. – Nie wiem, jak pan to nazywa. Unieważnienie ceny?

– Na plus można zapisać, że gdyby chciała pani teraz kupić dom, pora jest jak najbardziej odpowiednia.

– Rzeczywiście. Rozdajecie je za darmo.

– Nie powiedziałbym.

– Zadam panu pytanie. Załóżmy, że skorzystalibyśmy z pańskiej oferty i przyjęli pana hojną propozycję... Co by się z nią stało teraz? Co by się stało z nami?

– Nie jest pani taka jak pani brat, prawda? – zaśmiał się Jenkins. – Nie wydałaby pani trzech milionów.

– Powiedzmy, że tak.

Klasnął w ręce.

– Ale nie wydaliście. Więc udało się uniknąć tej katastrofy. I dobrze. Mamy ich teraz dość dookoła. Czy mogę jeszcze w czymś pani pomóc?

Gina na chwiejnych nogach wyszła na ulicę, gdzie czekał na nią Fernando, by zawieźć ją do Miami.

– Co się stało, *señora*? Jest pani blada jak ściana.

– Nic, Fernando. Jedźmy.

– Zlikwidowała pani jego konto?

Gina westchnęła.

– Jeszcze nie mogę, *mi amigo*. Jeszcze tydzień. Poszukam go jeszcze przez tydzień.

Pojechali do domu Salva i siedzieli przed nim przez kilka minut, nie patrząc na porzuconą hacjendę.

– I co myślisz? – szepnęła. – Boisz się, że nie wróci?

Fernando się rozplakał.

– Był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem – powiedział. – Był dla mnie jak brat.

W milczeniu odwiózł ją do Miami i wysadził przed małym hotelem. Powiedział, że jeśli chce, przyjedzie za tydzień, żeby mogli jeszcze raz spróbować.

Przyciągnęła go do siebie i mocno przytuliła.

– W porządku, drogi Fernando. Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy. Dam ci już spokój.

– Nie wiem, co jest gorsze – odparł. – Że będziemy jeszcze raz próbować, czy że nie będziemy.

– O wiele gorsze jest nie próbować – powiedziała do swojego wiernego służącego i przyjaciela brata.

Z hotelowego holu Gina zadzwoniła do Harry'ego, by powiedzieć mu, co się dzieje. Rozmawiali długo, dłużej niż od miesiący. Znów się do siebie zbliżyli. Krzyż, który dźwigała, był dla niej za ciężki i on pomagał jej go nieść. Pocieszał ją. Powiedział, jak bardzo jest mu przykro z powodu jej brata. Był dla niej dobry. Rozmawiali następnego dnia i następnego też. Gina opowiedziała mu o rynku nieruchomości. Oboje zgodzili się, że cudem uniknęli najgorszego. Pogratulowali sobie wytrwałości i mądrości, chwilę się pośmiali i przez telefon pokleпали po plecach. Wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy dali się zwieść obietnicom Jenkinsa i wzięli jego wielomilionową pożyczkę!

– Zbyt straszne, by to roztrząsać – powiedziała Gina.

Kiedy rozmawiali następnym razem, Harry powiedział jej, że ich rozmowy tak go wytrąciły z równowagi, że zastanawia się nad sprzedażą mercedesa. Nie jest im potrzebny taki drogi samochód. Prawdę mówiąc, powiedział, wcale nie potrzebują samochodu. Lepiej żyć skromniej.

– Spójrz tylko, co się wydarzyło w Jupiter, w Miami. To mogło się przydarzyć nam.

– Ale w Bostonie nie ma huraganów – odparła Gina.

Harry wspomniał też o przeprowadzce do mniejszego domu. Ten przy Mt. Vernon jest zdecydowanie za duży dla nich trojga. Po co im sześć sypialni, dwie jadalnie, dwie klatki schodowe, pomieszczenia dla służby? To absurdalne mieć coś tak ekstrawaganckiego. Niestosowne, powiedział. Szuka już czegoś innego. Powinni o tym porozmawiać po jej powrocie.

Zgodziła się, że porozmawiają po jej powrocie.

Pobył Giny w Miami i poszukiwania brata mogły się ciągnąć w nieskończoność, lecz tydzień przed Świętem Dziękczynienia do jej pokoju zastukał recepcjonista i powiedział, żeby zeszła do holu. Dzwoniła jej szwagierka.

– Najwyższa pora, żebyś wróciła – powiedziała Esther. – Bo twój mąż i syn zostali aresztowani.

– Co takiego?! – Gina zachwiała się i oparła o ladę recepcji.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że on znów coś knuje? Dlaczego muszę się o tym

dowiadują od Aleksandra? Chyba zasługuję, by wiedzieć, nie sądzisz?

– Jak mogłam ci powiedzieć, skoro sama dowiedziałam się pięć minut temu? Co się stało?

– Harry wywołał zamieszki, a co myślałaś?

– Co Aleksander ma z tym wspólnego? – Starła się nie krzyknąć.

– A z kim przebywa, kiedy ty jesteś na wakacjach na Florydzie?

– Nie jestem na wakacjach, Esther. Szukam zaginionego brata.

– Witaj w klubie, siostrze.

Gina nie miała wyboru, musiała wrócić do Bostonu. Na znak głębokiej wiary w odnalezienie Salva nie zlikwidowała jego konta. Pozostało nietknięte od dnia poprzedzającego huragan i deszcz, które zniszczyły południową Florydę i zabrały go ze sobą.

2

Harry i Aleksander czekali na nią na South Stadion. Obecność Aleksandra powstrzymała ją przed ostrą dyskusją z Harrym. Była wdzięczna, że ugryzła się w język i nie wspomniała o areszcie, kłopotach z prawem, groźbą więzienia, ponieważ Aleksander, którego nadal obejmowała, powiedział:

– Mamo, przenieśliśmy się.

– Co przenieśliśmy?

– Nie co. Gdzie. Przenieśliśmy się na Spruce Street.

Gina stanęła jak wryta. Harry, niosący jej walizkę, pociągnął ją za sobą.

– No chodź, chodź, złapmy taksówkę.

– Gdzie jest samochód?

– Mówiłem ci. Sprzedałem.

– Nie powiedziałaś mi, że sprzedałeś – odparła powoli. – Zastanawiałeś się nad sprzedażą. Zapytałeś mnie, czy to dobry pomysł. Ja się wahałam. Uważasz, że powiedziałaś mi też o przeprowadzce?

– Powiedziałbym ci, ale znalazłem mieszkanie przy Spruce Street tak szybko i było jeszcze pięciu chętnych. Bałem się, że je stracimy, jeśli poczekam choć minutę. Zaryzykowałem. Wiem, że ci się spodoba. Tak jest lepiej.

– Nie ma mebli, mamo – powiedział Aleksander.

– A gdzie są meble?

– Sprzedałem je – odparł Harry. – Były za duże do nowego mieszkania.

Mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze w budynku bez windy stojącym przy wąskiej ulicy. Przypominało to, w którym Attavianowie zatrzymali się po przybyciu do Ameryki z Sycylii przed dwudziestu pięciu laty.

– Nie całkiem – sprostował Harry. – Tamto było w czynszowej kamienicy w getcie w North End. A to znajduje się przy Common w Beacon Hill. To ogromna różnica, prawda?

Gina nie dostrzegła jednak ogromu różnicy. Odłożyła rękawiczki, torebkę i kapelusz i rozejrzała się po mieszkaniu czy też „obeszła” je, jak określił to Aleksander. Zajęło jej to dwie minuty. W mieszkaniu była jedna łazienka, dwie sypialnie, kuchnia, salon i jadalnia. Jeden kominek. Pokoje były małe, ciemne, zabrudzone sadzą, jakby ogrzewanie parowe nie dotarło jeszcze na czwarte piętro. Nierozpakowane pudła czekały na nią.

– I co myślisz? – dopytywał się Harry w zaskakująco dobrym humorze.

Gina była mniej entuzjastyczna.

– Gdzie jest reszta?

– To wszystko, mamó – powiedział Aleksander. – Nie ma nic więcej, jak w pokoju, gdzie tańczymy.

– Nigdy nie byłeś dobrym tancerzem, synu – zauważył Harry. – Wykorzystywałeś salę balową do organizowania bitew. Możesz to teraz robić na Common. Po drugiej stronie ulicy.

– Na Common nie ma żab – odparł nachmurzony Aleksander.

– A w sali balowej były? I co to znaczy, że na Common nie ma żab? To dlaczego staw nazywa się Frog? – Harry podniósł Aleksandra do okna, by pokazać mu plamę czarnej wody po drugiej stronie ulicy za kamienną bramą.

– Nie widzę żadnych żab.

– No dobrze. – Harry postawił go na podłodze i lekko odepchnął. – Idź się przygotować do spania. Pozwól mi porozmawiać z mamą.

Gina szukała w kuchennych szafkach garnków, waz, łyżek.

Aleksander ją objął.

– Nie martw się, mamó – powiedział. – Wszystko można szybko znaleźć, bo mamy niewiele rzeczy. Tatuś większość sprzedał.

– Sprzedałem te, których nie potrzebujemy – wyjaśnił Harry. – Zostawiłem nasze łóżko... – uniósł brwi – łóżko Aleksandra, kanapę.

– Powinieneś zostawić malachitowy stół – powiedziała Gina, wskazując na okno przy którym romantycznie ustawiono stary stół na jednej nodze. – Miałbyś dość pieniędzy na roczną kaucję.

– Stale ci powtarzam co myślę o kobietach, które uważają, że są zabawne.

– Jeszcze kilka przeprowadzek i wrócimy do North End – mruknęła Gina, rozglądając się po ciasnym mieszkaniu. – Dobrze zatoczyć pełny krąg, prawda?

– Chyba nie rozumiesz pojęcia kręgu. Dla ciebie zakończy się na Sycylii. Dla mnie w Barrington. Widzisz, jak to działa?

Widziała zbyt dobrze.

– Brakuje nam pieniędzy? – zapytała ostrożnie.

– Nie.

– Dlatego się przeprowadziliśmy?

– Skądże. Mamy więcej, niż nam potrzeba. Przeprowadziliśmy się, bo nie chcę głupio wyrzucać pieniędzy. Ty chyba też tego nie chcesz.

– Nie.

– To dobrze. Oboje chcemy tego samego.

Gdzie ona się teraz podzieje? Salva już nie ma.

3

– Możesz spróbować nie denerwować się na mnie przez cały dzień? – zapytał Harry, gdy wściekła sprzątała mieszkanie pewnego grudniowego wieczoru. Aleksander już spał.

– Akurat w tej chwili nie myślę o tobie – odparła Gina. – Mój brat odszedł.

– Bardzo mi przykro. Naprawdę...

– Gdybyś przestał ciągać naszego syna na swoje burzliwe spotkania nawołujące do pokoju, byłabym mniej zdenerwowana.

– Nie nawołuję do pokoju. Nawołuję do rewolucji.

– I właśnie dlatego jestem stale zdenerwowana.

Ukrywała się przed wszystkimi – przed przyjaciółkami, przed szwagierką. Jak mogła to znieść? Chciała tylko krzyczeć. Zawarli z Harrym rozejm i przestali się kłócić, gdy gratulowali sobie sprzedaży Bellagrand i uciezki przed katastrofą, którą byłoby skorzystanie z milionów oferowanych przez Jenkinsa. Łącząca ich na nowo więź okazała się jednak krótkotrwała. Jak radość. Jak wszystko.

– Kiedy stałeś się tak ideologicznie nieugięty? – zapytała, gdy znalazła go przy oknie pogrążonego w rosyjskich książkach, podczas gdy ona niczym pacjent szpitala psychiatrycznego raz po raz wycierała ten sam drewniany stolik do kawy, starając się nadać mu połysk.

– O co ci chodzi? Zawsze taki byłem.

Spojrzała na niego sceptycznie, ale zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście zawsze taki był, a ona tego nie zauważyła.

– Wiedziałaś, że moja siostra zabiera naszego syna na wycieczki po Bostonie z naszym dawnym przyjacielem Benem?

Wiedziała, ale nie chciała o tym rozmawiać. Dlaczego Esther to robiła? Dlaczego przedstawiła Aleksandra Benowi? Po co? Żeby namieszać? Było jednak tyle drobiazgów, które wywoływały u Giny bolesny ucisk w żołądku, że ta tajemnica pozostała niewyjaśniona. Nie pytała o to Esther. Nie obchodziło jej to.

– Aleksander zaprosił go na kolację – powiedział Harry.

– Kiedy przyjdzie?

– Żartujesz, prawda?

– Tak.

– To przestań. Nie jesteś zabawna.

– Ale jest tyle tematów do żartów. Widzę, jak się tu sprawowałeś, gdy ja szukałam brata. Zostawiałeś naszego siedmioletniego syna samego w domu. Trafiłeś razem z nim do aresztu oskarżony o przestępstwo. To wszystko jest bardzo zabawne.

Harry spojrzał na nią lekceważąco.

– I co z tego? Wojna się skończyła. Wynajmę dobrego prawnika przed przesłuchaniem w przyszłym miesiącu. Będzie dobrze.

- A potem co? Skończysz z tym?
- Z czym mam skończyć? Z dziełem mojego życia? Nigdy.

Gina rzuciła niepotrzebną ściereczkę, chwyciła swoją książkę i ruszyła w stronę sypialni.

- No to wynajmij tego prawnika na stałe – powiedziała.

Przysiadła na łóżku Aleksandra. Leżał przykryty ciężką kołdrą. Spał? Otworzył oczy i patrzył na nią, nie mrugając w bladym świetle wpadającym z ulicy.

- Jak długo na mnie patrzysz, mammo?

- Prawie osiem lat, *caro*.

Usiadł i przytulił ją.

- Nie martw się z powodu swojego brata. Proszę. Obiecasz, że nie będziesz już smutna?

Otarła twarz za jego plecami, żeby nie widział łez.

– Dobrze, słoneczko, *mio amore, mio amato figlio*. – Przytuliła go mocno, pocałowała w głowę, lecz to on poklepywał ją po plecach, jakby chciał powiedzieć: No już, już.

– Pomagałeś tatusiowi, gdy mnie nie było? – Poglądziła go po policzku. – I byłeś grzeczny dla cioci Esther?

– Oczywiście. Nie mów tacie, ale... – Aleksander zniżył głos. – Ben, przyjaciel cioci, dał mi rewolwer! Rewolwer!

- Powiedziała mi. Trzymaj go w Barrington.

– Wiem. Zostanie tam. Wiesz, co robiliśmy z tatą, gdy cię nie było? Nauczył mnie grać w hokeja!

- Naprawdę?

– Tak. Nie tylko nas aresztowali. Choć to było ciekawe. Umiałem już jeździć na łyżwach, a tato kupił nam dwa kije i krążek i poszliśmy do Matthews Arena. Było tak zabawnie! Musisz przyjść popatrzeć. Tato mówi, że jestem dobry. Powinienem dołączyć do drużyny hokejowej, kiedy pójdę do szkoły. Mogę być tak dobry jak Kanadyjczycy.

- Mam nadzieję, że lepszy.

– Bruins grają znów w przyszłym tygodniu. Chcesz iść z nami na mecz? Ale może być ostro. Czasem leje się nawet krew. Wytrzymasz?

- Dam sobie radę.

- Wiesz, co tato mi powiedział?

- Nie, *il mio cuore*. – Odgarnęła mu włosy z twarzy. – Co ci powiedział?

– Że Szwedzi mogą wygrać na olimpiadzie w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku. Powiedział, że są prawie tak dobrzy jak Kanadyjczycy.

– To muszą być naprawdę dobrzy. – Położyła go i przykryła. – Już późno. Nie wiem, czemu jeszcze nie śpisz.

- Bo przyszłaś tu i patrzyłaś na mnie, aż się obudziłem i zacząłem z tobą rozmawiać.

Pochyliła się.

- Kto jest moim ukochanym?

– Ja, ja. Ale mammo, nie złość się na tatę za to aresztowanie. Był wspaniały, krzyczał na policję. Był odważny. Wcale się ich nie bał. – Uśmiechając się na to wspomnienie, Aleksander przykrył się kołdrą po szyję. – Jak żołnierz.

Policji nie spodobały się wykrzykiwane przez Harry'ego hasła i kazała się ludziom rozejść. Harry namawiał, żeby nie słuchali. Wrzeszczał, że mają przewagę liczebną. Za to został zatrzymany razem z Aleksandrem. Oskarżono go nie tylko o nawoływanie do buntu i zakłócanie porządku, lecz również o stawianie oporu policji. Znalazł sobie świetnego prawnika, który w tajemnicy był członkiem Frontu Zjednoczenia. Prawnik podjął się obrony Harry'ego, lecz kilka tygodni później zrezygnował bez słowa wyjaśnienia i zwrócił całą zaliczkę.

Kiedy Harry postanowił spotkać się z nim i odwiedził go w domu, usłyszał, że w kręgach prawniczych obrona Harry'ego Barringtona jest jednoznaczna z przypięciem sobie w klapie odznaki jego partii. Prawnik stracił już sześciu klientów, a jego kancelaria otrzymała kilkanaście listów, których nadawcy grozili, że zrezygnują z jej usług. Jeśli będzie nadal bronił Harry'ego, straci kancelarię. Nie mógł sobie na to pozwolić, pomimo łączących ich więzów ideologicznych. Było mu bardzo przykro. Kiedy Harry do niego przyszedł, prawnik miał na sobie szyty na miarę wieczorowy garnitur i złote spinki. Wypolerowane buty. Mieszkał w przestronnej rezydencji niedaleko Newbury Street, większej nawet niż poprzedni dom Harry'ego.

Po kilku tygodniach poszukiwań Harry wyznał Ginie, że staje w obliczu trudności, których nie przewidział. Nie miał pojęcia, jak trudno będzie znaleźć prawnika o socjalistycznych przekonaniach na tyle mocnych, by umiał się oprzeć naciskom burżuazji.

Gina, która uparcie wycierała stolik i odkurzała półki, powiedziała, by szukał dalej.

Próbował. Odmawiano mu wszędzie, gdzie się zwrócił. Wszyscy twierdzili, że nie zamierzają ściągać na siebie kłopotów, które szły razem z nim.

– Kiedy stał się pan taki ostrożny? – zapytał Harry oskarżycielskim tonem siódmego z rzędu prawnika, który mu odmówił.

– Mam dobre życie – odparł adwokat. – Dlaczego miałbym ryzykować? Proszę sobie znaleźć kogoś, kto spaprał sobie życie jak pan.

– Moje życie wcale nie jest spaprane – odparł zaskoczony Harry.

– Naprawdę? Przychodzi pan do mnie pod osłoną ciemności. Dlaczego nie przyjdzie pan za dnia do mojej kancelarii?

– Nie chcę zdenerwować pańskich szefów. Będą wywierać na pana nacisk, żeby pan odmówił.

– Ale w końcu dowiedzą się, że pana bronię, prawda? Ktoś zobaczy nasze nazwiska na wokandzie.

– Tu nie chodzi tylko o to, by bronić mnie – argumentował Harry. – Lecz by bronić praw człowieka.

– Mogę w to wierzyć w klubie dla dżentelmenów – powiedział prawnik, cofając się do wnętrza domu. – Ale nie wierzy w to moja wypłata.

Z pomocą przyszła mu Gina. Pojechała pociągiem do Cambridge, poszła do gmachu inżynierii w kampusie Harvardu i poprosiła o spotkanie z Benem Shawem. Nie zdziwił się ani nie okazał niezadowolenia na jej widok. Wyszli razem na mroźne powietrze. Styczeń w Bostonie był wyjątkowo dotkliwy.

– Nie musimy spacerować, Ben. Możemy zostać w holu – powiedziała, ukrywając drżenie.

– Nie, przejdźmy się trochę.

– Przynajmniej nie pada śnieg.

– Ale śnieg sprawia, że wszystko wydaje się nowe.

Nie odpowiedziała nawet oddechem, gdy przeszli przez Cambridge Street i weszli na Harvard Yard.

– Słyszałam o twojej wyprawie z Esther i Aleksandrem – zaczęła po chwili Gina, pragnąc zmienić temat.

– Trudno to nazwać wyprawą. Byliśmy po drugiej stronie ulicy od twojego domu. – Ben zawiesił głos. – Harry nie był zachwycony?

Pokręciła głową.

– Ani tobą, ani Esther i Aleksandrem, i z pewnością nie mną, choć byłam ponad dwa tysiące kilometrów stąd.

– Może gdybyś była blisko, nie doszłoby do tego.

– Dokładnie tak ujął to Harry.

Przez kilka chwil szli w milczeniu.

– Myślałam, że podpisałeś kontrakt na trzy lata – powiedziała w końcu Gina. – Postanowiłeś zostać?

Ben wzruszył ramionami.

– Profesura na Harvardzie kusi. Ingersol przyzwyczaiła się już do mieszkania tutaj. Zimą zostawia mnie na cztery miesiące i wraca do Colon z córkami.

– Zostawia cię na Boże Narodzenie?

– Niezbyt miłe z jej strony, prawda?

– Raczej tak. Jest teraz w Panamie?

– Do marca.

Gina miała nadzieję, że odwiedzanie Bena pod nieobecność jego żony i dzieci nie obróci się przeciwko niej.

– Co się dzieje, Gia... Gino? – Szybko się poprawił. – Wszystko w porządku?

Opowiedziała mu o kłopotach, które sprowadziły ją do Harvardu.

– Harry wyczerpał już wszystkie możliwości. Przykro mi, że cię tym obarczam. Przez prawie dwa miesiące próbował wynająć adwokata, ale nie może znaleźć nikogo, kto chciałby go reprezentować, a przesłuchanie odbędzie się w przyszłym tygodniu. Odkładaliśmy je już dwa razy, ale na tym kończy się świąteczna łaska. Od dziś za siedem dni musi się stawić w sądzie. I co ma zrobić? Sam się bronić?

– Wie, że tutaj jesteś? Bo powiedziałem mu, żeby do mnie przyszedł, jeśli będzie czegoś

potrzebował.

Pokręciła głową.

– Znasz go, duma nigdy mu na to nie pozwoli.

– Tak myślałem. – Zamilkł na chwilę. – Nie mógł znaleźć nikogo, bez względu na kwotę, jaką proponował?

– Prawników odstrasza wizja zawodowego samobójstwa. Musielibyśmy im płacić do końca życia, gdyby z jego powodu stracili pracę i nie mogli znaleźć innej. To przypominałoby ochronę Cosa Nostry.

Roześmiał się.

– Zawsze znajdujesz takie trafne porównania. Ale dlaczego sądzisz, że budowniczy kanału i profesor Harvardu zna prawnika na tyle chciwego lub pozbawionego skrupułów, że przyjmie taką sprawę, bez względu na konsekwencje dla swojej reputacji?

– Człowiek, który rozsuwa góry? – Uśmiechnęła się. – Do kogo innego mogłabym się zwrócić?

Ben skinął głową. Wyglądał na zadowolonego, że go o to poprosiła.

– Rozumiem trudne położenie Harry'ego. Co wykrzykuje do mężczyzny na ulicy, do kobiety na wózku w Haymarket? Jeśli chce, żeby ktoś go reprezentował, musi znaleźć człowieka, który albo nic o nim nie wie, albo rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy. Najlepiej jedno i drugie. – Podał Ginie nazwisko: James Domarind. – Jest absolwentem Boston College. Studiował biologię, lecz kiedy zmarła jego matka, nie chciał mieć więcej do czynienia z próbkami. Przyszedł więc na prawo na Harvardzie. Zaliczył u mnie kurs inżynierski, żeby spełnić wymagania do dyplomu.

– Dlaczego sądzisz, że nam pomoże?

– Bo był jeszcze na pierwszym roku, gdy zaczął rozdawać laminowane wizytówki. Pomyślałem, że to świadczy o jego zuchwałości. Mam jedną w portfelu. Byłem pod wrażeniem. – Ben wyjął wizytówkę i podał ją Ginie. – Pracuje w małej kancelarii przy Boylston. Specjalizuje się w prawie rodzinnym, ale to chyba można pod nie podciągnąć.

– Tak – zgodziła się Gina. – Chodzi o to, żeby rodzina została razem.

– No właśnie. – Ben urwał, jakby ważył następne słowa.

Teraz, gdy miała już nazwisko, chciała się pożegnać i pędzić dalej, żeby nie zobaczył jej nikt, kto zna Harry'ego.

– Wiesz, że widziałem go parę tygodni temu? – zagadnął Ben. – Był tutaj, w Cambridge, i nawoływał do walki. Był bardzo zdeterminowany mimo zimna. I tłum bardzo dobrze reagował.

– Widział cię?

Ben pokręcił głową.

– Stałem z tyłu. Chciałem się potem przywitać, ale... – Westchnął. – Nie wyglądał na gotowego na to spotkanie.

– I co pomyślałeś?

– O czym?

– O Harrym. Że stał się jak Eugene Debs. Nawraca na rogach ulic.

Ben nie od razu odpowiedział.

– Coś się z nim stało – przyznał w końcu. – Zawsze był fascynujący i nadal nie można

mu tego odmówić. Ale kiedyś był pogodny, swobodny, spokojny. Teraz słyszałem tylko pogardę. Szczerze mówiąc, to było trochę nudne. Nawet jeśli się z nim zgadzasz, chcesz tylko, żeby się zamknął. Rzuca same frazesy. Biznes jest zły, zysk jest zły, pieniądze są złe, materializm, pogoń za bogactwem. Ludziom trudno to popierać, nawet studentom, a wiesz, że oni poprą wszystko. Kiedyś był dowcipny. Żartował z samego siebie.

– Już nie żartuje. Od dawna. – Spuściła głowę. Od czasu powrotu do Bostonu.

– Jest ponury, a to odstrasza. Powtarza stale, że system nie działa. A jednak większość ludzi, którzy go słuchają, pracuje!

– Nie na Harvardzie.

– Studenci, zgoda, ale inni? Bankierzy, drobni przemysłowcy, dyrektorzy hoteli, księgowi, inżynierowie. Profesorowie. Boston kwitnie, inwestuje, przebudowuje się. Wszyscy mają nowe samochody, domki na wsi, srebrne rowery, skórzane sofy. Posyłamy dzieci do prywatnych szkół. Jeździmy na Cape Cod na Boże Narodzenie i w sierpniu. Tańczymy. Jedynym minusem jest prohibicja. Prohibicja i Harry to dwie rzeczy, które nas przygnębiają, i to z tego samego powodu: są pozbawione radości.

Gina chciała się rozeźmiać, lecz nie zrobiła tego. Nie mogła się zgodzić – nie mogła stanąć po stronie Bena przeciwko mężowi, któremu przecież próbowała pomóc. Ale nie mogła się też całym sercem nie zgodzić.

– Czy rewolucja miała kiedykolwiek coś wspólnego z radością? – zapytała.

– Nieważne – odparł Ben. – To tylko moja obserwacja. Poradź mu, żeby się trochę rozchmurzył. A jego obecną sytuację naprawimy. Gwarantuję ci, że Domarind przyjmie tę sprawę. Będzie idealny.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo myśli tylko o sobie. Poza tym nie dba o nikogo. Harry na pewno ci powie, jeśli już nie powiedział, że kapitalistyczne sumienie mieści się nie w sercu, lecz w książeczce czekowej.

– Rzeczywiście powiedział.

– Kapitalizm to system, który czerpie zyski z nieszczęścia milionów.

– To też słyszałam.

– Cała ironia polega na tym – ciągnął Ben, gdy zatrzymali się na przystanku przy Harvard Square i zdjął kapelusz, by się pożegnać – że ten właśnie system uchroni Harry'ego przed więzieniem. Bo James Domarind będzie czerpał zysk z nieszczęścia twojego męża.

6

Ben miał rację. Domarind, potężny, niezgrabny mężczyzna z wielkim brzuchem i przeredzonymi włosami, które starannie zaczesywał na prawą stronę, nie pytał o rewolucję, materializm dialektyczny czy gospodarkę nakazową. Kiedy Gina i Harry spotkali się z nim w małej, cuchnącej kancelarii nad sklepem z eleganckim obuwiem przy Boylston, uważnie przestudiował raport policyjny. Omówił z Harrym wszystkie

najdrobniejsze szczegóły, podczas gdy Gina siedziała w milczeniu, starając się nie myśleć o tym, jakie śliczne rzeczy mogłaby kupić na dole. Zauważyła zielone zamszowe czółenka z klamerkami. Może był jej rozmiar? Czy mogła ich przeprosić, powiedzieć, że wróci za chwilę?

Domarind miał na sobie garnitur wyprasowany przez tydzień lub dwa, a jego buty, na pewno niekupione w sklepie na dole, wyglądały na kiedyś pastowane. Na biurku piętrzył się wysoki niemal na metr stos papierów i szarych kopert.

Kiedy się przedstawili, pierwsze zdanie, które wypowiedział do niego Harry, brzmiało:

– Wszyscy się boją, bo rosyjska rewolucja zwiastuje rychły koniec starego porządku.

– Może dlatego tak bardzo chcą pana wtrącić do więzienia, panie Barrington – odparł Domarind. – Żeby mogli pożyczyć trochę dłużej.

Kiedy przeczytał oskarżenie i wysłuchał długiej wersji Harry’ego, zapytał:

– To wszystko? Czy są jakieś inne incydenty, o których powinienem wiedzieć?

– To wszystko.

Domarind gryzł ołówkę. Nie patrzył na Harry’ego ani na Ginę, tylko na leżące przed nim papiery.

– Kiedy zadzwonił pan parę dni temu – zaczął – chciałem lepiej poznać człowieka, z którym miałem się spotkać, zapytałem więc na policji, czy mają jakieś inne raporty w pana sprawie. – Zakaszła. – Jak pan sobie wyobraża, byłem zaskoczony obszernym zapisem pańskiej działalności, który otrzymałem z policji, biura prokuratora okręgowego i z sądu. Działalności sięgającej piętnaście lat wstecz i do innego miasta.

– To dawne sprawy – powiedziała Gina, odrywając się od myśli o butach.

Domarind skinął głową.

– Oczywiście, proszę pani. Możliwe. Z wyjątkiem... – Znów zakaszła. I nadal unikał kontaktu wzrokowego. – Dawną sprawą nie jest z pewnością drobny incydent z tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku, kiedy pan Barrington przebywał pod nadzorem sądowym za poważne przestępstwo określane ustawą szpiegowską, kiedy oskarżono go o rozprowadzanie wywrotowych...

– To niemożliwe – przerwała mu Gina. – Harry nie naruszał prawa od powrotu do Bostonu.

Harry się nie odezwał.

– Harry?

– To była drobnostka! – wykrzyknął w końcu.

– Zgadza się – odparł Domarind. – Tyle tylko że nie wolno panu było w najmniejszym stopniu naruszyć warunków nadzoru. – Rozłożył pytająco ręce. – Proszę mi więc powiedzieć, jak się pan wykręcił od więzienia?

Gina widziała, że Harry nie ma ochoty się przyznać.

– Zapłaciłem dwóm policjantom, żeby zrezygnowali z oskarżenia – wyznał w końcu. – Nie pamiętam, ale chyba pojechali na długi urlop na Barbados czy do St. Croix na czas przesłuchania, a bez nich nie było sprawy.

– Dobra robota. – Domarind skinął głową z aprobatą. – Wakacje w tropikach dla dwóch gości i po sprawie. Niestety w kartotece zostały dokumenty, bardzo obszerne. I prokurator je znalazł. Nawet nie musiał długo szukać.

– Co to oznacza? – zapytała Gina.

– Oznacza – odparł Domarind – że prosta sprawa pani męża o zakłócenie porządku nieco się skomplikowała. Gdyby trzymał się z dala od kłopotów, incydent z tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku poszedłby w zapomnienie. Ale teraz stał się poważnie obciążający. Już oskarżono pana o przestępstwo regulowane ustawą szpiegowską za nawoływanie do obalenia rządu Stanów Zjednoczonych.

– Nie nawoływałem. Tylko zalecałem.

– Po popełnieniu przestępstwa, którym było naruszenie warunków nadzoru sądowego, postanowił pan zalecać tłumowi cywilów, by chwycił za broń przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych? Innymi słowy zalecał pan rewolucję?

– Proszę się nie martwić. Od dziś dam sobie spokój z rewolucją.

Gina na dobre zapomniała o zielonych butach i siedziała przytłoczona szumem dalekiego oceanu. Czuła się tak, jakby z jej domu wiatr zerwał dach. Huragan przez cały czas był tuż za nią, a ona nawet o tym nie wiedziała.

Usłyszała, jak Domarind mówi, że zrobi co w jego mocy, i patrzyła, jak Harry wypisuje czek na zaliczkę.

W milczeniu ruszyli w stronę domu. Wreszcie odezwał się Harry.

– Roznoszę rankami gazetę. Żeby trochę zarobić.

– Na to nam przyszło? Potrzebujemy pieniędzy z roznoszenia gazet?

– To dodatkowe fundusze. Na nieprzewidziane wydatki.

– Jaką gazetę? „Globe”?

Chrząkał przez chwilę.

– „Daily Worker”.

– „Daily Worker” – powtórzyła. – Postawiono ci zarzuty działalności wywrotowej, podżegania do rewolucji, możliwe, że zdrady, a ty sprzedajesz szmatławiec partii komunistycznej, żeby im udowodnić, że nie popełniłeś żadnego przestępstwa?

– Poważnego przestępstwa. Wierzę głęboko, że wolność prasy nadal jest chroniona prawem. Proszę cię, żebyś się nie martwiła. Proszę. Nie jest tak jak dawniej. W ciągu paru ostatnich lat Partia Robotnicza przegrupowała się. Nie zalecamy już obalenia rządu. Kładziemy nacisk na inne sprawy. Koncentrujemy się teraz na rekrutowaniu nowych członków, a nie na prowadzeniu kampanii zmierzającej do natychmiastowej zmiany. Nie jest już tak wybuchowo. Wszystko jest dobrze. Nie martw się więc tak bardzo, dobrze? – Pocałował ją. – Idę do biblioteki.

Gina wróciła do domu i obsesyjnie sprzątała małe mieszkanie do czasu, gdy trzeba było odebrać Aleksandra ze szkoły.

*

Domarind prosił o jedno odroczenie po drugim, aż wreszcie trafił na sędziego, o którym wiedział, że ma mnóstwo pracy i jest tuż przed emeryturą. Adwokat zacytował pierwszą i czwartą poprawkę na poparcie swojego argumentu, że oskarżenie postawione jego

klientowi powinno zostać oddalone. W cudowny sposób sędzia przychylił się do jego wniosku. Sprawę oddalono.

– Bardzo proszę – powiedział Domarind na schodach gmachu sądu. – Ale słyszał pan sędziego Cockery. Musi się pan trzymać z dala od placów. Nastroje społeczne nie sprzyjają komunistom.

– Oczywiście. Ma pan rację.

Dwa miesiące później Harry’ego znów aresztowano, tym razem za pośrednie podburzanie do przemocy w artykule, który napisał dla „Daily Worker”.

– Nie podburzałem do przemocy – przekonywał Domarinda. Tym razem poszedł do niego sam.

– Cytował pan Berkmana i Goldmana?

– Tak, ale...

– Napisał pan, że każdą istotną zmianę można wprowadzić tylko siłą?

– Cytowałem ich! To nie moje słowa.

– Harry, proszę. Nie zwiedzie pan nawet żony, która, jak widzę, dziś panu nie towarzyszy.

– Musiała się zająć synem.

– Nie zwiedzie pan też sądu.

– Niech pan załatwi tego samego sędziego co ostatnio.

– Niestety, Dockery’ego przeniesiono do Boise.

– Boise... w Idaho?

– A jest jakieś inne?

– Czy to jakiś szyfr?

– Dockery przeszedł na emeryturę.

– To niech pan mi znajdzie sędziego socjalistę!

– Bo tu w Bostonie jest ich mnóstwo.

– Wie pan, że są. Max Eastman nie odsiedział wyroku za naruszenie pierwszej poprawki w „The Masses”. Kto był jego prawnikiem?

Domarind nie podjął rękawicy.

– Czy Max Eastman miał nadzór sądowy?

– Nie mam nadzoru!

– Oczywiście, że pan ma. Cockery oddalił ostatnią sprawę bez przedawnienia.

– Zgadza się. Myślałem, że to oznacza, że nie można jej wznowić.

– Niedostateczna wiedza to niebezpieczna rzecz. Powinien pan słuchać uważniej, Harry. To znaczy coś wręcz przeciwnego. Bez przedawnienia oznacza, że mogą wznowić sprawę w każdej chwili, gdy dojdzie do naruszenia warunków nadzoru. Czyli teraz. Otworzą starą i dołożą do niej nową. Plus zerwanie warunków nadzoru i długa na kilometr lista wykroczeń. Zarzuty rosną i rosną.

– W porządku, to mały błąd z mojej strony. Co teraz zrobimy?

Domarind wyglądał na znużonego.

– Kiedy pójdzie pan na przesłuchanie, proszę sprawić, by żona nie musiała zajmować się synem, lecz stała u pana boku. Nie wygląda to dobrze, gdy ktoś, kto jest żonaty, zjawia się sam. Tak naprawdę wygląda to bardzo źle.

– Rozumiem.

– Proszę ją wszędzie ze sobą zabierać. Rozumie pan? Kiedy wypowie pan choć jedno słowo publicznie, ona musi stać przy panu, trzymać pana pod rękę i wyglądać jak elegancka księżniczka z Beacon Hill.

– Zrozumiałem za pierwszym razem.

Gina zgodziła się trwać przy Harrym, lecz dzień przed następnym przesłuchaniem wszyscy zostali aresztowani: Harry, Gina i Aleksander. Byli w Waszyngtonie i protestowali przed Białym Domem. Harry odmówił opuszczenia Parku Lafayette’a, a Gina i Aleksander, którzy stali blisko niego, ucierpieli jak ludność cywilna w czasie wojny.

– To nie ta sama jurysdykcja – powiedział Harry do Domarinda. – Jak można to wykorzystać przeciwko mnie?

– Proszę to powiedzieć Frankowi i Jesse’emu Jamesom.

– Prawo raczej nie dosięgło żadnego z nich – mruknął Harry.

Domarind zamrugnął oczami.

– Ach tak, zapomniałem. W porządku, więc będzie pan najmądrzejszą osobą w więzieniu Liberty. Tego pan chce? Może pan mieć ostatnie słowo w tej sprawie.

– Nie chcę trafić do więzienia.

– To nie jest takie oczywiste, Harry. A co z pańską żoną?

– Moja żona nie może iść do więzienia w żadnym wypadku.

*

Po miesiącach legalnych procedur Domarind przekonał prokuratora okręgowego do ugody. Harry dostał dwa lata w zawieszeniu, sześć miesięcy nadzoru, skazano go również na czterysta godzin pracy społecznej przy sprzątaniu parku. Odwołał się tylko od pracy społecznej, utrzymując, że nie będzie mógł pracować i jednocześnie sprzątać. Kiedy zapytano go, czym się zajmuje, odparł, że opiekuje się synem, gdy jego żona pracuje w Bibliotece Bostońskiej i misji świętego Wincentego. Sędzia zmniejszył wyrok do stu godzin, które Harry miał przepracować w weekendy, gdy żona jest w domu. Nikt nie sprawdził, czy Gina rzeczywiście pracuje w bibliotece i jest wolontariuszką w misji.

– Teraz kłamiesz w sądzie, Harry? – zapytała, gdy wracali do domu. – To się chyba jakoś nazywa?

– Muszę zredagować i skrócić *Praktykę i teorię bolszewizmu* Bertranda Russella do serii artykułów, które będziemy drukować przez następne osiem tygodni. Nie mogę zamiatać śmieci.

Niecałe trzy miesiące później znów go aresztowano. Tym razem głośno i ostro protestował przeciwko blokowaniu pierwszej poprawki – ustawa szpiegowska, ustawa o działalności wywrotowej i proces Schenck przeciwko Stanom Zjednoczonym mogły iść do diabła. Kraj nie jest w stanie wojny. Celem pierwszej poprawki nie jest ochrona słów, z którymi się zgadzasz, wrzeszczał Domarind ze swojego miejsca, lecz słów, z którymi się nie zgadzasz. Tym razem nie było mowy o rewolucji ani zdradzie. Harry prezentował tylko niewinne słowa Trzeciej Międzynarodówki. Harry i Gina mieli gorącą nadzieję, że nikt w sądzie tak naprawdę nie wie, że Trzecia Międzynarodówka i Komintern są aparatem

radzieckiej kontroli nad międzynarodowym ruchem komunistycznym. „Jednoczcie się”[20] było taką dobrą radą. Nie było podburzaniem! Miało wiele pozytywnych konotacji. Przecież nawet Stany Ameryki były zjednoczone!

Bostoński sędzia zarzucił Domarindowi obrazę sądu i nie zgodził się na oddalenie wniosku. Domarind przeniósł sprawę do okręgowego sądu apelacyjnego, a potem do Federalnego Sądu Apelacyjnego Dystryktu Massachusetts. Następny był Sąd Najwyższy, a Domarind był rozpalony jak żelazo. Sąd Federalny odrzucił jednak pierwotne oskarżenie podburzania i orzekł, że choć Harry był pod nadzorem sądowym, nie oznacza to wcale, że można gwałcić prawa, które gwarantuje mu pierwsza poprawka.

Gina na moment odetchnęła z ulgą.

7

Przestali otrzymywać zaproszenia na kolacje, śluby i zaręczyny. Jak krótkie było życie w białych rękawiczkach, pomyślała Gina, odprowadzając Aleksandra jak każdego ranka do szkoły Park Street.

Coraz rzadziej umawiały się na lunch z Meredith, a potem w ogóle przestały się spotykać. Meredith tłumaczyła się innymi zobowiązaniami, lecz pewnego popołudnia, gdy odwołała spotkanie, a Gina szła Beacon Street, dostrzegła przyjaciółkę w kawiarnianym ogródku. Popijała herbatę z inną damą z Beacon Hill i głośno się śmiała. Gina przeszła obok niej z podniesioną głową, uśmiechając się promiennie, jakby to ona znakomicie się bawiła.

Kiedy opowiedziała o tym Harry’emu, roześmiał się. Krzyżyk na drogę, powiedział. Kto ich potrzebuje? Nigdy ich nie lubiłem.

Mieli teraz wolne weekendy i sobotnie wieczory.

Pewnego ranka, gdy Gina, odprowadziwszy Aleksandra, szła Beacon Street, zauważyła dwie znajome, który zmierzały w jej stronę. Były jeszcze dość daleko i rozmawiały. Patrzyła oniemiała, gdy nie przerywając rozmowy, przeszły na drugą stronę ulicy, by się z nią nie przywitać ani nawet jej nie minąć.

– Wyobraziłaś sobie tylko – powiedział Harry. – Rozdmuchujesz całą sprawę.

Podobne incydenty powtarzały się jednak raz po raz. Ignorowali ją wszyscy: młodzi i starzy, bogaci i klasa pracująca, kobiety i mężczyźni – wszyscy. W szkole Aleksandra inne matki przestały z nią rozmawiać. Kiwały głowami, gdy się z nimi witała, niektóre nawet się uśmiechały, ale potem szybko się odwracały i odchodziły, jakby były bardzo zajęte lub przypominały sobie, że właśnie w tej chwili muszą załatwić coś bardzo ważnego. Zupełnie jakby nosiła na piersiach szkarłatną literę, a może dwie. ŻK. Żona Komunisty.

– Wydaje ci się – powiedział Harry. – Nie wpadaj w paranoję.

Wymyśliła test. Przez miesiąc nie odzywała się do nikogo w szkole Aleksandra. I nikt nie nawiązał z nią rozmowy, nawet o bostońskiej pogodzie.

Aleksandra nie zapraszano już do domów innych dzieci, nie było przyjęć urodzinowych, pierwszych komunii, pieczenia ciasteczek, zabaw w parku. W maju 1928 roku, kiedy

wysłała dwanaście zaproszeń na jego dziewiąte urodziny, wszystkie wróciły z odmowną odpowiedzią. Zabrali więc Aleksandra i jego przyjaciół z Barrington, Teddy'ego i Belinę, na wyprawę w White Mountains. I świetnie się bawili. Na Harrym nadal nie robiło to żadnego wrażenia.

– Chciałaś się przyjaźnić z nimi?

– Chciałam się przyjaźnić z kimkolwiek – odparła Gina. Brakowało jej spotkań towarzyskich, tańców, imprez charytatywnych, pracy w szpitalu.

Harry patrzył na nią z dezaprobatą, gdy narzekała.

– Czy naprawdę wszystkie twoje pragnienia stały się tak przyziemne?

Wydawało jej się, czy tłumy słuchające Harry'ego rzeczywiście rzedniały?

Ben miał rację. Harry był utalentowanym mówcą, ale tracił słuchaczy. Stale powtarzał, że system trzeba całkowicie przebudować. Jednak większość ludzi tego nie chciała, nawet w sobotę w parku. Wyjeżdżał więc z Bostonu: do Bedford, Gloucester, Lexington, Darlington Heights. Gina i Aleksander jeździli z nim w nadziei, że uchronią go przed aresztowaniem. Z jakiegoś powodu jego twarda retoryka mniej prowokowała policję, gdy u jego boku stała elegancka żona i uśmiechnięte dziecko.

Niebawem także i tłumy poza Bostonem straciły entuzjazm. Trudno się było dziwić. Harry powtarzał słuchaczom, że muszą cierpieć, zanim dostaną to, czego potrzebują. Ale nie potrafił odpowiedzieć na wykrzykiwane pytanie, jak długo ma trwać to cierpienie.

– Zrażasz słuchaczy – powiedziała Gina po jednym ze szczególnie nieudanych wyjazdów. Są tylko słuchaczami, prawda?

– Nie obchodzi mnie to – odparł. – Wiem, że niełatwo jest słuchać tego, co mam do powiedzenia. W końcu otrzeźwieją.

Gina ugryzła się w język.

– Aleksandrze! Zejdź z huśtawki. Wiem, że niełatwo jest słuchać tego, co mam do powiedzenia. Ale autobus czeka.

– Dobre czasy się skończą! – wykrzykiwał Harry w następnym kazaniu w sobotni rano na Common w Watertown. – I co wtedy? Tak, teraz jest dobrze. Ale nie zawsze tak będzie. Spójrzcie na Miami. Widzieliście, co się tam stało? To się wydarzy wszędzie. I co zrobicie, gdy skończą się pieniądze? Dokąd się zwrócicie? Kto wam pomoże?

– Kiedyś się polepszy! – odkrzyknął ktoś. Zawsze ktoś odpowiadał krzykiem. – Jeśli ma być po twojemu, dobre czasy skończą się na zawsze.

– Żaden gospodarczy boom nie może trwać wiecznie! – grzmiał Harry. – Jeśli historia czegoś nas nauczyła, to właśnie tego.

– Według ciebie już nigdy nie doświadczymy boomu gospodarczego.

– Nieprawda. To będzie koniec niesprawiedliwości! Koniec gospodarczego niewolnictwa! Koniec wojny! Będziecie zbierać owoce swojej ciężkiej pracy. Nie będziecie głodni.

– Wolni też nie. – Krzykacz nie ustępował.

– Co wolicie mieć: chleb czy wolność?

– Nie samym chlebem żyje człowiek! – krzyknęła jakaś kobieta. Coraz więcej osób włączało się do wymiany zdań.

Gina wspięła się na palce, by zobaczyć tę kobietę. Jej głos brzmiał jak głos Giny, ona też mogła to powiedzieć.

Harry zastanawiał się nad odpowiedzią.

– A co zrobicie, gdy chleb się skończy?! – krzyknął.

– Rzuć się ze skały, na której stoisz – odrzyknęła kobieta. – Pokaż nam, jak państwo ci pomoże.

– Mogę się rzucać ze skały do nadejścia Królestwa – odparł Harry – ale wy nadal nie będziecie mieli pracy. Do kogo się zwrócicie? Na kogo możecie liczyć, gdy w mieście zabraknie pracy? Zostaniecie sami. Czy w takim kraju chcecie żyć? To nie jest Ameryka, w którą wierzę!

– Do rynsztoka! – krzyknął mężczyzna, najwyraźniej też uzdolniony oratorsko. – I zabierz ze sobą swoje miliony! Po twojemu będziemy żyć w jarzmie. Kto tego chce?

– Będziecie mieli chleb!

– Wolimy umrzeć niż żyć w jarzmie. Wolimy głodować.

Słuchajcie, słuchajcie, mrucał niespokojny tłum. Słuchajcie, słuchajcie.

Zupełnie do nich nie trafiał.

– Harry – odezwała się Gina, gdy wracali autobusem do domu. Obejmowała ramieniem śpiącego Aleksandra. – Wiesz, dlaczego nie potrafisz ich przekonać? – Żałowała, że nie może zasnąć wszędzie jak synek.

– Nie są gotowi, by przyjąć moje przesłanie – odparł ze znużeniem.

– Nie. Bo twoje marzenia są totalitarne. To nie jest model dla Ameryki. To nie jest odpowiedni kraj. – Pragnąc złagodzić swoje słowa, dodała: – Może jakiś inny. Może Rosja.

– Tak! – wykrzyknął, jakby ta myśl przyszła mu do głowy dopiero wtedy, gdy w letni wieczór w autobusie wypowiedziała ją Gina.

– To była ironia – powiedziała, marszcząc brwi. – Jak się trzyma Związek Radziecki? Wojna domowa zdziesiątkowała ludność. Podczas Wielkiej Wojny na ich ziemi zginęły miliony. Rosja się rozpada. Jak długo uda się ją utrzymać w jarzmie?

– Jak długo będzie trzeba.

– Jesteś faszystą, nawet śniąc na jawie, Harry.

– Nic nie rozumiesz. – Przesunął dłonią po spoconej twarzy.

– Może wytłumaczysz to lepiej w Roxbury w przyszłą sobotę. Bo ludzie też cię nie rozumieją. – Potarła nosem głowę Aleksandra i odwróciła się do okna.

– Jaką mogę mieć nadzieję, jeśli nie udaje mi się przekonać nawet własnej żony?

Znaczące milczenie było jedyną odpowiedzią. Zmienił temat.

– Gdzie słyszałem to stwierdzenie: nie samym chlebem żyje człowiek? – zapytał. – Stale wykrzykują je podczas moich przemówień i nie potrafię znaleźć odpowiedzi. A muszę ją znać.

Gina uśmiechnęła się łagodnie.

– Jeszcze tyle rzeczy nie wiesz. I nawet o tym nie wiesz. Chcesz poznać odpowiedź?

– Tak.

– Następnym razem powiesz: zgoda, nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych[21].

– O nie – jęknął Harry. – To z Biblii?

– Te słowa padają podczas czterdziestodniowego postu Jezusa na pustyni. W rozmowie z szatanem. Jezus tłumaczy, dlaczego nie chciał uczynić cudów.

– Jak to możliwe? Obracasz przeciwko mnie wszystko, co mówię.

– Odkrzyknij – ciągnęła Gina łagodnie – że Chrystus jest chlebem życia. *Cristo è il pane della vita.*

– Boże święty. Przestań.

Przestała.

– Nadzieje, które inspirują komunizm – powiedział Harry – są w większości równie godne podziwu jak obietnice zawarte w Kazaniu na Górze.

– Powiedz to swoim ludziom, Harry. Nie ukrywaj tego. Zaczynj od tego w przyszłym tygodniu w Roxbury, zanim przejdziesz do cierpienia.

8

W piątkowy ranek pod koniec września 1929 roku Gina podniosła słuchawkę, by zadzwonić do Esther i zapytać, czy odbierze Aleksandra z domu czy ze szkoły. Telefon był jednak głuchy.

Nie wiedziała, co robić. Dlaczego telefon się zepsuł? Przerzuciła papiery na biurku Harry'ego, by odszukać adres firmy telefonicznej, lecz nie mogła znaleźć żadnego rachunku. Podobnie jak książeczki czekowej.

Harry wyszedł; nie pytała już dokąd, bo nie chciała wiedzieć, a on jej nie mówił, twierdząc, że chce ją chronić. Aleksander był w szkole. Gina miała tylko czas. Planowała iść do misji, lecz zamiast tego włożyła płaszcz i kapelusz i poszła do banku.

Potem mogła tylko iść na chwiejnych nogach w przeciwnym kierunku niż dom, w stronę wody, doków, statków, odległych lądów, gdzieś daleko.

Gdzieś indziej.

Byle dalej.

Przypominała Miami, niegdyś tropikalny raj, osamotniony w kipieli białej wody. Po lewej zator na kolei i embargo, po prawej Prinz Valdemar leżący na boku w porcie, tamujący dostawę materiałów do odbudowy i ewakuację rannych. Nie było ucieczki, ani kolejną, ani morzem. Tylko Gina, Aleksander i Harry, splukani i uwięzieni z nienasyconą, niezniszczalną śródziemnomorską muszką owocową.

20 Po polsku hasło brzmiało: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”.

21 Ewangelia według św. Mateusza 4,4.

Rozdział osiemnasty

Biali terroryści proszą o łaskę

I

Siedziała skulona na podłodze w kuchni z głową ukrytą w dłoniach. Harry stał nad nią, próbując wytłumaczyć to, czego wytłumaczyć nie potrafił. Jak w sobotę w Roxbury.

– Jest mniej pieniędzy niż myślałem.

– Kiedy mówisz mniej, znaczy, że nie ma w ogóle. Zgadza się? Bo nie ma ani centa.

– Nie.

– Ani centa.

Cóż więcej można było powiedzieć?

– Gdzie są?

– Co?

– Gdzie się podziały nasze pieniądze?

– A jak myślisz? Wydaliśmy.

– Na co?

– Na życie. Nie masz butów? Sukienek? Ja nie mam książek?

– To wszystko, co mamy – odparła. – I nie mam już dużo ubrań. Trzy lata temu oddałam większość do misji. Gdzie są nasze pieniądze?

– Boston jest drogi. Rozumiesz teraz, dlaczego chciałem się wyprowadzić z domu przy Mt. Vernon? Za dużo nas kosztował. Nigdy nie powinniśmy tam mieszkać. Od samego początku powinniśmy wynająć mniejsze mieszkanie.

Nie mogła na niego patrzeć. Co zrobi, gdy Aleksander wyjdzie ze swojego pokoju na kolację? Nie było nic do jedzenia, a matka siedziała na podłodze. Ze względu na syna musiała się pozbierać.

– W Jupiter żyliśmy jak królowie – powiedziała, podnosząc się z podłogi. Zignorowała wyciągniętą rękę Harry’ego. – Niczego nam nie brakowało. Prowadziliśmy prawdziwy dom, nie rudere, którą wynająłeś przy Mt. Vernon. Mieliśmy służbę. Płaciliśmy przemysłnikowi, żeby przeschmugłował dla nas z Kuby całą piwnicę rumu. Mieliśmy dwa samochody. Łódkę. Na to radosne, niesamowite życie wydawaliśmy niecałe dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Myślałem, że więcej.

– Nie. Przyjechaliśmy do Bostonu, mając dość pieniędzy na czterdzieści lat spokojnego życia. Wiem, ile mieliśmy. A ty mi mówisz, że siedem lat później nie mamy dość, żeby zapłacić rachunek telefoniczny za czerwiec? We wrześniu?

– Wiem. – Wyglądał na zmieszanego. – Nie mogę uwierzyć, jak szybko rozeszły się pieniądze. Prawie żałuję, że ty się nimi nie zajmowałaś jak w Lawrence i Bellagrand. Było o wiele łatwiej.

– Łatwiej!

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Bo nie wiem, kim jesteś. Nie wiem, obok kogo śpię co noc.

– Proszę, nie wykręcaj tak rąk. Jeszcze sobie coś złamiesz. Przerażasz mnie.

– Ja przerażam ciebie? *Dio mio!* – wykrzyknęła. – *Dio mio!* Nic nam nie zostało? – Rozpacz była grzechem, lecz Gina nie mogła nic na to poradzić, bo traciła wszelką nadzieję.

– Została nam moja walka z nierównością.

– Nie zostało nam dość pieniędzy na twoją nierówność!

– Zawsze gdzieś są jakieś pieniądze.

Gina pokręciła głową.

– Powiedziałem ci, żebyś się nie martwiła o czynsz. A Esther zajmie się Aleksandrem.

Nie odważyła się na niego spojrzeć, żeby nie dostrzegł w jej oczach pogardy.

– Traktujesz pieniądze z takim lekceważeniem – powiedziała – a jednak jesteś ich taki pewny. Liczysz na nie w chwili, gdy je odrzucasz. Rozumiesz, że ktoś musi je zarabiać, żebyś ty mógł być komunistą.

– A kto to ma być? Moja siostra? Niczego jej nie brakuje. Nie przepracowała ani jednego dnia.

– Twoja siostra całymi dniami pracuje jako wolontariuszka w szpitalach w Bostonie i zbiera pieniądze dla biednych, na darmowe kuchnie i ubrania. Co niedziela razem z Rosą zawozi kolację do domu dla śmiertelnie chorych. Całymi godzinami czyta ludziom, którzy niedługo umrą. Jedyne przywileje, jakie ma twój syn, pochodzą od niej. Jego rowery, łyżwy, buty, ubrania, prywatna szkoła. To wszystko dzięki niej. – W kuchni nie było dość miejsca, by mogła się od niego wystarczająco odsunąć. Doszło do tego, że broniła Esther przed Harrym. A mówią, że cuda się nie zdarzają.

– Nie chcę żadnej materialnej rzeczy.

– Mądrze jest nie chcieć, czego się nie ma.

– Nie bądź niepoważna, Gino. Dlaczego nie możesz mi zaufać? Wszystko się ułoży. Zawsze się przecież układa.

– Jak?

– Nie wiem. Ale ułoży się. Obiecuję ci. Będzie dobrze.

– Gdzie się podziały nasze pieniądze?

– Nie wiem.

– Wiesz.

Milczał.

Chciała, żeby jej powiedział, żeby nie bał się wypowiedzieć tych słów. Usłużny

kierownik banku poinformował ją o workach gotówki, które wynoszono, by opłacać kaucję, koszty sądowe, grzywny. Łapówki dla policjantów i pracowników biura prokuratora okręgowego, którzy gubili akta, dowody, nazwiska świadków. Honorarium dla Domarinda. Wszystko się dodawało – i to jak. Och, nie można też zapomnieć o tysiącach dolarów przekazywanych bostońskiej redakcji „Daily Worker” i Partii Robotniczej.

Na to poszły ich pieniądze. Komuniści czerpali niezły zysk z jej nieszczęścia.

– To Domarind – powiedział Harry. – Jest jak sęp. To krętacz. I złodziej. Liczy sobie za każdą minutę, którą poświęca mojej sprawie. Gdy idzie do sądu, by w pięć minut złożyć wniosek, muszę mu zapłacić sto dolarów. Jest bezlitosny. Straszny. Kto go polecił? Zupełnie jakby ten ktoś mnie nienawidził i chciał mnie zniszczyć.

– Co ty wygadujesz? Domarind przez trzy lata bronił cię przed więzieniem.

– To moja wina, że za dużo bierze?

Potknęła się o szarfę beżowej domowej sukni i wpadła na stół. Prawie się przewróciła. Nie rozumiała słów, które płynęły z jego ust. Zupełnie jakby cofnęła się do języka dzieciństwa. Wszystko, co mówił, brzmiało jak bełkot. Właśnie teraz powiedział coś tak irracjonalnego, że zaczęła wątpić, czy dobrze usłyszała. Zupełnie jakby Harry powiedział, że nie ponosi winy za to, że wszystkie pieniądze ze sprzedaży Bellagrand poszły na prawnika.

Wyraz jej twarzy musiał przedstawiać niezwykły widok.

– Dobrze już, dobrze – uspokajał Harry, przekrzywiając pojednawczo głowę. – Przyznaję, trochę pieniędzy przekazałem Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Opłaty członkowskie, małe darowizny, dotacje dla „Daily Worker”. Koszty operacyjne. Farba drukarska, drukarnia, dystrybucja, to wszystko jest bardzo drogie. To jak parafia, Gia. Czy twoja matka nie wspierała kościoła Najświętszej Marii Panny? A ty Świętego Leonarda? Ty możesz dawać pieniądze na Kościół katolicki, a ja nie mam prawa dawać komunistom?

Zakryła uszy dłońmi, by go nie słuchać. Przez jedną rozpaczliwą sekundę pomyślała: Gdybym wyskoczyła z okna, nie musiałabym już nigdy go słuchać.

– I co teraz? – szepnęła. – Źródło wyschło. Co teraz?

– Wytrzymaj ze mną jeszcze parę tygodni. Mam plan.

Jak daleko jest do okna?

– Dlaczego nie możesz mi zaufać? Wszystko się ułoży.

Dlaczego nadal go słyszała, choć tak mocno przyciskała dłonie do uszu?

Następnego ranka miała odprowadzić Aleksandra do szkoły, ale o szóstej rano siedzieli razem w kościele Świętego Leonarda w North End. Msza już dawno się skończyła, a Gina nadal klęczała w ławce ze spuszczoną głową i złożonymi dłońmi.

– Mamo, co robisz? – szepnął Aleksander.

– Modlę się.

– Wiem. Klęczysz już bardzo długo.

Dlaczego podejrzewam, że nie dość długo?

– O co się modlisz, mamo? Musimy już iść. Znów nie zdążę. Spóźniłem się już cztery razy.

– Modłę się za ciebie, *mio figlio*.

Teraz tylko o to się modłę. Za ciebie.

– Czy on odpowiada?

– Kto?

– Bóg.

– Nie wiem, *caro*. Staram się słuchać, ale słyszę tylko ciebie.

Aleksander zamyślił się na chwilę.

– To dlatego że Jezus jest tylko tutaj – szepnęła – ale ja mam test z matematyki z pierwszego semestru, mam. A musimy iść kawał drogi.

– Weźmiemy taksówkę.

Podniosła się z kolan i wzięła go za rękę.

– I co? Odpowiedział ci?

Objęła go i na próżno szukała taksówki na Salem Street. Jej biedny wierny Flaminio zawiózłby ją do szkoły za darmo.

– Tak – powiedziała do Aleksandra. – Chyba odpowiedział mi milczeniem.

– To dobrze, kiedy Bóg milczy? – Aleksander patrzył na matkę, jakby postradała zmysły.

– Oczywiście, *mio bambino*. To oznacza, że jeszcze nie jest tak źle, żeby musiał ci odpowiadać. To znaczy, że zajmuje się tymi, którzy bardziej go potrzebują.

2

Tygodnie długie niczym lata mijały w ołowianej ciszy. Telefon nadal nie działał. Gina miała nadzieję, że szwagierka z własnej woli zajmie się rachunkiem, gdy nie będzie mogła skontaktować się z Aleksandrem. Ale tak się nie stało. Umowa pozostała niezmieniona. Co drugi piątek Esther przyjeżdżała z Barrington, odbierała chłopca ze szkoły i zabierała go ze sobą na weekend. Nie potrzebowali rozmawiać przez telefon, bo mieszkali razem trzy dni z czternastu.

Balon zaprzeczania wszystkiemu, którym otoczyła się Gina, został przekłuty listem od Jamesa Domarinda.

Szanowna Pani!

Przez ostatnie trzy tygodnie daremnie próbowałem skontaktować się z Panią telefonicznie. Piszę, bo koniecznie musi Pani do mnie zadzwonić i jak najszybciej umówić się na spotkanie. W ciągnących się od dawna procedurach sądowych Pani męża pojawiły się poważne komplikacje, które głęboko dotyczą także Pani i które muszę z Panią jak najszybciej omówić.

Z poważaniem,

James Domarind

PS. I jeszcze jedno: sekretarka poinformowała mnie, że cztery ostatnie czeki z moim honorarium za czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień wróciły z banku, gdyż nie miały

pokrycia. Jestem pewny, że to tylko niedopatrzenie ze strony pani męża, ale bardzo proszę, by na nasze spotkanie przyniosła Pani ze sobą pieniądze.

Gina żałowała, że nie może zamknąć oczu i obudzić się następnego ranka.

A może jeszcze następnego.

Którego?

Nie wiedziała.

Zdecydowała, że nie ma sensu tego żałować. Każde jutro prowadzi tylko do końca. A ten spadnie na nią bardzo szybko. To odróżniało ten kryzys od innych kryzysów, innych problemów, innych trudności. W tych gasnących dniach babiego lata kryło się coś ostatecznego. Jakby nie było wyjścia.

Gina nie mogła zadzwonić do Domarinda, nie umówiła się na spotkanie. Nie mogła mu zapłacić, więc po co miałyby iść? Jeśli nie mieli pieniędzy na rachunek telefoniczny, prawnik Harry'ego nie wyciągnie z jej portfela ani centa.

Kilka dni po otrzymaniu pamiętnego listu, rankiem w niezwykle ciepły wtorek rozległo się pukanie do drzwi. Harry już wyszedł; nie mógł znieść przebywania z nią w ciasnym mieszkaniu. Gdy otworzyła drzwi w zniszczonej domowej sukni, ujrzała na progu Jamesa Domarinda, zasapanego po wejściu na czwarte piętro. Uchylił kapelusza.

– Dzień dobry, pani Barrington.

– Dzień dobry. – Próbowała uspokoić walące jak młotem serce. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Nie ma mowy o żadnej przyjemności. Nie odpowiedziała pani na moją prośbę o spotkanie w mojej kancelarii. Nie miałem wyboru, musiałem panią odwiedzić osobiście.

– Przepraszam, ale nie dostałam od pana żadnych listów.

Przez chwilę stał w milczeniu.

– Dlaczego mnie pani okłamuje?

– Nie okłamuję pana.

– Ostatni list wysłałem za potwierdzeniem odbioru. Mam tu pani podpis.

Wyszła na schody.

– Tak, tak, teraz sobie przypominam, że coś dostałam. – Drzwi były lekko uchylone. – Ale jest pan prawnikiem mojego męża. List przekazałam jemu. Nie wiem, co z nim zrobił. Wróci do domu późnym popołudniem. Może przyjdzie pan wtedy?

Domarind pokręcił wielką głową.

– Przyszedłem zobaczyć się z panią – powiedział. – To z panią muszę porozmawiać.

Niechętnie wpuściła go do środka, przeklinając się w duchu, że nie znalazła wymówki, by go odprawić. Poprosiła, żeby poczekał i pobiegła przebrać się w rdzawą jesienną suknię spacerową, z szerokim dołem, obniżoną talią i aksamitnymi wstawkami po bokach. Włosy ściągnęła w surowy kok. Poszczypała się w policzki, by nadać im nieco koloru.

Zaproponowałyby mu kawę, gdyby ją miała. Zaproponowałyby mu coś słodkiego, ale od dawna niczego nie piekła ani nie kupowała.

Musiał dostrzec jej zmieszanie, bo szybko się nad nią zlitował.

– Nie mam na nic ochoty – powiedział. – Nie przyszedłem tu na poczęstunek. To nie jest przyjęcie. Ma pani kłopoty, pani Barrington.

Siedzieli naprzeciwko siebie w salonie, Gina przy oknie w twardym fotelu Harry'ego, Domarind na miękkiej kanapie. Kiedy musiała się odwrócić od jego surowej bezwzględnej twarzy, patrzyła przez okno na Common ukryte za zasłoną płonących czerwienią liści. Zastanawiała się, czy Harry przemawia dziś ze skrzynki. A może ukazuje subtelne różnice pomiędzy leninizmem i trockizmem w artykule na dziesięć tysięcy słów dla „Daily Worker”? Odwróciła się od parku. Nie wiedziała, gdzie podziać oczy, co robić. Wbiła wzrok w dłonie.

– Będę mówił krótko i otwarcie – zaczął Domarind – bo nie ma pani dużo czasu. Słyszała pani o ustawie imigracyjnej z tysiąc dziewięćset trzeciego roku?

– Niewiele. Dlaczego pan pyta?

– A o ustawie imigracyjnej z tysiąc dziewięćset siedemnastego roku?

– Chyba tak.

– O ustawie imigracyjnej i o działalności wywrotowej z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku?

– Panie Domarind...

– Wy tłumaczę. – Wyjął z kieszeni kartkę papieru i rozłożył ją. – W tysiąc dziewięćset trzecim roku rząd postulował, by czterem grupom niepożądanych obywateli zabroniono wjazdu do Stanów Zjednoczonych. Anarchistom, epileptykom, żebrakom i alfonsom. – Zakaszłał, jakby dla podkreślenia swych słów. – Ale na pierwszym miejscu anarchistom.

– Proszę pana, to prawo mnie nie dotyczy. Szczerze mówiąc, nie wiem, czemu pan o tym wspomina. Nie proszę o wjazd do Stanów Zjednoczonych. Gdyby pan o tym nie wiedział, już jestem w Stanach. A dokładniej w Bostonie. Siedzę przed panem.

Domarind mówił dalej:

– Ustawę z tysiąc dziewięćset trzeciego roku nowelizowano w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku po wszystkich perturbacjach związanych z Wielką Wojną, o których pani doskonale wie. Potem, a ta część dotyczy pani, prawo nowelizowano trzeci i ostatni raz i nazwano je ustawą imigracyjną z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Nowe prawo znacznie zwiększyło władzę Departamentu Sprawiedliwości i Departamentu Imigracji, by deportować wszystkie niepożądane osoby na mocy decyzji administracyjnej bez żadnych ozdobników w stylu przesłuchań deportacyjnych.

– Panie Domarind, to nie ma nic wspólnego ze mną.

– Obawiam się, że ma. Na mocy ustawy wszyscy cudzoziemcy, którzy sami są członkami lub są związani z członkami organizacji lub osobami rozpowszechniającymi, propagującymi, drukującymi, głoszącymi lub popierającymi, wśród wielu innych rzeczy, obalenie rządu Stanów Zjednoczonych siłą lub jakikolwiek inny akt sabotażu, mogą i zostaną deportowani.

– Nie jestem cudzoziemką – szepnęła Gina.

– Dojdziemy do tego. Poza pani szkodliwym związkiem z mężem, który jest zagorzałym członkiem Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, jest pani również członkinią Free Society i opłaca pani składki, prawda? Wykupiła pani dożywotnią prenumeratę „Mother Earth”. Tych wydatków łatwo pani nie wytłumaczy Departamentowi Sprawiedliwości, skoro już odnotowano, że nie opłaca pani rachunków za telefon i kosztów sądowych.

– Mój mąż dużo mówi – odparła – ale niewiele robi. I zawieszę moje członkostwo we

Free Society, jeśli to pana zadowoli. – Zupełnie o tym zapomniała. To Harry musiał opłacać składki.

– Już za późno – oświadczył energicznie prawnik. – Zna pani kartotekę męża lepiej niż ja. Nie muszę pani o niej przypominać. Liczba aresztowań za utrudnianie pracy punktom poborowym, za napaść, nawoływanie do przemocy, zakłócanie porządku, narażanie na niebezpieczeństwo nieletniego, waszego syna, za podburzanie do obalenia rządu każdym dostępnym sposobem i nakłanianie do ustanowienia dyktatury komunistycznej w Stanach Zjednoczonych podobnej jak w Związku Radzieckim przechodzi wszelkie pojęcie.

– Jeśli nie musi jej pan przypominać, to po co pan to robi? – zapytała. – A jeśli nie może pan sprostać temu zadaniu...

– W tym kraju nie sprostą mu żaden prawnik, proszę pani. A nawet gdyby taki się znalazł, i tak nie mielibyście dość pieniędzy, by mu zapłacić. Myśli pani, że obrońca z urzędu lepiej sobie poradzi ze sprawą pani męża? – Domarind westchnął. – Proszę posłuchać, celem mojej wizyty nie jest rozmowa o Harrym. Chodzi o panią. Będzie pani musiała od niego odejść, jeśli chce pani ocalić siebie.

Gina zebrała siły, by znieść kolejny cios.

– Bo zamierzają panią deportować.

Próbowała wziąć głęboki oddech. Ale nawet płytki okazał się zbyt trudny.

– To niemożliwe. Jestem obywatelką amerykańską.

– Do tego zmierzam – powiedział Domarind i wyjął chusteczkę, by otrzeć czoło, choć w pokoju było chłodno. – Jest pani obywatelką amerykańską, gdyż poślubiła pani Harolda Barringtona. Zgadza się? Pani męża pozbawiono obywatelstwa w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku. Co się więc stanie z panią?

– Nie pozbawiono go obywatelstwa. To kłamstwo.

– On sam zgodził się na to w ramach ostatniej apelacji. Nie było pani w sądzie podczas tej rozprawy? Nie obwiniam pani. Można powiedzieć, że jeśli było się na jednej, było się na wszystkich. Jednym z warunków zwolnienia było pozbawienie pani męża obywatelstwa. On sam powiedział sądowi, że nie chce być obywatelem żadnego państwa, które uciska naród tak jak Stany Zjednoczone.

– Poniosło go – mruknęła Gina.

– Być może. Ale czy na tyle, że nie zrozumiał słów sędziego? Bo powiedziano mu wyraźnie, że jeśli nie będzie obywatelem Stanów Zjednoczonych, każde wykroczenie może doprowadzić do deportacji. Żyliście oboje na łasce Departamentu Sprawiedliwości, a co on wyprawia? Zamiast się uspokoić, zachowywać jak należy, rozpowszechniał w podziemiu wszystkimi dostępnymi mu środkami radzieckie depeche do Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych.

– To niemożliwe.

– A jednak. Powiedziano mu, co się stanie, ale on zlekceważył ostrzeżenia.

– To jakaś pomyłka. To...

– Założę, że dobrze tego nie przemyślał. Ale wiedział, co to oznacza. Nie wiedział tylko, co to oznacza dla pani. Albo dla waszego syna. – Domarind zawiesił głos. – A może wiedział?

Na wzmiankę o Aleksandrze w mieszkaniu na moment pociemniało, jakby rankiem

zapadła noc. Czy straciła przytomność, siedząc na fotelu? Kiedy się ocknęła, tkwiła tam skulona, Domarind nadal siedział na kanapie, drzewa wciąż czerwieniły się za oknem, a w otwartych drzwiach stał Harry z papierową torbą w dłoniach.

Patrzyli na siebie we trójkę. Gina próbowała wziąć się w garść. Harry zamknął drzwi.

– Po co pan tu przyszedł? – zapytał. – Dlaczego nachodzi pan moją żonę? Powiedziałem panu w zeszłym tygodniu, że niedługo panu zapłacę.

Domarind wstał.

– Nie wierzę panu. Ale nie po to przyszedłem.

– To po co?

– Bo przez trzy lata mówiłem panu, żeby się pan zastanowił, jak pańskie postępowanie w sposób nieunikniony dotknie pańską rodzinę. Nie chciał pan słuchać. I nie był pan szczerzy z żoną. Nawet nie wie, co się dzieje.

– Proszę wyjść.

– Cztery dni temu usłyszałem z ust prokuratora okręgowego, że zostanie pan deportowany. Powiedziałem panu, co się stanie, jeśli jeszcze raz złamie pan prawo. Zignorował pan moje słowa. Jak zawsze.

– Powiedziałem: proszę wyjść.

– Stany Zjednoczone zatrzasną drzwi. – Domarind zwrócił się do Giny. – Zostaną pani albo Włochy, albo Związek Radziecki. Ale powiem pani od razu, że Włochy nie są już tak gościnne jak kiedyś. Mussolini zniszczył wszystkich anarchistów żyjących w jego kraju, a kiedy mówię, że zniszczył, nie mam na myśli łagodnych zasad naszego systemu sprawiedliwości, który dał pani mężowi dwanaście szans, trzynaście, a potem jeszcze trzy. O nie. Mussolini stawia anarchistów pod murem i rozstrzeliwuje ich na miejskim placu. Wystarczy poczytać gazety. Proszę mi uwierzyć, nawet gdybyście mogli, nie chcecie jechać do Włoch.

– Nie jestem anarchistką – szepnęła Gina.

– Domarind, wyjdź – rzucił Harry. – Odbędzie się rozprawa deportacyjna.

– Harry, choć raz chciałbym, żeby posłuchał pan kogoś innego, a nie tylko siebie. Mówiłem panu ja, mówił prokurator okręgowy, mówił sędzia, że dla pana nie ma żadnych rozpraw deportacyjnych. Wystarczy nakaz sądowy. I proszę mi wybaczyć, ale z całym szacunkiem rezygnuję z reprezentowania pana jako pański adwokat.

– Jest pan moim wrogiem, nie adwokatem. Nigdy mi pan nie pomógł.

– Zgadza się. To wszystko moja wina. Może pan sobie gadać do woli. J. Edgar słyszy jedynie, że nadal aktywnie popiera pan Związek Radziecki i występuje przeciwko Stanom Zjednoczonym. Dla pana oznacza to wolność. Dla niego zdradę. A w tej sprawie to on ma ostatnie słowo, nie pan. Proszę się więc pakować. – Domarind odwrócił się do Giny. – Gino – zaczął błagalnie – ma pani jedną szansę, by ocalić syna. Niech go pani zostawi z ciotką...

– Domarind! Wynoś się, do cholery!

– Słyszał pan mojego męża. Proszę się wynosić! – krzyknęła Gina. – Wynoś się, wynoś, wynoś!

Wypchnęła go z mieszkania na klatkę schodową i zatrzasnęła drzwi tak mocno, że pękła drewniana ościeżnica.

Nie odezwała się ani słowem. Przerazenie odebrało jej głos. A Harry nigdy nie był rozmowny, chyba że kogoś uciskano. Wyjął dwie kanapki i puszkę zupy z papierowej torby, którą trzymał.

– Dostałem z kościoła Świętej Trójcy – powiedział, jakby dopiero co skończyli grać w karty. – Rozdawali.

– Miło wiedzieć, że w trudny czas można liczyć na Kościół.

– To nie jest trudny czas, kochanie – powiedział. – To czas nowych możliwości.

Patrzyła na niego przez pokój.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że zrzekłeś się obywatelstwa? – zapytała cicho. Przyłożyła dłonie do piersi. Coś się z nią działo. Nie mogła odetchnąć bez bólu.

– Nie chciałem, żebyś się martwiła. Spójrz tylko na siebie. Dlatego nie mówię ci o połowie rzeczy. Okropnie się niepokoisz, a w większości wypadków wszystko się układa.

– A to się ułoży?

Nie był spięty, lecz radosny i ożywiony.

– Gia – powiedział i obszedł stół dookoła, by być bliżej niej. – Nie interpretuj opacznie tego, co niesie nam życie. Nie zamyka przed nami drzwi. Otwiera naszą przyszłość.

– Harry, wiedziałeś, że grozi nam deportacja, jeśli znowu cię o coś oskarżą? Wiedziałeś o tym od zeszłego roku? – Wiedziałeś i dalej robiłeś swoje, wygłaszając mowy, rozprawiając ulotki, składając obietnice?

– Wiedziałem, że nam tym grożą – odparł nonszalancko. – A teraz posłuchaj... – Chwyił ją za rękę, objął w talii, jakby tańczyli. – Chodź ze mną. – Pocałował ją w nadgarstek i pociągnął w stronę otwartych drzwi sypialni.

Wyrwała się.

– Oszalałeś? Nie mam pokoju w sercu.

– Mylisz się, w sercu zawsze jest pokój – szepnął i próbował zamknąć jej usta pocałunkiem, lecz zdecydował się na dłonie i nadgarstki. – Wiem to na pewno. Nawet kiedy na zewnątrz szaleje nawałnica. Jak teraz.

Nieprzekonana cofnęła się. Kiedy znów wyciągnął rękę, przesuwała się w jedną, to w drugą stronę. On robił jeden krok do przodu, ona dwa do tyłu.

– Wiedziałeś, że narażasz naszą rodzinę na niebezpieczeństwo, a jednak to zrobiłeś?

Opuścił ręce. Stali w milczeniu.

– No, to wreszcie cię usłyszeli, Philipie Nolanie – powiedziała po chwili Gina. – Mój drogi człowieku bez kraju. Chciałeś już nigdy nie słyszeć o Stanach Zjednoczonych. I teraz spełni się twoje pragnienie.

Harry przygryzł wargę i pokręcił głową.

– Jeśli zechcemy, znam człowieka, który to załatwi. Lepiej niż Domarind.

– A kto mu zapłaci?

– Może Esther. Nie sądzisz, że sygnie pieniędzmi, byle tylko zatrzymać tu Aleksandra? Gina uniosła podbródek.

– Nadal liczysz na pieniądze ojca – powiedziała z pogardą. – Nic nie jest nigdy prawdziwe. Nawet to, bo myślisz, że zawsze znajdzie się jakieś wyjście.

– I właśnie o to chodzi! – Harry rzucił się do przodu. – Nie chcę wyjść. Chcę wejść. – Machnął ręką w stronę okna. – Do Związku Radzieckiego.

– Oszalałeś. – Krew odpłynęła z jej dłoni i stały się całkiem białe.

– To moje największe pragnienie. Wiesz o tym. Nigdy niczego bardziej nie pragnąłem.

– Niczego?

Znów chwycił ją dwiema rękami w talii, przyciągnął do siebie, nie zważając na jej przerażenie.

– Jesteś moją miłością i moim życiem. Chodziłaś miesiącami po ulicach jak ja? Wyszukiwałaś argumenty za i przeciw jak ja?

– Za i przeciw zostaniu z tobą? Porzuceniem cię? Ucieczką z krzykiem? O tak, Harry. Chodziłam.

– Przestań. – Puścił ją i nieco ochłonął. – Przestań być dla mnie okrutna, gdy ja tak bardzo staram się być kochający.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi o swoich sekretnych pragnieniach. Że nie podzieliłaś się swoimi przemyśleniami ze mną, z Margaret Janke, Kennethem Fermerem, twoim ojcem, komisją od zwolnień warunkowych, prokuratorem okręgowym.

– Rosja, Gino! Bez cienia mojego nazwiska i pozycji. Tam nikt nas nie zna. Tam nie jest jak w Bostonie, gdzie nie możesz wyjść po gazetę, żeby nie osądzał cię jakiś idiota. W Rosji możemy być jak wszyscy inni.

– Kim są ci my?

– Ty, ja. Aleksander.

– Chcesz, żeby Aleksander pojechał do Związku Radzieckiego? – Gina roześmiała się kpiąco.

– Dlaczego się śmiejesz? Nie możemy go tu zostawić.

– Nie możemy?

Wtedy dopiero się cofnął. Dopiero wtedy stracił dobry humor. Wreszcie.

– Znów żartujesz? Bo...

– Czy wyglądam, jakby żartowała?

– Gino! Chcesz zostawić naszego syna w Ameryce, gdy my wyjedziemy do Związku Radzieckiego?

– Nie chcę wyjeżdżać do Związku Radzieckiego!

– Ale istnieje szansa, że będziemy musieli. – Zawiesił głos. – Bardzo poważna.

– Dopiero co powiedziałaś, że znasz człowieka, który może to załatwić.

– Kłamałem! Nie możemy tego załatwić. Deportują nas.

– Co ty narobiłaś? – Cała się trzęsła. – Nie Aleksandra. Jego nie deportują.

– Słyszysz, co mówisz?

– A ty słyszysz? To Związek Radziecki!

– To nasz syn!

– Wiem! – wykrzyknęła. – Powinieneś być o nim pomyśleć, gdy snułeś się po ulicach,

śniąc na jawie.

– Myślałem! Ani na moment nie przyszło mi do głowy, że go zostawimy.

– Nie możemy zabrać go do Rosji, Harry!

Otworzył usta. Patrzył na nią pozbawionymi koloru oczami, niczego nie rozumiejąc.

– Chcesz porzucić Aleksandra?

– Tego nie powiedziałam!

– To co powiedziałaś? Bo to właśnie słyszałem.

– Nie chcę, żeby jechał do Związku Radzieckiego – wyszeptała.

– To właśnie ze względu na niego tak bardzo chcę tam jechać. Chodzi mi przede wszystkim o niego. Chcesz, żeby wyrósł na mięczaka jak ja? Chcesz, żeby zdławiły go niemożliwe do spełnienia oczekiwania?

– Chcesz, żeby pojechał do Związku Radzieckiego, by nikt niczego od niego nie oczekiwał? – Zaśmiała się gardłowo.

– W Rosji – ciągnął Harry – Aleksander będzie mógł liczyć tylko na siebie. Uwolni się na zawsze od nazwiska mojego ojca i od jego pieniędzy.

– Tego dla niego pragniesz? Żeby niczego nie miał?

– Nie niczego! – wrzasnął Harry. – Żeby miał siebie! To ważniejsze niż władza, pozycja, bogactwo czy Bóg. To ważniejsze od wszystkiego.

– Jeśli chcesz, żeby niczego nie miał, to wspaniale zadbałeś o to już tutaj. Po co musi jechać aż do Rosji?

– Bo jadą tam jego rodzice.

– Znajdź innego prawnika, Harry. Ratuj nas. Zatrzymaj.

– Po co miałbym nas ratować? Nie mamy pieniędzy. Nie mogę napisać ani słowa dla żadnej gazety, bo prokurator okręgowy zagrozi mi egzekucją!

– I co z tego? I tak nie zarabiałeś ani centa w tej swojej czerwonej gazecie!

– Nie możemy już tu mieszkać. A poza tym nasz syn zawsze będzie Barringtonem. Nie chodziłaś ostatnio po ulicy? To ohyda. Nie mogę kupić mleka w sklepie, żeby nie obrzucano mnie paskudnymi spojrzeniami.

– Harry, proszę! – Złożyła dłonie jak do modlitwy. – Ciągnęłam Aleksandra wszędzie, żeby załatwić ci wyjście z więzienia, stałam przy tobie, rozmawiałam z twoimi prawnikami, siedziałam w sądzie, by okazywać solidarność. Chodziliśmy z tobą wszędzie. Nie możesz mówić o Rosji poważnie.

– Mówię od tysiąc dziewięćset siedemnastego roku – powiedział, kiwając głową. – I w Rosji będziemy pracować dla siebie.

– Mogliśmy pracować dla siebie w Spanish City. Mogliśmy sprzedawać książki, które kochasz, hodować pomarańcze.

– W Rosji zmienimy sposób myślenia.

Gina nie mogła pozwolić, by zabrakło jej słów, tak jak zabrakło jej możliwości. Wykorzysta cały angielski, jaki zna, żeby mu udowodnić, że oszalał.

– Nie czytałeś, co napisała Emma Goldman po powrocie z Rosji? – zapytała. – Opublikowała zjadliwą książkę o tym, co się tam dzieje.

Harry zbył ją machnięciem ręki.

– Po pierwsze, kiedy tam była, walczyli o przetrwanie. Wrzucono ją do Rosji rozdartej

wojną domową. To było bardzo niefortunne. Teraz jest lepiej.

– Napisała, że nie ma tam wolności.

– A tutaj jest?

– Tak! Przeżyłeś tu całe życie i nigdy nie pracowałeś. Stałeś popołudniami w parku i wykrzykiwałeś do przechodniów, jakim okropnym krajem jest Ameryka. Myślisz, że możesz to robić w Rosji?

– Nie chciałbym tego robić w Rosji. I jesteśmy splukani, bo nie mogę mówić tego, co myślę i robić tego, co chcę.

– Jesteśmy splukani, bo nie pracowałeś, wydawałeś tylko pieniądze swoich rodziców!

– Myślisz, że jesteś wolna? Gino, odebrali ci jedno z podstawowych praw: prawo do picia tego, na co masz ochotę. Urzędnicy w Waszyngtonie zakazali ci pić alkohol, bo postanowili, że nie masz prawa do swojego własnego ciała.

– To wstrętne. Ale odwołają to prawo.

– Zgoda. Ale czy ogarniasz rozumem pojęcie mężczyzny w garniturze, który odbiera ci władzę nad twoim własnym życiem?

– Harry! Emma Goldman mówi, że w Rosji komuniści odebrali wszystko! Tak, prohibicja to wspaniały przykład na wypaczenie pojęcia rządu. Ale w Rosji to wypaczenie wymknęło się spod kontroli. I nawet nie ma możliwości odwołania. Zabrali ludziom prawo do spotykania się z przyjaciółmi, do drukowania, do kopiowania tego, co wydrukowali, i do rozdawania ulotek na rogu ulicy, jak Goldman rozdawała „Mother Earth”. Zabrali prawo do mówienia publicznie tego, co myślisz. Nie wolno już używać dialektycznej metody Marksa, żeby dotrzeć do prawdy.

– Bo Lenin wierzy, że już do niej dotarli – ripostował Harry. – Tam szalała wojna domowa. Ile razy muszę to powtarzać? Teraz jest lepiej. Gdzie czytałaś tę propagandę?

– U Emmy Goldman. Nie jest już w Rosji. Pisze swoją propagandę z Niemiec.

– Więc mogła wyjechać?

– Nie było tam aż tak dobrze, żeby chciała zostać. Przeczytaj jej książkę, Harry.

– Nie chcę czytać jej cholernej książki! Czytałem przez całe życie. Już nie chcę. Chcę jechać i działać.

– Jechać i działać w Związku Radzieckim?

– Tak! Chcę żyć po mojemu. I chcę, żeby Aleksander nauczył się żyć po swojemu.

– Nie chodzi ci o Aleksandra. Przestań. Chodzi o ciebie.

– I o niego. Chcę, żeby zyskał nową świadomość. Chcę, żeby stał się nowym człowiekiem.

– Zgoda. Ale czy będzie wolnym człowiekiem? Czy będzie mógł wybrać pracę, czy zatrzyma jej owoce dla siebie? Nie obchodzi mnie, czy będzie szewcem, czy poetą, Harry, ale obchodzi mnie, czy będzie żył w niewoli. Czy będzie niewolnikiem.

– Przestań powtarzać słowa anarchistów. Myśl za siebie. To całe zamieszanie z wolnością jest takie burżuazyjne. Tak Amerykanie piorą ci mózg: każą wierzyć, że wolność jest największym dobrem.

– A nie jest?

– Nie! Największym dobrem jest równość. Sprawiedliwość. Wspólnota.

Gina patrzyła na niego zdumiona. Spróbowała jeszcze raz.

– Duży Bill Haywood, twój dawny pracodawca i przyjaciel. Wiesz, gdzie jest?

– W Związku Radzieckim.

– Nie żyje. Co, nie słyszałeś? Zmarł w zeszłym roku. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy zrzekałeś się amerykańskiego obywatelstwa, swojego i mojego. Zapił się na śmierć w pokoiku w Moskwie, całkowicie odsunięty po śmierci Lenina. Od tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku zwracał się z prośbą do Stanów Zjednoczonych, by pozwolono mu wrócić do domu.

Harry patrzył na nią z jawną wrogością. Ucieszyło ją to. Przynajmniej odwzajemniał jej uczucia.

– O co ci chodzi?

– Błagał ich, żeby pozwolili mu wrócić do domu! – wykrzyknęła. – Ale wykręcił się od dwudziestoletniego wyroku, więc Amerykanie nie chcieli go przyjąć z powrotem.

– O co ci, kurwa, chodzi!?

– Wszyscy twoi dawni koledzy, którzy wyjechali do Rosji, wracają pełni przerażających opowieści! O to mi chodzi. Posłuchasz ich?

– Nie! Napiszemy własną historię.

Oddychała z trudem i z równym trudem myślała.

– Zabili cara – powiedziała.

– To tylko podejrzenia. Nikt nie ma pewności.

– Zastrzelili cara – powtórzyła wolniej, jakby jej dobrze nie słyszał – z całą rodziną. Zastrzelili ich w środku nocy, w małym pokoju, mniejszym od tego, karabinami maszynowymi.

– To tylko domysły. Nie wiesz na pewno.

– Jeśli bolszewicy tak traktują rodzinę królewską, jak myślisz, co się stanie z tobą?

– Emmie Goldman nic się nie stało. Dużemu Billowi też.

– Ona uciekła do Niemiec, a on się zapił na śmierć!

– To teraz wiesz, że nic nam się nie stanie – powiedział Harry z udanym spokojem. – Bo ja nienawidzę Niemców, a ty nie pijesz.

*

Wycofali się do swoich narożników, by złapać oddech przed następną rundą. Rozedrgana Gina napiła się wody. Harry zdjął marynarkę i krawat, rozpiął koszulę. Pocił się.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał ze swojego narożnika. – Jesteś sceptyczna tylko w stosunku do Związku Radzieckiego?

– Tak.

– Całe swoje życie oglądałaś wszystko przez różowe okulary. Trudności między nami, Lawrence, swoje imigranckie korzenie, trudną egzystencję, mojego ojca, swojego brata. Wszystko koloryzowałaś. Przez trzydzieści lat miałaś mnie swoją różową wizją. Ale teraz wytyczasz granicę?

Gina nie wiedziała, co powiedzieć. Czy miał rację? Nie.

– Tak. W tym miejscu wytyczam granicę. Powinnaś być wytyczyć ją w Bellagrand. Ale się uczę. Wszyscy muszą gdzieś wytyczyć granicę, a ja wybrałam to miejsce.

– Dokładnie pomiędzy tym, czego chcę ja, i tym, czego chcesz ty.

Zacisnęła pięści i szczęki.

– O co ci chodzi? – zapytała cicho, starając się stłumić w sobie Sycylijkę, choć wewnątrz niej wulkan wyrzucał obłoki pary. – Przez całe życie szłam posłusznie za tobą.

– Ale nie teraz.

– Z tym jednym wyjątkiem.

– Na pewno nie.

Wyszła ze swojego rogu, obeszła kanapę i zbliżyła się do niego. Zrobiła parę długich kroków.

– Chciałeś czytać, stać się mądrym, znaleźć swoją drogę? – rzuciła szyderczo. – Nie chciałeś pracować za psie pieniądze? Więc ja pracowałam. Tłumaczyłam sobie, że jestem do tego przyzwyczajona. Z tyłu rzeczy przecież zrezygnowałeś. Nie było sensu, żebyś zrezygnował z tego, co kochałeś najbardziej, czyli z książek i marzeń. Ja ci to dałam!

– Gdybyś rzeczywiście tego dla mnie chciała, pozwoliłabyś mi zostać w więzieniu.

– Kazałam ci zostać! – Krzyknęła jak w Belpasso. Była czerwona na twarzy, zdyszana i bardzo głośna. – Dałam ci ten wybór, Harry! Ja albo Buford! Ja albo więzienie. Musiałeś tylko powiedzieć jedno słowo. Jedno słowo! I miałbyś to, czego chciałeś. – Stała teraz zbyt blisko niego, nie mieli jak się ruszyć.

– Wiedziałem, że nie mówisz poważnie.

– Mówiłam! I nadal mówię. Idź sobie! Wynoś się! Nikt cię nie powstrzyma przed zrealizowaniem największych pragnień. A już na pewno nie ja. Idź! – Kipiała ze złości, waliła w niego rękami, wymierzała mu rozpaczliwe ciosy w głowę, ramiona.

Chwycił ją za nadgarstki.

– A co ty zrobisz?

– Nie martw się o mnie! – Próbowwała się wyrwać. Nie puszczał jej. Walczyli na środku salonu, gdy za oknem świeciło słońce, tramwaje zatrzymywały się z piskiem na przystanku. – Czego się boisz? – wysapała. – *Vada con Dio*. Kto cię zatrzymuje? Jedź do Rosji. Jedź z Bogiem.

– Jeśli pojedę, zabiorę ze sobą Aleksandra. Nie zostanie z tobą.

Krzyknęła z rozpaczą. A on nadal jej nie puszczał.

– Najbardziej na świecie pragnę – powiedział, z trudem chwytając powietrze – tego, czego zawsze pragnąłem. Żebyśmy byli jednością. Żebyśmy śnili ten sam sen, ty, ja, nasz syn.

– Puść mnie.

Puścił. Odsunęła się.

– Przyznaję, że wtedy nie chciałem jechać do Rosji sam. Teraz też nie chcę. Chcę, żebyśmy pojechali razem. Jako rodzina.

– Nie.

– Chcę tylko, żeby moje życie miało sens.

– Śnij inny sen. – Rozcierała nadgarstki i oddychała bardzo szybko, nie patrząc na niego.

Zrobił krok w jej stronę.

Odsunęła się.

– Zostaw mnie.

– Nie chciałem pracować z ojcem, bo nie chcę budować tych samych starych rzeczy! Chcę zbudować coś, czego jeszcze nie zbudowano! – W podnieceniu zgiął się wpół i nie mógł mówić dalej.

Gina pomyślała o Panamie i wyprostowała się. Serce waliło jej jak młotem, ale przyglądała mu się chłodnym wzrokiem, choć rozpaczliwie wołał o zrozumienie. Łzy napłynęły jej do oczu. Cofnęła się pamięcią do czasu, gdy prowadziła podobną dyskusję o istocie życia: jaką cenę jesteś gotowa zapłacić za to, czego pragniesz najbardziej na świecie?

Spojrzała na niego łagodniej. Kiedyś to jej pragnął najbardziej na świecie.

Znow zaczęła szukać słów, które mogłyby go przekonać.

– John Reed, Max Eastman. Czytałeś, co pisali po powrocie ze Związku Radzieckiego? To nie tylko ja, Harry. Wszyscy stali się sceptyczni, wszyscy przestali wierzyć, zmienili opinie.

– Mylą się – odparł. – Poza tym raczej nie będę im wierzył na słowo.

– Czemu nie? Kiedyś wierzyłeś w każde ich słowo.

Pokręcił głową.

– Wcale nie. Popierałem ich, bo zgadzali się ze mną. Nie dlatego, że ja się z nimi zgadzałem. Już nie są mi potrzebni.

Stała przed nim przygarbiona, ze spuszczonej rękami.

– A czy ja nadal jestem ci potrzebna?

Rozłożył ręce.

– Czym jestem bez ciebie? – szepnął. – Czym jestem bez Aleksandra?

W odpowiedzi też rozłożyła ręce.

– Nie mogę jechać bez ciebie – powiedział. – Rosjanie nie wpuszczą mnie bez rodziny. Jestem z nimi w kontakcie od czasu Kominternu. – Skruszony spuścił głowę. – Przepraszam. Kiedy straciłem obywatelstwo, zacząłem planować naszą przyszłość. Przyjmą nas, ale tylko razem. Jak Duży Bill nie chcą, żebym był rozdarty. Ja tam, moja rodzina tutaj.

– A byłbyś rozdarty? – zapytała. – Albo... – Głos się jej załamał. – Czy z nimi byłbyś kompletny?

– Oczywiście, że byłbym rozdarty. W każdym razie oni tak uważają.

– Zawsze możesz się ze mną rozwieść, żeby ich ułagodzić.

– Nie chcę się z tobą rozwodzić! Co ty wygadujesz? Oni nie chcą samotnego mężczyzny. Rodziny są podstawą nowego radzieckiego społeczeństwa. Wszystkie pokolenia, stare i młode, rodzą się na nowo.

Gina poczuła, że ma w głowie zamęt.

– To bardzo przypomina ewangelizację. Wykorzystują nawet ten sam język.

– Dlaczego się kłócimy? – zapytał. – Za takiego mężczyznę wyszłaś. Taki byłem trzydzieści lat temu. Taki jestem teraz. Myślisz, że udawałem?

Podszedł bardzo blisko, niemal dotykając piersią jej piersi. Stała przed nim jak słup, pozwalając się dotykać, pieścić.

– To było dla mnie – powiedziała cicho.

– Co? – Gładził ją po ramionach.

– Udawanie.

– O czym ty mówisz?

– Nie rozumiesz? – Odsunęła się. Znow rozdarta. – Ależ ty jesteś ślepy. Ja wcale o to nie dbam. Nigdy mnie to nie obchodziło.

– Kiedyś tak.

Gina pokręciła głową.

– Nigdy. Zupełnie mnie nie zrozumiałeś.

– W przeciwieństwie do innych mężczyzn, którzy być może rozumieli cię lepiej?

Przyłożyła dłonie do serca. Krzyknęła z rozpaczą.

– Nie ma innych mężczyzn! Byłeś tylko ty. Od chwili, gdy zeszałam ze statku, moje serce należało tylko do ciebie. Byłam głupią dziewczynką, a ty mnie lekceważyłeś, ale ja przez pięć lat zmieniałam się dla ciebie. Skończyłam dla ciebie szkołę średnią, nauczyłam się dla ciebie pracować i dla ciebie czytałam głupie książki, które mnie wcale nie interesowały. Nauczyłam się rozmawiać o polityce, anarchii i socjalizmie, nauczyłam się rosyjskiego, żeby czytać Bakunina. Czytałam też Marksa, udawałam, że jestem feministką, że nie obchodzi mnie religia ani dzieci – wszystko dla ciebie! – Szlochała z głębi zrozpaczonej duszy. – Nosiłam jedwabne rękawiczki, bo ogromnie mi się podobały, tak, ale głównie dlatego, że dzięki nim zamieniałam się w kobietę, którą, jak myślałam, mogeś pokochać. W kobietę, którą mogłaby zaakceptować twoja rodzina. Bo myślałam, że tego właśnie chcesz. Kobiety podobnej do ciebie.

– Bo tego chciałem – odparł Harry zdumionym głosem.

– Wiem! Dałam ci więc, czego chciaeś. Chciaeś postępu? Dałam ci nowoczesną wersję dziewczyny, którą nigdy nie chciałam być. Chciałam prowadzić restaurację z bratem i matką, mieć dom, dzieci z tobą, pięcioro! Mogłam marzyć o byciu żoną profesora Harvardu, ale nie chciałam maszerować po ulicach ani wstąpić do Robotników Przemysłowych Świata. Nie chciałam, żeby zginęła Angela ani żebyś trafił do więzienia, nie chciałam związków ani syndykalistów. To wszystko mnie przerażało!

– Ty mnie przerażasz. To czego chciałaś w takim razie?

– Niczego. – Gina płakała. – Tylko ciebie. Kochałam cię. To wszystko. Od chwili, gdy cię poznałam, kochałam cię. Trwałam przy tobie. Poszałam dla ciebie do Simmons College i stałam się radykałem. Udawałam, że interesują mnie inni chłopcy, żebyś pomyślał, że wierzę w wolną miłość, bo w to wierzyli socjaliści, w to wierzyła Emma.

– To był najmniej atrakcyjny element jej przemówień – powiedział Harry.

– Mówisz to teraz, bo jestem twoją żoną. „Miłość ma magiczną moc, by uczynić z biedaka króla”. Pamiętasz? Byłeś zachwycony, gdy budziłeś się na plaży w Revere u boku kobiety, która wierzy w wolną miłość.

– Kto nie byłby zachwycony? Zakochałaby się w tobie nawet muszka owocowa.

Nie mogli na siebie patrzeć, wspominając plażę nad oceanem w Hampton, i czas, kiedy całe życie stało przed nimi otworem.

– Proszę, Harry – szepnęła, z trudem wypowiadając każdą zgłoskę. – Nie kaź mi jechać z tobą do Rosji. Nie kaź jechać Aleksandrowi.

– Gia, nigdy nie zostawię mojego syna. Nigdy.

– Ja też nie.

- To dlaczego mówisz, że chcesz go zostawić?
 - Bo nie chcę, żebyśmy jechali!
 - Możesz przeżyć tylko jedno życie. Wszyscy musimy wybierać. Jak wcześniej. Albo Boston, albo Bellagrand. Jedno albo drugie. Nie można mieć obu naraz.
- Gorycz rozlała się po całym ciele Giny.
- Teraz czeka mnie największa kara – powiedziała. – Nie będę mieć ani jednego, ani drugiego.

Mijały godziny. Dzień utknął w martwym punkcie. Aleksander, przedmiot ich rozpacz, niedługo wróci do domu. Głodni, spragnieni, poróżnieni, Harry i Gina rozebrali się i w łóżku próbowali się nakarmić, napić i pogodzić. Zawsze mogli liczyć na wzajemną namiętność. Kiedy Harry nie tłumaczył w Athenaeum *Teorii i praktyki leninizmu* Stalina, nadal sięgał po nią z pożądaniem, szeptał jej słowa, które pragnęła usłyszeć, brał od niej resztki sycylijskiej pasji.

- Człowiek jest biedny i opuszczony, gdy omija go miłość – szepnął Harry, całując jej rozchylone usta. – A jeśli zostaje, najbiedniejsza nora napełnia się ciepłem, życiem i kolorami...

- Emma Goldman jest trochę lepsza od Greena – mruknęła Gina z zamkniętymi oczami, zachęcając go do *languide carezze*. – Ale czy musimy przyjmować tę ostatnią część tak dosłownie?

- W obliczu miłości człowiek jest zupełnie bezradny – szepnął w jej wilgotną szyję, otulając ją całym ciałem. Leżał na niej, trzymając jej twarz w dłoniach. – Totalnie bezradny przed tobą. *Tu mi hai rapito il cuore?* Czy nie to mi szeptałaś?

Zmęczeni, nadzy odliczali minuty do powrotu syna.

Harry leżał na wznak z zamkniętymi oczami.

- Od tak dawna nie szeptałaś do mnie po włosku – powiedział. – Nie pamiętam, kiedy robiłaś to ostatni raz.

To była prawda. Włoskie słowne pieszczoty zniknęły. Gina leżała na boku, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami.

- A jeśli mylisz się co do Rosji, Harry?

Westchnął. Nie otwierając oczu, wyciągnął rękę, pogładził ją po plecach, pochylił się, pocałował ją w twarz, przytulił.

- Nie zamierzam się mylić.

- Cena, którą płaci się za pomyłkę, jest zbyt wysoka. – Nie chciała tego powiedzieć. I nie chciała płacić. Nie chciała przyznać, jak bardzo boi się o Aleksandra.

- Czego się boisz?

- Że okaże się, że ludzie mądrzejsi od ciebie mieli rację.

- A kto ze znanych ci ludzi jest mądrzejszy ode mnie?

- Max Eastman.

- Nie słuchaj go. Od dziesięciu lat jest w złym nastroju.

Zerwała się, podeszła do toaletki, wzięła artykuł, który wycięła z gazety, wróciła do łóżka i położyła się. Czytając, musiała mrużyć oczy. Niedługo będą jej potrzebne okulary.

- Wszechświat materializmu dialektycznego – czytała na głos – jest panteistycznym

bogiem przebrany za materię i pozwala sobie na formy zachowania właściwe kanibalom z Kartaginy, albo nawet je przewyższające.

– Eastman to napisał? – Harry uśmiechnął się lekceważąco. – Naprawdę się od nas odciął.

– Odciał się po wyjeździe do Rosji.

Harry wzruszył ramionami z udanym rozczarowaniem.

– A był takim dobrym socjalistą.

– Posłuchaj tego...

Wyjął jej artykuł z ręki i rzucił na podłogę.

– Wrócił do Stanów?

– Tak.

– Więc rozpowszechnia bzdury, które przed chwilą przeczytałaś, a jednak cały i zdrowy wrócił do Ameryki?

– Tak.

– Kanibale z Kartaginy, coś takiego. – Roześmiał się. – Jak myślisz, co się z nami stanie?

– Nie wiem. Wtrąca nas do więzienia?

– Kochanie, po co mieliby nas wtrącać do więzienia? Pomyśl tylko, co mówisz.

– A co z opowieściami o brutalnym tłumieniu?

– To wszystko kłamstwa.

– Wszystko? Czytałaś któryś z listów, które Max przysłał do domu? Bolszewicy nie pozwalają na najmniejsze odejście od bolszewizmu. – Prychnęła z pogardą. – Socjalistom wstęp wzbroniony, tak powinno brzmieć ich motto.

– Nawet ty kupiłaś tę propagandę. Myślałem, że jesteś mądrzejsza.

– Nie jestem mądrzejsza od Maxa Eastmana – odparła. – Człowiek, który pojechał do Rosji, by żyć tam utopijnym marzeniem, pisze teraz, że aby aspirować do takiego marzenia, musimy porzucić wszystkie nasze zasady moralne i namawiać do bratobójstwa. Bratobójstwa, Harry! Nie mówi o więzieniu. Mówi o morderstwie. Kain zabija Abła, bo tak teraz trzeba postępować.

– Gino, Gino, kochanie. Proszę. – Harry potarł twarz. – Nie rozumiesz? Ludzie, którzy siedzą w więzieniu w Rosji, teraz nazywają się „socjalistami”, ale pięć minut temu w ich rękach dymiły jeszcze karabiny, bo walczyli z bolszewikami podczas wojny domowej. To właśnie zauważył Max. Wojna domowa, Gino, nie bratobójstwo! Ci ludzie nie są socjalistami. To biali terroryści. Pisałem o nich niedawno dla „Daily Worker”. Wiem o nich wszystko. Wykorzystują teraz określenie „socjaliści”, by zasłużyć na litość. Są godni pożałowania.

– Chcesz powiedzieć, że zasługują na naszą litość? – zapytała. – A jeśli staniesz się jednym z nich? – Albo ja? Albo Aleksander? Nie mogła wypowiedzieć na głos imienia syna.

– Nie jedziemy do Rosji Radzieckiej, by walczyć z bolszewikami! – wykrzyknął Harry. – Dlaczego mielibyśmy zrobić coś tak głupiego? To po co w ogóle jechać?

– Dobre pytanie.

– Jedziemy, by ich wspierać. Pomagać.

Opadła na poduszki.

– To tak jakbyś czytał gazetę, lecz wcale jej nie czytał.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Jej prowokacja sprawiła, że się odsunął. Byli zbyt nadzy i bezbronni, leżeli zbyt blisko siebie.

– „Globe” co tydzień drukuje historie o kontrrewolucjonistach, którzy gniją w radzieckich więzieniach politycznych – powiedziała.

– To kapitalistyczna propaganda. Nie czytam „Globe”.

– Wiem, wiem. Czytasz „Daily Worker”. Radziecką propagandę.

– Nie czytam. Piszę.

– Harry, Max Eastman, który zatrudnił cię w „The Masses”, niegdyś żarliwy komunista, pisze teraz, że słowo „kapitalizm” zostało celowo wypaczone, celowo nadano mu złowieszcze znaczenie. Mówi, że to tylko abstrakcyjny rzeczownik. A jednak ten bezosobowy byt zamieniono w diabła. To tylko gra słów, pisze Max, by z mgły stworzyć śmiertelnego wroga.

– Gino, nie chcę już więcej słuchać o Maksie! To zdrajca.

– Szanowałeś go.

– Dopóki nie zaczął nas zdradzać. A ty powinnaś przestać czytać „Globe”. Nie dawaj tak sobą sterować. Musisz czytać krytycznie. Boże! Co jeszcze powiedzą? Nawet nie uznają Związku Radzieckiego. Nigdy nie powiedzą, że tam jest wspaniale.

– Czemu nie? Jeśli jest, to czemu nie?

– Bo to by zagroziło całemu ich systemowi. Słyszałaś, co mówił Domarind. Kto chce słuchać podzwonnego dla swojego sposobu życia?

– Myślisz, że tylko o to chodzi? Że Amerykanie się boją, bo w Rosji jest tak wspaniale?

– Powinnaś poczytać Waltera Durranty’ego, jeśli naprawdę chcesz poznać prawdę o tym, co się tam dzieje – powiedział Harry. – To prawda, garstkę kontrrewolucjonistów aresztowano w kraju liczącym sto pięćdziesiąt milionów ludzi. Teraz siedzi w więzieniu jakieś pięćset osób. Czy wydaje ci się, że to dużo, gdy tutaj więzi się tysiące za przemawianie przeciwko tej mgłę, jak nazywasz kapitalizm? A wiesz, gdzie trzymają te pięćset osób? Wiele z nich na Soławkach, w dawnym klasztorze. Wiesz, gdzie to jest? Na wyspie na środku Morza Białego. Niesamowite otoczenie, znakomity klimat. Poczytaj też Maksyma Gorkiego. Napisał esej o tym tak zwanym więzieniu, który niedawno tłumaczyłem. – Podekscytowany usiadł na łóżku. – Dbają tam o zdrowie więźniów i dobrze ich karmią. Tak sowietci traktują swoich wrogów. Nie wymyślam tego. Więźniowie, Francuzi, Niemcy, Włosi, piszą listy do domu. Maksym Gorki widział tę wyspę na własne oczy. Dwa razy dziennie spacerują w sadzie owocowym.

– Jak w gaju pomarańczowym?

– Prawie! – Harry się roześmiał. – Mają mleko, herbatę, cukier, papierosy, zupę, mięso, ziemniaki. Gia, jadają lepiej od nas.

– Biedacy, których kiedyś karmiłam w piwnicy kościoła Świętego Łazarza, jadają lepiej od nas.

Poklepał ją czule.

– Mają ryby i prowadzą ożywione rozmowy przy herbacie i ciastkach z dżemem. Nie ma zamków w drzwiach ani oknach.

– Powiedziałaś, że Sołowki znajdują się na środku Morza Białego? To chyba zamki nie są potrzebne. Trudno stamtąd uciec.

– Chodzi mi o to, że to wcale nie wygląda na więzienie. Bardziej na obóz zuchów, na który wysyłamy Aleksandra.

– Czyli to wcale nie jest więzienie? – zapytała.

– Właśnie!

– Jest tam jak w Bellagrand?

Na moment zabrakło mu tchu.

– Widzę – zaczął z napięciem, wstając z łóżka – że nie masz ochoty prowadzić poważnej rozmowy. Chcę cię uspokoić, a ty rzucasz nonsensowne analogie. Po co w ogóle rozmawiamy? O czym mówiłem?

– Chyba opowiadałeś, jak dobrze będzie nam się żyć w radzieckim więzieniu.

– Nie! Mówiłem, jak cywilizowany kraj traktuje garstkę więźniów politycznych. A my nie będziemy więźniami. Chyba że planujesz tam agitować.

– Bo to cała ja. Agitatorka.

– Przez ciebie aż się we mnie gotuje – powiedział. – Rozpalasz mnie, najspokojniejszego z ludzi.

Rozłożyła ramiona. Patrzył na nią przez chwilę i wrócił. Przytulili się mocno.

– Komunizm to przyszłość – zagruchał jej do ucha, jak pieśń miłosną. – Pamiętasz, jak zauroczył cię Ben – celowo zawiesił głos – kiedy stale powtarzał, że to Panama jest przyszłością?

Ben.

To z Benem rozmawiała piętnaście lat temu o pożądaniu i poświęceniu.

– Już czas, moja żono – oznajmił Harry. – Rozmawialiśmy o wyjeździe od wybuchu rewolucji październikowej, kiedy idea stała się rzeczywistością. Kiedy niemożliwe stało się możliwe.

– Tak jak słowo stało się ciałem?

– Chyba tak – potwierdził, jakby nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Nie wytłumaczyła mu. – Czas, byśmy stanęli na barykadach.

– Znowu używasz języka wojny, mówiąc o relacjach między ludźmi w czasie pokoju.

– Gina! *Basta!*

– Ty *basta* – szepnęła.

Ich małżeńskie tango osiągnęło impas.

Aleksander wracał piechotą ze szkoły. Domarind siedział w swojej kancelarii. W Departamencie Sprawiedliwości czytano dokumenty deportacyjne. Nic więcej nie zostało do powiedzenia. Gina ubrała się, upięła włosy, włożyła ciepły płaszcz i kapelusz.

– Wstawaj – powiedziała. – Aleksander zaraz wróci. Nie zapomnij zabrać go o czwartej na trening hokeja.

– Dokąd idziesz? Chciałem poczytać.

– Możesz czytać na lodowisku. Wychodzę. Chcę oczyścić umysł i muszę pomyśleć.

– Kiedy wrócisz, będziesz miała dla mnie odpowiedź?

Obiecała, że tak.

– Chcę wiedzieć tylko jedno – powiedziała przed wyjściem. – Czy będziemy błagać

o litość?

– Nigdy. Nigdy nie będziemy tacy jak biali terroryści.

Rozdział dziewiętnasty

Psalm 91

I

Cambridge, z jego klejnotem Harvardem, jest najpiękniejsze jesienią. Gina zawsze tak uważała. Na widok płonącego cynobrowego piękna zamarło jej serce. Zabrakło jej tchu, przyłożyła dłonie do piersi. Poczowała to wyjątkowo mocno tego dnia, gdy wysiadła z autobusu przy Oxford Street i wolno szła w stronę Centrum Nauk Ścisłych. Za białym płotem japońskie latarnie lśniły w zapadającym powoli zmroku, obiecując, że później staną się jedynym źródłem światła w ciemności. Klony, jesiony, dęby i wierzby – czerwone, złote i żółte – płonęły ogniem barw. Gina szła z uniesioną brodą i wyprostowanymi ramionami. Być może Harvard był dla niej szczególnie ważny, bo podejrzewała, że ogląda go ostatni raz w życiu. Tak jak wtedy, gdy wyjeżdżali z Belpasso, każda zniszczona chata, rozwalający się płot, pokryte pyłem drogi, błękitne niebo nad złowieszczą Etną górującą nad miastem doprowadziły ją i Salva do łez. Mieli nadzieję, że miejsce, do którego płyną, będzie choć w jednej dziesiątej tak piękne.

I nie zawiedli się. Ameryka była piękna.

Na drugim piętrze Centrum Nauk Ścisłych zapukała z wahaniem do drzwi gabinetu i czekała. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Ben w dwurzędowym garniturze, trochę pogniecionym, jakby wygląd był dla niego mniej ważny niż stos podręczników i esejów lub może młody człowiek w tweedowej marynarce, zdenerwowany i blady, który siedział na krześle przed biurkiem.

– Gino, jak się masz? Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście, nie chciałam ci przeszkadzać... – Wykrzywiła usta. – Masz chwilę?

Ben spojrzał na spiętego studenta.

Cofnęła się.

– Może innym razem. Proszę, nie zwracaj sobie głowy.

– Możesz poczekać? – zapytał Ben. – Zaraz kończymy, ale muszę przyjąć jeszcze dwóch.

– Poczekaam.

– Na pewno? Bo to może...

– Nie szkodzi. Będę na dziedzińcu.

– Znajdę cię. Ciesz się pięknym jesiennym dniem. Przez następne trzy miesiące będziemy oglądać tylko zadymki.

– Na pewno.

Czterdzieści minut później Ben znalazł ją na schodach Memorial Church, otuloną wełnianym płaszczem.

– Przepraszam, że tak długo trwało. Konsultacje zajmują całą wieczność. Zimno ci?

– Nie. – To dlaczego drżała? – Cieszę się, że mogłeś się wyrwać.

– O szóstej mam wykład. – Usiadł na schodach obok niej. – Zmęczył cię spacer?

– Nie spacerowałam. Siedziałam tutaj. Podziwiałam widok. – Razem spojrzeli na dziedziniec Harvardu z Biblioteką Weidnera wznoszącą się nad rdzawymi klonami i złotymi dębami. Prawie zmierzchało. Niebawem zapalał latarnie. Rozbolała ją głowa.

– Tutaj siadywałem i czekałem, aż twój mąż skończy zajęcia – powiedział Ben.

– Wiem. Opowiadał mi. – Obserwowali razem ludzi, młodych jak niegdyś oni, biegnących na kolację z przyjaciółmi, pisać eseje, na wieczorne zajęcia, biegnących do życia.

Ben wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

– Przejdźmy się – powiedział. – Żeby się rozgrzać. – Nie dotykali się, idąc pod wspaniałym baldachimem utkanym z ostatnich barw jesieni. Nie wsunęła mu ręki pod ramię. To nie było Concord w 1914 roku. Za historycznymi podcieniami nie czekał na nich dyniowy festyn.

Prowadzili niezobowiązująca rozmowę o niedawnych wydarzeniach (Dow Jones osiągnął najlepszy w historii wynik 381), o planie zajęć Bena (Prowadzę cztery kursy i nie mam czasu na tak bardzo potrzebne prace nad poszerzeniem Massachusetts Avenue), o talentach hokejowych Aleksandra (ogromne), o pogodzie (kapryśna), Ingersol (ma się dobrze), Esther (ma się dobrze), o Harrym (milczenie).

– Co się dzieje, Gino? Jak mogę pomóc? Znowu ma kłopoty? Słyszałem, że zwolnił Domarinda.

Wzięła głęboki oddech. Opowiedziała mu o spotkaniu z byłym już adwokatem i całej reszcie. Wydali wszystkie pieniądze na honoraria dla prawnika, koszty sądowe i inne rzeczy. Nie chciała mu wyznać, co kryło się pod tym ostatnim określeniem. Powiedziała, że nic im już nie zostało, a Departamenty Stanu i Sprawiedliwości mają ich powyżej uszu. Nie chcą Harry'ego w więzieniu federalnym. Chcą tylko, żeby wyjechał. I dobrze, bo on tylko tego pragnie.

– Boję się, że nie mamy wyboru? – dokończyła, stawiając na końcu znak zapytania, jakby się spodziewała, że Ben zaprzeczy lub się z nią zgodzi.

– No to pozwól mu jechać – powiedział. – Ty zostań. Z Aleksandrem.

Gina pokręciła głową; poczuła się jak małe dziecko.

– Chyba nie myślisz poważnie o wyjeździe do Związku Radzieckiego? Bawisz się w adwokata diabła?

Nie odpowiedziała. Nie dlatego, że nie chciała. Przez usta nie mogło jej przejść wyznanie: Straciliśmy amerykańskie obywatelstwo. Zostaniemy deportowani.

W końcu z ociąganiem wyznała mu wszystko.

Zatrzymał się.

– To straszne. Esther wie?

– Nie chcę, żebyś jej cokolwiek mówił, dopóki nie będziemy pewni, co się wydarzy. Proszę, obiecaj mi.

– Dobrze. – Nie zabrzmiało to jednak zbyt przekonująco.

Podjęli smutny spacer wśród popołudniowego tłumy.

– Proszę cię, Ben. Wiem, że rozmawiacie z Esther. Ona nie może nic wiedzieć, dopóki nie będziemy mieli pewności.

– Ona może wam pomóc.

– Nie. Tylko wszystko pogorszy. Uwierz mi.

– Jak może pogorszyć?

– Bo przez Aleksandra traci zupełnie głowę. Będzie chciała go zatrzymać.

Ben pokiwał głową.

– Nie kiwaj głową! On nie może tu zostać. Jeśli musimy jechać, pojedzie z nami. Ani Harry, ani ja nie możemy się zgodzić na nic innego. Nie zostawimy go. Esther nie zrozumie, ale ty rozumiesz, prawda?

Ben milczał. Obeszli całą Bibliotekę Weidnera, zanim znów się odezwał. Trawniki pomiędzy krzyżującymi się ścieżkami były zasłane liśćmi.

– Może wam pomóc zostać tutaj.

– Proszę... Nic nie rozumiesz, a ja nie potrafię ci wytłumaczyć.

– W porządku. – Zapiął płaszcz. – O co więc chcesz mnie zapytać?

Gina spuściła głowę udęczona. Miała tak niewielki wybór, że przypominało to nawlekanie nitką główki od szpilki.

– Każda decyzja w życiu nie może być tak bolesna – powiedziała.

– Nie. Tylko te najtrudniejsze. – Ben zawiesił głos. – Proszę, pozwól Esther wam pomóc. Nie jest jeszcze za późno. Wykorzysta koneksje ojca, żeby zatrzymać tu Harry'ego.

– Już za późno – odparła cicho. – Harry chce jechać do Rosji. Czy w tym Esther może nam pomóc?

– Jest jego siostrą. Może uda jej się go przekonać.

– Ja nie potrafię go przekonać, żeby nie pił późno mocnej herbaty, a ona wyperswaduje mu coś takiego?

– Gino! – Ben poprawił kapelusz i zamilkł. Kiedy w końcu wziął się w garść, mówił już spokojniejszym głosem. – Zapomnij na chwilę o Harrym. Myślisz, że twój ojciec chciałby, żebyś opuściła Amerykę i pojechała do Rosji?

Unikała uczciwej odpowiedzi, która oczywiście brzmiała „nie”.

– Może. Nie wiem. Popierał wszelkie postępowe idee. Rosja nadal oznacza dla mnie przyszłość. Nieznana, to prawda...

– A czy przyszłość może być inna?

– Nie, masz rację. Chyba nie. Może powinnam znaleźć wróżkę, żeby mi pomogła? – Uśmiechnęła się do niego, przekrzywiając głowę, próbując zmusić i jego do uśmiechu. Zamiast tego spojrzał przelotnie na zegarek. Tracił cierpliwość.

– Potrzebuję od ciebie rady, Ben – rzuciła szybko. – Mądrych słów. Musisz być moją Rose Hawthorne.

– Będę, czymkolwiek zechcesz – powiedział z westchnieniem. – Jak brzmi twoje

pytanie?

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Panamie?

– Kiedy?

– Piętnaście lat temu.

– Och. Tak, oczywiście. Tej rozmowy nie zapomnę. – Uśmiechnął się lekko.

– Zapytałam cię wtedy, czy twoje życie było warte tej ofiary. Czy warto było ryzykować młodość, narażać się na niebezpieczeństwo, by zrobić tę niemożliwą rzecz? Bo to było naprawdę niemożliwe. Długi na siedemdziesiąt kilometrów kanał przez góry, z jednym końcem poniżej poziomu morza. I trzeba to było zrobić tak, by na zawsze rozwiązać poważny problem międzynarodowy. Śmierć, choroby, koszty, czysto techniczne szaleństwo, pamiętasz kłótnie i spory, które temu towarzyszyły?

– Aż za dobrze. Prowadzę kurs dyplomowy na ten temat. Następne zajęcia mam dziś o szóstej, jeśli chciałabyś zajrzeć i posłuchać.

– Chodzi mi o to... Nie sądzisz, że pod wieloma względami twój dawny dylemat jest taki sam jak mój obecny, jak najważniejsze pytanie, na które musimy z Harrym odpowiedzieć? To znaczy ja, bo Harry jest pewny. Zdecydował się dawno temu. – Szturchnęła go lekko. – Trochę jak ty z Panamą.

Oboje niechętnie przyznali, że to prawda.

– On nie ustąpi – ciągnęła Gina – a kwestia przyszłości Związku Radzieckiego jest tak złożona i niepewna jak Panama. Budować czy nie budować? Jechać czy nie jechać? Czy ten twór, który dopiero co oderwał się od ziemi, rozwinie skrzydła, czy na zawsze pozostanie uziemiony? Czy odniesie sukces, jak Panama? Czy będzie warto? Powiedziałeś mi wtedy, żebym zadała ci te pytania za piętnaście lat, bo nie mogłeś mi odpowiedzieć, gdy otwarto kanał. Więc pytam, Ben. Nie miałam wtedy pojęcia, jak rozpaczliwie będę potrzebować twojej odpowiedzi. Czy Panama była warta ryzyka i poświęcenia?

– W przypadku Panamy odpowiedź brzmi zdecydowanie tak. Nie straciłem życia w wypadku ani przez chorobę, skorzystałem na związkach z kanałem zarówno w życiu zawodowym, jak i osobistym, a abstrahując od mojej osoby, kanał zmienił świat.

– Może za kilka lat będę mogła powiedzieć to samo o Związku Radzieckim.

– Zmienił świat na lepsze – poprawił się Ben.

– Może Rosja też to zrobi. Harry tak uważa. Gorąco w to wierzy.

– Jak w Boga?

Skinęła głową.

– Boga trzeba sobie czymś zastąpić.

Ben milczał. Znow lekko go szturchnęła.

– Dlaczego nic nie mówisz?

– Nie wiem, czy jestem po stronie Harry'ego, Gino.

– Rozumiem, ale jeśli oddzielisz osobiste...

– Nie ma w tym nic osobistego. To się wiąże wyłącznie z pytaniem, które mi postawiłaś. Ludzie od zawsze szukali wielkiej nadziei, która zmieni niedoskonałą ludzkość w doskonałe braterstwo, społeczeństwo pełne nierówności w społeczność równych. Dotyczy to zwłaszcza współcześnie żyjących ludzi. Ale Związek Radziecki nie jest już abstrakcją ani, jak nazwał go jeden z ekonomistów, „społecznym mitem, o którym można rozmawiać

przy kolacji”. To prawdziwa, dotykalna rzecz.

– Jak twoja Panama, kiedy skończyliście etap planowania i weszliście na budowę. Ben niechętnie zgodził się z tym porównaniem.

– Pytanie nie dotyczy przyszłości – powiedział. – Chodzi o tu i teraz. W Panamie wiedzieliśmy, jak długo potrwa budowa, kiedy będziemy mogli oglądać efekt naszej pracy, jak on wpłynie na podróże morskie i handel międzynarodowy. Jak długo planujemy czekać ze Związkiem Radzieckim? Czy ustawili sobie jakiś punkt odniesienia, barometr? Spójrz, co teraz robią sowietzi: zabierają Ukraińcom gospodarstwa pod groźbą broni. Moje pytanie brzmi: czy jeśli pomimo najlepszych wysiłków Stalina komunizm nie rozkwitnie, bolszewicy przyznają, że ponieśli porażkę? Czy oddadzą kraj z powrotem carom, a gospodarstwa rolnikom?

– Na pewno nie carom, bo wszystkich zabili. – Gina nie wiedziała, czy zabili wszystkich Ukraińców.

– Jak więc brzmi odpowiedź Harry’ego? Ile czasu sobie dają, by odnieść sukces?

– Chyba tyle, ile będą potrzebowali. – Spojrzała na niego, mrużąc oczy. Czy Ben też czytał Maxa Eastmana?

– A jeśli to się nie stanie za twojego życia – ciągnął Ben – skąd będziesz wiedziała, że postąpiłaś słusznie? Panama nie miała być odpowiedzią na wszystkie problemy świata. Była praktycznym rozwiązaniem konkretnego problemu. Osobiście ostrożnie podchodzę do globalnych programów, które opierają się na fundamentalnej zmianie ludzkości.

– Dlaczego mówisz, że to się nie zdarzy za naszego życia? – zapytała. – Spójrz, co Durranty napisał po powrocie ze Związku Radzieckiego. Jest nastawiony bardzo optymistycznie.

– Gino, mówisz to z przekonania, czy tylko się ze mną spierasz? Kiedy rozmawiasz o tym z Harrym, po której jesteś stronie?

Nie chciała mu wyznać, ilu słów użyła, by przekonać męża do zmiany zdania. Wszystkich słów.

– Chyba po jego. – Wbiła wzrok w stopy.

– Rozumiem. Czasami musisz zapłacić bardzo wysoką cenę za swoje przekonania. Harry musiał ci o tym wspomnieć raz czy dwa. Jakiej więc rady oczekujesz ode mnie?

– Tak, Gino. Jedź. Na pewno warto. – Uśmiechnęła się.

Skinął głową.

– Tak, Gino. Jedź. Na pewno warto.

– Tylko tak mówisz. Ale tak nie myślisz.

Roześmiał się.

– Kiedy już mogłem dotknąć tej ogromnej zmiany, która wywarła wpływ na cały glob, powiedziałem ci, żebyś mnie zapytała za piętnaście lat. Nawet gdy byłem bardzo pewny, powiedziałem ci, że nie mam pewności.

– Ale ja proszę, żebyś odpowiedział teraz. Czy warto jechać i budować komunizm w Związku Radzieckim, jak ty budowałeś kanał w Panamie?

– Nie wiem – odparł. – Jesteś gotowa poświęcić temu życie?

Milczała.

– Chyba musisz sobie odpowiedzieć na jedno pytanie – ciągnął Ben.

– Jakie?

– Komunizm, ale za jaką cenę?

Szli ocienioną ścieżką pomiędzy budynkami Weld i Grays. Wiedziała, że już najwyższa pora, by skierować się w stronę Bramy Johnsona, ale ociągała się.

– Mogłabym zadać ci to samo pytanie – powiedziała. – Panama, ale za jaką cenę?

– Najwyraźniej kiedy byłem młody, wierzyłem, że odpowiedź brzmi: za najwyższą.

Czy Harry był gotów zapłacić najwyższą cenę? Tu jednak nie chodziło tylko o ich głowy. Także o głowę Aleksandra. Gina nie mogła powstrzymać drżenia.

Byli już prawie przy bramie wychodzącej na Peabody Street, którą zablokowała dwadzieścia pięć lat temu, by osaczyć Harry'ego swoją miłością. „Miłość nigdy nie ustaje, [nie jest] jak prorocтва, które się kończą”[22]. Przyszłość jest nieznaną. Tylko miłość jest znana.

L'amore tollera ogni cosa, crede ogni cosa, spera ogni cosa, sopporta ogni cosa.

– On jest moim mężem, Ben – powiedziała. – On i Aleksander są jedyną rodziną, jaka mi została. On wierzy w to całym sercem. A ja muszę wierzyć w niego. Mam nadzieję, że okaże się, że miał rację, jak ty. Że jego wiara w bolszewizm okaże się równie mocna jak twoja w Panamę.

– A jeśli nie?

Patrzyli na siebie, nie mogąc znaleźć słów.

– Będziemy musieli przebyć ten kanał, kiedy do niego dotrzemy – powiedziała w końcu Gina.

Doszli do końca alejki, do końca rozmowy, do końca wszystkiego. Zeszli ze ścieżki na trawnik, by pozwolić przejść hałaśliwym studentom. Gina musiała biec do domu. On musiał biec, by przygotować się do wieczornego wykładu. Nadeszła pora rozstania.

– Dziękuję ci za dzisiaj – powiedziała. – Naprawdę tego potrzebowałam.

– Bardzo proszę.

Stała nieruchomo, nie dotykając go. Po chwili pochyliła się do przodu, rozłożyła ramiona i objęła go. Trzymała torebkę. On – parasol. Zanim zaczęła mówić do kołnierza jego płaszcza, zniżyła głos. Tak dawno temu połączyło ich uczucie. Od tamtej pory wiele przeżyli. Nie mogła jednak wyjechać, nie wspominając o ich *gioia effimera condivisa*.

– Nigdy cię nie zapomniałam, Ben. I nigdy nie zapomnę.

Uścisnął ją w odpowiedzi i zadrżał, jakby zaskoczyły go jej czułe słowa.

– Myślałem, że przygodą mojego życia była Panama – powiedział łamiącym się głosem w jej włosy. – Ale myliłem się. Nie Panama, lecz ty.

– Proszę, nie mów tak – szepnęła. Próbowała się odsunąć, lecz jej nie puszczał.

– Nic w moim życiu nie może się równać z tymi cudownymi, ulotnymi chwilami, które spędziłem z tobą. – Teraz ją puścił.

– Nie mówisz poważnie. Proszę.

Patrzył na nią w milczeniu, gdy stali zbyt blisko siebie, dotykając się płaszcami na skraju dziedzińca pod japońskimi latarniami.

Potrząsnęła głową i odsunęła się, a przez jej twarz przemknął cień smutku i skruchy.

– To od nas odeszło, Ben – powiedziała. – Klony, wierzby, jazda na łyżwach.

– Nie. To my odeszliśmy. Teraz nie mógłbym zbudować kanału. Nie mógłbym rozsunać

gór i powstrzymywać erupcji płynnej gliny. Nie mam już tyle zapału.

– Czasami czuję, że moje życie spływa wraz z płynną gliną.

– Jak błotnisty lodowiec.

– Marmur i błoto. To powiedziała mi Rose.

Ben skinął głową.

– Powiedziała ci też, żebyś ze wszystkiego robiła najlepszy użytek.

– Czy zalicza się do tego wyjazd do Rosji?

– Nie. Nie jedź tam, Gino. To moja prawdziwa rada. Proszę, nie jedź.

Odwróciła wzrok, nie mogąc znieść niepokoju i innych uczuć malujących się na jego twarzy.

– I co? – Przekrzywił głowę, by ostatni raz uchwycić jej spojrzenie. – Pomogłem ci?

– Za wcześnie, by to wiedzieć, *mio amico* – odparła, wyciągając rękę na pożegnanie. – Zapytaj mnie za piętnaście lat.

Ben zdjął kapelusz, pochylił się i podniósł jej dłoń do ust. Pocałował ją w podniszczoną jedwabną rękawiczkę, a potem odsunął szary materiał, odwrócił jej rękę i pocałował nagie wnętrze dłoni. Oboje lekko zadrżeli. Nie powiedzieli już ani słowa. Ben skłonił się, włożył kapelusz i odszedł. Jego wyprostowana ciemna sylwetka mieszała się z tłumem i zniknęła jej z oczu. Na końcu Massachusetts Avenue Gina wsiadła do autobusu. Płakała przez całą drogę do domu.

2

Krew odpłynęła Esther z serca, gdy ponad miesiąc później dowiedziała się w końcu od Bena o planach Harry'ego. Ona, dama, która nosiła eleganckie buty i długie rękawiczki, która nigdy nie wychodziła z domu, gdy nie wyglądała jak spod igły, zjawiła się na progu mieszkania brata w sobotni poranek nieumalowana, z szaleństwem w oczach i bez kapelusza. Jedyne Aleksander ocalił ich przed skandaliczną sceną.

– Ciociu Esther! – zawołał, całując ją i pokazując łyżwy. – Dlaczego nie przyszłaś wczoraj? Czekałem na ciebie cały wieczór.

– Przepraszam, kochanie. Coś mi wypadło. Próbowałam dzwonić...

– Tak, nasz telefon nie działa. Proszę, zabierz mnie teraz ze sobą. Bo Teddy dziś po południu gra bardzo ważny mecz hokeja na stawie i obiecałem mu, że tam będę.

– Kochanie – odparła Esther – przez cały tydzień było prawie pięć stopni. Lód na stawie nie jest bezpieczny. Na pewno nie chcesz na nim jeździć.

– Nie będę jeździł, tylko dopingował. Proszę! Obiecałem.

– Synu – wtrącił się Harry – dlaczego obiecałeś Teddy'emu coś, na co nie masz wpływu? – Razem z Giną czuwali w salonie. Harry udawał, że obojętnie spogląda na gazetę; Gina nawet nie udawała, stojąc sztywno w najbardziej odległym kącie. Wyglądała niezwykle elegancko. Jak prawdziwa dama z Bostonu. Przeraźliwie chuda dama. Esther musiała zauważyć, że żona Harry'ego przez ostatnie lata spędzone w Beacon Hill stała się najszczuplejszą kobietą w towarzystwie.

– Tato, według takiej definicji nikt nigdy nie mógłby niczego obiecać! – Aleksander spojrzał błagalnie na Esther. – Proszę – szepnął nagle.

– Ale mam rację, synu – powiedział Harry. – Nigdy nie powinieneś obiecywać czegoś, nad czym nie masz kontroli.

Esther cudem zdobyła się na uśmiech – dla bratanka.

– Zobaczmy – powiedziała do chłopca. – Ale najpierw pozwól mi porozmawiać z rodzicami.

– A potem pojedziemy?

– Postaram się. Nie mogę obiecać.

Ścisnęła ją za rękę, na szczęście nie dostrzegając, jak bardzo jest blada i przestraszona.

– Jeśli mnie zabierzesz – szepnął – będę pozował do tego głupiego świątecznego portretu.

Esther pochyliła się i pocałowała go w czubek czarnej głowy. Tak szybko rósł. Niedługo to on będzie musiał się pochylać, żeby mogła go pocałować.

– Idź, pobaw się w parku. Kup sobie lody. – Zdrętwiałymi palcami poszukała w torebce drobnych. – Proszę. Teraz muszę porozmawiać z rodzicami.

Aleksander wybiegł z mieszkania.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Esther. Z zaciętego wyrazu twarzy brata wywnioskowała, że nie zareaguje na żadne perswazje.

– O co chodzi, Esther? Wyglądasz na zrozpaczoną.

– Powiedz proszę, że to, co usłyszałam, jest nieprawdą. Proszę, powiedz, że nie myślisz poważnie o zabraniu rodziny do... – Jak w ogóle udało jej wydobywać z siebie głos? – ... Związku Radzieckiego.

Harry zmarszczył brwi i zawahał się.

– Gdzie to usłyszałaś? – Zmierzył Ginę pełnym wściekłości spojrzeniem. – Chyba uzgodniliśmy, że nic nie będziemy mówić.

Gina rozłożyła ręce i pokręciła głową.

– Esther?

Gina odwróciła wzrok od Harry'ego i spojrzała na Esther, która wpatrywała się w swoją szwagierkę przenikliwym, lecz jednocześnie błagalnym wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: Gino! Wiem, że odwiedzałaś Bena, próbując pomóc mojemu bratu, i z sobie tylko znanych powodów nie powiedziałaś mu o tym, a mój brat z sobie tylko znanych powodów, choć mieszka trzydzieści minut drogi od swojego najstarszego przyjaciela, nie kontaktował się z nim od siedmiu lat. Ben też nie szukał z nim kontaktu, choć oczywiście nie ma nic przeciwko temu, żeby mu pomagać – a może pomaga tobie? Wiesz, że wiedziałam o tym i nic nie powiedziałam. Nadal będę milczeć, jeśli usłyszysz niemy krzyk w moim gardle, jeśli posłuchasz własnego sumienia. Powiedz mi, co mam powiedzieć mojemu bratu.

Gina ukradkiem spojrzała Esther w oczy i spuściła głowę.

Esther odwróciła się do Harry'ego.

– Zapytaj swoją żonę, gdzie mogłam się tego dowiedzieć.

– Gina nie ma pojęcia – odparł Harry. – Być może od naszego byłego adwokata, pana Domarinda?

– Nie.

– Posłuchaj – zaczął Harry – nie wiem, co między wami zaszło, podobnie jak nie wiem, co się między wami działo przez całe lata. To nie ma znaczenia. Obojętne jak się o tym dowiedziałaś, to jest prawda. Wyjeżdżamy do Związku Radzieckiego.

Esther ścisnęła kościste palce, jakby chciała je połamać.

– Zamierzałeś w ogóle mi o tym powiedzieć? Czy chciałeś rozpląnąć się w powietrzu?

– Nie bądź głupia – odparł Harry. – Zamierzaliśmy ci powiedzieć w tym tygodniu.

– Tak jak powiedziałeś Alice tydzień przed dniem waszego ślubu, że ożeniłeś się z kimś innym... Daj spokój.

– Nie z kimś innym, lecz z moją żoną i matką Aleksandra...

Obie kobiety jęknęły na dźwięk tego samego słowa: Aleksander.

Harry spojrzał na siostrę lodowatym wzrokiem.

– Wiem, że jesteś zdenerwowana, ale nie ma potrzeby...

– Zdenerwowana!

– To dlaczego tak się zachowujesz? Przecież nie każemy ci jechać z nami.

Esther nie mogła wydobyć słów, były zbyt bolesne. Zupełnie jakby rozdzierały jej gardło, gdy próbowała je wyartykułować. Z dłońmi zaciśniętymi w błagalnym geście rozpaczliwie przebiegała wzrokiem od Harry'ego do Giny.

– Gino – zaczęła ochryple, prawie szeptem – co z naszym... Aleksandrem? – Jej oczy były pełne smutku.

– Co z nim? – zapytał Harry.

– Ma przed sobą całe życie!

– No właśnie. Musimy myśleć o Aleksandrze.

Esther pokręciła głową. I nie przestała nią kręcić, mówiąc:

– To tylko chłopiec. Nic nie wie. Nie może podjąć takiej decyzji. Podejmujecie ją za niego.

– Tak właśnie postępują rodzice. Podejmują decyzje za dzieci. Dlatego jesteśmy rodzicami. A one są dziećmi.

– Ale to zła decyzja, Harry. Zniszczysz mu życie. Bardzo zła.

– Najwyraźniej jesteśmy innego zdania.

Wbijając paznokcie w dłonie, by fizyczny ból zagłuszył przerażenie, Esther zrobiła niepewny krok w stronę Giny.

– Proszę – powiedziała do bladej kobiety stojącej jak słup soli obok Harry'ego. – Gino! Przemyślałam moje wcześniejsze zachowanie. Wyobraź sobie, jakie to było trudne. Proszę, zapomnij, że kiedykolwiek cię zraniłam, zapomnij o nieprzyjemnych słowach, które wypowiedziałam pod twoim adresem i wybac mi. Ale proszę, nie rób tego. Syn jest twoją drogą do gwiazd. Zasluguje na coś lepszego.

– Nie zgadzamy się z tym, Esther – powiedział Harry.

Wargi Giny były białe jak jej twarz.

– Pomagałam ci wcześniej – powiedziała Esther. – Wiesz, że zrobię wszystko, żeby pomóc ci tu zostać.

– Rzeczywiście pomagałaś – odparł Harry. – Bo chciałaś. Nie prosiliśmy cię o pomoc.

– Twoja żona prosiła.

- Bez mojej zgody.
- To także odbędzie się bez twojej zgody.
- To? Nie ma żadnego tego. Nic nie można zrobić.
- Zawsze można coś zrobić.
- Widzisz, Gia? – Harry odwrócił się do żony. – A ty uważasz, że to ja zawsze liczę na pieniądze ojca.
- Proszę cię, Gino. – Esther musiała ignorować Harry’ego, by panować nad sobą. – Nie rób tego. Nie niszcz synowi życia.
- Esther! – Harry podniósł głos. – Razem z Giną mamy inne podejście do Związku Radzieckiego. Zamieszkamy w Moskwie. Zaczniemy nowe życie. Wszystko będzie dobrze.
- Jeśli pojedziesz, nigdy nie będziesz mogła wrócić. – Esther zwracała się tylko do milczącej kobiety. – Przez mojego brata straciłaś amerykańskie obywatelstwo. Och Gino! Nie jesteś już Amerykanką, nie jesteś już Włoszką. Czym będziesz? Czym będzie Aleksander?
- Rosjaninem – odparł Harry.
- Pozwól jej mówić, Harry!
- Powiedzieliśmy już, Rosjaninem.
- Ale on nie jest Rosjaninem – mówiła Esther coraz słabszym głosem. – Jest Barringtonem. Nie nazywa się Pawłow, Smirnow ani Litwinow. Jest Barringtonem z Massachusetts. Gino, przodkowie twojego syna zbudowali ten kraj i miasto, które podobno kochasz.
- Wystarczy – zażądał Harry. – To nasz syn. Nie jest niewolnikiem. Nie pęta go dziedzictwo Barringtonów. Rosja potrzebuje młodych ludzi takich jak on. Jedźcie z nami, by pomóc Związkowi Radzieckiemu. Jesteśmy znacznie bardziej potrzebni tam niż tutaj, w Bostonie.
- Nie mogłeś nic zrobić, bo co chwila cię aresztowano. Jak bardzo potrzebny okażesz się w Związku Radzieckim, jeśli zaczniesz go oskarżać w każde sobotnie popołudnie?
- Raczej nigdy się tego nie dowiemy. Prawda, Gino?
- Gino, błagam cię...
- Esther, już zdecydowaliśmy – powiedział Harry. – Złożyliśmy podanie o wizy, podpisaliśmy dokumenty o obywatelstwo, zlikwidowaliśmy konto w banku. To drobiazg – ciągnął Harry – ale pozostawiono nam wybór, czy wyjedziemy dobrowolnie, czy zostaniemy deportowani. Wybraliśmy pierwsze rozwiązanie, lecz dlatego musimy sami zapłacić za podróż. – Wzruszył ramionami. – Gina tego chciała. Prawda, kochanie? Gdybyśmy zostali deportowani, rząd zapłaciłby za podróż, ale wtedy byłoby bardzo ciężko wrócić, gdyby...
- Nigdy nie wróćcie – jęknęła Esther.
- Ponieważ Gina nalegała na takie rozwiązanie – ciągnął Harry – brakuje nam trochę gotówki...
- Nie dam wam ani centa na podróż do Rosji.
- Harry spojrział na Ginę niemal zadowolony z siebie.
- Widzisz? Mówiłem ci, że nam nie pomoże.
- Nie w tym.

– Nieważne. Nie potrzebujemy twoich pieniędzy. Damy sobie radę.

– Zrobię wszystko, żeby pomóc wam tu zostać – przekonywała Esther. – Zapłacę każdą sumę. Byłeś winien pieniądze Domarindowi? Już się tym zajęłam. Opłaty sądowe? Mieszkanie? Długi? Zatrudnię najlepszego prawnika w Stanach Zjednoczonych, żeby to załatwił. Kupię ci dom.

– Nie, Esther. Nie takiej pomocy potrzebujemy.

Esther odwróciła się do Giny.

– Odkupię ci Bellagrand!

Słup soli, który był Giną, zachwiał się.

– Esther, przestań! Próbujesz nas przekupić?

– Nie ciebie. Twoją żonę.

– Moja żona nie da się przekupić.

Milczała.

– Gino? – powiedział Harry.

– Gino? – powiedziała Esther.

Gina milczała.

– Gino, proszę cię! – wykrzyknęła Esther. – Pozwól mu jechać! Jeśli tak bardzo chce, pozwól mu. Ty zostań z Aleksandrem tutaj.

Roztrzęsiona Gina spuściła głowę.

– Esther, powiedzieliśmy już. Jedziemy do Związku Radzieckiego razem.

– Gino, posłuchaj mnie. Zajmę się wszystkim. Załatwię sprawę obywatelstwa...

– Nie! – Harry poczerwieniał na twarzy.

– Nie będziesz się musiała niczym przejmować...

– Nie o to chodzi, Esther. Potrzebujemy tylko pożyczki na podróż.

– Na to nie dam wam ani centa.

– Przyszłaś tutaj, żeby powiedzieć, że nam nie pomożesz? – prychnął Harry. – To po co w ogóle przychodziłaś?

– Przyszłam tutaj... – Esther nie mogła dokończyć. – Nie przyczynię się do rujnowania... – Zrobiła krok w stronę milczącej Giny. – Jesteś matką! – szepnęła, lecz zabrzmiało to jak krzyk. – Masz wielkie szczęście. Wiesz, co to macierzyństwo. Pomyśl o swoim synu!

Gina zachwiała się jeszcze raz, zanim gniew Harry'ego sięgnął zenitu.

– Nie zwracaj się do niej w ten sposób, Esther. Nie mów do niej o rzeczach, których nie rozumiesz.

– Myślisz, że to ja nie rozumiem, co się dzieje?

– Właśnie.

– To ona nie rozumie, co się dzieje!

– Nie mów ona! Stoi przed tobą!

– A może rozumie doskonale. – Esther zabrakło tchu. – Gino, proszę!

Harry podniósł rękę.

– Dość. Zostaw ją w spokoju. Zawsze byłaś pijawką, Esther. Zawsze pragnęłaś pieniędzy ojca. A teraz, gdy już je masz, nie chcesz nam pomóc.

– Nie chciałam jego pieniędzy, ty durniu! Chciałam, żeby myślał o mnie choć jedną

czwartą czasu, który poświęcał na myślenie o tobie. Przez całe życie! – Wściekła zwracała się tylko do drżącej kobiety przed sobą. – Powiesz mi, Gino, że ojców i synów łączy szczególna więź? Dlatego zamierzasz zniszczyć życie Aleksandrowi? Bo teraz nie możesz rozdzielić ojca z synem? Myślisz, że możesz wynagrodzić przeszłość? Myślisz, że Harry wie, co to takiego więź ojca z synem? – Roześmiała się. – Nie rozmawiali od wojny rosyjsko-japońskiej! Gdyby nie Aleksander, ojciec mógłby być umierający, a Harry nawet by do niego nie zadzwonił. Jakiej szczególnej więzi trzeba, żeby syn nie przyjechał na pogrzeb ojca?

– Wyrzucił mnie – powiedział Harry. – Odwrócił się ode mnie. Ja nigdy nie odwrócę się od mojego syna.

– Odwracasz się od niego, próbując go zabić! – wrzasnęła Esther. – A ojciec cię nie wyrzucił. To ty nas wyrzuciłeś. Dla niej!

– Nie mów tak do mojej żony!

– Nie mówiłam do niej, tylko do ciebie! – Esther zacisnęła dłonie w pięści, zapominając o dobrych manierach. – Mój brat jest głupi – powiedziała do Giny, a jej pełen rozpaczy głos stwardniał. – Ale ty dajesz się omamić. Myślisz, że będzie cię kochał, jeśli pojedziesz z nim do Związku Radzieckiego?

– Esther, dość!

– Nie! – Esther straciła resztki panowania nad sobą. – Myślisz, że mój brat ożenił się z tobą, bo zostałam anarchistką? Bo zaczęłam wygadywać brednie o warunkach społecznych i wartości rynkowej? Czy ty nic nie rozumiesz?! – Krzyknęła rozpaczliwie. – Gino, zawsze będziesz zajmować odległe drugie miejsce po tym, czego on akurat chce. Wiem coś o tym. Żyjesz z nim dwadzieścia pięć lat. Jeszcze tego nie zrozumiałaś? Poszedł do więzienia i nie obchodziło go, że zostałam sama. Obiecał ci bogate życie, a potem roztrwonił jedyny spadek po naszej matce na honoraria dla prawników, żeby stać w soboty na skrzynce, zamiast grać w hokeja z synem i chodzić z tobą na tańce. Spójrz tylko, jak żyjecie! Bóg jeden wie, na co jeszcze wydawał pieniądze matki. A teraz, gdy nie ma już wyboru, odebrał ci obywatelstwo, zapędził rodzinę do narożnika i jakoś zdołał cię przekonać, że życie w Związku Radzieckim będzie lepsze. – Roześmiała się gorzko. – I ty mu wierzysz?

– Tak – odparł Harry. – Wierzy.

Esther wymierzyła Ginie policzek.

– Esther! Boże święty!

– Co z ciebie za matka? – Po twarzach Esther i Giny płynęły łzy. Gina nie podniosła ręki, by się bronić. – Co się z tobą dzieje? To przestępstwo, straszliwe zaniedbanie. To ty powinnaś siedzieć w więzieniu za narażanie małoletniego na niebezpieczeństwo. Jesteś okropną matką!

– Z kim ją porównujesz?! – wrzasnął Harry, odciągając siostrę od Giny. – Z naszą matką? Ta matka nie opuszcza swoich dzieci!

Esther przełknęła, by powstrzymać wymioty. Czuła, że ją mdli.

– Dlaczego nie mogę cię przekonać, bracie? – szepnęła. Zwróciła się do milczącej Giny. – Dlaczego nie mogę przekonać ciebie, kobiety, matki?

– Wyjdź, Esther – zażądał Harry. – Wystarczy.

Co się stało z naszym życiem, Harry, chciała zapytać Esther. Co się stało z naszą

rodziną? Kiedyś we czwórkę wiedliśmy takie pełne, dobre życie. A potem jedno po drugim opuszczaliście mnie – zabierani przez smutek, chorobę, śmierć, brak miłości. A teraz ty. Jesteś jedyną rodziną, jaka mi została. Ty, twoja żona, mój ukochany chłopiec. Kiedy wyjedziecie, nie zostanie mi już nic. Zamieszkacie w okropnym miejscu, ale jednocześnie opuszczacie mnie. To jest straszne. Jak możesz tego nie rozumieć? Czy muszę to mówić?

Nie powiedziała.

Nie była w stanie.

Zdrętwiałymi rękami wzięła torebkę. Bardzo ostrożnie, żeby się nie potknąć lub nie zemdleć, przeszła przez pusty salon, wystukując obcasami nierówny rytm rosnącego dystansu, otworzyła drzwi i wyszła.

Na zewnątrz oparła się o bramę i zaczęła, aż będzie w stanie przejść przez Beacon Street do ogrodów publicznych, gdzie Aleksander grał w piłkę z kilkoma kolegami.

Zawołała go. Podbiegł.

– Jedziemy?

– Nie. Przykro mi. Musisz zostać. Ale ja muszę jechać.

Wyglądał na zawiedzionego.

– Obiecałem Teddy’emu.

– Wiem. Ale Teddy i Belinda rozumieją.

– Czy mogę przyjechać w przyszły weekend?

Odgarnęła mu włosy z czoła koniuszkami chudych drżących palców.

– Wybierasz się w daleką podróż. Nie wiem, co będzie z przyszłym weekendem.

– Tato mówi, że nie pojedziemy przed Bożym Narodzeniem.

– Jeśli tak, to może zobaczymy się na święta. – Rozłożyła ramiona. – Chodź, uściskaj ciocię. – Jest takim grzecznym chłopcem, pomyślała, pozwala się przytulić, choć koledzy patrzą. Objęła go mocno, zaciskając powieki. Proszę, proszę, niech nie widzi mojej rozpacz. Pocałowała go w głowę i głęboko odetchnęła.

– Aleksandrze. – Odsunęła się nieco, lecz nadal trzymała go za rękę. – Powiem ci teraz modlitwę, krótki psalm. Obiecasz, że spróbujesz się go nauczyć na pamięć? – Udało jej się nawet uśmiechnąć.

Przewrócił oczami.

– Mama stale każe mi się uczyć czegoś na pamięć.

– Ma rację. Teraz słuchaj: W nocy nie ulęknieš się strachu ani za dnia – lecącej strzały, ani zarazy, co idzie w mroku, ni moru, co niszczy w południe. Choć tysiąc padnie u twego boku, a dziesięć tysięcy po twojej prawicy: ciebie to nie spotka[23].

Aleksander wpatrywał się w twarz ciotki.

– Chcesz, żebym zapamiętał to wszystko?

– Tak. Spróbujesz?

Musiał zauważyć rozpacz malującą się na jej twarzy. Zmarszczył brwi.

– Dobrze, ciociu. Nie martw się tak. Postaram się. Obiecuję. Ale później. Koledzy czekają.

– Oczywiście. Później. Mojżesz napisał tę modlitwę, by pomóc sobie podczas czterdziestu lat na pustyni. Powtarzaj ją, aż zapisze ci się w sercu.

Aleksander się zaśmiał.

– Myślisz, że to mnie czeka, ciociu? Czterdzieści lat na pustyni?

– Ależ skąd! To tylko metafora. Figura retoryczna.

– Która część? Czterdzieści lat czy pustynia?

Esther nie odpowiedziała od razu.

– Mam nadzieję, że jedno i drugie.

– Co Mojżesz znalazł po wędrówce po pustyni?

– Ziemię Obiecaną – odparła ledwo słyszalnie.

– Zabawne. Tak właśnie mówi tato. Że jedziemy do ziemi obiecanej.

– Żyj, jak chcesz, Aleksandrze – powiedziała Esther. – Twój dziadek byłby z ciebie taki dumny. Jesteś Barringtonem. Uprzywilejowanym dzieckiem, dzieckiem wolności. Jako Barrington możesz wybierać własną drogę w życiu.

Aleksander uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Jak mój tato przede mną?

– Tak, mój skarbie – odparła Esther, rozglądając się za ławką, na której mogłaby usiąść.
– Jak twój tato przed tobą.

– Ciociu – zaczął Aleksander, zniżając głos. – Możesz powiedzieć rodzicom, że naprawdę chcę dostać psa na gwiazdkę?

– Żywego psa?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Jasne, że żywego.

– Myślałam, że chodzi ci o pluszową zabawkę.

– Jestem za duży na zabawki. – Uśmiechnął się. – Z wyjątkiem tych, które trzymam u siebie.

– Oczywiście. Szepnę za tobą słówko.

– Moja druga prośba to colt, którego mógłbym trzymać w domu.

– Wiesz, że ojciec nigdy na to nie pozwoli.

– Wiem. Ale mogłabyś im powiedzieć, że jeśli mam zostać żołnierzem, gdy dorosnę, to muszę mieć w domu broń.

– Prawdziwego colta?

Chłopiec spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Oczywiście. Powiem im – odparła.

– Moje trzecie życzenie to duże czerwone sanki. Wszyscy w Bostonie mają takie, a ja nie.

Postukała się w skroń.

– Wszystko zapisałam tutaj. Pies, colt, sanki. – Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po gładkim policzku.

Uśmiechnął się i odbiegł, wołając: – Do widzenia, ciociu!

Dzień był przyjemny jak na grudzień w Bostonie, świeciło słońce. Esther patrzyła na Aleksandra biegnącego do kolegów; zapomniał już o ciotce. Do widzenia, kochany chłopcze. Odwróciła oczy od wszystkiego, co było dla niej najcenniejsze. Wszystko się wypaliło.

Odruchowo sięgnęła ręką, by poprawić kapelusz, którego zapomniała, i ruszyła

chwiejnym krokiem, stukając obcasami eleganckich butów, w stronę samochodu zaparkowanego przez Clarence'a gdzieś przy Tremont Street.

Harry i Gina wyjechali z Aleksandrem z Bostonu dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Komunistyczna Partia Stanów Zjednoczonych i pieniądze z zastawionego pierścionka z diamentem Giny opłaciły podróż do Związku Radzieckiego. Już nigdy nie widzieli się ani nie rozmawiali z Esther.

22 Pierwszy List do Koryntian 13,8.

23 Psalm 91,5.

Rozdział dwudziesty

Ulubiona książka Harry'ego

Pakując się, Aleksander znalazł *Człowieka bez kraju*, książkę, do której nie zaglądał od kilku lat. Pokrywała się kurzem na półce. By odpocząć od podejmowania trudnych decyzji, które rzeczy zabrać ze sobą, przysiadł na łóżku, otworzył cienką książkę i zaczął czytać. Historię Philipa Nolana i jego niefortunnego wygnania przeczytał w niespełna czterdzieści minut. Zatracił się w lekturze zupełnie, a kiedy zamykał książkę, usłyszał, że rodzice wołają do niego z holu, że zostały im dwie godziny na spakowanie walizek. Czy jest gotowy?

– Prawie! – odkrzyknął i dalej siedział na łóżku. Kiedy usłyszał kroki ojca, zerwał się i zaczął udawać, że ciężko pracuje.

– Aleksandrze, twój pokój wygląda tak samo jak rano – powiedział Harry. – Co oznacza, że nic nie jest spakowane.

– Nie, nie. To tylko złudzenie. Jestem prawie gotowy. Muszę się tylko ubrać, znaleźć krawat skautów i chyba mogę jechać.

– Tak myślisz? – Harry się rozejrzył. – Za półtorej godziny to, co nie znajdzie się w twojej walizce, zostanie tutaj. To proste.

Aleksander wziął do ręki książkę, którą przed chwilą przeczytał.

– Tato, spójrz, co znalazłem. To twoja ulubiona, prawda? Mama mi mówiła. – Pokazał książkę ojcu. – Strasznie smutna historia. Ten człowiek nienawidzi Ameryki, za karę zostaje wygnany, a kiedy chce wrócić, nie może.

Harry wziął książkę od syna i z emfazą wrzucił ją do kosza na śmieci. Z hukiem uderzyła w metalowy pojemnik.

– To bzdury, Aleksandrze. Kompletne bzdury. Czytałem ją jako dziecko. Nie miałem pojęcia, jak bardzo jest banalna. Nie weźmiesz jej ze sobą. Wracaj do pakowania, proszę. Jeśli nie zdążysz, mama nakrzyczy na mnie. Szukałeś krawata pod łóżkiem?

Aleksander wpatrywał się w kosz, gdzie leżał *Człowiek bez kraju* z podartą okładką.

– Z reguły nie trzymam ubrań pod łóżkiem, tato. A ty?

– No to znajdź go, mądralo. Zostało ci osiemdziesiąt dziewięć minut. – Harry wyszedł

z pokoju, stukając butami po drewnianej podłodze.

Aleksander wpatrywał się w mapę Stanów Zjednoczonych z „National Geographic”, którą matka powiesiła w jego pokoju, by pomóc mu w lekcjach. Odwracając się do lustra, teatralnym gestem zacisnął pięść, zmarszczył brwi, zniżył głos i starał się wyglądać tak poważnie i dziko, jak mógł wyglądać Philip Nolan. Wygrazając pięścią, a drugą ręką wskazując odbicie mapy Ameryki, szepnął: Widzisz? Ja mam kraj!

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wąż i sokół

– Gia, spójrz! Patrzysz? – Podniecenie Harry’ego było zaraźliwe. – Musisz przyznać, że są niesamowite. Nigdy nie widziałem czegoś takiego jak te Alpy. Spójrz, jak blisko jesteśmy! Prawie możemy ich dotknąć.

Miał rację. Pociąg pędził przez góry, co jakiś czas wpadając do tuneli, czasem niemal zsuwając się ze skalistych zboczy. Aleksander powiedział, że to przypomina kolejkę górską w Revere Beach podczas letniego festynu. Gina zapytała, co jest lepsze, lecz nie odpowiedział.

W dolinach za oknem Giny widać było gospodarstwa, pola i pracujące kobiety. Jedna z nich wspinała się na wzgórze z synem opartym na biodrze i dużym metalowym wiadrem w ręce. Była drobna i oba ciężary wyglądały na zbyt wielkie dla niej, lecz jakoś dawała sobie radę. Gina patrzyła, jak Aleksander obserwuje kobietę, jej synka, wiadro. Był teraz wysoki i duży, lecz nie tak dawno to ona nosiła go wszędzie na biodrze.

– Tato ma rację, mamo. Tutaj jest pięknie. W jakim teraz jesteśmy kraju? W Austrii?

Gina nie spuszczała wzroku z Aleksandra siedzącego naprzeciwko niej obok ojca.

Widziałam już takie piękno, chciała powiedzieć. Żyłam w jego otoczeniu przez całe życie. Dorastałam u stóp Etny. Urodziliśmy się i wychowali, patrząc na szczyt majestatycznego, groźnego wulkanu. Kiedy wspinaliśmy się z Salvem i Alessandrem na wzgórze, widzieliśmy wszystko aż po błękitną Katanę. Przez cały rok pływaliśmy w Morzu Jońskim. Wiem, czym jest piękno. Widziałam *donne contadine* noszące swoje dzieci. Nie ma sensu doszukiwać się w tym romantyzmu. Łatwiej było mi wychować syna w Bostonie niż mojej matce mnie i moich braci na przedmieściach Belpasso w chacie bez bieżącej wody. Wiele lat temu popłynęliśmy do Ameryki, bo mój ojciec chciał dać mnie i moim braciom szansę na coś więcej niż tylko noszenie wiader z wodą i mlekiem na wzgórze. On, który strzygł włosy i robił skrzypce, choć nigdy na nich nie grał, fryzjer z Belpasso, najwspanialszy człowiek, jakiego znałam, miłość mojego młodego życia, chciał, żebyśmy się uczyli, studiowali, odnieśli sukces, stali się tym, kim chcemy. Nawet ja, dziewczynka, jego jedyna córka. Nie chciał, żeby określała mnie płęć ani macierzyństwo. Gina

przyglądała się synowi siedzącemu obok zaabsorbowanego ojca. Z czołem przyciśniętym do szyby wpatrywał się w góry. A jednak proszę, określa mnie moje jedyne dziecko. Określa mnie bardziej niż dwanaścioro dzieci babkę ze strony ojca. Mojego macierzyństwa nie rozcieńczyła ilość.

Zjeżdżali z góry. Niebawem Alpy zostaną za nimi, tak jak Ameryka i Włochy. Zostawiają Austrię, wjadą na Węgry, potem do Polski, zmieniają pociągi, pojedą na wschód i północ, miną Warszawę, w Moskwie będą za dwa, trzy dni. Moskwa. Coś takiego. Zadrżały jej palce. Spojrzała na Harry'ego. Marzyciel, mówca, sprzeciwiacz. Najpierw jego sprzeciw budziła jej młodość, potem anarchia, jeszcze później miłość. Konwenanse normalnego życia, które mu narzuciła, dziecko, którego tak bardzo pragnęła, bez względu na koszty. Sprzeciwiał się jej pragnieniu, by żyć jak normalna kobieta, nie jak rewolucjonistka. Sprzeciwiał się wszystkiemu. Nie chciał życia klasy wyższej tak samo jak getta w Lawrence i bieli Bellagrand, ich krótkiej chwili w oślepiającym słońcu.

Aleksander zakaszał. Gina natychmiast zamruwała oczami, wróciła do rzeczywistości.

– Dlaczego kaszlesz?

– Jestem dzieckiem, mam. Człowiekiem. Okruch chleba utknął w moim dzieciennym ludzkim gardle. Zakaszałem, żeby się go pozbyć.

– Chodź tutaj, pokaż mi czoło.

– Zostaw go w spokoju, Gino. Nic mu nie jest.

– Powiedziałaś, chodź tutaj. Jesteś chory?

Zbliżył się posłusznie i wcisnął pomiędzy matkę a okno.

– Nic mi nie jest. Zakaszałem. – Ale ponieważ był Aleksandrem, zakaszał raz jeszcze i z wielkim dramatyзмом zgiął się wpół. – Żartuję, mam – powiedział, gdy chwyciła go za ramiona i zaczęła uderzać w plecy. – Nic mi nie jest. Musisz się nauczyć luzu. Inaczej szybko staniesz się taka jak tato.

Oboje spojrzeli na Harry'ego, który siedział teraz sam, czytał i robił notatki cyrylicą, której się nauczył. Podniósł na nich wzrok, poważny i bez uśmiechu.

– O co chodzi? – zapytał. – Ćwiczę rosyjski. Wy też powinniście to robić, zamiast rozrabiać, kaszleć i wspominać jak głupie dzieciaki.

– Ale ja jestem głupim dzieciakiem, tato.

– Przestań. – Harry utkwiał wzrok w książce.

Gina i Aleksander odwrócili się do swoich gór. Dała mu czekoladę, a on skubał ją, nie przestając podziwiać rzeki płynącej przez dolinę, nagich drzew rysujących się ostro na tle nieba. Pogłaskała go po czarnych włosach. Niedługo znów trzeba będzie je ostrzyć. Rosły za szybko. Jak on.

– Jesteś podekscytowany?

– Czym? Och. – Zawiesił głos. – Tamtym. – Zjadł ostatni kawałek czekolady. – Jasne. A ty?

– Jasne.

– Mamy jakieś pieniądze na tę przygodę? – zapytał. – Tato powiedział, że w Moskwie nie będziemy potrzebować pieniędzy. Ale chyba żartował?

– Nie żartowałem, synu – powiedział Harry. – Nie mamy pieniędzy, bo nie będą nam potrzebne. Rząd radziecki pomoże nam się urządzać, a potem znajdzie pracę. Damy sobie

radę. O to właśnie chodzi. Nie będzie nas określać suma pieniędzy, jaką mamy...

– Tylko ta, której nie mamy?

– Nie bądź beczelny.

– Przepraszam. – Szturchnął matkę. – To prawda, mammo?

– Tak, nie bądź beczelny.

Gina nie chciała patrzeć mu w oczy, kiedy spoglądał na nią, próbując dociec prawdy. Objęła go ramieniem, przyciągnęła do siebie i zakryła twarz dłonią. Połaskotała go trochę, odwróciła jego uwagę i po chwili znów patrzyli razem na przemykający za oknem krajobraz, na Dunaj... godziny... dni... Belgrad, Budapeszt.

– Mammo, co mi kiedyś śpiewałaś? Nie pamiętam. Ale śpiewałaś coś, kiedy mnie tak trzymałaś. Mówiłaś jakieś słowa i całowałaś mnie pomiędzy nimi.

– Całuję cię cały czas. – Na dowód pocałowała go. – Jakie słowa?

– Nie wiem. To było coś jak kołysanka.

– Jak to szło?

– Nie słuchasz mnie. Nie wiem. Coś takiego... – Próbował sobie przypomnieć. – Mój robaczku, mój milaczku. Moje cudeńko. – Roześmiała się.

– Zgadza się. Właśnie tak.

– Mammo!

– Co? Pamiętasz doskonale.

Połaskotał ją, żeby przestała mu dokuczać.

– Jak to naprawdę szło?

Ujęła jego twarz w dłonie.

– Mój robaczku, mój milaczku... – Pocałowała go.

– Mammo! – próbował się wyswobodzić, lecz go nie puszczała. – Powiesz mi, czy będziesz tak siedzieć i żartować?

Udała, że się zastanawia.

– Będę siedzieć i żartować.

Dalej ją łaskotał.

– Tak hałasujecie, że nie słyszę własnych myśli – rzucił Harry. Odłożył książkę i wstał. – Jak długo będziecie się bawić jak dzieci?

Udali, że się uciszają. Harry wyszedł z przedziału, by rozprostować nogi.

Kiedy tylko zasunęły się za nim drzwi, Gina powiedziała szybko cichym głosem:

– Nie martw się, synku. Nie mów tacie, ale wzięłam coś ze sobą. Małą sumkę. Na wszelki wypadek. Na czarną godzinę.

Aleksander wpatrywał się w jej twarz.

– Myślałem, że jesteśmy spłukani. Tak mówił tato. Powiedział, że to jeden z powodów, dla których musimy wyjechać. Nic nam nie zostało.

– Ma rację. – Czują suchość w ustach, próbowała przełknąć ślinę. – A jednak. Kilka dolarów, które można wymienić na ruble, może się przydać, gdybyśmy czegoś potrzebowali.

– Skąd je masz? Przywiozłaś z Włoch?

– Z Włoch? Kiedy miałam czternaście lat? – Zmierziła mu czarne włosy. – Nie, robaczku. Nie przywiozłam ich z Włoch. Stamtąd naprawdę przyjechaliśmy z niczym.

Zaoszczędzone pieniądze wydaliśmy na pogrzeb mojego ojca. Twojego dziadka. Tego, po którym odziedziczyłeś imię.

– Wiem, po kim je odziedziczyłem, mamó. Więc skąd wzięłaś pieniądze, skoro ich nie mamy?

– Z tajnego miejsca.

– Jakiego?

– Z zielonej doliny otoczonej górami – odparła Gina. – Dalekiego szczęśliwego kraju leżącego z dala od kłopotów świata. Z mitycznego królestwa.

– Jeśli jest mityczne, to jakim cudem pieniądze są prawdziwe?

Kiedy dowiedziała się, co Harry knuje za jej plecami, i zaczęła snuć plany, by zabrać Aleksandra na Florydę, poszła do banku. Wtedy mieli jeszcze mnóstwo pieniędzy, choć mniej niż się spodziewała. Kiedy wróciła z Miami i odkryła, że Harry zamienił mieszkanie na mniejsze i sprzedał meble, zamierzała je wpłacić z powrotem, ale nie miała okazji.

Setki banknotów, szeleszczących, świeżo wydrukowanych. Zwitek tak cienki, że ledwo wypychał najmniejszą kieszonkę w torebce leżącej obok niej na siedzeniu, zaszyty starannie pod podszewką.

I choć początkowo czuła pewne wyrzuty sumienia, że je zatrzymała, zamiast opłacić czynsz lub rachunek telefoniczny, to kiedy odkryła, co Harry zrobił z pieniędzmi, żałowała tylko jednego – że nie wzięła więcej. Lepiej, żeby miała je rodzina niż Partia Robotnicza. W końcu te pieniądze i tak niewiele by Harry’emu pomogły. Jeszcze jedna danina dla „Daily Worker”, jeszcze jedna rata dla Domarinda. Naiwnością byłoby myśleć, że jej niewielka sumka zniszczy jego podniosłe marzenia.

Mrugając, uśmiechnęła się do syna. Dotknęła jego twarzy. Uciszyła go, przyciskając palce do jego ust.

– Oszczędzałam je, zamiast wydawać, na wypadek gdybyś ich potrzebował.

Aleksander się zaśmiał.

– A po co mi pieniądze, mamó? Jestem dzieckiem.

– Nie zawsze będziesz dzieckiem.

– Lepiej nie mów tacie. Nigdy. Nie wybaczy ci, że masz przed nim sekrety.

– Być może – odparła, nigdy nie zaznawszy przebaczenia. – Mam nadzieję, że nie będą nam potrzebne. Ale jeśli tak lub jeśli, Boże broń, coś mi się stanie, wystarczy, żebyś mógł o siebie zadbać.

Zmarszczył brwi.

– Co to znaczy, że coś ci się stanie?

Rzuciła mu smutny półuśmiech.

– Nie jestem coraz młodsza.

– Hmm. Chyba nie. Ale, mamó, nikt nie jest coraz młodszy.

– Masz rację.

– Tato się nie martwi.

– Tato nigdy się niczym nie martwi.

– A ty? Martwisz się wyjazdem do Rosji?

Uśmiechnęła się.

– Nie, *miocaro figlio*. Ja też się nie martwię. – Pocałowała go. – Mój cudny, kochany

chłopczyku – powiedziała, całując go po każdym słowie. – Moja nadziejo – pocałunek – moje szczęście – pocałunek – moja miłości, moje życie, moja radości. – Pocałunek, pocałunek, pocałunek.

– To jest ta kołysanka!

– Ty mi to mówisz? Wiem!

Harry wrócił do przedziału i usiadł.

– Uspokoiliście się już?

– Tato – zaczął Aleksander – czy powiedziałaś, że Związek Radziecki jest socjalistyczną utopią?

– Tak, synu. – Otworzył rosyjskie książki, wyjął notatnik i pióro.

– Czy wiedziałaś, że po grecku słowo utopia pochodzi od *ou*, co znaczy „nie” i *topos*, co oznacza „miejsce”?

– Angielskie słowo jest homonimem, Aleksandrze, nie myśl, że jesteś taki mądry. Pierwsza sylaba, wymawiana jako *ju*, znaczy „dobry”.

– Jak mówiłem. Dobre miejsce, które nie istnieje.

– Istnieje. Nie będę więcej o tym mówił, żeby przekonać ciebie albo matkę. Niedługo sami zobaczycie. A teraz powiedz: *Mienia zawut Aleksandr*.

– Mienia zawut Aleksandr – powtórzył posłusznie chłopiec, a potem pochylając się do matki, szepnął: – Powiedz mi sumę po rosyjsku, zobaczymy, czy zrozumiem. To dobre ćwiczenie. Ile?

– Ile czego? – dopytywał się Harry.

– Niczego, tato. Mama uczy mnie liczyć po rosyjsku. Powiedz, mamu – szepnął.

Milczała, walcząc z sobą.

– Dwadcat’ tysiaczi dolarow – odszepnęła w końcu.

Aleksander gwałtownie wciągnął powietrze.

– Co się dzieje? – Harry podniósł wzrok. – Co zobaczyłeś, synu?

– Nic, tato, nic. – Siedział z otwartymi ustami, ze zdumienia nawet nie mrugając.

– Dzięki temu wiesz, że mówisz płynnie po rosyjsku – powiedziała Gina. – Jeśli potrafisz zrozumieć wypowiedane liczby. To jedna z najtrudniejszych rzeczy w obcym języku. Wiem, jakie miałam z tym problemy po angielsku.

Aleksander skulił się na siedzeniu. Spojrzał na nieświadomego niczego, zajętego ojca, unikał wzroku matki; odwrócił się do okna i przycisnął czoło do zimnej szyby.

– Dokąd jedziemy – szepnął – skoro to jest „na wszelki wypadek”?

Gina nie odpowiedziała.

Niebawem Harry’ego i Ginę zmorzył sen. Zapadła noc. Tylko Aleksander czuwał, oglądając cienie gór, czarne szczyty, bezlistne drzewa, wieże kościołów znikające za oknem. Duży dom w Barrington, w którym mieszkał Teddy z rodzicami, dwiema siostrami i dwojgiem dziadków, kosztował trzy tysiące dolarów. Ciocia Esther powiedziała mu kiedyś, że rolls-royce, którego chciała kupić, kosztował dwanaście tysięcy. A jego matka zmierzająca do utopii miała przy sobie równowartość ponad sześciu domów Teddy’ego i prawie dwóch rolls-royce’ów, wciśnięte do kieszonki torebki „na wszelki wypadek”.

Z powodów, których nie rozumiał i nie chciał zrozumieć, Aleksander zadrżał, choć siedział przytulony do matki i oboje byli przykryci szorstkim wełnianym kocem. Pocieszał

się, że matka jest tylko ostrożna. Miała ku temu skłonność, tak jak cackała się z jego kaszlem. Może dziewczęta z wulkanicznych sycylijskich miasteczek, których ojcowie byli fryzjerami i robili skrzypce, i które kiedyś niczego nie miały, podchodziły do przewodzących bardzo ostrożnie. Ale Aleksander poczuł się nieswojo, gdy spojrzął na świat przez pryzmat zielonych banknotów. Zupełnie jakby pieniądze coś w nim splamiły, rzuciły cień na oczekiwanie jasnej przyszłości. Zamiast podniecenia odczuwał strach.

To po co tam jedziemy, chciał zapytać, lecz matka spała. Być może odpowiedź zabrzmiałaby tak samo jak wtedy, gdy ojciec został aresztowany, a ona razem z nim, bo stała u jego boku. Aleksander siedział sam w domu, aż przyszło mu do głowy, by zadzwonić do cioci Esther i poprosić, żeby po niego przyjechała. Dzięki Bogu telefon jeszcze działał. Matka wróciła do domu po czterech dniach, lecz nie mogli wykupić ojca. Kiedy wrócił wreszcie po miesiącu spędzonym w więzieniu, była na niego tak wściekła, jakby rany jeszcze krwawiły. Dlaczego tu zostajemy?, zapytał ją tamtego wieczoru, gdy straszliwa kłótnia ucichła, szkwał ustąpił miejsca przelotnemu deszczowi. Zostaję, bo go kocham, odpowiedziała. Zostaję, bo jest moją rodziną. Bo zasługujesz, by mieć ojca. Gdziekolwiek on pójdzie, pójdę i ja. On jest statkiem, Aleksandrze. My tylko pasażerami. *Condividiamo l'amarezza.*

A jeśli statek zatonie?

Zatoniemy razem z nim. Kiedy umrę i mnie rozetną, dodała, a w jej oczach migotały gorzkie łzy, znajdziesz ojca leżącego na moim sercu.

Dziś wieczorem w pociągu, zanim zasnęła, powiedziała do Harry'ego:

– Miejmy nadzieję, że Makbet się mylił, mężu. A każde „wczoraj” zostaje za nami niby ogarek, co przyświecał głupcom w drodze ku prochom śmierci[24].

– Kim jest Makbet? – zapytał Aleksander.

Harry zbył ich machnięciem ręki.

– Zamiast uczyć naszego syna przedramatyzowanych bzdur Szekspira, może powiesz mu, dlaczego jedziemy. Opowiedz mu o największym poemacie prozą Maksyma Gorkiego, *Pieśni o sokole*.

– Znów ten drogi Maksym – odparła Gina. – Autor lirycznych opisów arktycznych ustroni dla wrogów bolszewizmu. – Złożyła ręce na kolanach. – Znasz ten poemat o wiele lepiej. Może ty go opowiesz?

Harry wstał i wcisnął się pomiędzy nich. Objął żonę i syna ramionami, pocałował najpierw ją, potem jego i zaczął opowiadać.

– Wąż nie może zrozumieć sokoła. „Dlaczego nie tkwisz tu w ciemności, w przyjemnej śliskiej wilgoci? – syczy. – Po co wzbijasz się w niebo? Nie wiesz, jakie tam czyhają niebezpieczeństwa, niepokój i burze, strzelba myśliwego, która strąci cię na ziemię i zakończy twoje życie?”. Sokół nie zwraca jednak na niego uwagi. Rozkłada potężne skrzydła i wzbija się w niebo, a jego triumfalna pieśń niesie się w przestworza. Pewnego dnia zostaje zestrzelony, krew płynie mu z serca, a wąż podpełza do niego i syczy: „Ty głupi. Ostrzegałem cię. Radziłem ci zostać tam gdzie ja, w ciemności, w przyjemnej wilgoci, gdzie nikt cię nie znajdzie i nie skrzywdzi”. Wydając ostatnie tchnienie, sokół szepce: „Szybowałem przez przestworza, wznosiłem się wysoko, widziałem światło, żyłem, żyłem!”.

– Tego pragnęłam przez całe życie – powiedziała senna już matka Aleksandra. – Być sokołem, a nie wężem.

Aleksander z trudem dostrzegał kościoły w dolinach pomiędzy wzgórzami, światła, wieże i drzewa; wszystko okrywał cień, z wyjątkiem białych krzyży oświetlanych przez latarnie. Pociąg pędził, nie zatrzymując się w małych miasteczkach u stóp wzgórz, miasteczkach takich jak to, które zostawiła za sobą młoda Gina Attaviano, gdy pierwszy raz popłynęła przez ocean. Morze, które ukochałem – szepnął Aleksander, przywołując wyblakłe wspomnienie hiszpańskich festynów i wesołych karuzeli – i raz czy dwa dotknąłem rajskich wysp.

²⁴ William Shakespeare, *Makbet*, tłum. Stanisław Barańczak, w: *Tragedie i kroniki*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2013.

Epilog

1936

– Gdzie się podziewaliście? Boże święty! – Harold chodzi gorączkowo po kuchni. – Nie było was z matką przez parę dni! Odpowiesz mi? Umierałem z niepokoju. Odchodziłem od zmysłów. Nie wiedziałem, co myśleć.

Zmęczona Gina kładzie się do łóżka.

– Matka dobrze się czuje? Wygląda...

– Dobrze, tato, jest tylko zmęczona.

– Przychodziło mi do głowy najgorsze. Dlaczego mi to zrobiliście? Najgorsze.

– A co jest najgorsze? Powiedz mi, proszę.

– Nie zaczynaj od nowa. Mój Boże! – Harold nie potrafi się zdobyć na inną odpowiedź.

Ojciec i syn w końcu uspokajają się na tyle, by usiąść przy rozchwanym stole we wspólnej kuchni.

Aleksander wygląda strasznie i wie o tym. Jest nieogolony, mizerny, wykończony. Jego blady z niepokoju ojciec też nie wygląda dobrze. Zupełnie jakby się nie golił ani nie jadł od wyjazdu żony i syna.

Aleksander zadreżcza się, czy powiedzieć ojcu prawdę. Gdyby im się udało, gdyby matka zdołała go wprowadzić do konsulatu amerykańskiego, nie wiedliby z ojcem tego jednostronnego sporu. Aleksander czuł się źle, że nie zostawił ojcu wiadomości, ani słowa na kartce papieru. Jakby nie było żadnego życia przed tym ponurym dniem, gdy pojechali pociągiem z Leningradu do Moskwy, jakby nie było szczęśliwego lata w Krasnej Polanie, hokeja na Frog Pond, łowienia ryb, miłości. Matka powiedziała, że może napisać do ojca długi list, kiedy się już wydostanie. Ale się nie wydostał. Zastanawia się, czy słowa nadal są potrzebne.

W końcu nic nie mówi. Nie ma serca, by powiedzieć ojcu, że byli w Moskwie, a matka podjęła jedyną rozpaczliwą próbę, by ocalić syna, zdradzając wszystko, co było ojcu najdroższe. Aleksander wie, co poświęciła, zwracając się z błagalną prośbą do Amerykanów. Boi się, że zostali słusznie uznani za niebezpieczny gatunek, cudzoziemców, szpiegów, sabotażystów. Zdrajców. Lepiej niech ojciec nic nie wie. On ma najwięcej do

stracenia, tak żarliwie bronił sowietów przez te wszystkie lata.

Aleksander boi się o matkę. Nie chce, żeby Harold znów wpadł w złość. Ona jest ostatnio taka bezbronna i nie potrafi sobie poradzić z gniewem męża. Aleksander nie jest bezbranny, ale też nie potrafi sobie z nim radzić. Nie chce, żeby znów doszło do okropnej sceny. Bóg jeden wie, że było ich już dość. Aleksander kłamie, by chronić matkę i pocieszać ojca. Kłamie, by odetchnęli w być może ostatnią spokojną noc, ostatni spokojny dzień. Musi przyznać, że w pewnym sensie poczuł ulgę. Czuł się źle, uciekając, zostawiając ojca, który o niczym nie wiedział. To było porzucenie. Jak zdrada.

– Nie zostawiasz go samego! – mówiła matka z płaczem, próbując go przekonać. – Zostawiasz go ze mną. To jego miejsce i moje. Przy nim. Ja nigdzie nie jadę. Tylko ty. Przeżyłam już swoje życie. Ty nie. Ojciec przeżył swoje. Ty nie. – Długie przerwy pomiędzy słowami wypełniał szloch.

I choć Aleksander straszliwie boi się tego, co ich czeka, jest wdzięczny, że znów widzi ojca.

Mówi Haroldowi, że zabrał matkę do Pułkowa, do sanatorium, żeby ją odtruli.

– Zabrałeś ją na trzy dni do Pułkowa? – powtarza powoli Harold, jakby w to nie wierzył. – Żeby ją odtruli?

– Nie chcieli jej przyjąć.

– Nie? – Przygląda się synowi badawczo.

– Powiedzieli, że nie jest dość chora.

– Jeśli matka nie jest chora, to kto jest?

Aleksander milczy. Nie rozumie, jak jego idealna niegdyś matka mogła wpaść tak głęboko w alkoholową przepaść butelki bez dna.

– Więc się nie udało?

Aleksander słyszy tylko błagania, krzyki, płacz matki przed zaciętą twarzą strażnika konsulatu, gdy sam próbuje ją odciągnąć. Proszę, proszę, proszę, pomóżcie mu, mamy pieniądze, mieszkanie, pomóżcie mu, pomóżcie mu, pomóżcie...

– Nie, tato. Całkowita porażka.

Cisza.

– Wielka szkoda – mówi Harold z głębi złamanego serca.

Zaniepokojony Aleksander wpatruje się w ojca, którego dłonie i wargi drżą. Aleksander widzi, że Harold walczy z niedowierzaniem, z rozpaczliwym podejrzeniem. A jednak jego udręczony, zmęczony wzrok mięknie, jak wzrok matki, gdy spogląda na swoje jedyne dziecko. Pokryta zmarszczkami twarz zdaje się młodnieć, gdy Harold patrzy w twarz syna tak intensywnie, jakby próbował wyrzeźbić jego rysy w marmurze pamięci.

– Co jest, tato?

– Nic. – Harold mruga oczami, lecz nie odwraca wzroku. – Nie wyglądasz dobrze.

– Wiem. Długo jechaliśmy pociągiem.

– Do Pułkowa jedzie się tylko parę godzin – mówi cicho Harold. – Ile mogła trwać wasza podróż?

– Zatrzymywano nas między stacjami – odpowiada Aleksander bez chwili zastanowienia.

– Może naprawiali tory.

– Albo je budowali.

Obaj lekko kiwają głowami, lecz bez uśmiechu.

– Gdzie spaliście przez dwie noce?

– Na ławce w parku.

Ojciec odsuwa się od stołu.

– Spaliście z matką na ławce? – Przedwcześnie postarzały Harold spuszcza głowę i szuka wzrokiem zrozumienia, prawdy, iluzji. – Wszystko to błoto – szepcze.

Aleksander zmusza się, by odchrząknąć. Wyciąga rękę, kładzie dłoń na dłoni ojca i lekko ją poklepuje.

– Tato, jest dobrze. Staramy się, jak możemy. Nie jest tak chora, jak się obawialiśmy. To dobrze, prawda? Przepraszam, ale... jest coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Harold zrywa się zadowolony, że może coś zrobić. Wrzuca kilka dREW do pieca i po kilku minutach smaży ziemniaki z cebulą. Aleksander nie może się doczekać. Stojąc obok ojca, je prosto z patelni na wPół surowe ziemniaki posypane obficie solą i pieprzem. Wdycha zapach jedzenia, połyka je, niemal nie gryząc.

– Nigdy nie ma dość jedzenia. Nigdy.

– Głód to straszna rzecz – zgadza się Harold.

– Nie mogę się doczekać, kiedy wcielą mnie do Armii Czerwonej. Żołnierzy dobrze karmią.

– Boże, nie żartuj. To nie jest odpowiednia pora.

Aleksander przeklina.

– Ależ ze mnie idiota. Zjadłem wszystko?

Harold kręci głową.

– Nie, nie. Jadłem wcześniej. Jedz, synu, jedz.

Stoją w cichej kuchni. Przygarbiony Harold cofa się i patrzy, jak syn wyskrobuje patelnię drewnianą łyżką. W końcu wyjmuje mu pustą patelnię z rąk.

– Będzie lepiej. Siadaj. Zrobię ci herbaty. Właśnie dostałem drugą pracę. W noce i weekendy. Zarobię kilka rubli więcej.

– Co będziesz robił?

– Wyobraź sobie, że będę się zajmował stolarką. Będę robił ławki, stoły. – Harold się uśmiecha. – Wiem. Nie patrz tak na mnie. Niesamowite, prawda? Przeszłość zawsze nas dogania.

– Rzeczywiście. Dziadek byłby z ciebie dumny.

– Tak myślisz? – Harold potrząsa głową. – Dlaczego w to wątpię?

Aleksander kołysz rozchwianym stołem.

– Może w nowej pracy dadzą ci poziomicę? – Uśmiecha się.

– Hej, mój stół jest idealny – mówi Harold. – To podłoga jest nierówna. – Wykrzywia usta. – W każdym razie – ciągnie szybko – będziemy mieli pieniądze na jedzenie. Znasz mojego przyjaciela Sławę? Mówi, że załatwi nam biały chleb. A za sto rubli nawet trochę mięsa. Będziemy oszczędzać. Może na twoje siedemnaste urodziny w przyszłym miesiącu będziemy mieli dość pieniędzy, by kupić pół kilo wieprzowiny. Chciałbyś?

Przez kilka chwil Aleksander milczy.

– Ile potrzebujesz? Żeby kupić jedzenie?

Harold wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Dwieście rubli? Na wieprzowinę, trochę chleba. I czekoladę. – Oblizuje wargi. – Tak dawno nie jadłem czekolady. Nigdy nie sądziłem, że będę za nią tęsknił. Ślinię się na samą myśl.

Aleksander patrzy na ojca z czułym wyrazem młodej twarzy. Sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciąga kilka banknotów z ukrytego tam zwiłka.

– Proszę. – Przesuwa po stole czterysta rubli, jakby grał w pokera. Przed laty, gdy jeszcze mieszkali w Moskwie, rozpaczliwie głodni wymienili na czarnym rynku połowę pieniędzy matki na ruble. Wydali wszystko na jedzenie.

Harold wpatruje się w pieniądze, jakby nigdy w życiu nie widział rubli.

– Skąd to masz?

– Kiedy mama pracowała jeszcze w Bibliotece Leningradzkiej, oddawała mi pieniądze, żeby nie wydać ich na głupstwa. – Ojciec i syn nie patrzą na siebie. Obaj nie mogą znieść myśli, co się dzieje z ich żoną i matką. – Weź je i kup jedzenie od Sławy. Nie w maju, ale teraz. Potrzebuję jedzenia teraz. Weź je, ale szybko wracaj, to wyprawimy sobie ucztę. Kup kwas do picia. I trochę masła. Zjemy jak królowie. Kiedy wrócisz, obudzę mamę. Ucieszy się, jak będzie miała masło do białego chleba.

Harold powoli sięga po pieniądze.

– Nic nie rozumiem – mówi. – Nie potrafię zaoszczędzić pięćdziesięciu rubli, a ty masz czterysta rubli od matki, która prawie nie pracuje?

– Nie musimy z mamą opłacać rachunków, tato. Ty musisz.

– Masz więcej pieniędzy, niż zarabiam w pół roku. Co się tu dzieje?

Nie wiem, co się dzieje, myśli Aleksander.

– Czego nie rozumiesz?

– Powiem ci. Dlaczego nie kupiłeś sobie jedzenia za te pieniądze? Dlaczego wracasz głodny z garścią pieniędzy?

Aleksander ściska dłoń ojca, w której ten trzyma ruble.

– Nie chcieliśmy jeść bez ciebie – mówi. – A teraz przestań zadawać pytania i idź. Będę czekał.

Harold wstaje. Wkłada płaszcz i kapelusz i przed wyjściem z kuchni, gdzie wpatrzony w blat stołu siedzi poważny Aleksander, pochyla się, gładzi go po zarośniętym policzku i całuje w czarną głowę.

– Jesteś dobrym chłopcem, kolego.

– Wiem. A ty jesteś dobrym tatą. Ale byłbyś lepszym, gdybyś przyniósł coś do jedzenia.

Już w drzwiach Harold się odwraca.

– Chcę tylko powiedzieć...

Aleksander czeka w napięciu.

W oczach Harolda błyszczą łzy. Aleksander odwraca wzrok.

Mijają ponure chwile.

– Nie wiem, dokąd pojechaliście. Nie chcesz mi powiedzieć, dobrze. Ale mam nadzieję, że nie zrobiliście z matką jakiegoś głupstwa, które naraziłoby was na niebezpieczeństwo. Mówiłem ci, że musisz być bardzo ostrożny. Widziałeś, co się stało z Mariem i Wiktorem.

Aleksander odwraca się w stronę ciemnego okna.

– Jak mogę nie narażać się na niebezpieczeństwo, tato? – Jedna z szyb jest stłuczona i ze świstem wpada przez nią zimny kwietniowy wiatr. – Jestem człowiekiem bez kraju.

Harold z trudem mówi dalej i ledwo trzyma się na nogach.

– Ty jesteś teraz swoim krajem! – Rozkłada ręce, jakby chciał zobrazować barykadę. – Zbuduj wokół siebie mur, fortecę. Uzbrój się. Ochroniaj się. Znajdź sposób, by ocaleć.

Przez moment patrzą na siebie bez słowa.

– Synu, obiecaj mi, że znajdziesz sposób.

– Nie chcę znać żadnych tajemnic, chcę tylko być wolny – mówi Aleksander.

Harold wychodzi, by kupić na czarnym rynku masło i chleb za pieniądze, które żona schowała na wszelki wypadek.

Długo w noc Aleksander siedzi jak posąg z dłońmi opartymi na stole.

Co ojciec powiedział mu po rosyjsku tuż przed wyjściem? Cytował matkę, która cytowała Izajasza. Я начертал тебя на ладонях своих; стены твои всегда предо мною. Oto wyryłem cię na obu dłoniach, tve mury ustawicznie przede Mną^[25].

Aleksander czeka i czeka. Zasypia na krześle z głową opartą na rozchwianym drewnianym stole.

²⁵ Księga Izajasza 49,16.